

Młode lwy

Irwin Shaw

Młode lwy

Przełożył
Tadeusz Jan Dehnel

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału
The Young Lions

Wiersze przełożył
Włodzimierz Lewik

Opracowanie graficzne terii
Martk Piwko

Ilustracja na obwolucie
Andrzej Kacperek

Copyright © 1948 by Irwin Shaw
For the Polish edition
© by Wydawnictwo „Książnica”, 1992

ISBN 83-85348-47-6

Owo Ja na cię, mówi Pan zastępów,
i podpalę aż do dymu poczwórne twoje,
a lwięta twoje pożre miecz, i wykorzenię z ziemi lup twój,
i nie będzie więcej slyszeć głosu posłów twoich.
(Proroctwo Nahumotoe, II, 13)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Małeńkie, wymuskane miasteczko lśniło o zmierzchu jak odkrytka z życzeniami „Wesołych świąt”. Padał śnieg. Latarnie znaczące tor kolejki elektrycznej kreśliły świetlną linię na białym zboczach u stóp tyrolskich szczytów. Na zasypanych śnieżnym puchem ulicach przechodnie — narciarze i tubylcy w barwnych strojach — wymieniali pogodne uśmiechy. Girlandy zdobiły okna i drzwi brunatnobiałych domów, była to bowiem wigilia nowego, wróżącego piękne nadzieje roku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego.

Margaret Freemantle szła zboczem w górę i z przyjemnością słuchała, jak jędrny śnieg skrzypi pod jej narciarskimi butami. Pozdrowiała uśmiechem kryształowy zmierzch i głosy dzieci, które śpiewały gdzieś w położonej niżej wiosce. Tego dnia z rana, kiedy wyjeżdżała z Wiednia, mżył deszcz. Ludzie uganiaли się po ulicach ulegając nastrojowi zaskoczenia, jaki niepogoda budzi zawsze w dużym mieście. Margaret Freemantle była młoda, ładna i korzystała z wakacji, toteż panoramę wyniosłych gór, bezchmurne niebo i sportową, dobroduszną wesołość cichej miejsciny uważała poniekąd za osobisty dar losu.

W nogach czuła przyjemne zmęczenie, kiedy roztrącała zagradzające jej drogę mikroskopijne zasy śniegu. Po obiedzie jeździła na nartach, a później wypila dwa kieliszki cherry brandy, która przyjemnie rozgrzała jej gardło. Obecnie dyskretne macki ciepła sięgały pod swetrem do ramion i piersi.

— *Dort oben am Berge da wettet der Wind* — śpiewały dzieci, a głosy ich dźwięczały czysto w rzadkim, kryształowym powietrzu.

— *Da silzer Maria imd wieget ihr Kind* — zawtórowała cicho Margaret.

Z niemieckim radziła sobie jeszcze słabo, toteż cieszyła się nie tylko melodią uroczej kolędy, lecz również własną odwagą, która pozwoliła jej zaryzykować śpiewanie w obcym języku.

Margaret była wysoka, smukła. Miała pociągłą twarz, zielone oczy i kształtny nos usiany tu i ówdzie delikatnymi piegami, które Joseph nazywał „amerykańską dekoracją”. Joseph miał przyjechać następnego dnia porannym pociągiem. Dziewczyna pomyślała o nim i uśmiechnęła się do siebie.

Przed drzwiami hotelu przystanąła, by jeszcze raz spojrzeć na wyniosłe szczyty gór i mrugające w dolinie światła. Odetchnęła głęboko rześkim wieczornym powietrzem. Następnie otworzyła drzwi i weszła.

Salka skromnej gospody, udekorowana wesoło zielonym ostro* krzewem i jedliną, pełna była ciężkiego zapachu dobrych domowych ciast. Z bezpretensjonalnym staroświeckim umeblowaniem — dąb kryty skórą — harmonizowała niezwykle czystość często spotykana w górskich wioskach i miasteczkach, a tak nierozdzielna z izbą, że podobnie jak sprzęty stanowi jej urządzenie.

Pani Langerman przechodziła właśnie dźwigając ogromną kryształową wagę na poncz. Okrągła, rumiana twarz gospodyni wyrażała głębokie skupienie. Na widok gościa uśmiechnęła się i ostrożnie postawiła wagę na stole.

— Dobry wieczór — zagaiła rozmowę mówiąc po niemiecku miękkiem tyrolskim akcentem. — Jak tam narty?

— Wspaniale — odpowiedziała Margaret.

— Mam nadzieję, że nie zmęczyła się pani zanadto — podjęła pani Langerman zerkając nieśmiało po kątach pokoju. — Dziś wieczór będą małe przyjęcie. Tańce. Moc chłopców. Nie powinna pani być zmęczona.

Margaret wybuchnęła śmiechem.

— O, mam siłę tańczyć, pod warunkiem, że chłopcy nauczą mnie, jak się to u was robi.

— Z tym nie będzie kłopotu. — Gospodyni szerokim gestem rozłożyła ręce. — Nasi chłopcy potrafią tańczyć! Panią będą zachwyceni. — Krytycznym wzrokiem zmierzyła Margaret. — Pewnie, trochę pani za szczupła, ale takie teraz gusty. Cóż, wpływ amerykańskich filmów. Niedługo tylko suchotnice będą miały powodzenie. — Uśmiech pogodny i gościnnylak suty ogień na kominku rozjaśnił jej czerstwą twarz; pieczołowicie ujęła wagę i ruszyła w stronę drzwi. — A niech się pani strzeże mojego syna Friedricha — powiedziała. — *Herr Gott!* Ten lubi spódniczki! — zachichotała i wyszła do kuchni.

Margaret odetchnęła z lubością wonią korzeni i topionego masła, która nagle wtargnęła do salki. Nucąc poszła na piętro do swojego pokoju.

Zabawa rozpoczęła się spokojnie. Starszyzna siedziała sztywno pod ścianami. Młodzi mężczyźni stali w niewielkich, zmieniających się grupkach i z poważnymi minami popijali z wolna mocny poncz zaprawiony korzeniami. Tęgie, barczyste dziewczęta wyglądały nie-swojo w powiewnych wieczorowych sukienkach. Harmonista zagrał bez przekonania dwa kawałki, ale że nikt nie tańczył, przypiął się posepnie do wazy ponczu i ustąpił miejsca patefonowi wyposażonemu w amerykańskie płyty.

Grono gości stanowili przeważnie krewni i sąsiedzi Langermanów — wieśniacy z doliny i miasteczkowi sklepikarze — spaleni na brąz górskim słońcem, ubrani pospolicie, ciężcy, solidni, zdrowi. Zdawać się mogło, że są nieśmiertelni, że posiew choroby i rozkładu nie ma przystępu do krzepkich górskich ciał, a dłoń śmierci nie muśnie nigdy ogorzalej, gładkiej skóry. Nieliczni goście z miasta, rezydujący w kilku pokojach gospody, wypili uprzejmie po szklaneczce ponczu i poszli na weselsze zabawy do innych, większych hoteli. Wreszcie Margaret była jedynym przybyszem z obcego świata. Piła niewiele i miała zamiar wcześniej pójść do siebie, bo pociąg z Wiednia przyjeżdżał o ósmej trzydzieści rano. Chciała spotkać Josepha świeża i wypoczęta.

Wieczór mijał. Zabawa ożywiała się stopniowo. Margaret tańczyła już prawie z wszystkimi młodymi ludźmi — walce i amerykańskie fokstroty. O jedenastej zrobiło się duszno i gwarno. Wniesiono trzecią wazę ponczu. Twarze zebranych utraciły tępy wyraz poczciwości i zdrowia właściwy ludziom spędzającym życie na świeżym powietrzu; promieniały podnieceniem zabawy w ciasnej, ograniczonej czterema ścianami przestrzeni. Wówczas Margaret zaczęła uczyć Friedricha rumby. Inni stali poważnie dokoła i po lekcji nagrodzili oklaskami nauczycielkę i ucznia. Ojciec Langerman nalegał, by Margaret i z nim zatańczyła. Był to okrągły, przysadzisty staruszek o różowej, lysej czaszce. Pocił się obficie, kiedy dziewczyna przerywając sobie wybuchami śmiechu objaśniała subtelny karaibski rytm i zawilości późnionego taktu.

— *Mart Gott!*—westchnął, kiedy patefon umilkł.—Pomyśleć, że w tych górach zmarnowałem życie!

Margaret roześmiała się znowu, schyliła głowę i pocałowała starego. Goście tworzący dokoła nich ciasny pierścień na woskowanej

posadzce odpowiedzieli hałaśliwą owacją, a Friedrich uśmiechnął się i zawołał:

— Pani nauczycielko! Na mnie kolej!

Ktoś puścił tę samą płytę. Ktoś podał Margaret szklaneczkę ponczu i poprosił, żeby wypila, zanim zacznie tańczyć. Friedrich był niezadarny, ciężko przebiegał nogami, ale w namiętym, żywym tańcu jego silne ramię grzało przyjemnie i bezpiecznie.

Kiedy skończyła się rumba, harmonista, napompowany kilkunas-toma szklaneczkami ponczu, na serio wziął się do roboty. Grał teraz i śpiewał stojąc przed kominkiem w kręgu sutego ognia. Goście skupili się wokół niego i jeden po drugim zaczęli wtórować. Mocne głosy i tony harmonii huczały w wysokiej izbie o belkowanym pułapie. Margaret miała twarz rozpromienioną, gorącą. Stojąc obok Friedricha, który otaczał jej kibić ramieniem, nuciła cicho, jak gdyby tylko dla siebie. Myślała, że to wszystko zacni, serdeczni ludzie, po dziecięcemu pogodni i bardzo życzliwi dla obcych. Oto piosenką witają Nowy Rok i szorstkie głosy, przywykłe do wołania pod gołym niebem, tłumią zgodnie z nakazem łagodnej, słodkiej melodii.

— *Roslein, Roslein, Róselein rot, Roslein auf der Heide* — śpiewali, a głos starego Langermana wznosił się ponad chór i grzmiał niczym porykiwanie buhaja komicznie czymś zatroskanego.

Margaret śpiewała razem z góralami. W blasku ognia widziała gęstwę ożywionych twarzy. Milczał i stał spokojnie tylko jeden z gości.

Christian Diestl — wysoki, smukły młodzieniec — miał skupioną, zamyśloną twarz o cerze ubarwionej słońcem, ostrzyżone na jeża czarne włosy i jasne spojrzenie złotawe od żółtych iskierok, takich, jakie widuje się w oczach drapieżnych zwierząt. Margaret zauważyła go po południu na stoku wzgórze. Z należytą powagą udzielał lekcji początkującym narciarzom, sam zaś poruszał się na śniegu godnym zazdrości swobodnym, posuwistym krokiem. Obecnie stał na uboczu, z dala od śpiewaków, i trzymając w rękę pełną szklanek przyglądał się im zamyślonym, dalekim wzrokiem. Biel rozpiętej pod szyją koszuli pięknie kontrastowała ze spaloną na brąz skórą.

Margaret spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Proszę śpiewać! — rzuciła.

Odpowiedział poważnym uśmiechem i uniósł szklanek. Dziewczyna spostrzegła, że posłusznie zaczął ruszać wargami, ale w ogólnym gwarze nie mogła ocenić wkładu nowego uczestnika chóru.

Czas mijał, zbliżał się uroczysty moment. Mocny poncz zaczynał robić swoje. Towarzystwo coraz mniej dbało o formy. Po ciemnych

kątach parki całowały się i ścisnęły czule. Głosy chrypiły, przybierały na sile. Margaret z trudem chwyciła i rozumiała słowa śpiewek pełnych gwarowych dwuznaczników, przy których starsze kobiety chichotały wstydliwie, a mężczyźni wybuchali gromkim śmiechem.

Tuż przed północą ojciec Langerman wspiął się na stołek, zarządził ciszę i skinąwszy na harmonistę przemówił oratorskim, nieco poditym tonem:

— Jako weteran z frontu zachodniego, trzykrotnie ranny w piętnastym i osiemnastym roku, proszę, aby wszyscy podchwycili pieśń, którą zaintonuję.

Znów machnął ręką w stronę grajka, ten zaś rozpoczął wstępne taktę *Deutschland, Deutschland uber alles*.

Margaret pierwszy raz słyszała ów hymn w Austrii, ale kiedy miała pięć lat, nauczyła się go od służącej Niemki. Nie zapomniała słów, toteż ochoczo przyłączyła się do chóru i chociaż zdawała sobie sprawę, że tęgo podpiła, miała wrażenie, iż w sposób rozumny daje wyraz poczuciu solidarności międzynarodowej. Friedrich uradowany jej niespodziewaną umiejętnością mocniej objął dziewczynę i pocałował ją w czoło, a ojciec Langerman, który stał jeszcze na stolku, wyciągnął w stronę Margaret szklanekę i wznosił toast:

— Niech żyje Ameryka! Za zdrowie młodych Amerykanek!

Dziewczyna wypiła do dna i skłoniwszy się odpowiedziała z godnością:

— Niechaj mi będzie wolno oświadczyć w imieniu młodych Amerykanek, że jestem zachwycona i szczęśliwa.

Friedrich pocałował ją w szyję, nim jednak zdecydowała, jak na to zareagować, grajek wziął się znów do dzieła i z harmonii popłynęły prymitywne dźwięki, a ochrypliły chór podchwycił je triumfalnie. Z początku Margaret nie mogła się zorientować, co to za pieśń. Dwa, trzy razy słyszała jej fragmenty w Wiedniu, teraz jednak donośny ryk głuszył melodię, a pijackie głosy zacierają znaczenie słów, które trudno było zrozumieć.

Friedrich wyprostował się i podniecony śpiewem przygarnął sąsiadkę tak mocno, że poczuła, jak twardnieją mu mięśnie ramienia. Całą uwagę skupiła na jego słowach i wreszcie poznała pieśń.

— *Die Fahne hoch, die Reihen fest geschlossen* — śpiewał, a żyły pęczniały mu na szyi. — *marschirt in rukig festen Schritt, Kameraden, die Rotfront und Reaktion erschlossen*.

Dziewczyna słuchała ze skamieniałą twarzą i zamkniętymi oczami. Czowała, że dławi ją brutalna melodia. Próbowwała uwolnić się z objęć

sąsiada, ten jednak silnie otacza) ją ramieniem, stała więc bez ruchu i słuchała. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała przede wszystkim na instruktora narciarskiego. Nie śpiewał. Przyglądał się jej życzliwym, smutnym wzrokiem.

Głosy huczały coraz potężniej, srożej, groziły łoskotem gromu zbliżając się do końcowych taktów *Horst Wessel Lied*. Mężczyźni dumni i okrutni stojąc na baczność miotali z oczu błyskawice. Upojone kobiety śpiewały jak operowe mniszki przed obliczem operowego bóstwa. Tylko Margaret i opalony narciarz o złotawych oczach milczeli, gdy salka rozbrzmiewała ostatnimi słowami pieśni:

— *Marschieren mit uns in ihrem Geiste mitf*

Dziewczyna zaczęła płakać cicho, bezradnie i zaskoczona własną słabością zwiśla ciężko na ramieniu Friedricha. W tej chwili dzwony w wiejskich kościółkach uderzyły cienko, radośnie, a stokrotne echa odbiły się od gór i zawtórowały im w nocnym zimowym powietrzu.

Ojciec Langerman był czerwony jak burak. Pot zraszał mu okrągłą, nagą czaszkę. Oczy błyszczały tak, jak mogły błyszczeć, kiedy po raz pierwszy ujrzały front zachodni w piętnastym roku. Uniósł w górę szklankę i przemówił namaszczone, kapłańskim tonem:

— Za Fiihrera!

— Za Fiihrera! — powtórzyli obecni.

Szklanki błysnęły w świetle płomieni. Usta wypily poncz, jak gdyby spełniały doniosły obrzęd religijny.

— Nowy Rok! Wszystkiego najlepszego daj ci Boże w tym Nowym Roku!

Uroczysty, patriotyczny nastrój prysnął. Goście śmieli się, ściskali sobie ręce, klepali się po ramionach, wymieniali uściski i pocałunki. Znowu byli weseli, przyjaźni, niewojowniczy.

Friedrich przygarnął Margaret i chciał pocałować, lecz wyrwała mu się i pochyliła głowę. Z oczu jej płynęły łzy. Szlochała głośno. Zupełnie załamana umykała po schodach do swojego pokoju na piętrze. Z daleka dobiegł ją śmiech i głos Friedricha:

— Amerykanki lubią zadawać fasonu! Zdaje się im, że umieją pić.

Łzy wyschły powoli, Margaret było niemilo i głupio. Próbowала zapomnieć o tamtych ludziach z dołu. Systematycznie czyściła zęby, układała na noc włosy, zwilżała zimną wodą czerwone, zapuchnięte powieki. Na spotkanie Josepha chciała być świeża i ładna.

Rozebrała się w lśniącym czystością, bielonym pokoju, gdzie nad łóżkiem wisiał ciemny drewniany krucyfiks z figurą zboląłego Chrystusa. Zgasiała światła, otworzyła okno i w szerokim łóżku schroniła się

przed wiatrem i księżycowym blaskiem płynącym z gór osypanych śnieżnym puchem. W pierwszej chwili zadrżała od dotknięcia lodowatych prześcieradeł, niebawem jednak zrobiło się jej ciepło pod ciężką pierzyną. Bielizna pachniała pralnią, jak niegdyś za dziecinnych lat w domu babki. Sztywno nakrochmalone białe firanki szeleściły w otwartym oknie. Harmonista grał teraz smutne jesienne melodie o miłości i rozstaniach, a muzyka dochodziła zza wielu zamkniętych drzwi, wzruszająca jakaś i odległa. Margaret zasnęła wkrótce i w rzeźwym górskim powietrzu leżała na wznak ze spokojną, ufną, niemal dziecięcą twarzą.

Często bywają takie sny. Jakaś dłoń ślizga się po skórze. Ciemne, niczyje ciało leży w pobliżu. Ciepło bezimiennego oddechu owiewa policzek. Kibić oplata ramię silne, natrętne...

Margaret obudziła się nagle.

— Cicho bądź! — powiedział męski głos po niemiecku. — Nie zrobię ci nic złego.

— „Pijany! — pomyślała dziewczyna. — Zieje od niego alkoholem”.

Przez chwilę leżała jak martwa, zapatrzona w oczy napastnika — żywe iskierki na czarnej plamie twarzy. Dłoń ślizgała się delikatnie po jej brzuchu, sięgała niżej, wzdłuż ud. Ciężar nogi przytłaczał kolana. Mężczyzna był ubrany. Szorstkie sukno nieprzyjemnie drażniło skórę. Margaret szarpnęła się gwałtownie, uskoczyła pod ścianę i usiadła. Ale napastnik był zwinny. Obalił ją, przytłoczył, zakrył usta ręką.

— Zręczna bestyjka — zachichotał — niczym wiewióreczka.

Poznała głos.

— To tylko ja — mówił Friedrich. — Nieproszony przyszedłem z wizytą. Nie zrobię ci nic złego. — Na próbę usunął dłoń z jej ust. — Nie będziesz krzyzczeć? — pół szeptął, pół chichotał, jak gdyby bawił się z dzieckiem. — A zresztą nic ci to nie pomoże. Wszyscy są urzędnicy, a gdyby nawet ktoś przyszedł, powiem, że ty mnie zaprosiłaś, a później widać zmieniłaś zdanie. Uwierzą, bo mam taką opinię, że dziewczuchy na mnie lecą, no i ty jesteś przecie cudzoziemka...

— Idź sobie! Proszę! — szepnęła Margaret. — Idź sobie. Nie powiem nikomu.

Friedrich znowu zachichotał. Był podchmielony, ale nie tak pijany, jak udawał.

— Śliczna z ciebie dziewczuszka, pierwsza klasa! Ładniejszej nie widziałem jeszcze w tym sezonie.

— Po coś tu przyszedł? — Dziewczyna starała się zeszytnieć, złodowacieć; chciała, aby natrętna łapa spotkała tylko kamienną, wroga powierzchnię ciała. — Tyle innych przyjmie cię chętnie.

— Chcę ciebie. — Chłopak pocałował ją w szyję, jak mu się zapewne zdawało, z czułością nie do odparcia. — Strasznie mi się spodobałaś.

— Ale ja ciebie nie chcę! — zawołała półprzytomna, przerażona zarówno roslym ciałem przytłaczającym ją w głuchą noc w tonącym w ciemnościach łóżku, jak i okropną myślą, że w podnieceniu może nie dopisać jej znajomość niemieckiego, że z braku słów gotowa ulec niemądrze, jak pensjonarka. — Nie chcę ciebie!

— Tym lepiej — powiedział Friedrich. — Wolę, jak dziewczyna udaje z początku, że się boi, i struga wielką damę. Tak jest wytworniej. — Widocznie był pewny siebie, bo drwił z ofiary bezlitośnie. — Nie ty pierwsza się stawiasz, nie ostatnia.

— Przysięgam — syknęła Margaret — że o wszystkim powiem twojej matce.

Stłumiony śmiech chłopaka zabrzmiał w cichym pokoju, wesoło, spokojnie.

— Powiesz matce! Dobrze sobie! Matka *zawsze* lokuje ładne dziewczynki w tym pokoju. Pod oknem jest dach szopy. Rozumiesz? Łatwo się tu dostać.

To niemożliwe! Mała, pulchna, rumiana babina, co wiesz krucyfiksy w gościnnych pokojach, jest czysta, gospodarna, na pewno regularnie chodzi do kościoła... Margaret nagle przypomniała sobie wyraz twarzy pani Langerman, kiedy upojenie śpiewem i pierwotną muzyką sięgało kulminacyjnego punktu. Dzikie, zajadłe spojrzenie... Namiętna twarz skurczona, zroszona potem... Tak, to możliwe! Głupi osiemnastolatek nie wymyśliłby takiej historii!

— Ile razy wdrapywałeś się na dach tej szopy? — mówiła prędko; za wszelką cenę chciała jak najdalej odsunąć decydujący moment.

Chłopak uśmiechnął się. W mroku błysnęły białe zęby. Na chwilę przestał manipulować ręką i odpowiedział zadowolony z siebie:

— O, dawniej bardzo często. Ale teraz jestem wybredny. Trudno wdrapać się na stromy dach po śniegu. Nie warto dla byle czego. Dziewczyna musi być naprawdę ładna, jak ty.

Dłoń zaczęła się znów posuwać wprawnie, celowo. Dziewczyna leżała na wznak. Ręce miała przytłoczone własnym ciałem, skrzepowane silnym ramieniem napastnika. Czowała, że płonie i słabnie, że ulega gwałtowi i jak gdyby rozplywa się w nicość. Odwróciła głowę

i ramiona. Bez skutku próbowała poruszyć nogami. Friedrich trzymał je mocno i uśmiechał się rozbawiony słabym, nieudolnym oporem.

— Ładna jesteś — szeptał. — Zbudowana jak lalka.

— Słuchaj! Będę krzyczeć!

— To się dopiero wkopiesz! Mówię ci, paskudnie! Matka zeklnie cię wobec wszystkich gości i zażąda, żebyś się zaraz wynosiła, bo zwabiłaś do pokoju jej małego, osiemnastoletniego synka, a potem urządziłaś głupią scenę. Jutro rano przyjedzie ten pan, twój znajomy, a całe miasto będzie tylko o tym gadać... — Głos napastnika dźwięczał wesoło, poufnie. — Słowo daję, nie radziłbym podnosić wrzasku.

Margaret zamknęła oczy. Leżała jak martwa. Na chwilę zobaczyła twarze wszystkich dzisiejszych gości z dołu. Krzywo uśmiechali się do siebie, wymieniali kose spojrzenia. Dla niepoznaki przebrani w czyste góralskie stroje spiskowali przeciwko niej, szykowali jej zgubę w tajemniczej śnieżnej fortecy.

Nagle Friedrich przekręcił się i znalazł na swojej ofierze. Miał rozpiętą kurtkę i Margaret czuła gładką, gorącą skórę jego piersi. Był olbrzymi, ciężki, dławił ją, miażdżył. Łzy napływały jej do oczu i powstrzymywała je z nie lada trudem. Powoli, systematycznie napastnik rozsuwał jej kolana. Ale ręce miała teraz wolne, toteż zaczęła bronić się paznokciami — prosto w oczy. Końcami palców czuła, że targa skórę. Słyszała głuchy, szarpiący nerwy chrobot. Orała mu twarz raz po raz, szybko, nim prześladowca zdąży odzyskać oddech.

— Kurwa!

Friedrich chwycił jej ręce i zamknął boleśnie w jednej wielkiej łapie. Drugą zamachnął się i uderzył ofiarę w usta. Pocięła krew.

— Marna amerykańska kurwa!

Siedział na niej okrakiem, a ona leżała sztywna, zapatrzona w triumfujące, okrwawione, groźne zwierzę. Księżyc zaglądał przez okno i czystym srebrem barwił okrutną scenę.

Friedrich uderzył jeszcze raz, wierzchem dłoni. Na zębach poczuła kostki jego knykci, a jednocześnie owionął ją wstrętny smród, bo przecież chłopak pomagał matce w kuchni.

— Jeżeli nie pójdziesz zaraz — powiedziała wyraźnie, chociaż w głowie jej wirowało i szumiało — zabiję cię jutro. Mój narzeczony i ja zabijemy cię jutro. Rozumiesz?

Siedział na niej okrakiem i nadal trzymał obie jej ręce w jednej wielkiej łapie. Krwawił obficie. Długie płowe włosy spadały mu bezładnie na oczy. Dyszał ciężko i pochyłony nad ofiarą nie odrywał od

niej wzroku. Na chwilę zapadła giucha cisza. Później Friedrich niepewnie spojrzął w bok.

— Trudno—powiedział. — Nie ciekawym dziewczyn, które mnie nie chcą. Szkoda zachodu.

Uwolni ręce Margaret, mocno i boleśnie odepchnął jej twarz pięścią i wyskakując z łóżka celowo uderzył ją kolanem. Przez chwilę stał w oknie i doprowadzając garderobę do porządku, głośno ssal pokaleczone wargi. Kiedy zapinał guziki, w mdłym świetle księżycy wyglądał jak nad miarę wyrośnięty chłopiec, niezdarny i przykro rozczarowany.

Głośno przeszedł przez pokój i obejrzał się na progu.

— Wychodzę drzwiami—powiedział.—Jestem gospodarz. Mam prawo.

Dziewczyna leżała bez ruchu. Uparcie spoglądała w sufit.

Friedrich ociągał się. Nie chciał widać odchodzić bez chociażby pozorów zwycięstwa. *Margaret* zdawała sobie sprawę, że napastnik szuka w swoim umyśle parobka słów, którymi mógłby ją zgniebić na pożegnanie.

— Aha — powiedział. — Wracaj do Wiednia, do swoich Żydów!

Pchnął drzwi i wyszedł nie zamykając ich za sobą. Dziewczyna wyskoczyła z łóżka i szybko przekręciła klucz w zamku. Stojąc bez ruchu słuchała ciężkich kroków, które zmierzały schodami w stronę kuchni i budziły stokrotne echa pośród starych drewnianych ścian uspiętego, spowitego w zimę domu.

Wiatr ustał. W pokoju było cicho i zimno. Dziewczyna zadrżała w cienkiej, zmiętej piżamie. Zbliżyła się do okna i zamknęła je starannie. Księżyc już zaszedł. Ciemność nocy szarzała. W bladym świetle góry martwe i tajemnicze rysowały się na tle bezbarwnego nieba.

Margaret spojrzała na łóżko. Prześcieradło było rozdarte. Poduszkę i skopaną, rozrzuconą pościel znaczyły plamy krwi — ciemne i zagadkowe. Dziewczyna była zdruzgotana, zmiażdżona. Bolały ją ręce, a całe ciało trzęsło się ze wzburzenia i chłodu. Szybko ubrała się w najcieplejszy kostium narciarski, dwie pary wełnianych skarpet i płaszcz zimowy. Później, przemarzła i drżąca, usiadła przed oknem w małym foteliku na biegunach i tępo patrzyła na wzgórza, które brząsk wydobywał z mroków, a na wierzchołkach kładł pierwsze zielonawe plamy.

Zieleń poróżniewała wkrótce. Blask schodził coraz niżej i zaśnieżone zbocza rozbłysły na powitanie nowego dnia. Margaret wstała. Nie

patrzac na łóżko wymknęła się z pokoju. Cicho zesła na parter. Resztki nocnego mroku trwały jeszcze w ustronnych kątach. Salka cuchnęła jeszcze mdłym zapachem noworocznej libacji. Dziewczyna otworzyła drzwi od ulicy i śmiało wkroczyła w różowobiały drzemiący jeszcze Nowy Rok.

Uliczki były puste. Margaret szła przed siebie bez celu. Mijała wały odgarniętego z chodników śniegu. Z lubością wciągała w płuca rześkie, zimne powietrze wczesnego ranka. Otworzyły się jakieś drzwi i stanęła w nich niska, pulchna kobieta w fartuchu. Włosy miała owiązane chustką, twarz pogodną, rumianą.

— *Gut Morgert, Fraulein* — powiedziała. — Dzień zapowiada się pięknie.

Margaret spojrzała na nią spod oka i przyspieszyła kroku. Kobieta zrobiła minę zdziwioną, później urażoną, gniewną. Cofnęła się i głośno zatrzasnęła drzwi.

Dziewczyna skręciła z ulicy na ścieżkę wiodącą w kierunku wzgórz. Szła równym, miarowym krokiem, spoglądając na czubki butów. Była coraz wyżej, coraz bliżej rozległych, połyskujących w młodym słońcu zboczy bezludnych o tak wczesnej porze. Wnet opuściła utarty szlak i na przełaj ruszyła ku szalasowi dla narciarzy. Był uroczy, jak gdyby wyjęty z dziecięcego snu o Europie — zbudowany z grubych bali i pokryty spiczastym dachem, na którym spoczywała ciężka czapa śniegu.

Przed szalasem stała drewniana ławka i Margaret usiadła na niej ciężko. Była wyczerpana, niezdolna do dalszego wysiłku. Spojrzała w górę na gładkie, faliste stoki wspinające się bielą ku groźnym skalistym szczytom, których szkarłatne zręby rysowały się ostro na tle lazurowego nieba.

„Nie chcę myśleć o tym — powiedziała sobie. — Nie chcę!” Kamiennym wzrokiem spoglądała na wyniosłe góry i kreśliła na zboczu urojoną mapę chrystianii i telemarków idealnego zjazdu. „Nie będę o tym myśleć!” Przesunęła językiem po krwi zakrzepłej na skaleczonej wardze. „Może pomyślę później, kiedy uspokoję się trochę, otrząsnę z pierwszego wrażenia... Najniebezpieczniejsze miejsce jest tam, na prawo, w głębokim śniegu nad urwistą ścianą wąwozu. Człowiek natknie się na kopiec i będzie musiał skrócić gwałtownie, tak żeby nie wpaść na te cudaczne skałki. Wtedy nagły przestrasz...”

— Dzień dobry, panno Freemantle! — zabrzmiał męski głos za jej plecami.

Szybko odwróciła głowę. Był to instruktor narciarski — szczupły, opalony młodzieniec, do którego uśmiechała się i prosiła, żeby śpiewał, kiedy harmonista rozegrał się na dobre. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Margaret wstała z ławki i zaczęła uciekać,

Diestl postąpił za nią kilka kroków.

— Co się stało? — zapytał.

Głos, który doścignął wystraszoną dziewczynę, był głęboki, uprzejmy, łagodny. Margaret stanęła, bo przypomniła sobie, że ostatniego wieczora, kiedy Friedrich otaczał ją ramieniem i ryczał na całe gardło, a wszyscy wokół hałasowali i krzyczeli, tylko ten człowiek był spokojny i milczał. Przypomniła sobie, jak patrzył na nią, gdy nie mogła powstrzymać płaczu, jak dyskretnie, nieśmiało próbował jej dać do zrozumienia, iż mimo wszystko nie jest osamotniona. Po chwili zawróciła i zbliżyła się do Christiana.

— Bardzo przepraszam — uśmiechnęła się blado. — Byłam zamyślona i... i chyba mnie pan wystraszył.

— Czy na pewno nic się nie stało? — zapytał.

Stał przed nią z gołą głową. Wyglądał teraz bardziej chłopięco, bardziej nieśmiało niż wczoraj wieczorem w hotelowej salce.

— Nie—odpowiedziała Margaret i usiadła na ławce. — Po prostu zachwycałam się waszymi górami.

— A może woli pani być sama! — uprzejmie cofnął się o krok.

— Ach, nie! Nie!

Nagle uprzytomniła sobie, że musi porozmawiać z kimś o nocnym zajściu, bo inaczej nie pojmie tego, nie zrozumie. Joseph nie wchodził oczywiście w rachubę, a instruktor narciarski budził zaufanie. Był nawet trochę podobny do Josepha; taki sam ciemnowłosy poważny — typ intelektualisty.

— Nie. Proszę zostać — powiedziała dziewczyna.

Stał przed nią na lekko rozstawionych nogach. Miał rozpięty kołnierzyk koszuli i dłonie bez rękawiczek, jak gdyby nie było mrozu ani wiatru. W dobrze skrojonym stroju narciarskim wyglądał zgrabnie i wdzięcznie. Zdawać się mogło, że jego skóra jest oliwkowa pod opalenizną, a gorąca, koralowa krew barwi różowo czerstwe, gładkie policzki.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Margaret. Następnie podał jej ognia osłaniając zapalną od wiatru. Robił to z widoczną wprawą, a jego silne męskie, opalone ręce znalazły się tuż około jej twarzy.

— Dziękuję panu.

Odpowiedział skinieniem głowy, zapalił papierosa i zajął miejsce tuż koło dziewczyny. Siedzieli rozparci wygodnie na ławce. Przymkniętymi oczami podziwiali piękno górskiego krajobrazu. Ukośne smugi dymu unosiły się nad ich głowami. Smak papierosa drażnił przyjemnie wyschnięte z rana podniebienie Margaret.

- Istny cud, prawda? — powiedziała.
- Co?
- Góry.
- To wróg. — Diestl wzruszył ramionami.
- Przepraszam, nie zrozumiałam...
- To wróg.

Spojrzała na niego. Oczy miał przymrużone, usta zacięte surowo. Znow przeniosła wzrok na panoramę szczytów.

- Wróg? Dlaczego?
- Więzienie — wyciągnął przed siebie nogi w eleganckich, dobrze oczyszczonych butach narciarskich. — Moje więzienie.
- Co też pan opowiada? — zdziwiła się Margaret.

Odpowiedział cierpkim uśmiechem.

— Nie sądzi pani, że pędzę życie godne idioty, a nie prawdziwego mężczyzny. Świat się wali, rasa ludzka walczy o prawo do dalszego życia, a ja ucę małe, spasione dziewczynki, jak zjeżdżać ze wzgórz a po drodze nie zaryć nosym w śnieg. Ładne zajęcia! Prawda?

„Dziwny kraj — pomyślała Margaret ubawiona mimo wszystko. — Nawet sportowcy cierpią tu na *Weltschmerz*”.

— Jeżeli tak to pana dręczy — powiedziała — czemu nie szuka pan wyjścia?

Roześmiał się bezdźwięcznie, ponuro.

— Próbowałem. Próbowałem w Wiedniu przez siedem miesięcy. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Uciekłem do Wiednia. Powiedziałem sobie: „Niech zdechnę, ale muszę znaleźć jakąś rozumną, pożyteczną pracę”. Aha! Mała rada: niech pani nie szuka dzisiaj w Wiedniu pożytecznej pracy. Ja ją wreszcie znalazłem. Zostałem młodszym kelnerem. Musiałem podawać turystom do stołu. Wróciłem do domu. Przynajmniej tutaj mogę dobrze zarobić. Taka już jest Austria. Za głupstwa hojnie człowiekowi płacą. — Smutnie potrząsnął głową.

— Bardzo panią przepraszam.

— Za co?

— Za gadanie o swoich sprawach. — Odrzucił niedopałek papierosa, wsunął ręce do kieszeni i zgarbił się, skurczył, jak gdyby zawstydzony. — Nie wiem, co się stało. Może zawiął wczesny ranek

i samotność we dwoje... Przecież tylko my nie śpimy po tej stronie góry. Nie wiem... Zresztą... zresztą pani wydaje się taka... sympatyczna. A tutejsi ludzie... — wzruszy! ramionami. — Woły! Jeść, pić, resbić pieniądze. Wczoraj wieczorem miałem ochotę porozmawiać z panią...

— Szkoda, że pan tego nie zrobił.

Czuła się coraz lepiej. Była spokojniejsza, mniej obolała i rozbita. Siedząc tuż koło Diestla słuchała jego głębokiego głosu o miękkim tyrolskim akcencie. Mówił wyraźnie, powoli, niewątpliwie przez wzgląd na jej niedoświadczone ucho. Chciał, by rozumiała jego niemiecką.

— Wyszła pani tak nagle — odrzekł. — Zapłakana...

— Zachowałam się głupio. To tylko dowód, że jeszcze nie jestem dorosła.

— Można być dorosłym, a jednak płakać: gorzko i często. — Z pewnością chciał dać do zrozumienia, że i on niekiedy płacze. — Ile pani ma lat? — zapytał obcesowo.

— Dwadzieścia jeden.

Poważnie skinął głową, jak gdyby przyjmował do wiadomości znamieny fakt, który wywrze wpływ na dalsze ich stosunki.

— A co pani robi w Austrii? — rzucił.

— Właściwie nie wiem. W kraju studiowałam scenografię i ktoś, kto wrócił z Wiednia, powiedział mi o znajdującej się tam szkole, podobno znakomitej. Cóż, Wiedeń to miejsce pobytu nie gorsze ani lepsze od innych. W każdym razie zupełnie niepodobne do Ameryki. To zadecydowało.

— Chodzi pani do tej szkoły w Wiedniu?

— Tak.

— Naprawdę dobra?

— Nie — roześmiała się. — Ze wszystkimi szkołami jest to samo. Innym podobno dużo dają, nam nie.

Zwrócił głowę w jej stronę, spojrział bystro, z zastanowieniem.

— Mimo to dobrze tam pani — powiedział.

— Oczywiście. Uwielbiam szkołę, Wiedeń, Austrię.

— Ale ostatniej nocy nie bardzo podobała się pani Austria.

— Tak — przyznała, lecz zaraz dodała uczciwie: — Raczej nie Austria, tylko ci ludzie. Ludzie nie bardzo mi się podobali.

— I ich śpiew — dorzucił. — *Horst Wessel Lied*.

— Tak — odparła z wahaniem. — Nie spodziewałam się tej pieśni. Myślałam, że w waszym pięknym miasteczku, tak bardzo na uboczu od wszystkiego, co...

— Myli się pani — przerwał. — Wcale nie jesteśmy na uboczu. Czy pani jest Żydówką?

— Nie — odpowiedziała i dodała w myśli: „Oto pytanie, które dzieli Europę na dwa obozy”.

— Naturalnie. Wiedziałem, że nie.

Zamyślił się, przygryzł wargi i z ukosa spojrzął na stoki wzgórz. Usta skrzywił mu charakterystyczny grymas — nieśmiały, lecz stanowczy.

— To pani kochanek? — zapytał nagle.

— Kto?

— Ten, co przyjeżdża dzisiaj rano.

— Skąd pan wie, że ktoś do mnie przyjeżdża?

— Pytałem o panią.

Zapadła cisza.

„Co za szczególna mieszanina — pomyślała Margaret. — Chwilami natręt, chwilami nieśmiały. Ciężki i odarty z poczucia humoru, a zarazem dziwnie delikatny, spostrzegawczy”.

— To pewnie Żyd? — Christian spytał uprzejmie, z powagą, bez cienia niechęci lub dezaprobaty w tonie głosu.

— Cóż... — Margaret szukała słów, by zrozumiale wyjaśnić zawilą sprawę. — Według waszej miarki chyba tak. Sam jest katolikiem, ale ma matkę Żydówkę, a zatem, jak mi się zdaje...

— Co to za człowiek?

— Lekarz — mówiła wolno Margaret. — Naturalnie starszy ode mnie. Przystojny. Nawet trochę podobny do pana. Bardzo wesoły. Zawsze potrafi rozbawić, rozśmieszyć towarzystwo. Ale umie też być poważny. Bronił przed wojskiem Domu imienia Karola Marksa. Wycofał się jeden z ostatnich i... — urwała nagle. — Odwołuję to, co powiedziałam. Także pomysł! Rozgłaszać bez zastanowienia podobne historie! Mogą z tego wyniknąć przykrości.

— Niewątpliwie — przyznał z powagą. — Lepiej nie opowiadać więcej. Hm... To musi być przyjemny człowiek. Wyjdzie pani za niego?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Cóż, rozmawialiśmy o małżeństwie. Ale to jeszcze nic pewnego. Zobaczymy.

— Powie mu pani o... o tej nocy?

— Tak.

— I jak rozcięła sobie pani wargę?

Bezwiednie podniosła rękę do świeżej blizny. Kącikiem oka spojrzała na instruktora narciarskiego. Odwrócił znowu głowę. Błądził wzrokiem po wyniosłych szczytach.

— Friedrich złożył pani wizytę, prawda? — zapytał spokojnie.
 — Tak — przyznała szeptem. — Wie pan o Friedrichu?
 — Całe miasto wie wszystko o Friedrichu — odparł. — Nie pani pierwsza wyszła posiniaczona z tamtego pokoju.

— Czy nigdy nikt nie próbował zaradzić jego wybrykom?
 — O szlachetna, wzniosła młodości! — Christian roześmiał się ochryple. — Na ogół młode damy są zachwycone. Podobno nawet takie, które z początku się wzbraniają. Rozumie pani? To swego rodzaju osobliwość, charakterystyczna cecha gospody Langermanów, barwne wspomnienie z naszego miasteczka. Wszystko dla narciarzy! Cha, cha, cha! Kolejka linowa, pięć wyciągów ręcznych, osiemnaście stóp śniegu, a na dokładkę nieszkodliwy gwałt... Wszystko na miejscu! Jestem przekonany, że Friedrich nie przekracza pewnych granic. Daje za wygraną, jeśli dziewczyna jest naprawdę niechętna. Z pani zrezygnował, prawda?

— Tak.
 — W sumie miała pani okropną noc. A przyjechała pani po to, żeby zabawą i śpiewem powitać Nowy Rok w wesołej, staroświeckiej Austrii.

— Obawiam się, że wszystko stanowi jedną całość — powiedziała Margaret.

— Co mianowicie? Nie rozumiem.
 — *Horst Wessel Lied*, narodowy socjalizm, wdzieranie się do kobiecej sypialni, bicie kobiety...

— Nonsens! — głos Diestla • zabrzmiał donośnie i gniewnie.
 — Proszę nie mówić takich rzeczy!

— Co złego powiedziałam? — Dziewczyna odczuła powracający dreszcz niepewności i trwogi.

— Friedrich wszął przez okno do pani pokoju nie dlatego, że jest narodowym socjalistą. Zrobił to, bo jest świnią. — Instruktor mówił teraz zwykłym, opanowanym tonem, wolno i dobitnie, na sposób wykładowcy; podobnie mógł przemawiać do dzieci, uczestników kursu dla początkujących. — To człowiek zasadniczo zły, a narodowym socjalistą został tylko dzięki przypadkowi. Na pewno zresztą okaże się w rezultacie złym towarzyszem partyjnym.

— A pan? — Margaret rzuciła to pytanie chłodnym, rzeczowym tonem przyglądając się uważnie swoim butom.

— Ja jestem narodowym socjalistą. Oczywiście! Niech pani nie robi takiej zgorzonej miny. Naczytała się pani idiotyzmów z amerykańskich gazet. Jadamy dzieci, palimy kościoły, oprowadzamy po

ulicach gołe zakonnice z pornograficznymi obrazkami wymalowanymi na plecach pomadką do ust i krwią ludzką... Naturalnie... Zakładamy również farmy hodowlane dla wzorcowych przedstawicieli germańskiej rasy i tak dalej. Byłoby to bardzo śmieszne, gdyby nie było zarazem tak bardzo smutne.

Umilkł nagle. Margaret chciała odejść, ale poczuła się słabo. Ogarnął ją lęk, że jeżeli wstanie, upadnie natychmiast. Piekły ją obolałe powieki, a kolana drżały tak, jak gdyby nie spała kilka nocy. Mrugnęła oczami i spojrzała na ośnieżone szczyty, niższe jakieś w pełnym świetle i mniej imponujące. „Kłamstwo — pomyślała. — Nawet wspaniałe, spokojne góry o wschodzie słońca są kłamstwem.”

— Chcę, żeby pani dobrze mnie zrozumiała — ciągnął mężczyzna cichym, łagodnym głosem, trochę wstydliwie. — Łatwo wam w Ameryce potępiać wszystko. Jesteście bogaci. Stać was na niejeden luksus taki jak tolerancja, tak zwana demokracja, wysoki poziom moralny. Tutaj nie możemy sobie pozwolić na wysoki poziom moralny. — Urwał, jak gdyby czekał na atak, ponieważ jednak dziewczyna milczała, podjął jeszcze ciszej, bezbarwnym, głuchym tonem: — Pani ma oczywiście inny pogląd na nasze sprawy. Trudno za to ganić. Pani kawaler jest Żydem. Boi się pani o niego i nie dostrzega szerszych horyzontów! Tak! Szerszych horyzontów—powtórzył dobitnie, jakby te dwa słowa mile zadźwięczały w jego uchu. — Szersze horyzonty to Austria. Naród niemiecki. Po co udawać, że nie jesteśmy Niemcami? To komiczna błaga. Mogą sobie na nią pozwolić Amerykanie o pięć tysięcy mil stąd. My nie! Obecnie Austriacy to naród żebraków: siedem milionów ludzi bez przyszłości, zdanych na łaskę byle kogo, oberżystów, co żyją z napiwków cudzoziemców. Amerykanom trudno to zrozumieć, ale człowiek nie może żyć w wiecznym upodleniu. Zrobi wszystko, żeby się wygrzebać, odzyskać szacunek dla samego siebie. Austria może dokonać tego tylko przez narodowy socjalizm, przez połączenie się z Trzecią Rzeszą. — Christian mówił teraz żywym, znacznie dźwięczniejszym głosem.

Margaret mimo woli podjęła dyskusję. Wiedziała, że lepiej milczeć, ale instruktor narciarski wydawał się bardzo sympatyczny, umiarkowany, nieobojętny na cudze rozumowanie.

— To chyba nie jedyna droga — powiedziała. — Można odzyskać szacunek dla samego siebie bez kłamstwa, morderstwa i oszukiwania.

— Droga pani. — Christian pokiwał głową smutno i z politowaniem. — Proszę najprzód pomieszkać dziesięć lat w Europie, a później przyjsć i powtórzyć mi to samo. Jeżeli oczywiście nie zmieni pani

zdania... Nie będę tail: jeszcze rok temu byłem komunistą. Rozumie pani? Solidarność robotników całego świata, pokój dla wszystkich ludów, każdemu według potrzeb, triumf rozumu, braterstwo, braterstwo i jeszcze raz braterstwo — roześmiał się z goryczą. — Brednie! Nie znam Ameryki, ale wiem coś niecoś d Rurope. W Europie nic nie dokona się nigdy dzięki rozumowi. Braterstwo! Wyświechtany uliczny slogan dobry między wojnami dla polityków pośledniego gatunku. Mam wrażenie, że nawet w Ameryce nie inaczej się dzieje pod tym względem. Mówił? pani o kłamstwie, morderstwach, oszukiwaniu. Może to i racja, ale tak wyglądać musi proces nieodzowny w Europie. Tylko tą drogą można osiągnąć cel. Myśli pani, że mówię to z radością? Nie. Ale to prawda i tylko szaleniec może myśleć inaczej. W przyszłości, kiedy już zaprowadzimy nowy ład, będziemy mogli powstrzymać to, co nazwała pani „kłamstwem i morderstwami”. Tak, w przyszłości, kiedy ludzie dostaną dosyć żarcia i łatwo będą znajdowali pożyteczną pracę; kiedy będą wiedzieli, że ich pieniądze nie utracą z dnia na dzień dziewięciu dziesiątych wartości; kiedy będą wiedzieli, że mają własny rząd, a nie fikcję, której byle kto rozkazuje, jak mu się spodoba; kiedy nareszcie skończą się porażki i klęski... Ze słabości nie może wyniknąć nic dobrego. Tylko hańba i głód. Siła stanowi o wszystkim. A kwestia żydowska... — Wzruszył ramionami. — Cóż, to czysty przypadek. Nieszczęśliwy przypadek. Ktoś kiedyś odkrył, że to jedyna droga do władzy. Nie twierdzę, że mi ta droga odpowiada. Osobiście uważam, że atakowanie takiej lub innej rasy to niepoważna historia. Wiem doskonale, że są Żydzi podobni do Friedricha i inni Żydzi podobni, dajmy na to, do mnie. Jeżeli jednak ład i porządek w Europie da się zaprowadzić dzięki wytopieniu Żydów, musimy Żydów wytopić. Mała niesprawiedliwość w imię wielkiej sprawiedliwości. Jednego przynajmniej „nazi” nauczyli Europę: cel uświęca środki. Oczywiście trudno się tego nauczyć, ale sądzę, że w rezultacie nawet Amerykanie skorzystają z lekcji.

— Potworne — wtrąciła Margaret.

Instruktor narciarski odwrócił się i ujął obie jej ręce. Mówił teraz żywo, gorąco, a twarz gorzała mu wewnętrznym ogniem.

— Kochana, dobra panienko! Snuję rozważania abstrakcyjne i dlatego właśnie moje gadanie brzmi potwornie. Proszę o wybaczenie, a w zamian mogę pani coś obiecać. Nigdy nie dojdzie do ostateczności. Niech pani uspokoi swojego przyjaciela. Przez parę lat będzie na pewno miał kłopoty. Może będzie musiał zaniechać praktyki, uciekać z domu. Ale odzyska dawną pozycję, wróci na swoje miejsce, kiedy

nareszcie spełnią się nasze plany, kiedy trick dokona wyznaczonego zadania. Ucisk Żydów to, proszę pani, środek, nie cel. Jak załatwimy inne, ważniejsze sprawy, pani przyjacielowi nic nie będzie grozić. I jeszcze jedno: niech pani nie wierzy amerykańskiej prasie. Rok temu byłem w Niemczech. Zapewniam, że w dziennikarskiej fantazji wszystko wygląda znacznie gorzej niż na ulicach Berlina.

— Brzydzą się — powiedziała dziewczyna. — Brzydzą się tym, co pan mówi.

Christian spojrzął jej w oczy, potem wruszył ramionami i rozczarowany, pokonany odwrócił głowę. Znowu zapatrzył się na góry.

— Szkoda — westchnął. — Robiła pani wrażenie osoby inteligentnej, wyrozumiałej. Miałem nadzieję, że chociaż jedna Amerykanka przemówi za nami dobre słowo, kiedy wróci do kraju; że chociaż jedna Amerykanka coś niecoś dostrzeże... Cóż, spodziewałem się za wiele. — Wstał z ławki i z miłym, pogodnym uśmiechem na przystojnej szczupłej twarzy spojrzął na Margaret. — Niech mi będzie wolno udzielić jedne; rady. Proszę wracać do kraju, do Ameryki. Obawiam się, że dłuższy pobyt w Europie unieszczęśliwi panią. — Zmacał butem śnieg i podjął żywo zawodowym tonem: — Będzie dzisiaj skorupa lodowa. Jeżeli ma pani zamiar wybrać się z przyjacielem na narty, sam poprowadzę was zachodnim stokiem. Tam będzie najlepiej, ale bez przewodnika chodzić niebezpiecznie. Zechce pani skorzystać z moich usług.

— Bardzo dziękuję — dziewczyna wstała z ławki — ale chyba tu nie zostaniemy.

— Czy ten pan przyjedzie rannym pociągiem?

— Tak.

— Będzie więc musiał zostać przynajmniej do trzeciej po południu. Nie ma wcześniejszego pociągu — spojrzął na Margaret spod krzaczastych, ciemnych brwi, spłowiałych nieco od słońca. — Nie ma pani ochoty spędzić tutaj wakacji?

— Nie.

— Ze względu na ostanią noc?

— Tak.

— Rozumiem. — Wyjął z kieszeni ołówek i kartkę, na której skreślił kilka słów. — Oto adres. Proszę z niego skorzystać w razie potrzeby. To tylko d wadzieścia mil stąd i pociąg o trzeciej; po południu tam przystaje. Uroczą, małą gospoda. Wyborne tereny narciarskie. Gospodarze bardzo mili, zupełnie apolityczni. — Uśmiechnął się smutno. — Nie takie obrzydliwe potwory jak my tutaj. Nie ma tam również Friedricha. Miło panią powitają i... i jej kochanka również.

Margaret wzięła kartkę i schowała do kieszeni. Pomyślała, że mimo wszystko Christian Diestl to bardzo dobry, przyzwoity człowiek.

— Dziękuję — powiedziała. — Zapewne tam pojedziemy.

— To dobrze. Życzę miłego pobytu. A później... uśmiechnął się i wyciągnął rękę — później proszę wracać do kraju, do Ameryki.

Uściśnęła mu dłoń i odwróciwszy się na pięcie, ruszyła stokiem w kierunku miasteczka. U stóp wzgórza przystanęła i obejrzała się w górę. Christian Diestl rozpoczął już pierwszy kurs poranny. Przykucnął na nartach i ze śmiechem podnosił ze śniegu siedmioletnią dziewczynkę y/ czerwonej wełnianej czapeczce.

Joseph przyjechał roześmiany i szczęśliwy. Wycałował Margaret i wręczył jej pudełko ciastek troskliwie piastowane od samego Wiednia oraz jasnobłękitną czapczkę narciarską, której czarowi nie zdołał się oprzeć.

— Kochana, najmiłsza, pomyślnego Nowego Roku! — zawołał i znów ją pocałował. — Wielki Boże! Przejrzyj się w lusterku, dziewczyno! Spójrz na te piegi!

Był radosny, rozpromieniony. Mówił: „Kocham cię, kocham!” i „Jesteś najpiękniejsza na świecie”, i „Umieram z głodu! Dokąd idziemy na śniadanie?” Oddychał głęboko, dumnym wzrokiem właściciela obejmował panoramę gór i znowu dużo mówił otaczając ramieniem kibić Margaret.

— Popatrz! Popatrz tylko! Nie opowiadaj, że w Ameryce macie coś podobnego!

Kiedy dziewczyna zaczęła płakać rozpaczliwie, cicho, Joseph spowaźniał, wziął ją w objęcia i scałowując łzy z oczu wypytywał łagodnie, troskliwie:

— Co ci? Co się stało, najdroższa?

W kącie małej stacyjki stanęli przytuleni do siebie, niewidoczni z pełnego ludzi peronu. Margaret zaczęła mówić cicho, powoli. Nie powiedziała o Friedrichu, lecz o śpiewach w czasie noworocznej zabawy i o hitlerowskich toastach, i o tym, że niech się co chce dzieje, nie mogą zostać tutaj ani jednego dnia dłużej.

Joseph z roztargnieniem pocałował ją w czoło i pogładził po twarzy. Stracił wesołą minę, z którą wysiadł z pociągu. Zgrubiały mu rysy twarzy, kości policzkowe zarysowały się ostro, oczy pociemniały i wpadły głęboko.

— Ach — westchnął — wszędzie, wszędzie! Nawet tutaj! W domu, na dworze, w wielkim mieście, na prowincji... wszędzie! — Smutno pokiwał głową i zaczął znowu mówić czułym, drgającym głosem:

— Margaret, dziecino... Radzę ci, uciekaj z Europy. Wracaj do kraju, do Ameryki.

— Nie! — zawołała, nim zdążyła pomyśleć. — Chcę zostać w Austrii. Chcę wyjść za ciebie i zostać w Austrii!

Potrząsnął głową. Na jego krótko przystrzyżonych siwiejących włosach połyskiwało kilka płatków półstopionego śniegu.

— To ja muszę się wybrać do Ameryki — szepnął ze wzruszeniem.

— Muszę zobaczyć kraj, który wydaje takie dziewczyny.

— Powiedziałam, że chcę wyjść za ciebie. — Margaret mocniej przywarła do niego.

— Później, najdroższa. Później będziemy o tym mówić — odparł tonem niezmiernej tkliwości.

Ale o małżeństwie nigdy już nie było między nimi mowy.

Ze stacji poszli do gospody Langermanów, gdzie czekało obfite śniadanie. Spokojnie siedzieli pod roziskrzonym, słonecznym oknem, a majestatyczna panorama Alp stanowiła wyborne tło dla szynki, jaj, przysmażonych kartofli, naleśników i wiedeńskiej kawy z kulami bitej śmietanki. Friedrich obsługiwał do stołu uprzejmie i dyskretnie. Margaret podsuwał krzesło, gdy siadała, a na filizankę Josepha zwracał baczną uwagę i napełniał ją zaraz, ilekroć była próżna.

Po śniadaniu Margaret spakowała się i oznajmiła pani Langerman, że wyjeżdża zaraz z towarzyszem. Gospodyni głośno klasnęła językiem, westchnęła: „Jaka szkoda!”, i przedstawiła rachunek. Figurowała w nim zagadkowa pozycja w kwocie dziewięciu szylingów.

— Tego nie mogę przeczytać — powiedziała Margaret.

Stojąc w kantorze przed biurkiem z polerowanego dębu wskazała palcem *pozycję* wypisaną atramentem drobnymi, kształtnymi literkami. Pani Langerman — okrągła, nakrochmalona i wyszorowana starannie — schyliła głowę i podniosła kartkę do krótkowzrocznych oczu.

— Aha — bez wyrazu spojrzała w twarz dziewczyny. — To za rozdarte prześcieradło, *tnein Ltebchen*.

Margaret zapłaciła. Friedrich wyniósł walizy i dostał odpowiedni napiwek. Pomógł dziewczynie wsiąść do sanek, uklonił się i powiedział:

— Spodziewam się, że dobrze pani było u nas.

Margaret i Joseph zostawili bagaż na stacji i czekając na odjazd spacerowali po głównej ulicy miasteczka. Oglądali wystawy sklepowe.

Kiedy pociąg ruszył, dziewczyna spostrzegła na końcu peronu sylwetkę ogorzalego, smukłego mężczyzny. Zdawało się jej, że to

instruktor narciarski. Zamachała ręką, ale mężczyzna nie odpowiedział. Pomyślała, że byłoby to nawet w stylu Christiana przyjść na peron nie po to, by się z nią pożegnać, lecz by stojąc na uboczu przypatrzeć się, jak odjeżdża z Josephem.

Hotelik polecony przez Diestla był mały i przytulny. Gospodarze bardzo mili. Nocami padał śnieg i świeżym puchem pokrywał wczorajsze ślady na stokach. Margaret nie wiedziała dotychczas, że Joseph potrafi być tak wesoły i czarujący. Otoczona jego ramionami sypiała ciepło i spokojnie pod olbrzymią pierzyną, jak gdyby robioną z myślą o miodowych miesiącach w górach. Nie rozmawiali o poważnych sprawach i przez cały czas nie wrócili do kwestii małżeństwa. Dzień po dniu od świtu do zmierzchu słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Powietrze było rześkie, upajające jak wino i rozkosznie wypełniało płuca. Joseph miał piękny, aksamitny głos. Wieczorami śpiewał przed kominkiem pieśni Schuberta dla Margaret i innych gości hotelowych. Gospoda pachniała zawsze cynamonem. Obydwoje opalili się na brąz, a Margaret nigdy nie miała tyłu piegów. Czwartego dnia popłakując jechała z Josephem wiedeńskim pociągiem. Musieli wracać. Wakacje minęły.

ROZDZIAŁ DRUGI

W Nowym Jorku witano również rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy, który wróżył wiele pięknych nadziei. Taksówki sunęły zderzak w zderzak wilgotnymi ulicami. Klaksony wyły i porykiwały groźnie, jak gdyby samochody były nowym rodzajem zwierząt ze szkła i blachy, zapędzonych w ciasne wąwozy betonu i pociemniałego od szarug kamienia. W śródmieściu milion ludzi poruszało się bez celu tam i z powrotem. Zaplątani w sieć reklam świetlnych sprawiali wrażenie więźniów pochwyconych w chwili ucieczki w snop światła reflektorów, którymi wprawnie posługują się czujni dozorczy. Litery gazety świetlnej obiegały nerwowo gmach „Timesa”, a rozbawionym tłumom w dole donosiły, że na Zachodzie burza pochłonęła siedem istnień ludzkich, a Madryt bombardowano dwanaście razy na przełomie roku, który — bardzo dogodnie dla czytelników „Timesa” — rozpoczyna się w Hiszpanii o kilka godzin wcześniej niż w Ameryce.

Na rogach ulic policjanci silili się na sztuczną wesołość. Dawali noworoczne przedstawienie, ale cynicznym, znudzonym wzrokiem mierzyli trzody świętujących zwierząt, które pilotowali z północnej strony Times Square na południową, ze wschodnie; na zachodnią lub odwrotnie. Dla policji Nowy Rok oznaczał jedynie więcej włamań, więcej zbrodni i awantur, więcej śmiertelnych wypadków w zamęcie ulicznego ruchu.

Świętujące zwierzęta jak potoki lawy sunęły chodnikami miażdżąc zwały papierowego śmiecia. Wraz z konfetti obrzucały się milionami bakterii zakażających wielkowiejskie ulice. Dęły w papierowe trąbki, aby obwieścić światu, że są szczęśliwe i nie boją się niczego. Ochryplymi głosami wymieniały życzenia z serdecznością tak włątą, że nie miała doczekać rana. Ci ludzie przybyli niegdyś spod angielskich chmur i z zielonych mgieł Irlandii, z piaszczystych wzgórków Syrii lub

Iraku, z nawiedzanego pogromami getta w Polsce czy Rosji, z winnic Italii, z norweskich fiordów, ze wszystkich wysp, miast i kontynentów na powierzchni globu. Następnie ściągali do śródmieścia Nowego Jorku z Bronx i Brooklynu, z Saint Louis i Texarkany, z miasteczek zwanych Bimiji lub Jeffrey, lub Spirit. Wszyscy wyglądali tak, jak gdyby nie zaznali nigdy dosyć snu i słońca, jak gdyby mieli na sobie ubrania kupowane na kogoś innego, jak gdyby rzucono ich w zimną betonową klatkę z powodu święta nie ich, lecz cudzego; jak gdyby rozumieli, że zima musi trwać wiecznie; jak gdyby wiedzieli, że mimo trąbek, konfetti i śmiechów, mimo hulanki i religijnego święta rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy będzie gorszy od minionego.

Złodzieje kieszonkowi, prostytutki, stręczycielki, sutenerzy, kierowcy taksówek, knajpiarze, hotelarze robili złote interesy, nie gorsze niż przedsiębiorcy teatralni, dostawcy szampana, żebracy i odźwierni nocnych klubów. Od czasu do czasu słyhać było brzęk tłuczonego szkła. To butelka po whisky wyrzucona z hotelowego okna padała w ciasną studnię między murami, która zaopatrywała w światło, powietrze i widok na świat dwudolarowe pokoje (ta noc pięć dolarów), w których również dawano huczną odprawę staremu rokowi.

Przy Pięćdziesiątej Ulicy ktoś poderżnął gardło dziewczynie i syrena sanitarki urozmaiciła na chwilę radosny koncert noworoczny. W spokojniejszych dzielnicach z uchylonych, żółto oświetlonych okien dobywał się niekiedy sopran kobiecego śmiechu — przejmujący, nerwowy chichot, melodia wielkomijskich sobotnich lub świątecznych nocy, którą usłyszeć można tylko pod koniec zabawy, u progu chłodnych godzin tuż przed świtem.

Później, już w odległym styczniu, tłumy zejdą pod ziemię, znikną w zatęchłym tłoku podmiejskiego metra. Podzielone na mniejsze stada, chwiejące się na nogach, półślepe, spokojne, zaspane, woniejące kwiatami z koszyków na rogach ulic, czosnkiem, cebulą, pastą do obuwia, tanimi perfumami i potem ciężkiej pracy, będą umykać do swych obskurnych domostw. Obecnie jednak falują po jasno oświetlonych ulicach, hałasują, bo mają trąbki, grzechotki i blaszane gwizdki, wytrwale, uparcie świętują, witają radośnie północ, gdyż nie mając lepszego powodu cieszą się, że przetrwały jakoś stary rok i żyją u progu nowego.

Michael Whitacre torował sobie drogę w ścisaku. Mechanicznie, obłudnie uśmiechnął się do potracających go ludzi. Był spóźniony, nie mógł złapać taksówki, a poprzednio nie zdołał się wykręcić i w jednej z garderób musiał wypić kilka kieliszków. Od pospiesznego picia kręciło mu się w głowie i nieznośnie piekło w żołądku.

W teatrze było okropnie. Hałaśliwa, rozbawiona widownia i adeptka w roli babki, bo Patricia Ferry tak się upiła, że nie można jej było pokazać. Michael wychodził z siebie, żeby wszystko utrzymać jakoś w garści. Był reżyserem, a *Spóźniona wiosna* miała obsadę z trzydziestu siedmiu osób (w tym troje dzieci, co wciąż się przeziębiały) i aż pięć dekoracji, które należało zmieniać w ciągu dwudziestu sekund. Po takim wieczorze miał tylko ochotę wrócić do domu i wypaść się porządnie. Ale czekała go ta piekielna zabawa przy Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie miała być Laura. No i w wigilię Nowego Roku nikt przecież nie idzie po prostu spać.

Szczęśliwie wydostał się z najgęstszego tłumu, wyszedł na Piątą Aleję i szybko ruszył ku północy. Panował tutaj mniejszy tłok, a z Parku napływało czyste, ożywcze powietrze. Niebo nad drapaczami chmur było wystarczająco ciemne, by na wąskim jego pasku zobaczyć gwiazdy dziwnie małe i blade. Michael szedł szybko. Obcasy jego butów wystukiwały cichy werbel na chodniku.

„Muszę — myślał — koniecznie muszę postarać się o wiejski domek. Coś niedrogiego, blisko miasta. Sześć, powiedzmy, siedem tysięcy. Mógłbym chyba zaciągnąć pożyczkę? Mój Boże! Od czasu do czasu uciekać tam na kilka dni. Oglądać w nocy wszystkie gwiazdy. Kłaść się o ósmej, jeżeli przyjdzie mi ochota... Trzeba zdobyć się na to. Samo myślenie na pewno nie wystarczy.”

W słabo oświetlonym oknie wystawowym zobaczył swoją sylwetkę, zamgloną i niewyraźną. Jak zwykle zirytował się na widok własnego odbicia. Odruchowo wyprostował barki.

„Trzeba pamiętać, żeby się nie garbić — pomyślał. — No i za wszelką cenę muszę stracić piętnaście funtów. Wyglądam jak tłusty sklepikarz.”

Nie wsiadł do wolnej taksówki, która zatrzymała się przed nim na rogu jakiejś ulicy.

„Trzeba używać ruchu na świeżym powietrzu — myślał dalej. — No i nie pić, przynajmniej przez miesiąc nie pić. Tak, tak... wszystkiemu winien alkohol. Piwo, wino, coś mocniejszego. A z rana szum i pustka w głowie. Do południa człowiek jest jak szmata. A później obiad i zanim się obejrzy, znowu siedzisz przy stole ze szklanką w garści. Dziś początek nowego roku, najstosowniejsza chwila, by wziąć się w kupę. Tak, tak... Należy zrobić próbę silnej woli. Właśnie dzisiaj, na tej piekielnej zabawie. Spokojnie, bez ostentacji. Po prostu nie pić. A w domu na wsi w ogóle nie będzie barowej szafki.”

Zrobiło mu się znacznie raźniej. Był silny i zdecydowany, chociaż czuł, że frakowe spodnie opinają się za mocno, gdy pewnym krokiem mija wspaniałe wystawy sklepów i maszeruje w stronę Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Kiedy wszedł do pełnego ludzi salonu, wybiła właśnie dwunasta. Goście śpiewali i wymieniali uściski, a dziewczyna, która upijała się na wszystkich przyjęciach, leżała w kącie nieprzytomna. W tłumie zobaczył swoją żonę zajętą całowaniem niskiego jegomościa, z daleka pachnącego Hollywoodem. Michael nie bardzo wiedział, co się dzieje. Ktoś wsunął mu w rękę szklankę, jakaś wysoka dziewczyna obsypała go sałatką jarzynową i powiedziała: „Wyśmienita sałatka!” Później zaczęła otrząpywać klapę jego fraka wysmukłą, kształtną dłonią z karminowymi paznokciami długimi na półtora cala. Zbliżyła się Katherine niosąc przed sobą półobnażony biust, tak wydatny, że przy umiarkowanym wietrze mógłby poruszyć z miejsca fregatę. Pocałowała nowego gościa za uchem i zapytała:

- Co robisz dziś w nocy?
- Żona przyjechała wczoraj z wybrzeża — odpowiedział Whitacre.
- Oo, szkoda! Pomyślnego Nowego Roku! — zawołała Katherine i odeszła, by czarować biustem trzech studentów w białych krawatach, którzy interesowali się nią żywo, a do Nowego Jorku przyjechali na ferie z Harvard.

Michael podniósł do ust szklankę. Wypił duszkiem połowę zawartości. Miał wrażenie, że to whisky zakropiona po trosze lemoniadą. Pomyślał, że wystarczy od jutra „wziąć się w kupę”. Dzisiejsza noc i tak przepadła, bo w teatrze wypił przecież trzy kieliszki. Czekał cierpliwie, aż jego żona skończy całować niskiego jegomościa, lysego jak kolano, lecz ozdobionego sumiastym wąsem godnym rosyjskiego huzara.

Zręcznie przecisnął się w tłoku i stanął za plecami Laury. Trzymała właśnie rękę niskiego towarzysza i mówiła:

- Nie rozgadaj tego dalej, ale powiem ci, Harry, że ten scenariusz śmierdzi.
- Ależ, Lauro — odrzekł лысы wąsacz. — Znasz mnie chyba! Czy kiedy coś rozgadałem?
- Pomyślnego Nowego Roku, kochanie! :— Michael cmoknął żonę w policzek.

Odwróciła się nie wypuszczając ręki lysego wąsacza. Twarz jej rozjaśnił uśmiech pełen tkliwości i radosnego, pełnego wdzięku powitania. Uśmiech ten wzruszał i dziwił Michaela, ilekroć się

objawiał, nawet dzisiaj, podczas gwarnej pijackiej zabawy w zatłoczonym, dusznym salonie. Laura wyciągnęła wolną rękę i przygarnęła męża, żeby go pocałować. Ale zawahała się na moment i kiedy twarze ich były blisko siebie, Michael zauważył, że jego żona węszy podejrzliwie. Posepnie zeszytniał i nie odczuł miłego ciepła nawet w czasie pocałunku.

„Zawsze to robi — pomyślał. — Nowy rok, stary rok, wszystko jedno!”

Odsunął się i stanął wyprostowany.

— Przed wyjściem z teatru uperfumowałem się dwoma flakonami Chanela numer 5.

Laura zmrużyła oczy urażona.

— Nie dokuczaj mi chociaż w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku — odrzekła. — Dlaczego się spóźniłeś?

— Wstąpiłem na jednego.

— Z kim? — Surowy, podejrzliwy wyraz zesześcił twarz pogodną zwykle i łagodną.

— Z kolegami. Nie znasz ich.

— Nie masz nic więcej na sumieniu? — zapytała bez troskim, swobodnym tonem, jakim zwykle żony przesłuchują mężów przy ludziach, i to w swoim gronie.

— Mam. Zapomniałem ci powiedzieć. Było też z nami sześć polinezyjskich tancerek. Śliczne dziewczyny. Każda z nich miała orzech włoski wprawiony w pępek. Zostawiliśmy je u Storka.

— Jaki on dowcipny, prawda? — zwróciła się Laura do łysego wąsacza. — Strasznie dowcipny i zabawny.

— Zaczyna się wytwarzać rodzinny nastrój — odpowiedział zagadnięty. — W takich warunkach z zasady zwiewam. — Gestem ręki pożegnał Wfutacre'ów. — Uroczą jesteś, droga Lauro.

Odwrócił się na pięcie i dał nurka w tłum gości.

— Mam świetny pomysł! — zawołała Laura. — Tej nocy żaden mąż nie powinien dokuczać żonie.

Michael wypił do dna i odstawił szklanekę.

— Co to za wąsacz? — zapytał.

— Kto? Harry?

— Ten, co go całowałaś.

— Harry. Znam go od lat. Bywa na wszystkich przyjęciach. Tutaj, na wybrzeżu. — Starannie poprawiła ręką koafiurę. — Nie mam pojęcia, co robi. Może to agent policji? Zaczepił mnie dziś i powiedział, że w ostatnim filmie jestem zabójcza.

— Naprawdę powiedział: „zabójcza”?

— Aha.

— Czy tak się teraz mówi w Hollywood?

— Mniej więcej.

Uśmiechała się do męża, ale nerwowo strzelała oczami na wszystkie strony, co robiła zawsze i wszędzie z wyjątkiem ich własnego domu.

— A tobie jak się podobałam w ostatnim filmie? — podjęła.

— Byłaś zabójcza! No, napijmy się czegoś!

Laura przysunęła się, wzięła go pod rękę i ocierając policzek o jego ramię szeptała:

— Zadowolony jesteś, że przyjechałam?

— Zabójczo! — uśmiechnął się Michael.

Obydwoje zachichotali i krok w krok ruszyli w stronę baru torując sobie drogę w tłoku pośrodku salonu.

Bar mieścił się w sąsiednim pokoju, pod alegorycznym malowidłem przedstawiającym prawdopodobnie kobietę o trzech szkarłatnych piersiach, siedzącą okrakiem na równoległoboku.

Szpakowaty i dychawiczny Wallace Arney trzymał w ręku filiżankę. Obok niego stał barczysty, tęgi mężczyzna w granatowym garniturze; wyglądał tak, jak gdyby od dawna spędzał pod gołym niebem dni i noce. Dalej dwie młode dziewczyny piły czystą whisky. Miały płaskie ładne twarze bez wyrazu i godne modelek smukłe biodra, nie skrzepowane pasem elastycznym.

Zbliżając się do bufetu Michael usłyszał głos jednej z nich:

— No i co? Wziął się do ciebie?

— Nie — odpowiedziała druga potrząsając długimi jasnymi lokami.

— Dlaczego?

— Na jakiś czas został jogą.

Obydwie spojrzały poważnie na swoje szklanki. Potem wypiły do dna i wyszły z pokoju giętkie i majestatyczne jak pantery w dżungli.

— Słyszałaś? — spytał Michael.

— Tak — roześmiała się Laura.

Poprosił barmana o dwie duże whisky i uśmiechnął się do Arneya, autora *Spóźnionej wiosny*. Ten *patrzył* nadal prosto przed siebie i nie odzywał się słowem. Od czasu do czasu podnosił do ust filiżankę eleganckim ruchem rozdygotanej ręki.

— I rozumie pan, wstał — kończył jakieś opowiadanie mężczyzna w granatowym garniturze. — Dźwignął się jakoś na nogi. Słowo daję, sędzia powinien przerwać to bezmyślne bicie.

Arney rozejrzał się dokoła, uśmiechnął się niepewnie i popchnął w stronę barmana filiżankę na spodku.

— Proszę o herbatę — mruknął.

Barman nalał irlandzkiej whisky, a dramaturg jeszcze raz zerknął w prawo i w lewo, zanim odważył się sięgnąć po filiżankę.

— Oo, Whitacre — powiedział. — I pani Whitacre... Nie powiesz Felice, prawda?

— Nie, Wallace — odrzekł Michael. — Na pewno nie powiem.

— Chwała Bogu, Felice dostała sraczki — podjął dramaturg. — Od godziny siedzi w ubikacji. Widzisz, ona nie daje mi nawet piwa — mówił ochryplym, pijackim głosem, tonem głębokiego współczucia dla samego siebie. — Nawet piwa! Wyobrażasz sobie podobną sytuację? Dlatego właśnie noszę wszędzie filiżankę. Z odległości trzech stóp nikt nie pozna. — Nagle nabrał animuszu, pociągnął duży łyk i zawołał gniewnie: — Jestem dorosły! A ona chce koniecznie, żebym napisał drugą sztukę. Uważa, że jako żona impresaria, który mnie lansuje, ma prawo odbierać mi kieliszek i rzucać na podłogę. To poniżające! Człowieka w moim wieku nie wolno tak traktować. — Spojrzał na mężczyznę w granatowym garniturze. — Tu obecny pan Parrish pije jak smok i nikt go nie poniża. Ładna historia! Wszyscy dokoła podziwiają, że Felice tak dba o pijanicę Wallace'a Arneya. Mówią: „Jakie to wzruszające!” Ja tam nie wzruszam się wcale. Pan Parrish i ja wiemy, dlaczego o mnie dba. Prawda, panie Parrish?

— Ma się rozumieć, stary — przyznał mężczyzna w granatowym garniturze.

— Względy ekonomiczne. Jak zawsze i wszędzie. — Arney machnął filiżanką i wylał whisky na rękaw Whitacre'a. — Pan Parrish jest komunistą. Zna się na rzeczy. Ekonomia. Podstawa wszelkich ludzkich poczynań. Chciwość. Brudna chciwość bez osłonek. Gdyby nie spodziewali się, że wycisną ze mnie drugą sztukę, nie obchodziłbym ich wcale. Bardzo proszę! Mógłbym zamieszkać w gorzelnii. Mógłbym kąpać się w koniaku i absynie, a oni mówiliby: „Całuj nas w dupę, Wallace Arney...” Oo... Stokrotnie przepraszam, pani Whitacre.

— Nie szkodzi — uśmiechnęła się Laura.

— Twoja pani to piękność — ciągnął Arney. — Prawdziwa piękność. Na własne uszy słyszałem, jak różni ludzie wyrażali się dziś o niej z uznaniem. — Przymrużył oko i spojrzał na Michaela z domyślną miną. — Z najwyższym uznaniem. Wśród zgromadzonych tu gości twoja żona ma kilku starych przyjaciół. Nieprawdaż, pani Whitacre?

— Tak — przyznała Laura.

— Wśród zgromadzonych tu gości każdy ma kilku starych przyjaciół. Tak już zorganizują się teraz zabawy i przyjęcia. Nowoczesne towarzystwo. Zimujące gniazdo węzów. Wszyscy okręcają się dookoła wszystkich. Ha! Może to będzie temat mojej następnej sztuki? Tylko że nigdy jej nie napiszę. — Pociągnął długi łyk. — Cudowna herbatka! Nie mówcie nic Felice!

Michael ujął żonę pod rękę. Postąpił krok w stronę drzwi.

— Nie odchodź, Whitacre! — zawołał dramaturg. — Wiem, że cię nudzę, ale nie odchodź. Muszę z tobą pogadać. O czym chcesz gadać? O sztuce?

— Może innym razem — powiedział Michael.

— Rozumiem. Wiem, że z ciebie młody człowiek strasznie serio — ciągnął Arney z pijackim uporem. — Ale pogadajmy o sztuce. Jak tam dzisiejsze przedstawienie?

— W porządku — odburknął Whitacre.

— Nie, nie! Nie chcę gadać o mojej sztuce. Powiedziałem „Sztuka” przez duże „S”. Dobrze wiem, jakiego jesteś zdania o mojej sztuce. Cały Nowy Jork wie, co o niej myślisz. Lubisz mleć ozorem, strzelać na chybił trafił. Do stu diabłów! Gdyby to ode mnie zależało, wyrzuciłbym cię na zbity pysk! Teraz jestem *twoim* przyjacielem, ale i tak wyrzuciłbym cię na zbity pysk.

— Upiłeś się, Wallace — powiedział Michael.

— Jak na twój gust, jestem za mało głęboki. Bodaj to licho! Dożyj moich lat, Whitacre, i wtedy spróbuj być głęboki.

Arney bełkotał. Z bladoniebieskich oczu ciekły mu łzy. Wydatna, zaśliniona dolna warga drżała żałośnie.

— Jestem pewna — wtrąciła Laura spokojnym, pojednawczym tonem — że pańska sztuka bardzo odpowiada Michaelowi.

— Śliczna z pani kobitka, pani Whitacre — obruszył się dramaturg — i ma pani mnóstwo przyjaciół. Ale na razie proszę zamknąć buzię na kłódkę.

— Może poszedłbyś gdzieś i zdrzemnął się trochę — zaproponował Whitacre.

Arney zmierzył go mglistym, lecz wojowniczym wzrokiem.

— Lepiej trzymajmy się jednego tematu! — krzyknął. — Dobrze wiem, co opowiadasz w rozmaitych towarzystwach: „Arney to stary osioł. Człowiek skończony. Pisze w stylu tysiąc osiemset dwudziestego dziewiątego roku o ludziach, którzy zniknęli z powierzchni ziemi w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym.” To nawet nie zabaw-

nc. Mam dosyć krytyków. Co? Chcesz, żebym za krytykę płacił t. własnej kieszeni? Słuchaj, Whitacre! Nie lubię pewnych siebie smarkaczy jak ty. Chociaż nie jesteś taki młody, żeby nazywać cię timarkaczem.... I to racja.

— Poczekaj, stary — spróbował się wtrącić mężczyzna w granatowym garniturze.

— Co? — przerwał mu Arney. — Ty z nim lepiej pogadaj. Rozumiesz, Parrish? To także komunista. Dlatego właśnie ja jestem dla niego za płytki. Ha! Nietrudno dziś być głębokim! Trzeba tylko bulić piętnaście centów tygodniowo za „New Masses”. — Czułe objął ramieniem mężczyznę w granatowym garniturze. — Słyszysz, Whitacre? Takich komunistów jak on to ja lubię. Pan Parrish. Pan Parrish / czarną gębą. Opalił się tak w słonecznej Hiszpanii. Pojechał do Hiszpanii i dostał kulkę w Madrycie. A teraz wróci do Hiszpanii i pozwoli zastrzelić się na dobre. Nieprawda, panie Parrish?

— Ma się rozumieć, stary.

— Takich komunistów jak on to lubię — powtórzył głośno Arney.

- Pan Parrish przyjechał do nas, żeby zdobyć trochę gotówki i ochotników, którzy będą mu towarzyszyć i także pozwolą się zastrzelić w słonecznej Hiszpanii. Słyszysz, Whitacre? Potrafisz być cholernie głęboki na rozmaitych zebrankach w Nowym Jorku. A może byś tak spróbował pojechać do Hiszpanii i tam pokazać panu Parrishowi, jaki jesteś głęboki?

— Jeżeli się nie odczepisz... — zaczął Michael.

W tej chwili stanęła obok niego wysoka siwowłosa dama o dostojnej, surowej minie. Spokojnie, bez słowa wytrąciła z ręki Arneya filiżankę, która z brzękiem upadła na podłogę i rozsypała się setką porcelanowych okruchów. Dramaturg zmierzył nowo przybyłą złym spojrzeniem. Później uśmiechnął się głupkowato, spuścił głowę i zaczął oglądać własne trzewiki.

— Jak się masz, Felice — mruknął. — Dobry wieczór.

— Wynoś się z baru! — syknęła Felice.

— Piłem herbatkę... Nawet lekką...

Odrzucił się pokornie i podreptał w stronę drzwi. Był stary, otyły. Rzadkie siwiejące włosy oblepiały mu mokrą od potu dużą głowę.

— Pan Arney nic nie pije — rzuciła Felice barmanowi.

— Słucham, proszę pani — brzmiała odpowiedź.

— Mój Boże! — zwróciła się dama do Michaela. — Chętnie bym go zabiła. Czuję, że przez niego oszaleję. A w gruncie rzeczy to taki zacy człowiek.

— I czarujący — uzupełnił Whitacre.
 — Bardzo był nieznośny? — zapytała tonem obawy.
 — Nie. Czarujący.
 — Nikt go już nigdzie nie prosi — podjęła Felice. — Ludzie zaczynają go unikać i...

— Nie rozumiem, doprawdy, czemu — przerwał Michael.
 — Ach! W ogóle prowadzi okropne życie — skarżyła się dalej Felice. — Całe dnie przesiaduje w swoim pokoju, rozmyśla i każdemu, kto chce słuchać, powtarza, że jest człowiekiem skończonym. Zdawało mi się, że dobrze mu zrobi to przyjęcie. Myślałam, że bez przerwy będę go mieć na oku. — Wzruszyła ramionami i spojrzała na niknące w drzwiach zgarbione plecy Arneya. — Niektórym ludziom powinno obcinać się ręce, kiedy sięgają po pierwszy kieliszek.

Staroświeckim, dworskim gestem zebrała spódnice i szeleszcząc taftą podążyła za swym protegowanym.

— Jestem zdania, że wytrzymam jeszcze jednego — odezwał się Michael.

— Ja także — dodała Laura.

— Ma się rozumieć — powiedział człowiek w granatowym garniturze.

W milczeniu stanęli przed ladą. Przyglądali się, jak barman napełnia ich szklanki.

— Nadużywanie alkoholu — przemówił Parrish namaszczone, kaznodziejskim tonem — to jedna z cech wynoszących człowieka ponad zwierzęta.

Roześmieli się wszyscy. Whitacre podniósł szklankę i trącił się z nowym znajomym.

— Za Madryt — rzucił Parrish mimochodem, jak gdyby mówił coś najzwyczajniejszego w świecie.

— Za Madryt — powtórzyła Laura zdyszonym, gorącym szeptem.

Michael zawahał się. Jakże często czuł to dziwne skrępowanie! Ale i on dodał swoje:

— Za Madryt!

Wypili duszkiem. Parrish podsunął szklankę barmanowi.

— Od jak dawna jest pan w Nowym Jorku? — zapytał Whitacre, chociaż nie w smak mu była rozmowa o tak dziwacznych sprawach.

— Od czterech dni — odparł Parrish podnosząc szklankę do ust.
 — Dobrze macie trunki w Ameryce — dodał z uśmiechem.

Pił systematycznie, odświeżając zapas co pięć minut. Po każdym kieliszku czerwieniał trochę mocniej. Poza tym alkohol nań nie działał.

— A kiedy wyjechał pan z Hiszpanii? — podjął Michael.

— Dwa tygodnie temu.

Dwa tygodnie! Whitacre wyobraził sobie gołoledź na drogach, zimne lufy karabinów, tandetne mundury, samoloty nad głowami i świeżo zasypane groby. Dziś ten jegomość stoi o dwa kroki od niego, wystrojony w granatowy garnitur niczym kierowca ciężarówki na własne wesele. Stoi przed bufetem i grzechocze kostkami lodu w szklance. Goście rozmawiają dokoła o filmach ostatnio przez nich wyprodukowanych, o sprzecznych zdaniach krytyki, o opinii znanego pediatry na temat brzydkiego zwyczaju niemowlęcia, co sypia zawsze z piąstkami przy oczach. Młodzieniec z gitarą śpiewa w kącie ballady niby to z romantycznego Południa, a wszystko dzieje się na jedenastym piętrze przyzwoitego, nie zwracającego uwagi domu, w luksusowym, grubo wysłanym dywanami apartamencie z pięknym widokiem na Park i z wymalowaną nad bufetem purpurową dziewczyną o trzech piersiach. Niedługo ten jegomość zejdzie do doków nad rzeką, dobrze nawet widoczną z wysokich okien, załaduje się na okręt i odpłynie z powrotem. Zwyczajny, dobronuduszy, z gruba ciosany człowiek... Wcale po nim nie widać, jak wiele ma za sobą i co go jeszcze może czekać.

„Rasa ludzka jest do szaleństwa giętką i odporna” — pomyślał Whitacre. Parrish był dużo starszy od niego i niewątpliwie miał za sobą dużo cięższe życie. A przecież pojechał do Hiszpanii. Wytrzymał jakoś długie marsze i grozę krwawych bitew. Zabijał i narażał się na śmierć. Obecnie wraca, by jeszcze raz powtórzyć to samo. Michael potrząsnął głową. Na chwilę odczuł pogardę dla samego siebie, bo przykro mu się zrobiło, że na przyjęcie trafił człowiek o czerwonej twarzy i szorstkich rękach, uprzejmy, nienatrętny milicjant jego sumienia.

— Najważniejsze sprawy — mówił Parrish do Laury — to forsa i nacisk polityczny. Nie brak chłopaków skorych do wojaczki. Moglibyśmy mieć, ile dusza zapagnie, ochotników. Ale rząd angielski zamroził w Londynie całe republikańskie złoto, no i Waszyngton faktycznie pomaga Franco. Musimy przemycać naszych ludzi, co naturalnie podnosi koszty transportu. Rozumie pani—łapówki i takie różne rzeczy. A więc jednego dnia, kiedy staliśmy na pozycjach niedaleko uniwersytetu, a było tak zimno, że jak Boga kocham, wieloryb na śmierć by zamarzł, przychodzi do mnie jeden ważny towarzysz i tak powiada: „Parrish, mój stary, marnujesz tu amunicję, a jeszcze nikt nie widział, żebyś trafił jakiego drania. Mamy dla ciebie inną robotę. Jesteś wygadany cwaniak i łąć potrafisz. Wal do Stanów

i opowiada) wzruszające, pikantne bujdy o bohaterach nieśmiertelnej Brygady Międzynarodowej, co to w pierwszej linii stawiają się faszyzmowi. Jedź, bracie, i wracaj z pełnymi kieszeniami." No i widzi pani, występuję na różnych zgromadzeniach, puszczam wodze fantazji. Gadam co ślina na język przyniesie, i zanim się obejrzę, ludzie mdleją z wrażenia i rozwiązują kabzy. Forsa pcha się sama! No, a dziewczyny! Zdaje się, że nareszcie znalazłem właściwą rolę w walce o wolność. — Uśmiechnął się, aż zabłysły olśniewająco równe sztuczne zęby i popchnął szklanekę w stronę barmana. — Chcecie państwo posłuchać krwawych opowieści o strasznej wojnie w skatowanej Hiszpanii?

— Dziękuję — powiedział Michael. — Po pańskim wstępie...

— Prawda nie dla takich — rzucił człowiek w granatowym garniturze. Wytrzeźwiał nagle, spoważniał. Odwrócił się i zmierzył wzrokiem zatłoczony salon. Po raz pierwszy Michael dostrzegł w surowych, złych oczach daleki odblask niedawnych przeżyć tego jegomościa.

— Widzisz pan — ciągnął Parrish — trudno o wszystkim gadać. Stare wygi zmykają jak zające. Jakiś chłopaczek, co przejechał pięć tysięcy mil, czuje nagle, że umiera — on sam, zaraz, tu, na miejscu, z kulą we własnym brzuszku. Francuzi zamykają granicę i za łapówki pozwalają ludziskom leżeć przez Pireneje na okrwawionych nogach w środku zimy. Wszędzie kombinatory, wydrwigrosze, szachraje. W dokach, w biurach paszportowych, w batalionie, w kompanii, ba! w pierwszej linii, ramię w ramię z tobą. Dobrze wychowany paniczek widzi, że dostało się jego kumpłowi i mówi nagle: „Przepraszam. Omyłka. Z Dortmund zabawa wyglądała całkiem inaczej.”

Mała, pulchna czterdziestoletnia kobieta w różowej sukni stosownej dla podlotka podeszła do bufetu i dotknęła ramienia pani Whitacre.

— Lauro najdroższa — zaszczebiotała. — Szukam cię wszędzie. Twoja kolejka.

— Ach! — Laura zwróciła się do pulchnej, kobietki. — Strasznie przepraszam, że kazałam ci czekać, ale pan Parrish był taki interesujący.

Michael skrzywił się lekko, kiedy Laura powiedziała: „Interesujący.” Parrish uśmiechnął się do dam i nie wyróżniając żadnej objął obydwie poządlwym wzrokiem.

— Wrócę za parę minut — oznajmiła Laura mężowi. — Cynthia wróży przyjaciółkom. Może i mnie powie coś ciekawego.

— Proszę uważać — zawołał głośno Parrish — czy w pani przyszłe losy nie zaplączę się czterdziestoletni Irlandczyk ze sztucznymi zębami?

— Nic omieszkałam zapytać — roześmiała się Laura i odeszła pod rękę z wróżką.

Wyprostowana, zręczna, wędrowała przez salon lekkim, posuwistym krokiem. Mąż odprowadził ją spojrzeniem i zauważył, że jeszcze dwóch mężczyzn nie odrywało od Laury wzroku: Donald Wade, przystojny wysoki światowiec, i niejaki Talbot. Jednego i drugiego pani Whitacre nazywała żartobliwie: „Mój były adorator.” Nie wiedzieć czemu, obydwóch zapraszano zawsze do domów, gdzie bywali Whitacre'owie. „Mój były adorator.” Ten epitet często i niemile drażnił Michaela. W istocie oznaczał niewątpliwie, że Laura miała romans z „byłym adoratorem” i życzy sobie, aby mąż wierzył, że ów romans należy do przeszłości. Michael zirytował się nagle swą skomplikowaną sytuacją małżeńską, lecz po namyśle doszedł do rozumnego wniosku, że i tak na razie nic na to nie poradzi. W tej chwili usłyszał głos nowego znajomego:

— Ach, te Amerykanki! Chłop wytrzeszcza tylko gały i siedzi jak na szydle.

Parrish pokiwał z uznaniem siwiejącą głową, a zrobił to tak pociesznie, że Whitacre nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Wypijemy — zapytał.

— Ma się rozumieć.

Podsunęli szklanki barmanowi.

— Kiedy pan wraca? — zagadnął Michael.

Człowiek w granatowym garniturze rozejrzał się niespokojnie. Na jego pospolitą, szczerą twarz wypełził tajemniczy wyraz.

— Trudno powiedzieć, mój stary — szepnął. — Sam nie wiem. Departament Stanu... Rozumiesz? Wszędzie kręcą się faszystowscy szpicle. Formalnie straciłem amerykańskie obywatelstwo, bo zaciągnąłem się pod obce sztandary. Zachowaj to przy sobie... Myślę, że za miesiąc, może sześć tygodni...

— Sam odpłyniesz do Hiszpanii?

— Skąd znowu! Zabiorę niezgorszą paczkę — uśmiechnął się pogodnie. — Brygada Międzynarodowa to młode przedsiębiorstwo, otwarte dla wielu współników.

Zmierzył sąsiada taksującym wzrokiem, a Michael odczuł, że Irlandczyk zadaje sobie w duchu pytanie, co robi tutaj w luksusowym apartamencie ten facet wystrojony we frak? Dlaczego spędza noc noworoczną przy bufecie, zamiast przy karabinie maszynowym?

— Mnie masz na oku? — spytał Michael.

— Nie. — Parrish pogładził się po brodzie.

— Ale pieniądze ode mnie weźmiesz?

— Pieniądze wezmę nawet ze świętej ręki papieża Piusa.

Whitacre wyciągnął portfel. Odebrał właśnie tygodniówkę i coś niecoś zostało mu ze świątecznej premii. Wręczył zwitek banknotów Parrishowi. Było tego siedemdziesiąt pięć dolarów.

— Zostaw na taksówkę, mój stary. — Irlandczyk niedbale wsunął pieniądze do kieszeni marynarki i poklepał sąsiada po ramieniu. — Na twój rachunek załuczemy ze dwóch drani.

— Dziękuję. — Michael schował portfel. — Zostajesz w barze?

— Nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

— A jest na miejscu przyzwoity burdel?

— Nie ma.'

— No, to zostanę tutaj.

— Zobaczymy się później. Teraz idę trochę w kurs.

— Dobry pomysł. — Parrish uklonił się sztywno. — Dziękuję za forse.

— Nie ma za co.

— Bywaj, stary!

Irlandczyk odwrócił się twarzą do bufetu. Jego szerokie granatowe plecy wyglądały jak potężna rafa wśród piany nagich ramion i jedwabnych klap fraków.

Michael zbliżał się powoli do grupki kilku osób w kącie salonu. Już z daleka spostrzegł, że Louise patrzy na niego i uśmiecha się kusząco. Laura nazwałaby ją zapewne „byłą flamą” swojego męża, lecz w tym wypadku nie miałyby racji, gdyż romans nie należał do przeszłości. Louise zdążyła wyjść za mąż, podobnie jak Michael ożenić się, ale od czasu do czasu na krótszy lub dłuższy okres bywali czuлыми kochankami. Whitacre zdawał sobie sprawę z moralnej odpowiedzialności, która może go kiedyś obciążyć, ale Louise, jedna z najładniejszych kobiet w Nowym Jorku — drobna, czarniawa, inteligentna, żywa i mało wymagająca — była mu pod pewnymi względami bliższa i droższa niż żona. Czasami w zimowe popołudnia, kiedy leżeli obok siebie w wynajętym pokoju, Louise spoglądała w sufit i mówiła z westchnieniem: „Dobrze nam razem, cudownie. Szkoda, że kiedyś trzeba będzie dać za wygraną.” Ale żadne z nich nie traktowało poważnie takiej ewentualności.

Donald Wade stał koło Louise. Na sekundą zmroziła Michaela myśli o zdumiewającej płataninie życia. Pozbył się jednak przykrego uczucia, kiedy pocałował kochankę, i rzucił:

— Pomyślnego Nowego Roku!

Donaldowi serdecznie uściśnął rękę, lecz zdziwił się, jak zwykle w podobnych sytuacjach, czemu każdy mąż uważa za obowiązek okazywanie szczególnych względów byłym kochankom żony.

— Jak się masz? — powiedziała Louise. — Dawno cię nie widziałam. Śliczny frak. Bardzo ci w nim do twarzy. A gdzie twoja pani?

— U wróżki — uśmiechnął się Whitacre. — Przeszłość ma stosunkowo pomyślną, więc martwi się o przyszłość. Gdzie twój mąż?

— Nie wiem. — Bezradnie rozłożyła ręce i spojrzała na Michaela z dyskretnym, poważnym uśmiechem, który rezerwowała na jego użytek. — Gdzieś w pobliżu.

Wade uklonił się sztywno i odszedł. Louise spojrzała za nim.

— Czy Donald nie asystował Laurze w swoim czasie?

— Nie bądź kumoszką!

— Po prostu chciałam się dowiedzieć.

— Salon roi się od facetów, którzy w swoim czasie asystowali Laurze.

Z posepną miną zrobił przegląd gości. Wade, Talbot... O, właśnie wchodzi jeszcze jeden: chudy aktor Moran, partner Laury w jednym z filmów. Ich nazwiska wypełniały całe kolumny plotkarskich gazet z Hollywood, a pewnego dnia Laura przyjechała o świcie do Nowego Jorku chcąc uspokoić męża, że to było tylko oficjalne przyjęcie w studio itd., itp.

— Salon — powiedziała Louise zerkając spod oka na kochanka — roi się od facetek, którym asystowałeś w swoim czasie. Chociaż „w swoim czasie” może jest tutaj nie na miejscu.

— Przyjęcia robią się coraz niemożliwsze — westchnął Whitacre. — Okropny tłok. Od dziś nigdzie nie będę chodził. Nie znajdzie się tu zaciszne miejsce, gdzie moglibyśmy pogawędzić spokojnie?

— Cóż, poszukajmy.

Louise ujęła kochanka pod rękę i przez pełen gości hall poprowadziła w głąb mieszkania. W korytarzu uchyliła drzwi i zajrzała do ciemnego pokoju. Przywołała towarzysza ruchem ręki. Weszli na palcach, ostrożnie zamknęli za sobą drzwi i usiedli na malej sofce. Po przejściu z jasno oświetlonych salonów Whitacre w pierwszej chwili nic nie widział. Z rozkoszą przymknął oczy. Czuł, że Louise przytula się, pochyla i całuje go w policzek.

— Teraz lepiej? — zapytała.

Nagle coś zaskrzybiało pod przeciwległą ścianą, a że Michael przywykł do półmroku, zobaczył postać ludzką, która ciężko dźwigała

się z jednego z bliźniaczych łóżek i szuka czegoś na nocnej szafce. Filizanka szcęknęła o spodek i znalazła się w ręku tajemniczej postaci, ta zaś podniosła ją do ust i zaczęła pić.

— Poniżenie...

Ten jeden wyraz rozdzielił dwa długie łyki. Michael poznał pijanego dramaturga. Arney siedział z nogami zwieszonymi między łóżka. Chwiał się, tracił równowagę, raz po raz spoglądał na sąsiednie posłanie.

— Tommy! — odezwał się wreszcie. — Tommy, nie śpisz?

— Nie, panie Arney — odpowiedział zaspany głos dziesięcioletniego synka Johnsonów, w których domu odbywała się zabawa.

— Tommy! Pomyślnego Nowego Roku!

— Pomyślnego Nowego Roku, panie Arney.

— Nie przejmuj się mną, Tommy. Po prostu obmierzło mi towarzystwo dorosłych i zajrzałem tutaj, żeby złożyć życzenia młodej generacji.

— Dziękuję, panie Arney. Bardzo dziękuję.

— Tommy...

— Słucham, panie Arney.

Chłopiec rozbudził się na dobre i reagował żywiej. Michael czuł, że Louise z trudem tłumi śmiech. Sam bawił się nieźle, a zarazem był zły, że wpadli w pułapkę i w ciemnościach muszą siedzieć bez słowa.

— Tommy — powiedział Arney — może ci coś opowiedzieć?

— Bardzo proszę, panie Arney.

— Zaraz... zaraz... Niech no pomyślę. — Pociągnął znów łyk i głośno postawił filizankę na spodku. — Zaraz... zaraz... Nie znam żadnej powiastki odpowiedniej dla dzieci...

— Ja lubię różne powiastki! — zawołał Tommy. — W zeszłym tygodniu czytałem nawet *Człotoieka-widmo*.

— Niech i tak będzie — zgodził się łaskawie pijak. — Opowiem ci, Tommy, coś nieodpowiedniego dla dzieci. Historię mojego życia.

— Dostał pan kiedy po głowie kolbą pistoletu kaliber 0,45? — zapytał ciekawie chłopiec.

— Nie sufleruj, Tommy :— zirytował się dramaturg. — Jeżeli nawet dostałem po głowie kolbą pistoletu kaliber 0,45 wyjdzie to na jaw we właściwym czasie.

— Bardzo przepraszam, panie Arney — powiedział chłopiec układnie, lecz tonem urazy.

— Do dwudziestego ósmego roku życia — rozpoczął Arney — byłem obiecującym młodzieńcem...

Whitacre poruszył się nerwowo. Wstydził się podsłuchiwać w tak idiotyczny sposób. Ale Louise ostrzegawczo ścisnęła go za rękę, uspokoił się więc i siedział bez słowa.

— Jak to mówią w starych powieściach, kształciłem się w renomowanych szkołach. Pracowałem ciężko i łatwo wkuwałem cytaty ze wszystkich poetów angielskich. Napijesz się, Tommy?

— Nie, dziękuję.

Chłopiec oprzytomniał zupełnie. Siedział na łóżku sztywno, jak urzeczony.

— Chyba jesteś za młody, Tommy, żeby pamiętać recenzje z mojej pierwszej sztuki: *Długi i krótki*. Ile masz lat, Tommy?

— Dziesięć.

— Za młody.

Znów filiżanka szczęknęła o spodek.

— Umie niektóre na pamięć, ale pewnie by cię to znudziło. Cóż, mogę powiedzieć bez samochwalstwa, że porównywano mnie w recenzjach do Strindberga i o'Neilla. Słyszałeś kiedy, Tommy, o Strindbergu i o'Neillu?

— Nie, panie Arney.

— Do diabła! Czego dziś uczą dzieci w szkołach? — oburzył się Arney.

Jeszcze raz pociągnął z filiżanki i ułagodzony nieco mówił dalej mniej gniewnym i surowym tonem:

— Historia mojego życia, Tommy. Otrzymywałem zaproszenia do wszystkich najlepszych domów. Płaciłem czekami w czterech potajemnych kaajpach, najdroższych w całym Nowym Jorku. Wiele razy oglądałem własną podobiznę w gazetach. Wygłaszałem mowy do rozmaitych komitetów i artystycznych organizacji. Przestałem gadać ze wszystkimi starymi znajomkami, co było znaczną ulgą. Pojechałem do Hollywood i przez długi czas zarabiałem po trzy i pół tysiąca tygodniowo. Rozumiesz, Tommy? Przed wprowadzeniem podatku dochodowego! Zakochałem się w butelce i poślubiłem wielką damę, która miała willę w Antibes, we Francji, a na dokładkę browar w Milwaukee. W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku zdradziłem żonę z jej najlepszą przyjaciółką i popełniłem poważny błąd, bo babsko było kościste niczym dorożkarska szkapa...

Znowu rozległo się donośne chłeptanie z filiżanki. Michael zdawał sobie sprawę, iż teraz może tylko siedzieć cicho w ciemności i mieć nadzieję, że go Arney nie odkryje. Niebawem pijak podjął opowieść cichym, melodyjnym, pełnym żalu głosem:

— Ludzie powiadają, Tommy, że zaprzepaściłem talent w Hollywood. Dużo w tym racji, Tommy, bo jeżeli człowiek ma talent do zaprzepaszczenia, to najłatwiej go zaprzepaścić w tym diabelskim mieście. Ale ja nie wierzę ludziom. Zupełnie im nie wierzę, Tommy. Jestem człowiek skończony i wszyscy stronią ode mnie. Nie chodzę do lekarzy, bo wiem, co powiedzą: że na pewno umrę za pół roku. Moja najnowsza sztuka nie *wejdzie* na scenę w żadnym stanie o jako tako przyzwoitym rządzie. Ale to wszystko nie z winy Hollywood. Jestem słaby, inteligentny facet, a żyjemy, Tommy, w epoce niestosownej dla słabych, inteligentnych facetów. Posłuchaj dobrej rady, Tommy. Wyróżnij na głupca. Na silnego głupca!

Ciężko dźwignął się z łóżka. Jego chwiejna sylwetka zamajaczyła mglisto na szarym tle okna.

— Tylko nie myśl przypadkiem, że skarżę się czy biadam — podjął głośno zaczepnym tonem. — Jestem stary moczymorda i byle kto drwi ze mnie. Zawiodłem wszystkich, z którymi los mnie zetknął. Ale nie skarżę się, nie biadam. Gdybym miał zacząć życie od początku, urządziłbym je, Tommy, tak jak za pierwszym razem.

Machnął rękami. Filiżanka ze spodkiem zleciała na dywan i rozbiła się z trzaskiem. Arney nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

— Tylko jedno, Tommy — podjął z namaszczeniem — tylko jedno urządziłbym inaczej. Uważaj teraz, Tommy! Gdybym... Nie, Tommy! Jesteś za młody.

Odwrócił się i majestatycznie ruszył w stronę drzwi. Spodek zachrząścił mu pod nogami. Tommy leżał bez ruchu. Dramaturg minął Louise i Michaela, otworzył drzwi i w smudze światła zobaczył siedzącą na sofie parę. Uśmiechnął się anielsko.

— Whitacre — powiedział. — Whitacre, kochany chłopie, czy nie zechciałbyś wyświadczyć łaski zgrzybiałemu starcowi? Proszę cię, pójdz do kuchni, znajdź filiżankę ze spodkiem i przynieś tutaj. Jakiś skurwysyn wytlukł mi całą porcelanę.

— Bardzo chętnie — zgodził się Michael.

Wstał z sofy jednocześnie z Louise, a kiedy wychodzili z sypialni, rzucił przez ramię:

— Tommy, czas spać.

— Tak, proszę pana — odpowiedział chłopiec sennie, lecz z żalem.

Whitacre westchnął, cicho zamknął drzwi i ruszył na poszukiwanie filiżanki ze spodkiem.

Reszta nocy rysowała się mgliście we wspomnieniach Michaela. Nazajutrz nie pamiętał, czy umówił się z Louise na wtorkowe

popołudnie i czy Laura powiedziała mu naprawdę, że zgodnie z przepowiednią wróżki muszą się rozwieść w tym roku. Pamiętał za to, że Arney pojawił się niespodziewanie w głębi salonu. Uśmiechał się krzywo. Z rozchylnych ust ciekła na brodę whisky. Śmiesznie pochylił na bok głowę, jak gdyby miał drętwą szyję, i stosunkowo pewnym krokiem przemierzył cały pokój nie zwracając uwagi na tłum gości. Zatrzymał się dopiero pod przeciwległą ścianą, tuż koło Michaela. Przez chwilę chwiał się na nogach. Później szarpnął sięgające podłogi wysokie okno, otworzył je szeroko i spróbował przeleźć na drugą stronę. Połą fraka zawadził o lampę, lecz kiedy się wyzwolił, zaczął spokojnie robić dalej swoje.

Michael przyglądał się pijakowi i zdawał sobie sprawę, że powinien skoczyć mu na ratunek. Ale poruszał się niemrawo, a ręce i nogi miał dziwnie miękkie, bezwładne niby w męczącym śnie. Nic na to nie mógł poradzić, chociaż rozumiał, że jeśli nie zacznie szybko działać, dramaturg wypadnie z okna i runie z wysokości jedenastu piętér, zanim on zdąży gó dosięgnąć.

Nagle usłyszał za sobą tupot szybkich kroków. Ktoś wyminął go jednym susem i porwał pijaka w ramiona. Przez chwilę dwaj mężczyźni mocowali się nad przepaścią. Tło stanowiło nowojorskie niebo z purpurowym odbłaskiem neonów na chmurach. Później trzasnęło okno zamknięte przez kogoś trzeciego i zapaśnicy byli ocaleni. Wówczas Whitacre zorientował się, że to Parrish zdążył nadbiec z baru i uprzedziwszy go wyratować dramaturga.

Laura znalazła się w objęciach męża. Ręką zasłaniała oczy. Szlochała głośno. Michael był wściekły, że w tak decydującej chwili jego żona jest do niczego i jeszcze sobą zaprzęta uwagę. Irytacja ta sprawiła mu znaczną ulgę, bo chociaż dobrze wiedział, że później nie odpędzi przykrych wspomnień, mógł na razie nie myśleć o tym, jak sam się spisał.

Niebawem towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Wszyscy byli ogromnie weseli, beztroscy i udawali, że Arney chciał spłatać figla przyjaciółom. Pijany dramaturg spał na podłodze. Za nic nie pozwolił położyć się do łóżka, a ilekroć wywindowano go na sofę, zsuwał się w jednym mgnieniu oka. Parrish zadowolony i uśmiechnięty wrócił do baru, gdzie wypytywał zaangażowanego na jedną noc barmana, do jakiego związku należy.

Michael chciał jechać prosto do domu, ale Laura oznajmiła, że jest głodna, wobec czego Whitacre'owie znaleźli się znów w tłumie ludzi. Ktoś zaproponował swój samochód i wszyscy usiedli wszystkim na

kolanach. Było ciasno i duszno, toteż Michael ucieszył się, kiedy towarzystwo wysypało się z samochodu i weszło do wielkiej, bogato urządzonej restauracji przy Madison Avenue.

Sala, w której znaleźli stolik, miała pomarańczowe ściany, ozdobione (nie wiadomo czemu) niezliczonymi podobiznami Indian. Niedoświadczeni kelnerzy, donajęci bez wyboru na noc noworoczną, snuli się jak błędni pośród wrzaskliwych, rozbawionych gości. Micheal czuł, że jest pijany. Raz po raz uparcie opadały mu powieki. Milczał, bo ilekroć próbował coś powiedzieć, zaczynał jąkać się niemilosiernie. Tępo patrzył przed siebie, a na ustach miał grymas oznaczający—jego zdaniem — wyniosłą pogardę dla zewnętrznego świata. Nagle zauważył przy tym samym stole Louise z mężem i Katherine z trzema studentami z Harvard. Donald Wade siedział koło Louise i jawnie ścisnął jej rękę. Michael otrzeźwiał trochę i jednocześnie poczuł nieznośny ból głowy. Zamówił kotlet siekany i butelkę piwa.

„To haniebne — myślał z wysiłkiem — haniebne... Byłe flamy, byli adoratorzy, byli bógwieco... Umówiłem się z Louise na któreś popołudnie... ale we wtorek czy w środę? A na jaki dzień tygodnia Wade umówił się z Laurą? Gniazdo zimujących węzów... Kto to powiedział? Chyba Arney. Stary osioł... Skończony człowiek... Ale tym razem miał rację... Nie ma honoru na świecie... Nie ma nawet form przyzwoitości... Whisky, wino, piwo, koniak, to, tamto owo... Wszystko niknie w oparach alkoholu... Uczciwość, wierność, odwaga, szybka decyzja... Parrish jednak mógł dać susa przez cały salon... Odruchowo... Poczul niebezpieczeństwo, więc skoczył. A ja tkwiłem tuż obok... Koło'samego okna... I co? Ledwie się poruszyłem, zaszurałem nogami. Stałem jak kolek, bo zanadto się spałem, przesiąknęłam alkoholem. Za dużo spraw łączy mnie z życiem... Cóż... Żona? Właściwie obca osoba. Od czasu wpada na tydzień z Hollywood. Mówi tylko o swoich sprawach... A między wizytami diabli wiedzą co robi z diabli wiedzą ilu mężczyznami... Te pachnące pomarańczowym kwiatem, gorące wieczory w Kalifornii... A ja? Marnuję ostatnie lata młodości. Jak głupi trzymam się bezwładnie teatru. Zarabiam niewiele. Poprzestaję na małym. Nigdy nie zrobię śmiałego kroku... Mam trzydzieści lat... Dziś zaczął się Nowy Rok... 1938... Muszę wziąć się w garść, jeżeli nie chcę trafić do tego samego okna co Arney...”

Wstał, wymamrotał: „Przepraszam”, i przez zatłoczoną knajpę ruszył w stronę męskiej toalety.

„Tak, weź się w garść, Michael — myślał po drodze. — Mocno weź się w garść. Pierwsza rzecz: rozwód z Laurą. A później musisz

prorowadzić surowe, ascetyczne życie, jak niegdyś, kiedy miałeś dwadzieścia lat. Akurat dziesięć lat temu. Wtedy wszystko było uczciwe, jasne, proste. Nowy rok witałeś wesoło i nie brzydziłeś się sobą za to, co robiłeś w roku starym."

Po schodach schodził do męskiej toalety. Rozpocznie poprawę od tej chwili. Przez dziesięć minut będzie lał na głowę lodowato zimną wodę. Zmyje pijacki pot i niezdrową czerwonosć z twarzy. Włosy będzie miał chłodne, porządnie uczesane. Wróci jak odrodzony. Jaśniejszym wzrokiem spojrzy na świat w tym nowym roku...

Pchnął drzwi i wszedł prosto do umywalni. Ze wstrętem spojrzał na swoje odbicie w lustrze: zmięta twarz, załzawione oczy, słaby, niezdecydowany wyraz ust- Dobrze pamiętał, jak wyglądał w dwudziestym roku życia. Smukły, silny, dziarski, stanowczy dla siebie i innych. Nagle pomyślał, że tamta twarz istnieje pod nieprzyjemną maską spoglądającą z lustra. Musi odnaleźć dawną twarz, zedrzeć z niej paskudny osad lat, które głupio zmarnował.

Pochylił głowę. Lodowato zimną wodą przemywał oczy, obficie skrapiał policzki. Kiedy wycierał się ręcznikiem, czuł, że skórę ma świeższą, przyjemną w dotyku. Jak odrodzony wszedł pewnym krokiem na schody i wrócił do towarzystwa siedzącego przy dużym stole pośrodku gwarnej restauracyjnej sali.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na zachodnim krańcu Ameryki, w nadmorskim miasteczku Santa Monica, wśród monotonnych prostych ulic i pierzastych palm, stary rok dogorywał w gęstych szarych tumanach. Mgła ciągnęła znad oleistych wód oceanu, znad długich fal, co spokojnie łamały się na wilgotnym piasku, znad zamkniętych na zimę plażowych bufetów i letnich rezydencji gwiazd filmowych, i nadbrzeżnej szosy wijącej się w stronę Oregonu i Meksyku.

Ulice miasteczka były wyludnione, oddane we władanie mgły, jak gdyby Nowy Rok stanowił żywiołową klęskę, której ludność unika przezornie, czekając w domach, aż niebezpieczeństwo minie. Tu i ówdzie błado połyskiwały oświetlone okna, a na kilku ulicach mgłę zabarwiała jaskrawa czerwień neonów — kolor charakterystyczny dla miejskich nocy w Ameryce. Mrugające purpurowe rurki zachwalały restauracje, lodziarnie, kina, teatry, hotele, strzeżone parkingi. Ale wśród głuchej posępnej nocy ogólny efekt reklam był tragiczny i złowróżbny, jak gdyby przez siwą, powiewną zasłonę ukazywano rasie ludzkiej obraz jej ostatniej siedziby, tonącej w wilgotnych oparach i ubarwionej krwawo.

Neonowy szyld Hotelu Nadmorskiego, z którego okien nigdy, nawet przy najpiękniejszej pogodzie, nie było widać ani skrawka morza, rozjaśniał nieco gęste popielate tumany za oknem Noego. Światło przenikało nieśmiało do ciemnego pokoju ukazując wilgotne tapety oraz wiszącą nad łóżkiem litografię z widokiem wodospadu Yosemite. Różowy blask padał na poduszkę i dobywał z mroku głowę pogrążonego we śnie ojca Noego. Wydamy, kształtny nos o wyraźnie zarysowanych rozdętych chrapach, oczy głęboko osadzone pod krzaczystymi brwiami, wysokie czoło myśliciela, bujna biała czupryna, wąsy, bródka w stylu portretów Van Dycka, godna filmowego

pułkownika z czasów wojny o niepodległość — wszystko to nie pasowało do starego Żyda umierającego w nędznym hotelowym pokoju.

Noe miał ochotę poczytać, bał się jednak, że światło obudzi ojca. Próbował spać na jedynym w pokoju, bardzo twardym krześle, ale przeszkadzał mu nierówny, chrapliwy oddech chorego. Lekarz powiedział Noemu, że Jakub musi umrzeć. To samo mówiła wdowa, którą ojciec odprawił w wigilię Bożego Narodzenia... Jak się ona nazywa? Aha, Morton... Ale Noe nie wierzył w śmierć starca. Ojciec kazał pani Morton, by telegraficznie wezwała syna z Chicago. Prosił o natychmiastowy przyjazd. Noe spieniężył palto, maszynę do pisania i stary kufer-szafę. W ten sposób zdobył pieniądze na bilety autobusowe. Śpieszył się. Jechał dniem i nocą, cały czas na siedzącym miejscu. Do Santa Monica przybył oszołomiony i wyczerpany długą podróżą, lecz w porę, by wziąć udział w wielkiej scenie. (

Jakub zawczasu uczesał starannie włosy i brodę i usiadł na łóżku wyprostowany, dostoyny niby Hiob wiodący spór z Bogiem. Obdarzył pocałunkiem panią Morton — niepozorną pięćdziesięcioletnią kobiecinę — i pożegnał ją mówiąc melodyjnym, aktorskim głosem:

— Pragnę skonać w ramionach syna. Pragnę skonać pośród izraelitów. Czas teraz, byśmy rozstali się na wieki.

Noe dowiedział się wówczas, że pani Morton nie jest Żydówką. Płakała gorzko, a wszystko razem sprawiało wrażenie sceny z drugiego aktu jednej ze sztuk granych w żydowskim teatrze przy Drugiej Alei w Nowym Jorku. Jakub był nieugięty i pani Morton odeszła. Zameżna córka zabrała ją do rodzinnego domu w San Francisco. Noe został sam z ojcem w małym, jednoosobowym pokoju przy bocznej uliczce, o pół mili od oceanu.

Każdego rana doktor zaglądał na kilka minut. Oprócz niego Noe nie widywał nikogo. Nie znalazł też żywej duszy w całym mieście. Ojciec życzył sobie, by syn czuwał przy nim dniem i nocą, toteż biedak sypiał pod oknem na twardym materacyku, niechętnie pożyczonym przez gospodarza.

Noe słuchał ciężkiego, tragicznego oddechu, który przeszywał nasycone zapachem lekarstw powietrze. Chwilami był przekonany, że Jakub nie śpi i wcale nie musi tak dyszeć, wie jednak, iż człowiek konający powinien rzeźzić i każdym oddechem zapowiadać zbliżający się koniec. Z bliska przyjrzał się pięknej, patriarchalnej głowie spoczywającej na brudnej poduszce, niedaleko szeregu połyskujących w półmroku aptekarskich flaszek. Nie pierwszy raz odczuwał niesmak

patrząc na krzaczaste, zmierzwione brwi, na teatralną grzywę śnieżnych włosów (nie wątpił, że Jakub bieli je potajemnie), na efektowną siwą brodę okalającą twarz ascetyczną i suchą.

„Dlaczego — myślał gniewnie Noe — ten człowiek wziął się, by wyglądać jak biblijny król, który przybył w poselstwie do Kalifornii? Gdyby chociaż żył w odpowiedni sposób... Aa... to inna sprawa... Ale to niezliczone kobiety w jego długim, awanturycznym życiu i bankructwa, i pieniądze pożyczane na wieczne nieoddanie, i wierzyciele od Odessy do Honolulu... To złośliwy żart! Jak ojciec śmie pozować na Mojżesza, który schodzi z góry Synaj dźwigając kamienne tablice!”

Jakub otworzył oczy i przemówił:

— Zechciej mnie rychło wyzwolić, o Boże! Panie, racz mi pośpieszyć z pomocą!

Oto drugi nawyk, który zawsze doprowadzał Noego do wściekłości. Jakub był absolutnie niereligijny, ale na pamięć znał Biblię po hebrajsku i angielsku i przy każdej sposobności sypał długimi, kwiecistymi cytatami.

— Zechciej wyzwolić mnie, o Boże, z ręki grzesznego, z ręki niesprawiedliwego, z ręki okrutnego męża!

Odwrócił się twarzą do ściany. Znów zamknął oczy. Noe wstał z krzesła i zbliżywszy się do łóżka okrył chorego kołdrą, ów jednak nie zwrócił na to uwagi. Noe przyglądał mu się przez chwilę. Słuchał charczącego oddechu. Potem odszedł pod okno, otworzył je szeroko i wciągnął w płuca wilgotną, gęstą mgłę, zaprawioną wonią niedalekiego morza. Ulicą przemknął samochód. Jechał z niebezpieczną szybkością i prawie otarł się o rząd palm. Klakson porykiwał świątecznie, niebawem jednak umilkł w ciężkich oparach.

„Miło spotykać Nowy Rok w takiej dziurze” — pomyślał Noe z ironią, bez szacunku dla powagi chwili. Wzdrygnął się w strudze zimnego powietrza, ale okno zostawił otwarte. Pracował ostatnio w Chicago jako archiwista w firmie rozsyłającej różne towary pocztą. Prawdę mówiąc, nie zmartwił się, że musi jechać do Kalifornii nawet w tak smutnej misji jak asystowanie przy śmierci własnego ojca. Malownicze wybrzeże, ciepłe plaże, pomarańczowe gaje skąpane w słońcu, piękne dziewczęta... Wyjrzał przez okno i uśmiechnął się krzywo. Od tygodnia lał deszcz. Ojciec w nieskończoność przeciągał finałową scenę. Noe miał już tylko siedem dolarów, a ponadto dowiedział się, że wierzyciele obłożyli sekwestrem atelier fotograficzne ojca. Nawet w szczególnie sprzyjających warunkach, gdyby wszystko

sprzedano po najlepszych cenach, mogli liczyć na trzydzieści procent swoich należności.

Pewnego dnia Noe wybrał się nad morze do małego obskurnego atelier i przez zamknięte na klucz oszklone drzwi zajrzał do środka. Jakub wyspecjalizował się od dawna w wysoce artystycznych, mocno retuszowanych portretach młodych kobiet, toteż za brudną, zakurzoną szybą widać było sto spowitych w czarny aksamit lokalnych piękności o dziwnie kolorowej cerze i wielkich oczach omdlewających pod ciężkimi powiekami. Takie właśnie przedsiębiorstwa ojciec otwierał i likwidował na całym kontynencie. One to przedwcześnie wpędziły matkę do grobu. Jawiły się w rozmaitych obskurnych budach i znikwały po jednym złudnie pomyślnym sezonie. W atelier pozostawał tylko stos źle prowadzonych książek, monitów wierzycieli, starych fotografii i nieaktualnych ulotek reklamowych, a następnie dzierżawca palił te śmiecie na najbliższym nie zabudowanym placu.

Ale przedsiębiorczy Jakub był nie tylko fotografem. W rozmaitych okresach życia sprzedawał działki na cmentarzu, środki antykoncepcyjne, tereny pod zabudowę, wino mszalne, dogodne dla ogłoszeń miejsca na murach, używane meble, ślubne suknie, a nawet raz (choć to wydaje się nieprawdopodobne) zorganizował w Baltimore agenturę zaopatrującą w prowiant statki. Dochody z tych licznych profesji nigdy nie wystarczały na utrzymanie. Ale Jakub był wymowny, przystojny, ruchliwy i dzięki swej archaicznej retoryce naszpikowanej cytatami z Biblii, dzięki portretowej twarzy i niewyczerpanej energii znajdował zawsze kobietę, która pomagała mu pływać na powierzchni i zdobywać to, czego sam nie mógł zdobyć na polach ekonomicznych bitew. Jedyne jego potomki — Noe — wiódł życie włóczęgowskie i nieuporządkowane. Często bywał opuszczony i spędzał długie miesiące u jakichś dalekich, wątpliwych krewnych albo w samotności musiał znosić żelazny rygor podrzędnych szkół wojskowych.

— Mój brat Izrael płonie w ognistym piecu, rzucony tam przez pogan.

Noe westchnął i zamknął okno. Ojciec leżał teraz sztywno i patrzył w sufit szeroko otwartymi oczami. Noe zapalił stojącą lampkę i osłonił żarówkę różowym papierem przypalonym w wielu miejscach i wydzielającym zapach, który uzupełniał ciężką atmosferę sypialni chorego człowieka

— Nie potrzeba ci czego, ojcze?

— Widzę płomienie — mówił starzec. — Czuję swąd piezonego ciała. Widzę, jak kości mego brata kruszą się i gorzeją w ogniu. Jam go opuścił, a dzisiejszej nocy brat umiera pośród nieprzyjaciół.

Noe nie mógł odeprzeć nowej fali niechęci do ojca. Jakub nie widział brata od trzydziestu pięciu lat, a prawdę mówiąc, zostawił go w Rosji, z rodzicami na utrzymaniu, kiedy sam wybierał się do Ameryki. O tym obcym człowieku wspominał rzadko, zawsze z pogardą i niewątpliwie rozstał się z nim jak z wrogiem. Ale przed dwoma laty przyszedł jakimś cudem list z Hamburga, gdzie Izrael osiedlił się w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. List był rozpaczliwy i błagalny. Należy przyznać, że Jakub zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy. Pisał niezliczone podania do Biura Imigracyjnego, jeździł do Waszyngtonu i straszył na korytarzach Departamentu Stanu. Dziwaczny, nieprawdopodobny upiór minionych wieków, brodaty i kudłaty starzec, na poły rabin, na poły szachraj i szuler, śmiało stawiał czoło układnym młodzieńcom z Princeton i Harvard, którzy mówili cicho, poprawnym akcentem i z obojętną miną przesuwali papiery na polerowanych blatach biurka. Ale starania na nic się nie przydały. Po jednym rozpaczliwym wołaniu o pomoc stłumiło wszystko groźne milczenie władz niemieckich. Jakub przestał mówić o sprawie brata i wrócił na słoneczne wybrzeże, gdzie odnalazł w Santa Monica atelier fotograficzne i korpułentną panią Morton. Tej nocy jednak zabarwiona purpurą mgła kłębiła się za oknem, na progu stał Nowy Rok, a wraz z nim śmierć, która zdaniem lekarza miała być kwestią godzin. Cóż dziwnego, że porzucony niegdyś brat, zbłąkany w labiryncie Europy, krzychał straszliwie w martwiejącej wyobraźni?

Jakub przemawiał głębokim, melodyjnym głosem, po aktorsku nawet na łożu śmierci:

— Tyś krew mojej *krwi* i kość mojej kości, ponosisz tedy karę za grzechy mojego ciała i grzechy mojej duszy.

„Wielki Boże! — pomyślał Noe spoglądając z góry na chorego. — Cemu ten musi zawsze gadać białym wierszem, jak pasterz-prorok dyktujący coś sekretarce na wzgórzach Judei?”

— Nie uśmiechaj się!

W mizernej, poczerniałej twarzy oczy starca błysnęły żywo, przytomnie.

— Nie uśmiechaj się, synu. Mój brat goreje w ogniu. Cierpi dla ciebie.

— Wcale się nie uśmiecham, ojcze.

Delikatnie pogładził chorego po czole. Skóra była gorąca, sucha. Noe odniósł wrażenie, że poczuł lekkie ukłucia w końcach palców.

Ojciec wykrzywił twarz pogardliwym grymasem doświadczonego mówcy.

— Stoisz nade mną w tanim amerykańskim ubraniu i myślisz: „Cóż mnie obchodzi brat ojca? To człowiek obcy. Nie widziałem go nigdy w życiu. Jeżeli nawet skona w ognistym piecu Europy, coż z tego? Wszak co minuta ludzie umierają na całym świecie.” Otóż mój brat nie jest ci obcy. To Żyd i świat go prześladuje. Ty także jesteś Żydem i świat prześladuje ciebie.

Wyczerpany przymknął oczy, a Noe pomyślał, że ojciec wzruszyłby go zapewne i porwał, gdyby chciał mówić zwyczajnym ludzkim językiem. W gruncie rzeczy sytuacja jest przejmująca, dramatyczna. Ojciec umiera dręczony wizją brata mordowanego o pięć tysięcy mil od Kalifornii. Jest sam w najsamotniejszej godzinie życia, nawiedzany przez mgliste upiory przeszłości i przyszłości. Oplakuje los swego ludu rozproszonego po ziemi. Rozumowo Noe zdawał sobie sprawę z wagi ponurych wydarzeń w Europie cfeoc, prawdę mówiąc, nie widział w nich osobistej, uczuciowej tragedii. Ale po wielu datach częzej retoryki i scenicznych gestów Jakub utracił wszelką zdolność budzenia wzruszeń w synu. Noe stał sztywno nad umierającym i myślał: „Mój Boże, stary utrzyma się w roli do końca”. Nie potrafił zdobyć się na nic więcej.

— Kiedym się z nim rozstawał — podjął Jakub nie odmykając powiek — kiedy w tysiąc dziewięćset trzecim roku wyjeżdżałem z Odessy, Izrael dał mi osiemnaście rubli i powiedział: „Zły z ciebie człowiek, ale życzę ci wszystkiego dobrego. Przyjmij ode mnie jedną radę. Trzymaj się kobiet. Ameryka nie różni się chyba od reszty świata. I tam znajdziesz idiotki, które cię będą utrzymywać.” Nie podaliśmy sobie rąk i odjechałem. Noe! Jak myślisz? Mimo wszystko brat powinien mi podać rękę?

Głos chorego załamał się nagle. Zmalał, stracił ton i teatralny patos.

— Noe...

— Słucham, ojcze?

— Jak myślisz? Brat powinien mi podać rękę?

— Tak, ojcze.

— Noe...

— Słucham, ojcze.

— Uściśnij mi dłoń, Noe.

Po chwili syn pochylił się i ujął suchą, szeroką rękę chorego. Skóra była spierzchnięta, a długie paznokcie, starannie niegdyś pielęgn-

nowane, miały obrzydliwe zadry i czarne półksiężycy brudu. Ucisnęły sobie dłonie. Noe odczuł niepewne, nerwowe drżenie cienkich palców. !;

— Dobrze już, dobrze! — zawołał nagle Jakub, jak gdyby zirytował się bez powodu albo przestraszył czegoś urojonego. — Dobrze. Wystarczy... — westchnął i zapatrzył się w sufit.

— Noe...

— Słucham

— Masz papier i ołówek?

— Tak...

— Zapisz co podyktuję...

Noe usiadł przy stole. Wziął ołówek i rozłożył arkusik cienkiego białego papieru ozdobiony widoczkami Hotelu Nadmorskiego. Hotel był tu znacznie większy niż naprawdę, otoczony pięknymi trawnikami i grupami wysokich drzew. Nie znajdowało to odbicia w rzeczywistości, lecz na papierze listowym wyglądało zachęcająco i świątecznie. Ojciec zaczął dyktować miarowym, rzeczowym tonem:

— Pan Izrael Ackerman, Klosterstrasse dwadzieścia dziewięć, Hamburg, Niemcy.

— Ależ ojciec... — zdziwił się Noe.

— Pisz dalej po hebrajsku, jeżeli nie umiesz pisać po niemiecku. Mój brat mało ma wykształcenia, ale zrozumie jakoś...

— Rozumiem, ojciec.

Nie umiał pisać ani po niemiecku, ani po hebrajsku, lecz nie widział potrzeby mówienia o tym choremu.

— Kochany bracie... Napisałeś?

— Tak, ojciec.

— Bardzo się wstydzę, że przez tyle lat do ciebie nie pisałem, ale pojmujesz chyba, jak bardzo byłem zajęty. Wkrótce, po przyjeździe do Ameryki... Napisałeś to, Noe?

— Tak — odpowiedział gryzmołąc bezmyślnie. — Napisałem.

— Wkrótce po przyjeździe do Ameryki dostałem zajęcie w bardzo poważnej firmie. Myślę, że trudno będzie ci w to uwierzyć, ale naprawdę pracowałem ciężko i zajmowałem coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska. Po dwóch latach byłem już nieodzowny. Zostałem współnikiem firmy i poślubiłem córkę jej dotychczasowego właściciela, pana von Kramer, pochodzącego z szacownej i starej amerykańskiej rodziny. Na pewno dowiesz się z radością, że mam liczną rodzinę: pięciu synów i dwie córki. Dzieci są naszą dumą i pociechą na stare lata, bo żona i ja jesteśmy już starzy. Wycofaliśmy się z interesów i mieszkamy teraz w arystokratycznej dzielnicy Los Angeles, wielkiego i

miasta nad Oceanem Spokojnym, gdzie przez okrągły rok świeci słońce. Mamy czternastopokojowy dom i ja co dzień sypiam do pół do dziesiątej, a po południu chodzę do klubu i grywam w golfa. Wiem, że zaciekawią cię i ucieszą takie wiadomości i...

Noe dławił się wzruszeniem i dziwną obawą, że gdy otworzy usta, zacznie chichotać i starzec umrze przy akompaniamencie synowskiego śmiechu.

— Noe — rzucił Jakub zaczepnym tonem. — Napisałeś wszystko?

— Tak, ojciec — wykrztusił z trudem.

— To prawda — dyktował dalej ojciec — że jesteś pierworodnym synem i niegdyś często udzielałeś mi wskazówek. Obecnie jednak sprawa starszeństwa ma inne niż w naszych czasach znaczenie. Ja podróżowałem wiele, spodziewam się więc, że zechcesz skorzystać z niektórych moich rad. Przede wszystkim zawsze należy pamiętać, jak Żyd powinien postępować. Świat jest pełen rozmaitych ludzi, a coraz więcej pośród nich zazdrośników. Ci patrzą na Żyda i mówią: „Spójrzcie, jak się zachowuje przy stole” albo „Jego żona nosi fałszywe brylanty”, albo: „Ale ten hałasuje w teatrze!”, albo: „On ma fałszywą wagę. W tym sklepie nie kupisz uczciwie za swoje uczciwe pieniądze”. Czasy są teraz ciężkie i każdy Żyd musi postępować tak, jak gdyby życie wszystkich innych Żydów na całym świecie zależało od każdego jego postępków. Musi więc jeść cicho i prawidłowo posługiwać się nożem i widelcem. Nie może obwieszać swojej żony brylantami, szczególnie fałszywymi. Wagę musi mieć najdokładniejszą w całym mieście, a nadto powinien zawsze pamiętać o godności własnej i należytym szacunku dla samego siebie. — Nie! — zawołał nagle stary Ackerman. — Przekreśl to wszystko! Brat tylko by się rozżoślił...

Westchnął głęboko. Później przez długi czas milczał. Nie poruszał się na łóżku. Noe spojrział nań z ukosa, aby sprawdzić, czy jeszcze żyje. Wreszcie starzec zaczął znowu dyktować. Mówił zdławionym, ochrypłym, jak gdyby cudzym głosem:

— Kochany bracie! Wszystko, co ci doniosłem, to kłamstwo! Wiodłem nędzne życie, oszukiwałem ludzi, a własną żonę na śmierć zdręczyłem. Mam tylko jednego syna i nie widzę dla niego miejsca w świecie, jestem bankrutem i naprawdę spotkało mnie wszystko złe, które wedle słów twoich spotkać mnie miało...

Urwał, zająknął się, jak gdyby chciał powiedzieć coś więcej — i umarł.

Noe dotknął piersi ojca, żeby przekonać się, czy serce bije. Skóra była pomarszczona. Sterczały tylko ostre żebra, a pod nimi panowała głucha, ostateczna cisza.

Syn zajął się umarłym. Złożył mu ręce na piersi i zamknął wytrzeszczone oczy. Nieraz widział na filmach, że tak się robi. Jakub miał otwarte usta, co nadawało twarzy realistyczny wyraz życia. Zdawać się mogło, że lada chwila przemówi. Noe nie wiedział jednak, jak sobie z tym poradzić, i przestał się interesować opadniętą szczęką trupa. Spojrzał na jego sztywniejącą twarz i odczuł nagle ulgę. Nareszcie koniec! Natrętny, władczy głos umilkł. Nie będzie już teatralnych gestów.

Młody Ackerman zaczął myszkować po pokoju. Robił w myśli inwentarz wartościowych przedmiotów. Niewiele znalazł. Dwa niemodne, dobrze podniszczone garnitury dwurzędowe, oprawna w skórę Biblia króla Jakuba, srebrna ramka z jego własną fotografią (jako siedmioletni berbecz siedzi na szetlandzkim kucyku), drewniana szkatułka z parą spinek i szpilką do krawata (nikiel i szkło) oraz starannie owiązana sznurkiem różowa koperta. Noe otworzył kopertę i wyjął z niej papiery: dwadzieścia udziałów warsztatu radiowego, który ogłosił upadłość w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku.

Na dnie schowka leżało tekturowe pudełko, a w nim starannie owinięty w miękką flanelę staroświecki portretowy aparat fotograficzny z obiektywem o dużej soczewce. Spadkobierca znalazł nareszcie coś, co było traktowane z pietyzmem i szacunkiem. Z westchnieniem ulgi mruknął:

— Jak to dobrze, że stary miał dosyć rozumu, by aparat ukryć przed wierzycielami. Może nawet pokryje koszty pogrzebu?

Dotykając wytartej skóry i gładkich szkieł pomyślał, że chciałby mieć ten jedyny, dobrze zachowany ślad po życiu ojca. Ale rozumiał dobrze, iż nie może sobie na to pozwolić. Starannie owinął aparat, wcisnął go do pudła i ukrył pod stosem szmat w kącie schowka.

Koło drzwi zatrzymał się i spojrzał za siebie. W świetle jedynej żarówki zmarły wyglądał tak, jak gdyby żył i cierpiał jeszcze.

Noe przekreślił wyłącznik i otworzył drzwi.

Powoli szedł ulicą. Po tygodniu spędzonym w dusznym pokoju dobrze robił mu umiarkowany ruch na świeżym powietrzu. Oddychał głęboko, czuł się młody, zdrowy. Z przyjemnością słuchał stukania własnych obcasów o wilgotny, błyszczący chodnik. Pachniało morzem — obco jakoś, lecz przyjemnie. Szedł ku wybrzeżu i w miarę jak zbliżał

się do wiszących nad oceanem urwisk skalnych, coraz wyraźniej czuł smak soli we mgłę, która osiadała mu na wargach.

Z ciemności dochodziły dźwięki muzyki — to ciche jak milknące echo, to głośniejsze wraz z nagłymi podmuchami wiatru. Noe ruszył w ich kierunku i gdy znalazł się na rogu, zorientował się, że muzyka gra w barze po przeciwnej stronie ulicy. Co chwila ktoś otwierał drzwi pod oświetlonym napisem:

Ni centa drożej w nowy rok
Przestąp nasz próg
Zrób pierwszy krok.

Szafa grająca zgrzytnęła przy zmianie wałka. W nocnej ciszy rozległ się kobiecy głos. Śpiewał z należytych uczuciem:

Jeden jesteś pod słońcem
I pod księżycem jeden,
Dla ciebie noc ma każda
I dni w tygodniu siedem.

Noe przeciął jezdnię, pchnął drzwi i wszedł do baru. Przy bufecie siedzieli dwaj marynarze i blondynka. Podejrzliwie przyglądali się pijakowi śpiącemu z głową na mahoniowej ladzie. Barman podniósł wzrok słysząc, że wchodzi nowy gość.

— Jest tu telefon? — zapytał Noe.

— Tam.

Barman wskazał w głąb salki. Noe ruszył w stronę kabiny automatu i po drodze usłyszał głos blondynki:

— Pomóście mu jakoś, chłopcy. Najlepiej będzie potrzeć kark lodem — mówiła do marynarzy.

Przymilnie uśmiechnęła się do młodego Ackermana. Siedziała blisko szafy grającej, oświetlonej zielono, i twarz miała seledynową. Noe skinął jej głową i wszedł do kabiny. Wyjął z kieszeni kartkę, którą dał mu doktor. Był tam zapisany telefon zakładu pogrzebowego czynnego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Noe nakręcił numer. Później słuchał wielokrotnego brzęczenia sygnału i myślał, że gdzieś daleko na czarnym biurku dzwonek telefonu ogłasza Nowy Rok w kantorze zakładu pogrzebowego. Chciał już powiesić słuchawkę, kiedy usłyszał głos niepewny i belkotliwy:

— Halo? Firma Grady, zakład pogrzebowy.

— Chciałbym porozumieć się w sprawie pogrzebu —: powiedział Noe. — Mój ojciec umarł kwadrans temu.

— Nazwisko klienta?

— Przede wszystkim chodzi mi o koszty. Mam niewiele pieniędzy i...

— A ja muszę znać nazwisko klienta — przerwał głos bardzo oficjalnym tonem.

— Ackerman.

— Waterfield, w porządku... A imię? — zapytał ochryply głos i dodał szeptem: — Gladys, uspokój się, rozumiesz? Dostyc tego!

Noe usłyszał stłumiony chichot i bezpośrednio po nim dalsze oficjalne pytanie:

— Nazwisko klienta^

— Ackerman! — zawołał zirytowany. — Ackerman!

— Czy to imię?

— Nie, nazwisko. Na imię ojcu Jakub.

— Może zechce pan łaskawie mówić odrobinę wyraźniej—powiedział głos z pijacką godnością.

Noemu wydawało się, że poczuł zapach whisky.

— Czy dowiem się nareszcie — powiedział — ile wasza firma liczy za spalenie zwłok?

— Spalenie zwłok! Aa... Na żądanie klientów chętnie to załatwiamy...

— Ile wynosi koszt?

— A ile ma być karet?

— Czego?

— Ile karet potrzeba na uroczystość. Ilu będzie krewnych? Ilu gości?

— Jeden. Krewny i gość zarazem.

Skończyła się piosenka o słońcu i księżycu, szafa grająca zaczęła zgrzytać i Noe nie dosłyszał zdania z drugiego końca drutu.

— Chciałbym załatwić wszystko jak najtaniej! — zawołał zrozpaczony. — Mam mało pieniędzy.

— Aha... Zdarza się... Wolno zapytać, czy nieboszyk był ubezpieczony?

— Nie.

— W takim razie rachunek płatny gotówką, z góry. Rozumie pan?

— Ile?

— Czy popioły mają być złożone w tekturowym pudle czy w platerowanej urnie?

— W tekturowym pudle.

— Najniższa cena, jaką firma będzie mogła łaskawemu panu policzyć — głos zmienił ton i mówił teraz z zawodową uprzejmością — wyniesie siedemdziesiąt sześć dolarów i pięćdziesiąt centów.

— Dodatkowe pięć centów za pięć minuta — wtrąciła telefonistka. Noe wsunął monetę w otwór automatu.

— Dziękuję — usłyszał znów głos kobiety.

— Dobrze. Siedemdziesiąt sześć dolarów i pięćdziesiąt centów. Pojutrze. Po południu — odparł Noe i pomyślał, że zgromadzi jakoś taką sumę. Będzie miał czas; drugiego stycznia rano pojedzie do śródmieścia, sprzeda aparat fotograficzny i inne rzeczy. — Proszę zanotować adres. Hotel Nadmorski. Wie pan, gdzie to jest?

— Tak — odpowiedział głos przerywany pijacką czkawką. — Naturalnie. Hotel Nadmorski... Naturalnie... Jutro przyślę tam kogoś i będzie pan mógł podpisać zamówienie...

— W porządku... — Spocony Noe chciał już skończyć rozmowę.

— Aha, jeszcze jedno, łaskawy panie... Modły żałobne?

— Jakie znów modły żałobne?

— Chodzi o wyznanie klienta.

Jakub nie miał właściwie żadnego wyznania, lecz Noe nie uważał za stosowne mówić o tym obcemu człowiekowi.

— Mój ojciec był Żydem.

— Aha...

Na chwilę zapadła głucha cisza. Potem Noe usłyszał rozbawiony, zapijaczony głos kobiety:

— No, przędzej, George! Kiedy się nareszcie napijemy?

— Bardzo mi przykro — podjął mężczyzna — ale nasza firma nie jest nastawiona na udzielanie ostatniej usługi izraelitom.

— Co to za różnica? — obruszył się młody Ackerman. — Mój ojciec nie był religijny. Nie trzeba żadnych modłów żałobnych.

— Niepodobieństwo — odparł głos bełkotliwie, lecz z godnością. — Nie obsługujemy izraelitów. Z całą pewnością znajdziesz, mój przyjacielu, wiele innych zakładów nastawionych na palenie Żydów.

— Jak to? Doktor Fishbourne dał mi ten telefon. Czy to omyłka? Czy mówię z zakładem pogrzebowym? Mój ojciec umarł przed kwadransem...

Noe krzyczał jak szaleniec. Był zrozpaczony, złamany. Czuł, że nie zdoła przeprowadzić drugiej takiej rozmowy z innym przedsiębiorcą pogrzebowym.

— Wyrazy współczucia, mój przyjacielu — przerwał mu mężczyzna — w ciężkiej godzinie smutku, ale, jak Boga kocham, nie widzę, w jaki sposób...

Noe usłyszał szamotanie na drugim końcu drutu i głos kobiety, który mówił:

— Poczekaj, George! Ja z nim pogadam.

Kobieta opanowała widać słuchawkę, gdyż po chwili zawołała zachrypłym od whisky głosem:

— Słuchaj, frajerze! Może byś się tak odczepił? Nie mamy czasu. Zrozumiałeś, co ci George gadał? On nie pali parchów. Pomyślnego Nowego Roku!

Na drugim końcu drutu stuknęła słuchawka. Noemu ręce dygotały. Pot zraszał mu czoło. Z trudem powiesił ogłuchłą słuchawkę. Wyszedł z kabiny i kierując się w stronę drzwi minął szafę grającą oraz malowniczą grupę złożoną z dwóch marynarzy, pijaka i blondynki. Szafa bębniła jazzową przeróbkę szkockiej pieśni *Loch Lomond*. Blondynka uśmiechnęła się i tym razem.

— Co się stało, biedaczku? Nie zastałeś jej w domu? — rzuciła.

Noe nie zrozumiał. Odszedł w drugi koniec bufetu. Usiadł na stołku niedaleko drzwi.

— Whisky — zadysponował.

Wypił bez wody, zamówił drugą porcję i znowu wypił duszkiem. Skutek był natychmiastowy, zbawienny. Nędzny bar, obecni w nim ludzie, potworna muzyka — wszystko wydało się Noemu bliższe, przyjemniejsze. Uśmiechnął się nawet, kiedy blondynka przywędrowała do niego z drugiego końca bufetu. Miała na sobie jaskrawożółtą suknię w kwiaty, czerwone pantofle i kokieteryjny kapelusik z czerwoną woalką. Idąc, przesadnie kręciła biodrami.

— Lepiej ci teraz? — zagadnęła młodego Ackermana dotykając lekko jego ramienia. — Co? Lepiej ci?

— Pomyślnego Nowego Roku — odpowiedział.

— Kotku...

Blondynka usadowiła się na sąsiednim stołku obitym purpurową imitacją skóry. Kolanem zaczęła ocierać o kolano Noego.

— Kotku, mam straszne zmartwienie. Rozglądam się i rozglądam po barze i widzę, że tobie jednemu można tu ufać. Kwiat Pomarańczy — zadysponowała, bo barman przydreptał jej śladem za ladą. — Posłuchaj, kotku...

Ujęła Noego za łokieć i bystro spojrzała mu w twarz spod czerwonej woalki. Miała małe, podpuchnięte od pijaństwa niebieskie oczki, poważne i natrętnie.

— Posłuchaj, kotku — ciągnęła wylewnie — mam straszne zmartwienie, a w zmartwieniu najbardziej lubię Włochów. To ludzie z charakterem. Namiętni, ale bardzo, bardzo wyrozumiali. Zawsze chętnie pomogą. A zresztą, kotku, lubię namiętnych nięczyzn. Pokaż mi ciemiegę niezdolnego do namiętności, a ja ci powiem, że to facet, co nie uszczęśliwi kobiety nawet na dziesięć minut w roku. Moim zdaniem, mężczyzna musi mieć dwie rzeczy: wyrozumiały charakter i mięsiste wargi.

— Co takiego? — zdziwił się Noe.

— Mięsiste, wargi — powtórzyła rzeczowo. — Na imię mi Georgia. A tobie, kotku?

— Ronald Beaverbrook... Aha... Muszę cię rozczarować. Nie jestem Włochem.

— Nie...

Z zawiedzioną miną spojrzała na sąsiada. Jednym łykiem wypila pół kieliszka Kwiatu Pomarańczy.

— Gotowa byłam przysiąc... Nie Włoch?... Więc kto, Ronaldzie?

— Indianin — odpowiedział „Ronald”. — Siuks.

— Siuks! Mniejsza o to! Na pewno potrafisz uszczęśliwić kobietę.

— Napijesz się?

— Kotku! — zawołała pod adresem barmana. — Owa Kwiaty Pomarańczy. Mogą być podwójne.

Znowu zwróciła się do Noego:

— Indian też bardzo lubię... zwłaszcza Siuksów. Ale nie myśl, że nie ma mężczyzn, których nie lubię. Są tacy: zwyczajni Amerykanie. Żaden z nich nie ma pojęcia, jak brać się do kobiety. Raz, dwa, trzy i już idzie do domu, do żony. Kotku — ciągnęła kończąc pierwszy kieliszek — może tak poszlibyśmy do tych granatowych chłopaków i powiedzieli im, że mnie zabierasz do domu? Na wszelki wypadek każ dać butelkę piwa, żeby się nie stawiali.

— Az nimi przyszłaś?

Młody Ackerman był teraz wesoły, beztroski. Delikatnie głaskał blondynkę po rękach, uśmiechał się, zaglądał jej w oczy. Dłonie miała szorstkie, spracowane; widać było, że się ich wstydzi.

— To od pracy w pralni — bąknęła. — Nigdy nie pracowałeś w pralni, kotku?

— W pralni? Może... — uśmiechnął się Noe.

— To nieważne, kotku. Przyszłam z tym.

Ruchem głowy wskazała śpiącego przy bufecie pijaka. Woalka zamigotała szkarłatnym i zielonym oświetleniem grającej szafy.

— Facet odpadł w pierwszej rundzie. Wszystko ci Wytlumaczę, kotku. — Przynęła się i zaczęła szeptać rozsiewając silny zapach dżinu, cebuli i fiołkowych perfum. — Marynarze zmówili się przeciwko niemu. Rozumiesz? W mundurach swojej wolnej ojczyzny! Chcą najprzód sprać gościa i wyrzucić za drzwi, a później pójść ze mną i w ciemnej ulicy odbiorą mi torebkę. Idź do nich. Ronaldzie. Pogadaj. Ale na wszelki wypadek zabierz butelkę piwa.

Barman przyniósł dwa podwójne Kwiaty Pomarańczy. Blondynka rzuciła na ladę banknot dziesięciodolarowy.

— Ja stawiam — powiedziała. — W wigilię Nowego Roku wolno mi chyba postawić biednemu, samotnemu chłopcu?

— Za mnie możesz nie płacić — obruszył się młody Ackerman.

— Najlepszego! — Podniosła kieliszek, wzniosła prawie pod nos sąsiada i zalotnie, czule spojrzała mu w oczy przez woalkę. — Pieniądze, kotku... nieważne! Tyle, że możesz za nie zrobić frajdę przyjacielom.

Wypili. Blondynka pogłaskała Noego po kolanie.

— Straszny z ciebie sztywniak, kotku. Bieda. Ale jakoś się chyba rozruszamy? No, chodźmy już! Mam dosyć tej knajpy. Chodźmy do mojego mieszkania. Aha... Wiesz* mam butelkę Czterech Róż. Akurat dla ciebie i dla mnie. Urządzimy małe, rodzinne święto... No, pocałuj mnie nareszcie, kotku!

Pochyliła w tył głowę, zachęcająco przymknęła oczy. Noe pocałował ją w usta. Niezależnie od dżinu i cebuli miękkie wargi smakowały porzeczkami, zapewne dzięki szmince.

— Nie mogę dłużej czekać. — Dosyć pewnie zsunęła się ze stołka i ujęła „Ronalda” pod ramię.

Z kieliszkami w rękach skierowali się na drugi koniec bufetu. Dwaj marynarze, bardzo młodzi chłopcy, spojrzeli na nich niezyczliwie. Mieli niemądre, zawiedzione miny.

— Nie róbcie draki — ostrzegła ich blondynka. — To Indianin, Siuks—cmoknęła Noego za uchem. — Zaraz wracam, kotku, tylko się trochę odświeżę. Chcę, żebyś mnie mocno kochał.

Zachichotała, wilgotnymi palcami uściśnęła rękę Noego i nie zapominając kieliszka ruszyła w stronę damskiej toalety. Szła z przesyadnym wdziękiem. Kwiaty na żółtym tle podrygiwały komicznie nad jej opiętym w elastyczny pas wydatnym zadem.

— Co panu nabajdurzyła? — spytał młodszy z marynarzy.

Siedział z gołą głową, a jego krótko obcięte włosy wyglądały jak pierwszy puch na czaszce niemowlęcia.

— Gadała — odrzekł Noe — że chcecie ją ograbić.

— My ją! — obruszył się marynarz w czapce. — Dobry pomysł! Było akurat na odwrót.

— Dwadzieścia pięć dolarów — podjął młodszy kolega. — Rozumie pan? Zażądała po dwadzieścia pięć dolarów od łebka. Plotła, że jest zamężna i że pierwszy raz chce się puścić, i że należy jej się gruba forsa za ryzyko.

— Myśli, że z niej wielka dama — powiedział marynarz w czapce.

— Ile od pana żąda?

— Nic. Noe odczuł przyływ niedorzecznej dumy. — Chce jeszcze dorzucić butelkę Czterech Róż.

Starszy marynarz zwrócił się do kolegi:

— No i co? Jak ci się to podoba?

— Pójdź pan z nią? — zapytał zazdrośnie młodszy.

— Nie.

— Dlaczego?

Noe rozłożył ręce.

— Nie wiem — odburknął.

— Musisz pan mieć bab po dziurki w nosie — wzruszył ramionami marynarz z gołą głową.

— Mam dosyć! — wybuchnął drugi. — Zabierajmy się stąd! Santa Monica! Fajne miasto! — Z wyrzutem spojrzął na kolegę. — Równie dobrze mogliśmy się bawić w bazie.

— A gdzie jest baza? — zapytał Noe.

— W San Diego. Ale on... — Z pogardliwą, złą miną starszy marynarz wskazał palcem młodszego. — On zorganizował wszystko w Santa Monica. Dwie wdówki, gadał! Z własnym domem! Słuchaj! Ostatni raz wybrałem się gdzieś z tobą.

— To nie moja wina — bronił się chłopiec z niemowlęcym puchem na głowie. — Skąd mogłem wiedzieć, że te dziwki zrobiły ze mnie durnia? Skąd mogłem wiedzieć, że dostałem dęty adres?!

— Godzinami włóczyliśmy się w tej cholernej mgle — podjął drugi. — Szukaliśmy domu pod fałszywym adresem. Nowy Rok, psiamać! Leniej witałem Nowy Rok, jak miałem siedem lat i mieszkałem na farmie w Oklahoma... No. chodźmy! Mam już zupełnie dosyć.

— A co z nim? — Noe wskazał wzrokiem pijaka, który spokojnie spał z głową na mahoniowej ładzie.

— Niech się ta dziwka martwi.

Młodszy marynarz starannie włożył na głowę małą białą czapeczkę i obydwaj chłopcy wyszli z baru. Nim drzwi trzasnęły za nimi, Noe usłyszał gniewny głos:

— Dwadzieścia pięć dolarów! Cholera!

Odczekał moment, przyjaźnie poklepał po ramieniu śpiącego pijaka i ruszył śladem marynarzy. Za drzwiami przystanął. Z lubością oddychał świeżym, wilgotnym powietrzem, które przyjemnie chłodziło rozognioną twarz. Przy końcu ulicy, w mdłym blasku latarni, zobaczył dwie granatowe sylwetki nieodwołalnie niknące z jego życia w tumanie gęstej mgły. Odwrócił się i poszedł w przeciwną stronę. Wypita whisky szumiała mu w głowie miło i melodyjnie.

Noe ostrożnie otworzył drzwi i po cichu przestąpił próg ciemnego pokoju. Poczul smród, o którym zapomniał na pewien czas: alkohol, lekarstwa, jakaś nieokreślona mdląca słodycz... Ręce drżały mu nerwowo. Po omacku zaczął szukać lampki, ale z hałasem potknął się o krzesło, zanim ją zdążył, znaleźć.

Ojciec leżał na łóżku wychudły i sztywny, z ustami otwartymi, jak gdyby za chwilę miał przemówić w półmroku. Noe spojrział nań z góry i niepewnie zachwiał się na nogach. Stary, głupi komediant z teatralną brodą, bielonymi włosami i Biblią oprawną w skórę!

„Zechciej mnie rychło wyzwolić, o Boże!...” Jaką religię wyznawał zmarły? Noe był trochę oszołomiony. Nie mógł skupić się na jednej kwestii. Oderwane, niedorzeczne myśli wędrowały swobodnie tu i ówdzie. „Mięsiste wargi. Dwadzieścia pięć dolarów dla marynarzy, a dla mnie darmo. Dziwne. Nigdy przecież nie miałem szczęścia do kobiet. Widać nieszczeście- dodaje mężczyźnie uroku, a kobieta odczuwa to jakoś. Oczywiście, była potwornie zalana... Ronald Beaverbrook... Toczyła się do damskiej toalety, a kwiaty śmiesznie podrygiwały na żółtej spódnicy. Gdybym został, na pewno leżałbym teraz w ciepłej pościeli... Miękkie, gorące, tłuste ciało... Dżin, cebula, porzeczki...”

Na chwilę odczuł piekący żal, że stoi sam w ohydny, pustym pokoju, nad trupem starca.

„Gdyby odwróciła się sytuacja — myślał dalej — gdybym ja leżał tutaj, a stary był na chodzie... Gdyby dostał równie kuszącą ofertę, na pewno byłby w tej chwili w łóżku z blondynką i butelką Czterech Róż... O Boże! Co za myśli! Przecież to był ojciec, mój rodziciel... — Wzdrygnął się nagle. — Czy na starość i ja będę gadał tak samo?”

Przemógł się. Przez całą minutę stał bez ruchu wpatrzony w twarz zmarłego ojca. Usiłował płakać. Człowiek — każdy człowiek — zmarły samotnie w posępną, zimową noc na przełomie roku, ma chyba prawo żądać łzy od jedyne go syna?

Noe nigdy nie myślał wiele o ojcu, od chwili gdy dorósł na tyle, że stać go było na myślenie o nim. Odczuwał nieokreślony żal, urazę, i na tym koniec. Teraz spoglądał na martwą białą głowę, zarysowaną na tle poduszki niby kamienna płaskorzeźba, piękna i szlachetna. Na pewno Jakub wyglądał tak, jak chciał wyglądać po śmierci, jak wiedział, że będzie wyglądał. Z daleka wędrował, by znaleźć wreszcie ostatnią nędzną izdebkę nad Oceanem Spokojnym. Z brudnych zaułków Odessy przez Rosję, przez Morze Bałtyckie i Atlantyk do wrzaskliwego labiryntu Nowego Jorku. Noe przymknął powieki i oczyma wyobraźni zobaczył życie ojca. Oto ruchliwy, sprytny młody mężczyzna, z dumnym, wysokim czołem i wydatnym nosem łatwo wrasta w obce warunki. Angielski przyswaja sobie szybko, bo ma wrodzony, niezawodny instynkt retora. Szasta się po zatłoczonych ulicach. Byстрыm, przenikliwym okiem ocenia wszystko. Zawsze ma w pogotowiu uśmiech dla dziewcząt, dla współników, klientów, przygodnych znajomych... Odważny i nieuczciwy przemierza Południe. Jest w Atlancie, w Tuscaloosie. Zręczny, przebiegły, nie dba naprawdę o pieniądze, szachruje jednak, ięby je zdobywać i w rezultacie tracić. Wędruje przez amerykański kontynent aż do Minnesoty i Montany... Śmieje się, pali mocne cygara, jest szeroko znany w szynkach i potajemnych szulerniach, jednym tchem opowiada sprośne dykteryjki i cytuje Izajasza... W Chicago żeni się z matką Noego. Na pewien czas poważnieje, dobrze gra nową rolę: jest delikatny, tkliwy, może nawet ma zamiar ustatkować się na dobre i być godnym szacunku obywatelem. .. Jest już w średnim wieku, zaczyna siwieć... Po obiedzie zasiada nieraz w pluszowym saloniku i nieuczonym, melodyjnym barytonem śpiewa małemu synkowi:

W maju, przepięknym maju,
W gaju, zielonym gaju...

Noe smutno pokiwał głową. Dźwięczny, młody jeszcze głos i proste słowa: „W maju, w przepięknym maju” — wracały raz po raz i nie chciały umilknąć.

Mijają lata. Nieubłagany czas wyciąga rękę po Jakuba. Nędzne przedsiębiorstwa są coraz nędzniejsze, nieprzyjaciół przybywa, wrog

świat otacza szachrajami ciasniej i ciasniej. Upadłość w Chicago, upadłość w Seattle, upadłość w Baltimore i wreszcie ostateczna, druzgocąca klęska w Santa Monica... „Wiodłem nędzne życie, oszukiwałem ludzi, a własną żonę na śmierć zdręczyłem. Mam tylko jednego syna i nie widzę dla niego miejsca w świecie. Jestem bankrutem...” Wizja oszukanego brata w żarze ognistego pieca, wizja, co po wielu, wielu latach przybyła z drugiej strony oceanu, by towarzyszyć ostatnim tchnieniom konającego...

Noe spojrzął na trupa suchymi oczami. Otwarte usta stwarzały przejmujący grozą pozór życia. Wzdrygnął się, podszedł do łóżka, pchnął ku górze szczękę. Poczul w palcach ostrą, drapiącą brodę. Zęby szczęknęły sucho, metalicznie. Szczęka wróciła na miejsce, lecz opadła znowu, kiedy Noe cofnął rękę. Zdawać się mogło, że stary Ackerman przemówi lada chwila. Raz po raz przerażony Noe zamykał uparte usta coraz silniej, coraz gwałtowniej. Ilekroć jednak usuwał rękę, wargi rozchyłały się i zęby połyskiwały w żółtym świetle. Noe szalał. Wparł się kolanami w brzeg łóżka, opadł z sił, ale jego ojciec nie ustępował po śmierci, jak za życia nie ustępował nigdy rodzicom, nauczycielom, bratu, żonie, przeciwnościom losu, współnikom, kochankom, synowi...

Noe cofnął się. Otwarte usta ohydnie, blade rysowały się pod bujnym włosiem na tle aktorskiej twarzy i siwej głowy spoczywającej na brudnej poduszce.

Osierocony syn wybuchnął płaczem po raz pierwszy i ostatni tej nocy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Christian siedział w małym, odkrytym wozie patrolowym i bez troski sunął wysadzaną drzewami francuską szosą. Czuł się po trosze oszustem. Na głowie miał hełm, pistolet maszynowy trzymał oparty o kolano. Jadł wiśnie zerwane po drodze w jakimś sadzie niedaleko Meaux. Za pofałdowanym pasmem zielonych wzgórz leżał Paryż — prosto przed nim. Christian mijał kamienne domy i wiedział, że Francuzi przyglądający mu się zza opuszczonych żaluzji mają go za walecznego żołnierza, zdobywcę, niszczyciela. Tymczasem nie słyszał jeszcze ani jednego strzału, chociaż wojna zdawała się dobiegać końca.

Obejrzał się na Brandta siedzącego w tyle samochodu. Brandt — fotograf z kompanii propagandy wojskowej — przyczepił się już w Metz do oddziału zwiadowczego Christiana. Był to szczupły jegomość o minie naukowca, przed wojną ledwie średni malarz. Z Christianem zaprzyjaźnił się w Tyrolu, gdzie przyjechał wiosną na narty. Obecnie był opalony na czerwono, oczy miał zażawione od kurzu, a w hełmie wyglądał jak uczeń bawiący się w wojsko na rodzinnym podwórku. Gniótł się na ciasnym tylnym siedzeniu obok kaprała, olbrzymiego Ślązaka, który rozparł się wygodnie i spychał w kąt Brandta i jego ekwipunek fotograficzny. Christian uśmiechnął się do dawnego znajomego.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał Brandt.

— Z koloru twojego nosa.

Fotograf ostrożnie dotknął przypieczonej, złuszczonej skóry.

— Aha, złazi siódma podszewka. Mój nos nadaje się raczej do przechowywania w domu. No, prędkiej, sierżancie! Zawieź mnie wreszcie do Paryża. Koniecznie muszę wypić coś mocnego, i to niedługo.

— Cierpliwości, mistrzu — uśmiechnął się Christian. — Odrobinę cierpliwości. Wiesz chyba, że to mimo wszystko wojna?

Olbrzymi kapral ze Śląska ryknął śmiechem. Był to wesoły chłopak, prostoduszny i głupi. Chciał przypodobać się przełożonemu, a ponadto dać wyraz szczerzej ucieście z powodu milej wycieczki do Francji. Poprzedniej nocy, kiedy owinięty kocem leżał przy szosie obok Christiana, powiedział z miną bardzo serio, że obawia się zbyt prędkiego końca wojny. Za wszelką cenę chce zabić bodaj jednego Francuza. Jego ojciec stracił nogę pod Verdun w tysiąc dziewięćset szesnastym roku i kapral — nazywał się Kraus — dobrze pamiętał, że jako siedmioletni berbec stanął na baczność przed jednonogim rodzicem i w wigilię Bożego Narodzenia — po Pasterce — zameldował: „Umrę szczęśliwy, jeżeli przedtem zabiję Francuza.” Działo się to przed piętnastoma laty, ale Kraus był wierny danemu słowu i na każdym zakręcie szosy wypatrywał Francuzów, którzy mogliby mu się przysłużyć. W Chanly spotkał go przykry zawód, bo francuski podporucznik wyszedł z kawiarni i machając białą flagą poddał bez wystrzału szesnastu możliwych kandydatów na trupy.

Christian odwrócił się i nad komiczną, czerwono opaloną twarzą Brandta spojrział w stronę dwóch samochodów, które sunęły za nim równą, prostą szosą w siedemdziesięciopięciometrowych odległościach. Porucznik z resztą plutonu posuwał się drugą, równoległą drogą, a te trzy wozy oddał pod dowództwo sierżanta. Rozkaz był prosty: jechać do Paryża, który na pewno nie będzie broniony. Christian Uśmiechnął się dyskretnie. Był dumny, kontent z siebie i z tej pierwszej zupełnie samodzielnej funkcji. Miał pod komendą trzy samochody i jedenastu ludzi uzbrojonych w dziesięć karabinów lub pistoletów maszynowych oraz jeden cekaem.'

Znowu odwrócił się w kierunku jazdy i spojrział wzdłuż gładkiej szosy.

„Śliczny kraj — pomyślał — i troskliwie zagospodarowany. Wymuskane pola, obsadzone topolami na miedzach. Orka jak pod sznur. Równe zagony pokryte świeżą, czerwcową zielenią.” Jakie to wszystko wspaniale, zaskakujące. Po długiej zimie oczekiwania nagły skok przez Europę — cudowna, nieodparta powódź siły, przemyślana i zorganizowana do ostatniej tabletki sody, do ostatniej tuby salwarsanu. Christian uśmiechnął się sennie na myśl, że w Akwizgranie każdy żołnierz otrzymał nie tylko żelazną rację żywnościową, lecz również trzy tuby tego zbawiennego leku. Oto jak Służba Zdrowia oceniała rodzaj francuskiego oporu! I wszystko gra znakomicie. Mapy bez

zarzutu. Magazyny i woda w miejscach z góry przewidzianych. Stan dróg, zakres obrony nieprzyjaciela, jego siły nie inne, niż zapowiadały rozkazy... Christian przypomniał sobie dławiącą Francję sieć maszyn i ludzi, i pomyślał, że tylko Niemcy mogą zdobyć się na coś podobnego.

Nad pomrukiem samochodowego silnika zapanował łoskot śmigła samolotu. Christian uśmiechnął się, odwrócił głowę. Powoli doganiał go stukas, który leciał wzdłuż szosy na wysokości pięćdziesięciu stóp. Wyglądał pięknie, zdobywczo. Dwa koła wysunięte zaczepnie do przodu, niby szpony pod brzuchem sokoła. Christian przyglądał się skrzydłom zarysowanym na tle pogodnego nieba i przez chwilę żałował, że nie wstąpił do lotnictwa. Nie ulega wątpliwości, że lotnicy to pupile armii i cywilów w kraju. Poza tym prowadzą życie niedorzecznie luksusowe, niby w pierwszorzędnym hotelu na urlopie. I co to za ludzie! Najlepsi z całego narodu: młodzi, waleczni, pewni siebie. Widział ich często w barach. Słuchał rozmów prowadzonych w zamkniętych, nielicznych grupkach specyficznym żargonem i na specyficzne tematy. Lotnicy beztriosko szastali pieniędzmi i mówili, jak to było nad Madrytem albo w czasie bombardowań Warszawy. Mówili o dziewczętach z Barcelony i o zaletach lub wadach nowego messerschmitta. W ogóle nie myśleli o śmierci i kłęsce, jak gdyby takie sprawy nie istniały w ich arystokratycznym, izolowanym świecie, pełnym niebezpieczeństw i radości.

Tymczasem stukas zrównał się z samochodem. W oszklonej kabinie widać było uśmiechniętą twarz pilota. Christian odpowiedział uśmiechem i zamachał ręką. Lotnik przechylił maszynę na skrzydło i odpowiedziawszy tak na pozdrowienie odleciał wzdłuż wysadzonej drzewami szosy w stronę Paryża — młodzieńczy, beztrioski, nieustraszony, zdany na własne tylko siły.

W uszach kojąco szumiał miarowy pomruk silnika samochodowego, z włosami igrał pachnący zielenią wietrzyk. Christian siedział rozparty wygodnie, a w głowie dźwięczała mu fraza muzyczna z koncertu, którego wysłuchał w Berlinie podczas urlopu. Była to partia klarnetowa kwintetu Mozarta — żałobna i przejmująca jak beznamiętna skarga dziewczicy, w letnie popołudnie oplakującej lubego nad szeroko rozlaną, leniwą rzeką. Ukołysany wewnętrzną muzyką Christian przymknął powieki. Złote odbłaski światła migotały mu w oczach tylko od czasu do czasu. Dobrze pamiętał klarnecistę. Był to drobny jegomość o zatroskanej minie, zupełnie łysy i z bezbarwnymi, obwisłymi włosami. Przypominał męża-pantoflarza z karykatury.

Christian pomyślał żartobliwie, że w tak podniosłej chwili winien raczej nucić coś z Wagnera. Nie śpiewać dziś *Zygfyda* to w pewnym sensie zdrada wobec wielkiej Trzeciej Rzeszy. Nie bardzo lubił Wagnera, lecz postanowił przypomnieć sobie jakąś jego melodię, gdy upora się z Mozartowskim kwintetem. Będzie z tego jedna niewątpliwa korzyść: Wagner rozbudzi go zupełnie. Tymczasem usnął na dobre. Głowa opadła mu na piersi. Oddychał równo i uśmiechał się przez sen. Kierowca przyjrzał mu się z ukosa, a później odwrócił głowę, zrobił po przyjacielsku drwiącą minę i pokazał go palcem fotografowi i kapralowi, którzy siedzieli w tyle wozu. Ślżak znów ryknął śmiechem, jak gdyby sierżant uraczył go wyborym, szczególnie dowcipnym żartem.

Trzy samochody sunęły spokojnie gładką, prostą szosą. Skąpiana w słońcu piękna okolica była zupełnie pusta, nie licząc mijanego od czasu do czasu zabląkanego bydła, nielicznych kur i kaczek. Zdawać się mogło, że cała ludność urządziła sobie święto i poszła na jarmark do sąsiedniego miasta.

Pierwszy wystrzał był jak gdyby częścią składową melodii. Dopiero pięć dalszych obudziło Christiana. Zgrzytnęły hamulce. Wóz zatoczył się na skraj drogi i wylądował w rowie. Prawie we śnie Christian zeskoczył i padł za osłoną samochodu. Inni dysząc z wrażenia leżeli obok niego w przydrożnym pyłe. Przez chwilę czekał, że coś się zdarzy, że ktoś powie mu, co trzeba robić. Niebawem zorientował się jednak, że inni niespokojnie spoglądają na niego. „Dowodzący podoficer – przypomniał sobie słowa regulaminu – niezwłocznie oceni sytuację i swoją decyzję przekaze podwładnym w formie zwięzłych, jasnych rozkazów. Nie wolno mu okazać niepewności, a przez cały czas ma zachowywać się śmiało i z pewnością siebie.”

– Nikt nie ranny? – szepnął.

– Nikt – odpowiedział Kraus; trzymał palec na cynglu karabinu i łakomy wzrokiem wyglądał zza opony przedniego koła.

Brandt powtarzał nerwowo: „Chryste Panie! Chryste Panie!”, i nieprzymtomnie mocował się z bezpiecznikiem pistoletu, jak gdyby nigdy dotąd nie miał broni w ręku.

– Daj spokój! – ofuknął go sierżant. – Daj spokój pistoletowi. Jeszcze kogo zabijesz.

– Uciekajmy – szepnął fotograf. – Wszystkich nas wystrzelają. Hełm spadł mu z głowy. Włosy miał spocone i zakurzone.

– Stul pysk! – wybuchnął Christian.

Zagrzechotał ogień karabinowy. Pociski zabębniły na blachach samochodu. Jedna opona wystrzeliła.

— Chryste Panie, Chryste Panie — mamrotał Brandt.

Christian postanowił zająć stanowisko za tyłem wozu i po drodze musiał przeczłgać się nad kierowcą.

„Do diabła—przemknęła mu przez głowę myśl nie na czasie—ten chłop nie kapał się chyba od kampanii w Polsce.”

— Może byś się kiedy wykąpał! — warknął gniewnie.

— Rozkaz, panie sierżancie — służbiście odpowiedział żołnierz.

Korzystając z osłony tylnego koła sierżant uniósł nieco głowę. Tuż przed sobą miał kępkę stokrotek, powiększoną dzięki bliskości do rozmiarów przedpotopowego lasu. Dalej ciągnęła się szosa, nad którą powietrze drgało lekko od upału.

W odległości dwudziestu stóp wylądował na drodze mały ptaszek i zajęty własnymi sprawami zaczął podskakiwać po asfalcie. Dziobkiem muskał piórka i od czasu do czasu ćwierkał niemelodyjnie. Zdawać się mogło, że to niecierpliwý klient daje o sobie znać w opustoszałym sklepie.

Sto jardów dalej był wykop o dosyć stromych zboczach, a w nim barykada zagradzająca szosę, jak tama umieszczona w łożysku strumienia. Christian obejrzał ją dokładnie, ale nie zauważył oznak życia. Leżała w głębokim cieniu, gdyż po obydwu stronach drogi rosły szumiące drzewa i zielonymi gałęziami stykały się nad barykadą. Christian zerknął za siebie. W pobliżu był zakręt. Pozostałych dwóch samochodów nigdzie nie było widać. Musiały zatrzymać się po pierwszych strzałach. Sierżant zaniepokoił się o nie i zaczął kłąć w duchu, że zasnął i jak głupiec wpadł w taką kabałę.

Niewątpliwie barykadę zaimprovizowano w pośpiechu: dwa drzewa ze świeżymi jeszcze liśćmi, materace, kanapa, przewrócony na bok wóz konny, kamienie z pobliskiego płotu. Umieszczona była korzystnie, bo gęste drzewa chroniły ją przed obserwacją z powietrza, a niebezpieczeństwo można było odkryć jedynie natknąwszy się na nie, co właśnie stało się przed chwilą. Całe szczęście, że Francuzi wcześniej otworzyli ogień!

Christian czuł na ustach smak popiołu. Strasznie pić mu się chciało. Na języku obolałym trochę od papierosowego dymu zaczął piec nagle sok zjedzonych wiśni.

„Gdyby mieli odrobinę oleju w głowie — myślał zapatrzony pośennie w barykadę tonącą w zagadkowym cieniu — gdyby mieli odrobinę oleju w głowie, byłiby teraz na naszych skrzydłach, gotowi do morderstwa. Jak mogłem tak pokpić sprawę? Jak mogłem usnąć? Moździerz czy karabin maszynowy ustawiony gdzieś w lesie wykoń-

czyłby nas w pięć sekund." Ale dokoła nic się nie działo. Tylko ptaszek podskakiwał za stokrotkami na asfalcie i od czasu do czasu ćwierkał niecierpliwie.

Christian usłyszał szmer i odwrócił się gwałtownie. Ale był to tylko Maeschen, szeregowiec z obsługi jednego z pozostałych w tyle samochodów. Pod osłoną zarośli czołgał się przepisowo, tak jak go uczono podczas szkolenia. Karabin ułożył w kabłąkach zgiętych rąk niczym w kołysce.

— Jak tam u was? — zapytał Christian. — Nikt nie ranny?

— Nie — odsapnął Maeschen. — Wozy stoją za zakrętem. Wszystko w porządku. Sierżant Himmler przysłał mnie, żeby zobaczyć, czy żyjecie jeszcze.

— A żyjemy, odpowiedział ponuro Christian.

— Sierżant Himmler polecił mi zameldować panu sierżantowi, że wróci do dowództwa kompanii, zamelduje, że pan sierżant nawiązał styczność z nieprzyjacielem, i poprosi o wsparcie dwóch czołgów. — Maeschen wyrażał się przepisowo, tak jak wyuczyl go instruktorzy podczas długich, nudnych godzin.

Christian zerknął z ukosa na barykadę, niską i tajemniczą w zielonym cieniu leśnej nawy. „Akurat mnie musiało się to przytrafić — pomyślał z żalem. — Jeżeli wyjdzie na jaw, że spałem, czeka mnie sąd polowy." Usłyszał nagle suchy szelest urzędowych papierów. Zobaczył srogie miny oficerów za stołem i siebie stojącego sztywno, czekającego na nieuchronny cios.

„Bardzo usłużny ten Himmler — pomyślał ironicznie. — Gotów pędzić do tyłu po posiłki. A ja mogę zostać sam. Niech mnie Francuzi zakatrupią."

Himmler był okrągły, hałaśliwy i jowialny. Zawsze śmiał się i robił zagadkową minę, kiedy pytano go o związki krwi z Heinrichem Himmlerem. Jedna z niemiłych legend szwadronu głosiła, że to krewni, może stryj i bratanek, toteż sierżantowi Himmlerowi wszyscy okazywali należyte względy. Zapewne pod koniec wojny okaże się, że to nieprawda, że pokrewieństwo wcale nie istnieje. Do tego czasu jednak Himmler zostanie pułkownikiem — oczywiście tylko dzięki mglistej legendzie, bo to kiepski żołnierz i o własnych siłach nie potrafiłby zajść daleko.

Christian pokręcił głową. Przede wszystkim należało skoncentrować się na bezpośrednim działaniu, a zadanie to było diabelnie trudne. Kiedy życie zależy od każdego poruszenia, myśl lubi wędrować samopas, zbaczać z właściwego kierunku.

Himmler, nie domyty kierowca cuchnący brudnymi mydlinami, ptaszek na asfalcie szosy, bladeść pod opalenizną na twarzy Brandta... Ach, ten Brandt! Przywarował, zarył twarzą w ziemię, jak gdyby zębami mógł sobie wygrzebać wnęk strzelecki!

Nic nie ruszało się za niską barykadą. Chwilami tylko drżały na wietrze zielone liście niedawno ściętych drzew.

— Kryj się! — rzucił Christian podkomendnym.

— Mam zostać? — spytał niespokojnie Maeschen.

— Jeżeli pan łaskaw — odburknął Christian. — Herbatę podamy o czwartej.

Maeschen zrobił niemądrą minę i zaczął wydmuchiwać piasek z celownika swego karabinu.

Christian wysunął pistolet maszynowy nad kępkę stokrotek. Wziął na cel barykadę. Zrobił głęboki wdech. „Pierwszy strzał — pomyślał. — Pierwszy od początku wojny.” Puścił dwie krótkie serie. Strzały pośród drzew narobiły wiele hałasu. Widział, jak pęd powietrza zatargał stokrotkami. Za sobą usłyszał ciche skomlenie i pociąganie nosem. „To Brandt — pomyślał — fotoreporter wojenny.”

Przez moment nic się nie działo. Ptaszek zniknął. Stokrotki uspokoiły się wkrótce. Echa wystrzałów zamarły w lesie.

„Nie — pomyślał Christian — przecież to nie idioci. Nie siedzą za barykadą. Sprawa nie może być aż tak prosta.”

Nie odrywał jednak wzroku od barykady i niebawem dostrzegł w górnej jej części kilka luf karabinowych. Huknęły strzały. Pociski złowieszczo świsnęły nad głowami.

— Nie! Mój Boże! Nie! Nie chcę!

Był to głos Brandta. Do, licha! Czegóż można było oczekiwać od pejzażysty w średnim wieku?

Christian zmusił się do niezamykania oczu. Liczył strzelające karabiny. Było ich sześć, najwyżej siedem. Ogień ustał równie nagle, jak się rozpoczął.

„Za dobre, by mogło być prawdziwe — pomyślał Christian. — Na pewno Francuzi są bez oficera. Kilku chłopaków opuszczonych przez porucznika. Boją się i robią wszystko, co w ich mocy, ale nietrudno będzie ich capnąć.”

— Maeschen!

— Rozkaz panie sierżancie.

— Wracaj do sierżanta Himmlera. Powiedz mu, żeby wyprowadził wozy na szosę. Stąd ich nie będzie widać, Będą zupełnie bezpieczne.

— Tak jest, panie sierżancie.

— Brandt! Uspokój się! — Christian nie spojrzął za siebie, lecz tonem głosu wyraził złość i pogardę.

— Tak, tak wyjąkał Brandt. — Oczywiście... Nie zwracaj na mnie uwagi... Oczywiście zrobię wszystko, co rozkażesz. Licz na mnie. Możesz mi zaufać.

— Maeschen!

— Rozkaz, panie sierżancie.

— Powiedz sierżantowi Himmlerowi, że przez ten lasek obejdę barykadę z prawej strony i spróbuję zaatakować od tyłu. Sierżant Himmler ma wziąć co najmniej pięciu ludzi, zejść z szosy w miejscu, na którym teraz stoi, i w taki sam sposób okrążyć nieprzyjaciela z lewej strony. Za barykadą jest sześciu lub siedmiu Francuzów uzbrojonych tylko w karabiny. Myślę, że nie ma z nimi oficera. Zapamiętasz to wszystko?

— Tak jest, panie sierżancie.

— Za piętnaście minut — ciągnął Christian — wystrzelę raz i zażądam, żeby się poddali. Wtedy zorientują się, że są pod ogniem od tyłu, i na pewno nie będą stawiać oporu. Jeżeli przyjdzie im chęć na obronę, wy uderzycie z drugiej strony. Tutaj zostawię jednego człowieka na wypadek, gdyby chcieli wyjść przed barykadę. Zrozumiano?

— Tak jest, panie sierżancie.

— Dobrze. Odmaszerować.

— Rozkaz, panie sierżancie.

Maeschen odpełznął z dzielną, stanowczą miną.

— Diestl — odezwał się Brandt.

— Aha — rzucił sucho Christian nie odwracając głowy. — Jeżeli chcesz, możesz wycofać się z Maeschenem. Nie jesteś pod moją komendą.

— Wolę iść z tobą — podjął fotograf opanowanym głosem. — Już mi lepiej. Zły moment minął — roześmiał się głucho. — Musiałem przywyknąć do prostego faktu, że ktoś do mnie strzela. Mówiłeś, że masz zamiar zażądać, by się poddali. Lepiej weź mnie ze sobą, żaden Francuz nie zrozumie twojej francuszczyzny.

Christian spojrzął na Brandta. Uśmiechnęli się do siebie.

„W porządku! Chłop jest teraz w zupełnym porządku” — pomyślał sierżant i zaraz dodał głośno:

— Dziękuję, Brandt. Możesz pójść z nami.

Przez gęstwą paproci zaczął pełznąć W stronę lasu. Za nim włókł się Brandt z Leicą w jednej, a przezornie zabezpieczonym pistoletem

w drugiej ręce. Rozpromieniony Kraus stanowił straż tylną. Paprocie były miękkie i pachniały stęchlizną. Od torfiastej ziemi zostawały na mundurach zielonawe plamy. O trzydzieści metrów od szosy ciągnął się niski wał. Po drugiej jego stronie żołnierze mogli wstać i chyłkiem posuwać się dalej. Krzewy podszycia czepiały się ich spodni i butów, gdy ostrożnie postępowali naprzód, równoległe do drogi. Nagle zaszeleściło coś w cichym lesie. Dwie wiewiórki rozpoczęły zabawę i goniąc się przeskakiwały błyskawicznie z drzewa na drzewo.

— Nic z tego nie będzie — rozmyślał Christian. — Cała historia musi skończyć się fatalnie. To wzorowa pułapka, a ja wzorowo pozwoliłem się w nią wciągnąć. Armia wkroczy triumfalnie do Paryża. To rzecz oczywista. Ale ja nigdy nie zobaczę tej stolicy. Trup może leżeć tutaj przez dziesięć lat i nie znajdzie go nikt z wyjątkiem sów lub leśnego zwierza.

Na szosie i później, kiedy pełzał wśród paproci, pił się obficie. Teraz jednak posępny chłód przeniknął mundur i zmroził pot na skórze. Christian zacisnął usta, żeby nie szcząkać zębami. Las roi się pewnie od Francuzów. Zrozpaczeni, zięjący nienawiścią, przemykają się za drzewami znanymi niczym meble we własnych sypialniach. Gorąco pragnęli uśmiercić chociaż jednego Niemca, zanim pochłonie ich ogólna klęska, Brandt przez całe życie szlifował wielkomiejskie bruki, toteż hałasował teraz jak stado bydła zbłąkanego w gąszczu.

„Czemu, u Boga Ojca, musiało to tak wypaść? — myślał Christian. — Pierwsze zadanie bojowe i cała odpowiedzialność na moim karku. Właśnie tym razem porucznik wybrał się własną drogą. Od początku wojny stał mi nad karkiem godzina po godzinie. Patrzył na mnie kosym okiem, krzywił ten swój długi nos i mówił: (Sierzancie, czy tak uczono was wydawać komendy?)» albo: «Sierzancie, czy waszym zdaniem tak należy wypełniać kwit rekwizycyjny?», albo: «Sierzancie, kiedy mówię, że chcę mieć dziesięciu ludzi o godzinie czwartej, to znaczy o czwartej, nie o czwartej dwie ani czwartej dziesięć, ani czwartej piętnaście. Punktualnie o czwartej, sierzancie! Zrozumiano?* Teraz porucznik zadowolony z siebie jedzie samochodem pancernym po idealnie zabezpieczonej szosie. Jest nafaszerowany taktyką, Clausewitzem, teorią szyków bojowych i ruchów oskrzydających i pól ogniowych i regularni marszu według busoli w nieznanym terenie. A czego mu potrzeba? Zwykłej mapy drogowej i kilku galonów benzyny. Tymczasem ja, Christian Diestl, w gruncie rzeczy przebrany cywil, odbywam szaleńczy, zaimprovizowany patrol w pełnym zasadzek lesie. Chcę zaatakować umocnione stanowisko, a mam dwóch ludzi,

którzy nigdy w życiu nie strzelali donikogo... Ta wariacka impreza nie może się udać! Nie może!"

Z niejasnym podziwem wspomniął optymizm, który mu towarzyszył na szosie.

— Samobójstwo — mruknął — proste samobójstwo...

— Co takiego? — Szept Brandta zadźwięczał w cichym lesie jak gong zwołujący na obiad pensjonatowych gości. — Mówiłeś coś?

— Nie, nie. Cicho! — odburknął sierżant.

Oczy bolały go od natężenia, z jakim obserwował każdy liść i każde źdźbło trawy.

— Uwaga! — wrzasnął nagle Kraus. — Uwaga!

Christian dał nurka za drzewo, a Kraus runął na niego całym ciężarem. Pocisk trafił w pień tuż nad ich głowami. Sierżant odwrócił się w jednej chwili. Brandt mrugał nieprzytomnie za szklami okularów i znowu mocował się z bezpiecznikiem pistoletu. Kapral leżąc na boku szarpał karabin, aby wypłatać pas z gałęzi podszycia. Huknął drugi strzał. Christian poczuł, że zapiekło go coś za uchem. Upadł, zerwał się i wystrzelił do klęczącego Francuza, którego dojrzał nagle pośród zielonej gęstwy liści, za dużym głazem. Widział, jak okruchy sypnęły się z kamienia. Spostrzegł, że pistolet ma nie nabity, toteż usiadł na ziemi i zaczął szarpać nowy magazynek, ciasno tkwiący w gnieździe. Nagle usłyszał z lewej strony strzał i głos Krausa, który wrzeszczał jak niedorostek podczas pierwszego polowania na bażanty: „Dostał! Dostał!” Francuz powoli osunął się twarzą na trawę, a kapral skoczył w jego stronę jak gdyby obawiał się, że inny myśliwy może przywłaszczyć sobie zwierzynę. Znow gruchnęły dwa strzały. Kraus upadł do przodu na gęsty krzaczek i leżał rozciągnięty, a gałęzie uginały się pod nim i wprawiały pośladki w rytmiczne drganie. Brandt uporał się wreszcie z bezpiecznikiem i na chybił trafił strzelał w kierunku kępy zarośli. Siedział na ziemi, okulary miał komicznie przekrzywione przygryzł wargi, aż pobielewały, i chcąc opanować drżenie niepewnej ręki, lewą dłonią ścisnął prawy łokieć. Tymczasem Christian zmienił magazynek i również otworzył ogień. Nagle z kępy zarośli wyleciał karabin, a za nim wyskoczył człowiek z rękami podniesionymi w górę. Strzały umilkły. W lesie zapanowała cisza. Christian poczuł duszący, ostry swąd spalonego prochu.

— *Venez!* — zawołał. — *Venez ici!*

Szumiało mu w głowie, w uszach dzwoniło od strzelaniny, ale nagle ukazanie się pokonanego przeciwnika przejęło zwycięzcę wewnętrznym dreszczem dumy.

Francuz zbliżał się powoli. Ręce trzymał nad głową. Mundur miał brudny, kołnierzyk rozpięty, a twarz pod gęstym, ciemnym zarostem trupio bladą ze strachu. Raz po raz nerwowo oblizywał rozchyłone wargi.

— Weź go na muszkę! — rozkazał sierżant Brandtowi, który z podziwu godną zimną krwią fotografował nadchodzącego jeńca.

Brandt zrobił groźną minę i podniósł pistolet. Francuz stanął. Zdawać się mogło, że za chwilę zemdleje. Błagalnym, przerażonym wzrokiem odprowadzał Christiana, kiedy ten mijał go i szedł w stronę krzaka, na którym zawisnął Kraus. Gałęzie nie drgały już i widać było, że kapral naprawdę nie żyje. Sierżant ułożył go na trawie. Biedak miał pogodny, trochę zdziwiony wyraz twarzy.

Chwiejnym krokiem, bo głowa bolała go od kontuzji i krew ciekła z zadraśnięcia nad uchem, Christian podszedł do Francuza upolowanego przez Krausa. Dostał między oczy i twarz miał okropnie zmasakrowaną. Był młody, „mniej więcej w wieku swojego zabójcy.

„Ile złego wynika z amatorskiej roboty — pomyślał. — Cztery strzały od początku wojny, a o bitwie świadczy aż dwóch poległych”.

Zmacał draśnięcie na skroni. Krew przestała się sączyć. Wrócił do Brandta i za jego pośrednictwem rozkazał, by jeniec poszedł do barykady i oznajmił kolegom, że są otoczeni i zginąć co do jednego, jeżeli nie poddadzą się niezwłocznie.

„Mój pierwszy dzień wojny — pomyślał, kiedy Brandt zajęty był tłumaczeniem — a już wysyłam ultimatum, niby jaki generał”. Czuł się beztrosko i niepewnie stał na nogach, a prawdę mówiąc, nie wiedział, czy rozplącze się za chwilę, czy wybuchnie śmiechem.

Francuz z zapalem kiwał głową i mówił coś do Brandta, za prędko, żeby Christian mógł zrozumieć.

— Gada, że załatwi wszystko — rzekł fotograf.

— W porządku. Powiedz mu, że pójdziemy za nim. Dostanie kulkę w plecy, gdyby przyszła mu chęć na jakieś głupstwa.

Brandt przetłumaczył, a Francuz z przekonaniem potwierdził ruchem głowy, jak gdyby usłyszał najgrzeczniejsze zdanie. Ruszyli przez las w stronę barykady i minęli ciało Krausa. Śluzak leżał upokojnie. Zdawać się mogło, że odpoczywa. Blask słońca sączył się przez liście i malował mu hełm ciemnym złotem.

Francuza wypuścili o dziesięć kroków naprzód. Zatrzymał się na skraju lasu koło niskiego kamiennego murku, biegnącego wzdłuż szosy o trzy metry wyżej.

— Emil! — zawołał. — Emil! Posłuchaj! To ja, Morel.

Przesadził murek i zniknął z pola widzenia. Christian i Brandt przysunęli się ostrożnie i ukłękli za kamienną osłoną. Na szosie ich jeniec stał i mówił coś szybko do siedmiu żołnierzy kłęczących lub leżących za barykadą. Od czasu do czasu któryś z Francuzów spoglądał w stronę lasu. Słysząc było szybki, drżący szept kilku głosów. Nawet w mundurach i z karabinami w rękach ludzie ci wyglądali na wieśniaków rozstrzygających z zapalem ważną lokalną kwestię. Christian zastanawiał się, jaki nagły przypływ patriotyzmu lub osobistego męstwa mógł skłonić ich do efekownego, pozbawionego sensu, odosobnionego oporu, do krwawej, niedorzecznej walki bez planu i dowództwa oficera. Liczył, że się poddadzą. Nie miał ochoty zabijać tych szepczących, zmęczonych ludzi, w zaszarganych, lichych mundurach.

Jeniec odwrócił się i podniósł rękę.

— *C'est fait!* — krzyknął. — *Notts sommes finis!*

— Gada, że zrobione — przetłumaczył Brandt — że koniec z nimi.

Sierżant wyprostował się i ruchem ręki nakazał Francuzom złożyć broń. Ale w tej chwili po przeciwnej stronie barykady zagrzęchotały trzy krótkie serie. Żołnierz, który prowadził pertraktację, upadł. Inni pierzchnęli szosą. Strzelali beładnie i jeden po drugim przepadali w lesie.

„To Himmler — pomyślał ze złością Christian. — Akurat w najnieodpowiedniejszej chwili! Gdyby był potrzebny, na pewno...”

Przesadził murek i po stoku zsunął się za barykadę. Ci z drugiej strony strzelali jeszcze, lecz bez wiadomego skutku. Francuzi zniknęli, a Himmler i jego ludzie nie mieli widać ochoty na pościg.

Ranny drgnął, kiedy Christian stanął nad nim. Usiadł i wytrzeszczonymi oczyma spojrzął na Niemca. Później oparł się sztywno o barykadę i sięgnął do ukrytej za pniem skrzynki granatów. Ujął jeden i nieporadnie zaczął ciągnąć zapalnik. Sierżant odwrócił się. Zobaczył nienawistnie wykrzywioną twarz i zęby na zapalniku. Wtedy wystrzelił, a Francuz upadł na wznak. Granat potoczył się po asfalcie. Christian podskoczył, chwycił go i rzucił w las. Na chwilę przycupnął za barykadą. Czekał na wybuch, ale nic nie usłyszał. Ranny nie poradził sobie z zapalnikiem.'

Christian wstał.

— W porządku! — krzyknął. — Himmler, wyłaź!

Po lewej stronie szosy zaszleściły krzaki. Christian spoglądał w dół, na człowieka, którego przed chwilą zabił. Brandt fotografował trupa, bo zdjęcia poległych Francuzów były jeszcze rzadkością w Berlinie.

„Zabiłem człowieka” — pomyślał Christian, nie doświadczył jednak żadnego osobliwego uczucia.

— No i co?—mówił rozradowany Himmler. — Jak ci się podoba? Czysta robota. W sam raz na Żelazny Krzyż!

— Bodaj cię licha! — warknął Christian. — Stul gębę!

Odciągnął zabitego Francuza na skraj drogi i rozkazał uprzętnąć barykadę, a sam z Brandtem wrócił do lasu na miejsce, gdzie leżał Kraus.

Zanim wynieśli go na szosę, Himmler ze swymi ludźmi prawie uporał się z barykadą. Zabity Francuz został w lesie, tam gdzie upadł. Sierżantowi pilno było w dalszą drogę. Ktoś *inny* mógł przecie oddać ostatnią posługę wrogowi, co padł na polu chwały.

Christian ułożył Krausa ostrożnie i troskliwie, ślązak wyglądał bardzo młodo i zdrowo. Koło ust miał czerwone plamy od wiśni, jak mały chłopiec, co z wystraszoną miną wychodzi ze spiżarni, gdzie dobrał się do słoików z marmoladą.

Sierżant zamyślił się. Spojrzał z góry na prostodusznego, dobrze wyrosniętego chłopca, który zawsze śmiał się serdecznie z jego żartów. No cóż, biedaku? Zabiłeś Francuza] Z Paryża trzeba będzie napisać do ojca Krausa, donieść, mu, jak jego syn zginął. Nieustraszony, pogodny, zaciekle w walce, najwspanialszy typ niemieckiego żołnierza. Ojciec będzie dumny mimo żałoby. Christian pokręcił głową. „Nie. Można napisać znacznie lepiej. Tamte slogany przypominają idiotyczne listy z czasów poprzedniej wojny. Trudno zaprzeczyć, że obecnie brzmią komicznie. Lepiej zdobyć się na coś oryginalniejszego, bardziej osobistego... Kiedyśmy go chowali, miał plamy od wiśni na ustach; zawsze śmiał się z moich żartów, a dał się zabić tylko dlatego, że był zbyt wielkim entuzjastą. Można to zresztą wyrazić zupełnie inaczej... Cóż, w każdym razie muszę coś napisać”.

Odwrócił się od nieżywego chłopca i zobaczył dwa samochody wolno nadjeżdżające szosą. Przez chwilę obserwował je z uśmiechem ironicznej wyższości.

— Śmiało! Śmiało, panienczki! Nie ma się Czego bać. Myszy uciekły z pokoju. Można tu stanąć.

Nie gasząc silników samochody zatrzymały się na wysokości szczątków barykady. Kierowca Christiana siedział w pierwszym. Jego wóz nie nadawał się do użytku. Chłodnicę miał przestrzeloną, opony poszarpane kulami. Kierowca był bardzo czerwony, jakkolwiek całą Ntrzelaninę przeleżał w rowie. Brakowało mu tchu, by powiedzieć bez zająknięcia dwa słowa. Christian zdał sobie sprawę, że kierowca był

spokojny podczas walki, kiedy jednak niebezpieczeństwo minęło, wystraszył się i przestał panować nad nerwami.

Christian wydawał rozkazy i bacznie słuchał swego głosu:

— Maeschen, zostaniesz tutaj z Taubem. Zaczekasz, aż następny oddział nadjedzie szosą.

„Głos brzmi pewnie — pomyślał ze znaczną ulgą. — Słowa dźwięczą sucho, energicznie. Dobrze wytrzymałem próbę. Mogę wojować dalej”.

— Maeschen! Pójdziecie do lasu, w tym kierunku. Mniej więcej sześćdziesiąt metrów stąd leży zabity Francuz. Przyniesiecie go i położycie obok tych dwóch. — Ręką wskazał Krausa i zastrzelonego przez siebie Francuza. — Później ktoś pochowa ich jak należy. To wszystko — zwrócił się do reszty oddziału. — Ruszamy!

Wszyscy wsiedli do dwóch samochodów. Kierowcy włączyli bieg i ostrożnie mijali miejsce po rozebranej barykadzie. Na asfalcie widać było plamy krwi pośród zdeptanych liści i kłaków włosia z materaców. Ale w zielonym lesie panował spokój i cisza. Nawet trupy ułożone w trawie na przydrożku wyglądały jak dwaj ogrodnicy odbywający południową drzemkę.

Wozy nabrały rozpędu i szybko wyjechały z cienia. Dalej ciągnęły się otwarte, żyzne pola, nie groziło więc niebezpieczeństwo zasadzki. Słońce dogrzewało i żołnierze, przemarznięci w lesie, pocili się teraz przyjemnie.

„Zrobiłem swoje! Pokazałem, co potrafię. Samodzielnie spełniłem zadanie bojowe. Wiem teraz, za co żreć mi dają” — pomyślał Christian i trochę się zawstydził, że jest zadowolony z siebie, a dyskretny uśmiech rozchyła mu wargi.

Mniej więcej trzy kilometry przed nim, w głębi płytkiej, szerokiej dolinki, leżało małe miasteczko. Zbudowane było z kamienia, a nad zmurszałymi ścianami domów dwie spiczaste wieże kościelne rysowały się średniowieczną koronką. Miasteczko wyglądało zasobnie i bezpiecznie, jak gdyby jego ludność od dawna pędziła spokojny żywot. W pobliżu pierwszych zabudowań kierowca zwolnił i spod oka zerknął na dowódcę.

— Jazda! — zirytował się Christian. — Nikogo tam nie ma. Żołnierz posłusznie dodał gazu.

Z perspektywy szosy domki wyglądały ładnie i przytulnie. Z bliska przedstawiały się znacznie gorzej. Były zaniedbane, tynk opadał z nich płatami. Na ulicy śmierdziało paskudnie. „Ci cudzoziemcy! — pomyślał sierżant. — Same brudasy!”

Ulica skręcała gwałtownie i wychodziła na rynek. Kilka osób stało na stopniach kościoła. Kilka przed kawiarnią otwartą ku zdziwieniu Christiana. „*Chasseur et Pecheur*” — przeczytał szyld nad kawiarnią. Pięciu czy sześciu mężczyzn siedziało przy stolikach. Kelner niósł dwa kieliszki na charakterystycznych małych spodkach. Christian uśmiechnął się. „To mi dopiero wojna!”

Na stopniach kościoła zobaczył trzy dziewczęta we wzorzystych jasnych spódniczkach i głęboko wyciętych bluzkach.

— Oo! — odezwał się kierowca. — O, la, la!

— Tam się zatrzymaj — rzucił sierżant.

— *Avec plaisir, mon colonel* — odpowiedział żołnierz, a Christian spojrział na niego ubawiony i mile zdziwiony tym niespodziewanym objawem kultury.

Kierowca zajechał przed kościół i bezwstydnie zaczął gapić się na dziewczęta. Tęga brunetka z bukietem ogrodowych kwiatów w rękę zachichotała. Jej towarzyszki roześmiały się również i z nietajoną ciekawością zaczęły oglądać dwa samochody pełne niemieckich żołnierzy.

Christian wyskoczył z wozu.

— Tłumacz, do mnie! — zawołał.

Brandt z gotową Leicą stanął u jego boku. Zbliżyli się do dziewcząt czekających na stopniach kościoła. Sierżant zdjął hełm i z wdziękiem ukłonił się po cywilnemu.

— *Bonjour, mesdemoiselles.*

Dziewczęta znów zachichotały, a tęga brunetka powiedziała tak wyraźnie, że zdobywca zrozumiał:

— Ależ on doskonale mówi!

Christian uległ niedorzecznej dumie i dalej prowadził rozmowę, nie odwołując się do lepszej francuszczyzny Brandta.

— Może mi panie powiedzą — ciągnął, dość łatwo dobierając słowa — czy ostatnio przechodzili tędy francuscy żołnierze?

— *Non, monsieur* — powiedziała u uśmiechem brunetka. — Zostawili nas na pastwę losu. A panowie nie zrobią nam nic złego?

— Nie mamy zamiaru krzywdzić nikogo, a zwłaszcza trzech młodych dam tak niezwykłej urody.

— Fiu, fiu! — wtrącił Brandt po niemiecku. — Warto tego posłuchać!

Christian uśmiechnął się pogodnie. Miło było stać w starym kamiennym mieście, na zalanym słońcem placu przed kościołem, patrząc na rysujący się pod cienką bluzką pełny biust brunetki

i flirtować z nią w mało znanym języku. Wyruszając na wojnę nie bierze się pod uwagę takich właśnie możliwości.

— *Mon Dieu* — powiedziała brunetka uśmiechając się zalotnie — czy w waszym kraju uczą takich grzecznych słów w szkołach wojskowych?

— Wojna skończona — oznajmił z godnością Christian. — Przekonacie się wkrótce, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi Francji.

— Ach! — roześmiała się dziewczyna. — Wyborny z pana agitator! — Spojrzała kusząco i Christianowi przemknęła przez głowę szalona myśl, by nakazać godzinny postój w miasteczku. — Czy wielu jest podobnych do pana?

— Dziesięć milionów!

Brunetka załamała ręce z udaną rozpaczą.

— Wielki Boże! Co my z nimi wszystkimi zrobimy? W każdym razie pan jest pierwszy. Proszę! — podała mu bukiet.

Christian spojrział zdziwiony na kwiaty, delikatnie wziął je z rąk dziewczyny.

„Jak to ładnie i po ludzku... Z młodymi zawsze można się dogadać. Dobra wróżba na przyszłość!”

— *Mademoiselle...* — W tej chwili zawiodła go znajomość języka. — Nie wiem, jak to wyrazić... ale... Brandt!

— Pan sierżant — podchwycił fotoreporter gładką poprawną francuszczyzną — pragnie dać wyraz szczerzej wdzięczności i uważa tę wiązanekę za symbol mocnych więzów przyjaźni łączącej nasze dwa wielkie narody.

— Tak — powiedział Christian zazdrosny o przewagę Brandta. — O to mi właśnie chodziło.

— A! — zawołała dziewczyna. — To pan sierżant. Oficer.

Jeszcze życzliwiej uśmiechnęła się do zdobywcy, ten zaś pomyślał, że Francuzki nie bardzo różnią się od dziewcząt, co pozostały daleko, w kraju.

Nagle usłyszał za sobą tupot kroków po bruku — energiczny, żwawy. Odwrócił się trzymając bukiet i w tej chwili poczuł na palcach lekkie, szybkie uderzenie. Kwiaty wypadły mu z ręki i rozsypały się po zakurzonych płytach chodnika.

Przed Christianem stał stary Francuz w czarnym garniturze i zielonkawym filcowym kapeluszu. W rękę trzymał laskę. Miał ostrą, surową twarz i wstążeczkę wojskowego orderu w klapie marynarki. Mierzył najeźdźcę nienawistnym wzrokiem.

— Pan to zrobił? — zapytał Christian.

— Nie rozmawiam z Niemcami — odburknął starzec.

Mina i postawa wskazywały, że to dymisjonowany oficer zawodowy, przywykły do rozkazywania. Ogorzała, zryta zmarszczkami twarz potęgowała jeszcze to wrażenie.

— Ścierki! — zawołał starzec pod adresem dziewcząt. Czemu nie kładziecie się od razu? No, jazda. W górę kiecki! Przynajmniej zróbcie swoje!

— Proszę się uspokoić, kapitanie. To nie tamta wojna — powiedziała posepnie tęga brunetka.

Christian czuł się bardzo głupio, nie miał jednak pojęcia, co zrobić lub powiedzieć. Znalazł się w sytuacji raczej niewojskowej, a trudno przecież było użyć siły przeciwko siedemdziesięcioletniemu dziadowinie.

— Ładne Francuzki! Tfu! — splunął starzec. — Kwiaty dla Niemców. Oni mordują waszych braci, a wy do nich z bukietami!

— To tylko żołnierze — powiedziała nieśmiało brunetka. — Są daleko od domów i rodzin... tacy młodzi i przystojni, w ładnych mundurach...

Bezwstydnie zerknęła znów na Brandta i Christiana, który nie mógł pohamować śmiechu, słuchając tak prostego, kobiecego rozumowania.

— W porządku, mój staruszk — powiedział. — Widzisz, nie mamy już kwiatów. Idź. Wypij na pociechę.

Przyjaźnie położył mu dłoń na ramieniu, ale starzec otrząsnął się ze wstrętem.

Głośno stukając obcasami odszedł środkiem rynku.

— O, la, la! — mruknął kierowca Christiana i nieźyczliwie spojrział na czupurnego Francuza, kiedy ten mijał samochód.

Starzec nie zwrócił na niego uwagi i krocząc w stronę kawiarni wykrzykiwał na całe miasto:

— Francuzi! Francuzi! Co dziwnego, że *Boche* przyszli do nas tym razem? Brak wam serca! Brak odwagi! Jeden strzał i żołnierze umykają jak króliki! Jeden uśmiech i baby gotowe iść do łóżek z całą niemiecką armią! Francuzi nie pracują, nie modlą się, nie walczą! Wiedzą tylko, jak kapitulować. Kapitulować na froncie! Kapitulować w sypialniach! Francja szykowała się do tego przez dwadzieścia lat! Teraz pokazuje, na co ją stać!

— O, la, la! — powtórzył kierowca, który dobrze rozumiał po francusku.

Schylił się, podniósł kamień i od niechcienia rzucił w stronę Francuza. Chybił wprawdzie, lecz kamień uderzył w duże okno

kawiarni. Szyba rozsypała się z brzękiem. Później na rynku zapanowała cisza. Starzec nie odwrócił się nawet, nie spojrzął na wyrządzoną szkodę. Ciężko usiadł przy stoliku, oparł się na rączce laski i nienawistnym, pełnym rozpaczony wzrokiem mierzył z oddali niemieckich żołnierzy.

Christian podszedł do kierowcy.

— Dlaczego to zrobiliś? — zapytał spokojnie.

— Facet zanadto hałasował. Chciałem nauczyć brudasów szacunku dla niemieckiej armii — odpowiedział kierowca, barczysty, brzydki mężczyzna w średnim wieku, typowy taksjarsz berliński. Christian nie znosił go instynktownie.

— Pamiętaj, żeby mi się to nigdy nie powtórzyło. Zrozumiano?

Kierowca stanął prawie na baczność, ale nie odezwał się słowem. Tępo, wyzywająco spojrzął w oczy sierżanta.

Christian odwrócił głowę.

— Gotowe! — zawołał. — Ruszamy dalej!

Dziewczęta były ujarzmione. Nie zamachały rękami, kiedy samochody przeciąwszy rynek niknęły w ulicy, która wiodła w stronę Paryża.

Christian rozczarował się bardzo, kiedy zajechał przed brunatny, rzeźbiony maszynę Porte Saint Denis i zobaczył rozległy plac pełen pojazdów pancernych i szarych mundurów. Żołnierze wylegiwali się na betonie albo jedli wokół kuchen polowych. Całość sprawiała wrażenie, jakby bawarskie miasto garnizonowe gotowało się do defilady w dniu święta narodowego. Christian nie był nigdy w Paryżu, wymarzył sobie jednak, że kulminacyjnym punktem wojny będzie godzina, gdy on pierwszy przejedzie historycznymi ulicami i wprowadzi zwycięską armię do prastarej stolicy wroga.

Między odpoczywającym wojskiem i karabinami w kozłach zajechał wolno przed cokół pomnika. Himmlerowi dał znak, żeby zatrzymał drugi samochód. Byli na miejscu. Tutaj, zgodnie z rozkazem, miała się odbyć zbiórka szwadronu. Christian zdjął hełm, rozsiadł się wygodnie i odetchnął głęboko. Żakończył swą misję.

Brandt wyskoczył z wozu i pracowicie zaczął fotografować żołnierzy posilających się lub stojących grupkami u stóp pomnika. Mimo munduru i pistoletu w czarnej kaburze sprawiał wrażenie urzędnika bankowego, który korzystając z urlopu na gwałt robi zdjęcia do rodzinnego albumu. Troskliwie wybierał modele. Szczególnie odpowiadali mu najmłodszy i najprzystojniejszy chłopcy, o ile możliwości blondyni, szeregowcy i podoficerowie różnych stopni.

— Zadanie moje polega na tym — objaśnił raz Christiana — by cywilom w kraju wojnę pokazać atrakcyjnie.

Teoria ta była, zdaje się, słuszna, gdyż Brandt był już przedstawiony do nominacji oficerskiej, a na swe prace otrzymywał wiele zamówień, nawet z centrali propagandy w Berlinie.

Cywilną ludność francuską na ulicach Paryża reprezentowało tego dnia dwoje małych dzieci, które wędrowały nieśmiało między biwakującymi oddziałami. Brandt wypatrzył je i sprowadził na miejsce, gdzie Christian czyścił pistolet siedząc na masce lekkiego wozu rozpoznawczego.

— Błagam cię o przysługę! — zawołał fotograf. — Pozuj mi z tą parką!

— Szukaj kogoś innego. Nie jestem aktorem.

— Chcę cię uczynić sławnym! Nachyl się i daj im coś słodkiego.

— Nie mam nic słodkiego.

Dwoje pięciolatek — chłopiec i dziewczynka — stało przy kole samochodu i smutno spoglądało na Christiana czarnymi oczami.

— Masz — powiedział Brandt wyjmując z kieszeni czekoladę.

— Wzorowy żołnierz jest przygotowany na wszystko.

Christian westchnął i odłożył wymontowaną lufę pistoletu maszynowego. Pochylił się nad parką słicznych, umorusanych dzieciaków. Fotograf przykucnął i podniósł aparat na wysokość oczu.

— Znakomite typy — paplał. — Młoda Francja: urodziwa, niedożywiona, smutna, ufająca. Poczciwy niemiecki sierżant, hojny, życzliwy, atletycznie zbudowany, przystojny, fotogeniczny...

— Wynos się do stu diabłów! — przerwał mu Christian.

Brandt robił szybko zdjęcia pod różnymi kątami.

— Proszę o miły uśmiech, o tak! No i nie dawaj czekolady, póki ci nie powiem. Na razie trzymaj tylko. Niech wyciągają po nią ręce.

— Może by tak szeregowiec nie zapomniał, że mówi do swojego przełożonego — zażartował sierżant spoglądając z góry na smutne twarzyczki bez uśmiechu.

— Sztuka to nasz najwyższy przełożony — odpalił Brandt.

— Szkoda, że nie jesteś blondynem. Jasne włosy, a byłby z ciebie idealny model niemieckiego wojaka. Masz taką minę, jak gdybyś nie mógł znaleźć we łbie ani jednej ludzkiej myśli.

— Słowo daję, będę musiał zameldować, że wygłaszasz zdania uwłaczające armii niemieckiej.

— Mój drogi, artysta stoi ponad takimi małostkowymi sprawami.

Podczas tej gawędy Brandt skończył serię zdjęć, a gdy zawołał: „W porządku!”, Christian dał dzieciom czekoladę. Nie powiedziały nic. Spojrzały tylko w górę, schowały tabliczki do kieszeni i odeszły spokojnie między stalowe maszyny, podkute buty i kolby karabinów.

Samochód pancerny i trzy wozy rozpoznawcze wjechały na plac i powoli zmierzały w stronę miejsca, na którym biwakował oddział Diestla. Sierżant posmutniał trochę na widok swojego porucznika. Koniec niezależnego dowództwa! Zasalutował, a oficer odpowiedział wojskowym ukłonem. Potrafił to robić ruchem najelegantszym chyba od zarania wojskowości. Kiedy podnosił rękę do daszka czapki lub hełmu, widzowie słyszeli szcęk mieczów i pobrzękiwanie ostróg przez wieki historii, poczynszy od wypraw Achillesa i Ajaksa. Nawet teraz, po długim rajdzie z Niemiec, porucznik był wymuskany, nieskazitelny. Christian nie lubił go i czuł się nieswojo w obliczu tej sztywnej doskonałości. Porucznik był bardzo młody — miał dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery lata — kiedy jednak toczył dokoła chłodnym, stalowym, rozkazującym spojrzeniem, zdawać się mogło, że bezlitośnie demaskuje przebraną w mundury leniwą „cywilbandę”. Pod jego okiem sierżant czuł się zawsze niedołągą, chociaż rzadko zdarzało mu się to w obecności innych mężczyzn. Stał teraz na baczność i szybko powtarzając w pamięci przygotowane *zawczasu słowa meldunku* patrzył, jak porucznik zwinnie zeskakuje z wozu. Doświadczał rozmaitych niemiłych uczuć. Myślał o swojej ciężkiej winie, o zaniedbaniu elementarnych obowiązków dowódcy, o tym, że jak dureń wpakował się w leśną zasadzkę.

— Raport, sierżancie.

Porucznik sucho cedził słowa głosem, który mógłby należeć do Bismarcka w okresie jego studiów w szkole oficerskiej. Nie rozglądał się dokoła. Nie zdradzał zainteresowania dla starej architektury. Równie dobrze mógł znajdować się na olbrzymim, nagim poligonie pod Królewcem, jak w centrum Paryża w dniu, gdy nieprzyjacielskie wojska wkroczyły do stolicy Francji po raz pierwszy od tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku. „Wspaniały, obmierzły typ — pomyślał Christian — konieczny i niezastąpiony w każdym wojsku.”

— O godzinie dziesiątej zero zero — meldował sierżant — na szosie Meaux — Paryż nawiązałem kontakt z nieprzyjacielem. Nieprzyjaciel zajmował stanowiska za dobrze maskowaną barykadą. Otworzył ogień na czołowy wóz. Przeprowadziłem natarcie z ośmioma ludźmi. Zabiliśmy dwóch Francuzów, a resztę zmusiliśmy do ucieczki. Następnie zburzyliśmy barykadę.

Christian zawaha] się na ułamek sekundy.

— Dalej, sierżancie — wtrącił sucho oficer.

„Teraz się dopiero zacznie!” — pomyślał Diestl i meldował głośno:

— Nie obeszło się bez strat, panie poruczniku. Poległ kapral Kraus.

— Kapral Kraus... — powtórzył porucznik. — Czy spełnił żołnierski obowiązek?

— Tak jest, panie poruczniku — odpowiedział Christian i przypomniał sobie niezdarne gołobitę, który pędził przez szumiący las i dar! się jak szalony: „Dostał! Dostał!” — Pierwszym strzałem zabił nieprzyjacielskiego szeregowca.

— Doskonale — powiedział porucznik i lodowaty uśmiech zmarszczył na moment koniec jego ostro zarysowanego nosa. — Doskonale.

„Jest uszczęśliwiony” — pomyślał sierżant ze zdziwieniem.

— Jestem pewien — podjął oficer — że kapral Kraus zostanie pośmiertnie odznaczony.

— Myślałem, panie poruczniku, o napisaniu listu do jego ojca.

— Nie, to nie wasze zadanie, sierżancie, lecz obowiązek dowódcy szwadronu. Ja zamelduję o faktach panu kapitanowi Mullerowi i pan kapitan sam napisze. Sprawa jest delikatna. Chodzi o dobór właściwych zdań. Pan kapitan Muller niewątpliwie będzie wiedział najlepiej, jak redaguje się tego rodzaju listy.

„Ciekawa rzecz — pomyślał Christian — czy w rozkładzie zajęć szkoły oficerskiej figuruje pozycja: «Korespondencja z rodzinami poległych — jedna godzina tygodniowo*.”

— Sierżancie — rzucił młody oficer — jestem zadowolony z was i z ludzi pod waszym dowództwem.

— Dziękuję, panie poruczniku! — zawołał Christian z zupełnie niedorzeczną radością.

Brandt zbliżył się i zaszalutował. Porucznik odpowiedział mu chłodno. Nie lubił Brandta, który nie mógł się zdobyć na wojskowy wygląd. W ogóle nie miał antypatii dla żołnierzy noszących na wojnie aparaty fotograficzne zamiast karabinów: Ale rozkazy naczelnego dowództwa były jasne i nie można ich było lekceważyć. Fotografom należała się opieka i wszelka możliwa pomoc na każdym szczeblu.

— Panie poruczniku — odezwał się Brandt ślamazarnym głosem niepoprawnego cywila. — Mam rozkaz jak najprędzej zameldować się z filmami na placu Opery. Rolki są tam odbierane i mają lecieć do Berlina. Czy mógłbym prosić o środek lokomocji? Wróć niedługo.

— Zaraz wam odpowiem, Brandt.

Porucznik odwrócił się i ruszył w stronę amfibii, która dopiero co wjechała na plac. Siedział w niej kapitan Muller — dowódca szwadronu.

— Facet przepada za mną — mruknął Brandt.

— Na pewno dostaniesz wóz — powiedział Diestl. — Jest cholernie zadowolony.

— Ja też przepadam za nim — podjął fotograf — i w ogóle za wszystkimi porucznikami.

Rozejrzał się dokoła. Objął wzrokiem bezbarwne, kamienne fasady domów czynszowych, hełmy* szare mundury i rosłych, zbrojnych mężczyzn, którzy wyglądali dziwnie obco na tle francuskich sztyldów i zamkniętych na głucho kawiarni.

— Ostatni raz — myślał głośno — byłem tutaj niespełna przed rokiem. Miałem jasnogrnatową marynarkę i flanelowe spodnie. Wszyscy brali mnie za Anglika, traktowali więc życzliwie. Spójrz! Za tym rogiem jest urocza mała knajpka. Był ciepły letni wieczór. Zajechałem tam taksówką w towarzystwie pięknej czarnowłosej dziewczyny; pierwszy raz spałem z nią tego popołudnia. — Rozmarzony przymknął oczy i oparł głowę o bok lekkiego samochodu pancernego. — Uważała, że celem istnienia płci pięknej jest podobanie się mężczyznom, i miała najpiękniejsze piersi po tej stronie Dunaju. Przed kolacją piliśmy szampana... Była ubrana w prostą, ciemnoszafirową suknię. Rozumiesz: taka młoda, dobrze wychowana dziewczyna. Patrząc na nią nie mogłem uwierzyć, że przed godziną leżałem z nią w łóżku. Siedzieliśmy naprzeciwko i nad stołem ściskali sobie ręce. Zdaje mi się nawet, że ona miała łzy w oczach. Zamówiłem butelkę chablis i wyśmienity omlet. Nigdy w życiu nie słyszałem wtedy o poruczniku Hardenburgu, wiedziałem, że za półtorej godziny wrócę z nią do łóżka, i taki byłem szczęśliwy, że z radości mógłbym sobie w łeb palnąć!

— Przezań! — wybuchnął Christian. — Moje morale żołnierskie trzęsie się w posadach!

— To było dawno — ciągnął Brandt nie otwierając oczu. — Kartka ze wspomnień ohydny cywila. Tak, to było dawno, zanim zostałem figurą wojskową.

— Otwórz oczy — powiedział Christian — i wyleż wreszcie z tego łóżka. Porucznik nadchodzi.

Obydwojaj stanęły na baczność. Hardenburg zatrzymał się przed nimi.

— Załatwione, Brandt — powiedział. — Dostaniecie wóz.

— Dziękuję, panie poruczniku.

— Sam z wami pojedę — ciągnął oficer. — Zabiorę Diestla i Himmlera. Kapitan słyszał, że mamy kwaterować w tamtej dzielnicy. Chce mieć meldunek sytuacyjny. — Na twarzy wydobył uśmiech, jak mu się zapewne zdawało, życzliwy i koleżeński. — No i należy nam się chyba mała wycieczka krajoznawcza? Chodźcie, chłopcy!

Poprowadził swoich ludzi do samochodu, w którym Himmler czekał już na tylnym siedzeniu, a porucznik zajął miejsce obok kierowcy i siedział sztywny, wyprężony — wzorowy przedstawiciel armii niemieckiej i Trzeciej Rzeszy na bulwarach okupowanego Paryża.

Brandt zrobił oko do sąsiada i wzruszył ramionami, kiedy pomknęli w stronę placu Opery. Himmler prowadził wóz po kawalersku, bez wahania. Kilkakrotnie spędzał urlopy w Paryżu i mówił po francusku niemal zrozumiale: płynnie, chociaż niegrammatycznie. Jak zawodowy przewodnik wskazywał towarzyszącej mu grupie obiekty godne uwagi: swoją ulubioną kawiarnię, kabaret, gdzie oglądał tańczącą nago amerykańską Murzynkę, uliczkę, przy której znajdował się dom publiczny (jego zdaniem wyposażony najlepiej pod słońcem). Himmler — oddziałowy wesołek i polityk — reprezentował typ rozpowszechniony we wszystkich armiach. Był z reguły ulubieńcem oficerów surowalających mu na poufałość, za którą innych żołnierzy czekałaby surowa kara. Porucznik siedział teraz sztywno obok kierowcy, łakomym wzrokiem pochłaniał wyludnione ulice i nawet parę razy roześmiał się z błazeństw Himmlera.

Plac Opery był pełen wojska. Na efektywnym tle wyniosłych kolumn, na szerokich schodach kręciły się takie tłumy żołnierzy, że w pierwszej chwili prawie nie dziwił brak kobiet i cywilów w centrum miasta.

Brandt — bardzo ważny i zaaferowany — wszedł ze swym aparatem i filmami do gmachu słynnego teatru. Hardenburg i Diestl wysiedli z samochodu. Zadarli głowy i gapili się na okazały fronton i kopułę.

— Szkoda, że nigdy tu nie byłem — powiedział cicho porucznik. — Paryż w czasie pokoju jest na pewno cudowny.

— To samo właśnie przyszło mi do głowy — roześmiał się Christian.

Oficer odpowiedział naturalnym, przyjaznym uśmiechem. Christian zdziwił się, czemu był zawsze onieśmielony w towarzystwie tego w gruncie rzeczy prostego człowieka.

Sprawy służbowe załatwione — oznajmił Brandt wybiegając żywo z gmachu Opery. — Mam zameldować się dopiero jutro po południu.

Powiedziałem, jaki dostarczam materiał. Byli zachwyceni. Mało brakowało, a z miejsca mianowaliby mnie pułkownikiem.

— Posłuchajcie, Brandt — Hardenburg mówił tonem wahania, chyba pierwszy raz od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku. — Czy nie moglibyście sfotografować mnie przed Operą? Chciałbym posłać zdjęcie żonie.

— Z prawdziwą przyjemnością, panie poruczniku — odpowiedział poważnie Brandt.

— Himmler! — zawołał oficer. Diestl! Do mnie! Będzie grupa.

— Panie poruczniku — zaprotestował Diestl — lepiej niech pan będzie sam na zdjęciu. Po co nasze facjaty pani porucznikowej?

Znał Hardenburga od roku, lecz pierwszy raz odważył się na podjęcie z nim dyskusji w najbardziej bodaj błahej sprawie. Ale porucznik nie ustępował. Otoczył ręką ramiona Christiana, ten zaś miał przez chwilę wrażenie, że oficer musiał coś wypić.

— Nie, nie! Dużo pisałem o was żonie. Na pewno się ucieszy.

Brandt długo się ustawiał, bo chciał, żeby zdjęcia były dobre i za tło miały jak największą część frontu Opery. Himmler uśmiechał się po błazeńsku, ale porucznik i Christian poważnie spoglądali w obiektyw, jak gdyby należycie doceniali wagę historycznej chwili.

Kiedy wreszcie fotograf skończył, wszyscy wdrapali się do samochodu i odjechali w kierunku Porte Saint Denis. Zbliżał się wieczór. W ukośnych promieniach słońca miasto leżało jasne, wyludnione. Na wielu ulicach nie było nawet żołnierzy ani ruchu wojskowych pojazdów. Christian poczuł się nieswojo — pierwszy raz od chwili gdy przybył do Paryża.

— Historyczny dzień — odezwał się Hardenburg — którego wielkość nie przeminie. Po latach będziemy wracać myślami do tego dnia i mówić: „Byliśmy tam na prugu nowej ery.”

Diestlowi' zdawało się, że siedzący obok niego Brandt zrobił ironiczną, złośliwą minę. Brandt długie lata spędził we Francji i zapewne dlatego odnosił się cynicznie do wszelkich, pompatycznych uczuć i wypowiedzi.

— W tysiąc dziewięćset czternastym roku mój ojciec dotarł nad Mamę — odezwał się Hardenburg. — Marna! Tak blisko! I nigdy nie widział Paryża. Dzisiaj przekroczyliśmy Mamę w pięć minut. Historyczny dzień...

Urwał i spojrzął bystro w boczną ulicę, którą właśnie mijali. Christian wzdrygnął się. Bezwiednie zwrócił wzrok w tę samą stronę.

— Himmler, czy to ta ulica? — zapytał oficer.

— Jaka, panie poruczniku?

— Chodzi mi o ten dom... sławny. Mówiliście przecież o nim.

„Co za pamięć! — pomyślał Christian. — Wszystko utrwała raz na zawsze: stanowiska dział, regulamin sądów polowych, zasady odkażania metali wystawionych na działanie gazów trujących, adres francuskiego burdelu zasłyszany przypadkowo dwie godziny temu, i to w zupełnie obcym mieście...”

Himmer przyhamował, a Hardenburg mówił z godnością:

— Wydaje mi się, że w taki dzień, w dzień walki i triumfu... Jednym słowem, należy się nam rozrywka. Żołnierz, który nie ma kobiet, jest do niczego. Brandt, mieszkaliście przecież w Paryżu. Słyszeliście o tym lokalu?

— Tak jest, panie poruczniku. Cieszy się doskonałą opinią.

— Zawróćcie no, sierżancie.

— Rozkaz, panie poruczniku!

Himmler uśmiechnął się, sprawnie zakreślił małe koło na pustej jezdni i pomknął we wskazanym kierunku.

— Wiem — rzekł poważnie oficer — że mogę liczyć na waszą dyskrecję.

— Tak jest, panie poruczniku — oświadczyli chórem.

— Dyscyplina w swoim czasie, koleżeństwo w swoim. To tutaj, Himmler?

— Tak jest, panie poruczniku. Ale lokal chyba zamknięty.

— Chodźcie ze mną.

Zeskoczył na jezdnię i przez chodnik pomaszerował w stronę ciężkich dębowych drzwi. Głośno tupał obcasami, a echa odpowiadały w wąskiej uliczce, jak gdyby defilowała kompania piechoty. Kiedy zaczął stukać, Brandt i Diestl wymienili złośliwe uśmiechy.

— Niedługo zacznie nam sprzedawać pornograficzne odkrytki — szepnął fotoreporter.

— Cicho! — syknął sierżant.

Po chwili drzwi uchyliły się. Porucznik i Himmler wtargnęli do lokalu po trosze dzięki perswazji, po trosze siłą. Drzwi trzasnęły za nimi. Brandt i Christian zostali sami na pustej, spowitej już w mroku ulicy. Nic nie było słyhać. Rolety zasłaniały okna wszystkich domów.

— Miałem wrażenie—powiedział Brandt — że porucznik zaprosił nas na tę zabawę.

— Cierpliwości. Toruje drogę.

— Drogę wolę zawsze torować sam. Zwłaszcza do kobiety.

— Dobry oficer — podjął z powagą Diestl — dba przede wszystkim o zakwaterowanie podkomendnych. Później myśli o sobie.

— Słusznie! Idź do porucznika i udziel mu takiej nauki.

Dębowe drzwi uchyliły się i Himmler zachęcająco kiwnął ręką. Zeskoczyli z samochodu. Weszli do przedsionka. Mauretańska lampa rzucała purpurowe blaski na szerokie schody i ściany obwieszone kotarami.

— *Madame* zaraz mnie poznała — gadał Himmler idąc po schodach przed kolegami. — Pocałunek od serca, *mon cher garçon* i takie rzeczy... Rozumiecie? Fajna historia, co?

— Sierżant Himmler — powiedział Brandt — szeroko znany w burdelach pięciu krajów. Cenny wkład Niemiec do wielkiej sprawy przyszłej Federacji Europejskiej.

— Tak czy inaczej — uśmiechnął się Himmler — nie marnowałem czasu w Paryżu. Tutaj... do baru. Dziewczynki jeszcze nie gotowe. Najprzód musimy trochę popić. Cóż, wojna! Nie wszystko może być na zawołanie.

Pchnął drzwi. Porucznik bez hełmu i rękawiczek siedział sztywno na wysokim stołku. Założył nogę na nogę i ostrożnie skubał palcami złotą cynfolię pokrywającą szyjkę butelki szampana. Mały pokój, w którym mieścił się bar, zdobiły zielone stiuki, okna w kształcie półksiężyca i ciężkie stopy z sutymi chwastami. Za bufetem stała tęga kobieta wybornie pasująca do dekoracji baru. Miała fryzowane włosy, szal z długimi frędzlami i silnie przyciemnione powieki. Szybko paplała po francusku do Hardenburga, który z godnością kiwał głową, chociaż nie rozumiał ani słowa.

Himmler objął czule Diestla i Brandta.

— *Amis* — przedstawił ich. — *Braves soldaten*.

Dama wyszła zza bufetu, uściśnięła dłonie nowych gości i zaczęła mówić:

— Panowie muszą wybaczyć niewielką zwłokę, ale ostatni dzień był bardzo denerwujący. To chyba rozumiecie? Panienci będą zaraz gotowe. Tylko, tylko ich patrzeć. Tymczasem zechcą panowie zająć miejsca, wypić po kieliszku wina. Prawdziwa demokracja! Szeregowi bawią się w towarzystwie oficera! Rzecz nie do pomyślenia w wojsku francuskim. Może dlatego właśnie panowie wygrali wojnę?

Pod koniec trzeciej butelki nie było jeszcze widać dziewcząt. Gościom nie sprawiało to dużej różnicy. Hardenburg — sztywny i poprawny — błyskał *zimnymi* oczyma, zielonkawymi teraz jak szkło wytrawione w morskiej wodzie.

— Francuzi! — cedził przez zęby. — Gardzę Francuzami. Nie lubią umierać. Szanują życie i dlatego my pijemy ich wino i bierzemy ich kobiety. Komiczne! — Podniósł smukły kieliszek pijackim, pełnym rozczarowania gestem. — Ta cała kampania... Pocieszna, idiotyczna historia. Od osiemnastego roku życia studiuję wojnę. Wszystko mam w małym palcu: Zaopatrzenie. Łączność. Morale. Wybór zamaskowanych miejsc na dowództwa. Teorię uderzenia na stanowiska broni maszynowej. Pięć lat życia! A później nadchodzi wielka chwila — roześmiał się gorzko. — Wielka chwila! Armia wyrusza w pole. A ja? Co się ze mną dzieje? — Nie odrywał wzroku od *madame*, która nie rozumiała słowa po niemiecku, lecz żywo i z zapalem przytakiwała kiwając głową. — Nie słyszę ani jednego strzału. Spokojnie siedzę w samochodzie i odbywam czterystumilową przejażdżkę do burdelu! Francuska armia jest do niczego i dlatego ze mnie zrobił się turysta. Turysta, psiakrew! Koniec wojny. Pięć straconych lat! Koniec kariery! Do pięćdziesiątego roku życia będę porucznikiem. Nie znam nikogo w Berlinie. Nie mam wpływów, przyjaciół. Mogę nie liczyć na awans. Wszystko zmarnowane. Zmarnowane! Mój ojciec urządził się lepiej. Dotarł tylko nad Mamę, ale przez cztery lata był w ogniu. Kiedy został majorem, miał dwadzieścia sześć lat. Nad Sommą dowodził batalionem, bo wszyscy starsi oficerowie polegli w ciągu dwóch dni. Himmler!

— Rozkaz, panie poruczniku! — Nie był pijany; gadaniny Hardenburga słuchał z chytrym, ironicznym uśmiechem.

— Himmler! Sierżant Himmler! Gdzie moja dziwka? Chcę mieć francuską dziwkę!

— *Madame* powiada, że pan porucznik będzie miał dziewczuskę za dziesięć minut.

— Gardzę nimi! Gardzę wszystkimi Francuzami — bełkotał oficer i nieporadnie chleptał z kieliszka, aż wino ciekło mu po brodzie.

Do pokoju weszły dwie dziewczyny. Postawna, tęga blondynka miała łagodny uśmiech na rozchylonych, pełnych wargach. Druga — drobna, smukła brunetka, o ostrych, prawie arabskich rysach, była umalowana przesadnie, a krwawoczerwona szminka podkreślała charakter jej drapieżnej urody.

— Są nareszcie! — powiedziała *madame* pieszczotliwym tonem. — Są moje małe pociechy. — Z uznaniem poklepała blondynkę po ramieniu, niby zachwalający swój towar handlarz koni. — To Jeanette. Niezła, prawda? Teraz, jak Niemcy weszli do Paryża, będzie miała powodzenie! Mój Boże!

— Tę biorę.

Porucznik stanął niemal na baczność i wskazał palcem brunetkę o arabskim typie. Odpowiedziała poprawnym, zawodowym uśmiechem i ujęła nabywcę pod rękę. Himmler zerknął na nią ciekawie, lecz bez wahania ustąpił wyższej szarży. Otoczył ramieniem tęgą blondynkę.

— *Cherie*—zagał rozmowę — jak ci odpowiada grzeczny, zdrowy żołnierz niemiecki?

— Gdzie jest najlepszy pokój? — krzyknął Hardenburg po niemiecku. — Brandt, tłumacz!

Brandt przetłumaczył. Brunetka uśmiechem pożegnała towarzysztwo i ceremonialnie wyprowadziła za drzwi honorowego gościa. Himmler mocno trzymał blondynkę.

— Teraz chyba moja kolej — powiedział — jeżeli, oczywiście... jeżeli, chłopcy, nie macie nic przeciwko...

— Absolutnie nic — przerwał mu Christian. — Przynajmniej mnie niepilno.

Himmler uśmiechnął się i wychodząc z blondynką powiedział we drzwiach swą ohydłą francuszczyzną:

— *Cherie*, masz cudowny szlafroczek...

Madame uprzejmie przeprosiła gości i opuściła pokój nie zapominając o czwartej butelce. Christian i Brandt zostali sami w pomarańczowo oświetlonym mauretańskim barze. W milczeniu patrzyli na mrozący się w kubelku z lodem szampan. Pili bez słowa. Christian dosyć nieporadnie otwierał nową butelkę. Wzdrygnął się nerwowo, kiedy korek wystrzelił i zapienił się lodowaty, musujący płyn. Otarł zwilżoną rękę.

— Byłeś kiedy w takim zakładzie? — spytał wreszcie Brandt.

— Nie.

— Wojna rozmaicie zmienia tryb życia różnych ludzi.

— Tak.

— Masz ochotę na dziwkę?

— Niekoniecznie.

— A gdybyś miał ochotę i porucznik Hardenburg miałby ochotę na tę samą dziwkę, co zrobiłbyś wtedy?

Diestl poważnie pociągnął z kieliszka.

— Pozwól, że nie odpowiem na to pytanie — mruknął.

— Ja też nie odpowiem. — Przez chwilę obracał w palcach nóżkę wysmukłego kieliszka. — Jak się czujesz?

— Czy ja wiem? Jakoś dziwnie... trochę dziwnie.

— A mnie smutno. Bardzo smutno. Co gadał porucznik?

— Że dzień dzisiejszy to próg nowej ery — odpowiedział Christian.

— Więc smutno mi na progu nowej ery. — Brandt dołał sobie wina. — Czy wiesz, że niewiele miesięcy temu omal nie zostałem obywatelem francuskim?

— Nie wiem.

— Przez dziesięć lat mieszkałem we Francji. Więcej niż w Niemczech. Kiedyś zabiorę cię do jednego miasteczka na wybrzeżu normandzkim. Rok po roku spędzałem tam lato. Malowałem całymi dniami. Wakacje przynosiły trzydzieści, czasami czterdzieści płócien. Miałem już we Francji jaką taką reputację. Musimy pójść do galerii, która przed wojną wystawiała moje prace. Może się coś jeszcze uchowało. Będziesz mógł obejrzeć...

— Dziękuję, skorzystam z przyjemnością — powiedział uprzejmie Christian.

— W Niemczech nie mogłem wystawiać obrazów. Były zbyt abstrakcyjne. Hitlerowcy mówili, że to sztuka bezprzedmiotowa, dekadenska. — Brandt wzruszył ramionami. — Naturalnie, jestem trochę dekadentem, nie takim jak nasz porucznik, ale jestem. A ty?

— Jestem dekadentem narciarzem.

— Cóż, każda strefa życia ma swoją dekadencję.

W otwartych nagle drzwiach stanęła szczupła brunetka. Miała na sobie różowy peniuar lamowany puchem. Uśmiechała się dyskretnie.

— Gdzie *madame*? — zapytała.

— Nie wiem — odpowiedział Brandt. — Wyszła.

— Chodzi o waszego porucznika—podjęła dziewczyna.—Koniecznie potrzebny nam tłumacz. On żąda czegoś, ale nie wiem dokładnie czego. Zdaje się, chce, żeby go bić. Boję się. Nie zacznę, jeżeli nie zrozumie na pewno.

— Zaczynaj śmiało — powiedział Brandt. — Nie chodzi mu o nic innego. Znam go. To mój stary przyjaciel.

— Jest pan pewien? — Nieufnie spojrzała na dwóch żołnierzy.

— Absolutnie! — zawołał Brandt.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Odwróciła się we drzwiach.

— Dobrze, spróbuję — powiedziała obojętnie i po chwili dodała ironicznym tonem:—Dziwna historia... Zwycięski żołnierz... w dniu zwycięstwa... Osobliwy gust.

— Niedługo przekonasz się, że osobliwi z nas ludzie. No, umykaj do roboty — powiedział Brandt.

Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem. Później uśmiechnęła się i wyszła.

— Zrozumiałeś? — zapytał Brandt Christiana.

— Mniej więcej, ale to mi starczy.

— Napijemy się — Brandt napełnił kieliszki. — Odpowiedziałem na wezwanie ojczyzny.

— Co takiego? — zdziwił się Diestl.

— Wojna wisiała w powietrzu, a ja malowałem dekadentkie abstrakcyjne pejzaże i na francuskim wybrzeżu czekałem na francuskie obywatelstwo. — Przymknął oczy, jak gdyby przez opary wina oglądał smutne sierpniowe dni tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. — Francuzi to ludzie najcudowniejsi pod słońcem. Jedzą dobrze. Są niezależni. Każdemu pozwalają malować, co i jak zechce, i nic mu za to nie robią. Mają za sobą chwalebny historię wojskową i wiedzą, że nigdy już nie powtórzą dawnych głupstw. Są rozsądni i skąpi, co wytwarza atmosferę korzystną dla sztuki. A mimo wszystko w ostatniej chwili zostałem kapralem Brandtem, dla którego obrazów nie ma miejsca w niemieckich galeriach. Krew jest gęstsza niż... niż co? I cóż się dzieje? W Paryżu witają nas radośnie wszystkie kurwy! Powiem ci jedno. Christian: koniec końców przegramy. Nasze zwycięstwo byłoby zbyt niemoralne. Barbarzyńca znad Elby nie powinien żreć kielbasy na Polach Elizejskich.

— Brandt! — zmiłogował go Christian. — Brandt!

— Próg nowej ery! Wehrmacht dostaje w skórę w renomowanym burdelu. Jutro pójde z kielbasą pod Łuk Triumfalny!

Drzwi otworzyły się. Do baru wszedł Himmler bez bluzy i w rozchelstanej koszuli. Uśmiechał się, a przez rękę miał przewieszony zielony szlafrok, w który poprzednio ubrana była postawna blondynka.

— Następny — powiedział. — Dama czeka.

— Czy masz chęć wstąpić do łożnicy opróżnionej przez sierżanta Himmlera? — zapytał Brandt.

— Nie — rzucił sucho Christian.

— Nie miej do nas żalu, sierżancie — podjął fotograf — ale tym razem wolimy popić.

Himmler zmierzył ich nieżyczliwym wzrokiem, bez zwykłego mu wyrazu chytrej dobroduszości.

— Spieszyłem się — westchnął — żeby kumple nie czekali długo.

— Bardzo to ładnie — pochwalił go Brandt. — Bardzo po koleżeńsku. Zwłaszcza w dniu tak uroczystym...

— Zupełnie dobra dziwka — podjął Himmler. — Tłusta, miękka. Na pewno nie macie chęci?

— Na pewno — odburknął Christian.

— Ha, trudno! Wracam na drugi numer.

— Co zrobiłeś? — zapytał Brandt. — Zdarłeś jej szlafrok z grzbietu?

— Nie — uśmiechnął się Himmler. — Kupiłem. Dziewięćset franków. Chciała półtora tysiąca. Jutro wyślę do domu, bo moja żona ma mniej więcej taką samą figurę. Pomacaj, Diestl. Czysty jedwab.

Christian z poważną miną zmiął w palcach mięką tkaninę.

— Czysty jedwab — przyznał.

— No, ostatnia okazja — zaproponował Himmler przystając we drzwiach.

— Dziękujemy. Nie skorzystamy — odparł Brandt.

— Niech i tak będzie. Wasza sprawa.

— Himmler — powiedział Diestl. — Mamy dosyć. Zostań z porucznikiem i odwieź go, dokąd trzeba. Wolimy się przejść.

— Nie powinniście zaczekać na rozkazy?

— Obejdzie się. Sytuacja nie jest bojowa w ścisłym tego słowa znaczeniu. Wrócimy pieszo.

Himmler wzruszył ramionami.

— Samotny spacer po ulicach może kosztować kulkę w plecy.

— Nie dzisiaj — powiedział Brandt. — Później tak, ale nie dzisiaj. Wstali jednocześnie z Christianem i wyszli bez słowa.

W mieście obowiązywało zaciemnienie i nigdzie nie było widać światła. Tylko wiszący nad dachami księżyc malował ulice w geometryczny wzór blasków i cieni. Cisza przenikała ciepło, nieruchome powietrze, a w jej pustce i milczeniu rozlegał się od czasu do czasu daleki szcęk wozów bojowych. Nadpływał i zamierał pośród masy ciemnych budowli.

Brandt był przewodnikiem. Zataczał się trochę, ale wiedział, gdzie się znajduje, i zmierzał pewnie w stronę Porte Saint Denis. Nie rozmawiali po drodze. Szli obok siebie potracając się od czasu do czasu, a ich podkute buty dudniły po płytach chodnika. Gdzieś w oddali trzasnęło zamykane okno i Christianowi wydało się, że słyszy ciche kwilenie niemowlęcia. Skręcili na szeroki, pusty bulwar. Maszerowali wzdłuż zasłoniętych okien i ustawionych w stosy kawiar-niunych stolików i krzeseł. Daleko, przy wylocie bulwaru, migotały ogniska — dowód, że tej nocy armia zdobywców jest bezpieczna w nieprzyjacielskiej stolicy, że nie obawia się napaści. Przez ciepłe

opary szampana światła uśmiechały się do Christiana życzliwie, po koleżeńsku. Odpowiadał im uśmiechem i jak we śnie szedł równym, miarowym krokiem, ramię w ramię z Brandtem.

Paryż lśniący pod młodym księżycem był we mgle alkoholu uroczy, nierealny. Christian kochał to miasto: Kochał jego wydeptane chodniki i wąskie, kręte uliczki znaczące wzdłuż bulwarów przejścia do minionego stulecia. Kochał kościoły wtłoczone między bary, burdele i sklepiki spożywcze. Kochał filigranowe krzesła ułożone pajęczymi nogami do góry na stolikach stłoczonych pod markizami zamkniętych kawiarni. Kochał ludzi, co tego wieczora kryli się w domach za opuszczonymi roletami. Kochał rzekę, której nie widział dotychczas, restauracje, w których nigdy nie jadał, dziewczęta, których jeszcze nie spotkał, a które nazajutrz, kiedy przypadnie strach wojny, wyjdą z ukrycia w słoneczny ranek i na wysokich obcasach, ubrane w bezwstydną, eleganckie suknie, będą spacerować wzdłuż pustych teraz¹ chodników. Kochał legendę Paryża i owo szczególne zjawisko, że tylko to jedno miasto na ziemi żyje zgodnie z legendą, którą wyrzyło w ludzkich sercach. Kochał myśl, że wywalczył sobie drogę do starej stolicy i zabił człowieka, aby się tutaj dostać. Kochał małego, brudnego Francuza, który padł od jego kuli i kaprała Krausa, który daleko od swojej zagrody na Śląsku leżał przy drodze, a koło ust miał czerwone plamy od wiśni. Był szczęśliwy, że zdał egzamin na szosie i w lesie, że śmierć zaszumiała nad nim skrzydłami. Był szczęśliwy, że jest wojna bo tylko na wojnie mężczyzna może naprawdę zdać egzamin, i że wojna skończy się szybko, bo nie chciał przecież umierać. Był szczęśliwy, gdyż wiedział, iż w przyszłych dniach spokoju i pomyślności wszystkie idee, w imię których chętnie narażał życie, staną się prawem i zapanują niepodzielnie w nowym, sprawiedliwym i uporządkowanym świecie. Kochał Brandta, który teraz szedł obok niego niezbyt chwiejnym krokiem, ponieważ Brandt trząsł się i skamlał w godzinie próby, potrafił jednak przemóc strach i podtrzymując łokieć dłonią lewej ręki strzelał do nieprzyjaciela, który — gdyby to było w jego mocy — na pewno zamordowałby Christiana. Kochał mroczną, cichą, księżycową godzinę, bo w tej godzinie on i Brandt władali niepodzielnie zdobytym miastem i Christian wiedział nareszcie, że nie zmarnował życia, że nie urodził się po to, by objaśniać tajemnice zabawy dzieciom i turystom na wakacjach. Był potrzebny i umiał nie załamać się w potrzebie, a niczego więcej człowiek nie może wymagać od życia.

Brandt zatrzymał się nagle i wskazał coś palcem.

— Patrz! — powiedział.

Christian przystanął i spojrzął w kierunku wyciągniętej ręki towarzysza. Na kamiennej ścianie kościoła w jasnym blasku księżyca widniało „1918” napisane kredą dużymi, wyraźnymi cyframi. Christian mrugnął oczami i pokręcił głową. Wiedział, że jakiś sens kryje się za tą liczbą, lecz w pierwszej chwili nie mógł się zorientować jaki.

— Tysiąc dziewięćset osiemnaście — odezwał się Brandt. — Oni wiedzą. Francuzi wiedzą.

Diestl spojrzął znów na ścianę. Zrobiło mu się smutno i po raz pierwszy tego dnia odczuł zmęczenie. Był na nogach od czwartej rano i niemało przeżył. Ciężkim krokiem podszedł do kamiennego muru i podniósł ramię. Powoli, metodycznie zaczął zmazywać rękawem wypisane kredą duże, wyraźne cyfry.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Był pogodny czerwcowy dzień i słońce świeciło jasno nad świeżą zielenością pensylwańskich wzgórków. Ale radio zagłuszało wszystko i chociaż mały aparat powtarzał do uprzykrzenia wciąż to samo, Michael siedział przez cały dzień w wytapetowanej bawialni urządzonej po staroświecku filigranowymi mebelkami. Wokół jego fotela poniewierały się gazety. Od czasu do czasu Laura wchodziła do pokoju, głośnym westchnieniem dawała wyraz swemu męczeństwu, pochylała się i zebrawszy rozrzucone dzienniki układała z nich schludny stosik. Michael nie zwracał jednak uwagi na żonę. Pochylony nad odbiornikiem kręcił gałkami i słuchał głosów – niskich, modułowanych, teatralnych:

– „Tylko mydło toaletowe Lifebuoy chroni od nie milego zapachu potu... na czczo dwie łyżeczki od herbaty w szklance wody zapewniają regularne funkcjonowanie żołądka.”

– „Dowiadujemy się ze źródeł nieoficjalnych, że Paryż nie będzie briony. Naczelne dowództwo armii niemieckiej osłania tajemnicą ruchy zagonów pancernych wdzierających się w nadwątlony system obrony Francuzów.”

Laura stanęła na progu i przemówiła tonem sztucznej cierpliwości:

– Obiecaliśmy Tony'emu, że dziś po południu będziemy grać w badminton.

Michael milczał. Z łokciami na kolanach siedział pochylony nad radiem.

– Michael! – zawołała żona.

– Aha? – mruknął nie odwracając głowy.

– Badminton! Tony!

– Wiem. I co?

Zmarszczył czoło. Z trudem próbował słuchać żony i spikera naraz.

— Siatka nie założona — podjęła Laura.
 — Założę później.
 — Kiedy?
 — Na miłość boską, Lauro! Mówię wyraźnie: później! — krzyknął zirytowany.

— Zaczyna mnie to nudzić! — Łzy napłynęły jej do oczu.
 — Wszystko i zawsze chcesz robić później.

— Przestań mnie dręczyć!

— To ty przestań na mnie wrzeszczeć!

Łzy pociekły jej po twarzy. Michaelowi żal się zrobiło żony.

Whitacre'owie zamierzali dobrze wykorzystać odpoczynek na wsi i chociaż nie mówili o tym ze sobą, obydwójce mieli nadzieję, że wróci dawna miłość i przyjaźń zagubiona w burzliwych latach ich małżeństwa.

Niedawno upłynął termin hollywoodzkiego kontraktu Laury, a gdy jej pracodawcy nie skorzystali z prawa opcji, artystka nie wiedząc czemu nie mogła dostać innej pracy. Robiła wprawdzie dobrą minę do złej gry i udawała pogodną i beztroską, lecz mąż zdawał sobie sprawę z jej poczucia klęski, chciał więc być czuły, przynajmniej w ciągu miesiąca, który mieli spędzić na wsi, w domku wydzierżawionym od znajomego. Przyjechali tam przed tygodniem, niestety jednak przeżyli okropne dni. Michael przesiadywał całe dni nad radiem, nocami zaś cierpiał na bezsenność. Nerwowo spacerował tam i z powrotem po bawialni, siadał, próbował czytać. Później, zmęczony z zaczerwienionymi oczami wałęsał się posepnie z kąta w kąt. Zapominał o goleniu i o tym, że winien pomagać żonie przy utrzymaniu porządku w małym, uroczym domku.

— Bardzo przepraszam, kochanie — szepnął Michael.

Objął i pocałował żonę. Uśmiechnęła się, chociaż nie przestała jeszcze płakać.

— Nie cierpię nudzenia — powiedziała — ale to i owo koniecznie trzeba zrobić.

— Oczywiście.

— Jesteś szlachetny — roześmiała się Laura. — Uwielbiam cię w takich chwilach.

Michael uśmiechnął się również, lecz nie mógł przemóc uczucia nudy i przymusu.

— Widzę, że masz zamiar być dla mnie dobry — powiedziała tuląc się do męża. — Za tak chwalebne postanowienie trzeba płacić.

— O co znów chodzi?

— Ach, ten ton rezygnacji! Nie znoszę cię w takich chwilach!
Whitacre opanował się i ze zdziwieniem usłyszał własny głos spokojny i układny:

— Jakie wydasz rozkazy?

— Przede wszystkim zamknij to wstrętne radio.

Na ustach miał już słowa protestu, lecz zawahał się na moment. Spiker mówił właśnie:

— „Sytuacja jest dalej niejasna, wydaje się jednak, że Anglicy ukończyli pomyślnie ewakuację przeważającej części wojsk. Liczyć się należy z szybkim rozwojem kontrofensywy Weyganda, która...”

— Michael! — rzuciła Laura tonem przestrogi.

Whitacre wyłączył radio.

— Niech i tak będzie — powiedział. — Dla ciebie wszystko!

— Dziękuję i proszę jeszcze o jedno. — Oczy miała już suche, błyszczące, figlarne.

— Słucham?

— Ogól się.

Z westchnieniem pogładził ręką szczeniasty podbródek.

— Naprawdę muszę? — zapytał.

— Wyglądasz, jak gdyby cię przed chwilą wyrzucono z jakiegoś szynku przy Trzeciej Alei.

— Przekonałaś mnie.

— Zobaczysz, zaraz się lepiej poczujesz — dodała Laura zbierając gazety rozrzucone dookoła fotela.

— Naturalnie — przyznał i zbliżywszy się do odbiornika bezwiednie wyciągnął rękę w stronę galek.

— Daj spokój na godzinę! Na krótką godzinę. Jestem bliska oblędu. Ciągłe w kółko jedno i to samo.

— Moja droga — obruszył się Whitacre — to przecież najważniejszy tydzień naszego życia.

— Nie widzę potrzeby — odparła z zimną logiką — aby z tego powodu doprowadzać się do bzika. Na pewno to nie pomoże Francuzom. A jak wrócisz na dół, załóż siatkę do badmintonu.

— Dobrze, dobrze!

Wzruszył ramionami i pospieszył w stronę schodów. Laura przelotnie pocałowała go w policzek i pogładziła po głowie.

Podczas golenia Michael usłyszał, że przybyli pierwsi goście. Z ogrodu dolatywał dźwięk głosów i ginął chwilami w szumie cieknącej z kranu wody. Były to głosy kobiece i z oddali brzmiały dziwnie melodyjnie i miękko. Laura zaprosiła dwie nauczycielki z pobliskiej

szkoły dla dziewcząt, gdzie kształciła się od czternastego roku życia. Francuzki te uczyły ją i traktowały życzliwie. Słuchając od niechcenia raz cichszych, raz wyraźniejszych głosów Michael nie mógł odpędzić myśli, że Francuzki mówią znacznie przyjemniej niż większość znanych mu Amerykanek. Ton ich był łagodny, umiarkowany, a staranne wymawianie słów i należyte przerwy między nimi znacznie milej wpadały w ucho niż dufny bełkot amerykańskiej kobiecej mowy.

„Tej obserwacji — pomyślał Whitacre z uśmiechem — nie śmiałbym wypowiedzieć na głos.”

Zaciął się i ze złością patrzył, jak szkarłatna kropelka uparcie barwi mu podbródek.

Gawrony krakały na wielkim drzewie w głębi ogrodu, gdzie cała ich kolonia pobudowała gniazda. Od czasu do czasu wybuchały tam sąsiedzkie swary i głużyły inne, mniej uchwytnie wiejskie odgłosy.

Michael zszedł na parter, ukradkiem wśliznął się do bawialni i nastawił radio najciszej, jak było można. Aparat rozgrzał się szybko, lecz dawano tylko muzykę. Na jednej fali kobiecy głos śpiewał: „Nic nie miałam i nie mam nic, ale nic to dla mnie bardzo wiele”; na drugiej orkiestra wojskowa huczała uwerturę z *Tannhausera*. Słaby, mały odbiornik łapał tylko te dwie stacje. Michael wyłączył radio i odważnie udał się na spotkanie gości do ogrodu.

Był tam Johnson ubrany w tenisową koszulkę, żółtą w brązowe pasy. Przyprowadził ze sobą wysoką, bardzo przystojną dziewczynę. Podając jej rękę Michael zadał sobie bezwiednie pytanie, gdzie pani Johnson spędza to piękne letnie popołudnie.

— Panna Margaret Freemantle — zaprezentowała Laura.

Młoda osoba uśmiechnęła się zdawkowo, a Whitacre pomyślał z zazdrością: „Skąd, u licha, Johnson wytrzasnął taką ślicznochę?”

Serdecznie uściskał dłonie dwóch siostr Francuzek. Były to niewiasty po pięćdziesiątce, bardzo szczupłe, ubrane w czern i zapewne eleganckie z punktu widzenia mody obowiązującej dosyć dawno — trudno określić ile lat temu. Miały zaczesane do góry farbowane włosy, delikatną bladawą cerę i cudowne nogi — strzeliste, doskonale kształtne. Zachowywały się dyskretnie, nad wyraz poprawnie, a długim latom nauczania podlotków zawdzięczały wyraz nieskończonej pobłażliwości dla świata i ludzi. Na Whitacre'a robiły zawsze wrażenie zjaw z dziewiętnastego stulecia, wychowanych bez zarzutu, uprzejmym, wyrozumiałych, lecz w duchu potępiających kraj i epokę, w których żyć im przyszło. Widać było, że owego popołudnia starannie przygotowały się przed wizytą, że nie szczędziły różu i tuszu. Mimo

to miały posępne, wymizerowane twarze i nie mogły skupić uwagi nawet podczas ożywionej konwersacji.

Michael zerknął na nie spod oka i nagle uprzytomnił sobie, jak ciężko być w tym dniu Francuzem. Niemcy są pod Paryżem. Stolica tłumiąc oddech nasłuchuje coraz bliższego i bliższego grzmotu dział. W przerwach między muzyką taneczną lub popularnymi słuchowiskami spikerzy recytują komunikaty z Europy i z amerykańskim akcentem wymawiają troskliwie dobrze znajome nazwy: Reims, Soissons, Marna, Compiegne...

„Człowiek delikatniejszy, z jakim takim ładem w głowie, nie tak głupi wół jak ja — myślał Michael — odprowadziłby je na stronę, pogadał z nimi, znalazł jakieś pocziwe, rozumne słowa pociechy. Ale cóż, gdybym nawet spróbował, z pewnością zachowałbym się niezdarnie, powiedział coś najmniej właściwego i jeszcze bardziej pokpił sprawę. Takich rzeczy nikt nikogo nie nauczy. Uczyliśmy się wszystkiego prócz taktu, prostych ludzkich uczuć i serdecznej delikatności.”

— .. przykro mi o tym mówić — perorował Johnson modulowanym głosem inteligenta — ale moim zdaniem, cała ta impreza jest gigantycznym oszustwem.

— Co takiego? — głupekowato zapytał Michael.

Johnson z wdziękiem siedział na trawie. Młodzieńczym ruchem podciągnął kolana pod brodę. Uśmiechnął się do panny Freemantle, próbując wyrzucić na niej korzystne wrażenie. Michael myślał ze złością, że — przynajmniej na pozór — Johnsonowi się to udaje.

— Co? Zmowa — ciągnął Johnson. — Nie próbuj mi wmawiać, że dwie największe armie świata załamały się nagle, ot tak sobie. To widowisko z góry przygotowane.

— Twierdzisz — zdziwił się Whitacre — że Francuzi rozmyślnie oddadzą Paryż?

— Oczywiście!

— Słyszał pan coś ostatnio? — wtrąciła szeptem młodsza z pańien Boullard. — Coś o Paryżu?

— Nie — odparł Michael tonem najłagodniejszym, na jaki potrafił się zdobyć. — Nie ma jeszcze nowych wiadomości.

Francuzki skinęły głowami i uśmiechnęły się do niego, jak gdyby gospodarz wręczył im piękne bukiety.

— Paryż padnie — zabrał znów głos Johnson. — Ręczę za to.

„Po diabła nam ten jegomość?” — myślał zirytowany Whitacre.

— Idzie wielka gra — podjął Johnson. — Mydlenie oczu' ludom Anglii i Francji. Za dwa tygodnie Niemcy wkroczą do Londynu. Nim

minie dalszy miesiąc, wszyscy razem zaatakują Związek Radziecki — dokończył triumfalnie i z pasją.

— Chyba się mylisz — zaproponował Michael. — Moim zdaniem, wróżysz rzeczy niemożliwe. Jakoś inaczej się to rozwinie.

— Jak? — natarł Johnson.

— Nie wiem. Jakoś inaczej.

Whitacre pomyślał, że panna Freemantle musi go uważać za idiotę. Zirytował się, ale nie miał zamiaru ustępować.

— Jakoś inaczej — powtórzył.

— Mistyczna wiara — zaczął szydzić Johnson. — Dobry Bóg weźmie wszystko w swoje ręce. Kominiarz nie wejdzie do dzieciennego pokoju.

— Dajcie spokój! — wybuchnęła Laura. — Po co rozmawiać o poważnych sprawach? Zebrałiśmy się przecież na badminton. Panno Freemantle, gra pani w badminton?

— Tak.

„Ma niski, matowy głos” — pomyślał Whitacre.

— Kiedy nareszcie ockną się ludy? — nie dawał za wygraną Johnson. — Kiedy spojrzą twarz w twarz bezlitosnym faktem? Przecież to spisek. Rzucanie molochowi jednego kraju po drugim. Abisynia, Chiny, Hiszpania, Czechosłowacja, Austria, Polska...

„Te nazwy, suche nazwy! — pomyślał Michael. — Powtarza się je tak często, że do cna straciły ładunek uczuciowy”.

— Klasa rządząca konsoliduje siły — ciągnął Johnson tonem przypominającym Whitacre'owi broszury polityczne. — Postanowiła więc obrać taką właśnie drogę. Kilka strzałów armatnich dla ogłupienia narodu, kilka patriotycznych przemówień wygłoszonych przez sędziwych generałów, a potem układ: podpisany, opieczętowany, doręczony komu należy.

„Zapewne on ma słuszność — dumal posępnie Michael. — Mówi mniej więcej prawdę. Ale w takie prawdy może uwierzyć tylko ktoś, kto ma zamiar rzucić się do rzeki. Jeżeli człowiek chce żyć, musi zachować pewne minimum niemądrych złudzeń. A Johnson wygłasza swoje opinie kameralnym, przekonującym, inteligentnym głosem. Takim, jaki słyszy się zawsze podczas premierowych przedstawień i na zebraniach towarzyskich w wielkim świecie. Jest w tym coś dziwnie odrażającego”.

Whitacre zadał sobie pytanie, gdzie może być teraz Irlandczyk z sylwestrowego przyjęcia w Nowym Jorku — ten pijanica Parrish.

Niewątpliwie mówiłby wiele rzeczy, które obecnie mówi Johnson. To poglądy odpowiadające z grubsza „linii partyjnej”. Ale jakoś łatwiej byłoby je przyjmować od tamtego człowieka. Pewno nie żyje. Z ironicznie uśmiechniętą gębą leży gdzieś w ziemi nad Ebro...

Michael zerknął na Johnona ubranego w jasnoczekoladowe spodnie i jaskrawą żółtą koszulę. „Cokolwiek się zdarzy — myślał melancholijnie — ciebie nie pochowają nigdzie na łapu-capu. W tym cały dowcip”.

— Mam szaloną ochotę zagrać w badmintona! Mój drogi...
— Laura dotknęła lekko ramienia męża. — Słupki, siatka i inne przybory są na kuchennym ganku.

Whitacre westchnął i ciężko dźwignął się z trawy. Pomyślał, że Laura ma jednak rację. Lepiej nie rozmawiać za dużo w dniu takim jak dzisiejszy.

— Pomogę panu. — Panna Freemantle podniosła się i ruszyła za gospodarzem.

— Posłuchaj, Johnson! — Michael nie mógł odmówić sobie pożegnania docinka. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że nawet ty możesz się mylić?

— Oczywiście, ale tym razem nie mylę się na pewno — odparł z godnością zaatakowany.

— Mimo wszystko — podjął Michael — musi być choć odrobina nadziei.

— Ciekawe, gdzie w naszych czasach zaopatrujesz się w nadzieję?
— wybuchnął śmiechem Johnson. — Może masz jej trochę na zbyciu?

— Mam.

— A na co właściwie liczysz?

— Spodziewam się, że Ameryka przystąpi do wojny...

Whitacre zauważył, że Francuzki utkwiły w nim skupione, przenikliwe spojrzenia.

— Mój kochany — przerwała nerwowo Laura — rakiety są w zielonej drewnianej skrzyni...

— Życzysz sobie, by i Amerykanie ginęli w tej oszukańczej wojnie?
— wybuchnął Johnson. — O to ci chodzi?

— Jeżeli nie da się uniknąć...

— Johnson nie pozwolił mu dokończyć zdania.

— To coś nowego u ciebie! — zawołał. — Stajesz się podżegaczem wojennym.

— W tej chwili po raz pierwszy sformułowałem tę myśl — odrzekł chłodno Michael pochylając się nad przeciwnikiem.

-T- Teraz rozumiem — obruszył się Johnson. — Jesteś czytelnikiem „New York Timesa”. Piekielnie ci zależy na ocaleniu znanej nam cywilizacji i rozmaitych takich rzeczy.

— Słusznie — powiedział Whitacre. — Piekielnie mi zależy na ocaleniu znanej nam cywilizacji i rozmaitych takich rzeczy.

— Wstrętni jesteście! — poskarżyła się Laura. — Dajcie nareszcie spokój!

— Jeśli taki z ciebie zapaleniec — nie dawał za wygraną Johnson — dlaczego nie zaciągniesz się do angielskiego wojska? Na co tu czekać?

— Bardzo możliwe, że to zrobię — ^ odparował cios Michael. — Bardzo możliwe.

— Ach, nie!

Whitacre odwrócił się zdziwiony. Panna Freemantle zawołała: „Ach, nie!”, a teraz stała zakłopotana, z ręką na ustach, jak gdyby te słowa były niespodzianką dla niej samej.

• — Chciała pani coś powiedzieć? — zapytał Michael.

— Wiem, że... że nie powinnam... nie powinnam się wtrącać... — wyjąkała i zmieniając ton dodała zaraz żywo: — Ale nie wolno twierdzić, że i my musimy walczyć!

„Aha — pomyślał Whitacre. — Członkini partii! Wiadomo już, skąd wytrzasnął ją Johnson. Kto by się spodziewał... Taka ładna!”

— Jeżeli Rosja weźmie udział w wojnie, zmieni pani zdanie? — zapytał.

— Ach, nie — odpowiedziała dziewczyna. — To nie ma nic do rzeczy.

„Znowu pudło! — pomyślał Michael. — Muszę dać spokój błyskawicznym, pełnym finezji sądom”.

— Z wojny nie może wynikać nic dobrego — ciągnęła z wahaniem panna Freemantle. — Nigdy. Młodzi mężczyźni będą wyjeżdżać z kraju... ginąć... Moi znajomi, przyjaciele, krewni... Może to samolubstwo, ale... ale nie cierpię, jak ludzie mówią tak, jak pan teraz mówi. Byłam w Europie i tam właśnie wszyscy mówili podobnie. Znałam wtedy dużo młodych mężczyzn. Tańczyłam z nimi, jeździłam na nartach. A teraz może wielu z nich nie żyje... I w imię czego? Gadali i gadali, aż wreszcie doprowadzili się do stanu, w którym mogli jedynie zacząć mordować się wzajemnie. Bardzo przepraszam — dodała tonem powagi. — Wcale nie chciałam zabierać głosu. Sama jestem zdania, że to niemądry, czysto kobiecy punkt widzenia i...

— Ciekaw jestem czysto kobiecego punktu widzenia łaskawych pań — przerwał jej Whitacre zwracając się do panien Boullard.

— Daj spókoj, Michael! — wybuchnęła Laura.

— Nasz punkt widzenia? — odezwała się młodsza z siostr cichym, opanowanym i uprzejmym głosem. — Obawiam się, że nie stać nas dzisiaj na swobodny wybór punktu widzenia.

— Na miłość boską, Michael — wtrąciła znów Laura — pójdiesz wreszcie po przybory do badmintona?

— Pójdę, pójdę!

— I ty, Roy, mógłbyś być cicho — podjęła gospodyni zwracając się do Johnsona.

— Rozkaz, królowo! — uśmiechnął się Johnson. — A wolno zakomunikować ci ostatnią plotkę?

— Oczywiście! Plotek nie odkłada się na później.

Laura mówiła już swobodnym, lekkim tonem, zupełnie odpowiednim w czasie zabawy ogrodowej. Michael i panna Freemantle ruszyli w stronę kuchennego ganku.

— Joséphine ma nowego amanta — powiedział Johnson. — To taki wysoki, młody blondyn z pełną wyrazu gębą. Aktor filmowy, Moran.

Na dźwięk tego nazwiska Michael stanął jak *wryty*. Panna Freemantle prawie się z nim zderzyła.

— Podobno znalazła go na wystawie obrazów — ciągnął Johnson. — Tak przynajmniej sama twierdzi. Zdaje mi się, Lauro, że rok temu kręciłaś z nim jakiś film?

Whitacre bacznie obserwował żonę. Chciał przekonać się, czy rozmowa o Moranie zmieni wyraz jej twarzy. Ale Laura niczym się nie zdradziła.

— Tak — powiedziała obojętnie. — Obiecujący młody aktor. Trochę powierzchowny, nie pozbawiony jednak inteligencji.

„Z babą nigdy nic nie wiadomo — pomyślał Michael. — Nie mrugnie nawet okiem, a łgarstwami utoruje sobie drogę do królestwa niebieskiego”.

— Moran przyjdzie lada chwila — ciągnął Johnson. — Zjechał tutaj, bo ma rolę w sztuce wystawianej na otwarcie letniego sezonu. Pozwoliłem sobie zaprosić go do was. Sądzę, że się nie gniewasz?

— Oczywiście, że się nie gniewam.

Michael uważnie przyglądał się żonie, spostrzegł więc, że na moment twarz jej skurczył nerwowy grymas. Później Laura odwróciła głowę i uniemożliwiła dalszą obserwację.

„Psiakrew, małżeństwo!” — pomyślał Whitacre.

— Pan John Moran — odezwała się młodsza z panien Boullard.
— Doprawdy, jestem wzruszona! Moim zdaniem, jest cudowny. Taki męski! Męskość to najważniejsza zaleta aktora.

— Słyszałem — burknął opryskliwie Michael — że przepadają za nim starsi panowie pewnej kategorii.

„Ach, kobiety, kobiety! — pomyślał. — Ronią łzy z powodu klęski najhambniejszej w dziejach ich ojczyzny, a jednocześnie potrafią entuzjasmować się przystojnym, głupkowatym aktorem filmowym. «Taki męski!»”.

— Wykluczone — odezwał się Johnson. — Ile razy go spotkam, jest z dziewczyną. Za każdym razem z inną.

— Może obydwie strony medalu interesują faceta — powiedział Whitacre. — Zapytaj mojej żony. Pracowała z nim przecież.

Czuł, że jest śmieszny, lecz nie potrafił oderwać przenikliwego wzroku od Laury.

— Nie wiem — odrzekła pani Whitacre tonem swobodnej konwersacji. — Wiem tylko, że skończył uniwersytet w Harvard.

— Zapytam go więc, jak przyjdzie — podjął Michael. — No, panno Freemantle, chodźmy, nim moja żona znowu mnie popędzi. Mamy ważną robotę.

Ramię w ramię odeszli na drugą stronę domu. Dziewczyna pachniała świeżością i poruszała się lekko, swobodnie. Michael uprzytomnił sobie nagle, że jest bardzo młoda.

— Kiedy wróciła pani z Europy? — spytał, chociaż nie zależało mu na odpowiedzi; miał po prostu ochotę słuchać jej głosu.

— Trochę więcej niż rok temu.

— A jak tam było?

— Cudownie — odparła. — Cudownie i strasznie. Nigdy nie zdołamy pomóc tym ludziom, żebyśmy nie wiedzieć co zrobili.

— Zgadza się pani z Johnsonem, prawda?

— Nie. Johnson powtarza tylko to, co inni każą mu mówić. Nie ma w głowie ani jednej samodzielnej myśli.

Michael nie mógł ukryć złośliwego uśmiechu.

— To bardzo sympatyczny człowiek — ciągnęła panna Freemantle ciszej, jak gdyby tonem usprawiedliwienia. — Uczciwy, bezinteresowny, pełen najlepszych chęci. Ale wszystko wydaje mu się niesłychanie proste... Cóż, wystarczy zobaczyć Europę, a jasne kwestie zaczynają się komplikować. Europa przypomina pacjenta cierpiącego na dwie choroby. Zbawienny lek przeciwko jednej jest trucizną przy drugiej — mówiła skromnie, z niejakim wahaniem.

— Johnson sądzi, że wystarczy recepta na świeże powietrze, państwowe domy dziecka i potężne związki zawodowe, a chory automatycznie odzyska siły... Mnie uważa za mętniaczkę.

„Europa doskonale jej zrobiła — pomyślał Whitacre. — Głos ma bez porównania miłszy, miększy niż większość Amerykanek.”

— Mętniakiem jest każdy, kto nie zgadza się z komunistami — powiedział. — To właśnie stanowi o ich sile.' Są niesłychanie pewni siebie. Zawsze wiedzą, co w danej chwili należy robić. Mogą się mylić, ale przynajmniej działają.

— Nie jestem wielką zwolenniczką działania. — odrzekła dziewczyna. — Trochę obserwowałam je w Austrii.

— Łaskawa pani żyje w nieodpowiedniej epoce... tak samo jak ja. Znaleźli się tymczasem na kuchennym ganku. Panna Freemantle wzięła siatkę i rakiety. Gospodarz dźwignął na ramiona dwa paliki. Byli sami po cienistej stronie domu, ukryci przed ludzkim wzrokiem za wysokimi morwami. Michael odczuł przyjemny, intymny nastrój.

— Mam pomysł — odezwał się. — Pomysł partii politycznej, która uleczy wszystkie niedomagania świata.

— Umieram z ciekawości! Słucham.

— Stronnictwo Bezwarunkowej Prawdy' — podjął Michael. — Ilekroć wyniknie jakaś kwestia... obojętne jaka... Monachium, leczenie dzieci mańkutów, niepodległość Madagaskaru, ceny biletów teatralnych w Nowym Jorku — przywódca partii będą mówić szczerze, co myślą na ten temat. Dotychczas dzieje się inaczej, bo wszyscy wiedzą, że nikt nie mówi nigdy na żaden temat tego, co naprawdę myśli.

— Ilu członków liczy stronnictwo?

— Na razie jednego — powiedział Whitacre. — Mnie.

— Niech będzie do pary.

— Przystępuje pani?

— Jeżeli pan pozwoli — uśmiechnęła się zalotnie.

— Z rozkoszą. Sądzi pani, że partia będzie działać?

— Ani minuty.

— Jestem tego samego zdania. Może trzeba poczekać parę lat!

Byli już blisko narożnika domu. Michael pomyślał nagle że wstrętem, że musi wrócić do tamtych ludzi, wydać dziewczyn?' odległemu światu gości, gospodarzy i układnych towarzyskich rozmów.

— Margaret — szepnęła.

— Słucham. — Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

„Wie, co jej chcę powiedzieć — pomyślał Whitacre. — To dobrze.”

— Margaret, zobaczymy się w Nowym Jorku?

Przez chwilę patrzyli na siebie. Michael zauważył, że dziewczyna ma piegi na nosie.

— Tak — odrzekła.

— Wolałbym nie mówić nic więcej. Na razie.

— Znajdzie pan moje nazwisko w książce telefonicznej.

Odrzuciła się i lekkim, elastycznym krokiem minęła narożnik domu. Z wdziękiem niosła siatkę i rakietę, a jej smukłe opalone łydki migwały pod szeroką spódnicą. Przez chwilę Whitacre stał bez ruchu. Chciał się upewnić, że na twarz jego wróci wyraz obojętnego spokoju. Następnie wszedł do ogrodu za Margaret.

Tymczasem zebrało się więcej gości: Tony, Moran i jakaś młoda osoba w purpurowych spodniach i słomkowym kapeluszu o rondzie szerokim mniej więcej na dwie stopy.

Moran, wysoki i szczupły, miał na sobie ciemnoniebieską koszulę otwartą pod szyją. Był opalony na ciepły brąz, a kiedy witał się z gospodarzem, niesforny kosmyk włosów zakrył mu oczy — zupełnie jak uczniakowi.

„Czemu, u diabła, ja nie mogę tak wyglądać? — pomyślał Whitacre, gdy poczuł silny, męski uścisk dłoni. — Ach, ci aktorzy!

— Miałem przyjemność poznać pana — usłyszał swój głos. — Pamiętam nawet kiedy. Wigilia Nowego Roku. Arney wystąpił wtedy w scenie z oknem.

Tony wyglądał dziwnie. Ledwie się uśmiechnął, kiedy gospodarz przedstawił go pannie Freemantle. Później siedział skurczony, jak gdyby miał boleści. Błady, zatroskany, pochylił głowę, a rzadkie ciemne włosy w nieładzie opadały mu na czoło. Tony uczył literatury francuskiej w Rutgers. Był Włochem, chociaż nie wskazywała na to twarz zbyt jasna i surowa jak na Włocha. Michael kolegował z nim w szkole i z biegiem lat lubił go coraz bardziej. Tony mówił nieśmiałym, przytłumionym głosem mola książkowego, jak gdyby znajdował się w bibliotecznej sali. Z pannami Boullard żył w przyjaźni i dwa lub trzy razy w tygodniu bywał u nich na ceremonialnych, dwujęzycznych podwieczorkach. Tego dnia wszakże Francuzki i Włoch nawet nie patrzyli na siebie.

Michael zaczął ustawiać pierwszy palik. Od niechcienia wbijał go w murawę i słuchał, jak młoda osoba w purpurowych spodniach mówi tonem damy z wielkiego świata.

— Koszmarny hotel! Jedna łazienka na piętro, materace odpowiadnie na płyty pokładowe i wszędzie pełno jakichś idiotycznych kretyńców. Do tego hordy, dosłownie hordy pluskiew! A ceny!

Whitacre spojrział na Margaret i z ironiczną miną pokręcił lekko głową. Dziewczyna odpowiedziała dyskretnym uśmiechem i spuściła oczy. Wtedy Michael zerknął z ukosa na żonę. Przyglądała mu się wrogim, kamiennym wzrokiem.

„Jak, u diabła, ona to robi?—pomyślał. — Nigdy nic nie przegapi. Ach, gdyby taki talent wykorzystać w użytecznym celu!”

— Gdzie stawiasz palik? — syknęła Laura. — Drzewo będzie przeskadzać.

— Wybacz, Lauro, ja zajmuję się tą sprawą.

— Ale źle! — wybuchnęła z uporem.

Michael puścił naganę mimo uszu i dalej majstrował przy paliku.

Nagle panny Boullard wstały.. Jednakowym, zdecydowanym ruchem zaczęły naciągać rękawiczki.

— Bardzo nam było miło u państwa — powiedziała młodsza.

— Serdecznie dziękujemy i, proszę mi wierzyć, odchodzimy ze szczerym żalem.

— Jak to? — zdziwił się gospodarz. — Dopiero co panie przyszły.

— Niestety — odpowiedziała stanowczo Francuzka — moja siostra dostała potwornej migreny.

Obydwie panny zaczęły obchodzić towarzystwo i kolejno ścisnąć ręce. Tony'ego pominęły. Przeszły koło niego, jak gdyby w ogóle nie istniał. Tony przyglądaj się im spod oka. Minę miał zakłopotaną, niepewną jakąś i wstydliwą.

— Po co ty wszystko? — odezwał się biorąc do ręki staroświecki słomkowy kapelusz. — Po co to wszystko? Niepotrzebnie wychodzicie. Ja się zaraz wyniosę.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia. Nikt nie patrzył na Włocha ani na Francuzki.

— Spotkanie z panem było dla nas prawdziwą przyjemnością — powiedziała chłodno młodsza panna Boullard zwracając się do Morana. — Tyle razy podziwialiśmy pańskie filmy.

— Dziękuję — uśmiechnął się aktor z czarującym, chłopięcym wdziękiem. — Doprawdy, niezmiernie pani uprzejma...

„Ach ci komedianci!” — pomyślał Whitacre.

Tony pobladł.

— Dosyć tego! — zawołał. — Na miłość boską, Helen, nie zachowuj się w taki sposób.

— Nie ma potrzeby odprowadzać nas do furtki—podjęła młodsza panna Boullard. — Same trafimy.

— Konieczne są wyjaśnienia — ciągnął Tony rozdygotanym głosem. — Nie wolno tak traktować przyjaciół! To niedopuszczalne! — Spojrzał na gospodarza, który biedził się wciąż nad ustawianiem palika. —r Znam te kobiety od dziesięciu lat. Na pozór są rozumne, inteligentne...

Francuzki spojrzały lodowato na Tony'ego. Twarze ich zastygły w maski nienawistnej pogardy.

— To wojna. To przekłeta wojna! — ciągnął Tony. — Helen! Rachel! Błagam, bądźcie rozsądne. Nie wyrządzajcie mi krzywdy. Nie ja przecież wkraczam do Paryża. Nie ja zabijam Francuzów. Jestem Amerykaninem. Kocham Francję. Brzydzę się Mussolinim. Jestem waszym przyjacielem i...

— Nie życzymy sobie rozmawiać z panem ani z żadnym Włochem — przerwała mu młodsza panna Boullard ujmując siostrę pod rękę.

Obie skłoniły się sztywno i ruszyły w stronę furtki, wymuskane, eleganckie, ubrane w proste czarne suknie, rękawiczki i kapelusze ogrodowe.

Gawrony podniosły wrzask na wielkim drzewie odległym o pięćdziesiąt jardów. Ochryple, natarczywe krakanie niemile drażniło ucho.

— Chodźmy, Tony — odezwał się wreszcie Michael. — Mam ochotę wypić z tobą jednego.

Tony posepnie zasznurował usta. Bez słowa wszedł za gospodarzem do wnętrza domu. W palcach ścisnął słomkowy kapelusz ze wstążką w jaskrawe paski.

Whitacre wyjął z kredensu dwie szklaneczki i hojną ręką nalał whisky. W milczeniu podał trunek przyjacielowi. W ogrodzie odżyła rozmowa. Przy akompaniamencie krakania gawronów Moran mówił z przekonaniem:

— Cudowne typy, prawda? Żywcem wycięte z francuskiego filmu z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku.

Tony pił powoli. Piastował w ręku swój sztywny słomkowy kapelusz. Oczy miał puste, żalodne. Michael chciał podejść do przyjaciela, wziąć go w ramiona, bo wiedział przecież, że jego rodacy ścisną się w smutnych momentach. Ale nie potrafił zdobyć się na krok równie śmiały. Włączył radio i pociągnął długi łyk whisky. Aparat nagrzewał się i od czasu do czasu skrzeczał irytująco.

— „I ty możesz mieć piękne, śnieżnobiałe ręce...” — Melodyjny głos urwał nagle. W odbiorniku coś trzasnęło. Po chwili dał się słyszeć inny głos, ochrypliwy i trochę drżący:

— „Otrzymaliśmy komunikat specjalny. Podano do wiadomości, że wojska niemieckie wkroczyły do Paryża. Wobec zupełnego braku oporu miasto nie ucierpiało. Następne komunikaty usłyszycie na tej samej fali.”

Niezwłocznie odezwały się organy kinowe. Głośno, nieharmonijnie grały coś z tak zwanej „lekkiej muzyki klasycznej”.

Tony usiadł, postawił szklankę na stole. Michael przywarł do radioodbiornika tępym spojrzeniem. Nigdy nie był w Paryżu. Chroniczny brak czasu i pieniędzy nie pozwalał mu na zamorskie podróże. Teraz jednak gapiąc się na lakierowane pudło, które drżało od hałaśliwej muzyki i ech schrypniętego głosu spikera, wyobrażał sobie, jak tego popołudnia wygląda stolica Francji. Szerokie, zalane słońcem ulice, dobrze znane całemu światu. Kawiarnie zapewne dzisiaj wyludnione. Strzeliste, wymowne pomniki dawnych zwycięstw, połyskujące w ciepłych blaskach lata. Niemcy maszerują sztywno, w zwartym szyku, a tupot butów dudni odbijając się od opuszczonych żaluzji. Obraz ten mógł być oczywiście mylny.

„To dziwne — dumiał Whitacre — ale trudno wyobrazić sobie niemieckich żołnierzy w grupkach po dwóch czy trzech. Myśląc o nich widzi się zawsze sztywne falangi w marszu, jak gdyby wędrowały dziwaczne, czworoboczne potwory. Może dziś chyłkiem przemykają ulicami. Broń trzymają w pogotowiu i trwożnie spoglądają na zamknięte okna, a za każdym podejrzanym szelestem padają na chodniki? Mój Boże, czyż nie mogłem się tam wybrać latem tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku albo chociażby ostatniej wiosny? Czemu nie skorzystałem z okazji? Człowiek wszystko odkłada na później i tak się to kończy.”

Zaczął wspominać przeczytane niegdyś książki o Paryżu. Teatralne lata dwudzieste i upajający, heroiczny finał poprzedniej wojny. Weseli, skazani na zagładę, dowcipni emigranci, przesiadujący w znanych barach; piękne dziewezy, sprytni, cyniczni młodzieńcy z kieliszkiem pernod w jednej i amerykańskim czekiem turystycznym w drugiej ręce... Dzisiaj wszystko przepadło pod gaśnienicami czołgów, a on nie widział tego i najprawdopodobniej nigdy nie zobaczy.

Spojrzał na przyjaciela. Tony siedział z przechyloną w tył głową. Płakał. Przeżył dwa lata w Paryżu i wielokrotnie opowiadał Michaelowi, co będą robić, kiedy razem wybiorą się tam na urlop. Mówił o małych

restauracyjkach, plaży nad Marną, o skromnym lokalu, gdzie na odrapanych drewnianych stolach podają znakomite białe wino w kafełkach.

Whitacre poczuł wilgoć pod powiekami. Rozpaczliwie zaczął się bronić. „Sentymentalizm! — pomyślał. — Idiotyczny, tani sentymentalizm! Nigdy nie byłem w Paryżu. Dla mnie to tylko miasto jedno z wielu.”

— Michael! — głos Laury zabrzmiał natrętnie, gniewnie. — Michael! Michael!

Whitacre wypił resztę whisky i zerknął na przyjaciela. Chciał coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle postanowił zostawić go w spokoju. Bez pośpiechu wyszedł do ogrodu. Johnson, Moran ze swoją damą i panna Freemantle sztywno siedzieli na trawie. Widać było, że rozmowa się nie klei. Gospodarz zapragnął gorąco, by goście poszli nareszcie.

Laura zbliżyła się i lekko ścisnęła męża za ramię.

— Mój drogi, zagramy tego lata w badminton czy mamy czekać do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku? — spytała i zaraz syknęła szeptem: Rusz no się! Bądź cywilizowanym człowiekiem. Masz gości. Nie zwalaj na mnie wszystkiego.

Zanim zdążył coś powiedzieć, odwróciła się i mile uśmiechnęła do Johnsona.

Michael podszedł z wolna do leżącego na ziemi palika.

— Nie wiem, czy to interesuje kogoś z państwa — powiedział — ale Paryż dziś upadł.

— Niepodobna! — zawołał Moran.

Panna Freemantle milczała. Whitacre zauważył, że spuściła wzrok i przyglądała się swym kurczowo splecionym dłoniom.

— Nieuniknione wydarzenie — oznajmił z powagą Johnson. — Każdy mógł je z góry przewidzieć.

Gospodarz podniósł palik i ostry jego koniec zaczął wbijać w murawę.

— Nie tutaj! — krzyknęła Laura wysokim, zirytowanym głosem. — Ile razy trzeba ci powtarzać, że to robota do niczego?

Skoczyła jak furia i wyrwała palik mężowi. Rakietą, którą trzymała w ręku, mocno uderzyła go w ramię. Michael z niemądrą miną przyglądał się żonie, feęce ftliął wyciągnięte, jak gdyby trzymał jeszcze palik. „Płacze — pomyślał zdziwiony. — Czemu, u licha, ona płacze?”

— Tutaj! Rozumiesz, tutaj! — wrzeszczała Laura i zaostrzonym końcem palika gwałtownie tłukła o ziemię.

Whitacre zbliżył się do niej i on z kolei odebrał palik. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego to zrobił. Wiedział tylko, że nie zniesie widoku Laury, która krzyczy histerycznie i raz po raz dziurawi trawnik.

— Uspokój się, to moja sprawa — powiedział bez sensu.

Nienawiść wykrzywiła ładną, łagodną zwykle twarz aktorki. Laura podniosła rękę i rzuciła rakieta mierząc w głowę męża. Michael patrzył tępo, jak rakietka kreśli łuk na tle drzew i żywopłotu widocznego w głębi ogrodu. Zdawało mu się, że ten lot trwa bardzo długo. Później usłyszał głucho stuknięcie i rakietka upadła mu u nóg, zanim uprzytomnił sobie, że uderzyła go boleśnie nad prawym okiem. Krew zwilżyła czoło, na chwilę zatrzymała się na brwi i poczęła zalewać oko. Była ciepła i lepka. Laura stała bez ruchu. Płakała i mierzyła męża pełnym obrzydzenia wzrokiem.

Whitacre troskliwie ułożył palik na trawniku, odwrócił się i odeszedł. Po drodze minął Tony'ego, który wychodził właśnie z domu. Nie odezwali się do siebie.

W bawialni radio huczało jeszcze muzyką organową. Michael stanął przed kominkiem i spojrzął w stojące na półce niewielkie wypukłe lustro w bogato rzeźbionej, złoczonej ramie. Odbicie zmniejszało mu twarz. Nos był śmiesznie długi, a czoło i broda spiczaste i cofnięte. Czerwona plama nad okiem wydawała się mała i bardzo daleka. Nagle skrzypnęły drzwi. Michael usłyszał za sobą zbliżające się kroki Laury, która weszła do pokoju i wyłączyła radio.

— Wiesz chyba, że nie znoszę muzyki organowej — rzuciła drżącym, nieprzyjemnym tonem.

Odwrócił się i spojrzął na żonę. Stała przed nim w sukni ogrodowej z kretonu pomarańczowego w biały deseń. Opalona skóra widoczna między spódnicą a stanikiem była gładka i jedwabista. Laura wyglądała wdzięcznie. Smukła, zgrabna i elegancka, sprawiała wrażenie wyciętej z „Vogue'u” reklamy sukien dla młodych pańienek. Zła, zalana łzami twarz rażąco nie pasowała do całości.

— No, koniec z nami — odezwał się Michael. — Rozumiesz chyba dlaczego?

— Doskonale! Niczego więcej nie mogłam sobie życzyć. Doskonale!

— Jak już do tego doszło — podjął — chciałbym powiedzieć, że nie mam wątpliwości co do ciebie i Morana. Dobrze was obserwowałem.

— Jestem zadowolona, że wiesz o wszystkim — syknęła Laura. — Ale pozwól, że cię ostatecznie upewnię. Masz całkowitą rację. Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

— Tylko tyle, że wyjadę pociągiem o piątej.

— Nie udawał świętoszka! — wybuchnęła kobieta. — I ja wiem coś niecoś o tobie. W wielu listach opisywali mi dobrzy ludzie, jak samotnie spędzasz beze mnie czas w Nowym Jorku. Mam dosyć! Dosyć! Ile razy przyjechałam do ciebie, wszystkie baby patrzyły na mnie ze współczuciem. Mam dosyć! A na kiedy umówiłeś się z panną Freemantle? Obiad we wtorek, co? Może wyjść do ogrodu? Powiedzieć jej, że zmieniłeś plany? Właściwie możecie się spotkać już jutro.

Mówiła ostrym, syczącym głosem, a gniew i żal wykrzywiały jej szczupłą, dziewczęcą twarz.

— Uspokój się. Nie mam ochoty słuchać podobnych bredni — powiedział Michael, chociaż był przygnębiony i czuł się winny.

— Może chcesz jeszcze o coś zapytać?! — krzyczała Laura. — Interesują cię inni mężczyźni? Masz więcej podejrzeń? Życzysz sobie, abym spisała pełną listę?

Nagle załamała się. Upadła na kanapę.

„Chyba trochę za wdzięcznie — pomyślał złośliwie Michael. — Zupełnie jak dobra pierwsza naiwna.”

Laura ukryła twarz w poduszce i szlochała głośno. Piękne puszyste włosy rozsypały się i aureolą otoczyły jej głowę. Skulona na kanapie, zapłakana, sprawiała wrażenie bezradnego dziecka wystrojonego w barwną, efektowną suknię. Michael miał szczerą ochotę pochylić się nad żoną, wziąć ją w ramiona i łagodnie, pocieszająco szepnąć:

„Dziecinko. Małeńka...”

Odwrócił się jednak i wyszedł do ogrodu. Goście usunęli się dyskretnie i z dała od domu utworzyli barwną grupę na ciemnym tle żywopłotu. Stali nieporadnie, zakłopotani i sztywni. Gospodarz zbliżył się do nich. Wierzchem dłoni otarł szramę nad okiem.

— Nie gramy dziś w badmintona — powiedział. — Chyba niech państwo lepiej pójdą. Dzisiejsze przyjęcie nie będzie gwoździem letniego sezonu w Pensylwanii.

— Właśnie szykowaliśmy się do odejścia — odrzekł chłodno Johnson.

Michael nie podał nikomu ręki. Stał na trawniku. Obojętnie patrzył na figury niknące jedna za drugą. Panna Freemantle spojrzała raz na niego, zaraz jednak spuściła wzrok i oddaliła się bez słowa. Furtka stuknęła za odchodzącymi.

Michael stał bez ruchu. Rana wysychała na słońcu i piekła. Gawrony darły się niemiłosiernie w górze między gałęziami. Nie cierpiał gawronów. Podszedł do muru i troskliwie wybrał kilka

ciężkich, gładkich kamieni. Później wyprostował się i baczny wzrokiem zaczął szukać ptaków między liśćmi. Zamachnął się i rzucił kamień w trzy wrzaskliwe gawrony siedzące rzędem! Ramię działało sprawnie. Kamień zawarczał w powietrzu. Za pierwszym poleciał drugi i trzeci. Ptaki zatrzepotały skrzydłami i odleciały z trwożnym krakaniem. Michael posłał ich śladem jeszcze jeden kamień, który zakreślił szeroki łuk w powietrzu. Gawrony zniknęły w lesie.

Na chwilę cisza spowiła ogród drzemiący w słonecznych blaskach letniego popołudnia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Noe był zdenerwowany. Pierwszy raz w życiu wydawał przyjęcie, próbował więc przypomnieć sobie, jak wyglądają przyjęcia w filmach, książkach i magazynach literackich. Dwukrotnie zaglądał do kuchenki, aby zbadać stan trzech tuzinów kostek lodu, które przy pomocy Rogera zakupił w drogerii. Raz po raz patrzył na zegarek pocieszając się nadzieją, że Roger zdąży przywieźć swoją dziewczynę z Brooklynu, nim goście zaczną się schodzić. Noe nie wątpił, że zdany na własne siły popelni jakąś potworną gafę właśnie w momencie, kiedy należy być godnym i pewnym siebie.

Noe i Roger Cannon mieszkali razem w Nowym Jorku, niedaleko nadbrzeżnego bulwaru River Drive i Uniwersytetu Columbia. Pokój mieli duży, ozdobiony kominkiem, w którym nie można było rozpalić ognia. Z okna łazienki, wychyliwszy się tylko nieznacznie, mogli oglądać rzekę Hudson.

Po śmierci ojca Noe przemierzył z powrotem całe Stany, zawsze bowiem pragnął zobaczyć Nowy Jork. Nic nie wiązało go z żadnym Innym punktem świata, a w wielkim mieście znalazł pracę po upływie dwóch dni. Później w Bibliotece Publicznej przy Piątej Alei spotkał Rogera.

Obecnie trudno mu było uwierzyć, że w swoim czasie nie znał Rogera i po całych dniach mógł włączyć się ulicami nie odzywając się •łowem do nikogo. Nie miał wtedy przyjaciela w żadnym mężczyźnie, nie spoglądała nań żadna kobieta, na żadnej ulicy nie czuł się u siebie, a wszystkie godziny były dlań równie mało atrakcyjne.

Pewnego razu Noe stał przed bibliotecznymi regałami i wodził wzrokiem po szeregach tomów w ciemnych oprawkach. Sięgnął ręką po książkę (dobrze pamiętał, że było to dzieło Yeatsa), potracił stojącego obok mężczyznę i bąknął: „Przepraszam!” Spojrzeli na siebie, nawią-

zali rozmowę i wyszedłszy na ociekające deszczem ulice gawędzili dalej. Roger zaprosił nowego znajomego do baru przy Szóstej Alei. Wypili tam po dwa piwa i przed rozstaniem umówili się, że nazajutrz zjedzą razem kolację.

Noe nie miał nigdy prawdziwego przyjaciela. Włoczęgowskie dzieciństwo spędzał tu i ówdzie. Kilkumiesięczne pobyty wśród obcych, obojętnych ludzi dawały jedynie okazję do przelotnych znajomości, a uparta nieśmiałość i przekonanie, że jest niesympatycznym, pozbawionym wdzięku dzieckiem, wykluczały wszelkie awanse z jego strony. Roger — o cztery lub pięć lat starszy od Noego — był wysoki i szczupły. Miał suchą twarz i krótko *ostrzyżone ciemne włosy*, a poruszał się z tym niedbałym wdziękiem, jakiego Noe zazdrościł zawsze młodzieńcom wychowanym w dobrych szkołach. Roger nie wychowywał się w dobrej szkole, ale należał do ludzi, którzy przynoszą na świat pewną i nie zachwianą wiarę w samych siebie. Na wszystko spoglądał z chłodną ironiczną goryczą, którą jego nowy znajomy usiłował teraz naśladować.

Młody Ackerman nie miał pojęcia, dlaczego Roger go polubił. Podejrzewał zrazu, że w Rogerze budzi współczucie chłopiec w wytartym ubraniu, niezdarny, obdarzony dumną nieśmiałością, samotny w ogromnym mieście. Tak czy inaczej, spotykali się kilkakrotnie. Pili piwo w ohydnych barach, które odpowiadały widać Rogerowi, albo jedli kolacje w tanich włoskich restauracyjkach. Wreszcie Roger zapytał właściwym mu spokojnym a niedbałym tonem:

— Zadowolony jesteś ze swego mieszkania?

— Nie bardzo — odpowiedział ucziwie Noe.

Była to ponura izdebka w czynszowym domu przy Dwudziestej Ósmej Ulicy. Nie brakowało tam wilgoci i pluskiew, a nad głową huczało wciąż w rurach kanalizacyjnych.

— Ja mam duży pokój o dwóch łózkach — podjął Roger. — Jeśli *nie przeszkadzałoby ci*, że czasami brzdąkam po nocach na pianinie...

Wdzięczny i zdumiony, że w ludnym, ruchliwym mieście znalazł kogoś, kto przywiązuje wagę do jego przyjaźni, Noe przeprowadził się do obszernego, staroświeckiego pokoju w pobliżu rzeki. Roger stał się dlań teraz jak gdyby urojonym przyjacielem, którego samotne dzieci wymyślają w długie, bezsenne noce. Był łatwy w obejściu, delikatny, wykształcony. Nie dręczył pytaniami, lecz z szorstką swobodą bawił się pobieżną edukacją młodszego przyjaciela. Badając teren mówił na chybił trafił o książkach, muzyce, malarstwie, polityce kobietach. Znal Francję i Włochy, a nazwy słynnych starożytnych stolic i malow-

nicznych miasteczek brzmiały swojsko, wymawiane wolno twardym akcentem Nowej Anglii. Roger miał własne zjadliwe teorie na temat Imperium Brytyjskiego, działania systemu demokratycznego w Stanach Zjednoczonych, nowoczesnej poezji, baletu, filmów i wojny. Nie miał za to ambicji osobistych. Pracował dorywczo jako akwizytor ogłoszeniowy. Mało dbał o pieniądze i wędrował od dziewczyny do dziewczyny lekko znudzony i żartobliwie rozwiązły. Ubrany niedbale, lecz nie bez szyku, dufnie uśmiechnięty, stanowił doskonały produkt współczesnej Ameryki: człowieka, który zawdzięcza wszystko sobie.

Przyjaciele odbywali długie spacerunki nad rzeką albo po uniwersyteckim parku. Dzięki swym znajomościom Roger wynalazł Noemu dobrą posadę administratora terenów gier sportowych w podmiejskim klubie w East Side. Noe zarabiał trzydzieści sześć dolarów tygodniowo, to jest więcej niż kiedykolwiek w życiu. Dwaj młodzi ludzie lubili wałęsać się nocami po wyludnionych ulicach. Na drugiej stronie rzeki fale z łoskotem rozbijały się o skały wyspy Jersey, na tle których migotały światła okrętów. Szli wtedy ramię w ramię. Roger mówił, a Noe łowił słowa łakomie i z zachwytem, jak gdyby podpatrywał olśniewający, nie przeczuwany nawet świat.

— Opowiadałem ci już o tym zasuspendowanym księdzu z okolicy Antibes. Co wieczór musiał wypić kwartę szkockiej whisky. Przesiadawał wtedy w kawiarence na wzgórzu i tłumaczył Baudelaire'a...

— Cały kłopot z Amerykankami, że każda chce być kapitanem drużyny albo w ogóle odmawia gry. Wynika to z przesadnej wartości, jaką przypisuje się cnocie. Jeżeli Amerykanka twierdzi, że jest ci wierna, uzurpuje sobie prawo przykucia cię łańcuchami do kuchennej płyty. W Europie jest lepiej. Powszechnie wiadomo, że nikt nikomu nie dochowuje wiary. W ten sposób powstaje rozsądniejszy system wartościowania. Wiarołomstwo to jak gdyby standard złota w stosunkach między płciami. Istnieją ustalone kursy wymiany i idąc do sklepu wiesz, ile kosztuje towar. Osobiście lubię uległe dziewczyny. Wszystkie moje znajome mówią, że mam feudalny stosunek do kobiety. Może to racja. Ale cóż? Wolę podporządkować sobie kobietę niż pozwolić, żeby ona mnie sobie podporządkowała. Jedno albo drugie musi się zdarzyć, a mnie przecież niepilno. Może kiedyś, jak trafię wreszcie na odpowiedni typ...

Idąc obok przyjaciela Noe był zdania, że nic lepszego nie może go spotkać w życiu. Jest młody, na nowojorskich ulicach czuje się jak w domu, ma przyjemną pracę za trzydzieści sześć dolarów tygodniowo, pełen książek pokój, prawie z widokiem na rzekę, i przyjaciela

— wyrobionego, rozumnego światowca, sypiącego jak z rękawa najosobliwzszymi wiadomościami. Jednego mu tylko brak: dziewczyny. Ale Roger postanowi! uporać się i z tą kwestią. Dlatego właśnie wydawali przyjęcie.

Roger doskonale bawił się przez cały wieczór, bo grzebał w starych notesach robiąc przegląd ewentualnych kandydatek dla przyjaciela. I otóż dziś miało ich przyjść sześć, nie licząc dziewczyny, którą Roger sprowadzi dla siebie. Naturalnie spodziewano się też kilku mężczyzn, ale Roger postąpił przezornie i chcąc uniknąć zbyt groźnej konkurencji, spośród znajomych dobrał chłopców o pociesznym wyglądzie lub ciężkim, dowcipie.

Noe rozglądał się teraz po ciepłym, jasno oświetlonym pokoju, podziwiał cięte kwiaty w wazonach, reprodukcje Braque'a na ścianie i biurko zastawione butelkami i kieliszkami, które lśniły niby zjawą z lepszego świata. Patrząc na to wszystko odczuwał trwożną pewność, iż tego wieczora nareszcie znajdzie dziewczynę.

Klucz zgrzytnął w zamku. Noe uśmiechnął się pogodnie, bo zrozumiał, że ominęła go ciężka próba samodzielnego witania pierwszych gości. Roger przyprowadził swoją dziewczynę. Noe bez przygód pomógł jej się rozebrać i szczęśliwie umieścił płaszcz na wieszaku. Nie potknął się o nic ani nie wykręcił damie rąk. Uśmiechnął się do siebie i usłyszał głos nowo przybyłej:

— Uroczy pokój. Wygląda, jak gdyby nie było tu kobiety od tysiąc siedemset pięćdziesiątego roku.

Ackerman wszedł do pokoju. Roger manipulował coś z lodem w kuchence, a dziewczyna stała przed obrazkiem, odwrócona plecami do Noego. Za przepierzeniem Roger nucił cicho przy akompaniamencie grzechoczących kostek. Nosowym głosem powtarzał raz po raz słowa piosenki, którą wyśpiewywał bardzo często:

Wiem, robisz oczko jak ta lala.
I kulinarny talent los także ci dał.
Ale czy forsą nie nawala,
To tylko wiedzieć bym chciał.

Dziewczyna (ubrana w sukienkę koloru wiśniowego, o kloszowej spódnicy pięknie odbijającej blask' lamp) stała spokojnie na tle kominka, tyłem do pokoju. Miała zgrabne, dosyć grube nogi i wdzięczną, smukłą talię. Włosy upięte nad karkiem w bezpretensjonalny kok przywodziły na pamięć urodziwe nauczycielki z filmów. Widok

dziewczyny, grzechotanie kostek lodu, dochodzące zza przepierzenia •Iowa wesołej, niemądrej piosenki sprawiały, że wieczór, pokój, cały iwiat wydawał się Noemu cudownie przytulny, kochany, melancholijny. Dziewczyna odwróciła się nagle. Noe witając ją przy drzwiach był zbyt zajęty i wzruszony, aby przyjrzeć się gościowi. Nie pamiętał nawet jej imienia. Obecnie zdawało mu się, że zobaczył skoncentrowany nagle obraz.

Dziewczyna miała śniadą, ostrą twarz i poważne oczy. Noe patrzył na nią z dziwnym uczuciem, że oszołomił go potężny cios. Nigdy dotychczas nie doznał czegoś podobnego. Był podniecony, ogłupiały, czuł się winowajcą.

Dziewczyna — o czym Noe dowiedział się później — nazywała się Hope Plowman i przed dwoma laty przyjechała z małego miasteczka w stanie Vermont. Obecnie mieszkała u ciotki w Brooklynie. Mówiła poważnie, po prostu i nie używała perfum. Pracowała jako sekretarka przedsiębiorcy, który wyrabiał części maszyn drukarskich w małej fabryczce przy Canal Street. Gromadząc w ciągu wieczora te wiadomości Noe był zirytowany i po trosze uważał się za głupca. To przecież prostactwo niegodne doświadczonego mężczyzny! Ulec tak potężnie czarowi dość pospolitej Amerykanki z małego miasteczka, która ma prozaiczną posadę stenotypistki w nudnym kantorze i na domiar złego mieszka w Brooklynie! Noe, podobnie jak każdy nieśmiały mól książkowy, serce kształtował w bibliotekach, a romantyczność chłonał jedynie z tomików poezji, którymi wypychał kieszenie płaszcza. Nie mógł wyobrazić sobie Izoldy wsiadającej do tramwaju albo Beatryczy w barze-automacie.

„Nie! — rozmyślał witając nowych gości i napełniając szklanki. — Stanowczo nie wolno do tego dopuścić. Przede wszystkim to dziewczyna Rogera, a gdyby nawet jakaś idiotka chciała porzucić przystojnego, nieprzeciętnego mężczyznę dla takiej jak ja niedojdy I pokraki, nie wolno płacić za szczerą przyjaźń chociażby utajoną dwulicowością: pragnieniem nie wyrażonym w słowach”.

Ale innych gości — mężczyzn i kobiety — oglądał jak przez mgłę i udęczoney krzątał się sennie między nimi. Pochłaniał wzrokiem Hope. Każdy jej opanowany ruch wypalał mu piętno na mózgu; muzyka każdego jej słowa brzmiała mu w uszach radośnie, a zarazem upokarzająco, wstydliwie. Czuł się jak żołnierz podczas pierwszej bitwy, jak spadkobierca, co odziedzyczył nagle milion dolarów, jak obłożony klątwą człowiek głębokiej wiary, jak tenor, który po raz pierwszy śpiewa Tristana w nowojorskiej Operze Metropolitan. Czuł

się jak człowiek przyłapany w pokoju hotelowym z żoną najlepszego przyjaciela, jak generał wprowadzający wojsko do nieprzyjacielskiego miasta, jak zdobywca nagrody Nobla lub osądzony zbrodniarz w drodze pod szubienicę, jak bokser ciężkiej wagi, który znokautował właśnie ostatniego rywala, lub pływak tonący nocą w lodowatym morzu o trzydzieści mil od wybrzeża, jak uczonec, co odkrył surowicę zapewniającą nieśmiertelność rodzajowi ludzkiemu...

— Panno Płowman — zapytał — napije się pani?

— Nie, dziękuję. Nie piję nigdy.

Noe wycofał się w kąt i zaczął rozmyślać nad tym nowym odkryciem. Czy to dobrze, czy źle? I co wróży na przyszłość?

— Panno Płowman — odezwał się znów po pewnym czasie — dawno zna pani Rogera?

— O, tak. Prawie rok.

Prawie rok! Nie ma cienia nadziei.

— Dużo opowiadał mi o panu — dodała dziewczyna.

Ach, to śmiałe spojrzenie ciemnych oczu i miękkiej, rzeczowy ton głosu!

— Co o mnie mówił? — zapytał Noe podstępnie, beznadziejnie głupio.

— Bardzo pana lubi...

Zdrada! Niecna zdrada! Dobry przyjaciel złowił rozbitka między bibliotecznymi regałami, nakarmił go, wprowadził pod swój dach, pokochał... Obecnie ten przyjaciel ufny i beztroski śmieje się w wesołym gronie gości, niedbale przebiega palcami klawisze i śpiewa miłym, inteligentnym głosem:

Jozue zaczął bitwę o Jerycho, Jerycho, Jerycho...

— Mówił, że kiedy się pan nareszcie ocknie, będzie z pana cudowny człowiek... — Słowa Hope zabrzmiały znów niebezpiecznie, zbudziły nową trwogę.

Coraz gorzej, coraz gorzej! Noe czuł się jak złodziej ubezpieczony gwarancją nie podejrzewającego nic przyjaciela, jak rozpustnik, któremu ufny mąż wręcza klucz od sypialni żony. Tępo, półprzytomnie gapił się na dziewczynę. Targała nim bezsensowna nienawiść. O ósmej wieczorem był szczęśliwy, bezpieczny, pełen nadziei; miał przyjaciela, dom, pracę, nienaganną przeszłość i jasno zapowiadającą się przyszłość. O dziewiątej został zbiegiem ociekającym krwią, zbłąkanym wśród bezkresnych bagien; sfera psów ujada na jego tropie, a w aktach

sądowych figuruje rejestr jego zbrodni. Ona winna temu wszystkiemu! Siedzi teraz spokojna, fałszywie opanowana i udaje, że nic nie zrobiła, nic nie wie, niczego nawet nie przeczuwa! Zwyczajna, bezpretensjonalna dziewczyna z zapadłej prowincji, co zapewne siada na kolanach szefa, kiedy ten dyktuje jej listy w kantorze fabryczki przy Canal Street...

...i mury runęły, runęły, runęły...

Silny głos Rogera i akordy stojącego pod ścianą pianina zagłuszyły ogólny gwar.

Noe gwałtownie odsunął się od Hope. Oprócz niej znajdowało się w pokoju sześć dziewcząt. Były młode, miały świeżą cerę, pięknie połyskujące loki, kształtne ciała i słodkie, kuszące głosy. Dla niego zostały tutaj sprowadzone. Mógł wybierać! Uśmiechały się życzliwie, zalotnie. Ale dla Noego mogły być równie dobrze sześcioma manekinami krawieckimi, sześcioma cyframi na stronie książki, sześcioma klamkami u drzwi. „Coś podobnego mogło tylko mnie spotkać – myślał biedak. – Klasyczny wzór mojego życia: groteskowy, bezsensownie pocieszny, w gruncie rzeczy tragiczny... Nie, nie! Muszę to przemóc! Choćbym się miał załamać, zmarnieć, nie tknąć kobiety póki życia”.

Nie mógł wytrzymać dłużej w tym samym co Hope pokoju. Otworzył drzwi schowka, w którym wisiało jego i Rogera ubranie. Sięgnął po kapelusz. Będzie włóczył się po mieście aż do końca przyjęcia. Goście pójdą wreszcie, pianino umilknie, a ta dziewczyna wyląduje bezpiecznie za Mostem Brooklyńskim, u swojej ciotki. Na górnej półce leżały obok siebie dwa kapelusze. Noe tkliwie i z miną winowajcy spojrzął na pognieciony, stary kapelusz z brązowego filcu należący do przyjaciela.

Na szczęście, prawie wszyscy goście zgromadzili się w pobliżu pianina. Na drzwi nikt nie zwracał uwagi. Później trzeba będzie usprawiedliwić się jakoś wobec Rogera...

Ale Hope spostrzegła Noego. Siedziała zwrócona twarzą w stronę drzwi i rozmawiała z jakąś dziewczyną. Zrobiła zdziwioną, pytającą minę, kiedy Noe odwrócił się, żeby ostatni raz objąć ją pełnym rozpaczyci wzrokiem. Wstała i ruszyła w jego stronę. Szelest spódnicy zubrzmiał w uszach biedaka niby artyleryjska salwa.

– Dokąd pan idzie? – zapytała Hope.

– Widzi.... widzi... pani... – jąkał i nienawidził się za to, że język mu kołceje. – Zabrakło nam wody sodowej... Muszę kupić... i... i...

— Pójdę z panem.

Chciał wrzasnąć: „Nie! Zostań! Nie ruszaj się z miejsca!”, lecz stał bez słowa i patrzył, jak dziewczyna ubiera się w płaszcz i wkłada kapelusz. Widok tego taniego, nietwarzowego nakrycia głowy zbudził w sercu Noego bolesne, tkliwe fale współczucia dla młodości i ubóstwa Hope. Dziewczyna podeszła do siedzącego przy pianinie Rogera, pochyliła się, dotknęła jego ramienia i szepnęła mu coś do ucha.

„Teraz wszystko się wyda — pomyślał z rozpaczą Noe i pociemniało mu w oczach. — Teraz wszystko się wyda. Koniec. Koniec”.

Ale Roger odwrócił się i uśmiechnął do Noego. Nie odrywając lewej ręki od klawiszy pożegnał go życzliwym gestem prawej. Dziewczyna przemierzyła znów pokój pewnym, miarowym krokiem.

— Powiedziała Rogerowi — oznajmiła.

Powiedziała Rogerowi? Co mu powiedziała? Żeby wystrzegał się obcych ludzi? Żeby nie współczuł nikomu, nigdy nie był szlachetny, a miłość wypenił z serca niby zielsko z ogrodowych grządek?

— Niech pan lepiej weźmie płaszcz — podjęła Hope. — Padało, kiedyśmy tu szli.

Sztywno, w milczeniu Noe wrócił i wyjął płaszcz z szafy w ścianie. Hope czekała. Niebawem drzwi zamknęły się za nimi. W ciemnym przedsionku głośno i śmiechy dochodzące z pokoju zdawały się dalekie, nie dla nich przeznaczone. Powoli, ramię w ramię schodzili po stopniach na ociekającą wilgocią ulicę.

— W którą to stronę? — zapytała dziewczyna, kiedy niezdecydowanie przystanęli na skraju chodnika.

— Co w którą stronę? — rzucił półprzyciemnie Noe.

— Sklep, gdzie ma pan zamiar kupić wodę sodową.

— Aa... — Błędnym wzrokiem spojrzął na lśniący asfalt. — Nie wiem... Wszystko jedno... A zresztą, wcale nam nie potrzeba wody sodowej.

— Mówił pan przecież...

— To był pozór. Zmęczyło mnie przyjęcie. Nie mogłem wytrzymać. W ogóle nudzę się w towarzystwie.

Noe słuchał własnego głosu i upajał się tonem zblazowania i pogardy dla błahostek tego świata. Tak właśnie trzeba! Niczym prawdziwym światowcem. Mówić chłodno, grzecznie, z pewnym lekceważeniem dla tej pospolitej dziewczyny...

— Mnie się zdawało, że było bardzo przyjemnie. — powiedziała* Hope.

— Czyżby? — rzucił niedbale. — Nie zauważyłem.

„Doskonalej — pomyślał młody człowiek z posępnym ukontentowaniem. — Tak należy atakować. Od niechcenia, obojętnie, z lodowatą uprzejmością, jak angielski baron po przepitym wieczorze. W ten sposób osiągnę dwojaki cel. Nawet mową nie zdradzę przyjaciela i... — wstrząsnął nim dreszcz zakazanej rozkoszy — ...pokażę tej małej z Brooklynu, z jakim wspaniałym typem ma do czynienia”.

— Przykro mi, że pod fałszywym pretekstem wyprowadziłem panią na deszcz — podjął Noe.

Dziewczyna rozejrzała się dokoła.

— Wcale nie pada — zauważyła rzeczowo.

Młody „światowiec” dopiero wówczas uświadomił sobie, jaka jest pogoda.

— Aha. W samej rzeczy.

Poczuł, że użył niezbyt stosownego wyrażenia, ale z tonu był nadal zadowolony.

— Co pan chce teraz zrobić?

Noe wzruszył ramionami. Wzruszył ramionami pierwszy raz w życiu!

— Nie wiem — powiedział. — Zapewne odbędę przechadzkę — 'ciągnął zapożyczając słownika od bohaterów Galsworthy'ego. — Przywykłem spacerować nocami. Często to robię. Na wyludnionych ulicach panuje miły spokój.

— Dopiero jedenasta — wtrąciła dziewczyna.

— W samej rzeczy?...

Pomyślał, że na przyszłość trzeba unikać tego fatalnego zwrotu.

— Jeżeli ma pani ochotę wrócić do towarzystwa...

Hope zawahała się na chwilę. Na spowitej w mgłę rzecze zahuczała Hyrena okrętowa. Jej niski drżący dźwięk przeszył Noego do szpiku kości.

— Nie. Przejdę się z panem.

Obok siebie, lecz unikając zetknięcia, szli aleją wysadzaną drzewami i położoną wysoko nad rzeką Hudson pachnącą wiosną i solą, której masy nadciągały z oceanu wraz z południowym przypiływem, sunęła posępnie wzdłuż otulonych we mgle brzegów. Daleko na północy jaśniał sznur jaskrawych świateł — most na wyspę Jersey, a zabudowania na przeciwległym brzegu rysowały się jak średniowieczny zamek. Nic było widać innych spacerowiczów. Od czasu do czasu samochód przemykał z piskiem opon po asfalcie. Wówczas zdawać się mogło, że noc i rzeka, i samotna para przesuwają się z wolna, tajemniczo pod oświetlonymi nagle drzewami w pąkach.

Noe i Hope szli w milczeniu z biegiem rzeki. Ich kroki dźwięczały pewnie, dobitnie.

„Trzy minuty — myślał Noe spoglądając na własne trzewiki — cztery minuty, pięć minut bez słowa”.

Ogarniała go rozpacz. W tej ciszy była jakaś występna poufałość, a tęsknota i tkliwość czyhały w miarowym echu kroków, w szeleście oddechów, w staraniach, by nie zetknąć się z ramieniem, dłonią, łokciem. Schodzili teraz ze wzgórza po nierównym bruku. Milczenie stawało się wrogiem, zdrajcą. Jeszcze chwila, a spokojna dziewczyna idąca podstępnie u jego boku dowie się wszystkiego równie pewnie, jak gdyby Noe wskoczył na balustradę nadrzeczną i wygłosił godzinną tyradę o swej miłości.

— Nowy Jork — odezwał się wreszcie ochrypłym głosem — musi przerażać dziewczynę z głębokiej prowincji...

— Mnie tam nie przeraża — odpowiedziała Hope.

— Cała rzecz w tym — ciągnął bohatercko Noe — że bardzo przeceniamy to miasto. Przypisujemy mu kosmopolityczne zepsucie, a w istocie to zawsze i nieodmiennie prowincja. — Uśmiechnął się zadowolony ze swego „zawsze i nieodmiennie”.

— Nie zdaje mi się.

— Co się pani nie zdaje?

— Że Nowy Jork jest prowincją. W każdym razie nie wygląda na to po stanie Vermont.

— Ach, Vermont... — roześmiał się pobłaźliwie.

— A pan gdzie bywał?

— W Chicago, Los Angeles, San Francisco... wszędzie. — Nie dbałe machnął ręką, jak gdyby dawał do zrozumienia, że wymienił jedynie pierwsze nazwy, które mu się przypomniały, gdyby jednak zechciał wyrecytować całą listę, na pewno byłyby tam i Paryż, i Budapeszt, i Wiedeń.

— Muszę jednak przyznać — ciągnął — że w Nowym Jorku nie brak pięknych kobiet. Może są trochę za tęgie, ale bardzo, bardzo przystojne.

„Aha, trąciłem właściwą strunę” — pomyślał z zadowoleniem i spod oka zerknął na towarzyszkę.

— Amerykanki — mówił dalej — są właściwie najlepsze za młodu, a później... — Jeszcze raz udało mu się wzruszyć ramionami. — Ja osobiście wolę kobiety z Europy. Starzeją się trudniej i rozkwitają dopiero w wieku, kiedy Amerykanka staje się czarownicą o wydatnym zadzie i myśli już tylko o bridżu.

Niepewnie spojrział na Hope, która wszakże nie odmieniła wyrazu twarzy. Ułamała gałązkę z jakiegoś krzewu i w roztertargnieniu trącała nią o kamienną balustradę, jak gdyby rozmyślała głęboko o tym, co usłyszała przed chwilą.

— I jeszcze jedno — podjął Noe. — Europejki nauczyły się postępować z mężczyznami.

Próbował przypomnieć sobie Europejki, z którymi zetknął się w życiu. Aha! Ta pijaczka spotkana w barze w dzień śmierci ojca. Zapewne była Polką. Cóż, Polska to kraj niezbyt romantyczny, ale bądź co bądź leży w Europie.

— Jak to Europejki nauczyły się postępować z mężczyznami? — zapytała dziewczyna.

— Potrafią być uległe — odparł. — Moje znajome twierdzą, że mam feudalny stosunek do kobiet.

„Przyjacielu! O przyjacielu przy pianinie, wybac mi dzisiaj kradzież. W przyszłości ci za to odpłacę!”

Następne słowa popłynęły gładko.

— Sztuka! — rozprawił Noe. — Ba, sztuka! Nie uznaję nowoczesnych poglądów, że sztuka to coś tajemniczego, a artysta to nieodpowiedzialne dziecko.

— Małżeństwo? Chce pani wiedzieć, czym jest małżeństwo? Tragicznym wyznaniem ludzkości, że mężczyźni i kobiety nie mają pojęcia, jak żyć obok siebie na jednym i tym samym świecie.

— Teatr? Amerykański teatr? Pewnie, że jest w nim trochę dziecinnej beztroski, ale żeby go brać poważnie jako wyraz sztuki dwudziestego wieku... — Roześmiał się wyniośle. — Nie! Wolę już Disneya!

Po jakimś czasie zorientowali się, że odeszli daleko z biegiem czarnej rzeki, że deszcz zaczyna znowu padać i robi się późno. Noe przysunął się do dziewczyny, żeby osłonić zapałkę i zobaczyć na swym zegarku, która jest godzina. Zapach włosów Hope zmieszał się nagle z ostrą wonią rzeki. Noe postanowił w tej chwili, że lepiej zamilknąć, /był bolesny był ów potok niedorzecznej gadaniny, dyletancki popis żółtodzioba udającego znawcę życia.

— Późno — odrzekł szorstkim tonem. — Lepiej wracajmy do towarzystwa.

Nie mógł oprzeć się pokusie i ruchem ręki zatrzymał przejeżdżającą Hiksówkę. Pierwszy raz korzystał w Nowym Jorku z tego środka lokomocji i wsiadając potknął się o podnoszoną przednią ławeczkę. Mimo to czuł się panem siebie i życia, kiedy usadowił się na głównym

siedzeniu jak najdalej od towarzyski. Hope siedziała potulnie w kątku. Noe zdawał sobie sprawę, że wywiera potężne wrażenie, toteż dał szoferowi na piwo pół dolara, chociaż cały kurs wyniósł tylko sześćdziesiąt centów.

Znowu stanęli niepewnie pod drzwiami domu, w którym mieszkał Noe. *Spojrzel* w górę. Wszystkie światła pogasły. Przez zamknięte okna nie dobywał się gwó& roz mów, śmiechu, muzyki.

— Po zabawie. Nikogo nie ma w domu — powiedział Noe i serce w nim zamarło, bo uprzytomnił sobie, że Roger oskarży go na pewno o kradzież dziewczyny.

— Na to wygląda — przyznała spokojnie Hope.

— I co teraz zrobimy?

Biedak czuł się jak złapany w sidła.

— Chyba pan będzie musiał odwieźć mnie do domu — odrzekła dziewczyna.

„Brooklyn) — pomyślał z rozpaczą. — Brooklyn. Parę godzin tam i parę godzin z powrotem. A Roger-oskarżyciel będzie czekał w nie sprzątniętym, oświetlonym brzaskiem pokoju, gdzie do niedawna bawiono się wesoło. Będzie czekał zdradzony, z suchymi słowami ostatecznego pożegnania na ustach.”

Wieczór rozpoczął się tak pięknie, pod tak pomyślną gwiazdą. Noe przypomniał sobie chwilę, kiedy był sam w mieszkaniu, jeszcze przed przyjściem Rogera. Pamiętał miłe uczucie oczekiwania, z jakim robił przegląd skromnego, obstawionego regałami pokoju, który wydawał mu się wówczas przyjazny i pełen nadziei.

— Nie mogłaby pani sama wrócić do domu? — zapytał nieśmiało.

— Dobrze sobie! — wybuchnęła ostrym, rozkazującym tonem.

— Nie myślę wracać sama. Proszę ze mną pojechać.

Noe westchnął. Jak gdyby mało było złego, dziewczyna zaczyna się złościć.

— Proszę tak nie wdychać! — zawołała. — Zupełnie jak mąż pod pantoflem.

„Co się dzieje? — pomyślał oszołomiony chłopiec. — Jak do tego doszło? Skąd ona ma prawo przemawiać do mnie takim tonem?”

— Ja w każdym razie idę — oznajmiła Hope i odwróciwszy się na pięcie ruszyła w stronę stacji kolei podziemnej.

Noe patrzył za nią przez chwilę. Później jak niepyszny podążył jej śladem.

W wagonach było duszno i pachniało deszczem przyniesionym przez pasażerów z ulic rozciągających się w górze. Zatęchłe powietrze

pachniało żelazie, a w nikłym świetle brudnych żarówek idiotycznie i dziwnie nie na miejscu wyglądały jaskrawe plakaty, z których damy o pełnych piersiach reklamowały pastę do zębów, środki przeczyszczające albo biustonosze. Inni pasażerowie powracający z jakichś nieznanymi robót i od spraw, które trudno było sobie wyobrazić, kiwali się sennie na poplamionych, żółtych ławkach.

Hope zesnurowała usta i milczała uparcie. Kiedy trzeba było przesiąść się na jakiejś stacji, wstawiała z niezadowoloną miną i wychodziła na peron. *Zgnębiony towarzysz* włókł się niezdarnie za nią.

Wiele razy zmieniali pociągi i nieskończenie długo czekali na wyludnionych stacjach, gdzie woda z dziurawych rynien ściekała po zszarzałej glazurze i zardzewiałym żelastwie tuneli.

„Ta dziewczyna — rozmyślał Noe z ponurą niechęcią — musi mieszkać na samym końcu miasta, o pięćset jardów od ostatnich torów, gdzieś między cmentarzami i wysypiskami śmieci. Ach, ten Brooklyn! W ciemnościach nocy ciągnie się chyba bez końca: od East River do Graveśend Bay, od oleistych wód Greenpoint do śmieciarskich galarów w Canarsie. Brooklyn, jak Wenecja, leży w objęciach morza. Tylko jego Wielkim Kanałem jest Czwarta Aleja. Co za wymagania! Co za pewność siebie — myślał dalej spoglądając spod oka na towarzyszkę. — Człowieka, którego tylko co poznała wlecze tak długo i tak daleko przez ponury labirynt miejskich podziemi. Takie już moje szczęście! — dodał olśniony smętną wizją przyszłości. — Noc po nocy na tych ohydnych stacyjkach'. Noc po nocy wśród sprzątaczek, złodziei i pijanych marynarzy ze statków handlowych, którzy nad ranem stanowią znakomitą większość pasażerów kolei podziemnej. Takie już moje szczęście! Chociaż w promieniu pięćdziesięciu przecznicy do domu mieszka co najmniej milion kobiet, musiałem wpaść na tę wymagającą jędzę, co osiedliła się na drugim końcu miasta najrozleglejszego w świecie. Leander przepłynął Hellespont dla kobiety, ale nie musiał przecież odwozić jej po nocy do domu i czekać dwadzieścia pięć minut na stacji przy Alei De Kalb pośród koszuw na śmiecie i napisów zabraniających pluć i palić.”

Na koniec wysiedli na jakiejś stacji i Hope poprowadziła Noego schodami na ulicę.

— Nareszcie! — westchnął. — Myślałem, że do końca lata nie wygrzebiemy się z podziemi.

Były to pierwsze słowa, jakie wymówił od godziny.

Dziewczyna przystanęła na rogu.

— Teraz pojedziemy tramwajem — oznajmiła chłodno.

— Wielki Boże! — jęknął i zaczął się śmiać histerycznie.

Na tle nędznych wystaw sklepowych, ścian odrapanych domów i torów tramwajowych jego śmiech brzmiał niedorzecznie, głucho.

— Jeżeli ma pan być taki miły, możemy się tutaj rozstać — obruszyła się dziewczyna.

— Zawędrowałem tak daleko — odparł Noe z książkową powagą — że wytrzymam do końca drogi.

Przestał się śmiać i posępnie stanął pod latarnią u boku towarzyski. Wiatr smagał ich zimnymi strumieniami deszczu, wiatr, co przepłynął nad atlantyckimi plażami i zaśmieconymi basenami portu, nad milionem akrów bliźniaczych domków, nad drewnianymi i murywanymi ruderami Flatbush i Bensonhurst, nad setkami tysięcy pogrążonych we śnie ludzi, którzy w trudnej wędrówce przez życie nie potrafiliby znaleźć przyjemniejszego miejsca, gdzie mogliby złożyć na noc głowy.

Po upływie kwadransa zobaczyli w oddali świetlne oko, które zaczęło zbliżać się z hałasem. Nadjeżdżał tramwaj. W wozie było tylko trzech pasażerów. Kiwali się skuleni niewygodnie na drewnianych, ławkach. Noe usiadł sztywno obok towarzyski. W oświetlonym tramwaju turkoczącym wzdłuż mrocznych ulic odniósł wrażenie, że jest rozbitkiem, że znalazł się z obcymi ludźmi na tratwie sporządzonej ze szczątków nieszczęsnego statku, który rozbił się w czasie rejsu pośród lodowatych wysp Północy. Dziewczyna siedziała sztywno, z rękami splecionymi na kolanach. Bez wyrazu spoglądała prosto przed siebie. Noemu zdawało się, że jej wcale nie zna, a gdy odważy się przemówić do niej, ona podniesie krzyk i wezwie na pomoc policjanta.

— Koniec — powiedziała wreszcie i wstała z ławki.

Jeszcze raz Noe poszedł za nią w stronę wyjścia. Wóz zatrzymał się na przystanku. Zgrzytnęły odsuwane drzwi. Zapóźniona para zstąpiła na wilgotny chodnik i odeszła od torów tramwajowych. Tu i ówdzie przy obskurnych ulicach stały zieleniejące drzewka, świadczące, że mimo wszystko wiosna zawitała w tym roku do Brooklynu.

Hope skręciła w krótki wybetonowany zaułek i zatrzymała się przed wysokim kamiennym tarasem. Przekręciła klucz w zamku, pchnęła furtkę z żelaznych prętów.

— No, jesteście w domu — rzuciła sucho i spojrzała w twarz ! towarzysza.

Noe odkrył głowę. Twarz dziewczyny blade się rysowała w mroku. I Hope zdjęła kapelusz. Rozwiane ciemne włosy otaczały czoło i policzki połyskujące niby kość słoniowa. Stojąc tuż obok niej w cieniu

ubogiego domku, w którym mieszkała, Noe poczuł, że na płacz mu się zbiera, jak gdyby tracił w tej chwili wszystko, co kiedykolwiek było mu drogie.

— Chciałbym... — zaczął jąkać — chciałbym powiedzieć że nie mam za złe... to jest... że... że z przyjemnością odwożem panią do domu...

— Dziękuję — szepnęła bezbarwnym tonem."

— Jakie to wszystko zawile — podjął i bezradnie rozłożył ręce. — Ach, gdyby pani mogła zrozumieć, jakie to wszystko zawile... Naprawdę... Było ihi bardzo miło...

Stała tuż przed nim taka biedna, młoda, wiotka, zdana na własne siły, odważna, samotna... Nieśmiało, na oślep Noe wyciągnął ręce, ostrożnie ujął jej głowę i pocałował Hope.

Usta miała miękkie, chłodne, lekko wilgotne od mgły.

Uderzyła go w twarz. Echo odbiło się posępnie o kamienne schodki. Noe poczuł, że piecze go policzek.

„Silna — pomyślał półprzymtomnie. — A wygląda tak krucho."

— Skąd panu przyszło do głowy, że mnie wolno całować? — zapytała lodowato.

— Nie... nie wiem...

Pogładził palcami obolałe miejsce i zaraz cofnął rękę. Wstyd mu się zrobiło, że w takiej chwili zdradził swoją słabość.

— Po prostu... po prostu pocałowałem panią.

— Może pan całować inne dziewczęta — rzuciła sucho. — Mnie nie!

— Ja nie całuję innych dziewcząt — przyznał bezradnie.

— Co? Tylko mnie! Przykro mi, że wyglądam na taką łatwą.

— Ależ nie, nie! — zawołał rozpaczliwie. — Wcale nie o to chodzi!...

„Wielki Boże — pomyślał — gdybym potrafił wytłumaczyć jej, co czuję. Teraz wyobraża sobie, że ze mnie dureń, babiaryz, co wyszedł z narożnego baru i gotów dobrać się do pierwszej lepszej dziwki, która na to pozwoli."

Przełknął ślinę. Słowa więzły mu w suchym gardle.

— Przepraszam. Bardzo przepraszam — bąknął słabo.

— Pewno panu się zdaje — podjęła zaczepnie Hope — że takie z pana cudo, taki spryciarz, mądrała, że każda dziewczyna oszaleje z radości, jak ją pan zechce pomacać!

— Mój Boże!

Cofnął się przerażony i omal nie spadł z dwóch stopni na betonowy chodnik.

— Jak żyję — irytowała się Hope — nigdy nie spotkałam równie zarozumiałego, pewnego siebie aroganta!

— Dosyć! — wybuchnął Noe. — Nie wytrzymam dłużej!

— Wobec tego, panie Ackerman, życzę panu dobrej nocy — syknęła jadownicie.

— Nie! Nie w tej chwili. Zostań!

Stanowczym ruchem pchnęła furtkę z żelaznych prętów. Zawiasy zgrzytnęły.

— Błagam — podjął chłopiec. — Niech mnie pani wysłucha...

— Dobranoc.

Jednym szybkim krokiem znalazła się za furtką. Rozległo się trzaśnięcie. Klucz zachrobotał w zamku. Nie oglądając się dziewczyna odemknęła drewniane drzwi domu i zniknęła za nimi. Noe patrzył przez chwilę na dwoje ciemnych drzwi — żelazne i drewniane. Później odwrócił się powoli i zupełnie złamany powlókł się ulicą.

Odszedł trzydzieści jardów trzymając kapelusz w rękę. Nie spostzegł nawet, że deszcz znów pada, że z włosów ciekną mu strumyczki wody. Stał. Nieśmiało rozejrzał się dokoła i zawrócił w stronę domu Hope. W zakratowanym oknie na poziomie chodnika paliło się teraz światło. Przez opuszczoną roletę widać było sylwetkę ruszającą się po pokoju.

Przysunął się do okna, odetchnął głęboko i zastukał. Po chwili roleta uchyliła się i odsłoniła głowę Hope. Noe przybliżył twarz do szyby i na migi próbował dać dziewczynie do zrozumienia, że musi z nią pomówić. Gniewnie potrząsnęła głową i odprawiła natręta ruchem ręki, ale on zawołał przyciskając usta do okna:

— Proszę otworzyć drzwi! Muszę z panią pomówić. Jestem zgubiony, zgubiony, zgubiony!

Niezdeterminowanie spojrzała na niego przez szkło zmatowiałe od deszczu. Później uśmiechnęła się i zniknęła za roletą. Niebawem skrzypnęły drewniane drzwi domu i stanęła za furtką wiodącą na taras. Noe westchnął bezwiednie.

— Ach, jak to dobrze, że pani wyszła!

— Nie może pan odnaleźć powrotnej drogi? — zapytała.

— Jestem zgubiony — jęknął. — Nikt mnie nigdy nie odnajdzie.

— Straszny z pana głuptas, prawda? — roześmiała się dziewczyna.

— Tak — przyznał skromnie. — Straszny.

Z poważną miną stała po drugiej stronie furtki z żelaznych prętów.

— Proszę posłuchać — podjęła rzeczowo. — Pójdzie pan w lewo i na rogu trzeciej ulicy poczeka na tramwaj. Nadjedzie z lewej strony i zawiezie pana do Eastern Parkway. Później...

Jej głos wskazujący drogę ucieczki w szeroki świat brzmiał jak muzyka. Noe zauważył, że Hope zdjęła pantofle na wysokich obcasach i że jest znacznie mniejsza* niż sądził — delikatniejsza, bardziej kochana.

— Słucha mnie pan? — zapytała.

— Chciałbym pani coś powiedzieć — rzucił głośno. — Wcale nie jestem zarozumiały, pewny siebie arogant.

— Ssz! — syknęła. — Ciotka śpi.

— Jestem nieśmiały — podjął szeptem — nie mam pojęcia o świecie i nie wiem, dlaczego panią pocałowałem. Po prostu... po prostu nie mogłem inaczej.

— Ciszej! Moja ciotka!

— Próbowałem zaimponować pani — ciągnął przerywanym szeptem. — Nie znam żadnych kobiet z Europy. Chciałem pani wmówić, że wielki ze mnie cwaniak, światowiec. Obawiałem się, że nie spojrzysz na mnie takiego, jaki naprawdę jestem. To był okropny wieczór. Nigdy dotychczas nie czułem się tak zmieszany, niepewny swego. Słusznie dostałem po gębie. Zupełnie słusznie. Otrzymałem nauczkę — ciągnął opierając twarz o chłodne pręty. — Bardzo zasłużona nauka. Nie mogę dzisiaj mówić o moich uczuciach dla pani'... Może kiedyś... później... Ale... — urwał nagle i rzucił pytanie: — Czy pani jest dziewczyną Rogera?

— Nie! — odparła. — Nie jestem niczyją dziewczyną.

Noe wybuchnął szaleńczym, ochryplym śmiechem.

— Moja ciotka! — skarciła go Hope.

— Aha — szepnął. — Tramwajem do Eastern Parkway. Dobranoc. Dziękuję pani. Dobranoc.

Ale nie odchodził. Przyglądali się sobie w bladym, zamglonym świetle latarni ulicznej.

— Mój Boże — powiedział cicho, zatroskanym tonem. — Pani nie wie. Pani nic nie wie.

Klucz zgrzytnął w zamku. Uchyliła się furтка. Noe postąpił krok na kamienny taras. Pocałowali się zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Chłopiec czuł, że zrywa się w nim gwałtowna burza, a jednocześnie miał wrażenie, iż Hope, cofnie się lada-chwila i znowu go uderzy.

Odsunęła się miękko i spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

- Nie zabłądź w powrotnej drodze — powiedziała.
- Tramwajem do Eastern Parkway, a później... Kocham cię! Kocham!
- Dobranoc — szepnęła. — I dziękuję za odprowadzenie do domu.

Noe cofnął się. Rozdzieliła ich zamknięta furtka. Dziewczyna odeszła cicho w pończochach. Znów skrzypnęły drewniane drzwi domu. Ulica opustoszała. Noe ruszył w stronę przystanku tramwajowego. Po blisko dwóch godzinach na progu własnego mieszkania uprzytomnił sobie dopiero, że w ciągu dwudziestu jeden lat *swojego* życia nigdy nie powiedział nikomu: „Kocham.”

W ciemnym pokoju słychać było miarowy senny oddech Rogera. Noe zrzucił ubranie szybko, jak *najciszej* i wsunął się do łóżka stojącego pod przeciwległą ścianą. Leżał zapatrzony w sufit, targany zmiennymi falami rozkoszy to znów męki. Raz myślał o Hope i pocałunkach przy furtce, raz o Rogerze i o tym, co mu przyjaciel rano powie.

Zaczynał właśnie drzemać, kiedy usłyszał swoje imię.

— Noe!

— Dzień dobry, Roger — powiedział otwierając oczy.

— Wszystko w porządku?

— W porządku.

Chwila ciszy.

— Odprowadziłeś ją do domu?

— Aha.

W ciemnym pokoju znów zaległo milczenie.

- Wyszliśmy, żeby kupić trochę kanapek — podjął Roger.
- Musieliście się z nami minąć.

— Rozumiem.

Jeszcze raz urwała się rozmowa.

— Roger!

— Słucham.

- Widzisz... Winienem ci wyjaśnienia... Nie miałem zamiaru... Słowo daję, samo się jakoś zaczęło... Nie pamiętam nawet... Roger! Nie śpisz?

— Nie.

— Posłuchaj. Ona mi coś powiedziała...

— Co takiego?

— Że... że nie jest twoją dziewczyną.

— Naprawdę?

— Tak! I że jest niczyja. Ale jeżeli to twoja dziewczyna albo chcesz, żeby była twoją dziewczyną, to ja... ja nie zobaczę jej nigdy w życiu. Przysięgam, Roger? Nie śpisz?

— Nie śpię. Hope nie jest moją dziewczyną. Przyznaję otwarcie, że nieraz miałem na nią chrapkę, ale kto, u licha, odważyłby się na podróż do Brooklynu trzy razy w tygodniu?

Noe stał kroplisty pot z czoła.

— Roger! — powiedział.

— Słucham?

— Kocham cię.

— Idź do diabła! Śpij lepiej.

W ciemnym pokoju rozległ się krótki śmiech Rogera i znowu zapadła cisza.

W ciągu najbliższych dwóch miesięcy Noe i Hope napisali po czterdzieści dwa listy. Pracowali niedaleko siebie i co dzień razem jadali obiad. Najczęściej też spotykali się na kolacji, a w pogodne dni wcześniej uciekali z pracy i wędrowali nadbrzeżami przyglądając się ruchowi statków w porcie. W ciągu tych dwóch miesięcy Noe odbył trzydzieści siedem długich, męczących podróży do Brooklynu i z powrotem. Mimo to jednak prawdziwe swoje życie powierzali poczcie Stanów Zjednoczonych.

Siedząc obok Hope, w najciemniejszym nawet i najbardziej odosobnionym miejscu, Noe nie mógł zdobyć się na nic więcej niż: „Jakaś ty ładna!” albo „Kocham twój uśmiech”, albo „Pójdiesz ze mną do kina w sobotę wieczorem?” Korzystał jednak z nieograniczonej swobody, jaką zapewnia czysta karta papieru i bezosobowe pośrednictwo listonosza. Wówczas potrafił pisać: „Zakłęte w tobie piękno towarzyszy mi za dnia i w nocy. Kiedy rano wychylałem się z okna, niebo jest jaśniejsze, dlatego że i ciebie okrywa jego kopuła. Kiedy patrzę na rzekę i most, nie wątpię, że to most bardzo mocny, bo nieraz chodziłaś tamtędy u mojego boku. Kiedy przeglądam się w lustrze, widzę, że twarz mi wyładniała, bo ty ją całowałaś wczorajszego wieczora”.

Hope przesiąknięta surową moralnością Nowej Anglii pozwalała sobie jedynie na bardzo powściągliwe i zwięzłe wyznania miłosne. Chociaż jednak mówiła skąpo, w liście mogła napisać: „Przed chwilą wyszedłeś ode mnie. Myślę teraz o tobie. Widzę, jak idziesz pustą ulicą, jak w wiosennym mroku czekasz na tramwaj, a później jedziesz pociągiem w stronę domu. Będę ci dzisiaj towarzyszyć w wędrówce przez ogromne miasto. Najdroższy! Kiedy oddalasz się, ja siedzę w pogrążonym we śnie domu i przy jedynej zapalanej lampce myślę,

jak bardzo w ciebie wierzę. Wierzę, że jesteś dobry i mocny, i sprawiedliwy. I wierzę, że cię kocham. Wierzę, że masz piękne oczy i smutne usta, i delikatne, kształtne dłonie..."

Następnego dnia spotykali się, patrzyli sobie w oczy, a czar pisanego słowa unosił się między nimi. Ale mówili tylko:

— Dostałem na dziś dwa bilety do teatru. Chyba pójdziesz ze mną, jeżeli nie masz nic lepszego na widoku?

Wracali późną nocą, upojeni widowiskiem i wzajemną miłością, zawsze niewyspani. Spłeceni uściskiem stali długo w zimnym przedścionku domu Hope. Nie mogli wejść dalej, bo wuj miał okropny zwyczaj: do Bóg wie której godziny przesiadywał w bawialni i studiował Pismo święte. Obejmowali się namiętnie i całowali, aż usta im drętwiały. W takich chwilach życie prawdziwe i to zawarte w listach tworzyło jeden oszalamiający wir rozkoszy.

W ciągu tych dwóch miesięcy nie położyli się razem do łóżka. Przede wszystkim w olbrzymim mieście, liczącym dziesięć milionów izb, nie było miejsca, które mogliby nazwać własnym, gdzie mogliby wejść godnie i z podniesionym czołem. Ponadto Hope ulegała religijnym zakazom. Ilekroć igrali niebezpiecznie na granicy spełnienia, cofała się wystraszona.

— Później... — szeptała. — Nie dziś... Innym razem...

— Wybuchniesz niczym bomba i ulecisz z dymem — uśmiechnął się Roger. — To przeciwne naturze. — Co, u licha, myśli sobie ta mała? Widocznie zapomniała, że należy do powojennej generacji.

— Daj spokój, Roger — bąknął potulnie Noe.

Siedział przy biurku zajęty pisaniem listu do Hope. Roger leżał na wznak na podłodze, bo w kanapie popękały sprężyny pięć miesięcy temu, a w ogóle kanapa była niewygodna dla dorosłego mężczyzny.

— Brooklyn... Ponura, tajemnicza kraina — podjął starszy z przyjaciół, a że i tak leżał na podłodze, zaczął gimnastykować mięśnie brzucha; trzykrotnie podnosił nogi w górę i opuszczał je z wolna. — Na razie starczy. Czuję się już zdrowszy. Widzisz, życie seksualne jest jak pływanie. Trzeba iść na całego albo dać sobie spokój. Jeżeli będziesz chlapał się przy brzegu, zmarzniesz tylko i niepotrzebnie rozstroisz sobie nerwy. Jeszcze miesiąc z tą dziewczyną, a pójdziesz do psychiatry. Napisz jej to i powołaj się na moje zdanie.

— Pewnie, pewnie... Już zaczynam z tej beczki.

— Bądź ostrożny, Noe — podjął Roger. — Ani się obejrzyysz, a będziesz człowiekiem żonatym.

Noe przestał stukać w klawisze. Niedawno zorientował się, że prowadzi obszerną korespondencję, kupił więc na raty maszynę do pisania.

— Nie ma obawy. Nie zostanę człowiekiem żonatym — obruszył się.

Ale prawdę rzekłszy, raz po raz wracał myślami do małżeństwa i nawet w listach do Hope poruszał nieśmiało ten temat.

— A może byłoby to nie najgorsze — ciągnął starszy przyjaciel. — Cóż, masz dobrą dziewczynę, no i małżeństwo uchroniłoby cię od poboru.

Obydwaj młodzi ludzie starali się nie myśleć o poborze. Na szczęście Noe miał bardzo wysoki numer. Służba wojskowa wisiała gdzieś, w nieokreślonej przyszłości, niby odległa czarna chmura na niebie.

— Widzisz — perorował Roger z podłogi — mam przeciwko tej małej tylko dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, nie wysypiasz się przez nią. Po drugie... wiesz już co. Poza tym znajomość z nią pierwszorzędnie ci służy.

Noe posłał przyjacielowi dziękczynne spojrzenie.

— Ale tak czy inaczej, powinna pójść z tobą do łóżka — orzekł Roger.

— Cicho bądź!

— Mam myśl! Wyjadę na sobotę i niedzielę. Rozumiesz? Pokój do dyspozycji! — Aż usiadł z przejęcia. — Trudno o lepsze i uczciwsze rozwiązanie.

— Dziękuję — bąknął Noe. — Skorzystam z propozycji, jak nadarzy się sposobność.

— A może lepiej ja z nią pogadam. Wystąpię w roli najlepszego przyjaciela, zatroskanego o twoje zdrowie. „Szlachetna dziewczyno, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że nasz Noe może w każdej chwili wyskoczyć z okna?” Dawaj dziesiątkę! Zaraz do niej zatelefonuję-

— Sam dam sobie radę — odrzekł bez przekonania Noe.

— Co sądzisz o przyszłej niedzieli? — nacierał Roger. — Piękny miesiąc czerwiec i tak dalej. Pełny rozkwit lata i tak dalej. He?

— Przyszła niedziela nie wchodzi w rachubę — odpowiedział Noe. — Idziemy na wesele.

— Czyje? Wasze?

Noe roześmiał się z przymusem.

— Skąd znowu! Jednej jej koleżanki z Brooklynu.

— Aha. Powinieneś w pełni wykorzystać dobry przykład. — Roger położył się na grzbiecie. — Powiedziałem swoje. Teraz gęba na kłódkę.

Przez chwilę milczał słuchając klekotu maszyny do pisania.

— Jeden miesiąc — odezwał się znowu — a później wizyta u psychiatry. Wspomnisz moje słowa.

Noe wybuchnął śmiechem. Wstał zza biurka.

— Poddaję się! — zawołał. — Chodźmy na miasto. Funduję piwo! Roger zerwał się na równe nogi.

— Mój kochany przyjacielu! Niewinny Noe!

Rozbawieni wyszli w cichy, pogodny wieczór letni i Aleją Kolumba ruszyli do obskurnego baru, który często odwiedzali.

Zapowiedziane na niedzielę wesele odbywało się we Flatbush, w obszernym domu z ogródkiem i niewielkim trawnikiem ciągnącym się do ocienionej drzewami uliczki. Panna młoda wyglądała ślicznie, pastor nie marudził i podano prawdziwego szampana.

Było gorąco, słonecznie. Wszyscy uśmiechali się rzewnie i bezwstydnie, jak to zwykle weselni goście. Po ceremonii ślubnej młodzi umykali parami w zaciszne kąty i wiedli długie, poufne rozmowy. Hope miała nową żółtą suknię. Noe obserwował swoją dziewczynę z dumą i lekkim niepokojem. Wodził za nią wzrokiem i chociaż kręciła się w tłumie, widział wciąż włosy upięte dziś inaczej, połyskujące nad ciepłym złotem sukni. Sam trzymał się na uboczu, pociągał szampana i od czasu do czasu zagadywał nieśmiało do przyjaźnie usposobionych ludzi. Patrzył na Hope, a coś w nim powtarzało: „Jej oczy, jej usta, jej nogi”. Była to jak gdyby stenografia miłosna.

Pocałunek panny młodej: niejasna mgławica białego atlasu, koronek, pomarańczowego kwiatu oraz smaku i zapachu szminki. Noe nie patrzył na jasne, wilgotne oczy i rozchyłone wargi młodej oblubienicy. Widział tylko Hope, która obserwowała go z drugiego końca pokoju. Miłosna stenografia notowała: „Jej ramiona, jej kibić...” Kiedy zbliżyła się do niego, szepnęła:

— Tak bardzo chciałbym coś zrobić...

Otoczył ramieniem talię, wiotką w obcisłym staniku nowej sukni. Wyczuł delikatne, dziewczęce ciało i nieznaczny, podniecający ruch bioder. Hope zrozumiała zapewne. Przytuliła się lekko i pocałowała Noego. Nie zawstydył się choć widziało to wiele osób. Na weselach wolno przecież całować wszystkich, a ponadto chłopiec nigdy jeszcze nie pił szampana w upalne letnie popołudnie.

Noe i Hope gapili się na odjazd nowożeńców. Wstęgi powiewały za samochodem. Ryż trzeszczał pod nogami. Matka popłakiwała na ganku, a z tylnego okna wozu wyglądała uśmiechnięta twarz pana młodego, zaczerwieniona i dumna.

Noe spojrzął na Hope, a gdy odpowiedziała mu wzrokiem, wiedział, że obydwójce myślą o tym samym.

— Przecież i my moglibyśmy... — zaczął szeptem.

— Cicho bądź! — przerwała. — Wypileś za dużo szampana.

Ręką zakryła mu usta.

Pożegnali się i ruszyli cienistą uliczką. Na trawnikach wirowały polewaczki obrotowe; krople wody połyskiwały tęczą w skośnych promieniach słońca. Od wilgoci wieczór pachniał świeżą trawą. Zakochani szli wolno, trzymając się za ręce.

•— Dokąd wyjeżdżają? — zapytał Noe.

— Do Kalifornii, na miesiąc. Jego kuzyn mieszka w Monterey. Ma własny dom.

Idąc obok siebie mijali studnie Flatbush i myśleli o plaży w Monterey nad Oceanem Spokojnym, o pastelowych meksykańskich domach skąpanych w blasku południowego słońca. Myśleli o nowożeńcach, którzy wsiadają do wagonu na Dworcu Centralnym i zamykają drzwi swego przedziału.

— Mój Boże — westchnął Noe. — Serdecznie im współczuję.

— Dlaczego?

— W taki okropny upał! Pierwszy raz! Będzie dziś najgorętsza noc w roku.

Hope wyrwała mu rękę.

— Jesteś nieznośny — syknęła gniewnie. — Ordynarne brednie!

— Hope — bronił się niepewnie. — Przecież żartowałem...

— Nie cierpię takich żartów — podjęła. — Dla ciebie wszystko i zawsze jest śmieszne.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że dziewczyna płacze.

— Proszę cię.. Kochana... — Objął ją, chociaż z pobliskiego trawnika przyglądało im się bacznie dwóch chłopców i ogromny owczarek collie.

Wyrwała mu się i gwałtownie przyśpieszając kroku zawołała:

— Tylko mnie nie dotykaj!

— Proszę cię... Kochana... — Zaniepokojony deptał jej po piętach. — Wysłuchaj mnie... Proszę...

— Wolę czekać na list — odpowiedziała przez łyzy. — Całą romantyczność zachowujesz dla maszyny do pisania.

Zrównał się z nią i szli dalej obok siebie w kłopotliwym milczeniu. Noe był oszołomiony, bezradny jak rozbitek na bezkresnym morzu niezrozumiałych kobiecych fantazji. Nie próbował ratować się, walczyć. Po prostu płynął z wiatrem i przypyływem mając nadzieję, że nie zostanie zdruzgotany.

Przez całą długą drogę do domu Hope nie skapitulowała. W tramwaju siedziała sztywno. Jej zaciśnięte wargi miały wyraz gorczy.

„Mój Boże! — myślał Noe trwożnie spoglądając na towarzyszkę. — Mój Boże! Pewno mnie dzisiaj przepędzi”.

Ale Hope otworzyła z klucza najprzód żelazną furtkę później drewniane drzwi. Pozwoliła Noemu iść za sobą. Dom był pusty, bo wujostwo zabrali dwójkę swoich małych dzieci i na trzy dni wyjechali na wieś. W ciemnych pokojach panował nieznan tam spokój.

— Głodny jesteś? — zapytała sucho Hope.

Stała pośrodku bawialni. Noe miał szczerą chęć przekupić dziewczynę pocałunkiem, dopóki nie zobaczył wyrazu jej twarzy.

— Chyba lepiej pójdę do domu — bąknął.

— Możesz coś przedtem zjeść. Kolację zostawiłam w lodówce.

Pokornie ruszył za nią do kuchni i pomagał najdyskretniej, jak umiał. Dziewczyna wyjęła kurę na zimno i dzbanek pełen mleka. Przyrządziła sałatkę i ustawiła wiktuały na tacy.

— Na dwór! — rzuciła krótko, niby sierżant komenderujący plutonem.

Noe poniosł tacę do ogródka za domem. Był to podłużny placyk pogrążony już w mroku, bo z dwóch stron osłaniały go wysokie płoty z desek, a z trzeciej murowana ściana garażu, cała pokryta dzikim winem. Przyjemny cień rzucała śliczna akacja, pod którą stał drewniany stół ze świecami w umbrellkach i bujająca sofka pod baldachimem. W głębi widać było ogródek skalny (oczko w głowie wuja) i kilka grządek pospolitych kwiatów. W mglistym, błękitnawym świetle wieczora rozplął się Brooklyn ze swoim zgiełkiem i kurzem. Noe i Hope znaleźli się w otoczonym murami ogrodzie, gdzie w Anglii, Francji, a może nawet w górach Indii.

Dziewczyna zapaliła świece. Poważnie usadowili się obok siebie i jedli z apetytem. Prawie nie mówili w trakcie kolacji, ograniczając się do uprzejmych prośb o przysunięcie mleka lub soli. Wreszcie złożyli serwetki i stanęli po dwóch końcach stołu.

— Nie będzie nam potrzebne światło — odezwała się Hope. — Zechciej zdmuchnąć świecę po twojej stronie.

Pochyli! się nad szklanym kominkiem zabezpieczającym płomień przed wiatrem. Dziewczyna pochyliła się również. Dmuchieli jedno-
 cześnie i zetknęli się głowami. W nagłej ciemności Noe usłyszał głos:

— Wybacz mi... Jestem najnieznośniejsza baba pod słońcem.

Później było dobrze. Usiedli obok siebie na bujającej sofce i spoglądali w coraz to ciemniejsze niebo. Letnie gwiazdy rozkwitły jedna po drugiej nad koroną akacji. Siedząc tak wieczorem w opar-
 kanionym ogrodzie, znaleźli się daleko od wozów i torów tram-
 wajowych, od wuja, ciotki i dwojga ich pociech, od gazeciarzy
 wykrzykujących coś za ścianą garażu, od całego obcego świata...

Hope mówiła:

— Nie... nie... nie trzeba... Boję się... boję... Kochany! Najdroż-
 szy!

Noe był nieśmiały i zaborczy, pokorny i upojony... Później leżeli
 zdruzgotani bezmiarem szalonych uczuć, na których manowce za-
 błędzili. Noe drżał, że teraz, kiedy już było po wszystkim, Hope
 zmienawidzi go właśnie za to. Każda sekunda jej milczenia zdawała mu
 się nową groźbą.

— Widzisz — odezwała się wreszcie Hope i parsknęła krótkim
 śmiechem. — Nie było nam za gorąco. Wcale a wcale!

Znacznie później, kiedy Noe musiał już odejść, weszli do domu.
 Mrugali oczyma w blasku światła i nie patrzyli na siebie. Chłopiec
 włączył radio, żeby zająć się czymś obojętnym.

Z głośnika popłynął koncert fortepianowy Czajkowskiego: wspa-
 niała posępna muzyka, jak gdyby skomponowana i odtwarzana specjal-
 nie dla tych dwojga prawie dzieci, które kochały się po raz pierwszy
 w życiu. Hope przysunęła się i pocałowała Noego w pochyloną nad
 odbiornikiem głowę. Odwrócił się i oddał pocałunek. W tej chwili
 muzyka umilkła i zaczął mówić rzeczowy głos:

— „Biuletyn specjalny Agencji Associated Press. Natarcie nie-
 mieckie rozwija się wzdłuż całej rosyjskiej granicy. Nowe dywizje
 pancerne wchodzą do akcji w rozmaitych punktach linii ciągnącej się
 od Finlandii do Morza Czarnego”.

— Co takiego? — zainteresowała się Hope.

— Niemcy — zaczął Noe i pomyślał, że ostatnio coraz częściej
 powtarza się ten wyraz, że Niemcy potrafili zrobić sobie znakomitą
 reklamę. — Przekroczyli rosyjską granicę. O tym na pewno wrzeszcza
 gazeciarze na ulicy.

— Zamknij radio — powiedziała dziewczyna, lecz sama wyciąg-
 nęła rękę i przekreśliła gałkę. — Nie dzisiaj.

Wziął Hope w ramiona i poczuł nagie gwałtowne bicie jej serca.

— „Dziś po południu — myślał — kiedy bawiliśmy się na weselu, a później długo wędrowali ulicami, dziś wieczorem, kiedy byliśmy sami w ogródku, nieustannie grzmiały armaty i ludzie umierali. Od Finlandii do Morza Czarnego”.

Nie robił komentarzy. Zarejestrował tę myśl jak treść przydrożnego plakatu, który ogląda się z samochodu.

Siedzieli w cichej bawialni na podniszczonym tapczanie. Za oknami było zupełnie czarno. Z ulic dochodziły głosy gazeciarzy, dziwnie dalekie i pozbawione sensu.

— Jaki to dzień? — spytała dziewczyna.

— Niedziela — uśmiechnął się Noe. — Dzień odpoczynku.

— Wiem. Nie o to chodzi. Pytam o dzień miesiąca.

— Dwudziesty drugi czerwca.

— Dwudziesty drugi czerwca — powtórzyła szeptem. — Zapamiętam tę datę. Pierwszy raz mnie kochałeś.

Roger nie spał jeszcze. Noe stał przed drzwiami w ciasnym przedsionku. Próbował nadać twarzy obojętny wyraz, aby nie zdradzić, co spełniło się tej nocy. Czekając słuchał stłumionych dźwięków pianina. Był to jakiś bezpretensjonalny utwór jazzowy, smutny i pełen tęsknoty. Ale Roger pozwalał sobie na takie wariacje, że niepodobna było rozpoznać melodii. Noe stał parę minut w ciemności, potem otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Roger nie obejrzał się nawet. Na powitanie przyjaźnie machnął ręką i grał dalej. Noe usiadł na wytartym skórzanym fotelu pod oknem. Paliła się tylko jedna lampa w rogu i pokój wydawał się bardzo duży i tajemniczy. W dole spało miasto. Lekki wietrzyk poruszał firankami. Noe przymknął oczy i słuchał żalonych akordów. Miał dziwne wrażenie, że pod ubraniem czuje każdą kość, mięsień, nerw, por skóry, że wszystko to — choć obolale i zmęczone reaguje na muzykę.

Roger urwał w połowie pasażu. Przez chwilę siedział bez ruchu. Szczupłe ręce trzymał na klawiaturze. Nie odrywał wzroku od porysowanej starej polityury. Nagle odwrócił się.

— NOi masz własne mieszkanie — powiedział.

— Co? — Noe szeroko otworzył oczy.

— Idę jutro — odrzekł Roger, jak gdyby prowadził dalej nieprzerwaną od wielu godzin rozmowę z samym sobą.

— Dokąd idziesz? — spojrzał uważnie na przyjaciela; chciał upewnić się, czy Roger nie wypił za dużo.

— Do wojska. Armia skończyła z rezerwistami. Teraz bierze cywilów.

Noemu w głowie się kręciło. Nie mógł pojąć słów przyjaciela. Innym razem zrozumiałby wszystko, tej nocy wszakże zdarzyło się zbyt wiele.

— Ostatnia wiadomość trafiła chyba nawet do Brooklynu? — podjął Roger.

— Chodzi ci o Rosjan?

— Tak, o Rosjan.

— Aha, tak... wiadomość trafiła do Brooklynu.

— Widzisz więc. Spieszę im na pomoc.

— Jak to? — zdumiał się Noe. — Chcesz wstąpić do Armii Czerwonej?

Roger roześmiał się, lekkim krokiem podszedł do okna. Odsunął firankę i wyjrzał.

— Niezupełnie — powiedział. — Chcę wstąpić do Armii Stanów Zjednoczonych.

— Idę z tobą!

— Dziękuję, ale nie bądź głupi. Zaczekaj, aż cię wezwie Komisja Rekrutacyjna.

— Ciebie przecież nie wezwała.

— Dotąd nie. Ale mi pilno. — Zamyślił się, związał i rozwiązał supeł na firance. — Jestem starszy. Ty zaczekaj, aż sami się po ciebie zgłoszą. Nie potrwa to długo.

— Gadasz, jak gdybyś był osiemdziesięciolatkiem — obruszył się Noe.

Roger parsknął śmiechem i spojrzał na przyjaciela, zaraz jednak zmienił ton na poważniejszy.

— Przepraszam cię, bracie—podjął.—Widzisz, odsuwałem to od siebie tak długo, jak było można. Dzisiaj przy radiu zrozumiałem, że dłużej nie da rady. Widzę dla siebie tylko jedną drogę: z karabinem w garści. Od Finlandii do Morza Czarnego (Noe przypomniał sobie słowa płynące z głośnika). Od Finlandii do Morza Czarnego, do rzeki Hudson, do Rogera Cannona... Tak czy inaczej, weźmiemy udział w tej wojnie. Wolę zrobić pierwszy krok. Przez całe życie czekałem różnych rzeczy. Tym razem chcę wybiec, ba! — wyskoczyć na spotkanie. Co u licha! — uśmiechnął się pogodnie. — Przecież pochodzę z rodziny wojaków. Mój dziad zdezerterował pod Antietam, a stary zostawił troje nieślubnych dzieci pod Soissons.

— Myślisz, że ci to wyjdzie na korzyść? — rzucił Noe.

— Nie pytaj mnie o takie rzeczy, nie pytaj, bracie—uśmiechnął się Roger i znowu zaczął mówić bardziej serio. — Widzisz, może to będzie dla mnie jakiś początek. To choroba. Z początku jest jak pryszcz, na który prawie nie zwracasz uwagi. Ani się obejrzyś i po trzech latach dostajesz-paraliżu... Ha, może wojsko da mi cel — uśmiechnął się kwaśno. — Będę chciał utrzymać się przy życiu albo zostać sierżantem, albo nawet wygrać wojnę. Pogram jeszcze trochę. Pozwolisz?

— Oczywiście — mruknął posępnie Noe, a jakiś głos wewnętrzny zaczął w nim powtarzać: „Idzie na śmierć! Roger idzie na śmierć. Zabiją go. Zabiją!”

Roger usiadł tymczasem do pianina. Zadumał się. Położył ręce na klawiszach. Później zagrał coś, czego Noe nigdy jeszcze nie słyszał.

— Tak czy inaczej — rzucił przez ramię nie przerywając muzyki — miło *mi*, żeście się dogadali z tą małą. Nareszcie zrobiliście swoje.

— Co takiego? — zawołał Noe przypominając sobie rozpaczliwie, czy przypadkiem, z czymś się nie wyrwał. — Nie rozumiem, o co ci chodzi?

— Nie rozumiesz? — A masz to wypisane na gębie. Jak byś wywiesił szyld świetlny.

Zakończył długim pasażem w rejestrach basowych.

Nazajutrz armia pochłonęła Rogera. Nie pozwolił Noemu odprowadzić się na punkt zborny i zostawił mu cały swój majątek: meble, książki, nawet o wiele za duże ubrania.

— Nie będę teraz potrzebował takich rzeczy—powiedział mierząc krytycznym wzrokiem багаż, który zgromadził w ciągu dwudziestu sześciu lat życia. — A zresztą to same rupiecie.

Wsunął do kieszeni numer „New Republic”, żeby mieć co czytać w kolei podziemnej, po drodze do Whitehall Street.

— Na razie mam kruchą broń: papierową — uśmiechnął się, pożegnał przyjaciela ruchem ręki, z fantazją włożył kapelusz na długą, krótko ostrzyżoną głowę i na zawsze opuścił pokój, w którym przeżył pięć lat. Noe patrzył za nim ze ściśniętym gardłem. Miał posępne przeczucie, że nigdy już nie znajdzie prawdziwego przyjaciela, że minęły najpiękniejsze dni jego życia.

Noe otrzymywał od czasu do czasu krótkie ironiczne kartki z jakiegoś ośrodka szkoleniowego na Południu. Dostał też kopię rozkazu kompanijnego, z którego wynikało, że szeregowiec Roger Cannon został awansowany do stopnia starszego szeregowca. Wresz-

cie, po długiej przerwie, nadszedł dwustronicowy list z Filipin. Roger opisywał jedną dzielnicę Manili — tę pod czerwonymi latarniami — i pewną dziewczynę pół-Birmankę, pół-Holenderkę, która miała wytatuowany na brzuchu napis „s.s. Texas”. W postscriptum starszy szeregowiec Cannon dodał zamasztyłym charakterem pisma: „Trzymaj się z daleka od wojska. To instytucja nie dla ludzi.”

Z odmienionych warunków wynikała jedna niezaprzeczona korzyść i Noe radował się nią szczerze, chociaż z poczuciem winy. Miał teraz własny pokój — dla siebie i Hope. Zginęli nocni włóczędzy spragnieni siebie wzajemnie, oczekujący w zimnej sieni, aż wuj skończy czytać Pismo święte i pójdzie spać. Zginęli kochankowie bez łóżka, w którym mogłaby się schronić ich miłość. Zginęła parka smutnych dzieci, zabłąkanych na wielkomiejskim asfalcie.

W miesiąc po odejściu Rogera Noe zdał sobie sprawę, że odkrył nareszcie własne ciało od lat przecież znajome. Było mocniejsze, zdolne do odczuć potężniejszych, niż kiedykolwiek oczekiwał. Często przeglądał się w długim lustrze umieszczonym koło drzwi. Podziwiał swoje ciało, które dzięki Hope wydawało mu się obecnie bez porównania piękniejsze, bardziej przydatne.

„Jak to dobrze — myślał podziwiając swój nagi tors. — Jak to dobrze, że nie mam kłaków na piersiach.”

We własnej, bezpiecznej przystani Hope stała się nadspodziewanie gorąca. W ciepłych, przyjaznych mrokach miejskiego lata jej purytanizm z chłodnych wzgórz Vermontu rozwiął się niby kłęby dymu. Kochankowie byli wiecznie zgłodniali, wzajemnie spragnieni swoich ciał. W nędznym pokoju, co stał się najdroższą tajemnicą ich życia, nad spokojnym przypływem morza i szeroko rozlanej rzeki zapominali o zgiełku miejskim i krzyku na rogach ulic, o interpelacjach w Senacie i ogniu dział na dalekich kontynentach. Wszystko to zmieniło się w odległy pomruk bez wyrazu, niby odgłosy bębnow i trąb w obozie jakiejś innej armii, gdzieś daleko, podczas jakiejś innej wojny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Christian z trudem śledził tok akcji na ekranie. Film był zresztą zupełnie niezły. W tysiąc dziewięćset osiemnastym roku jakiś oddział ma jednodniowy postój w Berlinie w drodze z rosyjskiego frontu na zachodni. Filmowy porucznik otrzymał wyraźny rozkaz, by nie puszczać swoich ludzi ze stacji, rozumie jednak, że po zaciekłych walkach na wschodzie i przed przyszłymi rzeziemi we Francji żołnierze gorąco pragną odwiedzić żony czy narzeczone. Pod groźbą sądu wojennego i śmierci pozwala się rozejść. Jeżeli chociaż jeden nie wróci w porę na dworzec, porucznik zapłaci życiem. Film pokazuje przygody rozmaitych żołnierzy. Ci upijają się, owi spotykają Żydów i defetystów, którzy kuszą, by zostać w Berlinie, tamci niemal ulegają prośbom żon i kochanek. Raz po raz budzą się wątpliwości, czy porucznik wyniesie z hazardu całą głowę. Ale wszystko kończy się dobrze. Ostatni żołnierz skacze do wagonu, w chwili gdy pociąg rusza. Do Francji odjeżdża grono dobrych kolegów, którzy nie zawiedli wiary, jaką pokładał w nich dowódca. Film był bardzo dobrze zrobiony. Obfitował w momenty komiczne i wyniosłe, a ponadto dowodził sprytnie, że wojnę przegrali zdrajcy i strachajły w kraju, nie armia.

Aktorzy w rolach żołnierzy z tamtej wojny wzruszali nawet prawdziwych żołnierzy siedzących dokoła Christiana w wojskowym kinie. Oczywiście porucznik był trochę za dobry, za mało realny. Christian nie spotkał nigdy podobnego mu oficera. Porucznik Hardenburg powinien kilkakrotnie obejrzeć ten obraz. Na pewno by skorzystał! Po jednodniowym odprężeniu w paryskim burdelu Hardenburg z każdym dniem wojny był coraz bardziej surowy. Po zajęciu Paryża pułkowi odebrano wozy pancerne i przesunięto go do Rennes, gdzie pełnił funkcje raczej policyjne niż wojskowe. Tymczasem wybuchła

wojna z Rosją. Wszyscy rówieśnicy porucznika okrywali się sławą na Wschodzie.

Pewnego dnia Hardenburg omal nie pękł z wściekłości, kiedy czytał, że jego kolega ze szkoły oficerskiej (taki był tępy, że zyskał przydomek „Wół”) awansował na podpułkownika za czyny bojowe na Ukrainie. A on był nadal porucznikiem! Żył wprawdzie dostatnio w dwupokojowym apartamencie jednego z najlepszych hoteli w mieście. Utrzymywał stosunki z dwoma Francuzkami mieszkającymi na tym samym piętrze. Robił grube pieniądze na szantażowaniu pokątnych handlarzy mięsem i nabiałem. Mimo to jednak był niepokieszony.

„A niepokieszony porucznik — pomyślał z goryczą Christian — to źródło tysiąca trosk sierżanta. Dobrze chociaż, że jutro rozpoczynam urlop. Jeszcze dzień dokuczliwych złośliwości tego drania, a mógłbym się posunąć do karygodnej, groźnej niesubordynacji. Choćby dzisiaj! — irytował się wewnątrz. — Wie przecież, że o siódmej rano odchodzi mój pociąg do kraju. Mimo to wrzepił mi służbę!”

O północy miał wyjść patrol po jakichś młodych Francuzów, ukrywających się przed wyjazdem na roboty do Niemiec. Ale Hardenburg nie wybrał oczywiście Himmlera, Steina ani żadnego innego podoficera. Ach, ten paskudny, zimny uśmiech i: „Wiem, Diestl, że nie weźmiecie mi tego za złe. Przynajmniej nie będziecie się nudzić ostatniej nocy w Rennes. Zameldujecie się w kancelarii o dwunastej.”

Film kończył się zbliżeniem młodego przystojnego porucznika, który tkliwie i rozumnie uśmiecha się do podkomendnych, zebranych szczęśliwie w pędzącym na zachód pociągu. Tłum żołnierzy na sali klaskał z przekonaniem.

Potem wyświetlano kronikę filmową. Hitler przemawiał. Luftwaffe ęzucała bomby na Londyn. Goering przypinał order lotnikowi, który stracił setkę nieprzyjacielskich samolotów. Piechota szturmowała płonąca wieś gdzieś na drodze do Leningradu. Mimo woli Diestl zwrócił uwagę na zapal i precyzję, z jaką żołnierze wykonywali zadania bojowe.

„Za trzy miesiące wkroczą do Moskwy — myślał smutno. — Tymczasem ja będę gnął w Rennes. Będę wysłuchiwał obelg Hardenburga i aresztował po kawiarniach ciężarne kobiety, które nauręgały niemieckim oficerom. Niedługo spadną w Rosji śniegi, a ja, jeden z najlepszych narciarzy w Europie, będę odstawał żandarma w łagodnym klimacie zachodniej Francji. Armia to cudownie działający aparat, niewątpliwie jednak ma jakieś ukryte wady.”

Żołnierz na ekranie upadł. Trudno było odgadnąć, czy kryje się, czy został trafiony. W każdym razie nim wstał, oko obiektywu powędrowało dalej. Christian poczuł, że oczy mu wilgotnieją. Wstydił się po trosze, ale ilekroć oglądał zdjęcia niemieckich walk, sam zaś siedział bezpiecznie, wygodnie i daleko, musiał poskramiać chęć do płaczu. Było mu nieswojo. Czuł się winowajcą. Łatwo wpadał później w gniew i dawał to odczuć podwładnym przez kilka dni. Przecież nie z własnej winy żyje, kiedy inni umierają. Armia spełnia swe funkcje w specyficzny, tajemniczy sposób. Niełatwo wszakże otrząsnąć się z poczucia winy, co zaprawia goryczą myśl nawet o dwóch tygodniach w domu. Młody Friedrich Langerman stracił nogę na Łotwie. Polegli obydwaj synowie Kochów. Bohater jedynej, prawie humorystycznej utarczki po drodze do Paryża zjedzie do domu cały, doskonale odżywiony. Na pewno nie uniknie wzgardliwych, świdrujących spojrzeń sąsiadów.

Wojna powinna się rychło skończyć. Nagle cywilne życie wydało się Christianowi niezmiernie miłe, upragnione. Beztróskie, idiotyczne dni na ośnieżonych stokach! Dni bez Hardenburga! Cóż, Rosjanie się kończą, a i Anglicy muszą pójść wreszcie po rozum do głowy. Nietrudno będzie zapomnieć bezpłodny, nudny okres we Francji. W dwa miesiące po zakończeniu wojny nikt nie będzie mówił o jej sprawach. Pisarz, co przez trzy lata smarował kolumny cyfr w berlińskim kwaterymistrzostwie, zyska nie mniej chwały niż żołnierz, który szturmował bunkry w Polsce, Belgii i Rosji... Wtedy Hardenburg będzie mógł kiwać palcem w bucie... Hardenburg: w dalszym ciągu porucznik... Albo jeszcze lepiej: zwolniony z wojska jako niepotrzebny.

„Wróć do domu, będę włóczył się samotnie po górach i...”

Christian uśmiechnął się kwaśno do swych głupawych, dzieciennych marzeń.

„Jak długo — myślał — zatrzymają mnie po zawieszeniu broni? Brr! Okropne miesiące... Wojna skończona, a ty, durniu, czekaj i czekaj, aż zwolni cię opieszala kolosalna machina wojskowej biurokracji.”

Kronika filmowa dobiegła końca. Na ekranie wykwitła fotografia Hitlera. Wszyscy podnieśli się i stojąc na baczność śpiewali: *Deutschland, Deutschland uber alles*.

Na sali zrobiło się widno. Diestl wychodzi! powoli w zwartym tłumie żołnierzy.

„Wszystko to ludzie w średnim wieku — rozmyślał gorzko. — Słabi, niedołęzni, schorowani... Żołnierz garnizonowy, pozostawiony w spokoju...”

stawiony pogardliwie w spokojnym kraju, kiedy lepsze okazy niemieckich mężczyzn biorą udział w zapasach narodów o tysiące mil stąd. I ja jestem jednym z tych ciemiągów! — Smutno pokiwał głową. — Lepiej nie myśleć o tym, bo zrobi się ze mnie pies gorszy od samego Hardenburga."

Na ulicy Diestl spotykał Francuzów — mężczyzn i kobiety. Ustępowali mu z drogi. Skwapliwie schodzili do rynsztoków. Taka pokora działała mu na nerwy. Tchórzostwo jest jedną z najpaskudniejszych ludzkich cech, a tym bardziej tchórzostwo mniej lub więcej bezsensowne, zbyteczne. Nie miał przecież zamiaru krzywdzić nikogo. Cała armia otrzymała surowe rozkazy, żeby z ludnością cywilną postępować oględnie, jak najuprzejmiej.

Starszy mężczyzna potknął się uskakując z chodnika.

„Niemcy — pomyślał Christian — nigdy by tak nie postępowali, gdyby w Niemczech znalazły się obce wojska, wszystko jedno jakie."

— Hej, stary! — krzyknął i przystanął.

Francuz zatrzymał się również. Mimo ciemności widać było, że umiera ze strachu. Przygarbił się. Ręce latały mu niespokojnie.

— Słucham — przemówił drżącym głosem. — Słucham, panie pułkowniku.

— Nie jestem pułkownikiem.

„Co za dziecinne, irytujące pochlebstwo!" — pomyślał Christian.

— Bardzo przepraszam łaskawego pana — podjął Francuz. — Ale po ciemku...

— Niepotrzebnie schodzi mi pan z drogi aż na jezdnię.

— Oczywiście, proszę łaskawego pana — przyznał skwapliwie, ale nie ruszył się z miejsca.

— Chodź pan tutaj. Na chodnik — zakomenderował Diestl.

— Jak łaskawy pan rozkaże — bąknął Francuz i nieśmiało postąpił krok. — Mogę łaskawemu panu okazać paszport. Mam papiery w idealnym porządku.

— Nie chcę oglądać pańskich zasranych papierów! — wybuchnął Christian.

— Jak łaskawy pan sobie życzy — brzmiała uniżona odpowiedź.

— No, jazda! Do domu!

— Słucham łaskawego pana.

Francuz rozpląnął się w ciemnościach.

„Nowa Europa — ironizował Christian idąc dalej swoją drogą. — Potężna federacja państw pełnych dynamiki... Nie! Nie z takim materiałem ludzkim. Dobry Boże, niech nareszcie skończy się ta wojna

albo niech wyślą mnie gdzieś, gdzie słyhać armaty. Służba garnizonowa, życie ni to wojskowe, ni cywilne ma złe strony jednego i drugiego. Przeżera duszę, pozbawia człowieka ambicji, wiary. Może załatwi w końcu moje podanie do szkoły oficerskiej, a jak zostanę porucznikiem, wyślą mnie do Afryki albo do Rosji. Spojrzę wtedy z właściwej perspektywy na te ponure dni."

Przed trzema miesiącami złożył podanie o przyjęcie do szkoły oficerskiej, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Pewnie leżało pod stosem papierów na biurku jakiegoś opasłego kaprała przy Wilhelmstrasse.

„Mój Boże, jak *inaczej* wyobrażałem sobie wszystko w chwili odjazdu z domu, w dniu, kiedy wkraczaliśmy do Paryża!" Odświeżył w pamięci opowiadania z tamtej wojny. Związki niezłomnej, serdecznej przyjaźni zawierane pod gradem pocisków, twarde poczucie spełnionego obowiązku, olśniewające rakiety uniesień. Przypomniał sobie finał *Zaczarowanej góry*. Rok tysiąc dziewięćset czternasty. Usianym kwiatami polem Hans Castorp biegnie na francuski ogień. Śpiewa Beethovena. Stanowczo książka kończy się przedwcześnie. Powinna mieć jeszcze jeden rozdział ukazujący Hansa Castorpa w trzy miesiące później. Biedak siedzi w magazynie materiałowym w Liege. Dobiera parami buty i nic już nie śpiewa.

Wojenne koleżeństwo to mit, legenda. W czasie marszu na Paryż krótko łączyło Christiana z Brandtem, ba! może nawet zabłysło na moment pomiędzy nim a Hardenburgiem, kiedy Wielkimi Bulwarami jechali w stronę placu Opery. Ale Brandt został oficerem. Zajmuje w Paryżu poważne stanowisko i ma własne mieszkanie. Pracuje w ilustrowanym piśmie wojskowym. A Hardenburg przeszedł wszystko najgorsze, czego się można było spodziewać w obozie ćwiczebnym. Inni koledzy — podoficerowie, szeregowcy — grzęzną jak świnię w błocie, z którego niepodobna się wydostać. Rano, w południe i wieczorem dziękują Bogu, że są w Rennes, nie pod Trypolisem lub Kijowem. Wszyscy tkwią po uszy w czarnym rynku, handlują czym popadnie z Francuzami, gromadzą pieniądze na ciężkie lata powojennego kryzysu. Jak przyjaźnić się z podobnymi ludźmi? To paskarze, spekulanci w mundurach. Jeżeli któremu grozi wysłanie na front, porusza wszelkie możliwe sprężyny, przekupuje pisarzy w dowództwie pułku, byle tylko zostać bezpiecznie na miejscu. Christian należał do dziesięciomilionowej armii, lecz nigdy w życiu nie czuł się tak osamotniony. Podczas urlopu pójdzie w Berlinie do Ministerstwa Wojny. Ma tam znajomego pułkownika. Pracowali razem

w Austrii przed Anshlussem. Poprosi go o przeniesienie do innej, bardziej aktywnej formacji, chociażby nawet musiał zrezygnować ze stopnia...

Spojrzał na zegarek. Dopiero za dwadzieścia minut miał zameldować się u Hardenburga. Po drugiej stronie ulicy zobaczył otwartą kawiarnię. Nagle zachciało mu się pić.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Przy stoliku czterech żołnierzy piło szampana. Czerwone twarze wskazywały, że libacja musi trwać od dawna. Wszyscy mieli rozpięte bluzy, a dwaj byli nie ogoleni. Szampan! Dobrze sobie! Na pewno nie za żołd szeregowca. Na pewno sprzedają Francuzom kradzioną broń, własność armii niemieckiej. Francuzi oczywiście nie robią użytku z tej broni, ale licho wie, do czego dojdzie w przyszłości. Nawet Francuzi mogą kiedyś odzyskać mięso.

„Armia spekulantów z czarnego rynku — pomyślał z goryczą Christian. — Handlarze skóry, amunicji, serów normandzkich, wina, cielęciny... Niech zostaną tu dwa lata, a od Francuzów będzie ich można odróżnić tylko dzięki mundurom. Oto nędzne, zdradliwe zwycięstwo galijskiego ducha!”

— Wermut! — rzucił gospodarzowi, który z niepewną miną stał za bufetem. — Nie, koniak!

Oparł się łokciem o ladę. Utkwił wzrok w czterech żołnierzach. Szampan był na pewno ohydny. Brandt twierdzi, że Francuzi przyklejają rozmaite etykiety na butelkach z najgorszym paskudztwem. Niemcy nie znają się na winach, więc Francuzi mszczą się na swój sposób. To patriotyzm połączony z zyskiem.

Szeregowcy przy stoliku spostrzegli, że są pod obserwacją. Opanowali się trochę, zniżyli głosy, ale pić nie przestali. Któryś zrobił zakłopotaną minę i pogładził dłonią zarośnięty policzek. Gospodarz postawił na ladzie kieliszek koniaku. Diestl zaczął pić bez pośpiechu, spoglądając wciąż na żołnierzy. Jeden z nich chciał zapłacić za nową butelkę szampana, wyjął więc portfel grubo wypchany frankami. Christian spostrzegł to i pomyślał ze złością: „Mój Boże, dla takich nędznych, przebiegłych gangsterów Niemcy szturmują rosyjskie stanowiska! Dla takich sklepikarzy Luftwaffe płonie nad Londynem!”

— Hej, wy! — zawołał pod adresem człowieka z portfelem. — Do mnie!

Żołnierz niepewnie spojrzał na kompanów. Siedzieli cicho, zapatrzeni w kieliszki. Niechętnie zaczął podnosić się chowając pieniądze do kieszeni.

— Ruszaj no się! — krzyknął ostro Christian. — Do mnie!

Żołnierz zbliżył się do lady. Twarz zbladła mu pod szczecina zarostu.

— Co to? — rzucił sierżant. — Nie umiecie stać porządnie? Baczość!

Szeregowiec zeszywniała zrobił jeszcze bardziej wystraszoną minę.

— Wasze nazwisko?

— Szeregowiec Hans Reuter, panie sierżancie — odpowiedział niski, trochę drżący głos.

Christian wyjął ołówek i ćwiartkę papieru. Zanotował nazwisko.

— Oddział? — rzucił sucho.

Żołnierz z zakłopotaniem przełknął ślinę.

— 147 batalion saperów.

Sierżant i to zanotował.

— Słuchajcie teraz, Reuter — powiedział. — Jak na drugi raz pójdziecie pić, ogólcie się i zapnijcie bluzę. Pamiętajcie też, że mówiąc do starszego stopniem stoi się na baczość. Pośle meldunek do waszego oddziału. Zostaniecie ukarani dyscyplinarnie.

— Tak jest, panie sierżancie.

— Odmaszerować!

Reuter westchnął i ruszył w stronę kolegów przy stoliku.

— A wy, reszta — krzykną) gniewnie Christian — nie wiecie, jak żołnierz ma być ubrany?

Szeregowcy szybko pozapinali bluzy. Siedzieli teraz sztywno, bez słowa.

Diestl odwrócił się do nich tyłem, spojrzął na gospodarza.

— Drugi kieliszek, panie sierżancie? — zapytał Francuz.

— Nie — warknął Diestl.

Położył na ladzie pieniądze, dopił reszty koniaku i wyszedł nie spoglądając na żołnierzy pijących szampana.

Hardenburg był w kancelarii. W czapce i rękawiczkach siedział na krześle sztywny i wyprostowany jak na koniu. Przyglądał się wydanej przez Ministerstwo Propagandy mapie Rosji, na której triumfalne czarne i czerwone kreski wytyczały linię frontu z ubiegłego wtorku. Dowództwo oddziału mieściło się w starym budynku policyjnym. Pokutował tam smród dawnych drobnych przestępstw i nie domytych francuskich policjantów—zaduch, którego nie potrafiła usunąć nawet skrupulatna czystość obowiązująca w armii niemieckiej. Pod sufitem świeciła jedna mała żarówka. Ze względu na zaciemnienie okna były zamknięte i zasłonięte. W zatęchłym, ciepłym powietrzu zdawały się

wirować upiory sprowadzanych tu dawnymi czasy złodziejasków nędznego autoramentu.

Kiedy Christian wszedł do kancelarii, pod oknem stał niski, niechlujny człeczyna w mundurze francuskiego policjanta. Od czasu do czasu zerkał niepewnie w stronę Hardenburga. Sierżant stanął na baczność i zasalutował.

„To nie może trwać wiecznie — pomyślał. — Musi się kiedyś skończyć.”

Porucznik nie zareagował na wejście podwładnego, ale Christian znalazł go bardzo dobrze, nie miał więc wątpliwości, że jego obecność w pokoju i wyczekiwanie zostały zauważone. Stał przy drzwiach wyprostowany, zapatrzony w dowódcę.

Przyglądał się Hardenburgowi i zdawał sobie sprawę, że to twarz bardziej mu nienawistna niż twarze wszystkich wrogów — bardziej niż twarz Churchilla, Stalina, bardziej niż twarz jakiegokolwiek oficera broni pancernej lub celowniczego moździerza w angielskiej czy rosyjskiej armii.

Hardenburg spojrział na zegarek i powiedział nie odwracając głowy:

— O, sierżant dziś punktualny.

— Tak jest, panie poruczniku.

Oficer przemierzył pokój sztywnym krokiem. Usiadł przy zaśmieconym papierami biurku i odnalazszy kilka arkuszy zwrócił się do Christiana:

— Macie tutaj nazwiska i fotografie trzech Francuzów, których poszukujemy. Przed miesiącem zostali powołani na roboty przymusowe i dotychczas się ukrywają. Ten pan... — chłodnym, nieznacznym gestem wskazał człeczynę w mundurze francuskiej policji — twierdzi, że wie, gdzie ich można znaleźć.

— Tak, tak, panie poruczniku — potwierdził skwapliwie Francuz. — Wiem na pewno, panie poruczniku.

— Weźmiecie, Diestl, pięciu ludzi — ciągnął Hardenburg, jak gdyby policjanta wcale nie było w kancelarii — i przyłapcie tę trójkę. Samochód z kierowcą i przydzielonym wam patrolem czeka na podwórzu.

— Rozkaz, panie poruczniku.

— A ty wynoś się! — powiedział oficer pod adresem Francuza.

— Słucham, panie poruczniku. Słucham. — Sapiąc nerwowo ruszył co tchu w stronę drzwi i wyszedł.

Oficer wciąż obserwował mapę zawieszoną na ścianie. W dusznym, gorącym pokoju Christian zaczął się pocić, „Tyłu jest poruczników

w armii niemieckiej — myślał — i akurat musiałem wpaść na tego drania!"

— Spocznijcie, sierżancie.

Christian szurnał nogami. Oficer nie odrywał wzroku od mapy.

— Jak tam, Diestl? — zapytał nagle gawędziarskim tonem.

— Wszystko w porządku? Macie papiery urlopowe?

— Tak jest, panie poruczniku — rzucił Christian i pomyślał: „Stało się. Teraz cofnie mi urlop. To mi dopiero pech!"

— Po drodze do domu zahaczycie o Berlin, prawda?

— Tak jest, panie poruczniku.

Hardenburg skinął głową, wciąż zapatrzony w mapę.

— Szczęściarz z was! Dwa tygodnie pośród Niemców, bez tych świntuchów. — Ruchem głowy wskazał miejsce opróżnione niedawno przez Francuza. — Od czterech miesięcy kołaczę o urlop. Nic z tego. Jestem tutaj niezastąpiony — parsknął ironicznie, prawie się roześmiał. — Czy moglibyście wyświadczyć mi drobną przysługę?

— Oczywiście, panie poruczniku — powiedział Christian i zirytował się na siebie, że przystał tak szybko, bez wahania. -

Porucznik dobył z kieszeni pęczek kluczy. Otworzył jedną z szuflad biurka, wyjął małą, troskliwie zawiniętą paczkę i bez pośpiechu zamknął znów szufladę.

— Moja żona mieszka w Berlinie. Oto jej adres — powiedział podając Christianowi ćwiartkę papieru. — Udało mi się... ehm... zdobyć tutaj śliczne koronki. — Z poważną miną stuknął palcem w paczuszkę. — Naprawdę bardzo piękne... czarne, brukselskie... Moja żona przepada za koronkami. Chciałem osobiście wręczyć jej upominek, ale widoki na urlop... No, a nasze poczty! — Z politowaniem kiwnął głową. — Wszystkich złodziei w Niemczech skierowano widać do urzędów pocztowych. Po wojnie należałoby przeprowadzić szczegółowe śledztwo w tej sprawie. Cóż, przyszło mi na myśl, że nie zrobię wam kłopotu... Moja żona mieszka w pobliżu dworca...

— Chętnie to załatwię, panie poruczniku — powiedział chłodno Christian.

— Dziękuję. — Podał sierżantowi paczkę. — Proszę pozdrowić ją ode mnie serdecznie, jak najserdeczniej. Możecie nawet powiedzieć, że nieustannie o niej myślę — uśmiechnął się lodowato.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Dziękuję. A teraz ci trzej Francuzi. — Uderzył dłonią w rozłożone na biurku papiery. — Wiem, że mogę na was polegać.

— Tak jest, panie poruczniku.

— W tych sprawach zaleca się obecnie większą surowość. Chodzi o przykład dla innych. Rozumiecie, Diestl, nic poważnego, trochę krzyku, raz i drugi w mordę... Można także postraszyć karabinem...

— Tak jest, panie poruczniku — powtórzył Christian ściskając w rękę paczuszkę. Przez papier wyczuwał delikatną miękkość koronek.

— To wszystko, sierżancie. — Hardenburg wrócił spojrzeniem do mapy. — Przyjemnej zabawy w Berlinie.

— Dziękuję, panie poruczniku — zaszalutował. — *Heil Hitler!*

Ale porucznik utonął już myślami pośród pułków pancernych rozrzuconych na szerokich równinach po drodze do Smoleńska. Ledwie ruszył ręką, kiedy Christian wychodził z kancelarii chowając koronki do wewnętrznej kieszeni i zapinając ją starannie, żeby paczuszka na pewno nie wypadła.

Dwaj poszukiwani ukrywali się w pustym garażu. Na uzbrojonych żołnierzy patrzyli spode łba, ale nie stawiali oporu.

Następny podany przez francuskiego policjanta adres zawiódł Christiana do ubogiej dzielnicy. W domu śmierdziało czosnkiem i zepsutą kanalizacją. Wywleczony z betów chłopiec kurczowo czepiał się matki. Obydwoje wrzeszczeli histerycznie. Kobieta ugryzła jednego z żołnierzy, a ten kopnął ją w brzuch i przewrócił. Jakiś starzec siedział przy stole. Rękami ujął głowę i płakał. Ogólnie biorąc, trudno było sobie wyobrazić mniej przyjemną scenę. W tym samym mieszkaniu ukrywał się w alkwie jeszcze jeden mężczyzna. Christianowi wydawał się podobny do Żyda. Dokumenty miał przestarzałe i tak był przerażony, że nie mógł odpowiedzieć na żadne pytanie. W pierwszej chwili Diestl miał ochotę zostawić go w spokoju. Otrzymał przecież wyraźny rozkaz: miał aresztować tylko trzech wymienionych imiennie chłopców, nie szukać na chybił trafił osób podejrzanych. Gdyby ten człowiek naprawdę okazał się Żydem, groziłby mu obóz koncentracyjny i w rezultacie śmierć. Ale francuski policjant nie odstępował na krok Christiana i syczał: *Juif!... Juif!...* Na pewno powiedziałby o wszystkim Hardenburgowi, a dla Hardenburga to gratka odwołać urlop i przy raporcie kazać tłumaczyć się podwładnemu, dlaczego nie spełnił obowiązku służbowego.

— No, nie ma rady. Proszę z nami! — zwrócił się Christian do Żyda najłagodniej, jak umiał.

Biedak był kompletnie ubrany, gotowy do ucieczki w każdej chwili. Widocznie nie zdejmował na noc nawet butów. Błędnym wzrokiem rozglądał się po pokoju. Patrzył na kobietę w średnim wieku, która

leżąc na ziemi trzymała się za brzuch i jęczała żałośnie; na opartego o stół płaczącego starca; na krucyfiks nad komodą. Miał taką minę, jak gdyby żegnał ostatni swój przytułek i wiedział, że niechybna śmierć czeka tuż za progiem. Chciał coś powiedzieć, chociaż jednak otwierał usta i poruszał szczękami, ani jeden wyraz nie dobywał się spomiędzy sinych warg.

Diestl był szczęśliwy, kiedy wrócił nareszcie do koszar policyjnych i przekazał aresztantów oficerowi służbowemu. Usiadł za biurkiem Hardenburga i zaczął pisać meldunek. Co tu gadać! Spisał się gracko. Cała historia zajęła zaledwie trzy godziny. Nagle usłyszał rozpaczliwe krzyki w głębi koszarowego budynku.

„Barbarzyńcy! — pomyślał z niesmakiem. — Zrób normalnego człowieka policjantem, a od razu zmienisz go w sadybę”.

Zrazu chciał wyjść z kancelarii, uspokoić żołnierzy. Wstał nawet od biurka. Ale przyszło mu do głowy, że oficer służbowy może brać udział w zabawie. Niewczesna interwencja skończyłaby się wówczas smutno.

Skończył meldunek, położył papier w widocznym miejscu na biurku Hardenburga i wyszedł na ulicę. Była pogodna jesienna noc. Nad dachami jasno połyskiwały gwiazdy. W mroku miasto wyglądało ładniej niż za dnia, a oświetlony księżycem plac przed ratuszem był nawet piękny — przestronny, kształtny, zupełnie pusty. „Mógłbym wpaść jeszcze gorzej — pomyślał Christian idąc wolno chodnikiem — trafić do bardziej zakazanej dziury”.

Skręcił nad rzekę i zadzwonił do bramy domu, w którym mieszkała Corinne. Stróżka burczała gniewnie, umilkła wszakże, kiedy poznała spóźnionego gościa.

Diestl wszedł na piętro po starych skrzypiących schodach i zastukał do drzwi mieszkania. Corinne otworzyła natychmiast, jak gdyby nie kładła się dotychczas i czekała. Powitała Christiana gorącym pocałunkiem. Miała na sobie prawie przezroczystą nocną koszulę, a jej ciężkie, jędrne piersi były ciepłe od snu. Poczul to, kiedy przygarwał ją do siebie.

Corinne, żona francuskiego kaprała, który w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku dostał się do niewoli pod Metzem, obecnie zaś przebywał w obozie pracy niedaleko Królewca, była tęgą kobietą o grubych farbowanych warkoczach. Przed siedmioma miesiącami, kiedy Christian poznał ją w kawiarni, wydała mu się ponętym uosobieniem rozkoszy. Naprawdę jednak była sentymentalna, pogodna, powściągliwa w miłości. Niekiedy, leżąc obok niej w małżeńskim podwójnym łóżku nieobecnego kaprała, Christian przemyślał, że po

taki towar mógł nie jeździć daleko. W Bawarii i Tyrolu znalazłby pięć milionów wieśniaczek równie tłustych i jędrnych, równie podobnych do krów. Widocznie umykały mu jakoś te legendarne Francuzki — dowcipne, bystre, ruchliwe jak żywe srebro — dziewczyny, na których wspomnienie męskie serca były żywiej, a w pamięci rysowały się słoneczne ulice Paryża i miast na południu Francji. Cóż, widać to klasa przeznaczona tylko dla oficerów. Znowu przypomniało mu się podanie zaprzepaszczone gdzieś na manowcach drogi służbowej. Siedział w pokoju sypialnym Corinne na ciężkim, rzeźbionym krześle z orzechowego drzewa i zdejmował buty. Francuzka wchodziła właśnie do łóżka bez pośpiechu, po domowemu. Jej duże pośladki połyskiwały w blasku lampy. Christian z trudem przepędził z twarzy wyraz niesmaku. Zgasił światło — tak było lepiej. Otworzył okno, chociaż Corinne, jak większość jej rodaków, panicznie bała się nocnego powietrza. Położył się obok niej i kobieta przycisnęła mu łydki grubą, mięsistą nogą. Westchnęła przy tym jak tłuscioccha, która z ulgą wyzwala się z gorsetu. W tej chwili wysoko na niebie miarowo zawarczały silniki.

— *Ckeri* — zaczęła Corinne.

— Szszaa! — syknął. — Słuchaj.

W skupieniu słuchał dalekiego odgłosu, którym dawali znać o sobie ludzie wracający z pokreślonego reflektorami londyńskiego nieba, z czarnych i mroźnych górnych warstw powietrza nad Wyspami Brytyjskimi, spośród balonów zaporowych, nocnych myśliwców, eksplodujących pocisków. Kiedy Corinne dotknęła go gestem wprawnej dójki, poczuł znowu łzy pod powiekami, jak w kinie, kiedy piechur padał na rosyjską ziemię. Wciągnął kobietę na siebie. Chciał oddzielić się od jęku motorów, zgłuszyć go ciężkim, brzydkim ciałem.

Corinne wstała wcześniej, żeby przygotować śniadanie. Podala biały chleb przyniesiony przez Christiana z piekarni zaopatrującej kasyna oficerskie. Kawa była oczywiście zbożowa — czarna i rzadka. Christianowi zrobiło się cierpko w ustach, kiedy skosztował tego napoju. Corinne, zaspana, spocona, miała bujne włosy w nieładzie; krzątała się żywo po ciemnej jeszcze kuchni. Później usiadła naprzeciwko gościa. Rozchyłony jeszcze szlafrok odsłaniał białą, niezbyt delikatną skórę na wydatnym biuście.

— *Cheri* — powiedziała siorbiąc głośno kawę. — Nie zapomnisz o mnie w Niemczech?

— Nie.

— Wrócisz za trzy tygodnie?

— Tak.

— Na pewno?

— Na pewno.

— A przywieziesz mi coś z Berlina? — zapytała z wulgarną zalotnością.

— Tak. Coś ci przywiozę.

Uśmiechnęła się szeroko. Prawdę mówiąc, nieustannie przymawiała się o nową suknię, mięso z czarnego rynku, pończoszki, perfumy, trochę gotówki, bo kanapa wymaga remontu...

„Pan kapral wróci kiedyś z Niemiec — myślał złośliwie Christian — i zastanie małżonkę dobrze obsprawną. Jak zajrzy do rozmaitych schowków, nasunie mu się kilka kłopotliwych pytań”.

Kobieta miarowo i głośno żuła chleb maczany w kawie.

— *Cheri* — zaczęła znowu — rozmawiałam ze szwagrem. Chce pogadać z tobą, jak wrócisz.

— Co takiego? — Diestl spojrział na nią zdziwiony.

— Przecież mówiłam ci o nim. Brat mojego męża, ten handlowiec. Pamiętasz? Mleko, jaja, sery. Ma bardzo korzystną ofertę od jednego kupca z Rennes. Jeżeli wojna potrwa dostatecznie długo, może zbić majątek.

— Bardzo ładnie — powiedział Christian. — Miło mi, że twojej rodzinie dobrze się wiedzie.

— *Cheri*. — Zmierzyła go pełnym wyrzutu wzrokiem. — *Cheri*, nie udawaj głupiego. To nie taka prosta sprawa.

— Czego ten facet chce ode mnie?

— Widzisz, dostawa towaru do miasta to trudny problem. Patrole na szosach... posterunki przy wjeździe... Rewidują, sprawdzają, czy towar nie podlega rekwizycji... Sam wiesz najlepiej.

— Wiem. I co z tego?

— Mój szwagier pytał, czy jakiś niemiecki oficer...

— Nie jestem oficerem.

— O, szwagier mówi, że sierżant zupełnie wystarczy. Chodzi o kogoś, kto zastąpiłby przepustkę władz wojskowych. Trzy razy na tydzień mógłbyś spotkać się z moim szwagrem na szosie. On ma własną ciężarówkę. Trzeba ją tylko wprowadzić do miasta w nocy...

Corinne wstała, okrążyła stół i zaczęła głaskać Christiana po włosach. Skrzywił się, bo był pewien, że nie otarła powalanych masłem palców.

— *Cheri* — podjęła przymilnym tonem — szwagier jest gotów dzielić zysk pół na pół. Pomyśl, jeżeli postarasz się o benzynę, szwagier

uruchomi jeszcze dwie ciężarówki. Wtedy zostaniesz bogaczem. Wszyscy przecież robią takie rzeczy. Sam wiesz najlepiej. Twój porucznik...

— Tak — przerwał. — Wiem wszystko o moim poruczniku.

„Mój Boże! — pomyślał. — Brat jej męża! Mąż gnije w niewoli, a ten facet pali się do ciemnych interesów z Niemcem, kochankiem bratowej. Oto pikantne szczególiki z życia rodzinnego we Francji”.

Kobieta objęła go mocno za szyję.

— W sprawach pieniężnych, *cheri*, należy być praktycznym...

— Powiedz temu złodziejowi, twojemu szwagrowi — zawołał głośno Christian — że jestem żołnierzem, nie spekulantem z czarnego rynku!

Corinne rozplotła ramiona.

— *Cheri* — powiedziała chłodno. — Niepotrzebnie się złościsz. Wszyscy inni są także żołnierzami, a przecież robią fortuny.

— Nie jestem jak wszyscy inni — obruszył się Christian.

— Teraz widzę, że musiałam ci się znudzić. — Kobieta zaczęła pochlipywać.

— Bodaj to wszyscy diabli! — wybuchnął Diestl.

Naciągnął bluzę, sięgnął po czapkę i głośno otworzywszy drzwi wyszedł.

Na ulicy świt pachniał chłodnym, kryształowym powietrzem. Christian poczuł, że jego gniew mija.

„Mimo wszystko — myślał — urządziłem się całkiem przyjemnie. Mógłbym trafić znacznie gorzej. Cóż, cała historia poczeka do mojego powrotu z Niemiec”.

Szedł ulicą niewyspany, lecz z każdą chwilą bardziej podniecony myślą, że o siódmej znajdzie się w pociągu, w drodze do kraju.

W promieniach jesiennego słońca Berlin wyglądał wspaniale. Christian nigdy nie przepadał za stolicą, lecz tego dnia, kiedy dźwigając worek wyszedł przed dworzec, odczuł atmosferę świadomej swych celów solidności. Olśnił go szyk mundurów i nawet ubrań cywilów, a powszechny nastrój sprężystości i dobrobytu mile kontrastował z szarzyzną i nudą francuskich miast, w których sierżant Diestl spędził ostatni rok.

Wyjął z kieszeni kartkę z adresem pani Hardenburg i w tej chwili, przypomniał sobie, że nie złożył meldunku o nie ogolonym saperze. Trzeba będzie pamiętać o tym po powrocie.

Z kolei zaczął przemyślać, czy najpierw znaleźć miejsce w hotelu, czy też zacząć od doręczenia paczki żonie dowódcy. Wybrał drugą alternatywę. Pozbędzie się tego i na całe dwa tygodnie pozostanie absolutnym panem swojego czasu, wolnym od wszelkich obowiązków z upiornego świata, który pozostał w Rennes. Idąc słonecznymi ulicami, pomалу kreślił program urlopowy. Przede wszystkim koncerty i przedstawienia teatralne. Są w Berlinie ośrodki, gdzie żołnierze darmo dostają bilety. A z pieniędzmi trzeba ostrożnie. Szkoda, że za wcześnie na narty. To byłoby najlepsze. Ale Christian bał się marudzić z urlopem. W wojsku nauczył się, że zwłoka to czysta strata, bo urlop odłożony na później najczęściej przepada.

Pani Hardenburg mieszkała w nowej, okazałej kamienicy. Wejścia pilnował portier w liberii. Przedśionek był wysłany grubym, puszystym dywanem. Czekając na windę Christian zastanawiał się, jakim cudem żona porucznika Hardenburga może żyć na tak wysokiej stopie.

Na czwartym piętrze nacisnął dzwonek i czekał. Drzwi otwały się niebawem. Stała w nich blondynka o długich potarganych włosach. Wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka.

— Słucham — rzuciła szorstko, tonem niezadowolonia. — O co chodzi?

„Nieźle się urządziła — pomyślał Christian. — Sypia do jedenastej”.

— Jestem sierżant Diestl. Służę w kompanii pana porucznika Hardenburga.

— Czego pan sobie życzy?

Mówiła drewnianym głosem i nie odmykała szerzej ledwie uchylonych drzwi. Miała na sobie pikowany szlafrok z ciemnopurpurowego jedwabiu. Raz po raz odgarniała z czoła włosy nerwowym, lecz pełnym wdzięku ruchem.

Christian nie mógł odpędzić myśli: „Niezły gust ma porucznik. Wcale niezły!”

— Dopiero co przyjechałem do Berlina na urlop — mówił powoli, rozwlekle, bo chciał dobrze obejrzeć żonę Hardenburga, wysoką, młodą osobę o smukłej talii i pełnych piersiach, niezupełnie zakrytych szlafrokiem. — Pan porucznik postarał się o prezent dla pani i prosił mnie, żeby go doręczyć.

Kobieta bacznie spojrzała na gościa. Miała duże, chłodne szare oczy w ładnej oprawie, ale trochę zbyt świdrujące i przebiegłe. Tak przynajmniej osądził Christian. Po chwili zdecydowała się na uśmiech.

— Aha — powiedziała zupełnie innym, ciepłym tonem. — Wiem, kto pan jest. Ten poważny ze schodów Opery...

— Nie... nie rozumiem — bąknął stropiony Christian.

— Jak to? A zdjęcie robione w dzień upadku Paryża?

— Ach, tak! — przypomniał sobie i uśmiechem odpowiedział na uśmiech.

— Proszę, proszę dalej. — Chwyciła go za rękę i wciągnęła do przedpokoju. — Niech pan zabierze tornister. Jak to ładnie, że pan mnie odwiedził. Proszę... Bardzo proszę.

Duży pokój mieszkalny miał szerokie weneckie okno z widokiem na okoliczne dachy. W chwili gdy wszedł tam Christian, panował dokoła straszliwy nieład. Na podłodze poniewierały się butelki, szklanki, niedopałki cygar i papierosów. Na krzesłach widać było rozmaite części damskiej garderoby i bielizny. Słuczony kieliszek od wina ozdabiał stół. Pani Hardenburg rozejrzała się i pokręciła głową.

— Mój Boże! — powiedziała. — Okropnie tu wygląda! Ale w tych czasach niepodobna utrzymać służącej.

Przestawiła butelkę z jednego stolika na drugi, wysypała do kominka zawartość kilku popielniczek, następnie rozejrzała się dokoła i zrobiła beznadziejną minę.

— To ponad moje siły — westchnęła.

Zapadła w głęboki fotel. Wyciągnęła przed siebie długie nogi bez pończoch, w lamowanych futrem czerwonych pantofelkach na wysokim obcasie.

— Proszę siadać, sierżancie — zagała rozmowę. — I przepraszam za ten okropny bałagan. Cóż, sama tłumaczę się przed sobą, że wszystkiemu winna wojna — parsknęła śmiechem. — Po wojnie kompletnie odmienię tryb życia. Stanę się wzorową panią domu. Każda szpileczka znajdzie swoje miejsce. Ale tymczasem... — Machnęła ręką. — Grunt to jakoś przeżyć. No, niech mi pan opowiada o poruczniku.

Christan próbował przypomniać sobie jakiś szlachetny albo zabawny fakt z życia Hardenburga. Starał się też pamiętać, by nie powiedzieć damie, że jej mąż ma w Rennes dwie dziwki i uchodzi za jednego z głównych rekinów bretońskiego czarnego rynku.

— Cóż, jak pani zapewne wiadomo, pan porucznik trapi się ciągle, ponieważ...

Pani Hardenburg wyprostowała się w fotelu i pochyliła ku swojemu gościowi. Twarz miała teraz ożywioną, ruchliwą.

— Ach, prawda! — zawołała. — Prezent! Gdzie pan ma ten prezent?

Christian roześmiał się głośno i odszedł w stronę drzwi, żeby wydobyć paczuszkę z tornistra. Stał nachylony, odwrócony bokiem, lecz zdawał sobie sprawę z badawczych spojrzeń gospodyni. Kiedy wyprostował się i skierował wzrok w jej stronę, nie spuściła oczu. Obserwowała go nadal w sposób natrętnie żenujący. Zbliżył się i podał paczkę. Pani Hardenburg nie spojrzała nawet na nią. Chłodno, rzeczowo patrzyła wciąż w twarz gościa. Na jej ustach igrał zagadkowy uśmiezek.

„Wygląda jak Indianka — pomyślał Diestl. — Jak dzika Indianka z Ameryki”.

— Dziękuję — przemówiła wreszcie.

Odwróciła wzrok i zaczęła rozwijać paczuszkę. Ruchy miała gwałtowne, nerwowe. Kiedy darła zgnieciony szary papier, połyskiwały jej karminowo lakierowane paznokcie.

— Aa... koronki — powiedziała bez entuzjazmu. — Ciekawe, jakiej wdowie je ukradł?

— Słucham panią?

Roześmiała się. Delikatnie klepnęła Christiana po ramieniu.

— Nie, nie — powiedziała. — Wolę nie rozwiewać złudzeń podkomendnych mojego męża.

Przykryła szalem włosy. Czerń spłynęła miękko po prostych, jasnych kosmykach.

— Dobrze wyglądam?

Zalotnie pochyliła głowę, zbliżyła się do Christiana. Był za starym wygą, by nie odczytać wyrazu jej twarzy. Postąpił krok. Pani Hardenburg podniosła ramiona i przyjęła pocałunek.

Po chwili cofnęła się i odwróciła. Nie spoglądając na gościa ruszyła w stronę sypialni. Czarne koronki spływały fałdziście na giętką, smukłą kibić. „Nie ulega wątpliwości — myślał Christian idąc powoli jej śladem — że to coś lepszego niż Corinne.”

Pościel na łóżku była skopana. Obok, na podłodze stały dwie szklanki i leżał pocieszny obrazek: nagi pasterz w scenie miłosnej na stoku wzgórze z muskularną pasterką. Ale Christian miał rację. Było to istotnie coś lepszego niż Corinne, niż jakakolwiek inna kobieta, z którą miał do czynienia. Pani Hardenburg nie mogły dorównać amerykańskie pensjonarki, które zjeżdżały do Austrii na narty, ani angielskie arystokratki wymykające się nocami z hoteli, ani zażywne dziewoje, znajome z wczesnej młodości, ani damy, co wałęsają się wieczorami po

paryskich kawiarniach. Było to coś lepszego niż wszystko, czego Christian mógł oczekiwać od kobiety.

„Chciałbym — myślał ze złośliwym humorem — żeby porucznik widział mnie w tej chwili.”

Leżeli obok siebie wyczerpani, zapatrzeni w swoje nagie ciała skąpane w blaskach pogodnego południa.

— Czekałam na ciebie od chwili, kiedy zobaczyłam tamtą fotografię — powiedziała pani Hardenburg.

Odwróciła się, sięgnęła ręką pod łóżko i wydobyła opróżnioną do połowy flaszkę.

— Czyste szklanki znajdziesz w łazience — poinformowała Christiana.

Dźwignął się z łóżka. W łazience pachniało mocno perfumowanym mydłem. Na podłodze koło wanny piętrzył się stos różowej bielizny. Christian znalazł szklanki i wszedł do sypialni.

— Nie śpiesz się — powiedziała kobieta. — Wróć do drzwi i jeszcze raz przejdź powoli w moją stronę.

Diestl uśmiechnął się zdobywczo i wrócił do łazienki. Później ze szklaneczkami w rękę kroczył po grubym dywanie. Pod krytycznym spojrzeniem czuł się trochę zakłopotany swoją nagością.

— Berlin roi się od starych, brzuchatych pułkowników — wyjaśniła pani Hardenburg. — Człowiek zapomina, że mężczyzna może tak wyglądać. — Podniosła butelkę. — Wódka. Jeden znajomy przywiózł mi z Polski trzy butelki.

Christian przysiadł na krawędzi łóżka. Kolejno podał szklanki, które kobieta napełniła hojną ręką. Następnie odstawiła na dywan nie zakorkowaną flaszkę. Wódka spływała w gardło ciepło, drażniąco. Pani Hardenburg jednym krótkim łykiem pochłonęła swoją porcję.

— Ach, teraz żyjemy — parsknęła i sięgnąwszy pod łóżko, bez słowa nalala drugą kolejkę; stuknęła szklanką w szklankę Diestla. — Zjechałeś wreszcie do Berlina. Ale marudziłeś okropnie.

— Głupi byłem — uśmiechnął się Christian. — Nie wiedziałem, co mnie czeka.

Wypili. Kobieta rzuciła szklankę na podłogę. Wzięła Christiana w ramiona, pociągnęła na siebie.

— Mam wolną godzinę — szepnęła. — Później muszę wyjść.

W łóżku skończyli flaszkę. Christian musiał wstać i poszukać drugiej w kredensie pękającym od wszelkiego rodzaju trunków. Były tam wódki z Polski i Rosji, szkocka whisky zdobyta na Anglikach w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, szampan, koniaki, stary

burgund w butelkach pokrytych słomianymi koszulkami, węgierska śliwowica, spirytus, chartreuse, kseres, benedyktyń i białe wina z Bordeaux. Odkorkował fiaszkę i postawił na podłodze, tak żeby pani Hardenburg miała ją pod ręką. Następnie stanął koło łóżka i chwiejąc się trochę na nogach mierzył wzrokiem nagie ciało wyprężone i namiętne, szczuple, lecz o pełnych piersiach. Kobieta też patrzyła na niego. Oczy jej gorzały poddaniem i nienawiścią.

„Wiem już, co w niej najbardziej bierze — rozstrzygnął nagle Christian. — Właśnie ten wyraz oczu, te spojrzenia. Nareszcie wojna przyniosła mi coś dobrego” — zakończył kładąc się obok żony Hardenburga.

— Jak długo masz zamiar zostać? — spytała głębokim głosem.

— W łóżku?

— Nie, sierżancie — roześmiała się. — W Berlinie.

— Chcę... — zaczął i urwał; omal nie powiedział, że po tygodniu w Berlinie wybiera się na drugi tydzień do Tyrolu, gdzie ma rodzinę.

— Chcę spędzić w Berlinie cały urlop: dwa tygodnie.

— To dobrze — podjęła sennym głosem — ale dla mnie nie wystarczy. — Delikatnie przesunęła dłonią po brzuchu Christiana.

— Spróbuję pogadać z przyjaciółmi. Mam przyjaciół w Ministerstwie Wojny. Może to niezła myśl, żeby ci wykombinować przydział w Berlinie. Jak sądzisz?

— Moim zdaniem, to myśl znakomita.

— A teraz — ciągnęła kobieta — wypijemy jeszcze po jednym. Gdyby nie wojna — cichemu jej głosowi akompaniowało bulgotanie płynu wylewającego się z butelki — gdyby nie wojna, nigdy nie odkryłabym wódki. Dziś w nocy. Po dwunastej. Dobrze?

Roześmiała się i napełniła szklanekę Diestla.

— Dobrze.

— Nie masz inne; *dziewczyny* w Berlinie?

— Nie. Nie mam innej dziewczyny na całym świecie.

— Biedny sierżant! Biedny, załgany sierżant! Ja mam porucznika w Lipsku, pułkownika w Libii, kapitana w Abbeville, drugiego kapitana w Pradze, majora w Atenach, generała brygady na Ukrainie. Nie wspominam nawet o małżonku, poruczniku stacjonowanym w Rennes. Mój mąż ma trochę opaczne gusty.

— Czyżby?

— Ja też jestem zboczona. Ale o tym potem. Ty... Ty jesteś naprawdę pierwsza klasa. Co za wigor! Prostoduszny chłopiec, ale pełen wigoru. Wrażliwy, niekłopotliwy na przyszłość... No, dziś po północy.

— Tak.

— Wojna, wojna — ciągnęła. — Życzliwi przyjaciele rozproszeni po świecie. Wiesz, od początku wojny nie miałam ani jednego sierżanta. Ty jesteś pierwszy. Powinieneś być dumny, prawda?

— Niebywale.

Pani Hardenburg zachichotała nerwowo.

— Wieczór spędzam dziś z pewnym pułkownikiem, pełnym pułkownikiem. Mam dostać futro, prawdziwe sobole. Przewiózł je z Rosji. Wyobrażasz sobie, jaką by zrobił minę, gdybym powiedziała, że wracam do domu, do skromnego sierżanta?

— Nie mów mu.

— Napomknę tylko. Delikatnie napomknę. Oczywiście futro będę już miała na grzbiecie. Tak od niechcenia, niby to płotąc świństwa. — Znowu zachichotała. — Chyba zrobię cię porucznikiem. Człowiek o takich zdolnościach! Śmiejesz się? Naprawdę mogę zrobić cię porucznikiem. Nic prostszego. No, za zdrowie porucznika Diestla!

Wypili za zdrowie porucznika Diestla.

— Jakie masz plany na popołudnie? — zapytała kobieta.

— Nieciekawie. Pospaceruję trochę. Będę czekał dwunastej.

— Strata czasu. Lepiej kup mi jakiś drobiazg.

Wstała z łóżka i podeszła do stolika, na który rzuciła koronki. Udrapowała szal na głowie, palcami przytrzymała pod brodą.

— O tutaj, widzisz? Doskonale by pasowała nieduża, skromna broszka. Jak sądzisz?

— Tak mi się zdaje.

— Znam pierwszorzędny sklep przy rogu Tauentzienstrasse i Kurfurstendamm. Mają tam odpowiednią agrafkę z granatami. Bardzo by mi się przydała. Pójdiesz tam, prawda?

— Pójdę.

— Doskonale.

Podziękowała Christianowi uśmiechem. Nagle zbliżyła się do łóżka posuwistym krokiem. Przyklękła na jedno kolano i gorąco pocałowała kochanka w szyję.

— Jak to ładnie ze strony porucznika — szepnęła pieszczotliwym tonem — że przysłał mi te koronki. Muszę napisać do niego. Podziękować. Zawiadomić, że paczkę otrzymałam w porządku.

Diestl poszedł do sklepu przy Tauentzienstrasse i kupił skromną broszkę z granatami. Ważąc ją w rękę wyobrażał sobie, jak będzie wyglądała pod brodą pani Hardenburg. „Zabawne — pomyślał — nie

znam nawet jej imienia. Wydałem dwieście czterdzieści marek. Trzeba to będzie zaoszczędzić na czymś innym."

Niedaleko dworca znalazł mały, tani pensjonat, gdzie zostawił tornister. Było tam brudno i tłoczyli się żołnierze, ale w chwilowym lokalu nie zamierzał przecież spędzać wiele czasu.

Wysłał do matki telegram z wiadomością, że na urlop nie zdoła przyjechać do domu, i z prośbą o pożyczanie dwustu marek. Od szesnastego roku życia pierwszy raz zwracał się do niej o pieniądze, wiedział jednak, że matce powodzi się teraz dobrze, łatwo więc zaspokoi jego żądanie.

Christian wrócił do pensjonatu. Próbował się zdrzemnąć, wciąż jednak płoszył sen myślami o porannych wydarzeniach. Ogolił się, przebrał i wyszedł na miasto. Było pół do szóstej, jeszcze widno. Szedł wolno Friedrichstrasse. Pogodnie się uśmiechał słuchając dźwięczących dokoła strzępków niemieckiej mowy. Z zadowoloną miną kręcił głową, kiedy na rogach ulic zaczepiały go dziewczęta. Zwrócił uwagę, że wszystkie są wystrojone w prawdziwe futra albo dobrze skrojone płaszcze. Podbój Francji okazał się dobrodziejstwem przynajmniej dla jednej profesji.

Przemykając w ruchliwym tłumie Christian wierzył w zwycięski koniec wojny, wierzył głębiej niż kiedykolwiek. Berlin, który wydawał mu się zawsze szary i nudny, kipiał tego dnia wesołością, energią, niepohamowaną siłą! „Jakże inaczej muszą wyglądać w tej chwili ulice Londynu, ulice Moskwy — myślał. — Wszystkich żołnierzy powinno się wysłać na urlop do Berlina. Miałyby to zbawienny wpływ na morale armii. Oczywiście — uśmiechnął się figlarnie — dobrze by było każdego faceta, cę przyjeżdża na urlop do Berlina, obdarzyć z miejsca taką panią Hardenburg i butelką wódki. Hm... Kwaternistrzostwo miałyby nowy problem, trudny problem".

Kupił gazetę, wszedł do kawiarni i zamówiwszy piwo zabrał się do czytania. Miał wrażenie, że słucha grzmiącej orkiestry dętej. W gazecie pełno było triumfalnych opowieści: Rosjanie tysiącami dostają się do niewoli; na froncie północnym kompanie rozgramiają bataliony; zagony pancerne przenikają głęboko w nieprzyjacielski teren i odebrane od sił głównych miażdżą podczas wypadów trwających tydzień i dłużej i tak już zdeorganizowane rosyjskie tyły. Jakiś emerytowany generał troskliwie analizował sytuację i przestrzegał czytelników przed nadmiernym optymizmem. Był zdania, że Rosja skapituluje nie wcześniej niż za trzy miesiące, a szalona gadanina o natychmiastowej klęsce może tylko źle wpłynąć na morale wojska i ludności cywilnej.

Artykuł wstępny groził Turcji i Stanom Zjednoczonym, a zarazem wyrażał głębokie przekonanie, iż mimo energicznej kreciej roboty Żydów, naród amerykański nie pozwoli się wciągnąć do wojny, która — rzecz prosta — w niczym nie zagraża jego interesom i nie powinna go obchodzić. Dalej była wiadomość, że żołnierze radzieccy torturują i palą żywcem niezlicznym niemieckich jeńców. Christian czytał spiesznie, ograniczając się do pierwszych zdań artykułów. Był przecież na urlopie i przez dwa tygodnie nie chciał myśleć o podobnych sprawach.

Pociągając piwo dziwił się trochę, że jest takie wodniste, był jednak zadowolony, zmęczony, nasycony *fizycznie* i *odrywając raz po raz* wzrok od gazety, spoglądał przyjaźnie na wesołe młode pary, które flirtowały w kawiarnianej salce. Siedzący w pobliżu lotnik miał na piersiach dwie baretki wysokich odznaczeń, a obok siebie prześliczną dziewczynę. Na jego widok Christian odczuł przelotny skurcz żalu. Ten chłopak wrócił z podniebnego pola walki. Berlin i urlop musi cenić nieporównanie wyżej niż sierżant Diestl, oderwany na dwa tygodnie od koszar policyjnych, podwójnego małżeńskiego łoża nieobecnego kaprala i od jadowitego języka porucznika Hardenburga.

„Muszę wybrać się do Ministerstwa Wojny — pomyślał bez zapału. — Pomówić z pułkownikiem Meisterem o przeniesieniu do jakiegoś innego oddziału... może do Rosji. Trzeba to będzie załatwić później, pod koniec tygodnia... jak ureguluję jakoś inne sprawy...

Odwrócił stronę gazety szukając działu poświęconego muzyce. Zapowiadano na ów wieczór cztery koncerty, między innymi kwintet klarnetowy Mozarta. Christian ucieszył się i odczuł bolesny skurcz tęsknoty.

„Pójdę — zdecydował. — To idealny sposób wyczekiwania północy.”

W domu pani Hardenburg dozorca spotkał Christiana w przed-sionku na parterze. Miał dla niego wiadomość:

— Pani poleciła mu wpuścić pana do mieszkania. Sama jeszcze nie wróciła.

Pojechali windą na czwarte piętro. Obydwaj byli sztywni, twarze mieli bez wyrazu. Dozorca otworzył drzwi zapasowym kluczem i powiedział sucho:

— Dobranoc, panie sierżancie.

W bawialni paliły się światła i okno było zasłonięte. Christian wszedł powoli i spostrzegł, że od jego ostatniej tam bytności ktoś zrobił

porządku. Pokój wyglądał teraz schludnie, był nawet ładny według nowoczesnej, kanciastej mody.

„Komu przyszłoby do głowy, że Hardenburg tak mieszka — pomyślał. — Odpowiednie dla niego tło to wysokie, ciemne, staroświeckie meble, sztywne krzesła, plusz i polerowany orzech. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem.”

Zmęczony położył się na sofie. Koncert znudził go potężnie. W sali było gorąco, tłoczno. Muzyka cieszyła go ledwie przez kilka minut. Później nieustannie walczył z sennością. Mozart wydawał się zbyt łagodny, ckliwy. Christian przymykał oczy i widział panią Hardenburg .wysoką, smukłą, nagą... Ta wizja stawała między nim a melodią. Rozkosznie przeciągnął się na sofie. Usnął

Ocknął się na szmer głosów. Rozchylił powieki i mrugając od blasku spojrział w górę. Koło kanapy stała pani Hardenburg z jakąś drugą kobietą. Obydwie przyglądały mu się uśmiechnięte.

— O, zmęczony sierżant! Biedaczek! — zawołała pani Hardenburg.

Schyliła się i pocałowała Christiana. Ubrana była w piękne futro, a z ust jej buchał silny odór alkoholu. Żrenice miała rozszerzone, bardzo ciemne, co świadczyło, że jest pijana, chociaż panuje nad sobą. Przyłożyła policzek do poduszki tuż koło głowy Christiana.

— Kochanie, sprowadziłam przyjaciółkę. Poznajcie się. Sierżant Diestl, Eloiza.

Eloiza uśmiechnęła się przymilnie. Jej rozbiegane oczy lśniły również podejrzenie. Nagle zachwiała się i nie zdejmując płaszcza usiadła w głębokim fotelu.

— Eloiza mieszka za daleko, żeby po nocy wracać do domu — podjęła pani Hardenburg. — Zostanie z nami. Będziesz kochał Eloizę i Eloiza będzie kochać ciebie. Ona wie o tobie wszystko.

Wyprostowała się, rozkrzyżowała ręce w miękkich, swobodnie opadających rękawach.

— No, jak ci się podoba moje futro, sierżancie? — zapytała. — Śliczne, prawda?

— Śliczne — przyznał Christian siadając.

Zbity z tropu gapił się tępo na rozpartą w fotelu nieznaną. I ona była blondynką, należała jednak do tych okrągłych, pulchnych blondynek.

— O, sierżant — zachichotała Eloiza. — Jaki przystojny sierżant!

¹ Diestl przetarł oczy ręką. „Trzeba się stąd wynosić — pomyślał. — To nie dla mnie miejsce.”

— Nie masz pojęcia, ile się nagłowiłam, żeby spławić pułkownika — roześmiała się pani Hardenburg.

— Jak drugi raz przyjedzie z Rosji, ja też dostanę futro — wtrąciła Eloiza.

— Która godzina? — spytał Diestl.

— Druga, trzecia, nie wiem — odpowiedziała gospodyni.

— Czwarta — oznajmiła Eloiza spoglądając na zegarek. — Czas do łóżka! Czas!

— Chyba ja się pożegnam... — zaczął niepewnie Diestl.

— Sierzancie! — zawołała pani Hardenburg i mierząc Christiana pełnym wyrzutu wzrokiem zarzuciła mu na szyję miękkie, puszyste rękawy. — Tego nie możesz nam zrobić! Ładna wdzięczność! Nie masz pojęcia, ile przeżyliśmy z pułkownikiem. Przecież to on właśnie wykieruje cię na porucznika.

— Na majora — odezwała się znów Eloiza. — Zdaje mi się, że ma go wykierować na majora.

— Na porucznika—poprawiła z godnością pani domu. — I wyrobi ci przydział do sztabu generalnego. Sprawa załatwiona.

— Szaleje za Gretchen — objaśniła przyjaciółka. — Dla niej wszystko zrobi!

„Gretchen — pomyślał Christian. — Nareszcie dowiedziałem się jej imienia.”

— Jednego nam teraz potrzeba: czegoś mocnego—zmieniła temat Gretchen. — Mamy ochotę na koniak. Kochanie, wiesz, gdzie jest kredens, prawda?

Zdawać się mogło, że wytrzeźwiała w jednej chwili. Mówiła chłodnym, rzeczowym tonem. Odgarnęła włosy z czoła i wyprostowana stanęła pośrodku bawialni. We wspaniałym futrzanym płaszczu i białej wieczorowej sukni była wyniosła, imponująca. Christian nie mógł oderwać od niej łakomego spojrzenia.

— Aha, widzisz — uśmiechnęła się przelotnie i końcami palców musnęła wargi Christiana. — Tak właśnie trzeba patrzeć na kobietę. Kochanie, pamiętaj o kredensie.

„Cóż, jeden koniak i zwiewam” — pomyślał Christian.

Wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie bez trudności znalazł w kredensie butelkę.

Diestl poczuł silny blask przez opuszczone powieki. Zbudził się, otworzył oczy i zobaczył, że słońce błyszczy za szerokim oknem i zalewa światłem sypialnię. Powoli odwrócił głowę. Był sam w zrujnowanym łóżku. Od zapachu perfum zasychało mu w gardle. Dręczyło

go pragnienie i głowa zaczynała boleć. Nagle odzyskał pamięć. Fragmenty nocy wracały jeden po drugim. Płaszcz fiitrzany, dwie kobiety, pułkownik, co miał go wykierować na porucznika, kłębowisko splecionych, uperfumowanych ciał... Nieswojo mu się zrobiło. Przy-mknął oczy. Naturalnie słyszał o takich kobietach, znał historie o zepsuciu, jakie szerzyło się w Berlinie po tamtej wojnie. Ale samemu przeżywać takie rzeczy?... To już zupełnie inna sprawa.

Otworzyły się drzwi łazienki i do sypialni weszła Gretchen, kompletnie ubrana. Miała na sobie czarny kostium, a gładko uczesane włosy związała czarną wstążką, jak podłotek. Jej czyste oczy błyszczały jasno. W porannych blaskach słońca stała wypoczęta, świeża, odrodzona. Uśmiechnęła się, podeszła do Christiana i usiadła na łóżku.

— Dzień dobry — odezwała się pogodnym, opanowanym tonem.

— Aa... dzień dobry — wymusił uśmiech. Przy wymuskanej Gretchen czuł się brudny, zmęczony, prawie chory. — Gdzie druga dama?

— Eloiza? Poszła do pracy. Bardzo się jej spodobałeś.

„Spodobałem się jej! — gniewnie pomyślał Diestl. — Takiej spodoba się każdy mężczyzna, każda kobieta, ba! każdy zwierzak, który nawinie się pod rękę.”

— Dlaczego jesteś całkiem ubrana? — zapytał.

— Muszę też iść do pracy — odpowiedziała z uśmiechem. — Nie myślisz chyba, że próżnuję i nie przykładam ręki do wysiłku wojennego?

— Gdzie pracujesz?

— W Ministerstwie Propagandy. — Zrobiła minę bardzo serio, nie znaną dotychczas Christianowi. — W departamencie zagadnień kobiecych.

— A co tam robisz?

— Co robię? Piszę przemówienia, pogadanki radiowe. Właśnie teraz prowadzimy wielką kampanię. Mnóstwo dziewcząt (zdziwiłbyś się, jak wiele) puszcza się z cudzoziemcami.

— Z jakimi cudzoziemcami?

— Z tymi, których sprowadzamy na roboty. Są w fabrykach. Na farmach. Nie powinnam mówić o tych sprawach, zwłaszcza żołnierzom. ..

— Bądź spokojna — uśmiechnął się cierpko. — Ja nie mam złudzeń.

— Ale widzisz, ludzie gadają na ten temat i plotki podkopują morale wojsk frontowych — ciągnęła tonem dobrej uczennicy recytu-

jącej wyuczoną lekcję. — Od Rosenberga otrzymujemy sążniste tajne sprawozdania. To zagadnienie pierwszorzędnej wagi.

— Ciekawe, co mówicie dziewczętom—zainteresował się szczerze jeszcze jednym nieoczekiwanym rysem sylwetki pani Hardenburg.

— To, co zwykle — wzruszyła ramionami. — Trudno dzisiaj wymyślić coś nowego. Czystość niemieckiej krwi. Teoria wpływu rasy na charakter. Stanowisko Polaków, Węgrów czy Rosjan w historii Europy. Najtrudniej rozprawić się z Francuzami. Dziewczeta mają do nich nieprzepartą słabość.

— I co mówicie o Francuzach?

— Mamy w zapasie choroby weneryczne. Przytaczamy statystykę zachorowań na syfilis w Paryżu i takie rozmaite rzeczy.

— To pomaga?

— Nie bardzo — uśmiechnęła się Gretchen.

— A dzisiaj co będziesz robić?

— Dzisiaj? Mam wywiad radiowy z kobietą, co urodziła dziesiąte dziecko. Zdobyliśmy nawet generała, który na falach eteru zawiadomi ją o nagrodzie pieniężnej. Czas na mnie. — Podniosła się z brzegu łóżka.

— Zobaczymy się wieczorem? — zapytał.

— Strasznie mi przykro, kochanie. Wieczór mam zajęty. Stojąc przed lustrem robiła ostatnie poprawki fryzury.

— Nie, mogłabyś się zwolnić?

Christian poczuł wstręt do siebie, bo w jego tonie zadźwięczała błagalna nuta.

— Wybacz, kochanie. To stary przyjaciel, pułkownik. Dopiero co przyjechał z Afryki. Byłby niepocieszony.

— Może później? Jak spławisz pułkownika...

— Wykluczone. Ma być wielkie przyjęcie. Przeciągnie się Bóg wie jak długo.

— Więc jutro?

Przez moment pani Hardenburg patrzyła nań badawczo. Później się uśmiechnęła.

— Strasznie jesteś zajadły, prawda?

— Tak.

— A dziś w nocy dobrze się bawiłeś?

Nie odwracając wzroku od lustra starannie poprawiała włosy.

— Tak.

, — Przyjemny z ciebie chłopiec. I ta agrafka, którą mi kupiłeś, jest naprawdę śliczna. — Zbliżyła się do łóżka, schyliła się i pocałowała

Diestla. — Zupełnie niebrzydki drobiazg. W tym samym sklepie mają niezłe skromne kolczyki. Pasowałyby do tej broszki doskonale.

— Przyniosę ci kolczyki jutro wieczorem — powiedział Christian przeklinając się w duchu za to przekupstwo.

Charakterystycznym dla siebie gestem musnęła jego wargi końcami palców.

— Naprawdę jesteś bardzo, bardzo miły!

Christian miał ochotę wyciągnąć ręce, obalić ją na łóżko, potrafił jednak opanować się w porę.

— Sprowadzić Eloizę? — uśmiechnęła się Gretchen.

Na moment opuścił powieki. Przypomniał sobie wydarzenia szalonej, pijackiej nocy. Była odrażająca, perwersyjna... W zwyczajnych warunkach gardziłby sobą na myśl o niej, ale teraz...

— Czemu nie — powiedział wolno. — Oczywiście.

Gretchen parsknęła śmiechem.

— Muszę pędzić — skoczyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się w progu. — Jesteś zarośnięty, kochanie. W apteczce znajdziesz brzytwę i amerykańskie mydło do golenia. Wiem, że bez skrupułów, posłużysz się własnością porucznika.

Napozęgananie machnęła ręką i poszła do swojego generała z radia i matlofkóra szczęśliwie odbyła dziesiąty połów.

Następny tydzień upłynął Christianowi w szaleńczej mgłę. Ogromne miasto, miliony ludzi śpieszących na wszystkie strony, rój tramwajów i autobusów, wielkie plakaty nad redakcjami dzienników, wspaniałe mundury generałów i polityków, którzy przemykali w długich, opancerzonych samochodach, hordy żołnierzy na urlopie i na służbie, komunikaty radiowe z frontu wschodniego o zdobywanych milach i zabijanych ludziach — wszystko to było odległe, pograżone w cieniu. Realny wydawał się jedynie apartament przy Tiergartenstrasse i gorące, białe ciało żony Hardenburga. Kupił jej kolczyki i drugi raz zadeperesował do domu po pieniądze. Poszły na bransoletkę ze złotego łańcucha i sweter, który jakiś żołnierz przywiózł z Amsterdamu.

Miała zwyczaj telefonować o wszelkich porach dnia i nocy, wywoływać Christiana z pensjonatu, w którym mieszkał. Wobec tego — zaniechał spacerów szerokimi alejami, zrezygnował z teatru. Po prostu leżał na łóżku i słuchał, czy telefon nie dzwoni w brudnym, ciemnym hallu na parterze. Czekał chwili, kiedy wolno mu będzie wybiec na ulicę i pośpieszyć do Gretchen. W mglistym wirze świata jej

mieszkanie stało się jedynym określonym punktem. Kiedy zostawiała go tam i kazała czekać swego powrotu, myszkował po pokoju, zaglądał do szaf, otwierał szuflady biurka, czytał listy, oglądał fotografie ukryte pomiędzy książkami. Zawsze był dyskretny i potrafił szanować cudze tajemnice. Ale z Gretchen sprawa przedstawiała się inaczej. Chciał pochłonąć tę kobietę i wszystkie jej myśli, namiętności, występki, pragnienia.

Apartament przy Tiergartenstrasse pęczniał od łupów. Zdolny ekonomista potrafiłby wykreślić historię niemieckich podbojów w Europie i Afryce studiując jedynie zdobycz nagromadzoną w siedzibie żony Hardenburga. Dary te znosili sunący procesją sztywni oficerowie w lśniących butach, ozdobieni baretkami orderów. Christian widywał ich czasami, kiedy zazdrośnie wychylony z okna patrzył, jak odwożą Gretchen okazałymi samochodami służbowymi. Nie licząc bogatej kolekcji butelek znajomych od pierwszego dnia, w mieszkaniu były sery z Holandii, mnogie tuziny par jedwabnych francuskich pończoch, flakony najróżniejszych perfum, wysadzone drogimi kamieniami klamry pasów i kindżały ze wszystkich bałkańskich krajów, brokatowe pantofle z Maroka, kosze algierskich pomarańcz i mandarynek, trzy futrzane płaszcze z Rosji, mały szkic z Rzymu (oryginał Tycjana), dwa półcie duńskiego wędzonego bekonu, zawieszony w spizarcie za kuchnią, cała półka paryskich kapeluszy (choć Christian nie widział nigdy Gretchen w kapeluszu), srebrny antyczny dzbanek do kawy, pochodzący z Belgradu, ciężki obity tłoczoną skórą pulpity do pisania, który jakiś przedsiębiorczy porucznik potrafił dostarczyć ze zdobytej willi w Norwegii.

Listy, rzucone niedbale na podłogę lub wsunięte między czasopisma leżące na stole, pochodziły z najodleglejszych krańców imperium niemieckiego. Oczywiście pisane były w różnorodnych stylach: od lirycznych wierszy młodego naukowca, pełniącego chwilowo służbę w Helsinkach, do suchych, pornograficznych wspomnień podtatusiałych oficerów zawodowych, którzy pod wodzą Rommla wojowali na Pustyni Libijskiej. We wszystkich wszakże dźwięczał ton wdzięczności i tęsknoty. Wszystkie też coś obiecywały: sztukę zielonego jedwabiu z Orleanu, pierścionek znaleziony w jakimś budapeszteńskim sklepie, pochodzący z Trypolisu medalion z szafirem...

W tych i owych listach autorzy wspominali Eloizę i inne dziewczęta — czasami z humorem, czasami jak echo dawno przeżytych tkliwych wzruszeń. Christian przywykł do Eloizy i innych dziewcząt. Obecność ich zaczął uważać za objaw normalny... przynajmniej normalny dla

Gretchen. Bo Gretchen wybiegała poza granice przeciętności dzięki wybitnej urodzie, nienasyconym apetytom i prawie nadludzkiej energii. Co prawda, często zażywała z rana benzedrinę albo inne podniecające środki, żeby odzyskać siły trwonione tak niebacznie. Niekiedy też robiła sobie duże zastrzyki witaminy B, która, jak mówiła, w jednej chwili ulecza z katzenjammeru.

Jedno zdumiewało najbardziej. Niespełna trzy lata temu pani Hardenburg była skromną nauczycielką. Mieszkała wtedy w Baden i uczyła dziesięcioletnie dzieci historii i geografii. Mówiła nawet Christianowi, że była wyjątkowo nieśmiała. Hardenburg był pierwszym mężczyzną, z którym poszła do łóżka, a i to uległa mu dopiero po ślubie. Ale przed samą wojną przeniosła się z mężem do Berlina i tu w nocnym klubie wpadła w oko pewnej fotoreporterce. Nowa znajoma poprosiła Gretchen o pozowanie do zdjęć, które wykorzystała w plakat�ch Ministerstwa Propagandy. Kobieta ta uwiodła panią Hardenburg^ a ponadto rozślawiła jej twarz i sylwetkę jako doskonały model młodej Niemki, która ochoczo przepracowuje godziny nadliczbowe w fabryce amunicji, regularnie uczęszcza na zebrania partyjne, składa datek na Pomoc Zimową, przyrządza smakowite potrawy z rozmaitych namiastek. Tak rozpoczęła się olśniewająca kariera w wielkim świecie wojennego Berlina. *Hardenburg szybko został wysłany do pułku.* Zaznajomiwszy się z sytuacją domową Gretchen Christian zrozumiał, dlaczego jego dowódca jest niezastąpiony w Rennes i nie może wyrwać się na urlop do kraju. Pani Hardenburg bywała na wielu oficjalnych przyjęciach. Dwa razy rozmawiała z Hitlerem, a z Rosenbergiem łączyły ją zażyłe stosunki, które wszakże, jak zapewniała, nie przekraczały ostatecznych (czy według miary Gretchen półostatecznych) granic.

Christian nie chciał wydawać sądu o moralności tej kobiety. Czasami, kiedy leżąc w ciemnym pensjonatowym pokoju nasłuchiwał dzwonka telefonu, zastanawiał się nad tym, co jego matka nazwałaby grzechem śmiertelnym pani Hardenburg. Jakkolwiek kontakt z kościołem zerwał wcześniej, resztki surowych religijnych zasad matki odzywały się w nim niekiedy i bezlitośnie potępiały obyczaje pani *Hardenburg*. Ale Christian *odpędzał mgliste*, ledwie rodzące się myśli. Jego Gretchen była ponad zwyczajną moralnością, poza nią. Kobiety o tak zdumiewających siłach żywotnych i apetytach, o tak zaborczej energii, niepodobna szacować na podstawie norm kodeksu przestarzałego przecież i dogorywającego. Stosować do niej słowa Chrystusa to mniej więcej to samo, co przyrównywać ptaka do węża,

dowódcy czołgów narzucać normalne przepisy drogowe, sądzić generała według cywilnych praw dla morderców.

Datowane z Rennes listy Hardenburga przypominały korespondencję wojskową. Były suche, bez treści, lodowate jak zimowy wiatr. Czytając je Diestl nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl, że porucznik, jeśli doczeka końca wojny, stanie się zapomnianym, nieważnym fragmentem bujnej przeszłości żony. Dla siebie Christian miał plany, których nie ważył się snuć do końca. Pewnej nocy Gretchen powiedziała mu od niechcenia, między jednym a drugim łykiem wódki, że wojna skończy się za dwa miesiące i że ktoś wysoko postawiony w hierarchii rządowej (nazwiska nie mogła wymienić) ofiarował jej dobra w Polsce. Trzy tysiące akrów. Był tam siedemnasutowieczny kamienny pałac całkiem nie uszkodzony, a siedemset akrów uprawiano nawet obecnie.

Pani Hardenburg leżała na wznak na sofie i mówiła pół żartem, pół serio:

— I co? Jak się zapatrujesz na stanowisko administratora wielkiej damy?

— Cudowna myśl!

— Oczywiście, nie musiałbyś się przemęczać obowiązkami fachowego agronoma.

— Zgadzam się z góry.

Usiadł koło kochanki, wsunął dłoń pod jej głowę i gładził jedwabistą skórę na karku.

— No, zobaczymy... Zobaczymy — powiedziała. — Mogłoby nam być gorzej... »

„To coś dla mnie — myślał Diestl. — Wielkie dobra na dzikich terenach, w bród pieniędzy i Gretchen jako pani starego zamku. Nie pobierzemy się, oczywiście. Małżeństwo z Gretchen to czyn godny superszaleńca! Zostanę czymś w rodzaju morganatycznego księcia małżonka. Długie buty od najlepszego szewca, dwadzieścia koni w stajni. Wielcy i bogaci nowego imperium będą zjeżdżać ze stolic na polowania... Tak, tak... Najszczęśliwsza godzina mojego życia wybiła w koszarach policyjnych w Rennes, kiedy Hardenburg otworzył szufladę biurka i wydobyl paczkę z czarnymi koronkami”.

O Rennes prawie zapomniał. Gretchen powiedziała mu, że rozmawiała z pewnym generałem o jego nominacji i przeniesieniu do Berlina. Sprawa poszła już w ruch. Hardenburg był nędznym widmem przeszłości.. Może pojawi się kiedyś na krótką, przyjemną chwilę i zniknie odprawiony bezlitosnym, obelżywym zdaniem.

„Najpiękniejsze dni mojego życia” — myślał Christian spoglądając z uśmiechem na drzwi, które się właśnie otwały.

Zobaczył Gretchen w sukni ze złotej lamy i nurkowej pelerynce zarzuconej niedbale na ramiona. Uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce.

— Jak to miło — zawołała — że ktoś czeka na biedną dziewczynę, kiedy wraca do domu po dniu pracy!

Christian skoczył na jej spotkanie. Kopnięciem zatrzasnął drzwi i wziął kochankę w ramiona.

Do końca urlopu brakowało tylko trzy dni, ale Christian nie martwił się, bo pani Hardenburg oznajmiła, że wszystko załatwione. W pensjonacie odezwał się dzwonek telefonu. Christian zbiegł ze schodów; chciał jak najprędzej chwycić słuchawkę. Poznał głos Gretchen, uśmiechnął się więc i powiedział:

— Jestem, kochana!

— Cicho bądź! Słuchaj! — przerwała ostrym, syczącym szeptem. — I nie wymieniaj przez telefon mojego imienia.

— Co? Co się stało? — zapytał zdumiony.

— Mówię z kawiarni. Nie dzwoń do domu. I nie próbuj mnie odwiedzić.

— Jak to? Sama powiedziałaś: dziś wieczorem o ósmej.

— Wiem, co sama powiedziałam. Ani o ósmej, ani dziś wieczorem, ani nigdy. Skończone. Nie czepiaj się mnie. Żegnam.

Metaliczne stuknięcie przerwało połączenie. Christian gapił się na aparat ścienny. Wreszcie powoli odłożył słuchawkę. Wrócił na górę, wyciągnął się na łóżku. Nie leżał długo. Wstał, włożył bluzę i wyszedł. Wszędzie, byle nie w tym pokoju” — myślał.

Na oślepiep błędził ulicami. Roztrząsał w myślach ostatnie wypowiedziane szeptem słowa Gretchen i wszystko, co mogło stać się ich przyczyną. Ubiegła noc nie różniła się od poprzednich. Gretchen przyszła koło pierwszej, pijana, lecz jak zwykle opanowana, pewna siebie. Wypili trochę razem i o drugiej położyli się do łóżka. Było im równie dobrze jak każdej innej nocy. Gretchen usnęła przytulona do niego, a o jedenastej przed południem, kiedy wychodziła do pracy, pocałowała go czule, namiętnie i szepnęła:

— Dziś startujemy wcześniej. Przyjdź o ósmej.

— Nic nie wróżyło burzy. Christian patrzył na ślepe twarze domów i ruchliwe, zaaferowane twarze ludzi mijających go tłumnie. „Jedno mi pozostaje — myślał. — Zaczekam przed jej domem i zapytam bez ogródek, o co chodzi”.

O siódmej stanął na posterunku. Skrył się za drzewem po przeciwnej stronie ulicy, na wprost bramy domu Gretchen. Wieczór był wilgotny. Mży! deszcz. W pół godziny Christian przemókł do nitki, ale nie zwracał na to uwagi. O pół do jedenastej policjant minął go po raz trzeci i zmierzył pytającym spojrzeniem.

— Czekam na dziewczynkę — odezwał się Diestl wymusiwszy głupkowaty uśmiech. — Widać nie może spławić jednego majora od spadochroniarzy.

Policjant odpowiedział uśmiechem.

— Wojna — mruknął. — Wszystkim teraz ciężko.

Ze współczuciem pokiwał głową i odszedł.

O drugiej nad ranem stanął przed domem samochód wojskowy. Pani Hardenburg wysiadła w towarzystwie oficera. Chwilę rozmawiali na chodniku, później zniknęli w bramie, a samochód odjechał.

Przez deszcz i mroki zaciemnienia Christian przyglądał się fasadzie domu. Próbował zgadnąć, które okno należy do mieszkania Gretchen, ale po ciemku było to niepodobieństwem.

O ósmej rano znowu pojawił się długi i okazały wóz. Oficer wyszedł z bramy, wsiadł i odjechał. „Podpułkownik” — automatycznie skonstatował Diestl. Deszcz padał nieustannie. Mało brakowało, a Christian wszedłby do kamienicy naprzeciwko. „Nie — pohamował się w ostatniej chwili. — Zepsuję wszystko. Ona rozniewia się, wyrzuci mnie za drzwi... I koniec, nieodwołalnie koniec!”

Ukryty wciąż za drzewem zadarł głową i patrzy! w okno widoczne teraz w szarym świetle. Sen klei! mu powieki. Mundur ocieka! wodą.

O jedenastej wyszła z bramy Gretchen ubrana w niskie gumowe buty i lekki płaszcz nieprzemakalny z paskiem i kapturem. W tym przypominającym żołnierski ekwipunek ochronny stroju wyglądała młodo, prawie po pensjonarsku. Jak zwykle z rana, była świeża, wypoczęta. Żywo zaczęła się oddalać chodnikiem.

Diestl dogoni! ją, kiedy skręcała w pierwszą przecnicę.

— Gretchen — odezwał się dotykając jej łokcia.

Drgnęła nerwowo.

— Odczep się! — syknęła i dodała szeptem coś, czego nie dosłyszał.

— Co się stało? — zapytał żałośnie. — Co złego zrobiłem?

Szybko ruszyła z miejsca. Szedł za nią zostając nieco w tyle.

— Gretchen, najdroższa..

— Słuchaj — rzuciła. — Odczep się. Raz na zawsze. Rozumiesz?

— Właśnie chcę zrozumieć. Co się stało?

— Nikt nie powinien zobaczyć, że rozmawiam z tobą — powiedziała i patrząc prosto przed siebie szła dalej równie żwawym krokiem. — Teraz jasne? Daj mi spokój. Miło spędziłeś czas w Berlinie. Urlop kończysz za dwa dni. Wróć do Francji. Zapomnij.

— Nie mogę. Nie mogę! Muszę z tobą pomówić. Gdzie zechcesz. Kiedy zechcesz.

— Po drugiej stronie ulicy dwaj mężczyźni wyszli ze sklepu i szybko ruszyli równoległym chodnikiem w tym samym co i oni kierunku.

— Dobrze—ustąpiła pani Hardenburg. — U mnie. Dziś o jedenastej. Nie frontem. Na kuchenne schody wchodzi się z bocznej uliczki przez suterенę. Drzwi zastaniesz otwarte. Będę w domu.

— Cudownie — wyjąkał Christian. — Dziękuję, Gretchen, i na pewno przyjdę.

— Odejdź wreszcie.

Zatrzymał się i patrzył na żonę Hardenburga. Oddalała się nie odwracając głowy, a płaszcz z paskiem i gumowe buty podkreślały młodą sprężystość jej nerwowego kroku. Kiedy zniknęła. Diestl powłókł się do pensjonatu Nie zdejmując munduru upadł na łóżko i usiłował zasnąć.

O jedenastej wdrapał się na ciemne kuchenne schody. Gretchen pisała coś przy stole. Jej plecy okryte wełnianą zieloną suknią były zdumiewająco sztywne. Nie obejrzała się nawet, kiedy Christian wszedł do pokoju.

„Mój Boże! — pomyślał. — Jak gdybym widział porucznika!”

Cicho stanął za krzesłem i wdychając zapach perfumowanych włosów pocałował Gretchen w tył głowy.

Przestała pisać, odwróciła się na krzesło. Twarz miała chłodną, skupioną.

— Trzeba mnie było uprzedzić — powiedziała.

— O czym? — zapytał.

— Mogłeś wciągnąć mnie w straszne nieszczęście.

Christian usiadł ciężko.

— Co złego zrobiłem?

— To nieuczciwe — ciągnęła — narażać mnie na to wszystko.

— Na co? — zapytał podniesionym głosem. — O czym mówisz, kobieto!

— Nie krzycz! — syknęła. — Bóg wie, kto podsłuchuje.

— Chciałbym się dowiedzieć —'podjął ciszej Christian — co się właściwie dzieje?

— Wczoraj po południu — odparła Gretchen stając naprzeciwko niego — był u mnie w biurze ktoś z gestapo.

— I co?

— A trochę wcześniej generał Ulrich miał podobną wizytę — do-
dała znaczącym tonem.

Diestl bezradnie rozłożył ręce.

— Któż to, u Boga Ojca, ten generał Ulrich?

— Mój przyjaciel, bardzo bliski przyjaciel. Dzięki tobie wpadł
zapewne w ładną kabałę!

— Jak żyję nie widziałem generała Ulricha! — wybuchnął znowu
Christian.

— Panuj nad głosem!

Gretchen podeszła do kredensu, nalala sobie pół szklanki koniaku.
Nie pomyślała jakoś o poczęstowaniu gościa.

— Jestem idiotką, że w ogóle pozwoliłam ci przyjść.

— Ale co generał Ulrich ma ze mną wspólnego? — zapytał Diestl.

Pani Hardenburg pociągnęła długi łyk i podjęła tonem wyjaś-
nienia:

— Generał Ulrich to właśnie mój przyjaciel, który starał się
o twoją nominację oficerską i przydział w sztabie generalnym.

— I co z tego?

— Ludzie z gestapo powiedzieli mi wczoraj, że jesteś podejrzany
o komunizm. Pytali także, co go z tobą łączy i z jakich przyczyn
interesuje się twoją osobą.

— Przecież ja wcale nie jestem komunistą. Już w tysiąc dziewięćset
trzydziestym siódmym roku w Austrii wstąpiłem do partii narodowo-
socjalistycznej.

— O tym gestapo wie. Wie też, że od 1932 do 1936 roku należałem
do Komunistycznej Partii Austrii. Wie, że zaraz po Anschlussie miał
z tobą kram naczelnik okręgu, niejaki Schwartz. Wie o twoim romansie
z Amerykanką, która w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku
żyła w Wiedniu z jakimś Żydem socjalistą.

„Gestapo! — pomyślał Christian i ciężko opadł na fotel. — Ci
ludzie potrafią być przerażająco drobiazgowi, ale i przerażająco
nieściśli!”

— W kompanii jesteś pod obserwacją — ciągnęła Gretchen. — Co
miesiąc gestapo dostaje meldunki o tobie — uśmiechnęła się cierpko.
— Chyba miło ci będzie usłyszeć, że mój mąż uważa cię za wzorowego,
inteligentnego żołnierza i gorąco poleca jako kandydata do szkoły
oficerskiej?

— Nie omieszkać podziękować panu porucznikowi przy pierwszej sposobności — odparł sucho.

— Oczywiście, nigdy nie będziesz oficerem. Nie wyślą cię nawet na front rosyjski. Jeśli twój oddział zostanie tam odkomenderowany, ciebie przeniosą gdzieś indziej.

„Labirynt, beznadziejny labirynt — pomyślał. — Katastrofa nieprawdopodobna, rozpaczliwa”.

— To wszystko — podjęła pani Hardenburg. — Naturalnie, kiedy gestapo się dowiedziało, że kobieta zatrudniona w Ministerstwie Propagandy, pozostająca w bliskich stosunkach zarówno służbowych, jak i prywatnych z osobistościami wysoko postawionymi w hierarchii wojskowej i urzędowej...

Christian zerwał się z fotela.

— Na miłość boską — powiedział. — Przestań gadać jak funkcjonariusz policji.

— Rozumiesz moją sytuację. — Po raz pierwszy jej głos zadźwięczał obronnie. — Za mniejsze winy ludzie szli do koncentracja... Kochanie! Musisz zrozumieć moją sytuację.

— Rozumiem twoją sytuację, sytuację gestapo, sytuację generała Ulricha. Wszystko to nudzi mnie na śmierć. — Postąpił ku Gretchen i stanął przed nią kipiąc niepokonanym gniewem. — Czy masz mnie za komunistę?

— To nieważne, kochanie. Grunt, że gestapo cię podejrzewa, rozumiesz? A przynajmniej sądzi, że... że nie zasługujesz na pełne zaufanie. Proszę cię, nie miej do mnie żalu — ciągnęła łagodnym, pokornym tonem. — Inna sprawa, gdybym była zwyczajną dziewczyną na jakiejś skromnej posiadce bez znaczenia... Wtedy mogłabym cię widywać, ile razy zechcę, chodzić z tobą wszędzie, gdzie mi się spodoba... Ale w istniejących warunkach to naprawdę niebezpieczne. Nie znasz sytuacji. Bardzo dawno nie byłeś w Niemczech. Nie wyobrażasz sobie, jak tajemniczo i niespodziewanie znikają ludzie za nic, za znacznie mniej niż to, co chcieliby mi przylepić... Słowo daje. Błagam cię, nie rób takiej srogiej miny...

Diestl westchnął ciężko i usiadł. Trzeba czasu, by się do tego przyzwyczaić! Poczul nagle, że nie jest między swoimi, lecz jak cudzoziemiec błąka się w ponurym, dziwnym, niebezpiecznym, kraju, gdzie każde słowo ma podwójne znaczenie, każdy krok może sprowadzić niewiadome następstwa. Pomyślał o trzech tysiącach akrów w Polsce, o stajni i polowaniach w soboty i niedziele. Uśmiechnął się

z goryczą. Żeby chociaż pozwolili mu wrócić do Tyrolu i spokojnie uczyć ludzi jazdy na nartach!

— Nie bądź taki... taki zgnębiony — powiedziała Gretchen.

— Przepraszam. Już zaczynam śpiewać wesołą piosenkę.

— Nie dręcz mnie! Przecież nic nie mogę zrobić.

— Możesz! Idź do gestapo, powiedz im wszystko. Znasz mnie.

Możesz dowieść...

— Dowieść nie mogę niczego. — Smutno pokręciła głową.

— Sam pójdę do nich. Pójdę do generała Ulricha.

— Nigdy! — syknęła jadowicie. — Zgubiłbyś mnie bez ratunku.

Mam nakazane słowem nie pisać ci o tych sprawach. Po prostu zabroniono mi widywać ciebie. Pogorszyłbyś tylko własną sytuację, a mnie naraził na Bóg wie co! Przrzeknij, że nic nie powiesz! Nigdy. Nikomu.

Była wystraszona i prawdę mówiąc, nie zawiniła w niczym.

— Przrzekam — powiedział Christian i obejmując wzrokiem pokój, który stał się ośrodkiem jego życia, dodał z bladym uśmiechem:

— No, trzeba przyznać, że urlop miałem miły.

— Tak mi strasznie przykro — szepnęła pani Hardenburg i delikatnie wzięła go w ramiona. — Nie musisz przecież odejść... zaraz... Uśmiechnęli się do siebie.

Ale w godzinę później Gretchen wydało się, że słyszy jakiś ruch na schodach. Kazała kochankowi wstać, ubrać się i wypuścić go kuchennymi drzwiami, którymi do niej przyszedł. Nie potrafiła przewidzieć, czy i kiedy będą się mogli jeszcze spotkać.

Christian siedział w kącie zatłoczonego przedziału. Twarz miał kamienną, obojętną, oczy przymknięte. Pociąg zmierzał do Rennes. Powietrze w wagonie było ciężkie, smrodliwe, bo na noc zamknięto i zasłonięto wszystkie okna. Żołnierze rzadko zmieniają bieliznę, rzadko mają sposobność umyć się porządnie. Tygodniami chodzą, jedzą, śpią w jednym wciąż ubraniu. Zaduch drażnił nieznośnie, targał nerwy.

„Człowiek cywilizowany — myślał Christian — nie powinien żyć w takim brudzie. Dwudziesty wiek mógłby dać chociaż tyle, żeby na każdym kroku smród nie pchał się do nosa”.

Podniósł powieki. Spojrzał na stłoczonych wokół mężczyzn. Tępe, pijackie, zaspane gęby! Takich rysów sen nie zdoła, nie przywraca im świeżości i dziecinnego wdzięku, jak to się zdarza niekiedy. Brzydkie, obrzękłe twarze sąsiadów były chytre, wystraszone, złośliwe...

„Boże — myślał Christian krzywiąc się ze wstrętem — trzeba się jakoś z tego wyrwać... — Jeszcze raz przymknął oczy. — Parę godzin i znowu Rennes, znowu porucznik Hardenburg i głupi, nieciekawy pysk Corinne, patrole, zapłakani Francuzi, wałęsający się po knajpach żołnierze... Znowu straszliwa nuda garnizonu...”

Miał ochotę stanąć na ławce, wrzeszczeć na całe gardło. Nie ma na to rady. Nie może nawet przyczynić się do wygrania czy przegrania wojny. Nie może skrócić jej ani przedłużyć bodaj o minutę. A ilekroć położy się się do łóżka, zamknie oczy, spróbuje zasnąć, zobaczy obraz Gretchen, beznadziejny, dręczący... Po tamtej ostatniej nocy nie chciała go widzieć. Przez telefon mówiła uprzejmie, chociaż niewątpliwie była wystraszona. Powiedziała, że marzy o spotkaniu, ale pewien stary przyjaciel przyjechał właśnie z Norwegii... Ach, ci starzy przyjaciele! Wracają raz po raz z Tunisu, z Reims, ze Smoleńska... zawsze obładowani kosztownymi prezentami... Trudne współzawodnictwo!

„Chociaż jest sposób! Następnym razem muszę przyjechać do Berlina obładowany forszą. Musi mnie być stać na futro, skórzaną kurtkę, patefon, na wszystko, o co się przymawiała. Oczywiście — myślał i nie podnosząc powiek słuchał turkotu wagonu, który śmierział nie domytnymi żołnierzami i sunął przez mroki francuskiej nocy. — Pogadam z Corinne. Każę jej sprowadzić szwagra. Nie będę durniem. Na drugi raz przyjadę do Berlina z pełnymi kieszeniami. Trochę benzyny, mówiła przecież Corinne, a ten facet puści w ruch trzy ciężarówki. Tak! Dostanie benzynę. Nie będzie długo czekał”.

Uśmiechnął się do siebie i nim minęło dziesięć minut, zdołał usnąć w pociągu toczącym się z wolna ku Bretanii.

Następnego dnia rano sierżant Diestl zameldował się w kancelarii. Porucznik Hardenburg był szczuplejszy, ruchliwszy niż dawniej, jak gdyby przeszedł ostatnio ostry trening. Tam i z powrotem przechadzał się sprężystym krokiem, a odpowiadając na wojskowy ukłon Christiana uśmiechnął się, jak na swoje możliwości bardzo miło.

— Dobrze spędziliście urlop? — zapytał przyjaznym, uprzejmym tonem.

- Doskonale, panie poruczniku.
- Żona pisała mi, że doręczyliście koronki.
- Tak jest, panie poruczniku.
- Dziękuję.
- Nie ma za co, panie poruczniku.

Hardenburg spojrział na Christiana z miną, jak mu się zdawało, trochę zakłopotaną.

— Aa... Czy dobrze wygląda? — zapytał.

— Pani Hardenburg wygląda na osobę w doskonałej formie — brzmiała poważna odpowiedź.

— To dobrze. Bardzo dobrze...

Nerwowym ruchem, niemal piruetem, porucznik odwrócił się w stronę mapy Afryki, która zastąpiła na ścianie mapę frontu wschodniego.

— Cieszę się naprawdę, bo moja żona zbyt serio traktuje obowiązki, lubi się przepracowywać. Cieszę się naprawdę — powtórz! niepewnie jakoś, chociaż z życiem. — No, szczęście wam dopisało, w porę wykorzystaliście urlop.

Christian milczał. Nie miał ochoty na długą towarzyską rozmowę z porucznikiem Hardenburgiem. Nie widział jeszcze Corinne, a pilno mu było pogadać z nią, kazać, żeby zaraz skomunikowała się ze szwagrem.

— Tak, tak — ciągnął oficer z zagadkowym uśmiechem. — Mieliście szczęście. Chodźcie no tu, sierżancie.

Zbliżył się do ponurego, zakratowanego okna i wyjrzał na ulicę. Sierżant Diestl stanął obok dowódcy.

— Dobrze zapamiętajcie — podjął Hardenburg szeptem — że to ściśle poufne, tajne. Właściwie nic wam nie powinienem mówić, ale długo jesteśmy razem i wiem, że mogę mieć do was zaufanie nieograniczone...

— Tak jest, panie poruczniku — wtrącił służbiście Christian.

Hardenburg przezornie rozejrzał się wokół, przybliżył jeszcze do sierżanta, spod oka zerknął na siedzącego w odległości trzydziestu stóp pisarza, jedyne osobnika znajdującego się w kancelarii.

— Stało się — powiedział triumfującym tonem. — Nareszcie! Zmieniamy miejsce postoju — zniżył głos do ledwie dosłyszalnego szeptu. — Odchodzimy do Afryki, do Korpusu Afrykańskiego — uśmiechnął się promiennie. — Za dwa tygodnie. To cudowne, prawda?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Przez te dwa tygodnie będziemy mieli pełne ręce roboty. Czekaj was harówka, sierżancie. Kapitan chciał was nawet odwołać z urlopu, ale ja byłem zdania, że odpoczynek wam posłuży, a stracony czas łatwo nadrobicie.

— Dziękuję, panie poruczniku.

— Nareszcie — westchnął Hardenburg, radośnie zacierając ręce.
— Nareszcie!

Niewidzącymi oczyma zapatrzył się w okno. Oglądał tumany kurzu podnoszone przez gąsienice czołgów na libijskich drogach. Słuchał grzmotu dział nad brzegami Morza Śródziemnego.

— A już się obawiałem, że nigdy nie zobaczę prawdziwej bitwy — powiedział dziwnie miękko, lecz w tej chwili otrząsnął się z marzeń i przemówił zwyczajnym, szorstkim tonem: — To wszystko, sierzancie. Będę was potrzebował za godzinę.

— Rozkaz, panie poruczniku!

Christian ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się i wrócił.

— Panie poruczniku.

— Co jeszcze, sierzancie?

— Melduję, że zapisałem szeregowca ze 147 batalionu saperów. Powinien być ukarany dyscyplinarnie.

— Podajcie jego nazwisko pisarzowi. Załatwię to drogą służbową.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Christian zatrzymał się przy stole pisarza i patrzył, jak ten notuje, że szeregowiec Hans Reuter był nieodpowiednio ubrany i zachowywał się w sposób niegodny żołnierza, o czym melduje sierżant Christian Diestl.

— Będzie miał kram — orzekł pisarz z miną fachowca. — Złapie z miesiąc koszarniaka.

— Na to wygląda.

Christian wyszedł z koszar policyjnych i na chwilę przystanął na chodniku. Potem zwrócił kroki w stronę domu Corinne, ale zatrzymał się w pół drogi. „Śmieszna historia — pomyślał. — Nie ma sensu gadać teraz z Corinne”.

Bez pośpiechu wracając ulicą stanął przed wąską, wysoką witryną sklepu jubilerskiego. Na wystawie pośród pierścionków z małymi brylancikami leżał ładny wisiorek: duży topaz oprawny w złoto. Christian przyjrzał mu się uważnie i pomyślał: „Podobałby się Gretchen. Ciekawe, ile kosztuje?”

W poczekalniach i długich ciemnych korytarzach, cuchnących potem i tym nieokreślonym odorem charakterystycznym dla lokali urzędowych, pełno było ledwie dorosłych chłopców i młodych mężczyzn. Wałęsali się z kąta w kąt, palili, pluli, gadali głośno chropowatym akcentem nowojorskich ulic.

— No, Wuju Samie! Prezentuje ci się Vincent Kelly — odezwał się czyjś głos, a inny rozprawił:

— Słucham ja sprawozdania z meczu piłki nożnej, a tu jakiś bubek przerywa i powiada, że Japończycy zbombardowali Hickam Field. Takem się zdenerwowałem, że nie słucham dalej i pytam żonę: „Gdzie, u diabła, jest to Hickam Field?” Wtedy przyszło mi do łba, że to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem w czasie wojny.

— Choroba! — mówi ktoś trzeci — tak czy inaczej, kiedyś cię dostaną. Mam swoje motto: „Kto pierwszy, ten lepszy.” Poprzednim razem mój stary służył w piechocie morskiej. Powiada, że naszywki czepiały się chłopaków, co pierwsi przyszedli do wojska. Tak było w tamtej wojnie. Mój stary mówi: „Wcale nie musisz być cwaniakiem. Wystarczy zgłosić się wcześniej.”

— Chętnie zobaczą te wyspy — doleciało z innej strony. — Nie znoszę Nowego Jorku w zimie. Żeby to było lato, ba! musieliby przyjść po mnie, ciągnąć na siłę. Ale co chcesz? Pracuję na świeżym powietrzu, przy instalacjach gazowych. W wojsku nie mogę trafić gorzej.

— Fajna rzecz ta wojna. Warto za nią wypić. Jedna kobietka, co u niej wczoraj byłem, mówi: „Ciarki mi chodzą po krzyżu: będą ginąć amerykańscy chłopcy.” A ja na to: „Rano idę zaciągnąć się do wojska. Chcę walczyć o demokrację, Klaro.” Ona w bek, a ja ją położyłem w jej własnej sypialni, chociaż ze ściany patrzył mąż nabity w mundur marynarski. Ostrzyłem sobie zęby przez trzy tygodnie, ale wyrzucała

mnie za drzwi, jak tylko zaczynałem brać się do niej na serio. A wczoraj w nocy była jak klatka pełna wściekłych tygrysów. Z tego patriotyzmu sprężyny w materacu potrzaskały!

— Do diabła z marynarką — powiedział ktoś. —• Wolę być gdzieś, gdzie można wygrzebać dołek w ziemi.

Noe stał pośród patriotów oczekujących na rozmowę z oficerem werbunkowym. Poprzedniego wieczora późno odprowadził Hope do domu i przeżył ciężkie chwile, kiedy wyznał jej, co zamierza zrobić. Spał źle. Śniło mu się jak nieraz, że jacyś ludzie ustawiają go pod murem i rozstrzelują z karabinu maszynowego. Wstał po ciemku, żeby wcześniej zdążyć na Whitehall Street, wyprzedzić tłumy, które (jak przewidywał) na pewno tam ściągną. Obecnie, spoglądając dokoła, dziwił się, że tylu ludzi uniknęło dotychczas komisji rekrutacyjnych. Był zbyt zmęczony, żeby snuć głębsze rozważania. Przed napaścią japońską starał się nie myśleć o wojsku, lecz wrażliwe sumienie zadecydowało niemal wbrew jego woli. Jeżeli wojna wybuchnie, Noe nie będzie dłużej zwlekał. Jako uczciwy obywatel, wierzący w szlachetne cele wojny, jako wróg faszyzmu, jako Żyd... Żałośnie kiwnął głową. Wciąż wraca do kwestii, która z tym wszystkim nie powinna mieć nic wspólnego. Przecież otaczający go chłopcy przeważnie nie są Żydami. Mimo to przyszli tu w zimowy ranek o *pół* do siódmej, gotowi na śmierć już drugiego dnia wojny. Na pewno są więcej warci niż ich słowa'. Szorstkie, cyniczne żarty to maska okrywająca wstydliwie głębinę prawdziwych uczuć, które przywiodły tu tych ludzi. A więc, jako Amerykanin!... Noe nie chciał w tej chwili znaleźć się w żadnej specjalnej kategorii. Spróbuje się postarać o wysłanie na Ocean Spokojny, nie przeciwno Niemcom. Dowiedzie w ten sposób, że nie dlatego, iż jest Żydem... „Brednie! — pomyślał. — Pójdę tam, gdzie mnie pošlą.”

Otworzyły się drzwi. Tlusty sierżant z obrzękłą od piwa twarzą wyszedł na korytarz i zawołał opryskliwie:

— Spokój, chłopcy! Spokój! Nie plujcie na podłogę, bo to własność rządowa. I nie pchajcie się, bo wszyscy zdążą. W wojsku jest miejsce dla każdego. Pełno miejsca. Wchodzić pojedynczo, tymi drzwiami. Wszystkich wezwę kolejno. A butelki wyrzucić na dwór. Ten budynek należy do armii Stanów Zjednoczonych.

Noe stracił cały dzień. Na Wyspę Gubernatorską wysłano go wojskowym promem noszącym nazwisko jakiegoś generała. Z sinym nosem stał na zatłoczonym pokładzie i obserwował sennie ruch na brudnych wodach portu. Zastanawiał się od niechcenia, za co general

dostał tego mikroskopijnego zaszczytu? Jakiego tajemniczego bohaterstwa dokonał w swoim czasie lub komu pochlebił w porę? Wyspa roila się od żołnierzy. Mieli posępne miny i uzbrojeni byli tak, jak gdyby lada chwila oczekiwali desantu japońskiej piechoty morskiej.

Noe obiecał Hope, że w ciągu dnia postara się zatelefonować do jej biura, nie chciał jednak utracić miejsca w kolejce sunącej wolno przed znudzonymi, rozdrażnionymi lekarzami.

— Jezu Chryste! — westchnął najbliższy sąsiad Noego, mierząc wzrokiem szereg kandydatów do laurów wojennych, szereg nagich ciał, koślawych albo zapasionych. — Takie coś ma bronić ojczyzny? Jezu Chryste, przegraliśmy wojnę!

Noe uśmiechnął się marsowo i wyprostował łopatkę. Dyskretnie zaczął robić porównania między sobą a innymi nagusami. Spozrzegł kilku silnych mężczyzn — zapewne graczy w piłkę nożną — i jakiegoś olbrzyma z wytatuowanym na piersiach okrętem pod pełnymi żaglami. Na ogół wszakże był zadowolony, bo porównania wypadły na jego korzyść. Ostatnimi czasy zaczął interesować się własnym ciałem. „Mam nadzieję, że w wojsku nabiorę jeszcze lepszej kondycji fizycznej. Hope będzie kontenta — pomyślał czekając na prześwietlenie płuc. — Trzeba przyznać — dodał z uśmiechem — że wojna z imperium japońskim to dosyć oryginalna, pośrednia recepta na poprawę formy.”

Lekarze mało się nim interesowali. Wzrok miał normalny. Nie cierpiał na hemoroidy, płaską stopę, przepuklinę, gonoreę, lues ani epilepsję. Półtoraminutowa rozmowa z psychiatrą wystarczyła, aby stwierdzić, że pod względem umysłowym odpowiada wymaganiom nowoczesnej wojny. Stawy funkcjonowały ku zadowoleniu chirurga, zgryz zapewniał prawidłowe żucie wojskowego jadła, a na skórze nie było nigdzie widocznych blizn i obrażeń.

Noe, zadowolony, iż wreszcie okrywa nagość, wciągnął spiesznie ubranie. Przyszło mu do głowy, że jutro może to już być mundur. Później zajął miejsce w kolejce defilującej wolno przed chudym, zafrasowanym lekarzem wojskowym, który siedział za jasnym biurkiem i na formularzach z wynikami badań stawiał stemple: „I A”, „Służba pozafrontowa” i „Niezdolny”.

„Ciekawe — pomyślał Noe, kiedy doktor pochylał się nad jego formularzem — czy wyślą mnie do jakiego obozu pod Nowym Jorkiem? Mógłbym widywać Hope w wolne dni...”

Lekarz wybrał jedną z pieczętek. Kilkakrotnie uderzył nią w poduszkę tuszową, później raz w arkusz i podesunął formularz Noemu.

Noe zerknął w dół. Na formularzu widniały zamazane czerwone litery: „Niezdolny.” Przymknął i otworzył oczy, powtórnie zerknął i znowu przeczytał: „Niezdolny.”

— Dlaczego?... — zaczął.

Lekarz spojrział na niego nie bez sympatii.

— Płuca, synu — powiedział. — Prześwietlenie wykazuje zaciemnienia na obydwóch płatach. Kiedy chorowaliście na gruźlicę?

— Nigdy nie chorowałem.

Doktor wzruszył ramionami.

— Współczuję wam. Następny.

Noe wyszedł powoli z budynku. Był wieczór. Przejmujący, prawdziwie grudniowy wicher dął z portu i omiatał stare fortyfikacje, koszary, place alarmowe, zapewniające miastu obronę od strony morza. Za ciemną, szeroko rozlaną wodą Nowy Jork połyskiwał milionami świateł. Coraz nowi rezerwiści i ochotnicy schodzili oddziałkami z promów i sunęli ku czekającym lekarzom i czerwonemu stemplowi, co decydował o przyszłości.

Noe wzdrygnął się, postawił kolnierz płaszcza. W rękę trzymał szarpany wiatrem formularz z wynikami badań. Był zgnębiony, niepotrzebny, jak uczeń z internatu pozostawiony sam w pustych sypialniach w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy koledzy obchodzą święta w domach rodzinnych. Wsunął dłoń pod koszulę, dotknął gołej skóry, wymacał żebra. Jego klatka piersiowa wydawała się mocna, godna zaufania nawet teraz, kiedy chłodził ją wiatr wdzierający się pod rozpiętą odzież. Spróbował kaszlnąć. Nie! Stanowczo był silny i zdrowy.

Bez pośpiechu ruszy! w stronę promu i na kładce minął uzbrojonego w karabin żandarma w zimowej czapce i nausznikach. Prom nazwany na cześć dawno zmarłego generała odbił od brzegu i prawie pusty sunął przez czarną wodę.

„Wszyscy płyną w przeciwną stronę” — pomyślał z goryczą Noe.

Hope nie było w domu. Wuj siedział w kuchni i, jak zawsze, czytał Pismo święte. Spod oka spojrział nieżyczliwie na Noego, bo od początku go nie lubił.

— Pan tutaj? — rzucił. — Myślałem, że do tej pory został pan już pułkownikiem.

— Mogę poczekać na Hope?

— Bardzo proszę—odparł wuj znad książki otwartej na Ewangelii Św. Łukasza i podrapał się pod pachą. — Chociaż nie mam pojęcia, kiedy ona wróci. Ostatnio, jak pisałem zresztą do jej rodziny w Ver-

mont, hołduje coraz gorszym obyczajom. Nie robią na niej wrażenia Bóg wie jak późne godziny. Widzi pan — uśmiechnął się złośliwie do Noego — teraz jej kawaler idzie do wojska albo przynajmniej Hope wyobraża sobie, że idzie. Pewno dziewczyna rozpoznaje jakiś nowy teren. Mam rację? Jak się panu zdaje?

Na płycie kuchennej grzał się garneczek z kawą, a przed wujem stała do połowy wypita filiżanka. Silny zapach dręczył Noego, który od południa nie miał nic w ustach. Ale gospodarz nie robił żadnych propozycji, a gość wstydził się prosić, wyszedł więc do bawialni, gdzie zajął fotel kryty pluszem i ozdobiony tanim bieżnikiem.

Noe miał za sobą ciężki, długi dzień, a twarz paliła go od wiatru i chłodu, toteż zasnął w pozycji siedzącej. Nie słyszał, jak wuj szura nogami w kuchni, przesuwa z brzękiem filiżanki lub od czasu do czasu czyta Biblię nosowym, skrzeczącym głosem. Obudził go dopiero zgrzyt furtki od ulicy, jeden z dobrze znanych dźwięków świata, w którym żył ostatnio. Noe otworzył oczy, przymknął, otworzył znowu i podniósł się z fotela w chwili, kiedy Hope przestąpiła próg. Weszła ciężkim, zmęczonym krokiem i stanęła jak wryta, gdy zobaczyła, że on stoi na środku bawialni. Później podbiegła szybko, przytuliła się do niego.

— Co tutaj robisz? — zapytała.

Wuj trzasnęła mocno drzwiami z bawialni do kuchni. Nie zwrócili uwagi na ten hałas. Noe przyglądał włosy, potarł ręką policzek.

— Przez cały czas byłam u ciebie — podjęła dziewczyna. — Przeglądałam rozmaite rzeczy. Porządkowałam. Nie przyszedłeś od rana. Dlaczego? Co się stało?

— Nie wezmą mnie:— odpowiedział. — Mam blizny na płucach. Gruźlica.

— Boże Wszechmogący! — jęknęła Hope.

Terkotanie ręcznej kosiarki obudziło Michaela. Przez chwilę leżał w obcym łóżku, wdychał zapach kalifornijskiej trawy i przypominał sobie, gdzie jest i co się wydarzyło dnia poprzedniego. Wczoraj po południu autor scenariuszy filmowych powiedział stojąc nad brzegiem własnego basenu pływackiego w Palm Springs: „Myślę, że dziesięciu bubków siedzi w tej chwili w domu i próbuje to opisać.” Kamerdyner wniósł tacę do ogrodu i nalewając herbatę pytał: „Cytryna czy śmietanka?” Potem przyszła dziewięcioletnia dziewczynka z lalką na rękach. „Tatusiu, nastaw radio — poprosiła. — Nie mogę złapać nic śmiesznego. Ten pan mówi ciągle o Pearl Harbor. Tatusiu, czy Pearl Harbor jest niedaleko domku babuni?” Przechyliła lalkę, a lalka powiedziała: „Ma-ma.”

„Głupie to, ale prawdziwe — pomyślał Michael. — Wielkie wydarzenia dają o sobie znać w sposób pośredni, z drugiej ręki. Klęski na światową skalę wkraczają w tok codziennego życia banalnie i po kabotyrysku. Często zdarza się to w niedzielę, kiedy ludzie wypoczywają po sutym świątecznym obiedzie, kiedy wychodzą z kościołów, gdzie pokornym mamrotaniem naprzykrzali się Bogu o pokój. Wróg chce widocznie dowieść, że można bezlitośnie drwić z chrześcijańskiego świata. Dlatego z przewrotną uciechą na swoje najokrutniejsze, najdziksze popisy wybiera dzień boży — po sobotniej pijatyce i rozpuście, po uświęconych modlitwach porannych i sodzie na niestrawność...”

Poprzedniego dnia Michael grał w tenisa pod promieniami palącego słońca. Partnerami jego byli dwaj żołnierze stacjonujący w March Field. Nagle jakaś kobieta wyszła z klubowego budynku i zawołała: „Chodźcie lepiej do radia! Strasznie dziś trzaska, ale usłyszałam piąte przez dziesiąte, że nas Japończycy zaatakowali!” Żołnierze spojrzeli po

sobie, odłożyli rakiety i poszli pakować rzeczy. Chcieli niezwłocznie wracać do March Field. Bał przed bitwą pod Waterloo! Dziarsę młodzi oficerowie tańczą walca, na pożegnanie całują wydekoltowane damy i wśród tętentu koni, szczęku szabel, w wirze targanych wiatrem peleryn galopują na spienionych koniach w mroki flandryjskiej nocy, pod ogień dział, które zagrały przed wiekiem. Zapewne i tamto było szmirą, ale urosło dzięki Byronowi. Jak poradziłby sobie Byron z poranieniem w Honolulu i z tym drugim, następnego dnia w Beverly Hills?

Michael miał zamiar zostać jeszcze trzy dni w Palm Springs, ale po przerwanej partii tenisa uregulował rachunki i co tchu wrócił do Hollywood. Nie było oczywiście wiru targanych wiatrem peleryn ani spienionych koni, tylko ford z daszkiem opuszczanym za poціśnięciem guzika. Michael nie jechał w bój, ale do wynajętego na tydzień parterowego domku z widokiem na basen pływacki.

Kosiarka hałasowała za oszklonymi drzwiami wiodącymi na niewielki trawnik. Michael obrócił się na drugi bok, spojrzał na maszynę i ogrodnika. Był to pięćdziesięcioletni Japończyk, chudy i przygarbiony od ciągłego schylania się nad cudzymi trawnikami czy grzędami kwiatów. Miarowo dreptał za kosiarką. Jego cienkie żylaste ręce opierały się na uchwytach.

Whitacre nie mógł powstrzymać uśmiechu. Straszna rzecz! Wczoraj japońskie lotnictwo morskie obrzuciło bombami flotę Stanów Zjednoczonych, a dziś on budzi się i widzi, że naciera na niego pięćdziesięcioletni Japończyk uzbrojony w ręczną kosiarkę. Spojrzał uważnie i przestał się uśmiechać. Ogrodnik miał skupiony, posępny wyraz twarzy, jak gdyby cierpiał na przewlekłą chorobę. Michael pamiętał, że przed tygodniem ten sam człowiek kręcił się po ogrodzie z pogodną, przyjacielską miną, a nawet raz nucił coś melancholijnie, kiedy oczyszczał ze zwiedłych kwiatów oleandry rosnące pod oknami.

Michael wstał z łóżka. Zapinając guziki pidżamy podszedł do oszklonych drzwi. Jasny, złocisty ranek pachniał rześwym chłodem, który w południowej Kalifornii stanowi namiastkę zimy. Trawniki były bardzo zielone, a rosnące na jego skrajach niskie dalie, żółte i purpurowe, wyglądały jak rzędy błyszczących guzików. Same wyraźnie proste linie. Widocznie ogrodnik hołduje obowiązującym na Wschodzie surowym zasadom rysunku.

— Dzień dobry — odezwał się Michael.

Nie wiedział, jak się ten człowiek nazywa. W ogóle nie miał pamięci do japońskich nazwisk. A, prawda! Sessue Hayakawa, dawny gwiazdor filmowy. Ciekawe, co dziś porabia stary, poczciwy Sessue Hayakawa?

Ogrodnik zatrzymał kosiarkę i budząc się z ponurych marzeń patrzył na Michaela.

— Słucham, proszę pana? — bąknął wreszcie suchym, skrzeczącym głosem, bez tonu życzliwości.

Małe, czarne' oczki oprawione w sieć brunatnych zmarszczek spoglądały błagalnie i smutno. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Michael. Chciał zachować się kulturalnie, powiedzieć coś miłego podstarzałemu, zapracowanemu emigrantowi, który z dnia na dzień znalazł się w nieprzyjacielskim kraju, obarczony winą za zdradziecką napaść o trzy tysiące mil stąd.

— Żle się stało — podjął Michael. — Bardzo źle, prawda?

Ogrodnik patrzył tępo, jak gdyby nie rozumiał.

— Mówię o tej wojnie — wyjaśnił Michael.

Japończyk wzruszył ramionami.

— Wcale nie źle — powiedział. — Każdy mówi: „Przeklęta Japonia. Podła Japonia”. Ale wcale nie źle. Dawniej Anglia chce, Anglia bierze. Ameryka chce, Ameryka bierze. Teraz Japonia chce... — Zimno, wyzywająco spojrzawszy Michaelowi w oczy. — Japonia bierze.

Odwrócił się, skierował kosiarkę w przeciwną stronę i wolno ruszył trawnikiem. Krótkie źdźbła trawy opryskiwały mu łydki jak pachnąca zielona piana. Michael przyglądał się przez chwilę Japończykowi: pokornie zgięty grzbiet, nadspodziewanie krzepkie nogi w podartych szortach, gołe powyżej kolan, pomarszczona, spieczona słońcem szyja nad bezbarwną od potu koszulą. Czy lojalny obywatel nie powinien meldować władzom o tego rodzaju wypowiedziach, zwłaszcza w czasie wojny? Może ten stary ogrodnik w lachmanach jest naprawdę komandorem japońskiej marynarki? Może czeka podstępnie, aż cesarskie okręty staną na redzie San Pedro Harbor i dopiero wtedy odkryje karty? Michael uśmiechnął się cierpko. Ach, te filmy! Nowoczesny umysł nie potrafi wyzwolić się z ich kleszczy!

Whitacre zamknął oszklone drzwi i poszedł się ogolić, a w czasie tego zabiegu myślał, co teraz będzie robił. Przyjechał do Kalifornii z Thomasem Cahoonem i miał z nim pracować nad wystawieniem nowej sztuki. W planie były również rozmowy o zmianach tekstu z autorem Miltonem Sleeperem, który swojej sztuce mógł poświęcać tylko wieczory, bo za dnia pisywał scenariusze dla wytwórni filmowej Warner Brothers,

— Artystom wyśmienicie się dzieje w dwudziestym wieku — drwił jadawicie Cahoon. — Goethe mógł pracować w dzień nad utworem

scenicznym. Tak samo Czechow lub Ibsen. Ale Milton Sleeper ma do dyspozycji jedynie noce.

„Człowiek powinien czuć się jak zgalwanizowany, kiedy jego ojczyzna zaczyna wojować – myślał Michael skrobiąc się po twarzy. – Powinien zdobyć się na wielki, szaleńczy czyn: chwycić karabin, pobiec na pokład okrętu wojennego, zająć miejsce w bombowcu ruszającym w lot długości pięciu tysięcy mil, na spadochronie zeskoczyć do stolicy wroga...”

Ale Cahoon potrzebował Michaela, żeby wystawić sztukę, a Michael (co tu ukrywać) bardzo potrzebował pieniędzy. Gdyby z miejsca zaciągnął się do wojska, jego rodzice zapewne umarliby z głodu. No, i były przecie alimenty Laury... Tym razem Cahoon miał płacić reżyserowi fiie tylko pensję, ale i tantiemy – oczywiście niskie tantiemy. Znaczyło to jednak, że pieniądze będą wpływać przez rok lub dwa lata, jeżeli sztuka zyska powodzenie. Wojna nie potrwa pewnie długo, a więc tantiemy mogą ją przeżyć. Jeżeli zaś sztuka okaże się wielkim szlagierem, jak *Irlandzka róża* lub *Droga tytoniowa* – wojna może trwać nieskończenie długo! Chociaż to straszne pomyśleć, że wojna nie zejdzie z afisza przez tyle lat co *Droga tytoniowa!*

Whitacre bardzo żałował, że w danej chwili nie ma pieniędzy. Jakby to było ładnie: usłyszeć przez radio groźną wiadomość i zaraz zgłosić się ochotniczo w najbliższym oddziale wojskowym! Taki szlachetny, spontaniczny gest można z dumą wspominać do końca życia. Ale Michael miał w banku ledwie sześćset dolarów, a władze skarbowe nękały go o podatek dochodowy za rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. No i Laura... Podczas sprawy rozwodowej dowiodła niesłychanej chciwości. Ma dostawać po osiemdziesiąt dolarów tygodniowo aż do śmierci, jeżeli naturalnie nie wyjdzie drugi raz za mąż. Ciekawe, co się dzieje z alimentami, kiedy człowiek wstępuje do wojska? Zapewne leży skurczony w okopach gdzieś na azjatyckim froncie, a tu żandarm dotyka jego ramienia i mówi: „Pójdźcie ze mną. Szukamy was od dawna.” Whitacre przypomniał sobie zdarzenie z poprzedniej wojny, o którym słyszał od znajomego Anglika. Ów Anglik był nad Sommą i trzeciego dnia bitwy, kiedy z kompanii zostało kilku ludzi i znikąd nie można się było spodziewać pomocy czy ulgi, dostał list z kraju. Bliski leż drżącymi rękami rozdarł kopertę i przeczytał monit urzędu skarbowego: „Kilkakrotnie zwracaliśmy się do pana w sprawie uregulowania zaległego podatku dochodowego za tysiąc dziewięćset cztertnasty rok w kwocie trzynastu funtów i siedmiu szylingów. Nadmieniamy, że jest to ostatnie upo-

mnienie i w razie nieotrzymania odpowiedzi będziemy zmuszeni wszcząć kroki egzekucyjne." Człowiek unurzany w błocie, wychudły, obdarty, ogłuchły od huków dział, jeden z niewielu ocalałych, napisał w poprzek oficjalnego listu: „Przyjdźcie i weźcie. Ministerstwo Wojny chętnie poda mój adres."

Ubierając się Michael próbował myśleć o czym innym. Przecież to dzieło historyczne, decydujące, a on, trochę mętny po wczorajszej nerwowej pijatyce, siedzi w przeladowanej różowościami i aksamitem wynajętej sypialni, urządzonej w stylu hollywoodzkiego domu publicznego. Trapi się kłopotami finansowymi niby kasjer, co wziął z szuflady pięćdziesiąt dolarów i myśli, skąd je zwrócić, zanim przyjdzie kontrola. To poniżające, haniebne! W Honolulu żołnierze przy działach mają na pewno większe trudności finansowe, dziś jednak nie zaprzatają sobie nimi głowy. Tak czy inaczej, niepodobna zaraz wstąpić do wojska. Zabawna historia: patriotyzm, podobnie jak inne szlachetne uczucia i postęпки, znacznie łatwiej przychodzi ludziom mającym.

Kończąc toaletę Michael usłyszał, że Murzyn, który zajmował się sprzątnięciem domu, otwiera kredens i pobrzękuje butelkami w sąsiednim pokoju. „Tego przynajmniej wojna nie zmieniła — pomyślał. «— Tak samo kradnie dżin."

Zawiązał krawat i wszedł do bawialni. Służący czyścił dywan. Stał na środku pokoju, gapił się w sufit i bez sensu przesuwiał szczotkę elektrycznego odkurzacza to w tę, to w tamtą stronę. Ruchy miał nieskoordynowane, wahadłowe. W powietrzu unosił się silny zapach alkoholu.

— Dzień dobry, Bruce — zagadnął przyjaźnie Michael. — Jak się czujesz?

— Dzień dobry, panie Whitacre — odpowiedział Murzyn. — Jak zawsze. Zupełnie tak samo jak zawsze.

— Nie wybierasz się do wojska?

— Kto? Ja? — Przestał czyścić dywan i zaprzeczył żywym ruchem głowy. — To nie dla stary Bruce. Ludzie teraz mówią: „Zaciągnij się, bracie." Ale Bruce się nie zaciągnie. Za stary. Ma za dużo reumatyzm, tryper. Nie zaciągnie się, panie Whitacre. Mógłby być młody jak żreback i silny jak lew ryczący, a i tak by się nie zaciągnął. Nie w ta wojna, panie Whitacre. Może w druga, nie w ta.

Michael odstaąpił krok i z niepewną miną spojrzął na Bruce'a, który zatoczył się w jego stronę i zionął zapachem dżinu. W towarzystwie Murzynów był zawsze onieśmielony, czuł się jak gdyby winowajcą.

Swobodny, naturalny ton w rozmowach z czarnymi przekraczał jego możliwości.

— Nie, panie Whitacre — ciągnął Bruce, stojący na niepewnych nogach. — Ta wojna nie dla mnie, wcale nie dla mnie. Chociażby stary Bruce dostał strzelbę ze srebra i szczerozłote ostrogi, nie przyłoży ręką do zabijania bliźnich w ta wojna. Ta wojna jest wojna nieprawych, jak pisze w Księga Proroków.

Michael pomyślał, że w tak wyjątkowych okolicznościach człowiek winien dyskutować z sąsiadami. Przez chwilę szukał prostego zdania, aby łatwo przebić opary dżinu.

— Pomyśl, Bruce — odezwał się wreszcie. — Wrogowie zabijają Amerykanów.

— Może i zabijają. Stary Bruce nie widział na własne oczy. Nie wie na pewno. Tylko czytał w gazety. Może wrogowie zabijają Amerykanów. Ale może zostali sprowokowane. Może chcieli wejść do hotel, a biali ludzie powiedzieli, że to hotel nie dla żółte ludzie. Wtedy żółte ludzie pogadali ze sobą i powiedzieli: „Biali ludzie nie wpuszczają nas do hotel, trzeba zabrać hotel.” Nie, panie Whitacre... — Dwukrotnie przesunął szybko szczotkę odkurzacza, później zatrzymał się i stanął oparty na niej. — Ta wojna nie dla stary Bruce. Stary Bruce czeka na druga wojna. Druga wojna będzie niedługo.

— Kiedy, Bruce? — zapytał Michael.

— W tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt szósty rok — odpowiedział bez wahania. — Wojna narodów. Wojna ras. Kolorowy przeciwko biały. — Nabożnie spojrzął w sufit zapijaczonymi oczami. — W pierwszy dzień tamta wojna stary Bruce pójdzie do biuro rekrutacyjne i powie do czarny generał: „Generale, niech ci służy moje silne ramię.”

„Kalifornia — pomyślał nedorzecznie Michael. — Spotyka się tu tylko takich ludzi.” Wyszedł z bawialni i z domu, a Bruce pograżył się w milczącej zadumie i oparty na szczotce stał na środku pokoju.

Po przeciwnej stronie ulicy był nie zabudowany plac wznoszący się stromo nad jezdnią i sąsiednimi działkami. Stały tam dwa samochody wojskowe i działko przeciwlotnicze. Żołnierze w hełmach żywo okopywali stanowisko. Działko spoglądało w niebo długą lufą o zakapurturzonym wylocie, a wojacy zachowywali się tak, jak gdyby byli już pod ogniem. Michaelowi wydało się to komiczne, nie na czasie.

„Oglądam jeszcze jedno lokalne, kalifornijskie zjawisko — pomyślał. — Trudno sobie wyobrazić, by gdziekolwiek indziej armia posuwała się do przedstawień aż tak melodramatycznych.”

Armaty i żołnierze wydawali mu się — podobnie jak wielu Amerykanom — nudnymi, nie związanymi z realnym życiem zabawkami dla dorosłych. Działo przeciwlotnicze znalazło się między sznurem z poniedziałkowym praniem jakiejś kobiety (wisiały tam biustonosze, jedwabne pończochy i różowe majteczki) a kuchennymi drzwiami willi w hiszpańskim stylu, na której schodkach stały jeszcze butelki z porannym mlekiem.

Whitacre szedł w stronę bulwaru Wilshire, do drogerii, gdzie zwykle jadał śniadanie. W narożnym domu był bank, a przed jego drzwiami długa kolejka czekała na otwarcie. Młody policjant utrzymujący porządek powtarza! raz po raz:

— Proszę się nie pchać, panie i panowie. Każdy pilnuje swego miejsca. Nie ma się czym przejmować. Wszyscy odbiorą pieniądze.

— Co się tu dzieje? — zagadnął Michael przedstawiciela władzy. Młody człowiek spojrział na niego nieżyczliwie.

— Na koniec kolejki, proszę pana — rzucił wskazując ręką właściwy kierunek.

— Nie chcę dostać się do środka — powiedział Whitacre. — Nie mam pieniędzy w tym banku ani w żadnym innym — dodał beztrasko.

Policjant odpowiedział uśmiechem, jak gdyby to przyznanie się do ubóstwa zadzierzgnęło między nimi nagły węzeł przyjaźni.

— Pilno im — powiedział wskazując głową ludzi czekających przed drzwiami. — Chcą się dorwać do forsy, nim bomby spadną na skarbiec.

Michael zerknął na długą kolejkę. Odpowiedziały mu nieprzyjazne spojrzenia, jak gdyby klienci banku sądzili, że nieznajomy spiskuje z policjantem i knuje coś przeciwko ich kontom. Wszyscy byli dobrze ubrani. Znajdowało się między nimi wiele kobiet.

— Więcej na wschód — mówił policjant szyderczym, scenicznym szeptem. — Podejmą forszę i zaraz jazda na wschód. Słyszałem — ciągnął podniesionym głosem, bo chciał, żeby wszyscy go usłyszeli — że w Santa Barbara wylądowali Japończycy. Dziesięć dywizji! Podobno naczelne dowództwo japońskie zacznie od jutra urzędować w Banku Amerykańskim.

— O tej gadaninie doniosę władzom. Zobacz pan! — syknęła poważna dama w średnim wieku, ubrana w różową suknię i błękitny słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

— Bardzo proszę, łaskawa pani — odrzekł policjant. — Nazywam się Mac Carty.

Whitacre uśmiechnął się i ruszył w stronę drogerii. Ale nie spieszył się na śniadanie. Wolno szedł ulicą i patrzył na wystawy sklepów. Na wielu szybach ponaklejano już na krzyż paski papieru, co miało zabezpieczać przeciwko wstrząsom.

„Bogacze — dumal — bardziej boją się katastrofy niż zwykli śmiertelnicy. Mają więcej do stracenia, więc umykają szybciej. Człowiek ubogi nie pomyślałby nigdy o wyjeździe z Kalifornii, tylko dlatego że gdzieś na Oceanie Spokojnym jest wojna. To nie patriotyzm ani siła ducha. Po prostu golca nie stać na ucieczkę. I jeszcze jedno: bogacze przywykli płacić za ciężką pracę, najmować innych do brudnej roboty. A przecież wojna jest najcięższą pracą i najbrudniejszą z brudnych robót.” Przypomniał sobie ogrodnika zamieszkałego w Stanach od lat czterdziestu, starego Bruce'a pijanego dżinem i prococtwami; nienawistne, świdrujące spojrzenia dam z kolejki przed bankiem... A następnie zobaczył siebie w chwili, kiedy siedząc na skraju różowego łóżka martwił się o podatek i alimenty. „Czy takich ludzi — myślał — powołało do wielkości dzieło Jeffersona i Franklina? Czy to farmerzy, myśliwi, rzemieślnicy, którzy zbiegli się z pustkowi pijani szalem sprawiedliwości i swobody? Tak wygląda świat olbrzymów opiewany przez Whitmana!”

Wszedł do drogerii. Zamówił sok pomarańczowy, grzanki i kawę.

Z Cahoonem spotkał się o pierwszej w południe w głośniejszej restauracji w Beverly Hills. Obszerna, ciemna sala była ozdobiona rzeźbami, na których stylu wycisnęły piętno filmowe dekoracje wnętrza.

„Wygląda to jak łazienka przystrojona przez ekspedientkę od Woolwortha dla bałkańskiej królowej” — pomyślał Michael. '

Stał przy barze i rozglądał się po tłumie cywilów, w którym rzucił się w oczy jedyny mundur na wysokim sierzancie piechoty. Podobał mu się ten obraz. Życzliwym wzrokiem spojrzął na opalonych, tłustych jegomościów w tweedowych marynarkach i na wypielęgowane, urodziwe panie w zabójczych kapeluszach, na tę publiczność, co siedząc przy stolikach taksowała wzrokiem każdą nowo przybyłą osobę. W restauracji panowała świąteczna, podniosła atmosfera. Ludzie klepali się po ramionach, mówili głośniejsz niż zwykle, wzajemnie stawiali sobie kolejki. Michaelowi przypominało to popołudniowy cocktail w wytwornych nowojorskich barach w wigilię Nowego Roku, kiedy to wszyscy wyczekują z utęsknieniem nocy poświęconej pięknym nadziejom i zabawie.

Krążyły już plotki i anegdoty o wojnie. Słynny dyrektor wałęsał się po sali i z grobową miną szeptał, że wolałby nie rozgłaszać hiobowych

wieści, ale „na Oceanie Spokojnym nie mieliśmy ani jednego okrętu, a Japończycy przyłapali naszą flotę o trzysta mil od wybrzeży Oregonu”. Pewien literat słyszał we fryzjerni Metro Goldwyn Mayer, jak znany reżyser parskał przez mydlaną pianę: „Ach, ci mali, żółci dranie! Taki jestem na nich wściekły, że mam ochotę rzucić wszystko do diabła i zaraz... zaraz... zaraz — długo szukał odpowiedniego wyrazu dla swych zranionych uczuć, aż wreszcie znalazł i zawołał — ...i zaraz wyjechać do Waszyngtonu!” Ten kawał okrył sławą literata, który obnosił go od stolika do stolika i nim umilkły wybuchy śmiechu, odchodził przezornie szukać nowych słuchaczy.

Cahoon był spokojny, zamyślony i chociaż uparł się, że przed obiadem wypije cocktail przy barze, Michael wiedział, że dokuca mu wrzód żołądka. Nigdy dotychczas nie widział Cahoon z kieliszkiem w ręku.

Usiedli w łoży i czekali, by nadszedł Milton Sleeper, autor reżyserowanej sztuki, i Kirby Hoyt, gwiazdor filmowy, którego Cahoon miał nadzieję skłonić do przyjęcia roli.

— Najbardziej irytuje mnie w tym przeklętym mieście zwyczaj załajjwiania interesów przy obiedzie — zaczął zrzędzić Cahoon. — Nie można trzymać za ogon dwóch srok na raz.

Pharney, impresario stu pięćdziesięciu najlepiej płatnych aktorów, pisarzy i reżyserów, wkroczył do sali i rozdając uśmiechy, ściskając dłonie defilował przed szeregami łóż. Ta restauracja była jego królestwem, a pora obiadowa godziną audiencji. Whitaćre'a znał dobrze i namawiał go często, by zmienił zawód i nauczył się reżyserii filmowej, wróżąc mu wielką sławę i wielkie pieniądze.

— Dzień dobry — rzucił Pharney z obrażająco poufałym uśmiechem, który, jak się nieraz mógł przekonać, skłaniał ludzi do płacenia jego klientom więcej niż zrazu zamierzali. — No i co wy na to? — dodał takim tonem, jak gdyby wojna była imprezą troskliwie przez niego przygotowaną i stanowiącą słuszny powód dumy.

— Udała się nam wojenka — powiedział Whitacre. — Ładniejszej nie widziałem, jak żyję.

— Ile masz lat? — rzucił szorstko Pharney.

— Trzydzieści trzy.

— Mogę ci się postarać o dwa galony w marynarce wojennej. Propaganda. Rozumiesz? Radio. Odpowiada?

— Boże — westchnął Cahoon. — Nawet marynarka korzysta z usług impresariów!

Pharney wcale się nie obraził.

— Mam przyjaciela. Pełny komandor. Rozumiesz? — zwrócił się znów do Michaela. — No, jak tam? Zgoda?

— Na razie nie. Mogę wstąpić do wojska dopiero za dwa, trzy miesiące.

Pharney uśmiechnął się do dwóch olśniewających piękności z sąsiedniej łoży.

— Za trzy miesiące będziesz mógł tylko podlewać ogródki w Yokohamie!

— Prawdę mówiąc... — zaczął Michael z wahaniem, starając się o ton niebohaterski — mam zamiar iść do piechoty jako szeregowiec.

— Ach, ośle nad osłami! — zawołał impresario. — Dlaczego niby? Michael czuł się nieswojo, głupio.

— To długa historia. Opowiem ci innym razem.

— Jak chcesz. Szeregowiec w wojsku to mięso na siekane kotlety. Miele się go starannie i nie patrzy, czy ma w sobie trochę tłuszczu, czy nie ma. Zyczę laurów wojennych! — Machnął ręką i odszedł.

Dwaj aktorzy wędrowali wzdłuż baru. Głośno się śmiali i ściskali serdecznie ręce wszystkich pijaków. Cahoon przyglądał się im pośpiesznie.

— Ach, to miasto! — westchnął. — Chętnie dam japońskim władzom pięćset dolarów i dwa fotele na wszystkie moje premiery, jeżeli jutro zbombardują Hollywood. Mike — dodał po chwili nie patrząc na towarzysza — powiem teraz coś... coś bardzo samolubnego...

— Wal śmiało!

— Nie idź do wojska, póki nie uporamy się z tą sztuką. Jestem zmęczony, sam nie dam rady, a ty pomagasz mi od początku... Sleeper to straszny facet. Ale sztuka mu wyszła. Trzeba ją koniecznie wystawić.

— Bądź spokojny. Wytrzymam do końca.

Michaelowi wstyd się zrobiło, że skwapliwie korzysta ze szlachetnego pretekstu i obowiązkami przyjaźni chce odgrodzić się na czas pewien od wojny.

— Przez dwa miesiące na pewno armia obejdzie się bez ciebie — podjął Cahoon. — A zresztą, musimy wygrać tę wojnę.

Reżyser umilkł, bo Sleeper torował sobie właśnie drogę do ich łoży. Lubił ubierać się jak młody literat z farsy. Nosił ciemnoniebieskie koszule robocze i wiecznie przekrzywione na bok krawaty. Był przystojny, atletycznie zbudowany, arogancki. Przed kilkoma laty napisał dwie bojowe sztuki o klasie robotniczej.

— Do diabła—zagaił rozmowę siadając bez podania ręki — koniecznie musimy się spotykać w tej piekielnej norze?

— Spotkanie wyznaczyła twoja sekretarka—odpowiedział Cahoon.

— Moja sekretarka ma dwie ambicje: chce wkręcić jakiegoś Węgra na reżysera do Universalu i zrobić ze mnie dżentelmena. To taka dziewczyna, co wciąż powtarza, że nie podobają jej się moje koszule. Znasz ten typ, prawda?

— Mnie też nie podobają się twoje koszule •— odburknął Cahoon. — Zarabiasz dwa tysiące tygodniowo. Nie powinienes nosić takich łachów.

— Duża whisky—rzucił Sleeper kelnerowi i zaczął mówić bardzo głośno:—No, Wuj Sam kiwnął palcem w bucie. Chce nareszcie służyć zagrożonej ludzkości.

— Przerobiłeś drugą odsłonę? — zapytał reżyser.

— Na miłość boską, Cahoon! — wybuchnął autor. — Myślisz, że człowiek może pracować w takich chwilach?

— Przecież cię prosiłem — westchnął Cahoon.

— Krew zboczyła palmy! — podjął Sleeper w stylu niektórych swoich postaci scenicznych. — Krew tryska z radia! Krwią ociekają pokłady okrętów! A ten martwi się o drugą odsłonę! Ocknij się, Cahoon! To katastrofa kosmiczna! Głuchy grzmot zbiera we wnętrzu ziemi. Ludzkość wije się i krwawi w dręczącym śnie.

— Zachowaj ten ton na wielką scenę finałową.

— Cicho bądź! — Sleeper patrzył posępnie spod pięknych krzaczastych brwi. — Daj spokój głupim żartom z Broadwayu. Czas śmiechu minął. Minął na zawsze, Cahoon. Wczoraj od pierwszej bomby zginął ostatni dowcipniś. — Niespokojnie rozejrział się dokoła.

— Gdzie ten bubek?

— Hoyt uprzedził, że się trochę spóźni, ale przyjdzie na pewno . — odezwał się Michael.

— Muszę zaraz wracać do budy — oznajmił Sleeper. — Fred prosił, żeby koniecznie przyjść dziś po południu. Ma zamiar kręcić film o Honolulu. Chce obudzić naród amerykański.

— Co masz zamiar robić? — zapytał Cahoon. — Zdązysz dokończyć sztukę?

— Naturalnie. Przecież ci już mówiłem.

— Pamiętam, ale to było przed wojną: Myślałem, że zechcesz się zaciągnąć...

— Po co? Żeby pilnować jakiegoś mostu w Kansas City? — Pociągnął długi łyk whisky przyniesionej tymczasem przez kelnera.

Mundur nie dla artysty. Twórca winien podsycać płomień kultury, wyjaśniać cele wojny, umacniać ducha ludzi zmagających się ze śmiercią. Wszystko inne to sentymentalizm. W Rosji nie przyjmują artystów do wojska. Pisz, powiadają, występuj na scenie, maluj, komponuj. Ludzie przy zdrowych zmysłach nie wysyłają na front swoich skarbów narodowych. Co byś powiedział, gdyby Francuzi ozdobili Linie Maginota *Moną Lizą* i *Autoportretem* Cezanne'a? Powiedziałbyś, że oszaleli, prawda?

— Aha — przyznał Michael, bo mówca bystro spojrział na niego.

— A widzisz! — krzyknął dalej Sleeper. — Dlaczego więc zdobić okopy nowym Cezanne'em czy Leonardem da Vinci? Jezu Chryste! Nawet Niemcy trzymają artystów w kraju! Bodaj was licho! Zmęczyłem się kłótnią i nie chcę dłużej czekać na tego spóźnionego bubka. — Dokończył whisky i potoczył dokoła złym wzrokiem. — Zamawiam obiad!

— Pharney może ci się postarać o dwa galony w marynarce wojennej — powiedział Cahoon z ledwie widocznym uśmiechem.

— Ten kutwa?! — wrzasnął Sleeper. — Kramarz handlujący żywym towarem? Jaja na szynce — zwrócił się do kelnera — i szparagi. I duża whisky!

Hoyt wszedł na salę, kiedy Sleeper dysponował obiad. Prędko szedł w stronę łoży i po drodze uściśnął ledwie pięć dłoni.

— Bardzo przepraszam — powiedział siadając przy stoliku na obitej zieloną skórą ławce. — Przykro mi, że się spóźniłem.

— Do diabła! — natarł wojowniczo Sleeper. — Nigdy i nigdzie nie możesz zdążyć w porę! A co na to publiczność?

— Trudno. Nie mogłem wyrwać się ze studia. Dzień był bardzo pracowity.

Mimo siedmioletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych Kirby Hoyt mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem. Naturalizował się w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku zaraz po wybuchu wojny, lecz obywatelstwo amerykańskie nie zmieniło go wcale. Pozostał nadal tym samym przystojnym, utalentowanym komediantem, który w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku przybył na drugą półkulę via Pall Mail z bristolskich slumsów. Tego dnia był roztargniony, zdenerwowany. Zamówił bardzo lekkie dania i nie chciał nic pić, bo czekało go męczące południe. Grał rolę kapitana angielskiego lotnictwa i po obiedzie miał kręcić trudną scenę: ciekawe skrót i efektowne zbliżenia w samolocie płonącym nad Kanalem.

Obiad mijal w napięciu. Przed tygodniem Hoyt obiecał Cahoonowi, że ponownie przeczyta sztukę i ostatecznie odpowie, czy zechce w niej wystąpić. Był dobrym aktorem i doskonale się nadawał do roli. Gdyby odmówił, wynalezienie innego kandydata przedstawiałoby ciężki problem. Sleeper posępnie chleptał jedną dużą whisky po drugiej. Cahoon bez zapalu grzebał widelcem w talerzu.

Nagle Michael zobaczył Laurę i uklonił się sztywno. Siedziała z jakąś kobietą przy stoliku w drugim końcu sali. Michael nie widział jej od dnia rozwodu. „Jeżeli sama płaci tutaj za obiady — pomyślał — niedaleko zajedzie z osiemdziesięcioma dolarami tygodniowo.” Zirytował się — najprzód na byłą żonę, że szasta pieniędzmi, później na siebie, że wtrąca się w nieswoje sprawy. Laura wyglądała bardzo ładnie i obco. Michael nie mógł sobie uzmysłwić, że teraz jest jej niechętny, a niegdyś naprawdę kochał tę kobietę. „Jeszcze jedna twarz — myślał — na widok której człowiekowi robi się na chwilę tkliwie i smutno, kiedy spotka ją przypadkiem na tym czy tamtym końcu kraju.”

— Uważnie przeczytałem sztukę — powiedział Hoyt mówiąc szybciej niż zwykle — i muszę przyznać, że jest piękna.

— Wspaniale... — zaczął Cahoon z wylewnym uśmiechem.

— Ale — przerwał mu aktor — obawiam się, że nie będę mógł przyjąć tej roli.

Reżyser przestał się uśmiechać.

— Jezu Chryste! — zawołał autor.

— Co się stało? — zapytał Cahoon.

— W obecnej sytuacji — Hoyt uśmiechnął się wstydliwie — rozumiesz... wojna i... i takie rzeczy... Zmieniłem plany, mój stary. Gdybym przeszedł na scenę, jakaś piekielna komisja rekrutacyjna mogłaby położyć na mnie łapę. A w filmie... — Napchał usta sałatą. — Film to całkiem inna para kaloszy... Dyrekcja twierdzi, że potrafi mnie wyreklamować... w interesie ogólnonarodowym. Podobno mówi się w Waszyngtonie, że przemysł filmowy zostanie uznany za kluczowy. Widzisz... ludzie niezastąpieni... Nie wiem, jak będzie z teatrem. Nie mogę ryzykować. Rozumiesz moją sytuację? Prawda?

— Tak — odpowiedział bezdźwięcznie reżyser. — Oczywiście.

— Jezu Chryste! — zawołał Sleeper. — Trzeba wracać do Burbank. W interesie ogólnonarodowym.

Wyszedł z łoży ciężkim, cokolwiek chwiejnym krokiem. Hoyt zerknął za nim nerwowo.

— Nigdy nie lubilem tego typka — powiedział. — To nie dżentelmen.

Pracowicie zaczął żuć salatę.

Koło stolika stanął Rollie Voughn, czerwony, rozpromieniony, z kieliszkiem koniaku w rękę. Był to również Anglik, człowiek znacznie starszy od Hoyta. W tym samym filmie grał pułkownika, miał jednak wolne popołudnie i mógł pić śmiało.

— Najwspanialszy dzień w historii Anglii — zaczął radośnie, mierząc rodaka ognistym wzrokiem. — Minęły dni klęski. Przed nami zwycięstwo. Niech żyje Franklin Delano Roosevelt!

Podniósł kieliszek. Inni poszli uprzejmie jego śladem, a Michael przestraszył się, że Rollie wypije i grzotnie szklę o podłogę, jak przystało angielskiemu lotnikowi z Paramountu.

— Niech żyje Ameryka! — Voughn znowu podniósł rękę.

„W rzeczywistości to pije zdrowie japońskiego lotnictwa morskiego — pomyślał cierpko Whitacre. — Wdzięczny jest Japończykom, że wciągnęli nas w grę. Ha, trudno mieć o to żal do Anglika...”

— Będziemy walczyć na plażach — perorował Rollie. — Będziemy walczyć w górach. — Usiadł w łoży. — Będziemy walczyć na ulicach. Koniec! Nie powtórzy się Kreta. Nie powtórzy się Norwegia. Znikąd nie pozwolimy się przepędzić.

— Mój stary — powiedział Hoyt — niezupełnie się z tobą zgadzam. Miałem niedawno prywatną rozmowę z jednym facetem z admiralicji. Zdębiałbyś, gdybym ci mógł wymienić nazwisko. Ten wytłumaczył mi całą historię z Kretą.

— I co ci gadał o Krecie? — zapytał Vaughn mierząc kolegę wyzywającym wzrokiem.

— Mój stary, to był plan przygotowany z góry. Zadać straty i zmykać. Taktyka najrozumnniejsza pod słońcem. Niech Niemcy mają Kretę. Na diabła komu Kreta?

Rollie powstał majestatycznie.

— Nie myślę siedzieć tutaj — przemówił srogo — i słuchać, jak angielski renegat spotwarza brytyjskie siły zbrojne. Dezerter!

— Uspokój się, Vaughn — wtrącił pojednawczo Cahoon. — Siadaj.

— Coś powiedział, Rollie? — spytał nerwowo Hoyt.

— Brytyjska krew leje się strumieniami! — Rollie walił pięścią w stół. — Bohaterski opór do ostatka, żeby nie oddać ziemi sojusznika. Anglicy giną tysiącami. A ten bredzi, że to plan przygotowany z góry! „Niech Niemcy mają Kretę”. Od dawna mam cię na oku, Hoyt!

Staralem się patrzeć bezstronnie. Aie w końcu uwierzę w to, co ludzie o tobie gadają.

— Ależ, mój stary... To jakieś idiotyczne nieporozumienie... Wydaje mi się...

Hoyt był czerwony jak burak. Mówił wysokim, przerywanym głosem.

— Gdybyś był w Anglii — przerwał jadowicie Rollie — śpiewałbyś całkiem inaczej. Raz, dwa, trzy i stanąłbyś przed sądem. Nie zdążyłbyś wykrztusić dziesięciu słów! Rozsiewanie defetystycznych, kłamliwych wiadomości. W czasie wojny, psiakrew! To kryminał!

Słowo daję, Rollie — bąknął młody aktor. — Zrozum, mój stary...

— Ciekawym, kto ci za to płaci? — Vaughn zadarł głowę i spiczastym podbródkiem wycelował zaczepnie w twarz przeciwnika. — Bardzo chciałbym wiedzieć. Bardzo! Nie wyobrażaj sobie, że nasza rozmowa nie wyjdzie poza tę restaurację. Bądź spokojny! Usłyszają o niej wszyscy Anglicy w Hollywood. „Niech Niemcy mają Kretę.” Co?

Gfośno postawił kieliszek na stoliku i zamasztył krokiem odszedł w stronę baru. Hoyt otarł spoconą twarz i niepewnym wzrokiem rozejrzał się dokoła. Chciał zbadać, ile osób wysłuchało tyrady Vaughna.

— Dobry Boże! — westchnął. — Nie macie pojęcia, jak trudno teraz być Anglikiem. Banda neurasteników, wariatów... Nie można ust otworzyć. — Dźwignął się z obitej zieloną skórą ławki. — Czas na mnie. Muszę wracać do studia. Mam nadzieję, że mi panowie wybaczą?

— Oczywiście — powiedział Cahoon.

— Przykro mi, doprawdy, że tak wyszło z tą sztuką. Ale rozumiesz moją sytuację? Prawda, stary?

— Rozumiem.

— Do widzenia — zakończy! rozmowę Hoyt.

— Do widzenia — odpowiedział Cahoon lodowatym tonem.

Reżyser i jego asystent obserwowali plecy eleganckiego zarabiającego sietjem i pół tysiąca dolarów tygodniowo. Hoyt minął bar, minął obrońcę Krety i dalej wycofywał się planowo. Szedł do studia Paramountu, gdzie jego fałszywy samolot miał płonąć sztucznym ogniem o dziesięć mil od hollywoodzkich wybrzeży Dovru, na tle malowanych chmur.

— Gdybym przyjechał tutaj bez wrzodu żołądka, zdążyłbym nabawić się go do tej pory — westchnął Cahoon i zażądał rachunku.

W tej chwili Michael spostrzegł, że Laura zmierza w jego stronę. Z wielkim zainteresowaniem zaczął oglądać talerz, lecz Laura zatrzymała się przy wejściu do łoży.

— Nie poprosicie, żebym usiadła? — zapytała.

Michael podniósł wzrok bez słowa, ale Cahoon uśmiechnął się grzecznie.

— Jak się masz, Lauro? Przyłączysz się do kompanii?

Usiadła naprzeciw byłego męża.

— No, pora na mnie. Do jutra wieczór, Mike — powiedział Cahoon i zanim Whitacre zdążył zaprotestować, podpisał czek, wstał i wolno odszedł w stronę drzwi. Michael spoglądał tępo jego śladem.

— Mógłbyś być trochę miłszy — odezwała się Laura. — Rozwód nie wyklucza przyjaźni.

Whitacre patrzył na sierżanta, który pił teraz piwo przy barze i natrętnie, łakomie przyglądał się Laurze, poprzednio zaś obserwował jej przemarsz przez salę.

— Nie uznaję przyjacielskich rozwodów — powiedział Michael.

— Jak rozwód, to rozwód: nieprzyjemny, wrogi.

Powieki Laury zatrzępotały.

„Mój Boże — pomyślał Michael. — Nie oduczyła się płakać.”

— Przyszłam, żeby cię ostrzec — podjęła drżącym głosem.

— Mnie? Przed czym? — spytał zaskoczony.

— Przed zbytecznym pośpiechem. Mam na myśli wojnę. Rozumiesz?

— Nie zgrzeszę zbytecznym pośpiechem.

— Chyba moglibyśmy się napić? ->- powiedziała nieśmiało.

— Kelner! — zawołał Michael. — Dwie whisky z wodą sodową.

— Zaraz się dowiedziałam, że przyjechałeś do Hollywood.

— Naprawdę?

Whitacre patrzył na sierżanta, który świdrował wzrokiem Laurę, od chwili gdy usiadła przy stoliku.

— Spodziewałam się, że mnie odwiedzisz — ciągnęła aktorka.

„Ach kobiety, kobiety! — pomyślał. — Ich uczucia przypominają akrobatę cyrkowego spadającego w siatkę bezpieczeństwa. Nie trafi taki na właściwy trapez, zatoczy łuk w powietrzu i zaraz podskakuje równie wysoko, równie rześko jak zawsze.”

— Byłem bardzo zajęty — powiedział. — Jak ci się wiedzie?

— Nie najgorzej. Próbuję jedną rolę u Foxa.

— Powodzenia.

— Dziękuję.

Sierżant siedział teraz tyłem do baru i gapił się nie wykręcając szyi. Michael nie miał mu tego za złe, bo Laura w skromnej czarnej sukni i małym kapelusiku, osadzonym na tyle głowy, wyglądała naprawdę ładnie. Mundur podkreślał tępy wyraz twarzy sierżanta, pośpenny wyraz osamotnienia i beznadziejnych pragnień.

„Trafił tu zabłąkany na rozdrożach wojny — myślał Whitacre. — Może lada dzień wyślą go na jakąś wysepkę, o której nigdy nikt nie słyszał. Marnie zginie tam w dżungli albo miesiąc po miesiącu, rok po roku będzie gnął w kleszczach armii, w brutalnym, pozbawionym kobiet świecie. Zapewne nie zna ani jednej dziewczyny między Hollywood a Dubuque, a teraz ogląda cywila niewiele od siebie starszego, z piękną kobietą w luksusowej knajpie... Maską żalosego gapia może kryć wizję, których ja jestem bohaterem... Oto zostaję w rodzinnym kraju. Beztrąsko wałęsam się po wytwornych barach. Pijam z jedną ładną dziewczyną po drugiej. Kocham się z nimi. W łóżku, jak człowiek cywilizowany. Między białymi nakrochmalonymi prześcieradłami. A on? On poci się, płacze i umiera daleko, na obczyźnie...”

Na chwilę uległ szaleńczej pokusie. Miał ochotę podejść do sierżanta i powiedzieć szczerze: „Słuchaj. Wiem o czym myślisz. Mylisz się całkowicie. Nie spędzę z tą dziewczyną ani najbliższej nocy, ani żadnej innej. Gdyby to ode mnie zależało, wysłałbym ją dziś z tobą. Przysięgam, bracie!” Oczywiście nie mógł tego zrobić. Mógł tylko patrzeć i czuć się winowajcą, jak gdyby otrzymał nagrodę nie przez siebie zdobytą. Siedząc ze swoją urodziwą eks-żoną rozumiał, że od tej chwili jeszcze jedną goręczy zaprawi jego gorzkie myśli. Ilekroć wejdzie do restauracji w kobiecym towarzystwie i zobaczy samotnego żołnierza, dręczyć go będzie sumienie. Ilekroć czule lub z tęsknotą wyciągnie ręce do dziewczyny, pomyśli, że kupuje ją za cudzą krew.

Laura uśmiechnęła się dyskretnie znad szklanki.

— Michael — zapytała — co robisz dzisiaj późnym wieczorem? Whitacre z trudem oderwał wzrok od sierżanta.

— Pracuję. Skończ tę whisky. Bardzo mi już pilno.

Bez wiatru mogłoby być całkiem znośnie. Christian kręcił się pod kocem. Na spękanych wargach czuł smak piasku. Wiatr porywał piasek z wyschniętych falistych wzgórz i miotał w oczy, usta, gardło, płuca.

Christian dźwignął się ciężko i usiadł otulony kocem. Świtało. Bezlitosny chłód nocy trzymał jeszcze pustynię w szponach. Christian szczęknął zębami. Nie wstając zaczął wykonywać sztywne ruchy, żeby się trochę rozgrzać. Z odrazą i podziwem patrzył na kilku żołnierzy śpiących spokojnie.

Hardenburg z pięcioma ludźmi leżał tuż pod grzbietem wzgórza. Nad skalistą, poszarpaną linię wysuwał tylko czubek głowy i przez lornetkę obserwował biwak po tamtej stronie. Był gotowy do skoku, czujny; wszystkie mięśnie miał napięte. Widać to było nawet przez obszerny, gruby płaszcz.

„Mój Boże! — pomyślał Christian. — Ten chyba nigdy nie śpi. Jak by to było pięknie, żeby Hardenburg poległ za dziesięć minut! — Przez chwilę delectował się tym marzeniem, później westchnął. — Szkoda gadać! Wszyscy możemy zginąć, ale nie on. Wystarczy raz na niego spojrzeć i wiadomo, że dożyje zakończenia wojny.”

Himmler, który dotychczas leżał obok porucznika, zsunął się z grzbietu wzgórza. Pełzał uważnie, żeby nie podnosić kurzu. Budził śpiących żołnierzy, szarpał ich, coś szeptał. Podnosili się z wolna i ruszali tak ostrożnie, jak gdyby byli w ciemnym pokoju, zastawionym delikatnymi naczyniami ze szkła.

Himmler na czworakach przywędrował do Christiana. Wyrzucił kolana do przodu i usiadł. Minę miał bardzo serio.

— On cię woła — szepnął, chociaż Anglicy byli o trzysta metrów.

— Dobrze — powiedział Diestl nie ruszając się z miejsca.

— Będzie kombinował, aż nas wszystkich wytluką — dodał Himmler.

Himmler stracił sporo na wadze. Twarz miał ogorzalą pod szczecinią zarostu, oczy zapadnięte głęboko, tragiczne. Od trzech miesięcy, kiedy pod Bardią przeleciały mu nad głową pierwsze pociski, dał spokój żartom, przestał błaznować dla rozrywki oficerów. Zdawać się mogło, że jakiś szczuplejszy, ponury kuzyn zawładnął jego ciałem w chwili lądowania w Afryce, a pulchny, jowialny duch dawnego Himmlera został w bezpiecznym, cichym zakątku Europy, gdzie czeka, aby upomnieć się o swoją powłokę, jeżeli sierżant wróci kiedyś z wojny.

— Leży na brzuchu — szeptał Himmler — gapi się na Anglików i podśpiewuje.

— Podśpiewuje? — zdziwił się Christian.

— Nuci pod nosem. Uśmiecha się. Przez całą noc nie zmrużył oka. Od wieczora, jak zjechały na postój te samochody, patrzy przez lornetkę i ciągle się uśmiecha.— Przez ramię zerknął na porucznika. •— W nocy nie można było uderzyć. Skąd znowu! To za proste. Bał się, że przegapimy chociaż jednego. Wolał leżeć przez dziesięć godzin, czekać dnia. Przynajmniej na pewniaka dostaniemy całą paczkę. Lepiej będzie wyglądał meldunek. — Z obrzydzeniem splunął na piach. —r Będzie kombinował, aż wszystkich nas wytluką. Zobaczysz. Sam się przekonasz.

— Ilu jest Anglików? — zapytał Christian.

Odrzucił koc i sięgnął po starannie zawinięty pistolet maszynowy. Drżał jeszcze z zimna.

— Osiemdziesięciu — szepnął Himmler. — A nas trzynastu. Trzynastu! Tylko ten skurwysyn mógł wziąć na patrol trzynastu ludzi. Nie dwunastu, nie czternastu, nie...

— Nie śpią już? — przerwał mu Diestl.

— Nie śpią, Wystawili dokoła posterunki. Cud, że nas dotychczas nie wypatrzyli.

— Na co on czeka? — Christian spojrzął na porucznika, który leżał pod grzbietem wzgórze, skurczony niby zwierz gotów do skoku.

— Spytaj go o to — syknął Himmler. — Może myśli, że nadejdzie Rommel, zobaczy wszystko na własne oczy i po śniadaniu zawiesi mu medal.

Porucznik zsunął się z grzbietu i wezwał Diestla niecierpliwym ruchem ręki. Christian zaczął czołgać się w stronę dowódcy. Himmler poszedł jego śladem.

— Sam musiał ustawić mózdzierz — zrzędził Himmler. — Mnie nie zaufał. Za słabo jestem wyszkolony. Pełzał, węszył, szukał najlepszego stanowiska na całym przeciwstoku. Jak Boga Kocham! Niech go tylko zbada psychiatra! W dwie minuty drań będzie siedział w kaftanie bezpieczeństwa!

— Prędeż, prędeż! — syknął szeptem Hardenburg.

Christian zbliżył się i spostrzegł ze zdziwieniem, że porucznik ma minę człowieka szczęśliwego. Oczy połyskiwały mu radośnie. Był zarośnięty i czapkę miał zakurzoną, ale wyglądał tak, jak gdyby przespał smacznie co najmniej dziesięć godzin.

— Za minutę chcę widzieć wszystkich na stanowiskach — powiedział Hardenburg. — Nikt nie śmie drgnąć bez rozkazu. Pierwszy otworzy ogień mózdzierz. Dam znak ręką stamtąd, z góry.

Diestl stał na czworakach. Bez słowa skinął głową.

— Na ten sam znak karabiny maszynowe zajmą stanowiska na grzbiecie wzniesienia i rozpoczną ogień ciągły. Reszta ma też strzelać, póki nie dam rozkazu: „Przerwij ogień!” Wszystko jasne, sierżancie?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Jak będę chciał skorygować mózdzierz, sam dam poprawki. Niech obsługa ma oczy otwarte i obserwuje mnie stale. Zrozumiano?

— Tak jest, panie poruczniku. Kiedy rozpoczniemy akcję?

— Jak zechcę i będę gotów. Obejdźcie teraz stanowiska, sprawdźcie, czy wszystko w porządku i wracajcie do mnie.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Christian i Himmler zawrócili i popelzli w stronę mózdzierza między stosem pocisków i skurczoną z zimna załogą.

— Umrę dzisiaj szczęśliwy — westchnął Himmler — jeżeli ten skurwysyn przedtem nakryje się kopytami.

— Cicho bądź — burknął Diestl, bo drażniło go zdenerwowanie Himmlera. — Rób swoje, a porucznik niech sam martwi się o siebie.

— A ty nie martw się o mnie! — obruszył się Himmler! — I nie gadaj, że nic nie robię.

— Przecież tego nie powiedziałem.

— Ale chciałeś powiedzieć — atakował Himmler zadowolony, że znalazł domowego wroga i może na chwilę zapomnieć o osiemdziesięciu Anglikach biwakujących w odległości trzystu metrów.

— Stul pysk! — warknął Diestl i spojrział na załogę mózdzierza.

Szeregowiec z ostatnich uzupełnień, Schroeder, raz po raz obrzydliwie rozdziawiał i zamykał usta. Ziewał nerwowo. Inni trzęśli się

z zimna, ale widać było, że są gotowi. Christian powtórzył rozkazy porucznika i ruszył dalej. Ostrożnie, by nie podnosić kurzu, podczołgał się do cekaemu na prawym skraju wzniesienia. I tutaj zastał wszystko w porządku. Trzej żołnierze obsługi czekali cierpliwie.

Ale noc spędzona w bliskim sąsiedztwie osiemdziesięciu Anglików ciężko zaważyła na wszystkich. Niska wydma piaszczysta niedostatecznie maskowała pojazdy — dwa samochody rozpoznawcze i półgąsienicowy wóz transportowy. Gdyby angielski samolot patrolujący z rana niebo pokazał się na widnokręgu i przypikował, zguba byłaby nieuchronna. Podobnie jak przez cały poprzedni dzień, żołnierze raz po raz zerkali niespokojnie na czysty bezmiar nieba gorejący obecnie luną wschodu. Na szczęście luna ta była za nimi. Niskie, oślepiające słońce musiało utrudniać Anglikom obserwację z ziemi w ciągu najbliższej godziny.

Hardenburg prowadził patrol za linie angielskie po raz trzeci w ciągu pięciu tygodni, toteż Christian nie wątpił, że w dowództwie batalionu porucznik natrętnie zgłasza się na ochotnika. Wsunięte prawe skrzydło ruchomego frontu wśród pozbawionych wody piaszczystych bezdroży stanowiło spokojny odcinek, obsadzony przez drobne, odosobnione posterunki i sieć głęboko przenikających patroli. Było tam zupełnie inaczej niż w terenie nadmorskim, przeciętym ważną szosą i obfitującym w punkty wodne, gdzie panował tłok i po całych dniach i nocach grzmiały działa i kosy samoloty.

„Pod pewnym względem — myślał Christian — lepiej przedstawiała się tamta wojna. W okopach rzezie następowały po rzeziach, ale wszystko było zorganizowane. Żołnierz regularnie dostawał żreć, wiedział, że działa określony plan, że niebezpieczeństwo może przyjść tylko w wiadomy sposób. W okopach nie byłbym zdany tak zupełnie na łaskę szalonego łowcy zaszczytów wojennych, takiego jak ten. — Spojrzał na Hardenburga, który leżał znów na dawnym miejscu i trzymał lornetkę przy oczach. — Ostatecznie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku ten maniak zostanie szefem sztabu generalnego. Biada wtedy niemieckim żołnierzom!”

Ostrożnie pelznął w stronę dowódcy. Wreszcie przywarował obok niego nie wychylając głowy nad linię horyzontu. Czuć było słaby, cierpki zapach pogniecionych liści jakiegoś pustynnego krzewu, który kępkami uczepił się tu jałowej gleby.

- Wszystko gotowe, panie poruczniku — zameldował Diestl.
- Dobrze. — Hardenburg nawet nie drgnął.

Sierżant zdjął czapkę. Wolno, wolniutko podniósł głowę, póki nie wyrzwał na linię grzbietową wzgórze.

Anglicy przyrządzali herbatę. W kilkunastu niewielkich blaszankach napełnionych do połowy piaskiem zlanym benzyną paliły się blade ogieńki. Żołnierze stali dokoła. Czekali trzymając w rękach kubki. Promienie słońca załamywały się na białej emalii, co stwarzało złudzenie ustawicznego ruchu. Z odległości trzystu metrów, ludzie sprawiali wrażenie bardzo małych, a samochody malowane na ochronny kolor pustynny wyglądały jak dziecinne zabawki.

Na każdej ciężarówce żołnierz czuwał przy karabinie maszynowym osadzonym nad dachem szoferki na kolistej podstawie przeciwlotniczej. Poza tym scena przypominała piknik. Jak gdyby kilkudziesięciu mieszczuchów postanowiło zostawić w domu kobiety i na wycieczce spędzić niedzielny ranek. Koce leżały jeszcze koło samochodów, tam gdzie ich właściciele przesпали noc. Tu i ówdzie widać było żołnierzy zajętych goleniem.

„Marnotrawstwo — pomyślał mimochodem Christian. — Muszą mieć wody pod dostatkiem.”

Ciężarówek było sześć. Na pięciu, odkrytych, leżały skrzynki z racjami żywnościowymi. Szósta, osłonięta brezentem, przewoziła zapewne amunicję. Wartownicy z karabinami w rękach ciągnęli wolno w stronę ogni.

„Muszą się czuć bezpiecznie — myślał Diestl. — Są trzydzieści mil za własnymi wysuniętymi liniami. Wiozą zaopatrzenie dla posterunków na południu. To zwykła służba porządkowa. Nie okopali się, nie mają osłony z wyjątkiem samochodów. Trudno uwierzyć, że osiemdziesięciu ludzi może krzątać się tak długo i beztrosko przed wylotami luf nieprzyjaciela, który czyha tylko na znak, żeby ich wymordować. Groteskowa historia! Gołą się, parzą herbatę. No, jeżeli w ogóle mamy zacząć, to teraz pora.”

Christian spojrzął na Hardenburga. Porucznik uśmiechał się, i jak powiedział Himmler, nucił z cicha. Przylepiony do twarzy uśmiech był niemal tkliwy, jak gdyby człowiek-dorosły przyglądał się niezdarnym ruchom niemowlęcia w kojcu. Ale Hardenburg nie dawał znaku. Sierżant ułożył się na piasku i zezując od czasu do czasu w stronę dowódcy obserwował nieprzyjaciela. Czekał.

Wodą zaczynała się gotować. Wiatr porywał małe obłoczki pary. Anglicy skrupulatnie odmierzali małe porcje herbaty, cukru, skondensowanego mleka. Na pewno przyrządziliby mocniejszy, słodszy napój, gdyby wiedzieli, że na obiad i kolację nic im nie będzie potrzebne. Tak

pomyślał Christian i patrzył dalej. Od każdej grupki odłączał się żołnierz. Pieczołowicie odnosił do samochodu woreczki i puszki. Wszyscy, jeden po drugim, sięgali do kociołka z gorącym płynem. Napelniali kubki. Od czasu do czasu wiatr przynosił słabe echa rozmów i śmiechu. Anglicy siadali na ziemi i zabierali się do śniadania. Diestl oblażał wargi. Przyglądał się nieprzyjaciółom, zaczynał im zazdrościć. Od dwunastu godzin nie miał nic w ustach, a gorącą kawę pił ostatni raz przed wyruszeniem na patrol. Teraz prawie czuł zapach i smak gęstej, krzepiącej herbaty.

Hardenburg leżał bez ruchu. Uśmiechał się, nucił. Na co czeka, u Boga Ojca? Żeby go nieprzyjaciół wypatrzył? Żeby nadleciał samolot? Chce walczyć zamiast zabijać wygodnie, bez ryzyka? Christian rozejrzał się dokoła. Żołnierze przycupnęli w sztywnych nienaturalnych pozach. Zatrokanym wzrokiem spoglądali na dowódcę. Sąsiad z lewej strony przełknął ślinę, dziwnie jakoś głośno, sucho, metalicznie.

„Delektuje się — pomyślał Christian zerkając znów na Hardenburga. — Armia nie ma prawa oddawać żołnierzy pod komendę takich drani. I tak w wojsku jest wystarczająco źle.”

Anglicy rozproszeni dokoła samochodów jeden po drugim nabijali fajki, zapalali papierosy. Wzmogło to jeszcze atmosferę bezpieczeństwa i zadowolenia spowijającą sielankowy obrazek, a Christian tak zatęsknił do papierosa, że zabolalo go podniebienie.

Z daleka nie było dobrze widać poszczególnych ludzi, na ogół jednak sprawiali wrażenie typowych brytyjskich żołnierzy spod sztancy. Szczupli, niedużego wzrostu, ciężko i flegmatycznie poruszali się w obszernych płaszczach. Kończyli właśnie śniadanie, porządnie czyścili piaskiem menażki, by z kolei zabrać się do rolowania koców. Ci, którzy dotychczas czuwali przy karabinach maszynowych, zlązili z ciężarówek, żeby się posilić. Na kilka minut wszystkie karabiny zostały bez obsługi.

„Aha — pomyślał Christian — na to czekaliśmy.”

Szybko rozejrzał się dokoła, żeby skontrolować gotowość bojową. Nic się nie zmieniło. Żołnierze leżeli w tych samych co dawniej, niewygodnych pozach. Hardenburg spostrzegł zapewne, że Anglicy opuścili posterunki, lecz nie dał tego poznać po sobie. Podśpiewywał nadal, uśmiechał się szeroko.

„Ala ohydne zęby — pomyślał Christian. — Wielkie, koślawe, rzadko osadzone. Na pewno siorbie głośno przy picciu. I taki teraz z siebie kontent! To się rzuca w oczy. Leży, gapi się przez lornetkę,

wykrzywia gębę uśmiechem. Wie, że wszyscy wpatrujemy się w niego, czekamy znaku, który skończy mękę oczekiwania. Wie, że nienawidzimy go, boimy się, nie możemy nic zrozumieć." ,

Skrzywił się i zwrócił zmęczone oczy w stronę Anglików, żeby zatrzeć w pamięci obraz suchej, złośliwej twarzy porucznika. Posturki przy karabinach maszynowych zajęli tymczasem nowi wartownicy. Jeden z nich, jasny blondyn bez czapki, palił papierosa i grzał się widać w coraz cieplejszych promieniach słońca, bo rozpiął kołnierz bluzy. Sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia. Siedział niedbale na żelaznej burcie wozu, przylepił papierosa do dolnej wargi, a ręką obejmował uchwyt karabinu maszynowego zwróconego wyłotem lufy w kierunku Christiana.

„Stało się — dumal żałośnie Diestl. — Facet zmarnował najlepszą okazję. I na co teraz czeka? Przy sposobności muszę dowiedzieć się o niego. Zapytam Gretchen. Co nim powoduje? O co mu chodzi? Dlaczego tak skwaśniał? Prędszej! Prędszej! — błaga! bez stów dowódcę. — Daj znak! Pospiesz się! Daj znak!”

Ale Hardenburg ani drgnął.

Dwaj angielscy oficerowie oddalili się od biwaku. W rękach mieli łopatkę i papier toaletowy.

Christian z trudem przełykał ślinę. Było mu zimno, zimniej niż po przebudzeniu. Raz po raz wzdrygał się nerwowo i nie mógł nad tym zapanować. Na wargach czuł smak piasku. Opuchnięty język zawadzał w ustach. Spojrzał na swoją rękę spoczywającą na kolbie pistoletu maszynowego i spróbował poruszyć palcami. Były jak gdyby cudze — odporne, nieporadne.

„Nic nie będę mógł zrobić — pomyślał z rozpaczą. — On da znak, a ja nie udźwignę pistoletu.”

Zaczął mrugać raz po raz, aż łzy napłynęły do obolałych oczu i cały obraz w dole — osiemdziesięciu Anglików, samochody i ognie — zmienił się w bezkształtną, mglistą masę.

To ponad siły. To nie do zniesienia! Leżeć nieskończenie długo, patrzeć, jak ludzie, których ma się wymordować, przyrządzają śniadanie, palą papierosy, opróżniają jelita... Tymczasem piętnastu lub dwudziestu żołnierzy rozproszyło się z dala od biwaku i przykucnęło z opuszczonymi spodniami. To porządek obowiązujący we wszystkich armiach. Jeżeli żołnierz nie załatwi się w ciągu dziesięciu minut po śniadaniu, może nie znaleźć na to czasu przez resztę dnia. Maszerujesz, człowieku, na wojnę czysto zamiecionymi ulicami, w takt trąbą bębnową, pod rozwianymi sztandarami i nie przychodzi ci do głowy,

co to znaczy wojna. A teraz leżysz od dziesięciu godzin w zimnym, ostrym piachu, nie tkniętym dotąd nawet stopą Araba, czekasz i patrzysz na kilkunastu Anglików, którzy z gołymi zadkami siedzą w kucki nad jamkami wygrzebanymi ze względów higienicznych w Pustyni Libijskiej. Brandt powinien by zrobić takie zdjęcie i posłać do „Frankfurter Zeitung”.

Tuż koło siebie Christian usłyszał osobliwy dźwięk. Powoli podniósł głowę. To Hardenburg chichotał.

Christian odwrócił się. Zamknął oczy. „Niech się to wreszcie skończy! — pomyślał. — Wszystko musi się kiedyś skończyć: chichotanie i Anglicy przy porannym sraniu, i porucznik Hardenburg, i Afryka, słońce, wiatr, wojna... Wszystko musi się skończyć!”

Christian usłyszał hałas za sobą. Otworzył oczy i zobaczył wybuch pocisku z moździerza. Niewątpliwie Hardenburg dał znak. Pocisk trafił jasnowłosego chłopca, który po śniadaniu palił papierosa, i jasnowłosego chłopiec zniknął. Ciężarówka zaczęła dymić. Raz po raz pociski wybuchały między samochodami. Karabiny maszynowe zajęły stanowiska na grzbiecie wzgórza i ciągłym ogniem siekły biwak, a na przedpolu małe figurki nieprzytomnie uganiały na wszystkie strony. Anglicy, którzy siedzieli w kucki nad jamkami, w popłochu podciągali spodnie, biegli niezdarnie, potykali się, padali. Nagle pośladki połyskiwały bielą na tle skąpanego w słońcu piachu pustyni. Jeden z nich pędził prosto w kierunku wzniesienia.

Widocznie nie zorientował się, skąd padają strzały. Nagle zobaczył karabiny maszynowe, kiedy był od nich nie dalej niż sto metrów. Znieruchomiał na chwilę, a następnie zawrócił i podtrzymując spodnie jedną ręką, rzucił się do ucieczki. Ktoś zwałił go z nóg mimochodem, jak gdyby załatwiał drugorzędną sprawę.

Hardenburg chichotał raz po raz, a w przerwach wykrzykiwał poprawki dla moździerza. Angielski wóz amunicyjny trafiony dwoma pociskami stanął w kłębach dymu. Zaczęły się eksplozje. Odłamki żelaza przez minutę świstały nad grzbietem wzgórza. Anglicy leżeli rozproszeni przed swoimi ciężarówkami. Jakiemuś sierżantowi udało się poderwać kilkunastu ludzi. Potykając się biegli w stronę wzniesienia. Strzelali na oślep z biodra i spod pachy. Sierżant upadł zraniony, lecz strzelał dalej siedząc. Dopiero trafiony ponownie, zwinął się i zarył głowę w piasek. Ludzie, którymi dowodził, zawrócili i poczęli zmykać w stronę samochodów, lecz nim do nich dobiegli, karabiny maszynowe wykosiły wszystkich.

W dwie minuty później bezładny ogień Anglików ustal ostatecznie. Silny wiatr porywał dym z płonących samochodów i gnał na wschód od wzniesienia. Tu i ówdzie ranni poruszali się niezdarnie jak zgniecione pluskwy.

Hardenburg wstał i podniósł rękę. Strzały umilkły.

— Diestl — odezwał się porucznik nie odrywając wzroku od palących się ciężarówek i zabitych Anglików. — Karabiny maszynowe mają strzelać dalej.

Christian stanął obok dowódcy.

— Nie rozumiałem, panie poruczniku — powiedział bezdźwięcznym głosem.

— Karabiny maszynowe mają strzelać dalej.

Christian spojrział na spustoszony biwak. Płomienie buchały z ciężarówek. Poza tym nie było widać żadnego ruchu.

— Rozkaz, panie poruczniku.

— Ostrzelać całe przedpole. Zejdziemy za dwie minuty. Nie chcę tam widzieć żywej duszy. Zrozumiano?

— Tak jest, panie poruczniku.

Diestl podszedł do karabinu maszynowego na prawym skrzydle, następnie do drugiego.

— Ogień ciągły. Nie przerywać bez rozkazu—powiedział obydwu obsługom.

Żołnierze spojrzeli spode łba na sierżanta i otworzyli ogień. Nerwowy grzechot karabinów maszynowych brzmiał dziwnie, jak gdyby nie na miejscu wśród ciszy, której nie przerywało ani jedno słowo, ani jeden strzał z innej broni. Żołnierze nie zajęci przy cekaemach wstawali jeden po drugim i przyglądali się niezwyklej scenie. Pociski siekły pustynię dookoła ciężarówek, szarpały trupy, rannych. Od czasu do czasu człowiek rzucał się kurczowo, podskakiwał na piasku. W pobliżu jednego z ogni, przy których gotowano herbatę, leżący dotychczas Anglik usiadł nagle. Tragicznie wyciągnął przed siebie ręce, przechylił w tył głowę i wrzasnął. Krzyk dosięgnął wzniesienia. Bolesną, osobistą nutą zakłócił miarowy rytm cekaemów. Obie obsługi przerwały ogień.

— Strzelać dalej! — rzucił sucho Hardenburg.

Karabiny maszynowe znów przemówiły. Seria pocisków przerwała w połowie ostatni śmiertelny ryk. Anglik runął na wznak.

Żołnierze patrzyli w posępnym milczeniu. Wszystkie twarze zdawały się urzeczony grozą.

Tylko Hardenburg wyglądał inaczej. Usta miał rozchylone, oczy przymknięte. Zęby polyskiwały drapieźnie. Krótki, urywany oddech

dobywał się z gardła. Christian próbował odnaleźć w pamięci podobny wyraz *twarży* nieprzytomnej, upojonej rozkoszą. Gdzie i kiedy ją widział? Nagle przypomniał sobie: Gretchen! Gretchen w miłosnym uścisku!

„To muszą być kuzyni — pomyślał. — Właściwie są do siebie przerażająco podobni.”

Karabiny maszynowe czekały dalej miarowo, rytmicznie. Ludzie zaczęli przyzwyczajać się do tego hałasu, niemal jak do odgłosów warsztatu pracującego przez ścianę. Dwaj żołnierze znudzeni widać monotonną sceną sięgnęli po papierosy i zapalili spokojnie.

„Oto życie żołnierza — myślał Christian spoglądając na darte kulami ciała. — Na pewno nie przytrafiłoby się im nic podobnego, gdyby zostali w Anglii. Jutro może ja będę leżał na piasku, a jakiś cockney z londyńskiego East Endu naszpikuje mnie funtem ołowiu.”

W tej chwili uległ nagłemu przyływowi poczucia wyższości. Oczywiście, że Niemiec uważa się za lepszego od Polaków, Czechów, Rosjan, ale to nic wobec przewagi, jaką człowiek żywy odczuwa wobec martwego. Dobrze pamiętał przystojnych, butnych młodych Anglików, którzy zjeżdżali do Austrii na narty. W kawiarniach rozmawiali donośnie, niezachwianą pewnością siebie. Ich głosy tłumili gwar innych rozmów. Miał nadzieję, że przedstawiciel tych wielkich panów, jakiś oficer, leży dzisiaj na zakrwawionym piasku z rozprutym brzuchem i gołym zadkiem sterczącym w górę.

Hardenburg podniósł rękę.

— Przerwij ogień — rozkazał.

Karabiny umilkły. Celowniczy jednego z nich ociekał potem. Westchnął w nagłej ciszy głęboko, osuszył twarz i oparł rękę na lufie.

— Diestl!

— Rozkaz, panie poruczniku.

— Za mną! Wy i pięciu ludzi.

Ruszył w dół ślizgając się trochę po sypkim piachu. Szedł z boczem w stronę spokojnego już zagłębienia. Sierżant skinął na pięciu najbliższych stojących żołnierzy i pospieszył za porucznikiem.

Hardenburg sztywno maszerował ku angielskim ciężarówkom. Zdawać się mogło, że za chwilę przemówi do oddziału na zbiorce. Pistolet miał w kaburze. Rękami poruszał miarowo, w takt kroków. Diestl i pięć żołnierzy szli tuż za nim. Najpierw zbliżyli się do Anglika, który tak niedawno biegł jak opętany w ich kierunku, trzymając spodnie w garści. Dostał parę pocisków w klatkę piersiową. Białe i czerwone odłamki żeber sterczały między przesiąkniętymi

krwią strzępami bluzy. Ale Anglik żył jeszcze. Tępo spoglądał w górę. Hardenburg wyjął z kabury pistolet, zarepetował i nie mierząc dokładnie, strzelił dwukrotnie w głowę. Ranny jęknął krótko. Twarz zniknęła. Porucznik schował pistolet i ruszył dalej. Sześciu żołnierzy leżało blisko siebie. Robili wrażenie trupów, ale dowódca rzucił: „Sprawdzić!” Christian wystrzelił do nich kilka razy. Nic nie odczuwał przy tej mechanicznej robocie.

Powoli zbliżyli się do miejsca, gdzie tak niedawno Anglicy przyrządzali śniadanie. Diestl zauważył, że blaszanki są starannie podziurkowane, żeby wywołać przeciąg i jak najlepiej wykorzystał te prowizoryczne kuchnie. Bóg wie, ile galonów wody zagotowano na nich do dzisiaj! Pobojowisko pachniało mocną herbatą, spaloną wełną i przypieczonym kauczukiem. Czuć także było swąd zwęglonego mięsa, bo kilku żołnierzy pożar przyłapał w ciężarówkach. Jeden wyskoczył z szoferki cały w płomieniach. Leżał podparty na łokciu, a poczerniałą, okopconą głowę trzymał wysoko, jak gdyby rozglądał się podejrzliwie. Gęsto padały tutaj pociski z moździerza. Obok jednego z samochodów, pośród herbaty, cukru i wołowej konserwy, leżała para nagich nóg urwanych niżej bioder i siłą eksplozji wyluskniętych ze spodni.

Nieco dalej, oparty o koło samochodu, siedział człowiek z prawie odciętą, zwisającą na bok głową. Christian spojrzał mu w twarz. Była to twarz człowieka z ludu, o mocno zarysowanych mięśniach i często spotykanym u angielskich robotników wyrazie utajonego oporu i powierzczonej służalczości. Sztuczna górna szczęka wysunęła mu się z ust do połowy i jak gdyby szyderczym uśmiechem wykrzywiła wargi. Anglik był świeżo ogolony. Gładkie różowe policzki wyraźnie odbijały od włosów siwiejących na skroniach.

„Jeden z tych, co marnowali wodę — pomyślał Diestl. — Schludny żołnierz. Znajdzie się taki w każdej drużynie. No, dziś mógł się nie fatygować.”

Gdzieś ranny poruszał ręką albo wydawał głuchy jęk. Żołnierze rozproszyli się i na pobojowisku gruchnęły strzały. Hardenburg zbliżył się do pierwszej ciężarówki, która niewątpliwie służyła dowódcy oddziału. Przez chwilę myszkował w szoferce poszukując papierów. Znalazł kilka map i pisanych na maszynie rozkazów oraz fotografię blondynki z dwojgiem dzieci. Załatwiwszy tę czynność podpalił samochód i stojąc obok Christiana przyglądał się płomieniom.

— Szczęście nam dopisało — odezwał się wreszcie. — Wybrali na postój akurat stosowne miejsce.

Uśmiechnął się. Christian odpowiedział uśmiechem. To nie operetkowa ofensywa na Paryż, nie Rennes ze służbą policyjną i czarnym rynkiem! Po to człowiek idzie na wojnę, po to jest tutaj. Trupy dokoła są realne, wymierne, cenne. Amerykanie niewiele już pomogą tym Anglikom.

— Dość! — zawołał Hardenburg do rozproszonych żołnierzy. — Jeżeli przegapiliście którego, niech ucieka do domu. Wracamy!

Ruszył pod górę. Sierżant szedł o krok za nim. Na tle nieba rysowały się sylwetki pozostawionych na wzgórzu żołnierzy. Stali i przyglądali się robocie kolegów.

„Są słabi, zagubieni — myślał serdecznie Christian — narażeni na tyle niebezpieczeństw, osamotnieni i tak bardzo mi potrzebni...”

Po drodze minęli angielskiego oficera. Leżał na brzuchu i świecił gołymi pośladkami. Białe ciało było gładkie, delikatne, przywodziło na myśl pogwałconą brutalnie arystokratyczną wstydlivość.

— Pamiętacie? — uśmiechnął się Hardenburg. — Siedział w kukki i martwił się o dobry stolec. A jak wyglądał, kiedy usłyszał pierwszy strzał! Próbował biec. Jednocześnie podciągał portki i dawał znaki ręką. Kapitan jego królewskiej mości! Na pewno w Sandhurst nie uczyli go, jak oficer powinien postępować w takiej sytuacji.

Zaczął się śmiać i widocznie coraz żywiej odświeżał w pamięci zabawne wspomnienie, bo po chwili stanął zgięty wpół, z rękoma na kolanach. Nie mógł iść dalej. Z wysiłkiem chwycił oddech, a jego szaleńczy rechot ulatywał z wiatrem.

Diestl zawtórował dowódcy. Z początku próbował się opierać, ale porwany zaraźliwą falą uległ i bezradnie taczał się jak pijany. Inni widząc wesołość porucznika i sierżanta nie pozostali w tyle. Zachichotali nieśmiało, lecz bakcył śmiechu oddziaływał na nich coraz silniej. Niebawem pięćka żołnierzy, którzy towarzyszyli dowódcy, a także ludzie stojący koło karabinów maszynowych ryczeli jednym opętańczym chórem. Donośny śmiech ogarniał zryte pobojowisko i nieruchome zwłoki, ogarniał wygasłe ognie, rozrzuconą broń, krótkie łopatki, samochody w płomieniach i opartego o koło ciężarówki trupa, który siedział z przekrzywioną na bok, prawie urwaną głową i ze sztuczną szczęką tkwiącą między wykrzywionymi ironicznie wargami.

Pociąg toczył się leniwie pośród zasp śnieżnych i białych wzgórz Vermontu. W wagonie popsulo się ogrzewanie, toteż Noe siedział w płaszczu i dygotał przy oblodzonym oknie. Tępo spoglądał na zmieniający się powoli nudny krajobraz, szary na tle mglistego brzasku w dzień Bożego Narodzenia. W przepelnionym pociągu Noe nie dostał miejsca sypialnego, był więc zmęczony, brudny, obolały. Nie mógł się też ogolić, bo w toalecie zamarzła woda. Potarł rękawem szczeciniaste policzki i pomyślał, że są czarne, odrażające, że na pewno ma przekrwione oczy, zaczerwienione powieki i brudny kołnierzyk. „Bodaj to licha! — pomyślał. — W takim stanie zaprezentować się jej rodzinie!”

Mila po mili tracił resztki pewności siebie. Na jakąś stację, gdzie był piętnastominutowy postój, wjechał pociąg idący w przeciwnym kierunku i Noe omal nie uległ szalonej pokusie, by wysiąść, wskoczyć do tamtego wagonu i uciec z powrotem do Nowego Jorku. Niewygody podróży, zimno, widok chrapiących pasażerów i ponurych wzgórz, które wylańały się z chmurnej nocy — wszystko to onieśmiało go coraz bardziej. „Nic z tego nie będzie — powtarzał w myślach. — Nic z tego być nie może.”

Hope pojechała wcześniej, żeby utorować drogę. Od dwóch dni była w domu. Musiała już powiedzieć ojcu, że chce wyjść za mąż, a jej przyszły jest Żydem. Siedząc w brudnym wagonie Noe zmuszał się do optymizmu.

„Rozmowa zakończyła się chyba pomyślnie. W przeciwnym razie dostałbym telegram. Hope pozwala mi przyjechać. Na pewno załatwiła sprawę. Na pewno...”

Po odrzuceniu go przez komisję wojskową Noe postanowił urządzić sobie życie inaczej, obrać drogę możliwie najrozumniejszą

i przydatną dla społeczeństwa. Zaczął znów przesiadywać w bibliotekach, gdzie trzy lub cztery wieczory tygodniowo poświęcał studiowaniu podręczników technicznych i planów budownictwa morskiego. Radio i gazety trąbiły, że Ameryce potrzebne są okręty, okręty i jeszcze raz okręty. Cóż, jeżeli Noe nie nadaje się do walki, może przynajmniej budować. Nigdy w życiu nie widział światłodruku, a o spawaniu i nitowaniu miał ledwie mgliste pojęcie. Wszelkie autorytety dowodziły, że wyszkolenie stoczniowa pochłania miesiące uciążliwej pracy. Ale Noe uczył się z zimną furią, wkuwał na pamięć, dziesiątki razy powtarzał na głos jedno i to samo, próbował w wyobraźni rysować plany. Był za pan brat z książkami i łatwo przyswajał sobie wiadomości, toteż po upływie miesiąca doszedł do wniosku, że może zgłosić się do stoczni, nałgać, że ma praktykę, zdobyć miejsce na rusztowaniu i w ten sposób zarabiać na utrzymanie.

Oprócz pracy miał Hope. Z początku wstydził się trochę budować własne szczęście w czasie, kiedy wszyscy znajomi zmierzają ku okropnościom wojny. Jednakże abstynencja Noego Ackermana nie mogła się w niczym przyczynić do klęski Hitlera. Cesarz Japonii nie skapituluje ani o jeden dzień wcześniej, jeżeli on pozostanie kawalerem. A Hope pilila do małżeństwa.

Kochała jednak ojca i nie chciała wyjść za mąż bez jego zgody. Ojciec Hope! Człowiek pobożny, zagorzały wyznawca Kościoła presbiteriańskiego, głęboko zakorzeniony w małym, surowym światku, w którym żyć mu przyszło. Noe spojrział wzdłuż przejścia i zagapił się na kaprała piechoty morskiej śpiącego z otwartymi ustami i nogami na oparciu poprzedniego fotela. „Ach, Bóże! — westchnął. — Dlaczego świat jest taki skomplikowany?”

Koło torów była cegielnia. Później mignęła długa, nieciekawa, gęsto zabudowana, biała od śniegu ulica, zakończona z obydwu stron spiczastymi wieżami kościołów. Później Hope stała na peronie i w przesuwających się z wolna zamarzniętych oknach szukała wzrokiem jego twarzy.

Wyskoczył w biegu, pośliznął się na placu ubitego śniegu i balansując dla odzyskania równowagi omal nie upuścił starej torby podróżnej z imitacji skóry. Jakiś staruszek mocujący się z kufrem zburczał go gniewnie:

— To lód, młody człowieku! Lód! Nie można tańczyć na lodzie!

W tej chwili nadbiegła Hope. Miała zatroskaną minę. Nie pocałowała Noego, lecz przystanęła o dwa kroki i powiedziała:

— Ach, Noe! Jakiś ty zarośnięty!

— Woda zamarzła w toalecie — wyjaśni! z urazą.

Mierzyli się niepewnym wzrokiem. Noe popatrzył spiesznie dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś towarzyszy Hope. Na stacji wysiadło kilku pasażerów, ale godzina była wczesna, nikt więc nie wyszedł im na spotkanie. Odchodzili już żwawo. Peron należał tylko do Hope i Noego, nie licząc staruszka z kufrem.

„Kiepsko — pomyślał Noe. — Wysiali ją samą, żeby mi oznajmiła złą nowinę.”

— Jak udała się podróż? — zapytała dziewczyna nienaturalnym tonem.

— Doskonale.

Hope ubrana w starą jesionkę i chustkę zawiązaną ciasno na włosach wydała mu się zimna, obca. Z pokrytych śniegiem wzgórz wiał północny wiatr. Przenikał płaszcz Noego, jak gdyby to była najcieńsza bawełna.

— No i co? — zapytał Noe. — Spędzamy tutaj święta?

— Noe... — głos Hope drżał, chociaż starała się mówić spokojnie.

— Noe, ja im nie powiedziałam.

— Czego? — zapytał nedorzecznie.

— Nic nie powiedziałam. Ani że masz przyjechać. Ani że chcemy się pobrać. Ani że jesteś Żydem. Nie wiedzą o twoim istnieniu.

Noe przelknął ślinę. Spojrzał na monotonne wzgórze. „Idiotycznie spędzam Boże Narodzenie” — pomyślał, zaraz jednak powiedział głośno:

— Nic nie szkodzi, Hope.

Nie miał pojęcia, dlaczego tak postąpiła, ale w jej zaróżowionej od porannego chłodu twarzy wyczytał tyle smutku, że uważał za stosowne pocieszyć ukochaną.

— Naprawdę nic nie szkodzi — powiedział tonem gospodarza, który mówi niezręcznemu gościowi, że zbity kieliszek to drobiazg bez znaczenia. — Nie ma się czym przejmować.

— Chciałam — mówiła tak cicho, że na wietrze ledwie ją było słyhać. — Próbowałam. Wczoraj wieczorem miałam już wszystko na końcu języka. — Żałośnie pokiwała głową owiniętą w chustkę. — Wróciliśmy z kościoła. Myślałam, że posiedzę sama z ojcem w kuchni. Tymczasem nadszedł mój brat. Wiesz, przyjechał z Rutland z żoną i dziećmi na święta. Zaczęła się rozmowa o wojnie i brat... To oczywiście skończony idiota... Brat zaczął dowodzić, że Żydzi wcale nie walczą, tylko korzystają z okazji i robią pieniądze. Ojciec nic nie mówił, ale kiwał głową. Nie wiedziałam, czy przyznaje

rację, czy po prostu jest śpiący, jak co wieczór o dziewiątej. Nie mogłam się przemóc i ...

— Nic nie szkodzi — znowu powtórzył Noe. — Naprawdę nic nie szkodzi.

Zaczął ruszać palcami kostniejącymi z zimna mimo rękawiczek.

„Trzeba jak najprędzej zjeść śniadanie — pomyślał. — Marzę o filiżance kawy.”

— Nie mogę z tobą zostać — ciągnęła Hope. — Pilno mi do domu. Jak wychodziłam, wszyscy spali, ale na pewno zdążyli już wstać i niepokoją się, gdzie jestem. Pójdę z nimi do kościoła, a później spróbuję porozmawiać w cztery oczy z ojcem.

— Naturalnie — przyznał Noe z logiką chorego umysłowo. — Nikt nie potrafiłby nic lepszego wymyślić.

— Hotel jest po tamtej stronie ulicy — podjęła wskazując odległy o pięćdziesiąt jardów trzypiętrowy budynek. — Idź tam. Odpoczniesz, zjesz śniadanie. Przyjdę do ciebie o jedenastej, dobrze? — zapytała twóźliwie.

— Doskonale. Na pewno będę ogolony — uśmiechnął się promiennie, jak gdyby wymyślił coś dowcipnego i mądrego.

— Noe... Kochany — przysunęła się bliżej i położyła mu ręce na ramionach. Przepraszam... Zawiodłam cię, zawiodłam!

— Nonsens — odpowiedział łagodnie. — Oczywiście nonsens.

-Ale w głębi serca przyznawał jej słusność. Hope go istotnie zawiodła. To dziwne, bardziej dziwne niż przykre. Zawsze była tak godna zaufania, tyle miała odwagi. Prostota i szczerłość cechowała cały jej stosunek do niego. Jednakże nad rozczarowaniem i bólem, jaki sprawił Noemu smutny, zimny ranek Bożego Narodzenia, górowała tajona radość, że nareszcie i Hope zawiodła. On zawiódł ją już nieraz i od czasu do czasu będzie zawodził w przyszłości. Od dzisiaj jednak *zapanuje* między nimi sprawiedliwa równowaga. On również będzie miał co wybaczzać — do końca życia.

— Nie martw się, kochanie — powiedział z uśmiechem na zarośniętej, umorusanej twarzy. — Na pewno wszystko się dobrze skończy. Zaczekam tam na ciebie. — Ręką wskazał hotel. — Idź do kościoła i... i pomódl się też za mnie — dodał smutno.

Uśmiechnęła się przez łzy, odwróciła i odeszła. Nawet śnieg na chodniku i ciężkie boty nie krępowały jej rażnych, pewnych kroków. Noe patrzył, jak idzie w stronę budzącego się domu, gdzie czeka ojciec o wątpliwych poglądach i gadatliwy, pewny siebie brat. Kiedy zniknęła za rogami ulicy, wziął w rękę torbę i przez

oblodzoną jezdnię ruszył w stronę hotelu. Otwierając drzwi przystanął na progu.

„Mój Boże! — pomyślał. — Zapomniałem życzyć jej wesołych świąt.”

Dopiero o pół do dwunastej rozległo się stukanie do drzwi pokoju. Był to mały, szary pokój z odrapanym, malowanym olejno żelaznym łóżkiem i kulawą umywalką. Noe zapłacił za dobę dwa i pół dolara, wobec czego zostało mu na święta tylko trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów. Wyjeżdżając z Nowego Jorku nie liczył się z kosztem noclegów. Ale sytuacja nie była beznadziejna, bo Noe miał bilet powrotny i przekonał się, że w Vermont jedzenie mało kosztuje. Za śniadanie z dwoma jajami zapłacił trzydzieści pięć centów. Mimo to jęknął, kiedy pomyślał o stanie swoich funduszków. Jak gdyby mało było kłopotów z wojną, miłością, z okrutną granicą, która oddzieliła Żydów od gojów blisko dwa tysiące lat przed tym kamiennoszarym dniem Bożego Narodzenia, ze zrozumiałą niechęcią ojca oddania córki obcemu... Na domiar złego jest jeszcze proste zadanie arytmetyczne: jak przeżyć święta mając w kieszeni mniej niż pięć dolarów?

Otwierając drzwi Noe wykrzywił twarz, bo chciał powitać Hope uśmiechem, jak mu się zdawało, pogodnym. Ale to nie była Hope, tylko portier hotelowy, starszy mężczyzna o pomarszczonej czerwonej twarzy.

— W hallu czeka pan z panią — oznajmił zwięźle i szybko odszedł korytarzem.

Noe przejrzał się w lustrze, trzema nerwowymi ruchami przygładził włosy, poprawił krawat i wyszedł z pokoju. Skrzypiące schody pachniały pastą do podłóg i smażonym boczkiem. „Z jakiej racji — myślał po drodze — ojciec przy zdrowych zmysłach miałby mi powiedzieć: «Tak»? Mój majątek to trzy dolary, obca religia i ciało uznane przez rząd za nie nadające się do niczego. Brak mi określonego zawodu i celu w życiu. Chcę tylko żyć z jego córką, kochać tę córkę. Nie mam rodziny, wykształcenia, przyjaciół. Mam za to gębę, która nie może mu się spodobać, i słaby, zająkliwy głos o fatalnym akcencie, którego uczyłem się po całych Stanach w najgorszych szkołach i ordynarnych towarzystwach.”

Dawniej już bywał w podobnych miastach i wiedział, jacy tam wyrastają ludzie: dumni, twardzi, zamknięci w sobie i swoim klanie. Z pogardą i obawą patrzą na zalewające kraj hordy cudzoziemskich koczowników, a historię rodzinną mają równie starą jak kamienie i belki miał, w których osiedli. Nigdy, jak kontynent amerykański

długi i szeroki, Noe nie czuł się bardziej obcym niż w chwili, kiedy zszedł schodami do hotelowego hallu i zobaczył swoich gości. Siedzieli na drewnianych bujających fotelach i przez okno obserwowali zasnieszoną ulicę. Na dźwięk kroków obydwójce wstali.

„Jest blada — pomyślał Noe przeczuwając katastrofę. — Bardzo blada.”

Wolno zbliżył się do ojca i córki. Pan Plowman był wysoki, przygarbiony. Wyglądał tak, jak gdyby przez całe życie pracował nad obróbką kamienia i żelaza, a w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat nie wstawał później niż o piątej rano. Miał czworokątną nieprzenikniętą twarz i zmęczone oczy spoglądające chłodno zza okularów w srebrnej oprawie.

— Ojczy, to jest Noe — powiedziała Hope.

Pan Plowman nie objawił życzliwości ani niechęci, wyciągnął jednak rękę, a Noe uściśnął ją gorąco. Była twarda, sękata.

„Niech się co chce dzieje — pomyślał Noe — nie będę żebrał. Nie będę kłamał. Nie chcę udawać lepszego niż jestem. Powie tak, bardzo dobrze. Powie nie...” Zabrakło mu odwagi i nie dokończył myśli.

— Miło mi pana poznać — odezwał się ojciec Hope.

Stali we troje sztywno, nieporadnie. Portier gapił się z nieukrywanym zaciekawieniem.

— Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak porozmawiam trochę z panem Ackermanem — podjął Plowman.

— Tak — szepnęła Hope.

Noe słysząc jej zdławiony, drżący głos pomyślał, że wszystko przepadło.

Ojciec rozejrzał się dokoła i spoglądając na wpatrzonego w nich portiera powiedział:

— To nie najlepsze miejsce. Może zrobimy mały spacer? Sądzę, że pan Ackerman i tak chciałby zobaczyć nasze miasto.

— Tak, proszę pana — bąknął Noe.

— Zaczekam tutaj — dodała Hope.

Usiadła na bujającym fotelu, który zatrzeszczał niepokojąco. Portier skrzywił się z dezaprobatą. Noe pomyślał, że przez długie lata suchy zgrzyt drewna będzie go prześladował w trudnych momentach.

— Wrócimy za pół godziny, córko — oznajmił Plowman.

„Córko!” Zupełnie jak w kiepskiej komedii z życia farmerów w tysiąc dziewięćsetnym roku. Noe uśmiechnął się blado, otworzył drzwi i za panem Plowmanem wyszedł na ośnieżoną ulicę. Miał wrażenie, że gra trudną rolę w fantastycznym melodramacie. Na

chwile mignęła mu twarz Hope, która siedziała w hotelowym hallu i z zatroskaną miną spoglądała w okno.

Na dworze było zimno, dął przejmujący wiatr. Pan Płowman i Noe szli uprzątniętym chodnikiem. Wolno, poważnie mijali wystawy zamkniętych sklepów. Przez kilka minut nie odzywali się słowem. Od czasu do czasu pod butami skrzypiał śnieg, który uniknął jakoś szufli. Wreszcie ojciec Hope przemówił.

— Ile pan płaci za hotel? — zapytał.

— Dwa pięćdziesiąt.

— Za dobę?

— Tak.

— Rozbój na prostej drodze! Ale tacy są wszyscy hotelarze.

Znowu zapadło milczenie. Noe szedł sztywno i po drodze czytał szyld: „Marshall — Pasza i nasiona”, „Drogeria — F. Kinne”, „J. Gifiord — Garderoba i konfekcja męska”, „Wirgiliusz Swift — Biuro porad prawnych”, „John Harding — Rzeźnik”, „Piekarnia — W. Walton”, „Oliver Robinson — Stolarska i Zakład Pogrzebowy”, „N. West — Artykuły spożywcze i kolonialne”.

Spoglądał na surową twarz towarzysza, chłodną i nieruchomą pod staroświeckim świątecznym kapeluszem. Później przenosił wzrok na szyldy. Nazwiska kupców i rzemieślników raniły go niby gwoździe wbijane systematycznie przez pracowitego cieślę. Każde było napaścią, murem, odmową, zatrutą strzałą, wymówką.

„Stary obrał subtelną drogę milczenia — myślał Noe. — Chytrze poznaje mnie z zamkniętym w sobie światem pospolitych angielskich nazwisk. Ze światem Hope. Pyta bez słów, jak pasować tu będzie Ackerman — nazwisko przywiezione z zamętu Europy, osamotnione, bezpańskie, wydziedziczone; nazwisko przypadkowe, bez ojca i domu rodzinnego, bez korzeni tradycji. Wolałbym już rozmawiać z wymownym bratem Hope. Ten przynajmniej gadałby, złościł się, sypał dobrze znanymi argumentami. Wolałbym to niż cichy, podstępny atak starego Jankesa.”

W milczeniu minęli dzielnicę handlową. Dalej był trawnik, a za nim odrapany dom z czerwonej cegły, porośnięty uschniętym bluszczem.

— Hope chodziła do tej szkoły — oznajmił Płowman wskazując kierunek sztywnym gestem głowy.

Noe spojrzął na brzydką budowlę ocienioną starymi dębami. Jeszcze jeden wróg! Nowy przeciwnik, co od dwudziestu pięciu lat czyhał w zasadzce. Nad głównym wejściem widniała dewiza wyryta na

zapełniającej kamiennej płycie. Noe przeczyta! zezem: „Musicie poznać prawdę.” Pociemniałe litery powtarzały to pokoleniom Płowmanów, którzy przychodzili tutaj po naukę czytania i pisania i dowiadywali się, że ich przodkowie stali dumnie na skalach Plymouth w pewien burzliwy dzień w siedemnastym wieku. „Musicie poznać prawdę, a prawda was wyzwoli.” Noemu wydało się, że ojciec odczytuje te słowa. Prawie usłyszał głos zza grobu, głos retora upojonego własną wymową.

— Kosztowała dwadzieścia trzy tysiące dolarów w tysiąc dziewięćset czwartym roku — ciągnął ojciec Hope. — W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym Urząd Oświaty chciał ją zburzyć. Wybudować nowy gmach. Nie pozwoliliśmy. Po co wyrzucać w błoto pieniądze podatników? To całkiem dobra szkoła.

Dalej szli bez słowa. O mniej więcej sto jardów Noe zobaczył kościół. Smukła dzwonnica rysowała się ostro na tle porannego nieba.

„Tam otrzymam decydujący cios — pomyślał zrozpaczony młodzieniec. — Stary zachował na koniec swój najgroźniejszy oręż. Na cmentarzu leży co najmniej pięćdziesięciu Płowmanów. W ich obecności usłyszę ostatnie słowo.”

Kościół zbudowany z białego drewna stał skromnie na pokrytych śniegiem spadzistych trawnikach. Był dyskretny, chłodny. Nie wołał do Boga wielkim głosem jak strzelające w niebo katedry Francuzów lub Włochów. Zwracał się do Stwórcy poufnie, rozsądnie, w beznamiętnym, szczerym tonie.

Pan Płowman zatrzymał się o pięćdziesiąt kroków przed kościołem.

— No, chyba dosyć spaceru — powiedział. — Chce pan wracać?

— Tak — zgodził się Noe.

Był zaskoczony, zdziwiony. Mechanicznie szedł, w stronę hotelu nie rozglądając się po drodze. Cios nie padł jeszcze i nic nie wskazywało, kiedy padnie. Noe zerknął z ukosa na towarzysza. Granitowe rysy wyrażały skupienie i jak gdyby niepokój. Stary biedzi się, z trudem szuka w myślach stosownych, chłodnych, mądrych słów, którymi da odpawę konkurentowi córki. Będą to słowa uczciwe, lecz stanowcze, rozsądne, lecz nieodwołalne.

— Młody człowieku, dopuszczasz się okropnego czynu — powiedział ojciec Hope, a Noe poczuł, że zaciska zęby, jak gdyby gotował się do walki. — Wystawiasz na próbę zasady starego człowieka. Nie będę

ukrywał. Dziękowałbym Bogu, gdybyś odszedł, wsiadł do pociągu, wrócił do Nowego Jorku i nigdy więcej nie zobaczył Hope. Nie zrobisz tego, prawda? — przenikliwie spojrzał na towarzysza.

— Nie robie, proszę pana.

— Domyślałem się. Nie przyjechałbyś tutaj, gdybyś miał to zrobić. — Odetchnął głęboko i patrząc pod nogi na oczyszczony ze śniegu chodnik szedł powoli obok Noego. — Przepraszam za nasz nudny spacer po mieście. Ale widzisz, człowiek żyje na ogół mniej lub więcej automatycznie. Tylko czasami musi powziąć decyzję. Zadaje sobie wtedy pytanie: „W co ja naprawdę wierzę? Mdm rację, czy nie mam?” Do tego właśnie byłem zmuszony przez ciebie. Męczyłem się trzy kwadranse i wcale ci za to nie jestem wdzięczny. Nigdy nie znałem Żydów, nie miałem z nimi do czynienia. Więc przyglądałem się tobie i próbowałem rozstrzygnąć, co naprawdę myślę. Czy uważam Żydów za wyjątych dziko pogan, czy za chytrych szachrajów, czy... Hope jest zdania, że przyzwoity z ciebie człowiek, lecz młode dziewczęta często się mylą. Przez całe życie byłem przekonany, że jeden człowiek jest równie dobry jak drugi, ale, chwała Bogu, do dziś dnia nigdy nie musiałem wprowadzać w czyn tej zasady. Gdyby ktoś inny przyjechał tutaj i powiedział, że chce się żenić z Hope, odrzekłbym: „Proszę do domu. Virginia upiekła na obiad indyka.”

Doszli tymczasem do hotelu. Noe nie zorientował się, bo uważnie słuchał głosu i słów starego człowieka. Ale drzwi otworzyły się i wybiegła z nich Hope. Twarz miała zatroskaną, niespokojną. Stała przed ojcem i spojrzała mu w oczy. On zatrzymał się również, wierzchem dłoni powoli ocierał usta.

Noe czuł się tak, jak gdyby wstał po długich tygodniach choroby. Widział nazwiska ze sklepowych szyldów, tych Giffordów, Swiftów, Robinsonów. Widział sztywny, nieładny kościół i te same nazwiska na płytach cmentarnych. Słyszał monotony głos pana Płowmana. Wszystko to wraz z sylwetką przerażonej, bladej Hope stało się nagle nie do wytrzymania. Wyobraził sobie ciepły, nieporządnie sprzątnięty pokój w pobliżu rzeki, książki, stare pianino... Ogarnęła go bolesna tęsknota.

— I co? — zapytała Hope.

— Nic — zaczął powoli ojciec. — Właśnie powiedziałem panu Ackermanowi, że jest dziś indyk na obiad.

Uśmiech rozjaśnił twarz dziewczyny. Przesunęła się i pocałowała ojca.

— Co, u Boga Ojca, robiliście tak długo?

Noe zrozumiał mglisto, że wszystko odwraca się na dobre, lecz w pierwszej chwili nic nie odczuł. Zbyt był oszołomiony i zmęczony.

— Młody człowieku — powiedział pan Płowman. — Zabieraj swoje rzeczy. Nie ma sensu napychać kieszeni tym rabusiom.

— Tak — wyjąkał Noe. — Tak... Oczywiście.

Jak we śnie wszedł na schodki wiodące do hotelu. Otworzył drzwi i odwrócił głowę. Hope trzymała za rękę uśmiechniętego ojca. Był to uśmiech trochę wymuszony i żaloszny, lecz bądź co bądź uśmiech.

— Ach, zapomniałem! Wesołych świąt! — rzucił Noe i ruszył po swoją torbę podrózną.

Komisja rekrutacyjna mieściła się na przestronnym pustym poddaszu nad grecką restauracją. Śmierdziało tam przysmażaną oliwą i niekoniecznie świeżą rybą. Podłoga była brudna. Gołe żarówki oświetlały składane krzesła i poplamione biurka," przy których dwie znudzone, brzydkie sekretarki wystukiwały na maszynie formularze. Przepierzenie z desek oddzielało tę poczekalnię od miejsca obrad komisji, skąd dobywał się pomruk głosów. Na drewnianych krzesłach siedziało kilkanaście osób; niemłody mężczyzna w ciemnym garniturze, ubrany w skórzaną wiatrówkę włoski wyrostek z matką, jakieś młode parki trwoźnie trzymające się za ręce.

„Wszyscy wyglądają jak złowieni w pułapkę — myślał Whitacre. — Są obrażeni i smutni. Ze wstrętem patrzą na papierową amerykańską flagę i te powielane i drukowane obwieszczenia na ścianach. Każdy chciałby mieć wrodzoną wadę organiczną albo liczną rodzinę na utrzymaniu. Kobiety asystujące tym ludziom — żony i matki — mierzą oskarżycielskim wzrokiem innych mężczyzn. Zdają się mówić: «Przejrzałam cię na wskroś. Jesteś zdrow jak koń i masz pełno pieniędzy w bankowym schowku. Mimo to chcesz, żeby mój mąż albo syn poszedł za ciebie. Ale nie wywiniesz się, bratku, nie wywiniesz!®»

Otworzyły się drzwi, za którymi urzędowała komisja. Do poczekalni wszedł drobny, ciemnooki chłopiec z matką. Matka płakała. Zaczerwieniona twarz chłopca wyrażała gniew i przestach. Wszyscy spojrzeli na niego chłodno, taksująco. Oczyma wyobraźni zobaczyli trupa na polu walki, świeży drewniany krzyż, dzwoniącego do drzwi listonosza z telegramem w ręku. W spojrzeniach tych nie było litości, tylko posępne zadowolenie: „No, przynajmniej jeden cwaniak nie nabral komisji!”

Na biurku jednej z sekretarek maszyna zagrzechotała i umilkła. Brzydka dziewczyna z dużym nosem i mocno uszmkowanymi wargami wstała i tępo spojrzała przed siebie.

•— Michael Whitacre! — zawołała matowym, ostrym głosem.

Wstając z krzesła Michael zauważył, że sekretarka ma kabłąkowane nogi i obwarzanki na lichych pończochach.

— Whitacre! — powtórzyła głośniejszym, zirytowanym tonem.

Michael uśmiechnął się przyjemnie i posłał jej od ust całusa.

— Nie gniewaj się, piękna panienko, już jestem w drodze — powiedział.

Spojrzała na niego chłodno, z poczuciem wyższości. Michael nie wziął jej tego za złe.

„Przedstawicielka państwa—myślał idąc do drzwi — musi gardzić zwykłym obywatelem. To objaw powszechny. A zresztą ta brzydula ma teraz władzę; wysyła na śmierć mężczyzn, chociaż jak długo żyję, żaden mężczyzna nie spojrzał na nią łaskawie. Wszystkie uciśnione mniejszości, Murzyni, mormoni, nudyści, niekochane kobiety, znajdują takie lub inne dziwaczne zadośćuczynienie. Trudno ją winić. Tylko święta mogłaby zachowywać się przyzwoicie na posadzie sekretarki komisji rekrutacyjnej.”

Otworzył drzwi i zirytował się na siebie, bo ze zdziwieniem poczuł, że nogi się pod nim uginają. Z niepewną miną stanął naprzeciw siedmiu mężczyznom siedzących za długim stołem. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Zobaczył twarze zupełnie inne niż w poczekalni. Tam był strach, niechęć i tępy opór. Tutaj bezwarunkowa podejrzliwość i nieubłagane, narastające wciąż okrucieństwo. Michael patrzył obojętnie na obce, niezyczliwe twarze.

„Z żadnym z nich nie gadałbym w żadnych innych okolicznościach — myślał. — Moi sąsiedzi! Kto ich wynalazł? Skąd się wzięli? Dlaczego tak im zależy, by wysyłać na wojnę współobywateli?”

— Proszę siadać, panie Whitacre, bardzo proszę — odezwał się przewodniczący i sztywnym ruchem ręki wskazał wolne krzesło przy końcu stołu.

Był stary, otyły. Miał gąbczastą, nalaną twarz, obwisły podbrudek i złe, świdrujące oczki. Nawet „bardzo proszę” powiedział zaczepnym, obrażającym tonem.

„Ciekawe, w jakiej wojnie ty walczyłeś?” — pomyślał Michael siadając na wskazanym krześle.

Inne twarze zwróciły się ku niemu jak wyloty dział na krążowniku sposobnym się do bombardowania.

„Zdumiewające — myślał Whitacre. — Od dziesięciu lat mieszkam w jednej dzielnicy i jak żyję, nie widziałem żadnego z tych sąsiadów. Może czyhali, kryli się w piwnicach, czekali na właściwy moment?”

Na ciemnej długiej ścianie za plecami komisji wisiała flaga amerykańska — tym razem z prawdziwej tkaniny. Stanowiła barwną plamę, a na jej tle posępnie odbijały szare lub granatowe marynarki i twarze o żółtawej cerze. Michael wyobraził sobie nagle tysiące podobnych lokali, jak kraj długi i szeroki. Wyobraził sobie tysiące podobnych komisji. Szpakowaci, podejrzliwi panowie o lodowatych twarzach siedzą za stołem. Nad ich łysinami flaga znaczy kolorowy prostokąt, a naprzeciwko nich stają pochwyceni w pułapkę wystraszeni chłopcy i młodzi ludzie, tysiące chłopców i młodych ludzi! To chyba najpospolitsza scena, najbardziej oklepany symbol tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Chytrność, brak zaufania, niechęć, uraza, strach, okrucieństwo spotykają się w obskurnych izbach, a nudnym formalnościom uroku i blasku dodaje jedynie zapowiedź ran i śmierci.

— Otóż, panie Whitacre — rozpoczął przewodniczący, a że był krótkowidzem, pochylił się nad teczką z aktami. — Ubiegał się pan o kategorię 3A pod pretekstem, że jest pan żywicielem rodziny. — Bystro spojrzął na Michaela, jak gdyby go pytał: „Gdzie pistolet, z którego zastrzeliłeś denata?”

— Tak — powiedział Michael.

— Doszło do naszej wiadomości — podjął przewodniczący donośnym głosem — że pan nie żyje z żoną. — Triumfalnie rozejrzał się dookoła. Kilku jego kolegów przytaknęło kiwając żywo głowami.

— Jesteśmy rozwiedzeni.

— Rozwiedzeni! Dlaczego ukrywał pan ten fakt przed nami?

— Posłuchajcie, panowie — odparł Michael. — Oszczędzę wam wiele czasu. Mam zamiar zaciągnąć się do wojska.

— Kiedy?

— Zaraz po premierze sztuki, nad którą obecnie pracuję.

— To znaczy kiedy? — rzucił cierpko mały, okrągły człowieczek siedzący po przeciwnym końcu stołu.

— Za dwa miesiące. Nie wiem, co jest w moich papierach, ale mam na utrzymaniu matkę i ojca, a ponadto muszę płacić alimenty i...

— Pańska żona — przerwał szorstko przewodniczący zaglądając do teczek z aktami — zarabia pięćset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

— Jeżeli pracuje — uzupełnił Whitacre.

— W ubiegłym roku przepracowała trzydzieści tygodni.

— Zgadza się. Ale w bieżącym ani jednego.

— Cóż, musimy brać pod uwagę prawdopodobne dochody — powiedział przewodniczący. — Pańska żona pracowała przez pięć ostatnich lat, trudno więc oczekiwać, by teraz miała próżnować. — Znowu zajrzał w papiery. — Utrzymuje pan także, że jest żywicielem rodziców, prawda?

— T a k — westchnął Michael.

— Doszło do naszej wiadomości, że pański ojciec pobiera rentę: sześćdziesiąt osiem dolarów na miesiąc.

— I to się zgadza. A próbował pan kiedy wyżyć w dwie osoby za sześćdziesiąt osiem dolarów na miesiąc?

— Wszyscy powinni ponosić ofiary w czasach tak trudnych jak obecne — odrzekł z godnością przewodniczący.

— Nie będę się z panem spierał. Powiedziałem przecież, że zgłoszę się za dwa miesiące.

— Dlaczego postanowił pan jednak wstąpić do wojska? — zapytał przez stół jeden z członków komisji i zza binokli spojrzął surowo na Michaela, jak gdyby szykował się do odparowania ostatniego wykrętu.

Michael objął wzrokiem siedem niechętnych twarzy.

— Dlaczego? — westchnął. — Nie wiem. Może panowie mi powiedzą?

— To wystarczy, panie Whitacre — zakończył przesłuchanie przewodniczący.

Michael wstał i ruszył ku drzwiom. Czuł na sobie siedem par podejrzliwych, nieprzychylnych oczu. „Ci ludzie są pod wrażeniem, że ich okpiłem — pomyślał. — Woleliby złapać mnie od razu. Byli nawet na to przygotowani.”

Wszyscy siedzący w poczekalni spojrzeli bystro na Michaela. Byli zdziwieni, że wychodzi po tak krótkiej rozmowie. Uśrniechnął się, chciał nawet zażartować, ale powstrzymał się w porę. Wesołość byłaby okrucieństwem wobec wystraszonych, zdenerwowanych chłopców.

— Dobrej nocy, piękna panienko — rzucił pod adresem brzyduli za biurkiem; tej satysfakcji nie mógł sobie odmówić.

Odpowiedziała spojrzeniem miażdżącej wyższości. Jako kobieta nie będzie powołana, by zginąć za ojczyznę, słusznie więc uważała się za lepszą od mężczyzny, któremu może się to przytrafić.

Whitacre uśmiechnął się schodząc z poddasza, ale był przygnębiony. „Należało zaciągnąć się pierwszego dnia — myślał. — Nie powinienem narażać się na takie sceny.”

Był łagodny wieczór późnej zimy. Michael czuł się brudny, podejrzany, kiedy wymijał na chodniku spacerujące pary, nieświadome

me nędznej, podstępnej wojny, która toczy się dla ich dobra o kilka domów dalej, na brudnym strychu nad grecką garkuchnią.

Trzeciego dnia znalazł w skrytce na listy urzędowe pismo komisji rekrutacyjnej.

„Na własne żądanie zostanie pan przeseregowany i z dniem 15 maja 1942 roku otrzyma pan kategorię I A.”

Przeczytał i wybuchnął śmiechem. A jednak ci ludzie wyszli zwycięsko z fiaska przygotowanej kampanii. Jadąc windą do domu Michael odczuł dziwną ulgę. Teraz przynajmniej nie będzie musiał sam decydować o sobie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W łagodnym świetle brzasku Noe otworzył oczy i spojrzął na żonę. „Śpi — pomyślał — jak gdyby strzegła wielkiej tajemnicy. Hope, Hope, Hope... Była zawsze małą dziewczynką bardzo serio. Chodziła po tamtym białym, zbudowanym z drewna miasteczku i zawsze miała taką minę, jak gdyby śpieszyła dokąś we własnych celach. Może ukrywała w zakamarkach domu rozmaite skarby: pióra, zasuszone kwiaty, staroświeckie ilustracje z «Harper's Bazaar», wizerunki dam zturniurami... Człowiek nie wie o małych dziewczynkach. Inaczej byłoby, gdybym miał siostry. Ale żona wychodzi ze skarbnicy własnych przeżyć i doświadczeń. Równie dobrze mogłaby przybyć z tybetańskich gór albo z klasztoru we Francji. Co robiła Hope, kiedy ja paliłem papierosy na strychu «Wojskowej Szkoły dla Chłopców» pułkownika Drury („Przyjmujemy chłopców — zwracamy mężczyzn”)? Zapewne poważnie mijała cmentarz, na którym liczni Płowmanowie spoczywają pod darnią... I co więcej? Jeżeli światem rządzi jakiś plan, przygotowywała się dla mnie, przygotowywała się, by dzisiaj o świcie spać u boku Noego Ackermana. A ja przygotowywałem się dla niej. Jeżeli światem rządzi jakiś plan... Trudno w to uwierzyć! Gdyby Roger nie poznał Hope (gdzie i jak się spotkali?), gdyby pół *zartem*, pół serio nie postanowił urządzić przyjęcia, żeby koleżde znaleźć dziewczynę, gdyby sprowadził wtedy inną z dziesiątka znajomych kobiet, nie leżałbym teraz koło Hope. Przypadek to jedyne prawo życia. Roger śpiewał:

Wiem, robisz oczko jak ta lala
I kulinarny talent los także ci dał.
Ale czy forsa nie nawala,
To tylko wiedzieć bym chciał.

Teraz marnieje na półwyspie Bataan na Filipinach, jeżeli w ogóle żyje. A my jesteśmy w pokoju Rogera, nawet w łóżku Rogera, wygodniejszym niż moje. Moje łóżko przechylało się zawsze na prawy bok. Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy w bibliotece sięgnąłem po tom Yeatsa *Czaple jajo i inne sztuki*. Gdybym wyciągnął rękę po inną książkę, nie potrafiłbym Rogera, nie zamieszkałbym tutaj, nie poznał Hope a ona może leżałaby teraz obok innego mężczyzny, który patrzyłby na nią i tak jak ja powtarzał: «Kocham ją, kocham!» Boże! Na myśl o tym wszystkim można dostać obłędu. Nie ma żadnego planu dla miłości, walki, śmierci, dla niczego. Istnieje tylko wzór matematyczny; człowiek plus jego zamiary równa się przypadek. Ale i w to niełatwo uwierzyć. Musi być jakiś plan chytrze zamaskowany, jak spłot intrygi w dobrze napisanej sztuce. Może w momencie zgonu człowiek rozwiązuje zagadkę i mówi: «A, teraz wiem, dlaczego autor wprowadził tę postać w pierwszym akcie.»

Bataan, Bataan... trudno wyobrazić sobie, że Roger odpowiada komukolwiek: «Tak jest, panie kapitanie!® Trudno wyobrazić go sobie w hełmie. Zawsze widzę na głowie Rogera stary, pogięty filcowy kapelusz, włożony z fantazją na bakier. Nie potrafię myśleć o Rogerze w błotnistym wnętrzu strzeleckim, o pociskach ryjących dżunglę obok człowieka, który potrafił na fortepianie grać Beethovena. Nie potrafię myśleć o kłęsce Rogera nawet na wojnie. Był urodzonym zwycięzcą, dlatego zapewne, że zwycięstwa w jakiegokolwiek dziedzinie nie uważał za sprawę pierwszorzędnej wagi. Po prostu bawił się powodzeniem. Trudno sobie wyobrazić, że Roger krzyczy w przedśmiertelnej męce, że pada rozdarty pociskiem mózdzierza albo trafiony w pierś serią z karabinu maszynowego. Trudno sobie wyobrazić, że się poddaje. Mój Boże! Zdaje mi się, że słyszę, jak odpowiada Japończykowi, który wezwał go do złożenia broni: «Co takiego? Kpisz, frajerze?» Trudno wyobrazić sobie mogiłę Rogera pod palmami lub jego ognia z biegiem czasu, nagą czaszkę, grzęznącą w tropikalnym bagnie. Czy Roger całował kiedy Hope? Bardzo prawdopodobne. Roger i... i ilu innych? Tajemnicza twarz na poduszce. Zamknięta księga. Ilu mężczyzn pożądała dotychczas? Jakie marzenia snuła leżąc samotnie na wąskim łóżku -w Vermont czy Brooklynie? Ilu mężczyzn i chłopców leży teraz samotnie na wyspach Oceanu Spokojnego — nieżywych? Ilu chodzi pó ziemi, ale polegnie gdzieś na szerokim świecie w tym albo przyszłym roku? Ilu spośród nich Hope lubiła, pragnęła? Ilu widywała w romantycznych snach? Za iloma tęskniła?

Która to godzina? Kwadrans po szóstej. Jeszcze pięć minut w łóżku. Dziś prawie święto. Nie będzie nerwowego stukotu miotów pneumatycznych do nitowania. Nie będzie wiatru na rusztowaniach ani syku i blasku aparatów acetylenowych w stoczni w Passaic. Wiedział, że ma stanąć przed komisją rekrutacyjną i jeszcze raz przejść badania lekarskie na Wyspie Gubernatorskiej. Machina urzędowa powtarzała się niby obdarzony słabą pamięcią urzędnik bankowy, który wielokrotnie sumuje jedną kolumnę liczb. Znowu Wassermann, znowu palce chirurga niedbale obmacują pachwiny: "Zakasłać. W porządku. Nie ma przepukliny.* Znowu znudzony psychiatra rzuci półgębkiem: «Nie mieliście nigdy stosunków z mężczyznami?^ Upokarzające, niedorzeczne pytanie. Czy władze wojskowe są zdania, że stosunki pomiędzy mężczyznami mogą być tylko przeciwne naturze?

Co mam powiedzieć o moich stosunkach z Rogerem albo z Vincenzem Moriarity, majstrem z mojej zmiany w stoczni, który stawia mi piwo i nad kuflem chwali się, że w Wielkim Tygodniu w tysiąc dziewięćset szesnastym roku zerwał flagę brytyjską z urzędu pocztowego w Dublinie? Co mam powiedzieć o moich stosunkach z ojcem żony? Przecież w prezencie ślubnym przysłał mi komplet dzieł Emersona wybrany ze swojej biblioteki. Co mam powiedzieć o moich stosunkach z własnym ojcem-rozpustnikiem, kłamcą i prorokiem, co z Odessy przewędrował pół świata, a obecnie jest garstką popiołu w tekturowym pudle, zapomnianym na półce krematorium gdzieś w Kalifornii? Co mam powiedzieć o moich stosunkach z Hitlerem, Rooseveltem, Jeffersonem, pułkownikiem Drury, który w szarym, odrapanym budynku szkolnym pod Detroit wypijał co wieczór kwartę whisky, a raz powiedział kończącej nauki klasie: «Istnieje tylko jedna cnota — odwaga. Mężczyzna powinien z miejsca reagować na zniewagę. Innych mężczyzn nie uznaję.» Co mam powiedzieć o moich stosunkach z synem, nie poczętym dotychczas, lecz utajonym w tym miękkim łóżku- gdzieś między Hope a mną? Czy ów syn będzie z miejsca reagował na zniewagę? I kto go znieważy, kiedy, z jakiego powodu? Czy i na niego czeka samotny grób na odległej wyspie? Czy nie odlana jeszcze kula powali kiedyś mojego jeszcze nie narodzonego syna? Czy na innym kontynencie istnieje nie obleczone jeszcze w ciało dusza, która w jakimś późniejszym dziesięcioleciu wieku spojrzy na mojego syna przez celownik karabinu? I do jakiego boga kapłan zwróci się podczas ceremonii pogrzebowej? Do Chrystusa, Jehowy? Do kogo? A może będzie to modlitwa podstępna, dwulicowa, jak stawka asekurującego się ostrożnie szulera: «Wielki Boże, bez względu na to,

kim jesteś, przyjmij duszę zmarłego młodzieńca do takiego raju, jakim władasz. Zabawna historia. Leżę obok niedawno poślubionej dziewczyny i kłopotę się o pogrzeb dziecka, które nie zapowiedziało jeszcze swojego przybycia. Przedtem czekają nas jeszcze inne problemy. Czy nasz syn będzie ochrzczony? A może obrzezany? «Ty psie obrzezany!» — czytałem w pierwszej klasie na stronicach *Ivanhoe*. W Budapeszcie podczas pogromów, kiedy rząd rewolucyjny upadł w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, motłoch zdierał Spodnie podejrzanym o żydostwo i mordował każdego, kto był obrzezany. Biedni chrześcijanie, co poddali się temu zabiegowi ze względów higienicznych! Pewno nienawidzili Żydów równie mocno jak ich kaci. Ale nie było rady: ginęli z racji wspólnej, zgodnej nienawiści. Trzeba dać spokój Żydom. Ile razy człowiek zacznie myśleć, wszystko jedno o czym, zawsze kończy się jednym i tym samym. Czy był okres dziejów, kiedy Żyd mógł uniknąć takich myśli? Kiedy? Może w piątym wieku przed Chrystusem?

Szósta dwadzieścia. Pora wstawać. Prom o generalskim nazwisku czeka u nadbrzeża, a na zielonej wyspie lekarze i specjaliści od prześwietlenia i kauczukowa pieczęć z napisem: „«Niezdolny.» Jak było w dawniejszych wojnach, przed odkryciem promieni Roentgena? Ilu żołnierzy spod Shiloh miało blizny na płucach i nikt o tym nie wiedział? Ilu chorych na wrzód żołądka walczyło pod Borodino? Ilu bohaterów z Termopil odrzuciłyby dziś komisje lekarskie ze względu na skrzywienie kręgosłupa? Ilu wojaków z kategoria 4 F padło pod murami Troi? No, pora wstawać!"

Hope zaczynała się poruszać. Odwróciła się w stronę męża i położyła mu rękę na ramieniu. Powoli, wracając z niebytu, upominała się w półśnie o swoje prawo własności. Wodziła ręką po piersiach i brzuchu Noego.

— Łóżko — mruknęła widocznie w związku z czymś, o czym śniła przed przebudzeniem.

Noe uśmiechnął się i mocno przygarnął ją do siebie.

— Która godzina? — zapytała dotykając wargami jego ucha. — Już rano? Musisz iść?

— Już rano — odpowiedział — i muszę iść. Ale uśmiechnął się i mocniej przytulił dobrze znajome smukłe ciało — ale myślę, że armia poczeka na mnie piętnaście minut.

Kiedy klucz zgrzytnął w zamku, Hope myśla włosy. Przyszła z pracy i zobaczyła, że mąż nie wrócił jeszcze z Wyspy Gubernatorskiej,

czekała więc na niego i nie zapalając światła krzątała się po domu w półmroku letniego zmierzchu. Miała głowę pochyloną nad wanną i oczy zalepione mydlaną pianą, gdy usłyszała kroki Noego w pokoju.

— Noe! — zawołała. — Jestem tutaj!

Szybko określiła włosy ręcznikiem i naga stanęła w progu. Noe miał twarz skupioną, opanowaną. Delikatnie położył dłonie na jej ramionach, wilgotnych jeszcze po splukaniu włosów.

— Stało się? — zapytała.

— Tak.

— A prześwietlenie?

— Widać nie wykazało niczego — odpowiedział spokojnym, rzeczowym tonem.

— Nie powiedziałeś, co było poprzednim razem?

— Nie.

Chciała zapytać dlaczego, lecz powstrzymała się, bo niejasno, intuicyjnie odgadywała powód.

— Powiedziałeś chociaż, że pracujesz w kluczowym przemyśle wojennym?

— Nie.

— Sama im wszystko powiem! — zawołała. — Pójdę tam! Pójdę! Żeby człowieka z bliźnami w płucach...

— Cicho, kochanie, cicho — przerwał jej łagodnie.

— To nonsens — podjęła starając się mówić logicznie, jak w akademickiej dyskusji. — Niedługo zaczniesz kwękać. Będziesz tylko ciężarem, zawadą. Tak czy inaczej, nie zrobisz z siebie żołnierza...

— Mogą spróbować. A nuż się uda. Nie chciałem odmawiać wojsku tej szansy. A zresztą — pocałował żonę za uchem — już zrobili ze mnie żołnierza. Zaprzysięgli mnie dzisiaj o ósmej wieczorem.

— Więc co tu robisz? — cofnęła się zdziwiona.

— Każdy dostaje dwa tygodnie na uregulowanie swoich spraw prywatnych — wyjaśnił rzeczowo.

— Czy w żaden sposób nie zdołam cię przekonać? Nie odwołasz się od decyzji komisji poborowej?

— Nie — odpowiedział cicho, prawie szeptem.

— Niech ich piekło pochłonie! — zawołała. — Dlaczego nie załatwili sprawy od ręki, za pierwszym razem? Dlaczego ci dranie nie mogą postępować jak ludzie z olejem w głowie? — krzyczała pod adresem komisji poborowych, lekarzy wojskowych, pułków w polu i polityków we wszystkich stolicach świata, pod adresem wojny i czasu, i własnej przyszelej męki.

— Cicho, kochana, cicho — powiedział znów Noe. — Tylko dwa tygodnie przed nami. Nie wolno ich marnować. Jadłaś już kolację?

— Nie. Przecież myję włosy.

— Kończ więc prędko. — Noe przysiadł na krawędzi wanny i smutno uśmiechnął się do żony. — Pójdziemy dzisiaj na kolację. Słyszałem o knajpie przy Drugiej Alei, gdzie dają steki najlepsze pod słońcem. Trzy dolary porcja, ale...

Hope padła mężowi do kolan. Mocno oplotła go rękami. — Kochany! Najdroższy! Jedynty!

Pogładził ją po nagim ramieniu, jak gdyby chciał utrwalić ten kształt w pamięci.

— Wiem już, jak ureguluję swoje sprawy prywatne — powiedział głosem, w którym prawie wcale nie było słycać drżenia. — Na dwa tygodnie zrobimy sobie urlop. Pojedziemy do Cape Cod. Dobrze? Wynajmiemy rowery, będziemy robić wycieczki. Będziemy pływać w morzu i codziennie jadać tylko trzydolarowe steki. Nie płacz, kochana. Proszę cię, nie płacz.

Hope wstała z klęczek. Mrugnęła kilka razy.

— Dobrze — odpowiedziała. — Widzisz, już nie płaczę. Nie będę płakać. Za kwadrans jestem gotowa. Poczekasz na mnie?

— Oczywiście. Ale pośpiesz się. Umieram z głodu.

Hope odwinęła ręcznik i kończyła suszyć włosy. Noe przyglądał się siedząc na krawędzi wanny. Od czasu do czasu zerkała w lustro na odbicie mizernej, skupionej twarzy. Dobrze wiedziała, że na długie, długie lata pozostanie jej w pamięci ten właśnie beznadziejny i tkliwy wyraz męzkowskich rysów — obraz utrwalony w chwili, kiedy Noe siedział na krawędzi porcelanowej wanny w nie posprzątej, jasno oświetlonej łazience.

Dwa tygodnie spędzili w Cape Cód w czystym aż do przesady schronisku turystycznym, gdzie maszt z amerykańską flagą zdobił mały trawniczek. Na kolację jadali homara z wody albo miejscowy przysmak: raki morskie duszone z jarzynami. Wylegiwali się na białym piasku, pływali w zimnej, roztańczonej wodzie, wieczorami zaś uczęszczali pilnie do kina. Nigdy nie rozmawiali o kronikach, nie wymieniali zdań na temat śmierci, klęsk i zwycięstw pokazywanych na drżącym ekranie i opiewanych buńczuczym, modulowanym głosem komentatora. Na wynajętych rowerach odbywali długie wycieczki nadbrzeżnymi szosami i śmiali się, ilekroć mijała ich pełna żołnierzy trzytonówka. Wojacy gwizdali w dowód uznania dla zgrabnych nóg

Hope, a pod adresem jej męża krzyczeli: „Czołem, panie cywil! Jaką masz kategorię? Niedługo się spotkamy!”

Nosy im się złuszczyły, włosy zeszywniały i pojaśniały od soli. Kiedy wieczorami kładli się do śnieżnobiałej pościeli w krytym gontami domku, ich nagie ciała pachniały morzem i słońcem. Prawie do siebie nie mówili, a dwa tygodnie zdawały się ogarniać całe lato, cały rok, wszystkie przeżyte lata. Czas zataczał łagodną spiralę wśród piaszczystych ścieżek i karłowatych jodeł, pośród gry słonecznych i gwiazdnych blasków na figlarnych falach, które pieści! delikatny powiew. Wiatr płynął od Vineyard i Nantucket, i od rozświetlonego oceanu, gdzie spokój zakłócały tylko mewy i żagle małych jachtów, i latające rybki swawolące w wodzie.

Następnie dwa tygodnie skończyły się nagle i trzeba było wracać. W Nowym Jorku ludzie byli bladzi, wyczerpani, zgnębieni upałem, toteż w porównaniu z nimi Noe i Hope czuli się zdrowi i silni.

Ostatniego rana Hope o szóstej przyrządziła kawę. Siedzieli naprzeciw siebie i popijali gorący, cierpki płyn z ogromnych kubków, które były ich pierwszą wspólną inwestycją domową. Później Hope szła obok męża przez puste słoneczne ulice, chłodne jeszcze wspomnieniem nocy, do obskurnego baraku, gdzie komisja rekrutacyjna miała swoją siedzibę.

Zamyśleni, dalecy już sobie, pocałowali się na pożegnanie. Noe wszedł do baraku i przyłączył się do niewielkiej grupki otaczającej biurko starszawego jegomościa. Człowiek ów służył zagrożonej ojczyźnie w ten sposób, że dwa razy na miesiąc wstawał o świcie, by udzielać ostatnich cywilnych instrukcji i wręczać bezpłatne bilety kolei podziemnej partiom rekrutów, którzy z lokalu komisji odjeżdżali na wojnę.

Noe wyszedł na ulicę i z kolumną pięćdziesięciu zatroskanych towarzyszy włókł się niechętnie w stronę odległej o kilka domów stacji metra. Przechodnie śpieszący do codziennych zajęć, do sklepów i warsztatów, po gospodarskie zakupy, do sprzątania, gotowania, robienia pieniędzy — patrzyli na rekrutów ciekawie i z niejaką grozą. Podobnie mogliby się gapić osiadli mieszczenie na ciągnącą ich ulicami gromadę pielgrzymów, którzy śpieszą z jakiejś nieznannej krainy na tajemnicze i porywające uroczystości religijne.

Z wejścia do stacji kolei podziemnej Noe zobaczył Hope. Stała przed oknem kwaciarni, w którym stary mężczyzna ustawiał gliniane dzbany geranii i duże błękitne wazy z mieczykami. Poranny

wietrzyk igra! z suknią Hope, niebieską w barwne kwiaty. Szyba wystawowa połyskiwała w słońcu, więc Noe nie mógł dojrzeć wyrazu twarzy żony. Spróbował przeciąć jezdnię, lecz przewodnik wyznaczony dla grupy przez starszego jegomościa z komisji rekrutacyjnej zawołał:

— Nie rozłazić się, chłopcy. Nie rozłazić!

„Co mógłbym jej powiedzieć albo ona mnie?” — pomyślał Noe.

Zamachał ręką, a w odpowiedzi Hope podniosła nagie, opalone ramię. Noe dostrzegł wtedy, że jego żona nie płacze.

„No, popatrzcie, ludzie, nie płacze” — rzekł do siebie i zeszedł pod ziemię. Przed sobą miał młodego chłopca nazwiskiem Tempasta, za sobą trzydziestopięcioletniego Hiszpana, który nazywał się Nuncio Aguilar.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ruda kobieta, której nie pocałował przed czterema laty, pochyliła się nad Michaeliem i obdarzyła go całusem. Obudził się wspominając mile marzenie sennie i rudowłosą zjawę.

Ukośne promienie słońca przenikały do pokoju szparami po bokach opuszczonej rolety i oprawiały okno w ramę złotych drobin pyłu. Michael przeciągnął się i złowił uchem pomruk siedmiu milionów ludzi wędrujących ulicami i korytarzami miasta. Wstał, podreptał po dywanie w stronę okna i podniósł zasłonę.

W soczystych, ciepłych blaskach wczesnego lata kąpały się ogródki i podwórka na tyłach domów, spłowiełe cegły starych murów, bluszcz pokryty kurzem i wyblakłe pasiaste markizy nad małymi tarasami, gdzie lokatorzy magazynowali połamane meble i rośliny w doniczkach. Naprzeciw okna Michaela stała na takim tarasie mała, pulchna kobieta w średnim wieku, ubrana w pomarańczowy kapelusz ogrodowy i stare białe spodnie, pocieszenie opinające wydamy zadek. Wolno pochyliła się nad doniczką pelargonii, zerwała kwiat, ułożyła na dłoni i jak gdyby oplakując jego zgon, smutno pokiwała głową. Później zdrowa i zadowolona z życia, spojrzała na swój miejski ogródek, odwróciła się i trzęsąc okrągłościami weszła do domu przez oszklone drzwi zasłonięte storą.

Whitacre uśmiechnął się kontent, że jest pogoda, że rudowłosa piękność pocałowała go wreszcie, że w ogródku naprzeciwko tłusta kobiecina z powabnym, ruchliwym tyłeczkiem litowała się nad zwiędłą pelargonią.

Umył się nie żałując wody i boso, w pidżamie podreptał przez gabinet do drzwi, aby otworzyć je i na podeście schodów znaleźć numer „Timesa”.

Kształtne, eleganckie czcionki „Timesa” zawsze przypominały Michaelowi mowy starszych wziętych adwokatów. Tego dnia na

pierwszej stronie gazety podano, że Rosjanie trzymają się mocno mimo dotkliwych strat; na francuskim wybrzeżu zaobserwowano liczne pożary wywołane bombami lotnictwa brytyjskiego; w Egipcie sytuacja jest chwiejna; ktoś odkrył nową metodę produkowania kauczuku syntetycznego w ciągu siedmiu minut, tylko trzy okręty zatonięły na Atlantyku; burmistrz Nowego Jorku poparł racjonowanie mięsa; ludzie żonaci winni liczyć się z możliwością powołania do szeregów, tempo działań japońskich chwilowo osłabło.

Whitacre zamknął drzwi, wygodnie usiadł na kanapie i odwróciwszy stronę gazety stracił z oczu krew nad Wołgą, atlantyckich topielców, żołnierzy ślepnących pośród piasków Egiptu, kauczuk syntetyczny, pożary we Francji, ograniczenia rosbefu. Zainteresował się wiadomościami sportowymi. Drużyna piłki nożnej Dodger — jak zawsze ambitna mimo przemęczenia — zwycięsko wyszła z jeszcze jednego dnia zacieklej wojny. Mimo nerwowej atmosfery meczu i awantur z sędzią wygrała spotkanie w Pittsburgu.

Zadzwoił telefon. Michael skoczył do gabinetu i podniósł słuchawkę.

— W lodówce jest szklanka soku pomarańczowego — przypłynął po drucie głos Peggy. — Pomyślałam, że miło ci będzie to usłyszeć.

— Dziękuję — odpowiedział. — Ale, ale, panno Freemantle! Na prawej półce z książkami zauważyłem kurz.

— Tere-fere-kuku!

— Słowo daję, wyczerpująca odpowiedź! — Michael delektował się wesołym, dobrze znanym głosem Peggy. — Ciężką masz dziś harówkę?

— Urabiam ręce po łokcie. Ładnie się popisałeś, kiedy odchodziłam. Leżałeś na grzbiecie w rozchełstanej pidżamie. Pocałowałam cię na do widzenia.

— Uroczą jesteś! A co ja zrobiłem?

Po krótkiej pauzie głos Peggy zabrzmiał matowym, trochę smutnym tonem:

— Zasłoniłeś twarz rękami i wymamrotałeś: „Nie chcę... Nie chcę..”

Michael przestał się uśmiechać. Zakłopotany potarł ucho.

— Ojciec sen robi nam różne psikusy — powiedział.

— Byłeś zalękniony. Nawet mnie wystraszyłeś — podjęła Peggy.

— „Nie chcę... Nie chcę..” — powtórzył z namysłem Whitacre.

— Czego, u licha, nie chciałem? W każdym razie teraz nie jestem

załękniony. Pogoda dopisuje, Dodger wygrywa w Pittsburghu, luba przygotowała mi sok pomarańczawy...

— Co masz zamiar dziś robić? — przerwała.

— Niewiele. Będę wałęsał się po mieście, gapił w niebo, przyglądał kobietom. Trochę popiję. Spiszę testament...

— Ach, dałbyś spokój! — przerwała poważnym tonem.

— Bardzo przepraszam.

— Kontem jesteś, że zadzwoniłam? — spytała ze świadomą kokieterią.

— Cóż, ten telefon był nieunikniony — odpowiedział przekornie.

— Wypchaj się trocinami, dobrze?

— Peggy!

Roześmiała się wdzięcznie.

— Zaprosisz mnie na kolację? — zapytała.

— Jak ci się zdaje?

— Myślę, że mnie zaprosisz. Przyjdź w szarym garniturze.

— W szarym? Jest przetarty na łokciach.

— Przyjdź w szarym garniturze. Lubię go.

— Zrobione!

— A co ja mam włożyć?

Po raz pierwszy w czasie rozmowy głos Peggy był niepewny, zatroskany, dziewczęcy. Michael zachichotał cicho.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała ostro.

— Powtórz to. Jeszcze raz specjalnie dla mnie powiedz: „Co ja mam włożyć?”

— Dlaczego?

— Bo twoje „co ja mam włożyć” bawi mnie, cieszy i budzi tkliwe współczucie dla ciebie i wszystkich kobiet na ziemi.

— Widzę — roześmiała się Peggy — że wstałeś dzisiaj z łóżka prawą nogą.

— Masz zupełną słuszność.

— A więc: co ja mam włożyć? Niebieską sukienkę w kwiaty, beżowy kostium z kremową bluzką czy...

— Niebieską sukienkę w kwiaty.

— Taka stara!

— Niebieską sukienkę w kwiaty.

— Dobrze. Włosy upięte czy rozpuszczone?

— Rozpuszczone.

— Ale...

— Rozpuszczone!

— Mój Boże! — westchnęła. — Będę wyglądała, jak byś ranie wyłowił z rzeki Harlem. Nie strach ci, że zobaczą nas twoi znajomi?

— Trudno, zaryzykuję.

— Tylko proszę cię, nie pij za dużo i...

— Daj spokój, Peggy.

— Przez cały dzień będziesz się wałęsał, żegnał z drogimi przyjaciółmi...

— Peggy! Słowo daję...

— Pilnuj się, bo do wojska powędrujesz zalany w pestkę.

— Będę się pilnował.

— Kontent jesteś, że zadzwoniłam? — Głos Peggy dźwięczał znowu tonem pensjonarskiej kokieterii.

— Tak, jestem kontent, że zadzwoniłaś.

— Tylko tego chciałam się dowiedzieć. Wypij sok pomarańczowy — powiedziała i przerwała połączenie.

Michael wolno odkładał słuchawkę. Uśmiechał się, wspominał Peggy. Przez chwilę siedział myśląc o niej. Potem wstał i przez gabinet pośpieszył do kuchni. Nastawił wodę i odmierzając trzy czubate łyżki kawy wdychał z lubością uwięziony w puszcze aromat. Następnie szykował boczek, jaja, krajał bułkę na grzanki. W przerwach pociągał długie łyki zimnego soku z pomarańcz i nucił wesołą melodię bez słów. Lubił przygotowywać śniadanie. Krzątał się wtedy sam po swoim kawalerskim mieszkaniu. W rozpiętej pidżamie, boso, dreptał po chłodnej podłodze kuchni. Pięć plastrów boczku rzucił na dużą patelnię i umieścił nad małym płomykiem gazowym.

W gabinecie zadzwonił telefon.

— Bodaj to diabli!

Michael odstawił z ognia boczek i wszedł do gabinetu. Niemal bezwiednie, jak mu się to często zdarzało, zwrócił uwagę, że pokój jest bardzo przyjemny: wysoki sufit, dwa weneckie okna umieszczone naprzeciwko siebie, a pod ścianami wszędzie regały, na których kolorowe okładki książek tworzą subtelną, delikatną wzór...

— Halo — odezwał się podnosząc słuchawkę.

— Hollywood, Kalifornia, wzywa pana Whitacre'a.

— Whitacre przy telefonie.

— Michael, mój kochany... — głos Laury głęboki i nienaturalny przyplłynął z drugiego końca kontynentu.

— Dzień dobry, Lauro — westchnął cicho Michael.

— W Kalifornii jest siódma — powiedziała Laura tonem mimowolnej urazy. — Wstałam o siódmej rano, żeby z tobą pomówić.

- Serdeczne dzięki.
 - Wiem wszystko. Robią z ciebie szeregowca. To okropne.
 - Nie takie znów okropne – uśmiechnął się Michael. – Całe tłumy znajdują się w analogicznej sytuacji.
 - Ale prawie wszyscy stąd są co najmniej majorami.
 - Wiem – obruszył się Michael. – Może to właśnie powód, żeby zostać szeregowcem.
 - Przestań pozować na potwornego oryginała! – wybuchnęła.
 - Na pewno nie wytrzymasz. Znam twój żołądek.
 - Trudno – odpowiedział poważnie. – Żołądek musi wstąpić do wojska ze wszystkimi częściami mego ciała.
 - Pojutrze będziesz tego gorzko żałował.
 - Bardzo być może.
 - Za dwa dni trafisz do aresztu. – Laura podniosła głos.
 - Sierżant powie coś, co ci się nie spodoba, a ty mu dasz po pysku. Dobrze cię znam.
 - Posłuchaj – odrzekł tonem perswazji. – W wojsku nikt nie bije po pysku sierżantów. Ja też tego nie zrobię.
 - Nigdy nie chciałeś słuchać niczyich rozkazów i nie słuchałeś. To jeden z powodów, dla których niepodobna było z tobą wytrzymać. Przecież żyłam z tobą trzy lata i wiem o tobie więcej niż...
 - Niewątpliwie, kochana Lauro – przytaknął nie tracąc cierpliwości.
 - Rozwiedliśmy się – ciągnęła bardzo szybko – ale nie ma pod słońcem człowieka, którego lubię bardziej niż ciebie. Wiesz chyba o tym?
 - Wiem – przyznał wierząc naprawdę jej słowom.
 - Nie chcę, żebyś pozwolił się zabić. – Zaczęła płakać.
 - Bądź spokojna, Nie pozwolę się zabić – odpowiedział łagodnie.
 - Nie zniosę myśli, że tobie będzie ktoś rozkazywał. To nonsens
- Michael pokręcił głową. Jeszcze raz uprzytomnił sobie przepaść dzielącą realny świat od jego niewieściej koncepcji.
- Nie troszcz się o mnie, kochana Lauro – przerwał jej.
 - Doprawdy, bardzo ładnie z twojej strony, że zatelefonowałaś.
 - Posłuchaj, Michael, coś postanowiłam – oznajmiła stanowczo.
 - Nie będę już brała od ciebie pieniędzy.
 - Dostałaś pracę? – westchnął Michael.
 - Nie. Ale dziś po południu mam być u Mac Donalda z Metro Goldwyn Mayer i...

— Zgoda — przerwał, bo jak najszybciej chciał wyczerpać drażliwy temat. — W czasie kiedy zarabiasz, nie będziesz brała pieniędzy. Bardzo dziękuję. Czytałem w gazetach, że wybierasz się za męża. Czy to prawda?

— Nie. Może po wojnie. On wstępuje do marynarki. Dostanie przydział w Waszyngtonie.

— Życzę szczęścia — bąknął Michael.

— Posłuchaj! Jeden asystent reżysera z „Republic” poszedł do lotnictwa. Z miejsca został porucznikiem. Do końca wojny nie ruszy się z Santa Anita. Rozumiesz? Oddział Propagandy. A ty masz być szeregowcem i...

— Daj spokój, moja miła. Zapłacisz za rozmowę pięćset dolarów.

— Dziwak z ciebie! Niemądry dziwak! Zawsze taki byłeś.

— Niewątpliwie, kochana Lauro.

— Napisz, dokąd cię wyślą?

— Tak.

— Przyjadę w odwiedziny.

— Cudownie!

Michael oczyma wyobraźni zobaczył swoją piękną eks-żonę. Niemal sławna twarz i figura... Futro z tchórzki... Laura czeka u bramy Fort Still w Oklahomie, a przechodzący żołnierze gwizdzą z uznaniem na jej widok.

— Doprawdy, nie wiem, co o tobie myśleć. — Laura płakała cicho, niewątpliwie szczerze. — I nigdy nie wiedziałam, i nie będę wiedzieć.

— Rozumiem, o co ci chodzi — powiedział Michael.

Przypomniawszy sobie, jak była żona spoglądała na niego poprawiając włosy przed lustrem, jak przypatrywała mu się nieraz, kiedy tańczyli, kiedy razem spędzali urlop... Na chwilę wzruszyły go odległe łzy. Pożałował zmarnowanych minionych lat — lat bez wojny i przymusowych rozstań.

— Do licha — podjął cichym głosem. — Przecież w końcu wsadzą mnie do jakiegoś biura.

— Nie pozwolisz na to — zaszlochała. — Dobrze cię znam. Nie pozwolisz!

— Armii nie można na nic pozwolić albo nie pozwolić. Robi, co chce, i ty robisz, co ona chce. Armia, moja miła, to nie Warner Brothers.

— Przyrzeknij mi, przyrzeknij... — Głos jej się załamał.

W tej chwili przerwano połączenie. Michael spojrzawszy na telefon i odłożył słuchawkę. Później wstał i wrócił do kuchni, gdzie szybko

uporał się z przyrządzaniem śniadania. Jaja na boczku, grzanki i gęstą czarną kawę zaniósł do gabinetu i ustawił na stole pod szerokim słonecznym oknem. Otworzył radio. Z odbiornika popłynął koncert fortepianowy Brahmsa – muzyka subtelna, natrętna, melancholijna.

Michael jadł bez pośpiechu. Grubo smarował grzanki marmoladą. Delektował się smakiem w miarę wysmażonych jaj i aromatem mocnej kawy. Dumny był ze swej sztuki kucharskiej i z przyjemnością słuchał łagodnych, smutnych tonów radiowej muzyki.

Otworzył „Timesa” na stronie poświęconej wiadomościom teatralnym. Czytywał tę stronę każdego rana z uczuciem głębszej codziennej depresji. Nieskończona, wciąż ta sama opowieść o zawiedzionych nadziejach i wyrzuconych w błoto pieniądzech; nieskończone, wciąż te same ostre uwagi krytyczne o jego zawodzie zakłócały spokój Michaela i sprawiały, że uważał się za głupca.

Rzucił na stół gazetę, zapalił papierosa i pociągnął ostatni łyk kawy. Potem wyłączył radio grające Respighiego, który nasycił poranne powietrze atmosferą jesiennego zmierzchu i rozsloneczniony pokój wypełnił upajającą ciszą. Michael siedział przy stole śniadaniowym, palił papierosa i półsennie spoglądał w dół, na ogródki i prosty pas ulicy, i ludzi pochłoniętych własnymi sprawami.

Niebawem wstał, wykąpał się i ogolił. Później włożył flanelowe spodnie i starą niebieską koszulę, miękką i ładnie wyblakłą od wielokrotnego prania. Prawie cała jego garderoba była spakowana, lecz w szafie wisiały jeszcze dwie marynarki. Whitacre zastanawiał się przez chwilę, jak gdyby dokonywał ważnego wyboru, na koniec jednak ubrał się w popielaty, mocno'znoszony blezer, lekki, wygodny, nie krępujący ruchów ramion.

Na ulicy czekał samochód. Lakier i chromonikiel połyskiwały pięknie po niedawnym czyszczeniu w garażu. Michael zapuścił motor, a gdy nacisnął drugi guzik, ubawił się (jak zwykle) leniwym, majestatycznym ruchem, jakim dach opadał.

Wolno jechał Piątą Aleją. Ilekroć w dzień roboczy prowadził wóz przez miasto, odczuwał taką samą po trosze złośliwą radość, jakiej doświadczył, gdy pierwszy raz usiadł przy kierownicy swojego pierwszego nowiuteńkiego samochodu i opuściwszy dach sunął w południe wzdłuż Piątej Alei. Czuł się wtedy bogaty, wolny, godny szacunku. Z góry patrzył na ludzi pracy – kobiety i mężczyźni – śpieszących, aby zjeść coś w przerwie obiadowej.

Jechał powoli szerokim szpalerem efektownych wystaw – okazałych, zalotnych i szczególnie kuszących w jasnych promieniach słońca.

Przed wielopiętrowym domem, w którym mieszkał Cahoon, zaparkował samochód i klucze oddał portierowi. Cahoon miał używać wozu i opiekować się nim aż do powrotu właściciela. Oczywiście rozsądniej byłoby samochód sprzedać, ale Michael był do niego przywiązany. Mała lśniąca maszyna przypominała mu najweselsze dni cywilnego życia: długie wiosenne wypadki na wieś i beztrioskie urlopy. Żył więc przesąd, że powinien ją zachować, w przeciwnym bowiem razie może nie powrócić.

Stanąwszy na własnych nogach poczuł się osamotniony i wolno ruszył ulicami wielkiego miasta. Nagle dzień rozciągnął się przed nim smutną pustką. Wstąpił do drogerii i zatelefonował do Peggy.

— Jestem przekonany — powiedział, kiedy usłyszał jej głos — że żaden z obowiązujących przepisów prawa nie zabrania mi spotkać się z tobą dwa razy w ciągu jednego dnia.

Peggy roześmiała się wesoło.

— Zaczynam być głodna o pierwszej po południu.

— Zafunduję ci obiad, jeżeli do tego zmierzasz.

— Właśnie do tego zmierzam — odpowiedziała i dodała ciszej i wolniej: — Cieszę się, że zadzwoniłeś. Mam ci do powiedzenia coś bardzo poważnego.

— Doskonale.. Jestem dziś nastrojony bardzo poważnie. A więc o pierwszej.

Z uśmiechem powiesił słuchawkę. Wyszedł na słoneczną ulicę i zmierzając w stronę kancelarii swojego adwokata myślał o Peggy. Dobrze wiedział, jaką to poważną sprawę chciała poruszyć podczas obiadu. Znali się od dwóch lat i te dwa lata przeżyli bogato, ciepło, może trochę smutno, ponieważ wojna zbliżała się dzień po dniu. W takich ponurych czasach małżeństwo jest niewyraźną, żalną sprawą. Ślub i pogrzeb, samotna mogiła, wdowa... Mąż-żołnierz dźwiga w tornistrze fotografię ciężką niby sto funtów ołowiu... Samotny wśród pełnej tajemniczych głosów nocy w dżungli z ponurą złością wspomina przekłętą godzinę uroczystych zaślubin. Ociemniały inwalida słucha szelestu drobnych kroków żony...

— Hej, Michael!

Whitacre odwrócił się, bo ktoś klepnął go zamasyżuje po ramieniu. "Był to Johnson ubrany we włochaty filtywy kapelusz z jaskrawą wstążką, w krawat ręcznej roboty na drutach i elegancką kremową koszulę pod ciemnoszafirowym blezerem.

— Od wieków pragnę się z tobą zobaczyć. Bywasz kiedy w domu?

— Ostatnio rzadko. Zrobiłem sobie wakacje.

Niegdyś Michael lubił spotykać się z Johnsonem i od czasu do czasu słuchać przy kolacji jego wywodów prowadzonych głębokim aktorskim głosem. Ale po zaciętej kłótni na temat paktu radziecko-niemieckiego nie uważał za możliwe rozmawiać uprzejmie przez cały wieczór z nim lub kimkolwiek z jego bliższych przyjaciół.

— ...zatem przyślę ci tę petycję — kończył zdanie Johnson i ująwszy Michaela pod rękę szybko ciągnął go chodnikiem, jako że nigdy i niczego nie robił powoli. — Twój podpis musi się pod nią znaleźć. To bardzo ważna sprawa.

— Jaka sprawa? Co za petycja?

— Do prezydenta. Chodzi o drugi front. Wszyscy chętnie podpiszą. — Głos Johnsona zabrzmiał tonem prawdziwego oburzenia. — To zbrodnia! Pozwalamy Rosjanom dźwigać całe brzemie.

Whitacre milczał.

— Nie wierzysz w drugi *front*?

— Naturalnie, wierzę. — Michael pokiwał głową. — Jak tylko będziemy mogli zacząć...

— Już możemy! — wybuchnął Johnson.

— Zapewne naczelne dowództwo obawia się zbyt wielkich strat — podjął Whitacre i nagle uprzytomnił sobie, że od jutra będzie nosił mundur, będzie nadawał się do lądowania na francuskich plażach. — Taka impreza może kosztować milion, półtora miliona ofiar...

— To nieeń kosztuje! — zawołał Johnson i jeszcze przyśpieszył kroku. — Gra warta świeczki! Rozumiesz? Dywersja na wielką skalę. Oplaci się nawet za cenę dwóch milionów trupów!

Whitacre zerknął spod oka na przyjaciela, na tego przyjaciela z kategorią 4 F zdobiącą jego wojskową kartę rejestracyjną. Johnson przemawiał głębokim głosem salonowca. Idąc okazałą, wielkowiejską arterią chciwie dopominał się o krew innych ludzi. Czuł się sprawiedliwy, pobożny, dlatego że na innym kontynencie Rosjanie walczyli jak lwy. Michael wyobrazil sobie rosyjskiego żołnierza, który przycupnął za kupą gruzów w Stalingradzie i z granatem w rękę czeka na zbliżający się czołg. Co pomyślałby ów żołnierz o wymownym, ubranym w kokieterijny kapelusz patriotcie nazywającym go bratem na nie zburzonej ulicy nie zburzonego miasta w Ameryce?

— Wybacz — powiedział Michael. — Chętnie zrobiłbym wszystko, aby pomóc Rosjanom, lecz moim zdaniem, decyzję winni podjąć specjaliści.

Johnson zatrzymał się wreszcie i uwolnił z uścisku ramię towarzysza. Wyraz gniewu i pogardy skurczył mu twarz.

— Posłuchają Michael, będę teraz szczerzy — przemówił. — Wstyd mi za ciebie.

Whitacre poważnie skinął głową. Był zakłopotany, bo gdyby wyznał, co się dzieje w jego sercu, zraziłby sobie Johnsona raz na zawsze.

*

— Od dawna cię obserwuję — ciągnął Johnson. — Od dawna widzę, że z dnia na dzień stajesz się coraz miększy i...

— Wybacz — przerwał Michael. — Złożyłem przysięgę jako żołnierz Republiki, a żołnierze Republiki nie wysyłają petycji w sprawach strategicznych do najwyższego zwierzchnika sił zbrojnych.

— To wykret.

— Bardzo możliwe. Na razie bywaj zdrów.

Michael odwrócił się, a kiedy odszedł dziesięć kroków, usłyszał suchy, chłodny głos:

— Życzę powodzenia!

Nie oglądając się pożegnał Johnsona ruchem ręki.

Idąc dalej, myślał z odrazą o Johnsonie i innych swoich znajomych. Jedni, jak Johnson uzbrojeni w tarczę wolnych od służby wojskowej zawodów, występowali niedorzecznie bojowo — drudzy pod cienkim lakierem patriotyzmu kryli cynizm i rezygnację.

„A to nie pora na rezygnację — myślał Whitacre. — Nie pora, by mówić «nie» i «być może». Nadszedł czas wielkiego TAK. Jestem zadowolony, że idę do wojska. Odczepię się przynajmniej od zrezygnowanych przeczuleńców, poetycznych biadaczy, łagodnych samobójców. Pochodzę z epoki krytyków i z ojczyzny krytyków. Każdy, kto ma ręce i nogi, krytykował powieści, wiersze, sztuki, rząd, politykę Anglii, Francji, Rosji. Od dwudziestu lat Ameryka jest klubem krytyków teatralnych, którzy powtarzają raz po raz: «Naturalnie, wiem, że w Barcelonie poległo tysiące ludzi, ale jakże nieudolnie w drugim akcie...» Epoka krytyków. Ojczyzna krytyków.”

Whitacre zaczynał pojmować, że właśnie z tej przyczyny był to żaloszny wiek i kraj jałowy. Rozumiał, że nadeszła pora płomiennej retoryki, bezlitosnej zemsty, melodramatycznych gróźb i przechwałek miotanych w nocne mroki. Rozumiał, że nadeszła pora oszałamiającego, zacieklego żołdactwa, upojonego wiarą, niebacznego na śmierć. Ale dokoła siebie nie widział szaleńczej wiary. Cywile zbyt lekceważyli wojnę, aby w nią wierzyć. Były za to knowania i podstępny ludźmi rozmiłowanych w sześcioprocentowych obligacjach i bloku agrarnym, i bloku wielkich interesów, i bloku pracy. Whitacre bywał w dobrych restauracjach i widywał biesiady obzartuchów, widywał galwaniczne

ożywienie kobiet i mężczyzn, którzy robią pieniądze i wydają je, zanim rząd zdąży położyć na nich rękę. Człowiek trzymający się z dala od wojska musi zostać krytykiem. A on chciał krytykować tylko wroga.

Michael siedział w pokoju z boazerią, oddzielony szerokością biurka od swego adwokata, i czuł się głupio czytając własny testament. Za oknami spoglądającymi z wysokiego piętra miasto pławiło się w słonecznym blasku. Ceglane wieże sięgały powiewnych błękitnych mgieł, nad statkami na rzece unosiły się pióropusze dymu. Nowy Jork wyglądał zupełnie tak samo jak co dzień, a on siedział z okularami na nosie i czytał: „Jedną trzecią wyszczególnionego wyżej majątku pozostawiam mojej byłej żonie, pani Laurze Roberts. W przypadku gdyby wyżej wymieniona wstąpiła w ponowny związek małżeński, zapis niniejszy traci moc prawną, a część przypadająca pani Roberts zostanie włączona do ogólnej masy spadkowej i podzielona w sposób następujący...”

Zabawne! Michael był zdrowy, silny. Napuszony język prawniczy wydawał mu się ohydny. Przez biurko spojrzął na swojego adwokata. Piper zaczynał łysieć i miał bladą, nalaną twarz. Wydymając pełne wargi podpisywał pliki papierów. Z przekonaniem robił pieniądze i żywił błogą nadzieję, że dzięki trójce dzieci i reumatyzmowi na pewno nie zobaczy wojny. Michael wolałby spisać ostatnią wolę własnoręcznie, własnymi słowami. Wstydził się, że w przyszłości zaprezentują go suche, przebiegłe zdania łysego prawnika, co nigdy nie usłyszy armatniego strzału. Testament powinien być zwięzły, wymowny, osobisty. Powinien odzwierciedlać życie człowieka, który go podpisuje i przekazuje nim swoje ostatnie zasoby i ostatnie życzenia.

„Matce, w dowód miłości, jaką do niej żywię, i uznania dla cierpień, które znosiła i dalej znosić będzie przez wzgląd na mnie i moich braci...”

„Byłej żonie pokornie wybaczam wszystko, mam nadzieję, że i ona mi wszystko wybaczy, i przez pamięć spędzonych wspólnie dobrych dni zapisuję...”

„Ojca, który miał ciężkie i tragiczne życie i tak walecznie prowadził swoją powszednią wojnę, spodziewałem się zobaczyć bodaj raz przed jego zgonem...”

Tymczasem Piper naszpikował jedenaście stron maszynopisu różnymi: „w przypadku gdyby...” i „pod warunkiem, że...”, jeżeli więc Michael umrze, przyszłość pozna go jako długą listę wielo-

sylabowych wyrazów, klauzul prawniczych i przemyślanych zastrzeżeń finansowych.

„Zapewne później — pomyślał — jak naprawdę uwierzę, że mogę polec, zdobędę się na drugi, lepszy testament.”

Na razie podpisał cztery egzemplarze.

Piper nacisnął dzwonek umieszczony na biurku i do gabinetu weszły dwie sekretarki. Jedna z nich piastowała godność notariusza, niosła więc w rękę pieczęć. Metodycznie ostemplowała wszystkie egzemplarze, a potem obie złożyły podpisy jako świadkowie.

„I znowu nie tak — pomyślał Michael. — Człowiek chciałby mieć za świadków ostatniej woli bliskich przyjaciół, którzy znają go od dawna i będą boleć po jego śmierci.”

W tej chwili spojrzął na kalendarz i zobaczył datę. Trzynasty! Nie był przesądny, ale tego już trochę za wiele!

Sekretarki wyszły z gabinetu. Adwokat wstał. Podali sobie ręce.

— Będę trzymał rękę na pulsie pańskich interesów — powiedział Piper. — Co miesiąc otrzyma pan sprawozdanie, jakie kwoty wpłynęły i ile wydatkowałem.

Cahoon przyznał Michaelowi pięć procent od sztuki Sleepera, a że sztuka szła dobrze i miała być filmowana, pieniądze powinny wpływać przez co najmniej dwa lata.

„Będę najbogatszym szeregowcem w armii Stanów Zjednoczonych” — pomyślał Whitacre.

— Nadal jednak utrzymuję — ciągnął prawnik — że winien pan upoważnić mnie do lokowania swoich dochodów.

— Bardzo panu dziękuję, ale nie skorzystam.

Wiele razy omawiali już tę kwestię. Piper w żaden sposób nie mógł zrozumieć stanowiska klienta. Sam skupował jakieś bardzo pewne akcje stalowe i uparcie proponował, że postara się o nie również dla Michaela. Ale Whitacre czuł silną, chociaż mgliście zarysowaną odrazę do robienia pieniędzy na pieniądzech. Wstydził się ciągnąć zyski z cudzej pracy. Raz próbował wytłumaczyć to Piperowi, lecz prawnik był zbyt trzeźwy, by słuchać podobnej gadaniny. Teraz więc Michael pokręcił tylko głową i podziękował z uśmiechem. Piper jeszcze raz uściśnął mu rękę.

— No, życzę szczęścia — powiedział. — Jestem pewien, że wojna skończy się niedługo.

— Oczywiście. Dziękuję, panie mecenasie — odrzekł Whitacre i wyszedł szybko, zadowolony, że wy dostał się z kancelarii adwokackiej.

Zawsze był niespokojny, jak gdyby osaczony, kiedy rozmawiał z prawnikami albo załatwiał z nimi jakieś sprawy. Dzisiaj wrażenie to prześladowało go jeszcze bardziej natarczywie.

Zadzwoił na windę. Była pełna sekretarek śpieszących na obiad. Pachniało w niej pudrem i rozbrzmiewał gwar licznych wyzwolonych nareszcie głosów. Zjeżdżając z czterdziestego piętra Michael zastanawiał się, jak te wesole, ruchliwe, młode osobki potrafią wytrzymać całe dnie pośród maszyn do pisania, urzędowych ksiąg, Piperów, pieczęci notarialnych i żargonu prawniczego.

Skręcił na północ i idąc Piątą Aleją w stronę restauracji, gdzie miał spotkanie z Peggy, czuł się coraz lżejszy, coraz bardziej beztroski. Ostatecznie zakończył oficjalne sprawy. Przez całe popołudnie i noc, aż do siódmej, kiedy musi się zameldować w komisji rekrutacyjnej, nie ciążył na nim żadne obowiązki. Władze cywilne zdążyły go zwolnić, a wojskowe nie objęły jeszcze w posiadanie. Była dopiero pierwsza. Na siedemnaście godzin i trzydzieści minut zawisnął między jednym życiem a drugim, jakby zerwał się z kotwicy!

Był wolny, niezależny, poruszał się więc rażno i przychylnym wzrokiem obejmował szeroką, słoneczną ulicę i zaaferowanych przechodniów. Podobnie mógłby przyglądać się swoim żyznym ziemiom plantator, który po solidnym śniadaniu wyszedł przed dom i kroczy po rozległym trawniku. Dla Michaela Piąta Aleja stanowiła trawnik. Nowy Jork — dobra, sklepowe witryny — spichlerze. Park — oranżerię, teatry — warsztaty, a wszystko to było w należytym porządku, dobrze prosperujące, zagospodarowane.

Whitacre pomyślał, że bomba mogłaby spaść na jasno oświetloną jezdnię między katedrą a gmachem Fundacji Rockefellera. Podejrzliwie spojrział na tłumy ciągnące szeroką arterią, aby przekonać się, czy z ich twarzy nie wyczyta obawy lub przeczucia takiej katastrofy. Ale twarze były równie obojętne jak zawsze. Ludzie śpieszyli żywo w swoich sprawach, jak gdyby wierzyli niezachwianie, że bomby mogą padać na Saville Row, Place Vendôme i Unter den Linden, na Piazza Vittorio Emanuele i Krasnaju Ploszczad, nigdy jednak świat nie odbiegnie od rozumnej, utartej rutyny tak dalece, by rozbić bodaj jedną szybę w Stanach.

Michael wędrował teraz Aleją Madisonsa, wzdłuż szarej ściany katedralnej. I tutaj można było wyczytać ze wszystkich twarzy, że nikomu nie powstało w głowie, iż bomba może spaść i w tym miejscu. Przed frontonem gmachu Towarzystwa Radiowego „Columbia” dwaj ubrani w letnie mundury porucznicy lotnictwa maszerowali sztywno,

jak przystało świeżo upieczonym wojakom. W wyrazie ich twarzy Michael dostrzegł myśl, że celem może być cały świat, nawet kamienne, ukwiecone dziedzińce Fundacji Rockefellera, nawet podniebny zamek dyktatorów radia. Porucznicy oddalili się szybko i Whitacre doszedł do wniosku, że zapewne się mylił. Może ich miny wyrażały jedynie troskę, by zaproszone na obiad dziewczęta nie wybrały najdroższych dań z karty!

Michael zatrzymał się przed witryną sklepu z kapeluszami. Był to elegancki sklep i kapelusze — miękkie brązowe i szare filce ze spokojnymi wstążkami — kosztowały po piętnaście lub dwadzieścia pięć dolarów. Ale za żadną cenę nie można tam było dostać hełmu ani brzydkiej furażerki, ani beretu, ani pilotki, ani odznak lotnictwa, piechoty czy służby zdrowia. Kapelusze przypominały Michaelowi nową kwestię. W wojsku trzeba będzie nosić jakieś nakrycie głowy, a on zawsze chodził bez kapelusza, nawet w deszcz czy śnieżyce. Od kapelusza dostawał bólu głowy. Oto pytanie: czy można będzie wytrzymać pięcioletni ból głowy, jeżeli wojna potrwa aż tak długo?

Szybkim krokiem ruszył w stronę restauracji, gdzie Margaret zapewne już czekała.

„Wojna rodzi rozmaite problemy—myślał po drodze. — Chociażby ta historia z nakryciem głowy. I jeszcze jedno: Sen mam bardzo lekki. Budzę się na najslabszy szelest. Trudno mi nocować z kimś w jednym pokoju. A w obozie wojskowym co najmniej pięćdziesiąt chłopów kwateruje w baraku. Czy zdołam obejść się bez snu do końca wojny? Albo idiotyczny problem toalety! Dla dobrze wychowanego Amerykanina dwudziestego wieku rytuał zamkniętych drzwi łazienki stanowi jedną z podwalin istnienia. Czy ważne funkcje fizjologiczne będą musiał powstrzymać aż do kapitulacji Hitlera?”

Ze wstrętem i zgrozą wyobraził sobie zwarty szereg żołnierzy przycupniętych groteskowo nad otwartymi klozetami. Westchnął i smutno rozejrzał się po rozslonecznionej alei.

„Łatwiej byłoby mi wytrwać i umrzeć w przesiąkniętych krwią okopach wiedząc, że pomoc nikąd nie nadejdzie, niż wkroczyć do latryny dla szeregowych. Świat nowoczesny licho przygotowuje człowieka do ciężkich prób, na jakie go wystawia.”

Był jeszcze problem życia płciowego. Może to tylko przyzwyczajenie — jak utrzymują liczne autorytety naukowe — lecz w każdym razie przyzwyczajenie silne i zakorzenione głęboko. Za czasów kawalerskich i po ślubie, w swobodnej, milej atmosferze lat trzydziestych i czterdziestych, Michael od siedemnastego roku swego życia utrzymywał

stale stosunki z kobietami. Kilkakrotnie z tych lub owych względów musiał obywać się bez kobiety przez tydzień albo dłużej. Przykro wspominał te okresy, kiedy buntowały się w nim soki młodości, zakłócały spokój, utrudniały pracę i w rezultacie nie pozwalały myśleć o czymkolwiek innym.

„Znajdę się w hordach mężczyzn, w surowej dyscyplinie koszar, na polach ćwiczeń i na trasach długich marszów, na biwakach *gdzieś* w obcych krajach. Trudno sobie wyobrazić, by w takich warunkach łatwo było o kobiety gotowe na skinienie szeregowca kryjącego anonimową twarz pod anonimowym hełmem. Gene Tunney, były mistrz świata w wadze ciężkiej opowiedział się za celibatem żołnierzy Republiki i uroczyście oznajmił, że powagi lekarskie jednogłośnie uznają cnotę za nieszkodliwą dla zdrowia. Ciekawe, co Freud odpowiedziałby pogromcy Dempseya?”

Michael uśmiechnął się, bo obecnie mógł się jeszcze uśmiechać, wiedział jednak, że wkrótce, kiedy będzie leżał bezsennie na wąskim łóżku pośród wezbranej męskim chrapaniem koszarowej nocy, znacznie słabiej przemówi do niego komizm sporu boksera z Freudem.

„Słodka, wygodna Demokracjo! — pomyślał. — Gotów jestem oddać życie w twojej obronie, ale inne ofiary wydają mi się nieporównanie trudniejsze.”

Po dwóch stopniach zeszedł do drzwi małej francuskiej restauracji. Śpieszył się, bo zobaczył przez okno, że Peggy czeka już w barze.

W restauracji był tłok. Margaret siedziała przy bufecie koło podchmielonego marynarza z jasnorudą czupryną. Michael często spotykał kochankę w podobnych okolicznościach i zawsze przez pierwsze dwie lub trzy minuty patrzył na nią w milczeniu. Delektował się spokojem jej wyrazistej twarzy o szerokim czole i bystrych oczach, podziwiał naturalną prostotę uczesania i wdzięk, z jakim nosi suknie. Wszystko najlepsze w Nowym Jorku znajdowało jakiś refleks w tej wysokiej, prostej, uczciwej dziewczynie. I z drugiej strony myśląc o mieście Michael wspominał przede wszystkim ulice, którymi spacerowali, domy, do których wchodziłi razem, wspólnie oglądane sztuki i wystawy obrazów, bary, gdzie do późna przesiadywali w zimowe wieczory. I tym razem patrzył na zaróżowioną po przechadźce twarz Peggy, na jej oczy rozjaśnione radością z raqi spotkania, na długą, mocną dłoń wyciągniętą w kierunku jego ręki. Patrzył i nie był w stanie uwierzyć, że ten urok i radość mogą kiedyś zniknąć, że on może wrócić i nie zastać Peggy nie zmienionej, takiej jak dzisiaj, jak zawsze...

Przy Margaret zapomniał nagle o smutnych i groteskowych sprawach, które prześladowały go w drodze z kancelarii adwokackiej. Uśmiechnął się poważnie, dotknął ręki dziewczyny i usiadł obok niej na wysokim stoiku.

— Co robisz po południu? — zapytał.

— Czekam.

— Na co?

— Na propozycje.

— Rozumiem. Już jedną otrzymałaś. Whisky z wodą — rzucił pod adresem bufetowego i zwrócił się do Peggy: — Pewien mój znajomy nie ma co robić aż do szóstej trzydzieści rano.

— Co powiem w biurze?

— Że ruchy wojsk przeszkodziły ci wrócić.

— Nie wiem, czy to wskazane. Mój szef jest przeciwny wojnie.

— Wyjaśnij, że wojska są też przeciwnie wojnie.

— Najlepiej chyba nic nie powiem.

— Ja mogę do niego zatelefonować — podchwycił Michael.

— Zawiadomię, że widziałem na własne oczy, jak płynęłaś w stronę placu Waszyngtona w strudze whisky z wodą.

— Kiedy mój szef nie pije.

— Słowo daję, to niebezpieczny cudzoziemiec!

Delikatnie stuknęli się szklankami. Michael spostrzegł w tej chwili, że rudy marynarz pochylił się w ich stronę i nie odrywa wzroku od Peggy-

— Słusznie — odezwał się marynarz.

— Za pozwoleniem — rzucił Michael świadomy, że już ma prawo przemówić ostro do mężczyzn w mundurach. — Z tą panią chcemy być tylko we dwoje!

— Słusznie.

Marynarz klepnął po ramieniu Michaela, któremu przypomniał się ów sierżant z Hollywood, co w dniu wybuchu wojny pochłaniał Laurę wygłodniałym wzrokiem.

— Słusznie — powtórzył jeszcze raz marynarz. — Podziwiam pana. Ma pan zupełnie zdrowe poglądy. Nie należy całować dziewczyny na ulicy i odjeżdżać na wojnę. Lepiej zostać w kraju i iść z dziewczyną do łóżka. Słusznie!

— Odczep się pan wreszcie! — wybuchnął Michael.

— Bardzo przepraszam. — Rzucił pieniądze na ladę i czystą białą czapczką nakrył czubek rudej głowy. — Tak mi się samo wyrwało. Słusznie! Wyjeżdżam dzisiaj do Erie w Pensylwanii.

Przesadnie pewnym krokiem odszedł od bufetu. Michael odprowadził go spojrzaniem, a następnie z uśmiechem zwrócił się do towarzyszek:

— Przedstawiciele naszych sił zbrojnych pozwalają sobie...

Nagle spostrzegł, że Peggy płacze. W ładnej brązowej sukni siedziała sztywno na wysokim stołku, a łzy płynęły jej po twarzy. Nie próbowała zasłaniać się rękami, wycierać oczu.

— Peggy... — zaczął Michael i zobaczył z uczuciem wdzięczności, że bufetowy zajął się czymś gorliwie i odwrócił głowę.

„Zapewne—pomyślał — barmani widują ostatnimi czasy niemało łez, rozwinęli więc technikę postępowania w takich przypadkach.”

— Peggy... — Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął palcami jej ramienia.

— Strasznie przepraszam — powiedziała. — Zaczęłam się śmiać i nie wiem, czemu tak się to skończyło.

W tej chwili zbliżył się starszy kelner i oznajmił z typowo włoską, nieszkodliwą werwą:

— Mamy już stół, panie Whitacre!

Michael zabrał nie dopite szklanki i za Peggy oraz kelnerem poszedł w stronę stolika pod ścianą. Zanim usiedli, dziewczyna przestała płakać, ale twarz jej straciła wyraz pogodnego ożywienia i wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle. Michael nigdy nie widział takiej Peggy-

, Obiad jedli w milczeniu. Michael liczył, że jego towarzyszka uspokoi się wkrótce. Zachowała się dziwnie, nie po swojemu. Dotychczas nie płakała jeszcze w jego obecności. Myśląc o niej wyobrażał sobie dziewczynę, która z przykładowym stoicyzmem znosi wszystko, co los zsyła. Nie skarżyła się nigdy, nie miewała napadów nieuzasadnionego rozdrażnienia, jakich należałoby się spodziewać u przedstawicielki płci pięknej, a więc Michael nie nauczył się pocieszać przyjaciółki i przeciwdziałać jej depresjom. Podczas obiadu zerkał na nią od czasu do czasu, ale Peggy uparcie spoglądała w talerz.

— Przykro mi — odezwała się wreszcie przy kawie dziwnie opryskliwym tonem — że się tak fatalnie zachowałam. Powinłam być wesółą, zdawkowym pocałunkiem odprawić dzielnego młodego wojaka: „Idź, kochanie! Pozwól sobie palnąć w łeb. Będę na ciebie czekać z cocktailem w ręku.”

— Peggy! Nie opowiadaj głupstw!

— Przypnij moją rękawiczkę do ramienia. Noś ją, kiedy cię odkomenderują do kuchni.

— Co ci się stało? — zapytał bezsensownie, bo dobrze wiedział, co się stało Peggy.

— Wszystko dlatego, że tak lubię wojny. Po prostu przepadam za wojnami. — Roześmiała się glucho. — Mój Boże! Dobrzy ludzie bawią się w wojenkę, a ktoś z moich przyjaciół mógłby nie zostać zastrzelony! To okropne!

Michael westchnął. Był przygnębiony, smutny, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że nie chciałby odnaleźć w Peggy jednej z owych kobiet-patriotek, co wojnę witają tak radośnie jak przygotowania do zaślubin i wesela.

Pomyślał o wojsku czekającym go nieodwołalnie dnia następnego o pół do siódmej rano. Pomyślał o kilku armiach nieprzyjacielskich czekających na dwóch krańcach świata, żeby go uśmiercić.

— Czego chcesz, Peggy? — zapytał. — Czego żądasz ode mnie?

— Niczego. Ofiarowałaś mi dwa bezcenne lata swojego życia. Czegóż więcej kobieta może wymagać? Idź teraz. Pozwól się zamordować. Twoją Złotą Gwiazdę powieszę na drzwiach damskiej toalety w Klubie Młodych Ojców.

Kelner podbiegł do stolika.

— Czy więcej można państwu służyć? — uśmiechnął się z włoską sympatią dla zamożnych kochanków, którzy jadają drogie obiady.

— Dla mnie koniak—odpowiedział Michael. — Co każesz podać, Peggy?

— Dziękuję, nic. Jestem absolutnie szczęśliwa.

Kelner odszedł poważnie.

„Gdyby w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku nie zaokrętował się w Neapolu — pomyślał Whitacre — byłby teraz w Libii, nie w knajpie przy Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy.”

— Ciekaw jesteś, co chcę zrobić po obiedzie? — zapytała ostro Margaret.

— Tak.

— Chcę zostać kobietą zamężną.

Wyzywająco, gniewnie spojrzała na Michaela nad poplamionym winem obrusem. Dziewczyna przy sąsiednim stoliku, pełna blondynka w czerwonym kostiumie, powiedziała w tej chwili do rumianego, siwego pana, w którego towarzystwie jadła obiad:

— Koniecznie musi mnie pan przedstawić swojej żonie. Jestem pewna, że pani Cawpowder to czarująca osoba.

— Słyszałaś, co mówiłam? — rzuciła szorstko Margaret.

— Tak. Słyszałem.

Kelner wrócił i postawił na stole mały kieliszek.

— Zostały nam już tylko trzy butelki — powiedział. — Takie czasy! Nigdzie nie można dostać-koniaku.

Whitacre podniósł wzrok na kelnera. Poczul bezsensowną odrazę do śniadej, głupiej, przymilnie uśmiechniętej twarzy.

— Założę się — powiedział — że w Rzymie nie mają takich kłopotów.

Włoch skrzywił się boleśnie, a Michaelowi wydało się, że słyszy, jak mówi do siebie: „Jeszcze jeden gość potępia mnie za winy Musso- liniego. Ach, ta wojna, przekłeta wojna!”

— Tak, proszę pana — odpowiedział kelner z uśmiechem. — Bar- dzo możliwe, że pan ma słuszość.

Cofnął się. Ledwie dostrzegalnym drżeniem rąk i żalonym grymasem na ustach wypierał się wszelkiej odpowiedzialności za włoską armię lądową, włoskie lotnictwo, włoską marynarkę.

— No i co? — zapytała głośno Peggy.

Michael milczał. Powoli ciągnął koniak.

— W porządku. Zrozumiałam.

— Widzisz — bąknął Whitacre. — Małżeństwo w obecnych warunkach nie miało by sensu.

— Naturalnie. Masz zupełną słuszość. Po prostu znudziło mi się, że giną tylko kawalerowie.

— Peggy... — delikatnie nakrył jej rękę dłonią. — Jesteś dziś niepodobna do siebie.

— Możliwe. A może dawniej byłam niepodobna do siebie? Niech ci się tylko nie zdaje — ciągnęła chłodno — że za pięć lat wrócisz, obwieszony medalami i przekonasz się, że czekam na ciebie i witam cię radosnym uśmiechem.

— Trudno — westchnął Michael. — Lepiej nie mówmy o tym.

— Ale ja chcę mówić.

— Więc dobrze, mówmy.

Margaret złagodniała, zmiękla jakoś. Widać było, że z trudem powstrzymuje łzy.

— Miałam zamiar być pogodna, wesola — podjęła drżącym głosem. — Idziesz na wojnę? Świetnie! Trzeba to oblać... Pewnie udałoby mi się, gdyby nie ten przekłety marynarz... Widzisz, martwię się, że mogę o tobie zapomnieć. W Austrii znałam jednego mężczyznę. Wierzyłam wtedy, że zachowam go w pamięci do końca życia. Był lepszy od ciebie... dzielniejszy, bardziej subtelny... W zeszłym roku jego kuzyn napisał do mnie ze Szwajcarii, że tego człowieka zamor-

dowali w Wiedniu. List przyszedł wieczorem. Miałam wtedy iść z tobą do teatru. W pierwszej chwili pomyślałam: „Nigdzie dzisiaj nie pójde. Nie zdołam!” Ale później stanąłeś we drzwiach. Spojrzałam na ciebie i zrozumiałam, że o tamtym zupełnie nie myślę. Zdawałam sobie sprawę, że nie żyje, ale nie pamiętałam o nim, chociaż niegdyś i jemu proponowałam swoją rękę. Widzę, że w tej dziedzinie mam diabelnego pecha.

— Daj spokój — szepnęła Whitacre. — Błagam cię, Peggy, daj spokój.

Ale Peggy mówiła dalej, z trudem hamując łzy w zamglonych, rozumnych oczach:

— Jestem głupia. Pewnie zapomniałabym tamtego, gdybyśmy się nawet pobrali. Pewnie zapomnę o tobie, jeżeli odjedziesz na długo. Chyba to niemądry przesąd, ale zdaje mi się, że wrócisz do domu, jeżeli urzędowo, formalnie będziesz miał prawo wrócić jako człowiek żonaty. Jeżeli w ogóle będziesz miał dom. Zabawne, prawda?... Tamten mężczyzna... Joseph... nie miał domu, nie miał nic na świecie. Może zamordowali go właśnie dlatego? — Urwała nagle. — Zaczekaj na ulicy. Niedługo wyjdę.

Uciekła do małej bocznej salki, gdzie pod oknem był niski bufet, a na zadymionych ścianach wisiały mapy rozmieszczenia winnic we Francji. Whitacre położył na stole należność i suty napiwek, którym chciał wynagrodzić włoskiego kelnera za własne grubiarstwo. Potem wstał i powoli wyszedł na ulicę.

Zatrzymał się przed drzwiami restauracji i zadumany palił papierosa.

„Nie — pomyślał wreszcie. — Stanowczo ona nie ma racji. Nie chcę dźwigać dodatkowego brzemienia. Nie pozwolę, by Peggy je dźwigała. Jeżeli naprawdę mnie zapomni, będzie to cena wojny, jeszcze jedna forma strat wojennych. Takie pozycje nie trafią do bilansu poległych i rannych żołnierzy ani skarbów puszczonech z dymem, lecz niewątpliwie nazwać je można również stratami wojennymi. Trudno z tym walczyć. Niepodobna.”

Peggy ukazała się w drzwiach restauracji. Włosy jej połyskiwały w słońcu, jak gdyby rozczesala je starannie w damskiej toalecie na piętrze. Twarz miała opanowaną, uśmiechniętą.

— Przebacz mi — powiedziała dotykając ramienia Michaela. — Bardziej niż ty dziwię się własnym wybrykom.

— Nic nie szkodzi, Peggy. Sam jestem dzisiaj w wisielczym nastroju.

- Jednego słowa nie mówiłam poważnie. Wierzysz mi, prawda?
- Oczywiście.
- Przy sposobności opowiem ci o tym znajomym z Wiednia. To interesująca historia... zwłaszcza dla żołnierza.
- Nie wątpię – odpowiedział uprzejmie. – Wysłucham jej z przyjemnością.
- A teraz... – Margaret rozejrzała się po ulicy i kiwnęła na taksówkę nadjeżdżającą wolno od Alei Lexington. – Myślę, że popołudnie spędzę przy pracy. Tak będzie lepiej, prawda?
- Nie ma potrzeby...
- Moim zdaniem, to rozumny pomysł – przerwała z uśmiechem.
- Wieczorem spotkamy się tak, jak byśmy wcale nie jedli dziś razem obiadu. Mnie to bardziej odpowiada, a ty znajdziesz rozmaite zajęcia.
- Naturalnie – zgodził się Whitacre.
- No, baw się dobrze, mój miły. – Pocałowała go lekko.
- A wieczorem przyjdź w szarym garniturze.

Nie oglądając się wsiadła do taksówki, która zaraz ruszyła. Michael patrzył, póki samochód nie zniknął za rogiem. Później wolno odszedł w przeciwnym kierunku cieniłą stroną ulicy.

Pół świadomie, pół nieświadomie próbował nie myśleć o Peggy. Tyle innych spraw miał na głowie. Wojna czyni z człowieka skąpca, każe mu gromadzić wszystkie wzruszenia na jej wyłączny użytek. Starania te niewiele pomagały i chociaż Michael był uparty, wracał myślami do Margaret. Znał siebie zbyt dobrze, by wierzyć, że przez dwa, trzy, cztery lata potrafi dochować wiary fotografii, wspomnieniom, jednemu listowi na miesiąc... Nie chciał też krępować przyjaciółki. Są przecież rozumną, uczciwą, czułą dla siebie parą, stoją jednak wobec problemu, który miliony ludzi dokoła nich musi rozstrzygać w taki lub inny sposób. I z problemem tym nie umieją poradzić sobie lepiej niż jakiś młody, naiwny, kompletnie ciemny drwal, co schodzi z rodzinnych wzgórz, żeby dostać karabin, a w domu zostawia swoją Córkę Sue... Michael wiedział, że nie pomówi z Peggy na ten temat ani dziś w nocy, ani w żadną inną noc do końca wojny. Ale wiedział również dobrze, iż w nocie wspomnień i tęsknoty na kontynentach, po których nigdy nie podróżował, będzie cierpiał myśląc o tym dniu późnego lata, a jakiś głos wewnętrzny będzie w nim wołał: „Czemu tego nie zrobiłeś? Czemu? Czemu?”

Potrząsnął głową, aby odegnać przykre myśli, i przesadnie żwawym krokiem szedł między szeregami brunatnych kamienic, miłych dla oka i ładnych w blaskach słońca. Niebawem minął staruszka, który

ciężko włókl się o lasce. Chociaż było ciepło, staruszek miał na sobie wełniany szalik i długi ciemny płaszcz. Twarz jego znaczyły wątrobiane plamy, a dłonie rysowały się żółto na rączce laski. Starzec zmierzył Michaela niezyczliwym wzrokiem, jak gdyby każdy młody mężczyzna poruszający się żywo stanowił osobistą zniewagę dla tego, który okutany szalikiem kuśtyka z trudem nad krawędzią grobu.

Spojrzenie załawionych, wodnistych oczu było tak dziwne, że Whitacre zatrzymał się i obejrzał, aby sprawdzić, czy nie zna tego człowieka, czy nie zasłużył czymś na jego niechęć. Ale starzec był mu zupełnie obcy.

„Głupcze — pomyślał. — Masz za sobą całą ucztę. Poznałeś smak wszystkich dań. Była zupa, ryba, białe i czerwone wino, burgund, bordeaux, zwierzyna, pieczone, sałata, sery. Teraz kiedy przyszło do deseru i koniaku, przekonałeś się, że słodczyce są gorzkie, a trunek drapie w gardle. Dlatego nienawidzisz biesiadnika, co później siadł do stołu. Chętnie zamieniłbym się z tobą, staruchu. Przeżyłeś dobre lata, najpiękniejsze lata Ameryki. Znałeś pełne optymizmu dni krótkich, mało krwawych wojen. Znałeś ożywczą, upajającą atmosferę początków wieku. Ożeniłeś się i przez dwadzieścia lat w tym samym domu zasiadałeś do stołu otoczony liczną gromadką dzieci, bo w twoich czasach wojowali tylko cudzoziemcy. Nie zazdrość mi, staruchu, nie zazdrość! Co to za szczęście, jaki dar losu mieć siedemdziesiąt lat w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku i być już prawie trupem! Współczuję ci z powodu ciężkiego płaszcza i starych kości, z powodu cieplej wełny dokoła zeszywniałej szyi i drżących rąk na nieodzownej lasce. Ale bardziej chyba powinienem współczuć sobie, chociaż mi ciepło, mam krzepkie dłonie i stąпам pewnym krokiem. Nigdy nie zmarznę w pogodny letni dzień. Nigdy ręce nie zdrzną mi ze starości. Wychodzę z teatru po pierwszym akcie i nie wrócę na drugi.”

Michael usłyszał za sobą stukot wysokich obcasów i spojrzał na kobietę, która go wyprzedzała. Miała na głowie duży słomkowy kapelusz z ciemnozieloną wstążką. Światło słoneczne precedzone przez szerokie rondo zabarwiało jej twarz różowym pastelowym tonem. Prosta seledynowa suknia wdzięcznymi fałdami marszczyła się na biodrach. Nogi bez pończoch były opalone. Szybko wyprzedzając Michaela udawała uparcie, że nie widzi jego dyskretnych, lecz pełnych uznania spojrzeń. Michael podążył wzrokiem za kształtną, smukłą sylwetką i uśmiechnął się, kiedy nieznajoma bezwiednie podniosła rękę

i poprawiła włosy, jak gdyby potwierdzała tym gestem fakt, że młody mężczyzna zwrócił na nią uwagę i wyraził spojrzeniem, iż jest urodziwa.

„Nie, nie, staruchu! — pomyślał Michael i uśmiechnął się wesoło. — Zmieniłem zdanie. Odejdź i zemrzyj spokojnie. Masz na drogę moje błogosławieństwo. Ja z przyjemnością zasiądę do stołu.”

W godzinę później pogwizdywał zbliżając się do baru, gdzie miał spotkać Cahoon i pożegnać się z nim przed odjazdem na wojnę.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W pewien wieczór podczas bogatego w wydarzenia, upalnego lata tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku w kantine dla szeregowców w Fort Dix (stan New Jersey) przy długim szynkwasio, gdzie sprzedawano lekkie piwo, rekruci rozmawiali o rozmaitych sprawach.

Mówili:

— Jak Boga kocham, mam tylko jedno oko. Mówię o tym skurwysynom, a oni: „A, jedno? W porządku. Dostaniecie Jeden A.” No i jestem tutaj.

— Mam dziesięcioletnią córkę. Ale to nic! Dranie dowiedzieli się, że jestem rozwiedziony, i rąbnęli mi Jeden A. Akurat do mnie musieli się przyczepić, chociaż stan roi się od bezdzietnych kawalerów.

— W starym kraju, jak chcieli cię brać do wojska, szedłeś do specjalisty i dostawałeś przepuklinę. Cwaniak raz pomacał palcem i ruptura gotowa. Byłeś bezpieczny na pięćdziesiąt wojen. A w Ameryce powiadają: „Synku uregulujemy cię. Za dwa dni będziesz miał jąderka jak nowe. Jeden A.”

— To się nazywa piwo? Wszystko, do czego rząd przyłoży łapy, zaczyna śmierdzieć, nawet piwo!

— Grunt to plecy. Jeżeli masz chody w komisji rekrutacyjnej, zwolnią cię z powodu delikatnego zdrowia, chociażbyś pobił w dwu rundach Joe'ego Louisa.

— Bebechy mam tak owrzodzone, że krwawią, jak zadzwoni telefon. A te świny mówią: „Prześwietlenie nic nie wykazuje. Jeden A.” Będę zadowolony dopiero, jak wyciągnę kopyta. Cholera! Pogrzeb z honorami wojskowymi na cmentarzu Arlington i medal za nadkwasotę. Mam gdzieś to wszystko! Nie tknąłem jeszcze wojskowego zarcia, ale długo nie wytrzymam. Niech raz wrąbię te ich parówki, ser

i roślinne masło, a będą mieli trupa. Ostrzegalem, jak kogo dobrego, ale nic nie pomogło. „Jeden A.”

— Chętnie służę ojczyźnie, ale nie podoba mi się, że co miesiąc będą mi ściągać z żołdu dwadzieścia dwa dolary i posyłać żonie. Od jedenastu lat z nią nie żyję. Od jedenastu lat dziwka sypia z kim popadnie. Poznała wszystkich mężczyzn, starych i młodych, stąd do Słonego Jeziora. Czy ja powinienem za to płacić dwadzieścia dwa dolary miesięcznie?

— Jak mnie zdemobilizują, zabiję przewodniczącego mojej komisji. Tłumaczę mu, że chcę wstąpić do straży przybrzeżnej, że złożyłem już podanie, bo kocham morzę. A on na to: „Jeden A. Lepiej naucz się pan kochać ład.”

— Posłuchaj, bracie. Jak będzie zbiórka, staraj się zawsze stanąć w środku. Nie z tyłu, nie z przodu, nie z boku tylko w środku. Kapujesz? Wtedy nie wyznaczą cię do roboty. Kapujesz? No i od rana do wieczora wiesz z namiotu, jak możesz. Dranie chodzą po całym obozie, węszą i niech zobaczą, że ktoś leży brzuchem do góry, zaraz go za kark i do pracy. Każą rozładowywać samochody przy magazynach.

— Mógłbym jak nic zostać oficerem. Ale nie było na to czasu. Komisja rekrutacyjna miała na mnie apetyt. Piekielny apetyt, i to zaraz!

— Widziałeś tych dwóch frajerów, co w pełnym rynsztunku maszerują tam i z powrotem przed kancelarią? Łażą już pięć dni tam i z powrotem, tam i z powrotem... Zrobili chyba po dwieście mil. Raz wyskoczyli do Trenton i ledwie zdążyli lyknać dwa piwa, sierżant ich przyuwał. Będą tak spacerować aż do odjazdu z Fort Dix. Za dwie szklanki piwa? Rozumiesz? I mówi się, że żyjemy w wolnym kraju!

— Jak wezwą cię do kancelarii i będą pytać, co umiesz, gadaj, że piszesz na maszynie. Umiesz, nie umiesz, wszystko jedno! Gadaj, że piszesz na maszynie. Nasza armia przepada za maszynistami. I jedno murowane: maszyn do pisania nie stawia się tam, gdzie lecą kule. Gadaj, że piszesz na maszynie, a jak przydzielą cię do piechoty, możesz posłać mamuni ładny list, że nic ci nie grozi i żeby zaczęła składać forsy na obławianie Złotej Gwiazdy.

— Nasza armia myśli o członku męskim więcej niż młoda Hiszpanka w noc poślubną na równiku. Jestem w wojsku od dwunastu godzin i już mi go oglądali trzy razy. Do pioruna! Z kim mamy wojować? Z Japończykami czy z damską drużyną hokeja na trawie?

— W lotnictwie mają wszystkiego po dziurki w nosie.

— Najtrudniej zginąć w artylerii.

— Pierwszy raz od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku będę spał z dala od żony. Nie wiem, czy wytrzymam.

— Wiesz, stary, że w kantynie darmo będziemy fasować kondomy!

— A Pismo święte w papierowej oprawie można kupić za dwadzieścia pięć centów.

— Niech to Ucho! Już zamykają!

Michael Whitacre ociężały od piwa zeszedł po kilku zaplutyh stopniach kantyny dla szeregowców i stanął na wydeptanej ziemi stanu New Jersey pod usianą gwiazdami kopułą letniego nieba. Był ubrany w sztywne zielone dreluchy ćwiczebne, cuchnące składem gotowej tandety. Niezdarnie poruszał obolałymi nogami, bo nowe, twarde buty zdążyły już odparzyć mu pięty. Szedł między namiotami drogą przecinającą rejon kompanii i patrzył na otaczające go nowe życie. Dwie objuczone postacie maszerowały tam i z powrotem, płacąc za nie dopite w Trenton piwo. Na wydeptanym trawniku żywo toczyła się rozpoczęta dnia poprzedniego gra w kości, która mogłaby trwać do śmierci hazardzistów lub do japońskiej kapitulacji. Samotne, zadumane figury stały między linkami namiotowymi i smutno gapily się w nocne niebo. Kilku żołnierzy zwijało w tobołki swoje cywilne ubrania, żeby oddać je na Czerwony Krzyż. Starsi szeregowcy, obdarzeni niezwykle przywilejami, wynieśli dygnitarze, których staraniem kompania funkcjonowała jako tako, wołali ochryplymi głosami: „Za dziesięć minut gaszenie świateł! Uwaga! Za dziesięć minut gaszenie świateł!”

Michael wszedł do namiotu oświetlonego gołą czterdziestowatową żarówką i szybko zrzucił dreluchy i buty. Pod szorstkie koce wsunął się w bieliznie, bo wstyd mu było z pidżamą ruszać na wojnę.

Najbliżej wejścia do namiotu leżał rekrut z Elmiry. Ten zgasił światło. W obozie przejściowym spędził już trzy tygodnie, bo był weterynarzem i władze wojskowe chciały mu znaleźć przydział, na którym mógłby się przydać mułom, o muły jednak nie tak łatwo w nowoczesnej armii. Rekrut z Elmiry zgasił światło, gdyż najdłużej kwaterował w namiocie i jako weteran czuł się oczywiście odpowiedzialny za drobne sprawy porządkowe.

Sąsiad Michaela z prawej strony już chrapał. Był to Sycylijczyk i udawał, że umie czytać i pisać. W obozie miał czekać trzy miesiące, ponieważ przed uzyskaniem przez niego obywatelstwa armia nie mogła zdecydować, co z nim zrobi.

O reszcie lokatorów namiotu Michael nic nie wiedział. Leżąc teraz w ciemnościach słuchał chrapania Sycylijczyka i rozkazu gaszenia

światel powtarzanego przez megafony. Capstrzyk brzmiał groźnie, ponuro nad rozległym obozem zgonionych w stado mężczyzn — już nie cywilów, a jeszcze nie żołnierzy — których chwilowo przygotowywano do śmierci za ojczyznę w sposób najbardziej pobieżny i ogólnikowy.

„No i jestem tutaj — rozmyśla! Michael wdychając odór wojskowego koca. — Załatwione. Powinienem był zgłosić się dobrowolnie pierwszego dnia. Nie zrobiłem tego. Mogłem się wymigać, ale i tego nie zrobiłem. Leżę w namiocie pod sztywnym kocem. Wiedziałem, że tak się musi skończyć. Ten namiot, koc, chrapiący dokoła ludzie czekali na mnie od trzydziestu trzech lat. Teraz zrównali się ze mną i ja się z nimi zrównałem. Oto początek pokuty. Zaczynam płacić za swoje śmiałe poglądy, wygodne życie, dobre obiady i miękkie łóżka. Zaczynam płacić za łatwe dziewczynki i łatwo przychodzące pieniądze, za trzydzieści trzy lata wakacji, które skończyły się dziś rano, kiedy sierżant zawołał: «Hej, wy! Podnieście no ten niedopalek!*

Mimo jęków, płaczu, gwizdania, krzyków, którymi huczał namiot, rekrut Whitacre łatwo zapadł w drzemkę i bez marzeń przespał do rana.

General zjechał na inspekcję pierwszych linii, a że tryskał optymizmem, wszyscy odgadli, że coś się święci. Odgadli nawet, że święci się coś wielkiego, bo optymizmem tryskała cała świta: dziesięciu tęgich, wymuskanych, błyszczących sztabowców, uzbrojonych w lornety i mapniki. Był tam nawet jakiś włoski generał. Dowódca korpusu zachowywał się nader rubasznie. Wybuchał śmiechem gawędząc z żołnierzami, zamasyście klepał ich po plecach, ba! nawet uszczypnął w policzek osiemnastolatka, który z ostatnim uzupełnieniem przybył do drużyny Himmlera. Stanowiło to nieomylny znak, że bardzo wielu żołnierzy polegnie tak lub inaczej, i to niedługo.

Ale nie brakło i innych zapowiedzi. Przed dwoma dniami Himmler był w dowództwie dywizji i dowiedział się z radia, że Anglicy palą papiery w swoim sztabie w Kairze. Anglicy mają widać niewyczerpane zapasy papierów do palenia. Palili w lipcu, palili w sierpniu. Obecnie jest październik i znowu palą!

Himmler słyszał również, jak spiker radiowy opowiadał, że ogólny plan strategiczny przewiduje zajęcie Aleksandrii i Jerozolimy, a w ostatecznej fazie połączenie z Japończykami w Indiach. Oczywiście brzmiało to trochę zbyt ambitnie i efektownie dla ludzi, którzy od miesięcy tkwili w jednym miejscu pod zabójczym afrykańskim słońcem. Ale wiadomość była na ogół pocieszająca i przynajmniej dowodziła, że generał ma jednak jakiś plan.

Noc mijiała spokojnie, tylko od czasu do czasu zagrzechotała krótka seria albo błysnęła rakietą. Księżyc świecił na bladym, inkrustowanym gwiazdnym pyłem niebie, łączącym się łagodnie z szarym bezmiarem pustyni.

Christian stał sam. Pod pachą trzymał pistolet maszynowy i wzrokiem wodził po cienistych plamach, za którymi czyha nieprzyjaciel.

Ale Anglicy nie dawali znaku życia, a senniej nocy nie zakłócali również Niemcy, choć tysiące ich znajdowały się w pobliżu.

Noc ma dobre strony. Człowiek może poruszać się swobodnie, bez obawy, że jakiś Anglik obserwuje go przez lornetkę i zastanawia się, czy warto zaryzykować jeden czy dwa pociski. I nocą nie dręczy smród — ów nieodłączny towarzysz wojny w pustyni. Wody brakuje oczywiście do wszystkich celów, nawet do picia, nikt się więc nie myje. Tydzień po tygodniu żołnierz poci się w tych samych łachach. Bielizna gnije z nim razem, skóra piecze i swędzi niemilosiernie. Ale bardziej dokuczają smród. Rodzaj ludzki jest znośny jedynie wówczas, gdy raz po raz zmywa obmierzłe soki życia. Dobrze chociaż, że można przywyknąć do własnego zaduchu, bo inaczej nie obesłoby się bez samobójstw. Siebie człowiek nie czuje, ilekroć jednak zbliży się do kogoś, smród uderza niby obuchem.

Noc zatem przynosiła pewną ulgę, cenną dla sierżanta Diestla, który od przybycia do Afryki niewiele zaznał dobrego. Prawda, że Niemcy zwyciężali i odbyli w tym czasie pochód z Bardii do obecnych stanowisk, odległych o siedemdziesiąt mil od Aleksandrii. Ale zwycięstwo, chociaż abstrakcyjnie cieszy, nie przynosi osobistych korzyści oddziałom frontowym. Niewątpliwie ma wielkie znaczenie dla czystych, wystrojonych oficerów w rozmaitych sztabach. Zdobywanie miast czci się tam zapewne dobrym obiadem z winem i piwem. Żołnierzowi z pierwszej linii wygrane bitwy mówią tylko, że tak samo jak dotąd może zginąć następnego rana albo żyć w płytkim piaszczystym dole; że towarzysze broni będą tak samo cuchnąć w gorącym wichrze triumfu jak pod chmurami kłęski. Przez cały ten czas Christian czuł się znośnie tylko na tyłach, w Cyrene, dokąd go odesłano na dwa tygodnie, kiedy zachorował na malarię. Było tam zielono i chłodniej, a pływanie w Morzu Śródziemnym stanowiło miłą rozrywkę.

Kiedy Himmler oznajmił (powołując się na autorytet radia), że plan niemieckiego sztabu generalnego przewiduje marsz na Aleksandrię i Kair, a następnie spotkanie z Japończykami w Indiach, Knuhlen, który przybył z ostatnim uzupełnieniem i po trosze zajął opróżnione przez Himmlera miejsce kompanijnego wesolka, roześmiał się i powiedział:

— Kto chce, niech idzie dalej spotykać Japończyków. Ja tam, za przeproszeniem, wolę pozostać w Aleksandrii.

Christian przypomniał sobie niewyszukany dowcip Knuhlena i uśmiechnął się w ciemności. „Po tamtej stronie pół minowych nie opowiadają chyba dzisiaj kawałów” — pomyślał.

Nagle po tamtej stronie pól minowych błysnęło na całej linii i po ułamku sekundy rozległ się huk. Christian upadł na piasek, w chwili gdy dookoła poczęły wybuchać granaty.

Sierżant Diestl otworzył oczy w zupełnej ciemności, zorientował się jednak, że jest w ruchu. Zdał sobie także sprawę, iż ma towarzystwo, bo poczuł zaduch — ohydną mieszaninę smrodu nigdy nie zmywanych paryskich pisuarów, ropiejących ran i zimowych łachów nędzarzy. Przypomnił sobie chichot pocisków nad głową i znów opuścił powieki.

Jechał ciężarówką. Co do tego nie miał wątpliwości. I wojna nie skończyła się jeszcze, bo gdzieś, niezbyt daleko, odzywał się ogień artyleryjski. I musiało zdarzyć się coś strasznego, bo w ciemnościach słychać było płacz i zdanie wymawiane raz po raz między chlipnięciami:

— Nazywam się Ryszard Knuhlen, nazywam się Ryszard Knuhlen...

Powtarzał to w kółko, jak gdyby chciał dowieść sobie, że nie oszalał i wie dokładnie, kim jest i co robi.

Christian zapatrzył się w ciemności na cuchnącą plandekę, która trzepotała nad nim głośno. Ręce i nogi bolały go, jak gdyby miał połamane kości. W piekących uszach szumiało. Przez pewien czas leżał bez ruchu i w czarnym wnętrzu samochodu rozważał smutny fakt, że umiera.

— Nazywam się Ryszard Knuhlen, adres Karl Ludwigstrasse 3. Nazywam się Ryszard Knuhlen, adres...

— Stul pysk! — warknął Christian i zaraz poczuł się lepiej.

Próbował nawet usiąść, lecz stwierdził, że to zamiar zbyt ambitny, położył się więc na wznak i zaczął obserwować grę różnobarwnych światel pod przymkniętymi powiekami.

Płacz i monotony głos umilkł, zaraz jednak odezwał się ktoś inny:

— Mamy się spotkać z Japończykami. Cha, cha, cha! Już wiem gdzie. Wiem! Wiem! Wiem! — powtarzał ochrypły głos przy akompaniamencie szalonego śmiechu. — W Rzymie! Na balkonie Benita w Rzymie. Powiem temu facetowi z radia, żeby...

W tej chwili Christian zorientował się, że to mówi Himmler, i przypomniał sobie część wydarzeń ostatnich dziesięciu dni.

Pierwszej nocy nawała artyleryjska była ciężka, ale na dobrze okopanych stanowiskach dostali tylko Mayer i Heiss. Teren oświetlały rakiety, smugi reflektorów i czołg płonący za niemieckimi liniami. Na

przedpolu widać było nagle benzynowe ogniki, którymi angielscy saperzy wytoczyli oczyszczone z min drogi dla broni pancерnej i piechoty. Przy nagłych silniejszych błyskach pokazywały się małe figurki poruszające się żywo pod osłoną nawaly. W tyle zahuczały niemieckie działa. Tylko jeden nieprzyjacielski czołg dotarł blisko i został ostrzelany z wszelkiej broni rozmieszczonej w promieniu tysiąca metrów. Kiedy po chwili otworzyła się kłapa wjazdu, Christian zdziwił się, że wychodzący z czołgu człowiek płonie jasnym płomieniem.

Po nawale artyleryjskiej uderzenie na tym odcinku trwało tylko dwie godziny i odbyło się w trzech falach. Na przedpolu zostawiło po sobie siedem unieruchomionych czołgów i rozrzucone dokoła nich liczne trupy. Czołgi miały poszarpane gaśnice i sterczały w piasku, nachylone pod dziwaczными kątami. Wszyscy byli zadowoleni. Kompania straciła zaledwie pięciu ludzi, toteż z rana, kiedy strzelanina przycichła, Hardenburg z wesołym uśmiechem poszedł do dowództwa batalionu, aby złożyć meldunek o przebiegu akcji.

W południe armaty przemówiły znowu i na polach minowych pojawił się cały szwadron pancerny. Czołgi majaczyły niewyraźnie w gęstych tumanach pyłu. Tym razem linia została przerwana, lecz piechotę brytyjską zatrzymano przed stanowiskami kompanii Hardenburga, a nieliczne pozostałe czołgi zaczęły się wycofywać. Od czasu do czasu odwracali się groźnie i strzelały z dział, jak gdyby chciały pożegnać nieprzyjaciela, zanim wyjdą z zasięgu skutecznego ognia. Ledwie Niemcy zdążyli odetchnąć, artyleria brytyjska rozpoczęła znowu ogień i ostrzeliwała uparcie odkryty teren, na którym służba zdrowia opatrywała rannych. Ludzie umierali wśród jęków i wrzasków, lecz nikt nie mógł wyjść z okopu, by im pośpieszyć z pomocą. Zapewne wtedy Knuhlen poczał szlochać, a Christian oszołomiony i nieco zdziwiony pomyślał: „No, biorą się na całego do roboty!” Wszystko to pamiętał wyraźnie. Później zaczął się trząść. Sztwywniejącymi rękami macał krawędź dołu, w którym siedział, a kiedy wreszcie wychylił głowę, wydawało mu się, że tysiące Anglików biegnie w jego stronę i wylatuje na minach. Niskie jak pluskwy kariery zabawnie podrygiwały między piechurami i bez przerwy waliły z karabinów maszynowych. Sierżant Diestl miał ochotę wstać i zawołać: „Panowie! Grubo się mylicie! Ja cierpię na malarię. Jestem pewien, że nie zechcecie obarczać sumień zabójstwem człowieka chorego!”

Tak działo się przez wiele dni i wiele nocy. Fale gorączki przychodziły i opadały. W południe Christianem trzęsły lodowate

dreszcze. „Nikt mi nigdy nie mówił — myślał od czasu do czasu z tępa niechęcią — że to może trwać tak długo. Nikt mi nigdy nie mówił, że w podobnych warunkach będę przechodził malarię.”

Nagle wszystko przycichło i Christian pomyślał: „Aha, wciąż tkwimy na miejscu. Anglicy poszaleli chyba, że próbowali nas ruszyć.” Na klęczkach usnął w swoim dole. W sekundę później zorientował się, że Hardenburg szarpie go, spogląda mu w twarz z góry i mówi: „Co z wami, sierżancie? Życie czy nie, do cholery?” Próbował odpowiedzieć, lecz szczękał tylko zębami i z wysiłkiem podnosił ołowiane powieki. Uśmiechnął się więc czule do porucznika, który chwycił go za kołnierz i powlókł dokądś niby worek kartofli. Christian rozglądał się i poważnie kiwał głową na widok trupów leżących dookoła. Zdziwił się trochę, że jest ciemna noc, a w pobliżu stoi ciężarówka z silnikiem na chodzie.

— Stul pysk! — zawołał głośno, bo ktoś płakał i mówił: — Nazywam się Ryszard Knuhlen...

Później, w ciemnościach, pod śmierzdzącą plandeką, na drewnianej podłodze skaczącej tak, że aż kości trzeszczały, ten sam człowiek płakał i powtarzał raz po raz:

— Nazywam się Ryszard Knuhlen, adres Karl Ludwigstrasse 3.

Kiedy Christian ocknął się naprawdę i zrozumiał, że chyba nie umrze w tej chwili, pomyślał beznamiętnie: „To odwrót, a ja mam malarię. Chciałbym zobaczyć generała. Ciekawe, czy i dzisiaj jest taki wesolutki?”

Nagle samochód stanął i Hardenburg odsunął tylną plandekę.

— Wysiadać! — krzyknął. — Wszyscy wysiadać!

Ciężko, powoli, jak gdyby stąpali w grząskim bloku, ludzie wlekli się do tyłu ciężarówki. Kilku przelazło przez podniesioną klapę i upadło na ziemię. Leżeli spokojnie i nie skarżyli się, kiedy koledzy skakali z góry i potykali się o ich ciała. Christian wysiadł ostatni.

„Stoję! — pomyślał triumfalnie. — Naprawdę stoję.”

Hardenburg obserwował go spod oka przy świetle księżyca. Z obydwóch stron widać było błyski armatnich strzałów. Powietrze drżało od ustawicznego grzmotu. Ale Christian był tak zadowolony ze szczęśliwego lądowania, że chwilowo pamiętał tylko o tym drobnym osobistym sukcesie. Wszystko inne wydawało mu się normalne. Bacznie spojrzął na ludzi, którzy z trudem dźwigali się na nogi lub stali w takich pozach, jak gdyby usnęli w marszu. Poznał ledwie kilku, miał jednak nadzieję, że w dzień przypomni sobie resztę twarzy.

— Gdzie kompania? — zapytał.

— To cała kompania — odpowiedział porucznik zupełnie nieswoim głosem.

Diestl odniósł wrażenie, że ktoś trochę podobny podszywa się pod Hardenburga, lecz szybko zdecydował, że kwestię tę rozstrzygnie później, kiedy wyjaśni się inne sprawy.'

Hardenburg wyciągnął rękę i otwartą dłonią silnie uderzył w twarz Christiana. Ręka cuchnęła smarami, oliwą do czyszczenia broni i zastarzałym potem. Sierżant cofnął się i zaczął mrugać jak człowiek zbudzony nagle z głębokiego snu.

— Jak się czujecie, Diestl? — zapytał oficer.

— Dobrze, panie poruczniku. Zupełnie dobrze — odpowiedział i pomyślał:

„Warto by zapytać, gdzie jest reszta kompanii. Ale i to można zostawić na później.”

Ciężarówka drgnęła i z wolna ruszyła piaszczystym szlakiem. Dwaj żołnierze poklusowali ciężko jej śladem.

— Stać! — zawołał Hardenburg. — Stać w miejscu!

Żołnierze zatrzymali się i tępo patrzyli na samochód, który nabierał szybkości i z hałasem jechał po piaskach błyszczących w blasku księżyca. Christian zobaczył, że stoi u stóp łagodnej pochyłości wznoszącej się ku zachodowi. Wszyscy milczeli. Wszystkie głowy zwrócone były w stronę ciężarówki. Oddalała się przy akompaniamencie zgrzytów w skrzynce biegów. Minęła motocykl Hardenburga, jeszcze wyżej wspięła się stokiem, przez moment zarysowała się na grzbiecie wzgórza — ciemna, duża, dziwnie swojska i domowa — i zniknęła po drugiej stronie wyniosłości.

— Tutaj się okopujemy — powiedział Hardenburg i sztywnym ruchem ręki wskazał zboczne. — No, do roboty, ale to już! — rzucił pod adresem żołnierzy, którzy bezmyślnie spoglądali na biało połyskujące piaski. — Diestl! Do mnie!

— Rozkaz, panie poruczniku! — Christian sprężyste zbliżył się do oficera, kontent, że może chodzić.

Hardenburg ruszył pod górę krokiem, którego żywość zdumiała Christiana. „Nadludzkie siły — pomyślał nieźyczliwie. — Ten cherlak, chuchro! Po ostatnich dziesięciu dniach!”

Żołnierze wlekli się leniwie za porucznikiem. Hardenburg dokładnie wskazywał miejsca, gdzie się mają okopać. W sumie było ich trzydziestu siedmiu i Christian przypomniał sobie, że później powinien spytać, co się stało z resztą kompanii. Hardenburg rzadko rozstawał ludzi długą łamaną linią na zbocz, mniej więcej w jednej

trzecie; jego wysokości. Kiedy skończył, odwrócił się i wraz z sierżantem patrzył na pochylone, grzebiące w ziemi postacie. Christian zrozumiał nagle, że w razie natarcia ci ludzie będą musieli wytrwać do ostatka na linii obrony wytyczonej przez Hardenburga. Nie można przecież wycofać się pod górę nie osłoniętym stokiem. Stopniowo zaczął pojmować, na co się zanosi.

— W porządku, Diestl — odezwał się oficer. — Za mną!

Christian poszedł za Hardenburgiem. Bez słowa pomagał mu pchać motocykl utartym pustynnym szlakiem aż na grzbiet wyniosłości. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy przestawał kopać i przyglądał się dwom figurom pracowicie windującym motor pod górę. Christian dyszał ciężko, kiedy wreszcie skończyli robotę. Stał obok Hardenburga i spojrzał w dół na długi szereg pracujących ludzi. Księżyc, rozległe piaszczyste pustkowie, leniwe ruchy kopaczy... Był to obraz owiany spokojem, nierealny, jak gdyby sen zapożyczony z kart Biblii.

— Jak nieprzyjaciel nawiąże z nimi styczność, nie będzie mowy o odwoicie — odezwał się Christian prawie nieświadomie.

— Oczywiście — przyznał sucho oficer.

— Wszyscy zginą na tych stanowiskach.

— Oczywiście.

Christian przypomniał sobie nagle coś, co słyszał od Hardenburga dawno, jeszcze pod El Agheilą: „Bywają trudne sytuacje, w których trzeba bronić się jak najdłużej. Inteligentny oficer powinien wtedy umieścić ludzi tak, żeby odwrót był niemożliwy. Jeżeli żołnierz musi walczyć albo zginąć, oficer spełni swoje zadanie.”

„Trzeba przyznać — pomyślał Christian — że Hardenburg spełnia dziś swoje zadanie bez zarzutu.”

— Co się właściwie stało? — zapytał.

Hardenburg wzruszył ramionami.

— Anglicy przerwali front na obu naszych skrzydłach.

— A gdzie są teraz?

Porucznik spojrzał żałośnie w prawo i w lewo. Wszędzie widać było błyski artyleryjskiego ognia — blisko na południu, na północy nieco dalej.

— Wiem tyle co wy — powiedział i uważnie sprawdził stan benzyny w baku motocykla. — Na sto kilometrów starczy. Macie dość sił, żeby utrzymać się z tyłu?

Christian zmarszczył brwi. Próbował rozwikłać nową zagadkę i uporał się z nią wreszcie.

— Tak jest, panie poruczniku.

Odwrócił głowę i objął wzrokiem łamaną linię pracujących leniwie żołnierzy— ludzi, których miał porzucić na pastwę śmierci. Zrazu chciał powiedzieć: „Nie, panie poruczniku. Ja zostanę z nimi.” Lecz, prawdę mówiąc, nie przyniosłoby to nikomu żadnej korzyści.

Wojna ma własne prawa równowagi. Hardenburg nie przez tchórzostwo chciał ocalić się dla przyszłych zadań. Christian zamierzał zmykać z nim nie po to, aby ratować własną skórę. Tamci ludzie stoczą nędzną potyczkę bez znaczenia. Być może, nim polegną na gołym zbocz, opóźnią jakąś kompanię o godzinę. Gdyby porucznik i sierżant pozostali z nimi, nie zyskaliby nawet dziesięciu minut ponad tę godzinę nawet za cenę największych starań i wysiłków. Tak się już dzieje. Może następnym razem oni znajdą się na straconej pozycji, a ktoś inny odjedzie na tyły szukać względnego bezpieczeństwa?

— Zostańcie tutaj — powiedział Hardenburg. — Możecie położyć się i odpocząć. Zejdę na dół. Powiem ludziom, że jedziemy po pluton mózdzierzy, bo trzeba nam wsparcia.

— Tak jest, panie poruczniku.

Christian usiadł. Przez chwilę patrzył na oficera, który schodził szybko w stronę zajętego kopaniem Himmlera. Potem przewrócił się na bok i zasnął, nim ramieniem dotknął ziemi.

Obudziło go gwałtowne szarpanie. Otworzył oczy, spojrzął w górę i zobaczył Hardenburga. Wiedział, że nie zdoła usiąść, dźwignąć się na nogi, zrobić kroku. Chciał poprosić, żeby porucznik zostawił go w spokoju, poprosić i zaraz usnąć. Ale Hardenburg chwycił go za kołnierz i pociągnął mocno. Christian zorientował się nagle, że stoi. Potem szedł jak automat, a jego buty szurały podobnie do ciężkiego żelazka, kiedy matka prasowała w domu sztywną, zmarzniętą bieliznę.

Hardenburg zwinnie przerzucił nogę nad siodełkiem motocykla i raz po raz kopał pedał startowy. Maszyna prychała głośno, ale zapłon nie chwycił. Christian stał opodal i przyglądał się rosnącej furii porucznika. Odwrócił głowę i zorientował się, że mają świadka, dopiero wówczas, gdy z bliska zobaczył postać ludzką w świetle zachodzącego księżyca. Był to Knuhlen, żołnierz, który płakał w ciężarówce. Widocznie porzucił kopanie i wspiał się za dowódcą na grzbiet wyniosłości. Knuhlen nic nie mówił. Tępo gapił się na porucznika, który kopał pedał coraz mocniej.

— Hardenburg zobaczył go wkrótce. Sapnął groźnie, zeskoczył z siodełka i stanął obok maszyny.

— Knuhlen! Wracajcie na miejsce! — zawołał.

— Rozkaz, panie poruczniku — odpowiedział żołnierz, ale nie drgnął.

Hardenburg zbliżył się do Knuhlena i z całej siły uderzył go pięścią w twarz. Krew pociekła z nosa. Żołnierz zaczął siorbać i chlipać, lecz nie ruszał się nadal. Ręce bezwładnie zwisały mu po bokach, jak gdyby wiedział, że już nigdy nie będzie ich potrzebował. Karabin i łopatkę zostawił na stoku, gdzie zaczął kopać. Porucznik cofnął się i ciekawie, bez złości spojrzal na żalosną figurę, jak gdyby Knuhlen przedstawiał drobny problem, który we właściwym czasie trzeba będzie rozstrzygnąć. Później postąpił krok naprzód i dwukrotnie wymierzył potężne ciosy. Żołnierz wolno osunął się na kolana i z klęczek patrzył bezmyślnie na Hardenburga.

— Powstań! — zakomenderował oficer.

Knuhlen dźwignął się z trudem. Milczał. Ręce zwisały mu martwo. Christian spojrzal na niego ze wstrętem. Brzydki, niezdarny żołnierz stojący na oświetlonym księżycem grzbiecie wzgórze wyrażał uparty, niemy wyrzut. „Dlaczego nie zostałeś na dole? — pomyślał Diestl. — Dlaczego nie chcesz zdychać?”

— Wracaj do roboty — powiedział Hardenburg. — Zrozumiano?

Ale Knuhlen stał, jak gdyby słowa nie przenikały już do jego mózgu. Od czasu do czasu ssal krew ściekającą do ust, a Christian dziwił się mimo woli, że ta przygarbiona, niema figura wydaje jednak jakieś dźwięki. Przypomniały mu się modernistyczne obrazy, które widywał w Paryżu. Trzy wynędzniałe, nieruchome, ciemne postacie na nagim wzgórzu skąpanym w poświęacie księżyca. Niebo i pustynia połyskują jednakowo, łączą się ze sobą, jak gdyby były z tej samej nieziemskiej materii.

— Dobrze — odezwał się znów Hardenburg. — Możesz pójść ze mną.

Ujął motocykl za rączki i popchnął w dół przeciwstokiem wyniosłości. Christian spojrzal ostatni raz na trzydziestu sześciu kopaczy poruszających się sennie na pustym zboczu. Potem ruszył stromym szlakiem za Hardenburgiem i Knuhlenem.

Mniej więcej pięćdziesiąt metrów przeszli w milczeniu. Knuhlen stąpał niemrawo śladem toczącego się dość szybko motocykla. Później Hardenburg stanął i zwrócił się do Christiana.

— Potrzymajcie no trochę.

Diestl ujął rączki kierownicy, podparł maszynę udem. Knuhlen przystanął również i bez wyrazu patrzył na dowódcę. Hardenburg odchrząknął, jak gdyby przygotowywał się do dłuższej przemowy.

Następnie zbliży! się do Knuhlena, zmierzy! go obojętnym wzrokiem i dwukrotnie potężnie dzielił po twarzy. Żołnierz padł, tym razem w tył. Usiadł na piasku i dalej gapił się bez słowa. Hardenburg wyjął i zarepetował pistolet. Knuhlen nie drgnął, nie zmienił wyrazu czarnej, zalanej krwią twarzy.

Padł jeden strzał. Żołnierz próbował wstać, podparł się rękami.

— Kochany pan porucznik — powiedział spokojnym, gawędziarskim *tonem* i zarył twarzą w piasek.

— Załatwione — rzucił sucho Hardenburg chowając pistolet do kabury.

Okrakiem stanął nad maszyną i z powodzeniem kopnął pedał startowy.

— W porządku. Siadajcie, sierzancie.

Christian usadowił się ostrożnie na tylnym siodełku. Maszyna drżała pod nim nerwowo.

— No, trzymajcie się mocno — powiedział porucznik. — Weźcie mnie w pół.

„Zabawna historia — pomyślał Diestl otaczając Hardenburga ramionami. — W takiej sytuacji tulić się do oficera! Zupełnie jak panienka, co w niedzielne popołudnie wybiera się w krzaki z motocyklistą!”

Z bliska porucznik śmierdział okropnie i sierżant bał się, że lada chwila może zwymiotować.

Motor włączony na bieg zaczął prychać i warczeć. Christian o mało nie zawołał: „Proszę o spokój!” Przyszło mu do głowy, że taką sprawę należałoby załatwić po cichu. To gruby nietakt zapowiadać otwarcie trzydziestu siedmiu ludziom, że pozostaną sami, aby umrzeć; że inni będą zdrowi i cali, kiedy oni zmienią się od dawna w pobielale kości rozrzucone na stoku, z którego odwrót był niepodobieństwem.

„Prawda, teraz jest ich tylko trzydziestu sześciu — pomyślał Christian. — Siedzą w pracowicie wygrzebanych dołkach. Mają powstrzymać brytyjskie natarcie... czołgi... samochody pancerne... Jest ich tylko trzydziestu sześciu. Trzy tuziny żołnierzy. Po ile tuzin?”

Mocno ścisnął porucznika i podskakując na tylnym kole motocykla, starannie wbijał sobie w głowę, że nie może dostać gorączki ani napadu dreszczy.*

Na równinie Hardenburg dodał gazu. Jechali prędko po pustkowiu oświetlonym ostatnimi promieniami księżyca i błyskami ognia armatniego wzdłuż całego widnokregu. Przy zwiększonej szybkości silny

powiew zdmuchnęła sierżantowi czapkę. Ale Diestl był zadowolony, bo ten sam wiatr neutralizował obrzydliwy fetor porucznika.

Przez pół godziny jechali ku północnemu zachodowi. Motor podskakiwał na szlaku wijącym się między wydłmami i rzadko rozsianymi kępami zeschłej trawy. Tu i ówdzie stał przy drodze rozbity czołg lub spalony samochód z kierownicą wycelowaną w niebo niby lufa działa przeciwlotniczego. Były też świeże groby, kopane w poświęcu — niska mogiłka i karabin zatknięty bagnetem w ziemię, z czapką lub hełmem na kolbie — a także dawno strącone samoloty, poczerwiałe i na pół zasypane piaskiem, których pogięte śmigła i zdruzgotane skrzydła połyskiwały metalicznie w księżycowej poświacie. Ale dopiero na innej drodze, biegnącej w kierunku zachodnim, Hardenburg i Diestl spotkali niemieckie wojsko. Nagle znaleźli się w długiej kolumnie ciężarówek, samochodów pancernych, wozów rozpoznawczych i transportowych oraz motocykli, które powoli sunęły wąskim szlakiem w nieprzejezdzanych tumanach pyłu i spalin.

Porucznik zjechał na bok, ale nie za daleko, bo w terenie, przez który kilkakrotnie przetoczyła się wojna, wszędzie można było napotkać minę. Zatrzymał motor, a Christian omal nie zleciał, gdyż pęd przestał go utrzymywać na siodełku. Hardenburg odwrócił się i przytrzymał chwiejącego się pasażera.

— Dziękuję — powiedział Christian oficjalnym, zdawkowym tonem.

Miał już silne dreszcze, a opuchnięty język ledwie umieścił za ściśniętymi kurczowo zębami.

— Mógłbyś się załadować do jakiegoś samochodu! — krzyknął porucznik i z nadmiarem energii zaczął wymachiwać rękami wskazując procesję wozów, które posuwały się wolno przy akompaniamencie warkotu silników. — Ale nie radziłbym tego robić.

— Jak pan porucznik rozkaże. — Sierżant uśmiechnął się z lodowatą uprzejmością, jak pijany gość na wytwornym nudnawym przyjęciu.

— Nie wiem, jakie rozkazy mają te oddziały — ciągnął oficer. — W każdej chwili mogą zawrócić i wejść do akcji, a wtedy...

— Oczywiście, panie poruczniku.

— Najlepiej trzymać się własnego środka lokomocji — dokończył Hardenburg, a Diestl odczuł coś w rodzaju wdzięczności, że porucznik wyjaśnia mu swoje zamiary.

— Tak. Niewątpliwie.

— Coś powiedział? — ryknął! Hardenburg, bo w tej chwili na drodze hałasował ciężki samochód pancerny.

— Powiedziałem, że... — Christian zawahał się, bo nie pamiętał już, co powiedział — ...że zgadzam się w zupełności.

— 'To dobrze — porucznik rozwiązał chustkę, którą Diestl miał okreconą dokoła szyi. — Lepiej zasłoń tym twarz od kurzu. — Niezręcznie zaczął wiązać supeł na potylicy Christiana.

— Przepraszam na momencik. — Sierżant odepchnął ręce Hardenburga, przechylił się na bok i zwymiotował.

Żołnierze z przejeżdżających drogą samochodów nie zwracali uwagi na porucznika i Diestla. Obojętnie, martwo patrzyli prosto przed siebie. Kawalkadę takich postaci sunącą dokąds bez celu i nadziei mógłby oglądać konający w ostatnim upiornym śnie.

Christian usiadł sztywno na siodelku. Poczul się ^nacznie lepiej, chociaż w ustach miał nadal przykry niesmak. Chustkę umieścił trochę niżej oczu i osłonił dolną część twarzy. Z trudem przebierał palcami, ale poradził sobie jakoś z węzłem.

— Jestem gotów — oznajmił i mocno uczeplił się oficera.

Hardenburg zdążył tymczasem zakryć twarz chustką. Motocykl warknął i przez moment buksował tylnym kołem w piasku. Potem włączył się do kolumny za sanitarką, z której wyrwanych drzwi sterczały trzy pary nóg.

Porucznik sztywno tkwił na siodelku i zamaskowany chustką wyglądał jak bandyta w amerykańskim filmie z Dzikiego Zachodu. Christiana ogarnęła fala ciepłych uczuć dla wybawcy. Chciał zrobić coś, by okazać mu swoje uznanie. Przez pięć minut biedził się nad właściwym dowodem wdzięczności i powoli zaczęło mu świtać w głowie. „Powiem mu — myślał — o sobie i jego żonie. Nic więcej nie mam do ofiarowania. — Smutno pokiwał głową. — Jestem bałwan, bałwan, bałwan!”

Ale myśl raz poczęta nie dawała spokoju. Diestl zamknął oczy. Starał się myśleć o trzydziestu sześciu żołnierzach zajętych kopaniem schronów daleko na południowym wschodzie. Próbował przypomnieć sobie, ile piwa, chłodnego wina i zimnej wody wypił w ciągu ostatnich pięciu lat. Mimo to czuł, że lada chwila zawoła głośno, aby przekrzyczeć zgiełk na drodze: „Posłuchaj, frajerze! Miałem twoją żonę, jak wyjechałem na urlop z Rennes!”

Korowód stanął. Hardenburg, który dla bezpieczeństwa trzymał się środka kolumny, opuścił nogi i wyłączył silnik. Christian pomyślał półprzytomnie, że teraz powie mu o Gretchen. Ale w tej chwili

z sanitarki wyskoczyli dwaj ludzie i za nogi wywlekli trzeciego. Poruszali się ciężko, wlekli na stronę trupa, żeby nie zawadzał samochodom. Wreszcie ułożyli go na przydróżku. Christian gapił się na nich znad rąbka chustki. Obydwaj odpowiedzieli wstydliwymi spojrzzeniami, a jeden bąknął wracając obok motocykla:

— Nie ma sensu wieźć go dalej. Już sztywny.

Kolumna ruszyła. Sanitarka zgrzytnęła na pierwszym biegu. Dwaj żołnierze pobiegli za nią i czepiając się podskakiwali niezdarnie. Manierki tańczyły im na biodrach. Wreszcie zniknęli w wyrwanych drzwiach, z których po chwili sterczały już tylko dwie pary nóg. Później było zbyt hałaśliwie, żeby poinformować Hardenburga o jego żonie.

Nie wiadomo kiedy rozpoczęła się strzelanina. Na czole kolumny zagrzecotało i wszystkie wozy stanęły. Wówczas Christian uprzytomnił sobie, że słyszy inny hałas, ale, przez pewien czas (jak mu się zdawało — długi) nie mógł zrozumieć, co się dzieje.

Ludzie ciężko wyskakiwali z nie opancerzonych wozów i uciekali w pustynię. Raimy wypadł z sanitarki. Włokąc nieprzydatną nogę pełznął w stronę kępki suchej trawy widocznej w prawo, o dziesięć metrów od drogi. Kiedy tam dotarł, zaczął grzebać przed sobą rękami. Karabiny maszynowe zaterkotały dokoła. Samochody pancerne bezładnie rozproszyły się po obydwu stronach szlaku i na oślep otworzyły Ogień. Jakiś człowiek bez czapki biegał tam i z powrotem koło opustoszałych ciężarówek z silnikami na chodzie. Raz po raz ryczał:

— Odpowiadać na ogień! Mówię wam, skurwysyny, odpowiadać na ogień! — Jego łysina połyskiwała białą. Nieprzytomnie wywijał w powietrzu trzcina. Musiał to być co najmniej pułkownik.

Pociski moździerzcy padały teraz o sześćdziesiąt metrów. Płomienie buchnęły z jednego wozu transportowego. Przy ich blasku Christian zobaczył, że jacyś żołnierze odciągają z drogi rannych czy trupy. Hardenburg zahamował obok sanitarki i zgasił motor. Bacznie spoglądał na pustynię. Chustka związana na jego twarzy w kształcie litery „V” wyglądała jak broda, co wyrosła na niewłaściwym miejscu.

Anglicy strzelali pociskami smugowymi z karabinów maszynowych i lekkich działek. Leniwe parabole świetlne sunęły w powietrzu, nabierały szybkości zbliżając się do kolumny. Niepodobna było rozpoznać, skąd pochodzi ogień.

„Ale bałagan! — pomyślał z wyrzutem Christian. — Nie można walczyć w tak idiotycznych warunkach.*” Zaczął zlązić z motocykla. Chciał po prostu odejść, położyć się i czekać na coś, co go musi spotkać.

. — Siedź spokojnie! — wrzasną! Hardenburg, chociaż dzieliła ich odległość ledwie dwunastu cali.

Diestl pomyślał z odrazą, że nawet Hardenburg robi bałagan. Poprawił się w siodle i sięgnął po swój pistolet maszynowy, lecz nie mógł sobie przypomnieć, co z nim zrobił. Z sanitarki dobywał się przykry, kwaśny zapach środków dezynfekcyjnych pomieszany z trupim smrodem. Christian zakasłał. Nagle pocisk gwizdnął i wybuchnął w pobliżu. Sierżant przywarł kurczowo do metalowego boku sanitarki. Potem coś klepnało go po plecach. Wyciągnął rękę i strzepnął gorący jeszcze odłamek szrapnela. Przy sposobności odnalazł broń przewieszoną przez ramię. Zaczął ją szarpać, lecz w tej chwili porucznik kopnął pedał startowy i Christian omal nie zsunął się z siodełka. Lufa stuknęła go pod brodę. Przygryzł język i w ustach poczuł smak gorącej, słonej krwi. Z całych sił objął Hardenburga. Pośród huku i błysku wybuchających pocisków motocykl mknął między skulonymi na ziemi ludźmi. Skądś z daleka wypłynęła w ich stronę świetlna smuga pocisków. Hardenburg wyprostował przechyloną maszynę i pędził pod ognistym lukiem, byle dalej od luny płonących samochodów.

„Straszny bałagan — myślał Diestl i nagle rozzłościł się na porucznika. — Chce jechać prosto w łapy Anglikom, niech sobie jedzie! Ale po co mnie ciągnie ze sobą? Chyba lepiej spadnę z maszyny.” Ostrożnie próbował zdjąć stopę z podnóżka, musiał jednak zahaczyć o coś nogawką spodni, bo nie mógł unieść kolana. Nagle w przodzie i nieco z boku zobaczył niewyraźne sylwetki czołgów. Wolno odwróciły się długie lufy armat. W jednej wieży karabin maszynowy otworzył ogień do nadjeżdżającego motocykla. Nad głowami przeraźliwie zachichotały pociski. Christian wygiął się w kabłąk. Przywarł twarzą do ramienia Hardenburga, aż sprzączki skórzanых szelek zadrapały mu policzek. Drgnęła znów wieża czołgu. Pociski zatrzepotały przed motorem, podniosły małe fontanny piasku.

Christian rozplakał się. Jeszcze mocniej przylgnął do Hardenburga. Wiedział, że się boi, że znikąd nie ma ratunku. Za chwilę dostaną serię i on, i porucznik, i motor zamienią się w jedną dymiącą masę spalonego ubrania, krwi i benzyny, w ciemną kałużę na pustynnym piachu.

Nagle tuż obok ktoś krzyknął po angielsku i jak opętany zamachał rękami. Hardenburg warknął głucho i niżej pochylił się nad kierownicą. Strzały zagrzechotały z tłumy. W chwilę później Christian zorientował się, że jest sam z porucznikiem na białej pustynnej drodze, a hałas oddala się szybko.

Wówczas przestał płakać. Wyprostował się wraz z Hardenburgiem, a nawet spojrzął z zainteresowaniem na pustą drogę, która biała przed skaczącym na wybojach motorem. W ustach miał wstrętny smak rzygowiny i krwi. Policzek piekl go nieznośnie, bo piasek dostawał się pod chustkę i drażnił świeże zadrapania. Ale Christian oddychał głęboko i czuł się znacznie lepiej. Na moment zapomniał nawet o zmęczeniu.

Daleko w tyle bladły luny i cichła kanonada. Zdawać się mogło, że do Hardenburga i Diestla należy teraz cała pustynia — niezmierna połać jałowej ziemi od Sudanu do Morza Śródziemnego, od Alamein do Trypolisu.

Mimo woli Christian uściskał czule porucznika. Pamiętał, że miał mu coś powiedzieć, kiedy rozpoczął się ten bałagan. Ale nie mógł sobie przypomnieć co. Odślonił twarz i rozejrzał się dokoła. Poczul, że pęd powietrza osusza pianę w kącikach jego ust. Był szczęśliwy, spokojny, życzliwie usposobiony dla całego świata. Hardenburga nadal uważał za bardzo dziwnego człowieka, ale był pewien, że porucznik dostarczy go bezpiecznie — nie wiedział oczywiście dokąd i kiedy, ale tym wolał nie zaprzętać sobie głowy. Dobrze się złożyło, że kapitan Muller, dowódca kompanii, poległ we właściwym czasie. Gdyby żył, on i Hardenburg jechaliby motocyklem, a Christian zostałby na tamtym zboczach z trzema tuzinami trupów...

Z lubością wciągnął w płuca suche, chłodne powietrze. Nie wątpił teraz, że będzie żył, może nawet stosunkowo długo.

Hardenburg był wytrawnym kierowcą i szybko pokonywał przestrzeń. Motocykl ślizgał się, podskakiwał na wertepach, lecz uparcie zmierzał ku północnemu zachodowi. Kiedy Christian obejrzał się za siebie, zobaczył na niebie różowe smugi brzasku. Na drodze i pustyni nic się nie działo. Tylko gdzieś leżały szczątki dawno zniszczonego sprzętu, ułożone porządnie przez oddziały odkomenderowane do zbiórki złomu. Strzelanina odzywała się jeszcze, lecz dalekie jej echa huczały nierówno rytmem i chwilami zamierały zupełnie.

Słońce weszło, Hardenburg widział teraz dobrze i znacznie zwiększył szybkość. Christian musiał uważać, żeby utrzymać się na siodelku.

— Śpiący jesteś? — Porucznik odwrócił głowę i pytał rzucił głośno, żeby przekrzyczeć hałas motoru.

— Trochę. Nie bardzo.

— Mów coś do mnie. Przed chwilą mało co nie zasnąłem.

— Dobrze, panie poruczniku.

Otworzył usta, jak gdyby zaczynał przemowę, ale nic nie powiedział. Pracowicie szukał w głowie tematu, lecz znajdował jedynie pustkę.

— No, jazda! — krzyknął gniewnie Hardenburg. — Mów coś!

— Tak... Dobrze — odrzekł Christian i zaraz dodał bezradnie: — Ale o czym?

— Wszystko jedno. O pogodzie.

Sierżant rozejrzał się dokoła. Pogoda była taka sama jak w ciągu flstatnich sześciu miesięcy.

— Chyba będzie dziś upał — powiedział.

— Głośniej! — wrzasnął porucznik patrząc prosto przed siebie.

— Nic nie słyszę!

— Chyba będzie dziś upał! — krzyknął mu Diestl do ucha.

— Teraz lepiej. Masz rację. Dziś będzie upał.

Christian daremnie próbował znaleźć nowy temat. Wysiłek umysłowy przekraczał jego siły.

— No, gadaj! — przynaglił oficer.

— A o czym chciałby pan pogadać?

— Dobry Boże! Wszystko jedno. Byłeś w Cyrene, w tym nowym greckim burdelu?

— Nie wiem. Czekałem w kolejce, ale jak zamknęli drzwi, stało przede mną jeszcze trzech gości.

— Nikt z twoich znajomych tam nie był?

— Był, był! — Christian przypomniał sobie z trudem. — Jeden kapral ranny w głowę.

— Podobało mu się?

— Nie pamiętam... Zdaje się, mówił, że te Greczynki niekoniecznie... Aha! Już wiem. Mówił, że jest tam zanadto formalnie. Ledwie zdążył w przepisowym czasie. A dziewczyna nic. Leżała jak kłoda. Ten kapral uważa, że władze wojskowe powinny werbować ochotniczkę, a nie łapać dziwki jak popadnie.

— Twój kapral to skończony idiota — orzekł Hardenburg.

— Tak jest — zgodził się Diestl i znowu zamilkł.

— No, jazda! Gadaj coś! — Hardenburg silnie potrząsnął głową, jak gdyby spędzał sen z powiek. — Co robiłeś w Berlinie na urlopie?

— Chodziłem do opery, na koncerty.

— Z ciebie też skończony idiota.

— Tak jest, panie poruczniku. — Christian pomyślał, że zaczyna ryzykowną grę.

- Poznałeś jakie baby w Berlinie?
- Tak. — Z trudem budował kłamstwo. Poznałem jedną. Pracuje w fabryce samolotów.
- Miałeś z nią co?
- Tak.
- No i jak było?
- Pierwsza klasa! — Niespokojnie spoglądał nad pochyloną głową porucznika na rozległą pistynię płonącą jaskrawym blaskiem słońca.
- To dobrze — podjął Hardenburg. — Jak jej na imię?
- Greta — odpowiedział po krótkim wahaniu.
- Mężatka?
- Chyba nie. Nic mi nie mówiła.
- Same kurwy — rzucił porucznik pod adresem berlinianek.
- Byleś kiedy w Aleksandrii?
- Nie, nigdy.
- Spodziewałem się, że niedługo tam trafimy.
- Teraz się już pan chyba nie spodziewa?
- Stul pysk! — Hardenburg gwałtownym ruchem wyprostował przechyloną niebezpiecznie maszynę. — Będziemy w Aleksandrii! Słyszałeś? Mówię, że będziemy, i to niedługo! Słyszałeś?
- Tak jest, panie poruczniku! — odrzyknął Christian pod wiatr wiejący nad pochyloną głową Hardenburga.

Oficer odwrócił się na siedelku. Twarz miał ściągniętą gniewem, oczy błyszczące pod obrzmiałymi powiekami. W otwartych ustach połyskiwały zęby; były upiornie białe na tle czarnych, spieczonych warg.

— Stul pysk! Rozkazuję ci! Rozumiesz?! — wrzasnął, jak gdyby musztrował kompanię na otwartym polu w czasie wichury. — Stul pysk albo...

W tej chwili przednie koło skręciło w bok, kierownica szarpnęła gwałtownie i porucznik wypuścił rączki. Christian poczuł, że coś pcha go do przodu, na Hardenburga, który zawisł nad przednim kołem. Silnik zawarczał głośniejsze. Motocykl zjechał z drogi, przechylił się i wywrócił. Christian zdał sobie sprawę, że leci w powietrzu. Usłyszał swój krzyk. A jednocześnie jakiś cudzy głos mówił w nim spokojnie: „Tego już za wiele. Tego stanowczo za wiele.” Potem uderzył o coś twardego i poczuł, że ramię mu drętwieje, lecz zdołał dźwignąć się na jedno kolano.

Przednie koło motocykla obracało się jeszcze, tylne było bezkształtną masą pogiętego żelastwa. Porucznik leżał spokojnie. Z rany na jego

czole płynęła krew. Dziwacznie skrzyżowane nogi sterczały spod rozbitej maszyny. Christian wstał, zbliżył się wolno i kilka razy szarpnął z całych sił dowódcę. Ale to nie pomogło. Dźwignął więc motocykl i z trudem przewrócił na drugą stronę. Wyswobodziwszy Hardenburga usiadł. Postanowił odpocząć parę minut. Potem wyciągnął z kieszeni opatrunkę osobisty i/niezręcznie owinął zakrwawione czoło rannego. Zrazu bandaż był czysty jak w szpitalu, niebawem jednak upodobnił się do wszystkich prowizorycznych opatrunków, jakie Diestl widział, ponieważ krew przeciekała.

Nagle Hardenburg usiadł i z ukosa zerknął na motocykl.

— Trudno, dalej pójdziemy piechotą — rzucił szorstkim tonem i spróbował wstać, ale siły go zawiodły. — To nic poważnego. — Nieżycieliwie spojrzal na swoje nogi. — Zapewniam cię, Diestl, że to nic poważnego. Co z tobą?

— Wszystko w porządku.

— Chyba odpocznę dziesięć minut — podjął Hardenburg. — Później zobaczymy.

Położył się na plecach. Ścisnął rękami przemiękły bandaż na czole. Christian usiadł opodal. Patrzył na przednie koło motocykla, które kręciło się coraz wolniej i wolniej. Za każdym obrotem przycichał metaliczny chrobot. Wreszcie koło znieruchomiało i zapadła martwa cisza. Porucznik nie dawał znaku życia. Żaden odgłos nie dochodził z pustyni ani od dwóch armii splecionych ze sobą gdzieś dalej, na afrykańskim kontynencie.

Piaszczysta równina oświetlona porannym słońcem była świeża i chłodna. Nawet szkielety czołgów i samochodów wyglądały w tym blasku niegroźnie, pokojowo. Diestl odkorkował manierkę i ostrożnie pociągnął jeden łyk. Długo trzymał wodę w ustach i nim ją połknął, zwilżał język i zęby. Przy przelykaniu zabulgotało mu w gardle głośnie, sucho. Hardenburg otworzył jedno oko, żeby zobaczyć, co jego sierżant robi.

— Oszczędzać wodę! — rzucił automatycznie.

— Tak jest, panie poruczniku — równie automatycznie odpowiedział Christian i pomyślał z uznaniem: „Ten facet wyda rozkaz diabłu, który będzie go pchał widłami do piekielnego pieca. Hardenburg! Triumf wyszkolenia w niemieckiej armii. Komendy tryskają z niego jak krew z rozdartej arterii. Wydając ostatnie technienie, będzie układał plany trzech najbliższych akcji.”

Porucznik westchnął i usiadł sżywno. Palcami przesunął po wilgotnym bandażu na czole.

— Ty mi to nałożyłeś?

— Tak, ja.

— Zleci przy pierwszym ruchu — orzekł oficer bez gniewu, tonem rzeczowej krytyki. — Gdzie się uczyłeś opatrywać rany?

— Bardzo przepraszam, panie poruczniku. Sam byłem trochę wytrącony z równowagi.

— Nic dziwnego. Ale to idiotyzm zmarnować bandaż.

Hardenburg rozpiął bluzę i z wewnętrznej kieszeni dobył ceratową torbę, a z torby starannie złożoną mapę sztabową.

— Zaraz się przekonamy, gdzie jesteśmy — powiedział rozprostowując mapę na gładkim stole pustyni.

„Zdumiewające! — pomyślał Christian. — Jest przygotowany na wszelkie możliwe sytuacje.”

Porucznik boleśnie krzywił się nad mapą. Od czasu do czasu dotykał opatrunku na czole. Ale liczył szybko, mamrocząc coś do siebie. Wreszcie złożył mapę, prędko schował do ceratowej torby, a torbę wsunął na dawne miejsce pod bluzę.

— W porządku — oznajmił. — Ten szlak łączy się z drogą wiodącą na zachód. To będzie jakieś osiem kilometrów stąd na północ. Dasz radę przejść tyle?

— Tak — odpowiedział Diestl. — A pan porucznik?

Hardenburg zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

— O mnie się nie martw! — warknął i zakomenderował, jak gdyby dowodził urojoną kompanią: — Powstań!

Christian dźwignął się na nogi. Łopatka i ramię dolegały mu mocno, a ręką poruszał z trudem. Mimo to wiedział, że zdoła przejść kilka kilometrów, może nawet całe osiem. Stał teraz i przyglądał się rozpaczliwym wysiłkom Hardenburga, który próbował powstać z piasku. Pot zrosił mu twarz, na bandażu wystąpiły nowe czerwone plamy. Kiedy jednak Diestl nachylił się, żeby mu pomóc, oficer spojrzął na niego srogo i warknął:

— Ręce przy sobie, sierżancie! Zrozumiano?

Christian cofnął się i patrzył dalej na zacieklą Walkę rannego. Porucznik zarył obcasy w piasku, jak gdyby gotował się na przyjęcie ciosu rozwścieczonego olbrzyma. Potem podparł się sztywno prawym łokciem i zaczął windować ciało. Wolno, cal po calu dźwigał się nad ziemię i chociaż jego spopieliała twarz wydawała nieme okrzyki bólu, stanął wreszcie zgięty we dwoje, ale na pewnych nogach. Jeszcze jeden nadludzki wysiłek i ranny zdołał się wyprostować. Pot i krew utworzyły ciemny szlam na jego pokrytej pyłem twarzy, a w tej

ohydnej masce Izy żłobiły bruzdy. Bo, ku zdziwieniu Christiana, Hardenburg płakał. Oddychał z trudem, charczał, prawie szlochał, lecz z szatańskim uporem zaciskał zęby. W końcu stanął twarzą na północ i ruszył z miejsca powłócząc niezdarnie nogami.

— Za mną! Marsz! — rzucił znowu komendę urojonej kompanii.

Szedł przed Christianem po kopnym pustynnym szlaku. Utykał, głowa przechylała mu się na bok za każdym krokiem, ale maszerował wytrwale nie spoglądając do tyłu. Christian brnął za nim. Był straszliwie spragniony, uginał się pod ciężarem pistoletu maszynowego. Postanowił nie pić i nie prosić o odpoczynek, dopóki porucznik nie zarządzi postoju. Od czasu do czasu mijali rdzewiejące szczątki pojazdów i broni, i wolno, nieporadnie wlekli się ku północy. Na odległej o kilka kilometrów drodze mogli napotkać Niemców w odwrocie z pola walki lub czekających tam na nich Anglików.

Diestl myślał o Anglikach spokojnie i abstrakcyjnie. Nie wydawali mu się groźni ani realni. Na razie prawdziwe były tylko trzy zagadnienia: smak w wyschniętych ustach, ohydny jak kwaśne wytloczyny z browaru; kaleki, zwierzęcy chód Hardenburga oraz słońce, które wznosiło się coraz wyżej i zabójczym, natrętnym żarem przypiekało plecy. Jeżeli Anglicy rzeczywiście czekają na drodze, powstanie problem, który trzeba będzie rozwiązywać w swoim czasie. Chwilowo Christian był zbyt zajęty, aby się nad tym głowić.

Na drugi odpoczynek siedli półprzytomni, porażeni słońcem. Obolałe oczy piekły ich z bezsenności i zmęczenia. Wtem zobaczyli samochód na widnokręgu. Zbliżał się szybko, wlokąc za sobą pióropusz pyłu. Wkrótce zorientowali się, że to elegancki, odkryty wóz sztabowy — niewątpliwie własność armii włoskiej.

Hardenburg zdobył się znowu na straszliwy wysiłek. Wstał, pokuśtykał kilka kroków i zatrzymał się pośrodku drogi. Dyszał ciężko, lecz patrzył spokojnie na szybko nadjeżdżający samochód. Z okrwawionym bandażem na czole i zapadłymi czerwonymi oczyma wyglądał jak groźny szaleniec. Brudne ręce opuścił wzdłuż boków. Czekał w pogotowiu.

Christian dźwignął się również, ale nie stanął obok porucznika. Wóz sztabowy mknął w ich stronę. Natrętne dźwięki klaksonu rozprasały się na pustynnej równinie i brzmiały jak odległe echa alarmu. W samochodzie siedziało pięciu ludzi. Hardenburg stał sztywno, bez ruchu. Nie odrywał od nich wzroku. Diestl pomyślał, że samochód zmiażdży porucznika, i już otwierał usta, by na niego

zawołać, lecz hamulce zgrzytnęły i długa elegancka maszyna zatrzymała się przed żywą przeszkodą w odległości wyciągniętej ręki.

Na przedniej ławce siedzieli dwaj włoscy szeregowcy: jeden przy kierownicy, drugi skulony sennie obok niego. Trzej pozostali byli oficerami. Wszyscy stanęli w tyle wozu i z furią zaczęli krzyżeć po włosku.

Hardenburg nie drgnął.

— Chcę mówić z oficerem najstarszym stopniem między panami!
— zawołał chłodno po niemiecku.

Odpowiedziało mu kilka gniewnych włoskich zdań. Wreszcie otyły, śniady major przemówił lichą niemczyzną:

— Ja jestem tu najstarszy stopniem. Jeżeli pan ma mi coś do zameldowania, proszę do mnie.

— Zechce pan łaskawie wysiąść z wozu — odparł Hardenburg nie schodząc z posterunku przed maską chłodnicy.

Włosi poszwargotali między sobą. Następnie major otworzył tylne drzwiczki i wyskoczył na piasek. Twarz miał brudną, znękaną, a ubrany był w szykowny niegdyś mundur. Z wojowniczą miną zbliżył się do porucznika, a ten zaszalutował. Gracki, wojskowy ukłon stracha na wróble tkwiącego pośrodku spalonej słońcem pustyni wyglądał bardzo teatralnie. Major stuknął obcasami i podniósł rękę do daszka.

— Poruczniku — powiedział nerwowo spoglądając na naramienniki Hardenburga. — Bardzo nam pilno. Czego pan sobie życzy?

— Na osobisty rozkaz generała Aignera mam zarekwirować dla niego środek lokomocji — odpowiedział Niemiec lodowatym tonem.

Major otworzył i zamknął usta. Potem spiesznie rozejrzał się dokoła, jak gdyby podejrzewał, że generał Aigner może wyskoczyć nagle z pustynnego piaski).

— Nonsens — odrzekł wreszcie. — Nowozelandzki patrol posuwa się tą drogą. Nie mamy chwili do stracenia.

— Za to ja mam wyraźny rozkaz, panie majorze, a o patrolu nowozelandzkim nic mi nie wiadomo.

— Gdzie jest generał Aigner? — Włoch rozejrzał się znów nerwowo.

— O pięć kilometrów stąd. W jego wzbie pancernym pękła gąsienica. Na osobisty rozkaz...

— To już słyszałem! — krzyknął major. — Słyszałem o osobistym rozkazie generała Aignera!

— Pan major będzie łaskaw — podjął spokojnie Hardenburg — rozkazać panom oficerom, by zechcieli opuścić wóz. Kierowca może zostać.

— Odczep się pan! — wybuchnął Włoch zawracając w stronę samochodu. — Mam dosyć pańskich bredni!

— Panie majorze! — rzucił porucznik chłodnym, ostrzegawczym tonem.

Włoch stanął i odwrócił się znowu. Twarz miał zroszoną kroplami potu. Pozostali oficerowie z zatroskanymi minami obserwowali dziwną scenę. Widocznie nie rozumieli po niemiecku.

— To wykluczone — odezwał się major drżącym głosem. — Nasz wóz jest w dyspozycji włoskiego dowództwa. Jedziemy w specjalnej misji do...

— Za pozwoleniem, panie majorze — przerwał mu Hardenburg. — Jest pan na niemieckim obszarze operacyjnym, a generał Aigner przewyższa pana stopniem. Uprzejmie proszę o wydanie wozu.

— Nonsens! — powiedział Włoch słabo, bez przekonania.

— Tak czy inaczej — ciągnął porucznik — natknie się pan wkrótce na punkt kontrolny. Silna placówka blokuje tę drogę. Ma ona rozkaz sekwestrować wszelkie włoskie pojazdy: w razie potrzeby siłą. Tam będzie pan musiał wyjaśnić, co trzej oficerowie liniowi robią tak daleko od swoich oddziałów. Odpowie pan też na pytanie, dlaczego nie podporządkował się pan osobistemu rozkazowi generała Aignera, dowódcy wszystkich wojsk na tym odcinku.

Chłodno spojrzął na majora, ten zaś podniósł prawą rękę do pasa. Hardenburg nie zmienił wyrazu twarzy. Nadal miał minę zmęczoną, pogardliwą, trochę znudzoną. Odwrócił się plecami do przeciwnika i z boku obszedł samochód. Zdołał nawet zrobić te pięć kroków bez utykania.

— *Fuori* — powiedział otwierając przednie drzwiczki i dodał również po włosku: — Wysiadaj! Kierowca niech zostanie.

Szeregowiec skulony na przedniej ławce odwrócił głowę i błagalnie spojrzął na oficerów. Ale oficerowie unikali jego wzroku. Gapili się na majora, który nadszedł za Hardenburgiem.

— *Fuori* — powtórzył spokojnie Niemiec i klepnął szeregowca po ramieniu.

Żołnierz otarł spotniałe czoło. Później patrząc na własne buty wygramolił się z samochodu i żałośnie stanął obok majora. Byli bardzo do siebie podobni: dwie delikatne śniade włoskie twarze, zatroskane, przystojne i całkiem niewojkowe.

— A teraz... — Porucznik zwrócił się do dwóch oficerów z nie budzącym wątpliwości gestem. — Panowie zechcą łaskawie...

Pytająco spojrzeli na majora, a jeden zagadał szybko po włosku. Major westchnął, odpowiedział trzema słowami. Wtedy wysiedli z samochodu i stanęli na drodze.

— Sierżancie! — zawołał Hardenburg nie odwracając głowy.

Christian zbliżył się i sprężyście stanął na baczność.

— Sierżancie, zbadajcie zawartość wozu. Osobisty bagaż należy zwrócić panom oficerom. Zrozumiano?

Diestl wszedł do samochodu tylnymi drzwiami. Znalazł kanistry z wodą, trzy flaszki chianti i dwa pudła żelaznych porcji. Bez pośpiechu brał jedną po drugiej butelki i skrzynki i kładł na drodze u stóp majora. Włosi przyglądali się posępnie swoim zapasom wyładowywanym na pustynny piasek.

— Wodę też, panie poruczniku? — zapytał Christian gładząc wilgotną blachę.

— Wodę też, sierżancie — odparł Hardenburg bez wahania.

Christian ustawił kanistry obok wina i żywności.

Następnie porucznik przeszedł na tył wozu, gdzie przytroczone była zwinięta pościel. Wydobył nóż i trzema szybkimi ruchami przeciął rzemienie. Otwarte brezentowe pokrowce potoczyły się w pył pustynnego szlaku. Jeden z oficerów krzyknął coś gniewnie, lecz major uciszył go szybkim ruchem ręki. Później stanął przed Hardenburgiem i powiedział po niemiecku:

— Stanowczo domagam się kwitu rekwizycyjnego na samochód.

— Zrozumiałe — odparł poważnie porucznik.

Wydobył mapę, oderwał mały prostokątny świstek z narożnika i przez chwilę pisał powoli na czystej stronie. Później przeczytał na głos spokojnym, pewnym tonem:

„Od majora... takiego a takiego... otrzymałem jeden samochód sztabowy marki fiat z kierowcą. Rekwizycji dokonałem na rozkaz generała Aignera. Podpisano: porucznik Zygfryd Hardenburg.”

— Czy to wystarczy? Na nazwisko pana majora zostawiłem wolne miejsce.

Włoch chwycił kartkę, przeczytał uważnie i podniósł w drżącej ręce.

— Przedstawię ten dokument w odpowiednim miejscu i we właściwym czasie! — zawołał głośno.

— Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział Hardenburg stojąc już w samochodzie. — Sierżancie! Siadajcie tutaj, koło mnie.

Christian wygodnie usadowił się w tyle wozu, obok dowódcy. Brązowa, starannie naciągnięta skóra była świeża. Pachniała winem i wodą kwiatową. Diestl z obojętną miną patrzył prosto przed siebie, na opaloną, śniadą szyję kierowcy. Hardenburg wyciągnął rękę nad kolanami sąsiada i głośno zatrzaskał drzwiczki.

— *Avanti* — rozkazał chłodno żołnierzowi przy kierownicy.

Kark Włocha zeszytywniał na chwilę. Szyja nad kołnierzykiem poczerwieniała. Później kierowca włączył bieg. Hardenburg zasalutował — włoscy oficerowie jeden po drugim podnosili ręce do daszka. Tylko szeregowiec nie poruszył się wcale. Był zbyt oszołomiony i przybity.

Wóz ruszył gładko. Piasek spod kół opryskał żalosną grupę stojącą z brzegu drogi. Potężny, nieświadomy odruch mięśni nakazywał Christianowi odwrócić głowę. Ale Hardenburg położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

— Nie oglądaj się! — warknął.

Diestl próbował siedzieć w niedbalej pozie. Czekał, aż w tyle hukną strzały, nic jednak nie usłyszał. Z ukosa zmierzył spojrzeniem porucznika. Na jego ustach igrał swawolny, zimny uśmiešek.

„Bawi go to — pomyślał ze zdumieniem sierżant. — Jest ranny, rozbity, ledwie żywy. Stracił całą kompanię i Bóg wie, co go jeszcze czeka. Mimo to chwila triumfu cieszy go, upaja. Taki jest Hardenburg!”

Miał ochotę uśmiechnąć się również, lecz zapadł tylko głębiej w miękką skórę i poczuł rozkoszną ulgę w strudzonym ciele i potłuczonych kościach.

— Co by się stało, gdyby ci Włosi uparli się i nie dali wozu? — zapytał po chwili.

Porucznik uśmiechnął się i z zadowoloną miną przymknął opuchnięte powieki.

— Zastrzeliliby mnie, i tyle.

— Rozumiem. — Christian poważnie skinął głową. — A woda? Dlaczego zostawiliśmy im wodę?

— Widzisz... Nigdy nie należy przesadzać -r zachichotał i wtulił plecy w oparcie z pięknej skóry.

— A co się z nimi stanie? — indagował dalej sierżant.

— Z mmi? — Hardenburg wzruszył ramionami. — Poddadzą się i pójdą do brytyjskiego obozu jeńców. Włosi przepadają za niewolą... No, dosyć! Chcę się zdrzemnąć.

Momentalnie zaczął oddychać równo, a jego twarz umazana krwią i brudem przybrała we śnie błogi, dziecięcy wyraz. Diestl czuwał. Był

zdania, że ktoś powinien jednak obserwować pustynię i kierowcę, który siedząc sztywno przed nimi utrzymywał na drodze potężną, szybko mknącą maszynę.

Mersa Matruh wyglądało jak bombonierka, w której zagnieździła się śmierć. Hardenburg szukał kogoś, komu mógłby się zameldować. Lecz w mieście panował chaos samochodów, zabłąkanych żołnierzy, uszkodzonych wozów pancernych, ruin. Podczas ich bytności nadleciał tam dywizjon samolotów brytyjskich i przez dwadzieścia minut rzucał bomby. Przybyło trochę ruin. Pociąg sanitarny został doszczętnie rozbity. Pod płonącymi szczątkami wagonów ludzie wyli jak dzikie bestie. Wszyscy mieli tylko jeden cel: chcieli jak najprędzej umykać na zachód. Wobec tego porucznik kazał kierowcy wprowadzić wóz w nieskończony, wolno sunący strumień pojazdów i niebawem znaleźli się na krańcach miasta. Był tam punkt kontrolny. Kapitan o zapadniętych oczach miał przed sobą długi arkusz papieru przypięty do deski. Mijających go żołnierzy — zdrożonych, półprzytomnych, chorych — wypytywał o rodzaje i nazwy oddziałów. Zdobyte wiadomości notował skrzącinnie. Wyglądał jak szalony buchalter, co podczas trzęsienia ziemi robi niemożliwy bilans w walącym się banku. Nie miał pojęcia, gdzie jest obecnie dowództwo dywizji i czy w ogóle istnieje. Oblepionymi błotem wargami powtarzał raz po raz martwym, bezdźwięcznym głosem:

— Nie zatrzymywać się! Ładna historia! Nie zatrzymywać się. Nie zatrzymywać się...

Kiedy zobaczył Włocha przy kierownicy, powiedział:

— Zostawcie mi tego żołnierza. Przyda się do obrony miasta. Dam wam niemieckiego szofera.

Hardenburg zwrócił się do kierowcy łagodnym tonem. Włoch płakał głośno, ale bez oporu wygramolił się z wozu i stanął koło kapitana z długim arkuszem papieru. Zabrał karabin, lecz trzymał go niezdarnie za koniec lufy, a kolbę włókł po piasku. Z rozpaczą gapił się na korowód samochodów, dział i uciekających żołnierzy. Broń w jego rękach wyglądała zupełnie niegroźnie.

— Takim wojskiem niedługo utrzymamy Matruh — mruknął pośępnie Hardenburg.

— Oczywiście. Ma pan słuszność. Ładna historia! Oczywiście, że niedługo — przyznał półprzytomnie kapitan i krztusząc się dał nurka w tuman pyłu, żeby zapisać numery dwóch przejeżdżających dział przeciwlotniczych i jednego samochodu pancernego.

Później kapitan oprzytomniał nieco. Dał im kierowcę, który zgubił po drodze czołg, i jako pasażera — zestrzelonego nad miastem pilota messerschmitta. Ponadto udzielił rady, by jak najprędzej jechali do Sollum, bo na głębokich tyłach sytuacja musi przedstawiać się lepiej.

Czołgista, rosły, jasnowłosy wieśniak, pewnie wziął się za kierownicę. Christianowi przypominał kaprała Krausa, który niegdyś, dawno, padł na drodze do Paryża i leżał z wiśniowymi plamami na wargach. Pilot był młody, ale łysy. Twarz miał szarą, wynędzniałą. Obrzydliwy tik nerwowy wykrzywił mu usta dwadzieścia razy na minutę.

— Dziś rano jeszcze tego nie miałem — powtarzał wiele razy. — Słowo daję! Dziś rano jeszcze tego nie miałem. Bodaj to lichu! Pogarsza się z każdą chwilą. Chyba wygląda okropnie?

— Skąd znowu — mówił Diestl. — Prawie nic nie widać.

— Zestrzelił mnie Amerykanin — opowiadał lotnik. — Pierwszy Amerykanin, jakiego spotkałem w życiu. Nie wiedziałem nawet, że oni są na tym froncie. — Smutno pokiwał głową, jak gdyby jego fatalny przypadek był najdotkliwszą klęską, jaką w Afryce poniosły siły zbrojne Trzeciej Rzeszy.

Jasnowłosy wieśniak był dobrym kierowcą, sprawnie więc przemakali w beładnym ruchu na zatłoczonej, zrytej bombami szosie, nad błękitnymi wodami Morza Śródziemnego, którego chłodna, spokojna tafla sięga daleko, aż do Italii, Grecji, Europy...

Katastrofa zdarzyła się dnia następnego na zniszczonej szosie wijącej się pod górę między ruinami miasteczka Sollum a Wyżyną Cyrenejską.

Mieli jeszcze włoski wóz sztabowy, a benzynę ściągnęli szczęśliwie z baków uszkodzonej ciężarówki. Jechali w środku nieskończonej kolumny, która zatrzymywała się wciąż i znów ruszała, lecz stale sunęła ku zachodowi. W dole szczątki murów bieleły wdzięcznie nad basenem portowym w kształcie dziurki od klucza. Zatoka otoczona spieczonym piaskiem lśniła jasną zielenią i czystym błękitem. Wraki zatopionych statków, dobrze widoczne przez czystą, lekko pofałdowaną wodę, wyglądały jak pamiątki po bardzo dawnych wojnach.

Pilot messerschmitta wykrzywił usta jeszcze okropniej niż dnia poprzedniego. Uparcie gapił się w lusterko kierowcy, jak gdyby chciał podpatrzeć tik w chwili narodzin, zamrozić go na twarzy i prze-studiować dokładnie. Jak dotąd, nie-udał mu się ten zabieg. W nocy popłakiwał, ilekroć zapadał w sen. Hardenburga drażnił w najwyższym stopniu.

W dole widać było oznaki przywrócanego ładu. Pierścień dział przeciwlotniczych otaczał gruz miasteczka, a na wschodnim jego krańcu okopywały się dwa bataliony piechoty. Jakiś generał chodził tam i z powrotem w pobliżu portu, wymachiwał rękami i niewątpliwie miotał liczne rozkazy. Niektóre czołgi i samochody pancerne opuszczały kolumnę ciągnącą się wzdłuż szosy, jak okiem sięgnąć. Wozy te gromadzono w strefie odwodów, za piechotą. Z wysoka widać było drobne figurki, które przesuwały się żywo i zapewne podawały zapasy paliwa i amunicji stojącym w otwartych wieżach żołnierzom.

Hardenburg stanął w samochodzie i obserwował bacznie te bojowe przygotowania. Mimo wysokiej temperatury zdołał ogolić się z rana. Usta miał spierzchnięte i zaropiałe, ale umyty i w czystym bandażu na czole odzyskał wojskowy wygląd.

— Tutaj ich zatrzymamy — oznajmił. — Dalej nie pójda ani kroku!

Wówczas właśnie nisko nad morzem pojawiły się samoloty. Łoskot ich silników zagłuszył powolny szcęk pnących się pod górę pojazdów gaśnicowych. Sunęły formacją przypominającą karnawałowy latawiec w kształcie strzały. Były coraz bliżej. Zdawały się powolne, łatwe do trafienia, ale nikt jakoś nie kwapił się do otwarcia ognia. Christian wyraźnie widział odrywające się bomby. Później stromy stok Wyżyny Cyrenejskiej zaczął wybuchać. U czoła kolumny ciężarówka podskoczyła gwałtownie i runęła ze stumetrowego urwiska. Wyleciał z niej jeden but, jak gdyby ktoś ratował z katastrofy pierwszy przedmiot, który wpadł mu w rękę. Bomby padały bliżej i bliżej. Diestl poczuł nagle, że wylatuje w górę.

„To świństwo — pomyślał. — Po takiej długiej i ciężkiej drodze... To świństwo!”

Wiedział, że jest ranny, chociaż go nic nie boli. Wiedział, że mdleje, i z lubością pogrążał się w różnokolorowe wiry bezprzykładnego chaosu. Wreszcie stracił przytomność.

Kiedy otworzył oczy, leżało na nim coś ciężkiego. Próbował to zepchnąć, lecz bez pomyślnego skutku. Zwietrzył zapach bomb termicznych i stopionej skały, i dobrze znajomy swąd konającego samochodu: smród płonącej gumy, skóry, lakieru. Potem zobaczył mundur i bandaż, uprzytomnił sobie, że leży pod Hardenburgiem, który raz po raz powtarza spokojnym tonem:

— Postarcie się o doktora.

Ale swojego dowódcę poznał tylko po głosie, naramiennikach i bandażu, bo porucznik Hardenburg nie miał twarzy. Słowa dobywały

się purpurowymi bańkami z bezkształtnej, szkarłatnej i białej miazgi, która znalazła się nagle na miejscu twarzy. Jak we śnie Christian próbował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widział coś podobnego. Nie przyszło mu to łatwo, bo znowu był bliski omdlenia. Na koniec jednak odnalazł w mrokach pamięci. To był owoc granatu. Niezręcznie otwarty owoc granatu — żyłkowany, szkarłatny, ociekający sokiem. Okaleczony owoc granatu na talerzu kremowym jak kość słoniowa!

Potem sierżant Diestl poczuł straszliwy ból i przestał myśleć o czymkolwiek.

— Lekarze ręką — mówił głos zza bandażu — że za dwa lata oddadzą mi twarz. Nie ludzę się. Nie będę podobny do gwiazdora filmowego, ale mam nadzieję, że dostanę twarz całkowicie znośną.

Christian doskonale pamiętał kilka całkiem znośnych twarzy, które chirurdzy przykleili do zmasakrowanych czaszek, miał więc nadzieję, nieporównanie mniejszą niż Hardenburg, odpowiedział jednak:

— Oczywiście, panie poruczniku.

— Są prawie pewni — ciągnął głos — że za miesiąc przejrzę na prawe oko. Już to jedno będzie wielkim sukcesem, gdyby nawet wszystko inne zawiodło.

— Naturalnie, panie poruczniku.

Rozmowa ta miała miejsce w zaciemnionym pokoju w willi na pięknej wysepce Capri, pławiącej się w błękitnych wodach Zatoki Neapolitańskiej i w blaskach zimowego słońca. Christian siedział między dwoma łózkami. Kule ustawił pod ścianą, a nogę w gipsie trzymał sztywno przed sobą, ledwie dotykając piętą marmurowej posadzki.

Jedno łóżko zajmował Hardenburg, drugie bardzo ciężki przypadek — czołgista, - którego Christian nazywał po prostu „Spalony”. „Spalony” leżał bez ruchu pod dziesiątkami metrów bandażu i chłodny, wysoki pokój nappełniał ohydny zaduchem, gorszym niż odór trupi. Ale Hardenburg nie mógł czuć tego smrodu, gdyż nie miał powonienia. Zaradna pielęgniarka wykorzystała ten fakt i dwóch ciężko rannych umieściła w jednym pokoju willi, która przed wojną należała do fabrykanta jedwabi z Lyonu, obecnie zaś była szpitalem zapełniającym się z dnia na dzień produktami walk w Afryce, interesującymi z punktu widzenia chirurgii.

Christian leczył się w większym szpitalu dla szeregowych, położonym na zboczu malowniczego wzgórza. Przed tygodniem dostał kule i od tej chwili uważał się za człowieka wolnego.

— Ładnie, Diestl, że przyszlście do mnie w odwiedzinie — powiedział Hardenburg. — Kiedy człowiek zostanie ranny, otoczenie zaczyna go traktować jak ośmioletniego brzdąca; jak gdyby mózg jego gnął razem ze wszystkim innym.

— Od początku chciałem zobaczyć pana porucznika — odrzekł Christian — podziękować osobiście za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Naprawdę jestem bardzo wdzięczny. Skoro więc dowiedziałem się, że pana również ewakuowano na Capri...

— Nonsens! Nie może być mowy o wdzięczności. Uratowałem was nie przez sympatię.

Zdumiewające! Głos był ten sam — ostry, władczy, drewniany, dawny głos Hardenburga, chociaż zniknęła przesłaniająca go fasada.

— Rozumiem, panie poruczniku — bąknął sierżant.

— Na motocyklu miałem dwa miejsca. Postanowiłem ocalić żołnierza, który może przydać się później. Gdyby ktoś inny był moim zdaniem bardziej wartościowy, wy zostalibyście na pustyni.

— Rozumiem, panie poruczniku.

Christian patrzył na białe, czyste bandaże, porządnie spowijające głowę, którą ostatni raz widział ociekającą krwią na stoku wzgórza pod Sollum, kiedy łoskot samolotów brytyjskich cichnął w oddali.

Weszła siostra, czterdziestoletnia kobieta o macierzyńskiej, tłustej pogodnej twarzy.

— Starczy na dzisiaj — powiedziała głosem wcale nie macierzyńskim, lecz znudzonym i urzędowym. — Koniec odwiedzin.

Zatrzymała się we drzwiach, aby sprawdzić, czy gość wyjdzie. Christian wstał powoli, sięgnął po kule. Drewno zastukało ponuro na marmurowych płytach posadzki.

— W każdym razie — powiedział Hardenburg — będę chodził swobodnie na własnych dwóch nogach.

— Na pewno — przyznał Christian. — Jeżeli pan porucznik pozwoli, przyjdę niedługo.

— Jak sobie życzycie.

— Tędy, sierżancie -r odezwała się znów pielęgniarka.

Diestl kuśtykał niezdarne, bo od niedawna nauczył się posługiwać kulami. Na korytarzu odetchnął z ulgą. Nie było tam czuć „Spalonego”.

Przez śnieżnobiały tłumik opatrunku ranny mówił o żonie:

— Napisałem otwarcie, gdzie i jak dostałem, a ona odpowiedziała, że jest dumna ze mnie i że to nie wpłynie na nasz wzajemny stosunek. Nie bardzo się przejęła zmianą mojej powierzchowności.

„Zmiana powierzchowności... Hm... Brak twarzy to jednak poważny feler” — pomyślał Christian, lecz się nie odezwał.

Siedział sztywno między dwoma łózkami.. Nogę miał wyciągniętą. Jego kule stały na zwykłym miejscu pod ścianą.

Prawie co dzień odwiedzał teraz dowódcę, ten zaś godzinami potrafił mówić z białych mroków bandaży. Diestl odpowiadał najczęściej: „Tak jest, panie poruczniku” albo: „Nie, panie poruczniku”, i słuchał. „Spalony” cuchnął nieodmiennie, ale za każdym razem smród dławił gościa tylko przez kilka minut. Potem można było przywyknąć, a nawet zapomnieć o chorym z drugiego łóżka. Hardenburg, więzień ślepoty, snuł długie, spokojne rozważania, powoli rozwijał film swojego życia na użytek Christiana i własny. Korzystając z przymusowych wakacji sporządzał inwentarz, ważył i mierzył dawne triumfy i porażki, kreślił szczegółowe plany możliwości na przyszłość. Coraz bardziej urzekło to Christiana, który spędzał po pół dnia w dusznym pokoju i niemal bez słowa śledził rozwijanie spirali życia tak dziwnie splecionego z kolejami jego losów. Szpitalna izba zamieniała się wówczas w coś pośredniego między salą wykładową a konfesjonalem, gdzie Diestl zaczynał rozumieć własne błędy, gdzie wyjaśniały się, krystalizowały, nabierały wymowy jego mgliste nadzieje i pragnienia. Wojna stawała się koszmarem z odległych kontynentów, zmaganiem cieniów mroku, odległym echem trąb zagłuszanych przez nawałnicę. Prawdziwy, ważny, istotny był tylko pokój z widokiem na błękitny, rozświetlony port i dwie spowite w biel, cuchnące postacie.

— Po wojnie Gretchen będzie mi bardzo pomocna — mówił Hardenburg. — Moja żona ma na imię Gretchen.

— Wiem, panie poruczniku.

— Skąd wiecie? Ach, prawda! Posyłałem was do niej z paczką.

— Tak.

— Gretchen jest bardzo przystojna, prawda, Diestl?

— Prawda, panie poruczniku. Bardzo przystojna.

— To kwestia pierwszorzędnej wagi — ciągnął Hardenburg.

— Nie macie pojęcia, ile karier wojskowych zniweczyły niepozorne żony. Ona jest również wybitnie zdolna. Ma talent do poługiwania się ludźmi.

— Tak jest, panie poruczniku.
 — Mieliście możliwość porozmawiać z nią trochę?
 — Mniej więcej dziesięć minut. Dopytywała o pana.
 — Niewątpliwie, panie poruczniku.
 — Chcę pokazać się jej za półtora roku. Będę miał wtedy twarz całkiem znośną. Po co narażać Gretchen na przedwczesny wstrząs? Tak, tak! Będzie mi bardzo pomocna. Wszędzie czuje się jak u siebie w domu, jest naturalna, swobodna. Mówi właściwe rzeczy we właściwym momencie. Ma talent życia.

— Tak jest, panie poruczniku.

— Mówiąc otwarcie, ożeniłem się z nią bez miłości. Byłem wtedy związany, bardzo mocno związany ze starszą ode mnie kobietą, rozwódką z dwojgiem dzieci. Mało brakowało, a zostałbym jej mężem i zrujnował się bez ratunku. Jej ojciec pracował w fabryce metalurgicznej, a ona już wtedy miała tendencje do tycia. Musiałem przypominać sobie ustawicznie, że za dziesięć lat będzie potworem, a ja będę przyjmował ministrów i generałów. Moja żona powinna być godną panią domu i gospodynią. Tak, ta kobieta była trochę wulgarna, a jej bachory nieznośne. Ale nawet teraz, kiedy o niej pomyślę, mokro mi się robi i biorą mnie ciągoty. Diestl, wspominaliście tak kiedy kochankę?

— Tak jest, panie poruczniku — odrzekł Christian.

— To byłaby ruina! — ciągnął głos zza bandaży. — Kobieta jest najpospolitszą i najniebezpieczniejszą pułapką. Mężczyzna powinien wystrzegać się jej bacznie. Gardzę mężczyzną, który poświęca siebie dla kobiety. To najobrzydliwsza forma słabości charakteru. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym spalić wszystkie powieści z *Kapitałem* Marksa i wierszami Heinego włącznie.

Innego dnia była niepogoda. Za oknami leżała szara zatoka, osłonięta niby firanką potokami zimowego deszczu.

Hardenburg mówił:

— Jak się skończy ta wojna, pomyślimy o drugiej: z Japończykami. Koniecznie trzeba ujarzmić sojuszników. Brak tego zdania w *Mein Kampf*. Zapewne Hitler opuścił je przez chytrą. A później pozwolimy jakiemś państwu — nie wiem jeszcze jakiemu i gdzie — tak porosnąć w pióra, żeby zostało przeciwnikiem trudnym do pokonania. Naród skazany na wielkość musi nieustannie żyć w najwyższym napięciu, musi oscylować na granicy upadku i wciąż gotować się do uderzenia. Kiedy traci tę gotowość, historia powoli ryje jego imię na kamieniu grobowym. Imperium rzymskie stanowi po wiek wieków

wyborny przykład dla ludzi inteligentnych. Naród zaczyna rozpadać się w proch, w chwili kiedy pytanie: „Komu teraz zadamy cios?“, zastępuje pytaniem: „Kto nas uderzy?“ Obrona to ulubiony przez tchórzów synonim klęski. Niczego nie można bronić skutecznie. Prawdziwym nieszczęściem jest nasza tak zwana cywilizacja, wstrętna mieszanina lenistwa z niechęcią umierania. Anglia to deser po rzymskim obiedzie. Owocami wojny niepodobna delectować się w pokoju. Wykorzystać je można tylko dzięki nowym wojnom. Anglicy dumnie rozglądają się dokoła i mówią: „Spójrzcie, jak wieleśmy zdobyli. Teraz trzeba to wszystko zachować.“ Mówią tak i nie rozumieją, że imperium przesypuje się im między palcami. Tak! Zwycięzcy nie powinni odrzucać barbarzyństwa, bo to przecież barbarzyńcy zawsze zwyciężają!

My, Niemcy, trzymamy w ręku najlepsze karty. Mamy śmiałą, inteligentną elitę i liczną, energiczną ludność. Oczywiście inne narody, na przykład Amerykanie, mają równie dużo śmiałych, inteligentnych przywódców i ludność zapewne jeszcze bardziej energiczną. Ale los Uśmiechnął się do nas pod jednym względem i dzięki temu ostatecznie wygramy. Jesteśmy posłuszni, a oni nie, i prawdopodobnie nigdy nie nauczą się uległości. Ślepo wykonujemy rozkazy, jesteśmy więc doskonałym narzędziem, które góra wykorzystuje w decydujących momentach. Amerykanów można zmienić w narzędzie na rok, dwa, może pięć lat. Później muszą się załamać. Rosja jest niebezpieczna tylko z powodu obszaru, ale ja nie wierzę, aby sam obszar mógł być czynnikiem decydującym.

Głos płynął spokojnie, miarowo, jak gdyby naukowiec czytał w uniwersyteckiej bibliotece ulubioną, prawie na pamięć znaną księgę. Deszcz tłukł o szyby i spowijał port wilgotną zasłoną. W sąsiednim łóżku „Spalony” leżał bez ruchu, pograżony we własnym straszliwym smrodzie, niezdolny czegokolwiek usłyszeć, zrozumieć, zapamiętać...

W senne, ciche popołudnie słońce stało nisko na jasnym niebie. Za oknami leżał błękitny krajobraz: niebo, morze i góry, jednakowo nierzeczywiste, pastelowe.

– Hardenburg mówił:

– Moja rana jest na swój sposób wydarzeniem korzystnym. W wojsku nie sprzyjało mi szczęście. Nie mogłem jakoś trafić na właściwe miejsce. A z taką raną nie będę przecież uwiązany do wojska. Jak wicie, Diestl, dostałem tylko jeden awans, chociaż niektórzy moi koledzy ze szkoły awansowali po pięć razy. Nie myślę biadać. Nie

chodzi tutaj o protekcję czy pomijanie zasług. Cała rzecz w tym, gdzie się człowiek znalazł w takim lub innym momencie: w sztabie wielkiej jednostki, której dowódcy los poszedł na rękę, czy na linii frontu, w miejscu, gdzie nieprzyjaciel zaczął ofensywę. Ważne są słowa, w jakich zredagowano meldunki, i kto przy śniadaniu czytał te meldunki, i w jakim był humorze... Tak. Jasno widać, że nie wiodło mi się w dziedzinie, jaką obrałem. Teraz władze nie odeślą mnie do wojska. Dowódca ze zniekształconą twarzą źle działa na morale podkomendnych. To jasne i logiczne. Przed zamierzonym natarciem nikt, kto ma trochę oleju w głowie nie prowadzi kompanii przez cmentarz wojskowy, jeśli oczywiście ma inną drogę do wyboru. Wymaga tego prosta delikatność. Ale tak czy inaczej, twarz zorana bliznami bardzo mi się przyda na przyszłość. Chcę zająć się polityką. Od dawna miałem taki zamiar, lecz za odskocznię uważałem armię. Dzięki ranie mogę oszczędzić dwadzieścia lat. Po wojnie stanowiska czołowe staną *otworem* tylko dla tych, którzy dobrze się zasłużyli ojczyźnie na polach bitew. Ja nie będę musiał nosić orderów na klapie marynarki. Moja twarz zastąpi ordery. Współczucie, szacunek, wdzięczność, trwoga! Oto co będzie wzbudzać moja twarz! Jak się to wszystko skończy, weźmiemy w garść cały świat, a partia może uznać zniekształconą twarz za symbol, który równie dobrze jak inne będzie ją reprezentował w podbitych krajach.

Całkiem spokojnie myślę o swojej twarzy. Kiedy mi zdejmą bandażę, stanę przed lustrem i spojrzę uważnie. Kie mam złudzeń. Wiem, że zobaczę coś potwornego. Ale potworność nie powinna przerażać żołnierza, tak jak widok młotka nie może być przykry dla cieśli. To głupi sentymentalizm udawać, że potworność nie jest czymś tak nierozłącznym dla zawodu żołnierza jak młotek dla zawodu cieśli. Żyjemy dzięki śmierci i grozie śmierci, a zatem musimy przywyknąć do niej i posługiwać się nią sprawnie. Dla celów naszej ojczyzny potrzebna jest pusta Europa. To wzór matematyczny, w którym mord zastępuje znak równości. Jeżeli wierzymy w prawdę ostatecznego rezultatu, nie wolno nam wzdragać się przed wypisaniem całego równania.

Dokądkolwiek pójdziemy, ludzie muszą odczuć, że zabijamy szybko i łatwo. Nie widzę pewniejszego klucza władzy. Ja osobiście polubiłem zabijanie, podobnie jak pianista lubi Czernego, bo dzięki niemu zachowuje sprawność palców dla Beethovena. Uważam to za najcenniejszą zaletę wojskowego. Oficer, który zdaje sobie sprawę, że ją traci, winien prosić o emeryturę, przejść do cywila i zostać księgowym.

W swoim czasie cenzurowałem wasze listy do rodziny i przyjaciół i muszę przyznać, Diestl — byłem oburzony. Oczywiście, jesteście znacznie starsi ode mnie i dłużej zatruwały was brednie dawnej Europy. Dlatego wasze listy roją się od pustych słów o wielkich dniach pokoju i powszechnego dobrobytu, które muszą nastąpić po zakończeniu wojny. To gadanina godna bab i polityków. Żołnierz powinien mieć więcej oleju w głowie. Powinien wiedzieć, że pokój stwarza pomyślne warunki dla nabywców żołnierskiego mięsa. Powinien wiedzieć, że dobrobyt może być tylko jednostronny. Będziemy opływać we wszystko, lecz tylko kosztem reszty Europy. Macie pewnik, i to pewnik miły żołnierskiemu sercu. Ja miałbym pragnąć, by dobrze się wiodło polskiemu analfabecie, który pijany kartoflanym spirytusem tarza się w zimowym błocie swojej wioski? Albo życzyć bogactw cuchnącemu pastuchowi kóz z Dolomitów? A może chceć, by opasły Grek-pederasta wykladał prawo w Heidelbergu? Z jakiej racji? Potrzeba mi sług, nie współzawodników? Rozumiecie? Sług albo trupów! My, Niemcy, gadamy językiem waszych listów, bo po trosze jesteście jeszcze politykami i próbujemy sprzedawać się światu za przestarzałe i zbędne wotum zaufania. Poczekajcie dziesięć lat! Wtedy będziemy mogli ujawnić, że jesteście żołnierzami, i niczym więcej. Będziemy mogli odrzucić wszelkie nonsensy. Świat żołnierza jest jedynym realnym światem. Wszystko inne to śmiecie z bibliotecznych półek — retoryka i stare okładki. To pobożne życzenia i mowy bankietowe przy stole, wokół którego usnęli wszyscy goście. Dziesięć tysięcy regałów pełnych książek nie powstrzyma jednego lekkiego czołgu. Biblię przedrukowywano miliony razy, ale na Ukrainie pięciu żołnierzy w samochodzie pancernym w ciągu pół godziny potrafi pięćdziesiąt razy sponiewierać Dziesięcioro Przykazań, a wieczorem obleje ten fakt zdobyczym winem.

Wojna najbardziej urzeka rodzaj ludzki, bo najdokładniej odpowiada dominującym cechom człowieka: samolubstwu i zamiłowaniu do grabieży. Mogę to mówić śmiało, bo oddałem twarz wojnie, nikt więc nie posądzi mnie, że chwałę ją z bezpiecznego oddalenia i na widoku mam tylko przyszłe zyski.

Nie sądzę, byśmy mieli przegrać wojnę. Nie stać nas na to. Jeżeli jednak przegramy, zawini nasz brak stanowczości. Gdybyśmy oznajmili światu, że każdego dnia zabijemy sto tysięcy Europejczyków i obietnicy dotrzyмали — jak myślicie, ile dni świat by wytrzymał? Sto tysięcy Europejczyków! Nie Żydów, bo ludzie przywykli do widoku mordowanych Żydów i wszyscy mniej lub więcej potajemnie cieszą się,

że wykazujemy dużą sprawność w tej dziedzinie. A zresztą zapas Żydów jest ograniczony, choćbyśmy jeszcze sumiennie sprawdzali pochodzenie babek. Nie! Sto tysięcy Europejczyków: Francuzów, Polaków, Rosjan, Holendrów, angielskich jeńców wojennych... Powinniśmy drukować na dobrym papierze listy imienne z fotografiami i rzucać to na Londyn zamiast bomb. Cierpimy, bo nasze postępowanie nie jest jeszcze tak dojrzałe jak nasza filozofia. Mordujemy Mojżesza, ale udajemy tolerancję wobec Chrystusa i dla idiotycznych pozorów ryzykujemy całą przyszłość.

Pokonajmy ostatnie skrupuły, a zostaniemy największym narodem w dziejach świata! Prawdopodobnie uda się nam to tak czy inaczej, chwilowo jednak wlecemy za sobą utajoną kotwicę.

Mówię wam to, bo wy wróćcie do wojska, a ja nie wrócę. W ciągu ostatnich miesięcy miałem sposobność przemyśleć te sprawy i teraz wolno mi posługiwać się uczniami. Po tamtej wojnie ranny kapral musiał ratować Niemcy z odmętu klęski. Może po tej ranny porucznik uratuje Niemcy z odmętu zwycięstwa. Możecie pisać do mnie z frontu, a ja leżąc tutaj i czekając, aż mi się twarz wygoi, będę się czuł potrzebny. Jestem młodszy od was, Diestl, ale nieporównanie bardziej dojrzały, gdyż od piętnastego roku życia *robię wyłącznie to, co prowadzi do moich ogólnych celów*. Wy zmienialiście się, dręczyli, zbaczali z drogi, ulegali sentymentom, zachowaliście więc nierozumną młodość. Człowiek współczesny to ktoś, kto umie ze wszystkiego wyciągnąć natychmiast ostateczne wnioski posługując się jedynie logiką. Ja to robiłem, a wy nie robiliście i dopóki się nie nauczycie, będziecie małym dzieckiem w pokoju zatłoczonym dorosłymi.

Zabijanie jest funkcją nieuczuciową, a śmierć stoi poza granicami dobra i zła. Ja znam się na tych sprawach i posługując się zasadami identycznej kalkulacji mogę zastrzelić dziewiętnastoletniego porucznika, który przed dwoma miesiącami opuścił Oksford, lub zostawić na stoku wzgórza trzy tuziny Niemców na stracenie. Każdy z tych i trzydziestu siedmiu ludzi umarł w czasie i okolicznościach, które uznałem za potrzebne lub dogodne. Nie zapłacę po żadnym z nich, chyba że łzami mógłbym zachęcić nową kompanię do pójścia w ogień.

Jesteście w błędzie Diestl, jeżeli wam się zdaje, że podziwiam żołnierza niemieckiego. To niewątpliwie żołnierz lepszy od innych, bo można go tłuc mocniej i nie złamać, a dzięki brakowi wyobraźni pozwala szkolić się dokładnie, bardziej forsownie. Ale odwaga żołnierza niemieckiego to płatanu mu szalbiercza sztuczka, podobnie jak odwaga każdego innego żołnierza, który nie wie, że zwycięstwo nie

doda mu piwa i nie umie pracy. Armia jest w gruncie rzeczy funkcją matematyczną ilości żołnierzy pomnożonej przez przymioty dowódców. Sformułował to Clausewitz i bez wątpienia miał słuszność. Żołnierz niemiecki nie ma wpływu na to, że jest jedną z dziesięciu milionów podobnych do siebie jednostek, ani na fakt, że przewodzą mu ludzie najbardziej utalentowani w Europie. Pierwszy czynnik to rezultat przyrostu naturalnego w środkowej Europie, a drugi — przypadku i wygórowanych ambicji tysiąca zdolnych osób.

Ponadto żołnierz niemiecki ma niezwykle szczęście, bo w przełomowym momencie historii prowadzą go ludzie lekko obłąkani. W Berchtesgaden Hitler dostaje ataków szału przed mapami frontów. Goeringa wyciągnięto z sanatorium dla narkomanów w Szwecji. Stary doktor Freud zatarłby ręce z uciechy, gdyby zajrzał do swojej wiedeńskiej poczekalni i zobaczył tam takich pacjentów jak Roehm Rosenberg i wielu innych. Jedynie z niedorzecznych wizji wariata może wyniknąć wniosek, że w ciągu dziesięciu lat da się zbudować imperium dzięki ulegalizowaniu pogromów. Ostatecznie Żydów mordowano przez dwadzieścia wieków i nie działo się z tej racji nic ważnego. Mamy przeciwko sobie armie ludzi normalnych, którzy — żeby nie wiedzieć co — nie zбочą z zwyczajnych dróg rozumowania. A nas prowadzą maniacy spowici oparami opium i pyskaci kaprale, co wiedzy wojskowej uczyli się dwadzieścia pięć lat temu, podając w okopach herbatę jakiemuś zakazanemu kapitanowi. Jakże możemy przegrać?

Gdybym był epileptykiem, gdybym niegdyś cierpiał na zanik pamięci i paranoję, miałbym większe szanse odegrania ważnej roli w Europie w ciągu najbliższych trzydziestu lat. Lepiej mógłbym zasłużyć się ojczyźnie...

Doktor był siwy. Wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt lat. Miał torby pod oczami i pomarszczoną zgnióróżową skórę. Ręce mu drżały, kiedy bezceremonialnie obmacywał kolano Christiana. Nosił pułkownikowskie odznaki, lecz wydawał się za stary nawet na pułkownika. Z ust zionął zapachem koniaku, a spojrzenie małych załzawionych oczu przenosił raz po raz ze zranionej nogi na twarz pacjenta, jak gdyby szukał tam dowodów złośliwej błagi. Bo doktor nauczył się podejrzliwości badając przez czterdzieści lat chorych żołnierzy kajzera, socjaldemokratycznej republiki, Trzeciej Rzeszy. Christian pomyślał, że tylko oddech doktora nie uległ zmianie. Odeszli generałowie, powymierali sierżanci, systemy filozoficzne wykonały obrót z północy

na południe, ale oddech pułkownika zalatuje dziś ciemną butelką z Bordeaux tak samo, jak wówczas, kiedy cesarz Franciszek Józef stał u boku bratniego monarchy i przyjmował w Wiedniu defiladę pierwszych oddziałów Gwardii Saskiej, wyruszających do Serbii.

— Nadajecie się — powiedział stary lekarz a sanitariusz starannie wykaligrafował dwie cyfry na karcie choroby Christiana. — Doskonałe! Na oko wasze kolano wygląda nietęgo, ale na pewno przemaszerujecie pięćdziesiąt kilometrów na dzień i nic nie poczujecie. Co powiadacie? Hę?

— Nic nie mówiłem, panie pułkowniku — odpowiedział Christian.

— Całkowicie zdolny do służby w polu — orzekł doktor i wyzywająco spojrzął na pacjenta, choć ten nie protestował. — Hę?

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Opuśćcie nogawkę, sierżancie. — Pułkownik gniewnie stuknął w łydkę Christiana i patrzył, jak ranny wstaje i doprowadza swój wygląd do porządku. — Jaki wasz zawód w cywilu?

— Byłem instruktorem narciarskim, panie pułkowniku.

— Co?! — Zdawać się mogło, że pułkownik usłyszał obelgę. — Co to znaczy?

— Uczyłem jeździć na nartach, panie pułkowniku.

— Aha... No, z tym kolanem trzeba będzie zmienić fach. Ale jazda na nartach to zabawa dobra dla dzieci, hę?

Odwrócił się i zaczął pracowicie myć ręce, jak gdyby biała skóra Christiana była niesłychanie brudna.

— No i od czasu do czasu będziecie utykać — rzucił przez ramię.

— Co powiadacie? Aha, będziecie utykać. Dlaczego taki zuch ma nie być kulawy, hę? — Roześmiał się i pokazał żółte sztuczne zęby.

— Inaczej ludzie by nie wiedzieli, że byliście na wojnie, hę?

Kiedy Christian wychodził z pokoju, doktor szorował jeszcze ręce nad dużym emaliowanym zlewem, cuchnącym środkami odkażającymi.

— Bądźcie tak dobrzy i postarajcie się dla mnie o bagnet — powiedział Hardenburg.

Christian siedział obok byłego dowódcy i podejrzliwie przyglądał się swojej wyciągniętej nodze — sztywnej jeszcze i niepewnej. Na sąsiednim łóżku „Spalony” gnił, jak zawsze pogrążony „W milczącej Arktyce bandaży i straszliwym tropikalnym smrodzie. Christian oznajmił właśnie porucznikowi, że następnego dnia odjeżdża na front.

Hardenburg nie zareagował na tę wiadomość. Leżał na wznak bez słowa i ruchu, a jego gładka, biała głowa wyglądała na poduszce jak potworne jajo. Christian odczekał chwilę i doszedł do wniosku, że Hardenburg nie usłyszał.

— Mówiłem, panie poruczniku, że jutro wyjeżdżam.

— Słyszałem — rzucił Hardenburg. — Bądźcie tak dobrzy i postarajcie się dla mnie o bagniet.

— O co, panie poruczniku? — zapytał Diestl przekonany, że jakieś inne słowo zabrzmiało przez bandażę podobnie do bagnetu.

— Powiedziałem, że chcę mieć bagniet. Przynieście mi jutro.

— Wyjeżdżam o czternastej, panie poruczniku.

— Możecie przyjść z rana.

Christian spojrział na miejsce, gdzie krzyżujące się bandaże tworzyły gładką białą powierzchnię. Oczywiście nie mógł wyczytać tam myśli Hardenburga, a bezdźwięczny, nieodmienny wciąż głos też nie dawał żadnego wyjaśnienia.

— Nie mam bagnetu, panie poruczniku — powiedział sierżant.

— Możecie ukraść dziś wieczorem. To chyba łatwe, prawda?

— Tak jest, panie poruczniku.

— Pochwa mi niepotrzebna. Wystarczy nóż.

— Panie poruczniku — podjął Christian — jestem niewymownie wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Chętnie przysłużę się panu na wszelki możliwy sposób. Jeśli jednak myśli pan o... — zająknął się. — Jeśli pan porucznik chce się zabić, nie mogę brać odpowiedzialności...

— Nie chcę się zabić — odpowiedział równy, stłumiony głos. — Straszny z was dureń. Słuchacie mnie od przeszło dwóch miesięcy. Czy tak mówi przyszły samobójca?

— Nie, panie poruczniku, ale...

— To dla niego — przerwał Hardenburg.

Christian zeszywniał na małym drewnianym krześle.

— Dla kogo, panie poruczniku?

— Dla niego — powiedział żywiej Hardenburg. — Dla tego z sąsiedniego łóżka.

Diestl odwrócił się powoli i spojrział na „Spalonego”. Leżał spokojnie, nieruchomo. Na nic nie reagował, tak samo jak przez minione dwa miesiące. Diestl przeniósł znowu wzrok na podobny kłęb bandaży, za którym znajdował się jego dowódca.

— Nie rozumiem, panie poruczniku.

— Prosił mnie, żeby go zabić — rzucił Hardenburg. — To chyba proste? Nie ma rąk. W ogóle nic nie ma. Chce umrzeć. Trzy tygodnie temu błagał doktora. Ale ten kretyn powiedział, żeby nie plótł głupstw.

— Nie wiedziałem, że on może mówić — bąknął Diestl i znowu spojrzął na „Spalonego”, jak gdyby się spodziewał, iż nieoczekiwana informacja znajdzie w jakiś widoczny sposób potwierdzenie.

— Może mówić — odparł porucznik. — Po nocach prowadzimy długie rozmowy. On mówi tylko w nocy.

Christian zadał sobie pytanie, jakie dyskusje prowadzą w tym pokoju dwaj ranni — jeden bez rąk i nóg, drugi pozbawiony twarzy. Jakie zdania mrozą łagodną atmosferę włoskich nocy? Wzdrygnął się. „Spalony” leżał spokojnie. Jego nikły kadłub rysował się pod całunem koców.

„Teraz słucha — myślał Christian nie odrywając wzroku od białych bandaży. — Rozumie każde słowo naszej rozmowy.”

— Był zegarmistrzem w Norymberdze — ciągnął Hardenburg — specjalistą od stoperów. Ma troje dzieci. Postanowił, że chce umrzeć. No, Diestl, przyniesiecie bagnet?

— Jeżeli nawet przyniosę—odpowiedział Christian broniąc się od udzielenia pomocy w potwornym samobójstwie człowieka bez oczu, głosu, palców, twarzy — bagnet na nic się nie przyda. On nie będzie mógł go użyć.

— Ja posłużę się bagnetem. Chyba to jasne?

— W jaki sposób?

— Wstanę z łóżka, podejść do niego i zrobię, co trzeba. No, przyniesiecie bagnet?

— To pan porucznik może chodzić? — zdziwił się Christian, bo siostra powiedziała mu niedawno, że Hardenburg zacznie stawiać pierwsze kroki w najlepszym razie za trzy miesiące.

Powolnym, mechanicznym ruchem ranny odsunął na bok koce. Christian patrzył jak urzeczony. Tak samo mógłby przyglądać się zwłokom, r które nagle powstały i wychodzą z grobu. Hardenburg spuścił z łóżka sztywne, wychudłe nogi i stanął na marmurowej posadzce fabrykanta jedwabii z Lyonu. Ubrany był we flanelową pidżamę powypychaną i brudną. Bose stopy miał żółtawe, zluszczone.

— Gdzie tamto łóżko? — zapytał. — Pokażcie mi tamto łóżko.

Christian wziął go pod rękę i ostrożnie przeprowadził przez wąskie przejście. Porucznik dotknął kolanem materaca na sąsiednim łóżku.

— Aha, tutaj — mruknął obojętnym tonem.

— Dlaczego nie powiedział pan nikomu, że włada pan nogami?

Christian miał wrażenie, że dręczy go jakiś koszmar, że zadaje to pytanie upiowski przelatującemu za oknem.

Hardenburg stał bez ruchu w żółtej flanelowej pidżamie. Chwiał się trochę na nogach. Nagle zachichotał za biłą bandaży.

— Widzicie, człowiek powinien zawsze taić to i owo przed władzami, które w danej chwili nim dysponują — zachichotał znowu.

Pochylił się i delikatnie wodził palcami po kocu okrywającym piersi „Spalonego”.

— Tutaj — zaskrzypiało za lodowcem opatrunku. — Tutaj.

Był to głos ochrypy, pozbawiony ludzkiego brzmienia. Tak mógłby odezwać się w ostatnim przedśmiertnym wysiłku konający ptak, pantera tonąca wolno we własnej krwi, małpa ukrzyżowana na ostrym sęku podczas orkanu w dżungli.

Jasnożółta, koścista dłoń Hardenburga zastygła nieruchomo na białym tle bandaży. Wyglądała jak wyblakłe zdjęcie rentgenowskie.

— Gdzie trzymam rękę? — zapytał porucznik. — Gdzie trzymam rękę?

— Na jego piersiach — szepnęła Diestl patrząc jak zahipnotyzowana na rozpostarte palce koloru kości słoniowej.

— Na sercu — powiedział Hardenburg. — Dokładnie nad jego sercem. Od dwóch tygodni ćwiczymy to co noc.

Z pewnością ślepeca zawrócił, postąpił parę kroków i wdrapał się na swoje łóżko. Podciągnął koce do ramion, nad którymi spowita głowa sterczała jak średniowieczny hełm z przyłbicą.

— Diestl — powiedział. — Możecie śmiało przynieść bagnet. Nie bójcie się o siebie. Ukryję go na dwa dni po waszym wyjeździe. Nikomu nie przyjdzie do głowy winić was o zabójstwo. Zrobię to w nocy, kiedy przez osiem godzin nie zagłąda tu żywa dusza. A on będzie milczał! — Znowu zachichotał upiornie. — Słyszałem, że zegarmistrze są bardzo dyskretni.

— Dobrze, panie poruczniku — powiedział Christian wstając. — Jutro będzie pan miał bagnet.

Nazajutrz rano przyniósł ciężki nóż. Ukradł go wieczorem w kantine, kiedy jego właściciel z dwoma szeregowcami z intendury głośno śpiewali przy piwie „Liii Marlen”. Do marmurowej willi fabrykanta jedwabi przemycił bagnet pod bluzą i wsunął pod materace według wskazówek Hardenburga. Pożegnał się z byłym dowódcą i stojąc we drzwiach po raz ostatni spojrzął na dwie ślepe,

białe kukły. Leżały na równoległych łózkach w wysokim, jasnym pokoju. Za oknami Zatoka Neapolitańska lśniła w słonecznych blaskach.

Odchodząc korytarzem utykał i wulgarnie hałasował butami na marmurowych płytach. Czuł się jak student z dyplomem w kieszeni opuszczający uniwersytet, w którego bibliotekach przewertował i ogarnął pamięcią wszystkie książki.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

— Baczność! — zaalarmował od drzwi donośny głos i Noe stanął sztywno przed swoją pryczą.

Kapitan Colclough w asyście szefa kompanii i sierżanta Ricketta wkroczył do baraku, aby rozpocząć sobotnią inspekcję. Powoli szedł zamiecionym środkowym przejściem pomiędzy szeregami wyprostowanych żołnierzy, ogolonych i wyszorowanych do czysta. Bystre patrzył na włosy i wyglansowane buty. Miał minę nieprzyjaźni* rzeczową, jak gdyby lustrował nie ludzi, lecz stanowiska wroga. Płomienne słońce Florydy świeciło luną za nie przesłoniętymi oknami.

Kapitan zatrzymał się przed nowo przybyłym szeregowcem Whitacre'em.

— Ósmy punkt regulaminu służby wewnętrznej? — rzucił spoglądając zimno na krawat Whitacre'a.

— Podnieść alarm w przypadku pożaru lub zakłócenia porządku.

— Rozrzucicie, sierżancie, to łóżko.

Sierżant Rickett wszedł między prycze i szarpnął pościel Whitacre'a. Wykrochmalone prześcieradła zachrzęściły sucho w grobowej ciszy baraku.

— To nie Broadway, Whitacre — powiedział Colclough. — Nie mieszkanie w hotelu „Astor”. Pokojówka nie przychodzi tutaj każdego rana. Musicie sami porządnie ślać łóżko.

— Tak jest, panie kapitanie!

— Stulcie no pysk — powiedział spokojnie oficer. — Jak będę chciał coś od was usłyszeć, zapytam wprost, a wy odpowiecie: „Tak jest, panie kapitanie”, albo: „Nie, panie kapitanie.” Zrozumiano?

Colclough ruszył dalej, stukając obcasami w deski podłogi. Sierżanci szli za nim bezszelestnie, jak gdyby hałas był przywilejem oficerskiego stopnia.

Colclough przystanął przed Noem. Począł oglądać go badawczo. Miał bardzo nieprzyjemny oddech. Zdawać się mogło, że coś powoli, lecz stale rozkłada się w kapitańskim żołądku. Był oficerem Gwardii Narodowej stanu Missouri, a przed wojną prowadził zakład po-przebowy.

„Jego dawniejszych klientów nie drażnił pewno śmierdzący oddech” — pomyślał Noe. Z trudem dławił szalony śmiech, który wzbierał mu w krtani, kiedy kapitan pilnie studiował jego podbródek, żywiąc widać nadzieję, iż dostrzeże ślady zarostu.

Colclough spojrział na dół, na otwarty kuferek Noego. Objął wzrokiem twardo zwinięte skarpety i ułożone w geometryczny wzór przybory toaletowe.

— Sierzancie, wyjmijcie szufladę*

Rickett nachylił się i wyjął szufladę kuferka, w dolnym pudle leżały prostokąty ręczników, wzorowo złożone koszule, wełniane kalessony, a pod tym wszystkim książki.

— Ile taiti tego macie, Ackerman? — zapytał Colclough.

— Trzy.

— Co trzy?

— Trzy książki, panie kapitanie.

— Czy to wydawnictwa rządowe?

Pod wełnianymi kalessonami leżały *Wiersze wybrane* Elliota, *Ulisses* Joyce'a i *Eseje* Bernarda Shaw.

— Nie, panie kapitanie — odpowiedział Noe. — To nie są wydawnictwa rządowe.

— Tylko książki dostarczane przez rząd mogą znajdować się w kuferkach żołnierskich. Wiedzieliście o tym, Ackerman? — Cuchnący oddech zionął prosto w twarz Noego.

— Tak jest, panie kapitanie.

Colclough nachylił się, odrzucił na bok wełniane kalessony. Wziął w rękę podniszczony tomik w szarej oprawie: *Ulisses*. Mimowolnie Noe odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się, co kapitan robi.

— Baczność! — wrzasnął oficer.

Noe spojrział na wprost i przez okno w przeciwległej ścianie zobaczył bramkę na boisku sportowym.

Kapitan otworzył książkę i zaczął przewracać pierwsze strony.

— Znam to — oznajmił. — Same świństwa, plugastwa! — Rzucił *Ulissesa* na podłogę. — Pozbądźcie się tej książki. Pozbądźcie się wszystkich trzech. To nie biblioteka, Ackerman. Nie przyszliście do wojska, żeby czytać.

Książka leżała na środku pustej podłogi baraku. Odwróciła się grzbietem do góry. Kartki były podwinięte, zgniecione. Kapitan otarł się o Noego, wszedł między piętrowe prycze i zbliżył się do okna. Noe czuł, że za jego plecami porusza się ciężko. Czuł również mrówki chodzące po grzbiecie.

— To okno nie było myte — zawołał Colclough. — Cholerny "barak! Brudy jak w chlewie!

Zamaszystym krokiem wrócił na środkowe przejście i nie zatrzymując się, nie oglądając innych żołnierzy, którzy czekali wyprężeni przed pryczami, przeszedł cały barak. Za nim sunęli bezszelestnie dwaj sierżanci. Zatrzymał się i odwrócił dopiero we drzwiach.

— Już ja was nauczę utrzymywać porządek w domu! — wrzasnął. — Samiście winni, jeśli macie między sobą brudasa. Powinniście wytłumaczyć mu jak trzeba, co to znaczy czystość. Nikt nie wyjdzie z tego baraku do jutrzejszej pobudki. Nikt nie dostanie przepustki na niedzielę. Jutro o dziewiątej rano inspekcja. Radzę, żeby był porządek.

Odwrócił się i wyszedł.

— Spocznij! — zakomenderował Rickett i wybiegł z baraku za kapitanem i sierżantem szefem.

Noe zdawał sobie sprawę, że śledzi go setka oskarżycielskich nieżyczliwych oczu. Wolno zbliżył się do książki leżącej na podłodze. Schylił się, podniósł ją i odruchowo zaczął prostować kartki. Potem wrócił pod okno — przyczynę wszystkiego złego.

— Sobotni wieczór! — usłyszał wezbrany żalem głos w drugim końcu baraku. — Koszarniak na sobotni wieczór! Mam randkę z jedną kelnerką, co to już dochodzi. A jej mąż wraca jutro rano. Cholera! Łeb bym komuś ukręcił.

Noe patrzył na okno. Połyskiwało martwo. Za nim leżała pusta, spalona słońcem płaszczyzna. W rogu dolnej szyby była mała ćma, która rozbiła się widać o szkło i zdechła w żółtawej mazi własnych wnętrzności. Z zamyśloną miną Noe wziął w palce ćmę.

Za plecami usłyszał kroki wyłaniające się z gwaru coraz liczniejszych głosów. Ale stał bez ruchu, trzymał ćmę-samobójczynię, której połamane skrzydła niemile drażniły skórę ostrym pyłkiem. Wyglądał przez okno na szary, zakurzony plac alarmowy i zielony gaj pinii daleko za obozem.

— No i co, Żydku? — zabrzmiał głos Ricketta. — Pokazałeś, co umiesz?

Noe nie odwracał głowy. Patrzył na trzech biegnących żołnierzy. Śpieszyli w stronę obozowej bramy. Mieli przepustki w kieszeni.

Czekały na nich autobusy, a później bary, łatwe dziewczyny, miasto i — aż do poniedziałkowej pobudki — trzydzieści godzin swobody.

— Szeregowiec! W tył zwrot! — zakomenderował Rickett.

Barak milczał. Noe wiedział, że wszyscy go obserwują. Odwrócił się powoli, stanął frontem do sierżanta. Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna o jasnozielonych oczach i cienkich, bezbarwnych wargach. Brak przednich zębów świadczył o jakiejś dawno zapomnianej burdzie, a zarazem płała dziwne figle wymowie. Sierżant miał twardy akcent z Teksasu, lecz chwilami seplenił i komicznie wykrzywił szparę prawie nieruchomych ust. Obecnie stał naprzeciwko Noego między pryzcami. Groźnie rozkrzyżował ręce, oparł dłonie na dwóch górnych posłaniach i rozprawiał:

— Słuchajcie no, szeregowiec. Od dziś biorę was pod specjalną opiekę. Zrozumiano? Chłopcy! — podniósł głos, żeby go wszyscy słyszeli, lecz nie odrywał wzroku od twarzy Noego i uśmiechał się krzywo, nieprzyjemnie. — Chłopcy, gwarantuję, że ten Icek ostatni raz popsuł wam sobotni wieczór. Gwarantuję! Zrozumiano? Jak Boga kocham Icek, to nie synagoga, tylko koszary armii Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zrozumiano? Musi tu być czysto. Cholernie czysto jak w domach białych ludzi. Zrozumiano? Jak w domach białych ludzi!

Noe z niedowierzaniem gapił się na stojącego przed nim draba, rozkraczonego między dwoma pryzcami. Nie mógł pojąć, co się stało. Rickett został przydzielony do kompanii przed tygodniem i dotychczas nie zwracał uwagi na szeregowca Ackermana. A szeregowiec Ackerman przez kilka miesięcy w wojsku ani razu nie usłyszał nic na temat swojego żydowskiego pochodzenia. Niespokojnie rozejrzał się po baraku. Koledzy milczeli, mierzyli go oskarżycielskim wzrokiem.

— No, Icek, bierzcie się zaraz do roboty — zaseplenił sierżant i wykrzywił usta w sposób, który w normalnych warunkach musiałby pobudzić do śmiechu. — Przebierzcie się w kombinezon i postarajcie się o wiadro wody. Wszystkie okna w tym cholernym baraku mają być na glanc wymyte. Zrozumiano? Na glanc! Jakby je wyszorował uczciwy chrześcijanin. Wskakujcie no w kombinezon, Icek, i do roboty! Tylko mi się ruszać! Zrozumiano? Przyjdę na inspekcję i, jak Boga Jedynego kocham, pożałujecie, jeżeli szyby nie będą się świecić jak burdel w Boże Narodzenie.

Rickett odwrócił się i wolno wyszedł z baraku. Noe stał koło swojej pryczy i rozwiązywał krawat. Miał wrażenie, że obserwuje go cały barak, że przebiera się w kombinezon w ogniu wrogiem,

obelżywych spojrzeń. Nie patrzył na niego tylko „nowy” — Whitacre. Pracowicie prześcielał łóżko rozrzucone na polecenie dowódcy kompanii.

O zmroku Rickett obszedł barak i od zewnątrz obejrzał wymyte okna.

— W porządku, Icek—powiedział na zakończenie. — Tym razem będę wyrozumiały. Nie musicie poprawiać. Ale pamiętajcie, że mam was na oku. Zrozumiano? Nie lubię rozmaitych Murzynów, Żydów, Meksykanów, Chińczyków. Od dzisiaj ciężko wam będzie wkompanii. Zrozumiano? Musicie się starać. A teraz dupę w troki, jazda do baraku i nie wychodzić mi na dwór. Zrozumiano? Aha! Powiem wam jeszcze, że panu kapitanowi też nie przypadliście do gustu. Radziłbym spalić te książki, jak pan kapitan mówił, bo inaczej może być kram. Zrozumiano? Odmaszerować, Icek! Sprzykrzyło mi się patrzeć na waszą wredną gębę!

Noe wszedł ciężko na schodki, zamknął drzwi i zostawił za sobą pogodny zmierzch. W baraku żołnierze spali, a na samym środku kwitł poker na dwóch zestawionych kuferkach. Zaleciało alkoholem. Noe spostrzegł, że Riker, który spał najbliżej wejścia, ma na twarzy błogi pijacki uśmiech.

Donnelly drzemał w podkoszulku na swoim posłaniu. Otworzył jedno oko i powiedział głośno:

— Ackerman, nie mam żalu, żeś ukrzyżował Chrystusa, ale tego zasranego okna nigdy ci nie daruję. — Ziewnęła i zamknęła oko.

Noe uśmiechnął się blade. „Dowcip — pomyślał. — Głupi, ordynarny, ale dowcip.”

Gdyby inni potraktowali sytuację na wesoło, nie byłoby najgorzej. Ale sąsiad Donnelly'ego, wysoki, chudy farmer z Południowej Karoliny, który siedział na pryczy podpierając głowę rękami, odezwał się spokojnym, rzeczowym tonem:

— Wy wciągnęliście nas w wojnę. Dlaczego nie możecie teraz zachowywać się jak ludzie?

Noe zrozumiał, że to wcale nie był dowcip.

Wolno szedł w stronę swojej pryczy. Opuścił głowę, unikał wzroku kolegów, lecz zdawał sobie sprawę, że wszyscy mu się przyglądają. Nawet pokerzyści przerwali na chwilę grę. Nawet „nowy” Whitacre — siedząc na przesłanej pryczy, niezyczliwie gapił się na Noego, chociaż i on ucierpiał tego dnia z ręki władz wojskowych, a w ogóle wyglądał na przyzwoitego człowieka.

„Nie do wiary — pomyślał Ackerman. — Nie do wiary. Ale to przejdzie, minie...”

Wyjął z kuferka zielone tekturowe pudło z papierem listowym. Usiadł na swoim posłaniu i zaczął pisać do Hope:

Najdroższa! Przed chwilą skończyłem porządki domowe. Pucowałem setki szyb tak pieczołowicie jak jubiler, co czyści pięćdziesięciokaratowy diament przeznaczony dla gangsterskiej dziwki. Nie mam pojęcia, jak zachowam się twarzą w twarz z niemieckim piechurem lub japońskim marynarzem, ale wiem już, że na każde zawołanie dam radę całej armii okien...”

— Trudno czepiać się Żydów — zabrzmiał donośny głos jednego z pokerzystów. — Nie ich wina, że są od nas sprytniejsi. Dlatego mało ich w wojsku, a dużo tam, gdzie się robi pieniądze. Nie mam do nich pretensji. Gdybym ja miał taki łeb, też nie byłbym tutaj. Siedziałbym w Waszyngtonie, w hotelowym apartamencie i patrzył, jak forsa pcha się drzwiami i oknami.

Zapadła cisza. Noe czuł, że wszyscy go obserwują, lecz nie odrywał wzroku od ćwiartki papieru.

„Dużo maszerujemy. Maszerujemy z góry i pod górę, w dzień i w nocy. Doszedłem do wniosku, że armia dzieli się na dwa człony: oddziały walczące i oddziały maszerujące i myjące okna. Nam przypadła w udziale druga rola. Mam już takie mięśnie jak nikt dotychczas w rodzie Ackermanów.”

— Nasi Żydkiwie — podchwycił inny pokerzysta — ulokowali grube hopy w Niemczech i we Francji. Do nich należą wszystkie paryskie czy berlińskie banki i burdele. Roosevelt chciał bronić żydowskich kapitałów i dlatego wypowiedział wojnę.

Żołnierz mówił głośno, nienaturalnie. Jak pociskiem mierzył w głowę Noego. Ten jednak nie podnosił wzroku.

„Wyczytałem w gazecie — pisał — że bierzemy udział w wojnie maszyn. Ale jedyna maszyna, z jaką dotąd miałem do czynienia, to maszyna do strzyżenia włosów.”

— Żydzi mają swój komitet międzynarodowy — ciągnął ten sam głos. — Zbiera się on w Polsce, w mieście, co się nazywa Warszawa. Stamtąd idą rozkazy na cały świat: „Kupić to. Sprzedać tamto. Zacząć wojnę z tym krajem. Zacząć wojnę z tamtym krajem.” Dwudziestu starych rabinów, o, z takimi brodami...

— Słyszysz, Ackerman? — przerwał ktoś inny.

Noe musiał wreszcie spojrzeć na pokerzystów. Ich złośliwie uśmiechnięte twarze były zwrócone ku niemu

— Nie — odpowiedział. — Nic nie słyszałem.

— A może przysiadłbyś się do nas? — zaproponował Silichner sztucznie przyjacielskim tonem. — Gramy taniutko, dla rozrywki. Przy okazji prowadzimy interesującą dyskusję. Przysiądziesz się, co?

— Nie, dziękuję — odparł spokojnie Noe. — Jestem zajęty.

— Jednego chcielibyśmy się dowiedzieć. Jak to się stało, że trafiłeś do wojska? Nie było ani jednego masona w komisji rekrutacyjnej czy jak? — Silichner miał ledwie dostrzegalny niemiecki akcent, jak gdyby we wczesnym dzieciństwie mówił po niemiecku i niezupełnie o tym zapomniał.

Noe wziął w rękę rozpoczęty list do żony i dziwił się, że papier nie drży ani trochę.

— To jeszcze nic — wtrącił jakiś głos. — Słyszałem o jednym Żydzie, co zgłosił się na ochotnika.

— Nie opowiadaj!

— Jak Boga kocham, słyszałem. Wypchali go. Jest teraz w muzeum.

Pokerzyści wybuchnęli nienaturalnym śmiechem. Jak gdyby odbywali próbę przedstawienia.

— Współczuję Ackermanowi — podjął Silichner. — Słowo daję! Ile forsy mógłby zarobić na czarnym rynku, gdyby nie wpadł do piechoty. Pomyślcie tylko: lewe opony, lewa benzyna. Biedny Ackerman!

„Chyba nie opowiadałem ci jeszcze o naszym sierżancie — pisał Noe do Hope, która na dalekiej północy czekała na list. — Przyszedł do nas w zeszłym tygodniu. Nie ma przednich zębów. Sepłeni i pociesznie wykrzywia usta, zwłaszcza jak się złości. Ten gość...”

— Ackerman!

Noe obejrzał się szybko. Koło jego pryczy stał kapral z sąsiedniego baraku.

— Ackerman, do" kancelarii. Ale to już!

Bez pośpiechu Noe włożył rozpoczęty list do zielonego pudełka, a pudełko schował troskliwie w kuferku. Zdawał sobie sprawę, że jest pod baczną obserwacją, że cały barak śledzi każdy jego ruch. Kiedy pewnym krokiem mijał pokerzystów, Silichner mówił:

— Dostanie order. Specjalny order za to, że może jeść jednego śledzia na pół roku i ma całkiem dosyć.

Po raz drugi gruchnęła salwa nienaturalnego śmiechu.

„Koniecznie muszę sobie z tym poradzić — myślał Noe wychodząc w błękitny mrok spowijający obóz. — Jakoś... Kiedyś...”

Po zaduchu w baraku nocne powietrze było upajające, słodkie. Ucho pieściła cisza, w której nie rechotały wrogie głosy. Noe szedł wolno ulicą pośród niskich budynków. Spodziewał się nowych przykrości w kancelarii, na razie jednak rozkoszował się chwilowym zawieszeniem broni pomiędzy sobą a wojskiem i całym światem. Dobrze mu było w samotności.

Nagle mijając róg baraku usłyszał za sobą tupot szybkich kroków. Zanim zdążył odwrócić głowę, ktoś wykręcił mu ręce do tyłu.

— Te, Żydek, nie bój się — syknął mu w ucho prawie znajomy głos. — To tylko pierwsza porcja.

Noe uchylił na bok głowę, lecz mimo to dostał potężnie. Zdrętwiało mu ucho i cała lewa strona twarzy.

„Biją pałką — pomyślał wijąc się jak piskorz. — Do licha! Za co? Nie zrobiłem im nic złego.”

Drugi cios. Noe poczuł, że nogi się pod nim uginają. Trzeci... czwarty... Upadł.

Kiedy otworzył oczy, było zupełnie ciemno. Leżał na zakurzonej trawie przejściu między barakami. Twarz miał spuchniętą, wilgotną. Stracił pięć minut, by dowiec się pod ścianę i dźwignąć do pozycji siedzącej.

Michael myślał o piwie. W skwarze i tumanach kurzu maszerując za Ackermanem wspominał piwo w szklankach, kuflach, bombach, piwo w butelkach, puszkach, antalkach, beczkach, piwo w kryształowych pucharach i „literatkach”. Odświeżał w pamięci liczne miejsca, gdzie pijał w ciągu minionych lat. Był taki okrągły bar przy Szóstej Alei, dokąd przebrani po cywilnemu pułkownicy regularnej armii wstępowali po drodze z Wyspy Gubernatorskiej; bufetowy chłodził tam lodem wysokie, zwężające się do dołu kielichy i napełniał je pianistym płynem ciekącym z błyszczących kurków. W snobistycznej restauracji w Hollywood, gdzie nad bufetem wisiały reprodukcje francuskich impresjonistów, piwo podawali w kubekach z lodem, jak szampana, i za butelkę liczyli siedemdziesiąt pięć centów. Później Whitacre zobaczył własną bawialnię: rozparty w wygodnym, krytym sztruksem fotelu, ubrany w szlafrok i miękkie pantofle, siedzi późną nocą w ciepłym kręgu światła stojącej lampy i czyta prasę z datą następnego rana. A w klubie „Polo” podczas meczów baseballowych piwo nalewano do papierowych kubków, aby publiczność nie miała czym bombardować sędziów.

Michael wytrwale szedł naprzód. Był zmęczony i pić chciało mu się potwornie. Ręce miał drętwe i lekko obrzmiałe, jak zwykle po piątej mili marszu, na ogół jednak czuł się znośnie. Słyszał ciężki, świszczący oddech poprzednika. Widział, że Ackerman chwieje się na nogach i z wysiłkiem pokonuje łagodne wzniesienie drogi. Żal mu się zrobiło biedaka. Na pewno zawsze był wątły, a godziny musztry, marsze i przeróżne niedole życia wojskowego odarły z ciała jego kości. Wygląda teraz jak ubrany w żołnierski mundur trzciniowy manekin, który lada chwila ma się złamać. Patrząc na jego wąskie, zgarbione plecy, Michael odczuł coś na kształt wyrzutów sumienia. I on schudł po miesiącach szkolenia, ale był smukły po sportowemu. Zachował elastyczność mięśni, siłę, żelazne nogi. Wydało mu się niesprawiedliwością, że on jest zdrow i krzepki, a w tej samej kolumnie, tuż przed nim maszeruje żołnierz, dla którego każdy krok stanowi mękę. Ale nie na tym koniec. Te nie ustające od dwóch tygodni napaści. Ordynarne, złośliwe dowcipy. Improvizowane dyskusje polityczne, w których gadają takie zdania, jak na przykład: „Hitler to frajer. Robi błąd po błędzie. Ale jedno trzeba mu przyznać: wie, jak uporać się z Żydami.”

Whitacre próbował interweniować. Parę razy występował w obrońce prześladowanego. Ale niewiele mógł wskórać, bo był „nowy” i pochodził z Nowego Jorku, a kompania składała się przeważnie z południowców.

Był w tym oddziale drugi Żyd—mężczyzna olbrzymiego wzrostu, nazwiskiem Fein. I on nie cieszył się sympatią, ale nikt mu nie dokuczał. Być może, zawdzięczał to atletycznej budowie, gdyż mimo wesołego, pogodnego usposobienia wyglądał groźnie. Miał wielkie, sękatę łapy i niczym się nie przejmował. Trudno byłoby go obrazić, bo zapewne nie rozumiał przycinków. Gdyby jednak wpadł w furję, mógłby narobić strasliwego spustoszenia. Dlatego ludzie, którzy pastwili się nad Ackermanem, zostawiali Feina w spokoju.

„Wojsko, psiakrew!” — pomyślał Michael.

W Fort Dix zachował się głupio, kiedy oficerowi z komisji kwalifikacyjnej powiedział, że chce iść do piechoty. Zaczynał zdawać sobie z tego sprawę. Romantyzm! W wojsku od środka nie ma nic romantycznego. Obolałe nogi, ciemny dum, pijaństwo... „Już ja was nauczę, skurwysyny, jak brać w garść karabin i walczyć za ojczyznę!”

Oficer z komisji kwalifikacyjnej powiedział:

— Macie wykształcenie, Whitacre. Mogę was skierować do propagandy.

Oznaczałoby to pracę w Nowym Jorku, w jakimś urzędzie, zapewne do końca wojny. Ale Michael postanowił być wzniosłym, odrzekł więc bez wahania:

— Nie dla mnie propaganda. Przyszedłem do wojska nie po to, by siedzieć za biurkiem.

A po co? By wędrować pieszo wzdłuż i wszerz Florydy? By prześcielać łóżko, które nie przypadło do gustu przedsiębiorcy pogrzebowemu? By przyglądać się torturowaniu Żyda?

Michael zdawał sobie sprawę, że z większym pożytkiem dla ojczyzny mógłby angażować chórzystki do teatrów wojskowych. W biurach propagandy przy Alei Schuberta byłby przydatniejszy niż tutaj, na tej idiotycznej, gorącej szosie. Ale musiał zrobić efektowny gest. Musiał! Cóż, efektowne gesty szybko tracą sens w wojsku.

Wojsko. Jak określić je jednym słowem, zdaniem, okresem? To niepodobieństwo. Wojsko jest milionem okruchów, ruchomych drobin, które nigdy się nie łączą, nigdy nie zmierzają w tym samym kierunku. Wojsko to kazanie po filmie popularnym, ilustrującym higienę życia płciowego. Najprzód ohydne zbliżenie owrzodzonego penisa, a później sługa boży w kapitańskim mundurze przed pustym ekranem, na którym dopiero co pojawiały się brudne ulicznice i *gnijące* mięso ludzkie. „Żołnierze! — perorował śpiewny głos pastora. — Armia ma swoje praktyczne racje. Armia wie, co robi. Czyhają na was mnogie niebezpieczeństwa. Dlatego oglądaliście ten film. Dlatego dowiadujecie się, jak działają stacje zapobiegawcze. Ale ja przyszedłem tutaj, aby powiedzieć wam, żołnierze, iż Bóg jest lepszy od profilaktyki, a religia daje człowiekowi więcej niż rozpusta...” Oto jeden okruc. A inny: Były nauczyciel gimnazjalny z Hartfordu. Ma wynędzniałą twarz i nieprzytomne oczy, jak gdyby nieustannie drżał, że będzie musiał popełnić morderstwo. Pewnego wieczoru zwierzał się szeptem Michaelowi: „Kolego, powiem ci prawdę o sobie. Należę do Badaczy Pisma. Sumienie jest moim sędzią. Nie wierzę w wojny. Wzbraniam się zabijać bliźnich. Dlatego przydzielili mnie do kuchni. Tyram tam od trzydziestu sześciu dni, dzień po dniu. Straciłem dwadzieścia osiem fantów i dalej chudnę. I tak nikt nie zmusi mnie do pozbawienia życia bliźniego.”

Wojsko. Zawodowy kapral w Fort Dix, który od trzynastu lat nosił mundur i przez cały ten czas grywał w reprezentacyjnych drużynach piłki nożnej i baseballa; „wojak z boiska” przezywano takich żołnierzy. Tęgi, barczysty chłop, o brzuchu zaokrąglonym od piwa wypitego w Cavite i w Panamie, i w Fort Riley w stanie Kansas. Pewnego dnia

naraził się komuś z komendy obozu i popadł w niełaskę. Przydzielono go do uzupełnień i do pułku liniowego. Ciężarówka zajeżdżała przed barak. Kaprał załadował swój bagaż, dwa dobrze wypchane worki, i nagle zaczął płakać. Upadł na ziemię. Szlochał. Jęczał. Ślina ciekła mu z ust. Bał się, bo odjeżdżał nie na mecz, lecz na wojnę. Sierżant szef — stukilowy Irlandczyk, który służył nieprzerwanie od tamtej wojny — wyszedł z komendy obozu i pogardliwym wzrokiem zmierzył kaprała. Dla uspokojenia kopnął go w głowę, a gdy to nie pomogło, kazał dwóm ludziom wrzucić mazgaja na ciężarówkę. Później zwrócił się do rekrutów, niemych świadków dziwnej sceny: „Ten bydlak to zakąła zawodowego korpusu podoficerskiego. Wcale nie jest typowy. Jak Boga kocham, wstyd mi za niego. A wy czego się gagicie? Co? Jazda stąd! Ale to już!”

Pogadanki na tematy ogólne: „Poprawne zachowanie żołnierza”, „Przyczyny wojny, w której walczysz”. Znanca zagadnień japońskich — cienki, blady profesor z Leigh — dowodzi, że o wszystkim decyduje ekonomika. Japonia rośnie, chce zawładnąć rynkami Azji i wysp na Oceanie Spokojnym. My zaś musimy położyć tamę japońskiej ekspansji i za wszelką cenę utrzymać te właśnie rynki.

Od piętnastu lat Michael podobnie oceniał przyczyny wojen. Obecnie jednak nienawidził profesora. Słuchał beznamietnego, suchego głosu. Patrzył na wielką mapę z wyraźnie oznaczonymi strefami wpływów, polami naftowymi, plantacjami kauczuku. Słuchał, patrzył i brzydził się wykładem. Wolałby się dowiedzieć, że walczy o wolność, o cnotę, o swobody uciśnionych narodów. Chciał w to uwierzyć. Chciał zdań tak podniosłych i grzmiących, żeby z otuchą wrócić do baraku, a nazajutrz rano z otuchą pomaszerować na strzelnicę. Spojrzał po kolegach. Tępo słuchali profesorskich wywodów. Znudzone, senne twarze dowodziły, że ci ludzie nic nie rozumieją, nie chcą niczego, nie pragną pól naftowych ani rynków zbytu. Widać było, że czekają jedynie hasła, żeby pójść do baraków, wyciągnąć się na pryzkach i zasnąć... Michael postanowił, że po wykładzie wstanie i zabierze głos, bo rozkład zajęć przewidywał pięć minut na pytania oraz dyskusję. Profesor gadał: „Reasumując dochodzimy do logicznego wniosku, iż... ee... w naszej epoce potężne grupy kapitału i interesów narodowych... ee... w danym punkcie globu popadają... eee... w nieunikniony konflikt z innymi, równie potężnymi grupami kapitału i interesów narodowych w innych punktach globu... Eee... Nakazem chwili jest dla nas obrona amerykańskiego standardu życia... eee... a zatem bezwarunkowo musimy zyskać niczym nie

skrępowany dostęp do bogactw i siły nabywczej Chin oraz Indonezji..."

Michael zmienił zamiar. Obecnie mógłby tylko powiedzieć: „To straszne. Nie mam wiary. Nie mam za co oddać życia.” Ale był zmęczony i podobnie jak inni żołnierze pragnął tylko wyciągnąć się na pryczy i usnąć.

Wojsko ma jednak pewne cechy piękna.

Capstrzyk. Flaga osuwa się w dół masztu. Głośniki ryczą hymn narodowy. Człowiek fnusi wtedy myśleć o innych żołnierzach amerykańskich, co od z górą stu lat słuchali o tej samej porze podobnych surm.

Koniec dnia. Gaszenie świateł. Papierosy żarzą się w ciemnym baraku. Miękkie głosy południowców wyliczają skarby cywilnego życia: imiona dzieci, kolor włosów żony, wygląd domu rodzinnego... Trudno czuć się odosobnionym o tej ciemnej, smutnej godzinie. Trudno być sędzią i krytykiem, ważyć słowa i ich motywy... Człowiek jest tylko strudzony, serdeczny i jak inni płynie biernie z nurtem niespokojnych, ciężkich czasów...

Ackerman potknął się w marszu. Whitacre przyśpieszył kroku, chwycił go za ramię.

— Odczep się! — Noe spojrzał nań lodowato. — Nie chcę pomocy od nikogo.

Michael cofnął rękę, wrócił na miejsce i bez współczucia patrzył na kolegę, który chwiał się na nogach, z trudem idąc pod górę.

„Żyd, psiakrew — pomyślał gniewnie na grzbiecie wzgórze. — Jeden z tych dumnych!”

Noe wszedł do kancelarii kompanijnej i stanął przed biurkiem, za którym szef czytał powieść kryminalną *Nadczłowiek*.

— Panie sierżancie, proszę posłusznie o pozwolenie zwrócenia się do dowódcy kompanii.

Szef nie drgnął. Noe stał sztywno w kombinezonie brudnym i przepoconym po ciężkim dniu. Spoglądał na siedzącego w odległości trzech stóp dowódcę kompanii. I on nie odrywał wzroku od lektury. Studiował dziennik z Jacksonville — stronę poświęconą sportowi.

Wreszcie szef zerknął na Noego.

— Czego szeregowiec chce? — zapytał.

— Panie sierżancie, proszę posłusznie o pozwolenie zwrócenia się do dowódcy kompanii. — Starał się mówić donośnym, czystym głosem, chociaż po marszu był bardzo zmęczony.

Podoficer zmierzył intruza obojętnym wzrokiem.

— Wynoś się — powiedział krótko.

Noe przełknął ślinę.

— Panie sierżancie — rozpoczął z uporem — proszę posłusznie o pozwo...

— Wynoś się — powtórzył spokojnie sierżant. — A jak wrócisz, nie zapomnij przebrać się w mundur wyjściowy.

— Rozkaz, panie sierżancie.

Kapitan Colclough nie przerwał czytania wiadomości sportowych. Noe wyszedł z małego, dusznego pokoju. Zapadał zmierzch. Przebieganie się w taki czy inny mundur to bardzo zawiła sprawa. Raz dowódca kompanii rozmawia z żołnierzem w kombinezonie, raz nie rozmawia. Przepisy zmieniają się co pół godziny. Powoli włókł się w stronę swojego baraku. Mijał grupki odpoczywających żołnierzy. Liczne prywatne radioodbiorniki dźwięczały muzyką jazzową albo kolejnym odcinkiem powieści kryminalnej.

Kiedy przebrany w mundur wyjściowy zameldował się znów u szefa, kapitana nie zastał. Usiadł więc na trawie naprzeciwko wejścia do kancelarii i czekał cierpliwie. W baraku za plecami Noego ktoś śpiewał: „Nie na żołnierza hodowałam syna — mówiła matka przed skonaniem...” Do wtóru dwaj żołnierze spierali się głośno o termin zakończenia wojny. Jeden z nich wołał:

— Powiadam ci, w pięćdziesiątym roku na jesieni. Wszystkie dawniejsze wojny kończyły się, jak przychodziła zima.

— W pięćdziesiątym? — sprzeciwił się drugi. — Może z Niemcami. Ale zostaną Japończycy. Trzeba się będzie z nimi dogadać.

— Ja tam jestem gotów dogadać się z każdym — wtrącił trzeci głos. — Z Bułgarami, Egipcjanami, Meksykanami. Z każdym.

— Jesień pięćdziesiątego roku — odezwał się znowu pierwszy prorok. — Wspomnicie moje słowa. Albo i nie wspomnicie, bo do tej pory każdy będzie miał kulę w sobie.

Noe nie słuchał więcej. Oparty plecami o drewniane schodki baraku siedział w ciemnościach na wydeptanej trawie. Prawie drzemał. Czekając powrotu kapitana myślał o Hope. W przyszły wtorek będą jej urodziny. Noe zaoszczędził na prezent dziesięć dolarów i schował banknot na dnie worka. Ale czy za dziesięć dolarów kupi coś, czego nie byłoby wstyd ofiarować żonie? Może szal? Może bluzkę? Wyobraził sobie Hope w szalu na ramionach, a później w nowej bluzce. Najlepsza będzie biała bluzka. Zobaczył szczupłą szyję wyrastającą nad śnieżnym

jedwabiem i drogą twarz w cieniu gęstych, ciemnych włosów. Chyba za dziesięć dolarów można dostać przyzwoitą bluzkę, nawet na Florydzie?

Colclough wrócił wreszcie. Głośno tupał na schodkach kancelaryjnego baraku. Z odległości pięćdziesięciu jardów można było poznać, że to oficer. Chociażby po tym, jak kręcił zadkiem.

Noe wstał i za dowódcą wszedł do kancelarii. Kapitan w czapce na głowie siedział za swoim biurkiem. Zmarszczony gniewnie przyglądał się, jakimś papierem, które trzymał w ręku.

— Panie sierżancie — zaczął cierpliwie Noe. — Proszę posłusznie o pozwolenie zwrócenia się do pana kapitana.

Szef spojrział tępo na petenta. Wstał i przemaszerował trzy kroki dzielące go od kapitańskiego biurka.

— Panie kapitanie — zameldował — szeregowiec Ackerman prosi o pozwolenie zwrócenia się do pana kapitana.

— Niech czeka! — Dowódca nie spojrział nawet na podoficera, ten zaś rzucił pod adresem Noego:

— Pan kapitan kazał, żebyście zaczekali.

Noe usiadł i zapatrzył się w dowódcę. Po półgodzinie Colclough spojrział wymownie na szefa, a szef powiedział:

— Możecie zwrócić się do pana kapitana. Tylko nie nudźcie długo.

Noe stanął na baczność, zasalutował i przemówił:

— Panie kapitanie, szeregowiec Ackerman malduje posłusznie, że pan szef pozwolił mu zwrócić się do pana kapitana.

— Czego? — zapytał Colclough nie odrywając wzroku od papierów.

— Panie kapitanie, żona przyjeżdża do mnie w piątek wieczorem. Pisała, że będzie czekać w hotelu. Proszę posłusznie o zezwolenie opuszczenia obozu w piątek po zajęciach.

Colclough nieprędko odzyskał mowę.

— Szeregowiec Ackerman — powiedział wreszcie — powinien znać regulamin wewnętrzny kompanii. W piątki wieczorem obowiązuje zakaz opuszczania koszar. To czas na przygotowanie do inspekcji. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie. Ale moja żona nie mogła dostać miejsca w innym pociągu. Zupełnie nie zna tego miasta. Liczy, że będę na nią czekał. Myślałem więc, że ten jeden raz...

— Ackerman — przerwał kapitan, po raz pierwszy spoglądając na Noego — zapamiętajcie, że w wojsku służba stoi na pierwszym miejscu. Nie wiem, czy wbiję to chociażby w jeden zakuty łeb, ale

musicie przyznać, że się staram. Waszych przełożonych nie obchodzi, czy spotkacie się z żoną, czy nie spotkacie. Po służbie możecie robić, co się wam podoba. Ale służba wyklucza wszystko inne. Zrozumiano? Odmaszerować.

— Tak jest, panie kapitanie.

-T- Tak jest, panie kapitanie. I co dalej?

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie — wyrecytował Noe, bo przypomniał sobie pogadankę o „poprawnym zachowaniu żołnierza”.

Zasalutował i wyszedł.

Natychmiast wysłał do żony depeszę, chociaż kosztowała osiemdziesiąt pięć centów. Ale przez następne dwa dni nie otrzymał odpowiedzi, nie wiedział więc, czy Hope dostała telegram w porę. Piątkowej nocy nie zmrużył oka do rana. Leżał bezsennie w wysprzątanym baraku i myślał, że po tylu, tylu miesiącach Hope jest teraz ledwie o dziesięć mil. Czeka na niego w hotelu. Nie ma oczywiście pojęcia, co się stało, bo nic nie wie o ludziach takich jak Colclough ani o bezdusznej machinie władz wojskowych, dla której tkliwa miłość nie ma znaczenia ni wymowy.

„W każdym razie — myślał zapadając w drzemkę przed pobudką — zobaczę ją dziś po południu. Może i lepiej się stało. Do tego czasu znikną ostatnie ślady siniaków pod oczami, nie będę więc musiał tłumaczyć, gdzie i jak je zarobiłem...”

Kapitan miał rozpocząć inspekcję za pięć minut. Noe kontrolował nerwowo swoje posłanie, położenie rączników w kuferku, połysk okna za pryczą. Spostrzegł, że jego sąsiad, Silichner, zapina górny guzik płaszcza przeciwdeszczowego wiszącego porządnie między innymi sortami mundurowymi. Przed śniadaniem Noe upewnił się, że wszystkie jego guziki są starannie pozapinane w sposób regulaminowy, lecz wolał sprawdzić to jeszcze raz przed inspekcją. Odsunął na bok płaszcz i skamieniał. Bluza wyjściowa była rozpięta od góry do dołu. Drżącymi palcami sunął błyskawicznie od guzika do guzika. Jeżeli nie zdąży przed początkiem inspekcji, na pewno dostanie koszarniaka na sobotę i niedzielę. Nieraz Colclough karał surowiej za mniejsze winy, a jasno przecież dawał do zrozumienia, że za szeregowcem Ackermanem nie przepada. Dwa guziki płaszcza przeciwdeszczowego były również rozpięte.

„Dobry Boże — myślał rozpaczliwie Noe — ulituj się! Nie pozwól przyjść kapitanowi. Jeszcze chwilę, chwileczkę. Niech skończy!”

Nagle odwrócił głowę i spostrzegł, że Riker i Donnelly obserwują go z uśmiechem. Obydwaj jak na komendę schylili się i zaczęli usuwać niewidoczne pyłki z lśniącej powierzchni trzewików.

„Zagadka wyjaśniona — pomyślał z goryczą Noe. — To ich robota. A cały barak wiedział, udzielał milczącego poparcia. Wszyscy rozumieli, co mnie czeka, jeżeli dziś podpadnę... Ci dwaj wrócili wcześniej ze śniadania, porozpinali te przekłete guziki.”

Troskliwie obejrzał całą swoją garderobę i zdążył stanąć sztywno w nogach pryczy w momencie, kiedy sierżant wrzasnął od drzwi:

— Baczość!

Colclough oglądał go od stóp do głów chłodno i uważnie. Długo oceniał wzrokiem idealny porządek w kuferku. Potem macał wiszące na szaragach sorty mundurowe. Noe słyszał za sobą szelest poruszanych bluz i płaszczów. Kiedy wreszcie kapitan odszedł tupiąc głośno, Noe westchnął z ulgą. Wszystko skończyło się dobrze!

W pięć minut później było po inspekcji. Żołnierze wysypali się z baraku i tłumnie ruszyli w stronę przystanku autobusowego. Noe rozwiązał swój worek i sięgnął na dno po ceratowy portfel, w którym chował oszczędności. Wyjął go i otworzył, ale pieniędzy nie znalazł. Dziesięciodolarowy banknot zniknął. Na jego miejscu był zmięty świstek z jednym słowem „Figa” wypisanym dużymi drukowanymi literami kopiowym ołówkiem.

Ackerman wsunął do kieszeni nieszczęsną kartkę.

„Zabiję go — pomyślał. — Zabiję drania, który to zrobił. Nie będzie szala. Nie będzie bluzki. Nic nie będzie. Zabiję drania!”

Sennie dowlókl się do obozowej bramy. Chciał, by jego koledzy z baraku odjechali wcześniejszym autobusem. Nie mógł patrzeć na nich tego rana. Wiedział, że wyniknie awantura, jeżeli obok niego stanie Donnelly, Silichner albo Rickett. A na awanturę nie miał ochoty ani czasu.

Dwadzieścia minut czekał w długiej kolejce mężczyzn spragnionych swobody. Wreszcie wsiadł do pachnącego benzyną autobusu, w którym nie było nikogo z jego kompanii. Ogolone, wyszorowane, pogodne twarze nieznanomych wydały się Noemu sympatyczne, przyjazne. Poczul się między swoimi. Najbliższy sąsiad, wesoło uśmiechnięty olbrzym, podał mu nawet flaszkę whisky, którą dobył z kieszeni.

— Łyknij, bracie.

Noe spojrział na niego z uśmiechem.

— Nie, dziękuję. Moja żona dopiero co przyjechała. Jeszcze jej nie widziałem. Nie chcę zalatywać alkoholem przy powitaniu.

Żołnierz uśmiechnął się tak szeroko, jak gdyby usłyszał doskonały dowcip lub zgrabny komplement.

— Żona! No"i co? Jesteś zadowolony? Dawno jej nie widziałeś, bracie?

— Siedem miesięcy.

— Siedem miesięcy!

Olbrzym spoważniał trochę. Był bardzo młody. Twarz miał męską, energiczną, lecz cerę delikatną jak pańienka.

— Pierwszy raz po siedmiu miesiącach! A to dopiero! Szeregowiec! — zwrócił się znowu żartobliwie do żołnierza zajmującego fotel, obok którego stał Noe. — Wstańcie. Ustąpcie miejsca człowiekowi żonatemu. Od siedmiu miesięcy nie widział żony. Jedźcie teraz, żeby się z nią spotkać. Trzeba mu sił. Dużo sił! Zrozumiano?

Zagadnięty tak żołnierz wsta! z uśmiechem i rzucił pod adresem człowieka żonatego:

— Siadaj, kolego. Czemuś od razu nie powiedział?

— Nie, nie! Dziękuję! — bronił się Noe zakłopotany i ubawiony zarazem. — Dam sobie radę. Nie muszę przecież siedzieć i...

Olbrzym z butelką whisky popchnął go stanowczo na fotel.

— Odkąd jesteś w wojsku, bracie? — zapyta! groźnie. — Nie wiesz, co to rozkaz? Siadaj i oszczędzaj siły. Zrozumiano?

Noe usiadł. Cały autobus uśmiechnął się życzliwie.

— Nie masz przypadkiem fotografii swojej pani? — zapytał po chwili młody opiekun.

— Mam. Chcesz zobaczyć?

—• Pewnie.

Ackerman wyjął z kieszeni portfel i pokazał fotografię Hope roslemu żołnierzowi, który przyjrzał się jej uważnie.

— Ogród. Ogród w majowy ranek — orzekł. — Jak Boga kocham, muszę się ożenić, nim mnie zdążą ustrzelić.

Noe odpowiedział uśmiechem. Rozmowę z tym poczciwcem uznał za dobrą wróżbę. Zdawało mu się, że upadł już na dno, że od tej chwili zacznie się wspinać na przeciwległy stok przepaści.

Kiedy autobus zatrzymał się przed urzędem pocztowym, olbrzym pieczołowicie pomógł Noemu wysiąść na nędzną uliczkę.

— No, bywaj, bracie — powiedział klepiąc go życzliwie po ramieniu. — Powodzenia i przyjemnej niedzieli. Do poniedziałkowej

pobudki możesz zapomnieć, że istnieje na świecie coś takiego jak armia Stanów Zjednoczonych.

Noe pożegnał się z nim serdecznie i z dobrą miną ruszył do hotelu, gdzie miała czekać Hope.

Znalazł ją w hallu pełnym mundurów khaki i innych żon. Nie spostrzegła go w pierwszej chwili. Niepokojnymi, trochę krótkowzrocznymi oczyma robiła przegląd żołnierzy, kobiet i anemicznych palm w doniczkach. Była blada, zdenerwowana. Uśmiechnęła się przez łzy, kiedy Noe podszedł od tyłu i powiedział, delikatnie dotykając jej łokcia:

— O ile się nie mylę, pani Ackerman?

Pocałowali się, jak gdyby byli sami.

— Już dobrze — szepnęła Noe. — Dobrze, dobrze...

— Nie bój się, nie będę płakać — cofnęła się o krok; położyła mu dłonie na ramionach i patrzyła uważnie. — Mój Boże! Pierwszy raz widzę cię w mundurze.

— Jak wyglądam?

— Potwornie. — Usta zadrżały jej lekko.

Potem obydwójce wybuchnęli śmiechem.

— Prędko, na górę! — szepnęła Noe.

— Nic z tego!

— Jak to? — zapytał tonem nagłego przestrawu.

— Nie mogłam dostać pokoju. Mają komplet. Ale wszystko w porządku — roześmiała się widząc tragiczną minę męża. — Nie jesteśmy bezdomni. Znalazłam pensjonat przy końcu ulicy. Nie krzywi się jak półtora nieszczęścia, dobrze?

Pod ręce wyszli z hotelu. Po drodze nie odzywali się, tylko od czasu do czasu zerkali na siebie spod oka. Noe widział i oceniał uprzejmie, choć zazdrosne spojrzenia żołnierzy, którzy nie mieli żon ani kochanek i liczyli wyłącznie na pijatykę.

Pensjonat gwałtownie wymagał remontu. Ganek był zarośnięty dzikim winem, najniższy stopień schodków uszkodzony.

— Uważaj — powiedziała Hope. — Nie wpadnij w dziurę. Trudno złamać nogę w mniej stosownej chwili.

Drzwi otworzyła gospodyni, chuda starowinka w brudnym szarym fartuchu. Czuć ją było podeszłym wiekiem, potem i pomyjami. Surowo spojrziała na Noego.

— To pani mąż? — zapytała nie wypuszczając klamki z kościstych palców.

— Tak — odparła Hope. — Mój mąż.

— Aha — burknęła gospodyni i nie odpowiedziała uśmiechem na życzliwe powitanie Noego.

Posepnie spoglądała śladem nowych gości, gdy ci wchodzili na schody.

— Brr! To gorsze niż inspekcja — szepnął Noe śpiesząc za żoną do drzwi ich pokoju.

— A co to jest inspekcja? — zapytała Hope

— Powiem ci innym razem. Przy sposobności.

Drzwi zamknęły się za nimi. Pokój był mały, z jednym oknem o pękniętej szybie. Tapety zbladły tak, że deseń zdawał się wyrastać z nagiej ściany. Na białym żelaznym łóżku widać było góry i doły pod bezbarwną kapą. Ale Hope nadała tej nędzy pozory cywilizacji i życia rodzinnego. W szklance na komodzie postawiła żonkile. Obok położyła swoją szczotkę do włosów, a w cieniu kwiatów umieściła fotografię męża: amatorskie zdjęcie zrobione podczas letniego urlopu. Ubrany w sweter Noe śmiał się szeroko.

Obydwoje byli zażenowani. Unikali swoich spojrzeń.

— Musiałam pokazać gospodyni metrykę ślubu — odezwała się Hope.

— Co takiego? — zdziwił się Noe.

— Metrykę ślubu. Gospodyni mówi, że w mieście nawiedzonym przez sto tysięcy pijanych żołnierzy trzeba walczyć zębami i pazurami o utrzymanie dobrej opinii pensjonatu.

Noe uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową. .

— Kto ci poradził, żeby przywieźć metrykę ślubu?

Hope dotknęła kwiatów.

— Ostatnio zawsze ją mam przy sobie. W torebce. Przypomina mi...

Noe powoli zbliżył się do drzwi. W zamku tkwił duży żelazny, klucz. Przekręcił go z głośnym zgrzytem.

— Nareszcie! — westchnął! — O tym marzyłem przez siedem miesięcy. Marzyłem, żeby zamknąć drzwi na klucz.

Hope schyliła się nagle i wyprostowała szybko. Noe zobaczył, że trzyma w rękach pudełko.

— Masz, coś ci przywiozłam — szepnęła.

Wziął pudełko. Pomyślał o dziesięciu dolarach na prezent i znalezionym w worku świstku z ironicznym napisem: „Figa.” Starał się jednak zapomnieć o stracie. Ta sprawa może zaczekać do poniedziałku.

W pudełku były czekoladowe biszkopty.

— Skosztuj — powiedziała Hope. — Na szczęście nie ja je pieklam. Dostałam w paczce od matki.

Noe zgniółł biszkopt w zębach. Smakował domem rodzinnym. Z przyjemnością zjadł drugi.

— Miałaś wyborny pomysł — pochwalił żonę.

— Prędejl! — zawołała Hope. — Zrzuć te przekłete lachy! Prędejl.

Następnego rana późno wyszli z pokoju. Po śniadaniu spacerowali kilkoma ulicami małego miasteczka. Ludzie wracali z kościoła. Dzieci wystrojone na niedzielę, sztywne i znudzone, maszerowały między klombami przywiędłych kwiatów. W obozie nigdy nie spotyka się dzieci, więc ich widok krasił atmosferę poranka miłym domowym wdziękiem.

Pijany żołnierz szedł chodnikiem, przesadnie uważając na własne nogi. Wzywająco spoglądał na pobożnych mieszczan, jak gdyby kwestionowali jego zasady moralne i głośno dowodzili, że przyzwoity człowiek nie powinien zataczać się w niedzielę przed obiadem. Mijając Hope i Noego zasalutował i syknął:

— Szszaa!... Ani mru-mru żandarmom!

— Wczoraj w autobusie jeden człowiek oglądał twoją fotografię — powiedział Noe.

— Jaką wyraził opinię? — Hope ścisnęła końcami palców łokieć męża. — Pochlebna? Krytyczna?

— Powiedział: „Ogród. Ogród w majowy ranek.”

Hope roześmiała się:

— Armia takich żołnierzy nie może wygrać wojny.

— Powiedział także: „Jak Boga Kocham! Muszę się ożenić, nim mnie zdąży ustrzelić.”

Zachichotała znowu, wnet jednak spoważniała, bo uprzytomniła sobie sens końcowej części zdania. Nie odezwała się jednak, gdyż przyjechała tylko na tydzień, uważała więc, że nie wolno zmarnować czasu na rozmowy o takich sprawach.

— Będiesz przychodził co wieczór? — zapytała.

Noe skinął głową.

— Gdybym nawet musiał przekupić wszystkich żandarmów w całym okręgu wojskowym! W piątek może mi się nie uda, ale we wszystkie inne dni...

Z niesmakiem rozejrzał się po nędznym, zakurzonej miasteczku. Wzdłuż skąpanej w słońcu uliczki ciągnęło się dziesięć szynków ozdobionych fantazyjnymi neonowymi sztyldami.

— Szkoda, że nie spędzisz tego tygodnia w sympatyczniejszej miejscowości — powiedział.

— Nonsens — roześmiała się Hope. — Jestem zachwycona tą dziurą. Przypomina mi Riwierę.

— Byłaś kiedyś na Riwierze?

— Nigdy.

Spojrzał na drugą stronę torów, gdzie mieściła się dzielnica murzyńska: wyboiste ulice, wychodki i rudery z nie malowanych desek.

— Masz rację — powiedział. I mnie przypomina Riwierę.

— Byłaś kiedyś na Riwierze?

— Nigdy.

Uśmiechnęli się i dalej szli w milczeniu. Przez chwilę Hope trzymała głowę na ramieniu męża.

— Jak długo? — westchnęła. — Jak długo to potrwa?

Wiedział, o czym Hope mówi, lecz odpowiedział pytaniem:

— Co, Hope?

— Wojna... Jak długo potrwa wojna?

Kilkuletni Murzynek siedział w ulicznym pyłe i z poważną miną głąskał koguta. Noe zerknął z ukosa na tę scenę. Ptak zasypiał upojony delikatnymi ruchami małych czarnych rączek.

— Krótko... Chyba krótko... Wszyscy to samo mówią.

— Proszę cię, nie okłamuj żony.

— Wcale nie okłamuję. Znam jednego sierżanta z dowództwa pułku. Powiada, że nasza dywizja nie powącha prochu. Nie zdąży. Podobno pułkownik jest wściekły, bo ma apetyt na gwiazdkę.

— Na gwiazdkę? — zdziwiła się Hope.

— Tak. Generał brygady nosi jedną gwiazdkę.

— Idiotka ze mnie! Nie wiedziałam dotychczas, co nosi generał brygady!

— Nic nie szkodzi — roześmiał się Noe. — Przepadam za idiotkami.

— Jakże mi miło — wpadła w ton Hope. — Doprawdy, jesteś czarujący.

Nie porozumiewając się zawrócili w stronę pensjonatu, jak gdyby powodował nimi jeden wspólny impuls. Przez chwilę szli bez słowa. Później Noe mruknął rozmarzonym szeptem:

— Mam nadzieję, że facet nigdy nie dostanie...

— Jaki facet? Czego?

— Pułkownik. Tej generalskiej gwiazdki.

Znowu zapadła cisza.

– Mam świetny pomysł – odezwała się Hope po minucie.

– Jaki?

– Wrócimy do pokoju. Zamkniemy drzwi na klucz.

Uśmiechnęła się do męża, przyspieszyła kroku, Noe nie zostawał w tyle.

Rozległo się stukanie do drzwi i głos gospodyni za cienkimi, deskami:

– Pani Ackerman, pani Ackerman! Mam do pani słówko. Proszę na chwilę.

Hope spojrzała niechętnie na drzwi i wzruszyła ramionami.

– Już idę! – zawołała i dodała pod adresem męża: – Możesz się nie ruszać z łóżka. Za minutę wracam.

Pocałowała go w ucho, ubrała się szybko, przekręciła klucz w zamku i wyszła na korytarz. Noe leżał na wznak. Półprzymkniętymi oczyma spoglądał w poplamiony sufit. Zaczynał drzeć się ze słonecznym niedzielnym dniem, który zbliżał się ku wieczorowi. Gdzieś daleko gwizdała lokomotywa, a na ulicy pod oknem męski głos śpiewał:

Wiem, robisz oczko jak ta lala
I kulinarny talent los także ci dał.
Ale czy forsa nie nawala,
To tylko wiedzieć bym chciał.

Noe myślał sennie, że gdzieś kiedyś słyszał już tę piosenkę. Później przypomniał sobie Rogera i to, że Roger nie żyje. Chciał snuć dalej wspomnienia, nie zdążył jednak, bo zapadł w mocny sen.

Obudziło go lekkie stuknięcie drzwi. Leniwie rozchylił powieki i uśmiechnął się na widok Hope pochylonej nad łóżkiem.

– Noe – szepnęła. – Wstawaj.

– Mam czas. Mam dużo czasu... Lepiej chodź do mnie.

– Nie. Musisz wstać. Rozumiesz?

Usiadł na łóżku.

– Co się stało?

– Gospodyni powiedziała, że mamy się zaraz wynosić.

Potrząsnęła głową, jak gdyby chciał odpędzić opary snu.

– Chyba nie dosłyszałem. Powtórz!

– Gospodyni powiedziała, że mamy się zaraz wynosić.

– Kochanie... coś ci się roi...

— Nic mi się nie roi! Mamy się zaraz wynosić. — Twarz miała boleśnie ściśniętą, surową.

— Dlaczego? Przecież pokój wynajęłaś na tydzień.

— Tak. Na tydzień. Ale gospodyni twierdzi, że została wprowadzona w błąd. Nie zdawała sobie sprawy, że jesteśmy Żydzi.

Noe wstał i wolno poczłapał w stronę komody. Spojrzał na swoją roześmianą fotografię, na żonkile, które przywiedły już i pomarszczyły się na brzegach płatków.

— Gospodyni mówi — ciągnęła Hope — że nazwisko wydawało się jej podejrzane, ale ja nie wyglądam na Żydówkę. Dopiero jak ciebie zobaczyła, rozjaśniło się jej w głowie. Zapytała mnie wprost, a ja naturalnie powiedziałam, że jesteśmy Żydzi.

— Biedna Hope — westchnął Noe. — Strasznie cię przepraszam.

— Nonsens. Żebym nigdy nie słyszała podobnej gadaniny. Za nic nie musisz mnie przepraszać.

— Dziękuję.

Drżącymi palcami dotknął kwiatów. Kielichy były wiotkie, umarłe.

— Cóż, trzeba się pakować — mruknął.

— Tak!

Hope chwyciła walizkę i otwartą postawiła na łóżku.

— Gospodyni twierdzi, że nie ma mowy o niechęci osobistej. Po prostu to zasada jej pensjonatu.

— Miło mi usłyszeć, że nie ma mowy o niechęci osobistej.

— Nic straszego — mówiła Hope pakując do walizki delikatną różową bieliznę; ruchy miała energiczne, pewne jak zawsze. — Nic straszego. Przejdziemy się trochę i na tej samej ulicy znajdziemy inny pokój.

Noe wziął w rękę leżącą na komodzie szczotkę do włosów. Miała wytartą srebrną oprawę, ozdobioną wieńcem staroświeckich, wiktoriańskich liści. Połyskiwała blado w świetle sączącym się przez zazdrostki.

— Nie — odrzekł. — Nie znajdziemy innego pokoju.

— Ale... ale tutaj nie możemy zostać — zdziwiła się Hope.

— Nie zostaniemy tutaj i nie znajdziemy innego pokoju — starał się mówić pewnym, rzeczowym tonem.

— Nie rozumiem... Czego chcesz właściwie? — przestała składać suknię i przeniosła wzrok na męża.

— Chcę, żebyśmy poszli na stację i dowiedzieli się, kiedy odchodzi pierwszy autobus do -owego Jorku. Chcę, żebyś tym autobusem wyjechała.

W pokoju zapanowała cisza. Hope stała sztywno, bez ruchu. Patrzyła teraz na różową bieliznę porządnie ułożoną w walizce.

— Widzisz — szepnęła nareszcie. — To mój jedyny tydzień... Nie mam pojęcia, kiedy zdołam się znowu wyrwać... I... I nie wiadomo, co się z tobą stanie... Lada dzień mogą cię wysłać do Afryki, na Guadalcanal, Bóg wie dokąd...

— Zdaje mi się, że autobus odchodzi o piątej — powiedział Noe.

— Kochany... — Hope stała nadal bez ruchu, z bezwładnie opuszczonymi rękoma. — Na pewno znaleźlibyśmy pokój...

— Tak. Na pewno znaleźlibyśmy pokój. Ale nie będziemy go szukać. Nie chcę ciebie w tym mieście. Wolę zostać sam. Rozumiesz? Nie potrafię kochać cię tutaj. Wyjedź, Hope, i nie wracaj. Rozumiesz? Zostaw mnie. Im prędzej, tym lepiej. Mógłbym spalić to miasto, mógłbym rzucać na nie bomby. Ale nie potrafię kochać tutaj.

Hope podbiegła do męża, chwyciła go za ramiona.

— Kochany! Najdroższy! — Potrząsnęła nim silnie. — Co się stało? Jakie krzywdy robią ci w wojsku?

— Nic mi nie robią! — krzyknął. — Rozumiesz, nie! Powiem ci później. Po wojnie. A teraz pakuj rzeczy i chodźmy stąd. Chodźmy!

Hope opuściła ręce.

— Tak... Dobrze... — wyjąkała i sięgnęła po starannie poskładane ubranie, którym zaczęła dopełniać walizkę.

Po dziesięciu minutach byli gotowi. Noe wyszedł pierwszy. Niósł bagaż żony i małą płócienną torbę, w której miał koszulę na zmianę i przybory toaletowe. Nie obejrzał się z korytarza, lecz Hope przystanęła, odwróciła głowę. Nisko stojące słońce zaglądało przez szpary w zazdrostkach, kreśliło w zakurzonej powietrzu smugi świetlistych pyłków. Żonkile stały w szklance na komodzie wygięte trochę, jak gdyby bliska śmierć przydała wagi ich złotym koronom. Hope cicho zamknęła drzwi. Męża dogoniła na schodach.

Gospodyni czekała na ganku ubrana w ten sam szary fartuch. Nie odezwała się słowem, kiedy Noe płacił rachunek. Stała bez ruchu. Później, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, patrzyła zimno na żołnierza i młodą kobietę, którzy spokojną ulicą szli wolno w stronę dworca autobusowego.

Kiedy Noe wrócił do baraku, nikt na niego nie spojrział. Kilku kolegów spało. Pod drzwiami rozlegało się pijackie chrapanie Donnelly'ego. Noe zdjął z szaragów worek i z maniacką dokładnością przetrząsnął jego zawartość: zapasowe trzewiki, wełniane koszule,

czysty kombinezon, zielone włóczkowe rękawiczki, blaszanka pasty do obuwia. Nigdzie nie znalazł pieniędzy. Z kolei wziął się do drugiego worka, lecz i tam nic nie było. Od czasu do czasu rozglądał się dokoła gniewnym wzrokiem. Chciał się przekonać, czy ktoś go nie obserwuje. Ale wszyscy obecni w baraku spali głęboko. Ich chrapiący, bezwstydnny sen w niemal publicznym miejscu był odrażający, plugawy.

„Wszystko mi jedno — pomyślał Noe. — Zatłukę drania, który się będzie na mnie gapił.”

Porządnie spakował swoje worki, wydobył z kuferka papier listowy i napisał krótką notatkę. Zielone pudełko rzucił na pryczę i poszedł w stronę baraku, gdzie mieściła się kancelaria kompanii. Na zewnętrznej ścianie koło drzwi wisiała tablica, a na niej (obok spisu burdely niedozwolonych dla wojska, instrukcji pouczającej, jakie mundurki należy nosić w takich lub innych okolicznościach, oraz ogłoszonej przed tygodniem listy awansów) było miejsce przeznaczone na wiadomości o przedmiotach zgubionych i znalezionych. Starszy strzelec O'Reilly prosił uprzejmie o zwrot scyzoryka z sześcioma ostrzami, zabranego z jego kuferka. Pod tym apelem Noe przyczepił -swoją notatkę i jeszcze raz odczytał ją przy świetle żarówki palącej się nad drzwiami kancelarii.

„Do żołnierzy kompanii C. Banknot dziesięciodolarowy został skradziony z worka szeregowca Noego Ackermana z 2 plutonu. Nie proszę o zwrot pieniędzy i nie myślę dochodzić strat na drodze służbowej. Chcę wymierzyć sprawiedliwość sam, własnymi rękami. Osoba lub osoby, których to dotyczy, zechcą skomunikować się ze mną. Podpisano: Szeregowiec Noe Ackerman.”

Z zadowoleniem przestudiował swoje dzieło, a kiedy wracał do baraku, miał wrażenie, że nareszcie uczynił krok, który uchroni go od szaleństwa.

Następnego wieczora wracając z kuchni po kolacji zatrzymał się przed tablicą z ogłoszeniami. Pod swoją notatką zobaczył wypisany na maszynie wąski skrawek papieru, a na nim dwa krótkie zdania:

„Przyjmujemy wyzwanie Żydku. Czekamy na ciebie.”

Dalej następowały podpisy: P. Donnelly, J. Wright, L. Jackson, M. Silichner, P. Sanders, B. Cowley, W. Demuth, E. Riker, R. Henkel, T. Brailsford.

Michael czyścił karabin, kiedy Ackerman zwrócił się do niego:
— Chciałbym z tobą pogadać.

Whitacre niechętnie podniósł wzrok. Był zmęczony, zły i jak zwykle biedził się nad zawilym mechanizmem starego springfielda.

— Czego chcesz? — zapytał.

Od krótkiej rozmowy w marszu nie zamienili ani słowa.

— Tutaj nie mogę powiedzieć.

Noe rozejrzał się dokoła. Po kolacji w baraku było pełno. Trzydziestu lub czterdziestu ludzi czytało, pisało listy, porządkowało ekwipunek, słuchało radia.

— To takie pilne? — rzucił chłodno Whitacre. — Widzisz, że jestem zajęty.

— Proszę cię, Whitacre...

Twarz Ackermana była boleśnie ściągnięta, oczy jak gdyby większe, ciemniejsze.

— Proszę cię, Whitacre — powtórzył Noe. — Muszę z tobą pomówić. Czekam przed barakiem.

— Dobrze — westchnął Michael.

Z trudem składał karabin. Jak za każdym razem wstyd mu się trochę zrobiło, bo nie mógł sobie poradzić z zamkiem. Oporne palce ślizgały się po gładkim naoliwionym metalu.

„Bodaj to licha! — pomyślał. — Umiem wyreżyserować sztukę, umiem rozprawić o znaczeniu Tomasza Manna, a byle parobek z farmy zrobi to z zamkniętymi oczyma sto razy lepiej niż ja!”

Powiesił na miejscu karabin i obcierając zatłuszczone ręce wyszedł przed barak. Ackerman stał w ciemnościach po drugiej stronie obozowej ulicy. Jego niska, szczupła sylwetka rysowała się w świetle odległej latarni. Wezwał Michaela konspiratorskim gestem. Michael zbliżył się do niego klnąc w duchu.

— Przeczytaj to — zaczął Noe i podał koledze dwie kartki.

Było ciemno, więc Michael z trudem odcyfrował najprzód notatkę Noego, której nie zauważył na tablicy z ogłoszeniami, a następnie odpowiedź opatrzoną dziesięcioma podpisami. Z niedowierzaniem potrząsnął głową i jeszcze raz odczytał świstki.

— Cóż to, u diabła, znaczy? — rzucił gniewnie..

— Chciałbym cię prosić na sekundanta.

Noe powiedział to głuchym, posępnym tonem, lecz Michael omal nie przyjął śmiechem tak melodramatycznej propozycji.

— Na sekundanta? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak. Będę się bił z tymi ludźmi. Trudno mi porozumieć się z nimi osobiście. Nie mam do siebie zaufania. Stracę cierpliwość i wybuchnie awantura. A wszystko chcę załatwić całkiem formalnie.

Whitacre szeroko otworzył oczy. Wstępując do wojska spodziewał się niejednego, nigdy jednak równie głupiej historii.

- Czyś oszalał?! – zawołał. – Przecież to kawał!
- Możliwe. Ale ja mam dosyć kawałów.
- Dlaczego mnie zaszczyliłeś wyborem?

Noe oddychał głęboko. Słyszał było, jak powietrze świszczę w jego nozdrzach. W migotliwym świetle lampy płonącej po drugiej stronie ulicy wyglądał pięknie i tragicznie. Twarz miał skupioną, surową, jak bohater starożytnego dramatu.

- Do nikogo innego w kompanii nie mogę mieć zaufania, więc... – zaczął, lecz zreflektował się nagle i zmiął w rękę dwie kartki papieru.
- Mniejsza o to. Nie chcesz mi pomóc, to idź do wszystkich diabłów!
- Zaraz, zaraz – Michael zrozumiał, że musi coś zrobić, nie dopuścić do finału tej tragifarsy. – Nie powiedziałem przecież, że ci odmawiam pomocy.

– Dziękuję – rzucił sucho Ackerman. – W takim razie idź i ulóż plan spotkania.

- Jaki znów plan spotkania? – zdziwił się Michael.

– Jest ich dziesięciu. Trudno, żebym uporał się z nimi w jeden wieczór. Trzeba ułożyć jakiś plan. Musisz się dowiedzieć, kto będzie pierwszy, kto drugi i tak dalej. Mnie kolejność jest obojętna.

Michael znów wziął papiery z rąk Noego i jeszcze raz przebiegł wzrokiem podpisy. Stopniowo zaczął łączyć nazwiska z osobami.

– Wiesz chyba – powiedział wreszcie – że to dziesięciu najtęższych chłopów w kompanii?

- Wiem.
- Każdy z nich waży przynajmniej sto osiemdziesiąt funtów.
- Wiem.
- A ty ile ważysz?
- Sto trzydzieści pięć funtów.
- Zatłuką cię na śmierć.
- Nie proszę o radę. Proszę, żebyś się z nimi porozumiał, i koniec.

Resztę pozostaw mnie.

– Moim zdaniem, kapitan nie pozwoli – słabo zaproponował Whitacre.

– Pozwoli, pozwoli. Znam tego skurwysyna. Nie martw się o pozwolenie.

Michael wrzucił ramionami.

– Dobrze – burknął. – Wszystko załatwię formalnie. Rękawice. Dwuminutowe rundy. Na sędziego poproszę...

— Nie chcę dwuminutowych rund ani sędziego — przerwał mu Noe. — Walka skończy się, jak jeden lub drugi nie będzie mógł wstać.

— A rękawice?

— Bez rękawic. Wystarczą gołe pięści. Chcesz jeszcze o coś zapytać?

Michael znów wzruszył ramionami.

— Nie. Wiem wszystko.

— Dziękuję. Daj mi znać, co i jak załatwisz.

Bez pożegnania oddalił się przecinając obóz ulicą. Michael patrzył przez chwilę na szczuple, wyprostowane plecy niknące w cieniu nocy. Później jeszcze raz wzruszył ramionami i poszedł szukać pierwszego z podpisanej dziesiątki. Peter Donnelly mierzył sześć stóp i cal, ważył sto dziewięćdziesiąt pięć funtów i w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku brał udział w mistrzostwach ciężkiej wagi w Miami na Florydzie. Był wtedy bliski „Złotych Rękawic”, bo odpadł dopiero w półfinale.

Donnelly znokoutował przeciwnika. Noe był zawzięty. Ruszał się żywo. Podskakiwał, by dosięgnąć twarzy olbrzyma. Po chwili krew pociekła z nosa Donnelly'ego, który zaczął siorbać i chlupać, a wyraz gniewnego zdziwienia zastąpił chłodną zawodową maskę; z jaką bokser przystępuje do walki. Lewą ręką odepchnął Ackermana i nie zwracając uwagi na grad uderzeń w piersi, zamachnął się potężnie. Cios był krótki, morderczy. Zdławione „Aa!” przebiegło krąg widzów. Donnelly zamachnął się ponownie, nie zdążył jednak uderzyć, bo Noe padł i bez ruchu leżał u jego nóg na trawie.

Michael wystąpił naprzód.

— Myślę — powiedział — że na razie wystarczy i...

— Wynos się do licha! — warknął Noe i pomagając sobie obydwoma rękami ciężko dźwignął się z ziemi.

Na chwiejnych nogach stanął twarz w twarz z przeciwnikiem. Krew zalewała mu obficie prawe oko. Donnelly zaatakował. Przegiął się, jak gdyby rzucał piłkę baseballową. Pięść uderzyła głucho o usta Noego. „Aa!” — westchnęli znowu gapie, kiedy Ackerman runął plecami na ich zwarty, bezlitosny pierścień, a później osunął się na trawę i leżał bez ruchu.

Michael podbiegł do niego. Przyklęknął na jedno kolano. Pokonany miał zamknięte oczy, dyszał ciężko.

— Koniec — powiedział Michael. — Wygrałeś, Donnelly.

Przewróci! Noego na wznak, a Noe otworzy! oczy i nieprzytomnie spojrział w nocne niebo.

Ciasny pierścień widzów ziarna! się i zaczął nikać w mroku nocy. Michael chwycił! zemdłonego pod pachy i próbował dźwignąć go z ziemi.

— A to ci draka — usłyszał głos Donnelly'ego. — Taki parszywy szczeniak puścił mi juchę z nosa! Kto by się spodziewał?

Whitacre z papierosem w ustach stał pod oknem umywalni i przygląda! się Noemu, który pochylony nad zlewem zwilża! twarz zimną wodą. By! rozebrany do pasa. Na skórze tu i ówdzie ciemniały wielkie sińce. Wreszcie uniósł głowę. Prawe oko miał zamknięte. Z ust ciekła jeszcze krew. Splunął i dwa zęby padły w różowej pianie na dno zlewu. Nawet nie spojrział na nie. Metodycznie zaczął osuszać twarz czerwieniącym szybko ręcznikiem.

— No i co? — odezwał się Michael. — Chyba wystarczy? Myślę, że trzeba odwołać resztę spotkań i...

— Kto następny na liście?

— Posłuchaj, człowieku! Śmierci szukasz, czy jak?

— Następny jest Wright — podjął spokojnie Noe. — Powiedz mu, że będę gotów za trzy dni.

Nie czekając odpowiedzi okrył ręcznikiem ramiona i opuścił umywalnię.

Whitacre spojrział na drzwi, zaciągnął się papierosem, rzucił niedopałek i wyszedł w ciepłą noc. Nie wracał do baraku. Chciał uniknąć ponownego spotkania z Ackermanem. Wolął go nie oglądać.

Wright by! najwyższy w kompanii. Mimo to Noe nie stosował taktyki obronnej. Nie próbował się migać. W poprawnej bokserskiej pozycji skakał między długimi, wolno poruszającymi się rękami. Bombardował twarz przeciwnika, tłukł go w żołądek, zmuszał do gniewnych pomruków.

„Zdumiewające — pomyślał Michael obserwując Noego z zazdrośnym uznaniem. — Chłopak wie, co to boks. Gdzie się wyuczył?”

— Nie w brzuch, ty skurwysynu! — zawołał Rickett z kręgu widzów. — Ślepyś czy co?

W tej chwili skończyło się spotkanie. Wright wziął rozmach i w potężny sierp przelał całą wagę swojego ciała. Wielka sękata pięść ugodziła jak młot w bok przeciwnika. Noe zatoczył łuk w powietrzu,

upadł na łokcie i kolana. Język miał wywieszony. Rozpaczliwie próbował chwycić oddech.

Widzowie przyglądali się w milczeniu. Wright rozkraczył się nad pokonanym.

— No i co? — zapytał wojowniczo. — No i co?

— Zrobiony — odpowiedział Whitacre. — Możesz spokojnie iść do domu. Spisałeś się pierwsza klasa.

Noe zaczął wreszcie oddychać. Charczał i rzeził boleśnie. Powietrze świstało mu w krtani. Wright trącił go szpicem buta i odwrócił się pogardliwie.

— No, który stawia piwo? — rzucił pod adresem gapiów.

Lekarz zerknął na zdjęcie rentgenowskie i orzekł, że dwa żebra są złamane. Klatkę piersiową owinał bandażami, okleił plastrami i kazał pacjentowi leżeć spokojnie.

— Jak tam? — zapytał Michael stojąc nad łóżkiem Ackermana w izbie chorych. — Ustatkujesz się wreszcie?

— Doktor powiada, że będę zdrow za trzy tygodnie. Zamów następnego na ten termin. — Słowa dobywały się z trudem z poblądłych warg.

— Oszalałeś? Nikogo ci nie zamówię. Czy nie rozumiesz...

— Głupie nauki możesz wygłaszać gdzie indziej — syknął Noe. — Nie chcesz być sekundantem, to idź do diabła. Sam sobie poradzę.

— Co ty wyprawiasz, Ackerman? — zaczął Michael. — Czego chcesz dowieść?

Noe milczał. Błędnym wzrokiem patrzył w przeciwny kąt salki, na żołnierza, który przed dwoma dniami wypadł z ciężarówki i złamał nogę.

— Czego chcesz dowieść? — krzyknął Whitacre.

— Niczego. Po prostu lubię się bić. Masz coś więcej do mnie?

— Nic. Absolutnie nic — odpowiedział Michael i wyszedł z izby chorych.

— Panie kapitanie — mówił Michael — melduję się w sprawie szeregowca Ackermana.

Colclough siedział na krześle wyprostowany do przesady. Miał minę, jak gdyby dusił się powoli, bo różowy walek tłuszczu nie mógł się zmieścić między podbródkiem i ciasnym kołnierzem.

— Aha. Co to za sprawa szeregowca Ackermana?

— Zapewne pan kapitan słyszał o... o sporze szeregowca Ackermana z dziesięcioma kolegami z kompanii.

Oficer wykrzywił wargi w złośliwym uśmiechu. Widać było, że jest zadowolony.

— Coś obilo mi się o uszy.

— Panie kapitanie, moim zdaniem szeregowiec Ackerman jest obecnie nieodpowiedzialny za swoje czyny. Grozi mu poważne uszkodzenie ciała. Może trwale kalectwo. Czy pan kapitan nie zechciałby interweniować, zakazać dalszych spotkań?

Colclough wsunął palec do nosa. Ze skupioną miną starał się usunąć jakąś zawadę. Wreszcie wyciągnął palec i bacznie obejrzał dobyte skarby.

— Posłuchajcie Whitacre — rozpoczął z namaszczeniem, którego musiał nauczyć się od duchownych celebrytów obrzędy pogrzebowe w Joplin. — W każdym wojsku nieuniknione są drobne spory między żołnierzami. Głęboko wierzę, że najstosowniejszą metodą rozstrzygania tych zdrażeń jest uczciwa męska walka. Moi ludzie, Whitacre, będą wkrótce narażeni na coś nieporównanie groźniejszego niż gołe pięści. Na kule i armatnie pociski. Kule i armatnie pociski — powtórzył smakując słowa. — Rozumiecie, Whitacre? Kule i armatnie pociski! Zakaz regulowania nieporozumień w taki właśnie sposób byłby stanowiskiem niewojskowym. Kompletnie niewojskowym, Whitacre. A zresztą, mam swoją politykę. Żołnierzom z mojej kompanii zostawiam jak najwięcej swobody w załatwianiu spraw osobistych. Najwięcej jak to możliwe, Whitacre. Dlatego nie interweniowałem dotąd i na przyszłość nie zamierzam interweniować w sprawie, jak powiedzieliście, szeregowca Ackermana. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Michael zasalutował i wyszedł.

Idąc powoli obozową ulicą podjął nagle decyzję. Nie zostanie tu długo. Musi złożyć podanie do szkoły oficerskiej. Kiedy wstępował do wojska, wolał być szeregowcem. Jasno zdawał sobie sprawę, że jest trochę za stary, by konkurować z dwudziestoletnimi sportowcami, których pełno "pośród elewów. Rozumiał również, że ma umysł nastawiony w pewnym kierunku, a więc trudno mu będzie uczyć się nowych rzeczy. Przede wszystkim jednak pragnął uniknąć sytuacji, w której życie wielu ludzi zależeć będzie od jego decyzji. Nie czuł się powołany na dowódcę. Nawet obecnie, po długich szkoleniach, wojna zdawała mu się zawilim, śmiertelnym labiryntem, łamigłówką nie do rozwiązania. Dobrze głowić się nad nią samotnie, pod cudzymi

rozkazami. Dobrze być szarym, bezimiennym pionkiem. Ale przejmować inicjatywę? Wysłać czterdziestu ludzi tam, gdzie na skutek drobnego błędu może wyrosnąć czterdzieści mogił? Nigdy! Tak rozumował Michael przed kilkoma miesiącami. Obecnie jednak uważał, że nie ma wyboru. Armia uważa za stosowne powierzyć życie dwustu pięćdziesięciu żołnierzy ludziom takim jak Colclough. Wobec tego przesadna skromność, brak zaufania do siebie, strach, lenistwo — nic nie może stanowić przeszkody.

„Jutro wypełnię formularz i zaniosę do kancelarii — rozmyślał pośępnie Michael. — No i w mojej kompanii nie będzie Ackermanów, co z połamanymi żebrami leżą w izbie chorych.”

W pięć tygodni później Noe wrócił pod opiekę lekarską. Znowu stracił dwa zęby i nos miał zgruchotany. Dentysta robił mu mostek, żeby mógł gryźć prawidłowo. Doktor przy każdej wizycie wydobywał z nosa odłamki kości.

Michael nie bardzo wiedział, o czym mówić z Noem. Przychodził do izby chorych, siadał w nogach łóżka i milczał. Wzajemnie unikali swojego wzroku. Byli kontenci, kiedy sanitariusz otwierał drzwi i wrzeszczał:

— Koniec odwiedzin! Wychodzić!

Noe zdążył się już uporać z pięcioma pozycjami swojej listy. Twarz miał pokiereszowaną, obrzękłą. Jedno ucho zniekształcone na stałe było podobne do kalafiora. Biała blizna przecinająca prawą brew nadawała jej wyraz ironicznego zdziwienia. Błędne oczy spoglądały tępo, uparcie z mroków wykrzywionej twarzy. Całość sprawiała wrażenie bolesne i przygnębiające.

Po ósmej walce Noe wylądował znów w izbie chorych. Tym razem cierpiał na chwilowy paraliż mięśni szyi i struny głosowe miał poważnie uszkodzone. Przez dwa dni lekarz był zdania, że pacjent nigdy nie odzyska mowy. Pochylał się nad łóżkiem. Jego dobrodusznia twarz świeżo dyplomowanego studenta wyrażała szczerą troskę.

— Posłuchajcie — mówił. — Nie wiem, o co walcycie, ale tak czy inaczej, gra niewarta świeczki. Ostrzegam was, że w pojedynkę nie dacie rady całej armii Stanów Zjednoczonych. Możecie coś powiedzieć? Spróbujcie.

Przez chwilę Noe z trudem poruszał wargami. Wreszcie z obrzmiałych ust dobył się ochrypły, skrzypiący dźwięk.

— Co? Co takiego? — zapytał lekarz i nachylił się jeszcze niżej.

— Handluj pigułkami, doktorze—wyjąka! Noe. — A mnie zostaw pan w spokoju.

Lekarz obla! się pąsem. Z natury by! poczciwym chłopcem. Niedawno jednak został kapitanem, nie mógł więc słuchać spokojnie takich impertynencji.

Zesztywniał i rzucił sucho:

— Miło mi, że odzyskaliście dar mowy.

Odwrócił się i wyszedł z izby chorych.

Fein, drugi Żyd w kompanii, odwiedził Ackermana. Nieporadnie stał koło łóżka. Miał czapkę w wielkich łapskach.

— Posłuchaj, stary — mówił. — Nie chcę wtrącać się w twoje sprawy, ale co dosyć, to dosyć. Całkiem źle kombinujesz. Nie powinienes bić w mordę każdego, kto powie, że Żydy to skurwysyny.

— Dlaczego? — Noe skrzywił się z niesmakiem.

— Bo to kiepski interes. Niepraktyczny. Rozumiesz? Przede wszystkim jesteś za mały, za słaby. Ale gdybyś nawet był wielki jak dom, a rękę miał mocniejszą niż Joe Louis, i tak nie zrobiłbyś nic dobrego. Na świecie nie brak ludzi, co całkiem bezmyślnie mówią: „Parchy” i: „Te skurwysyny Żydy”, i różne takie rzeczy. Nie przekona ich nic, co robi Ackerman albo Fein, albo ktokolwiek inny z naszych. Ty, Ackerman, rzucasz się, szukasz guzów i cała kompania myśli, że wszyscy Żydzi to wariaci. Rozumiesz? Nasi koledzy są wcale nieźli, znacznie lepsi, niż się zdaje po tym, co gadają. Już ci nawet współczuli. Ale po tych wszystkich głupich walkach zaczynają uważać Żydów za drapieżne zwierzaki. Nawet na mnie patrzą teraz spođe lba i...

— Doskonale — szepnęła ochryple Noe. — Jestem bardzo zadowolony.

— Posłuchaj, stary — ciągnął cierpliwie Fein. — Spokojny ze mnie facet i znacznie starszy od ciebie. Mogę zabijać Niemców. Proszę bardzo! Ale z kolegami w wojsku chcę żyć w zgodzie. Widzisz, najlepsza broń Żyda to jedno głuche ucho. Jak jakiś drań zaczyna pyskować, ty odwracasz się do niego właściwym uchem. Rozumiesz? Daj im żyć, a oni może dadzą żyć tobie. Uważaj. Wojna nie potrwa sto lat. Skończy się i wtedy będziesz mógł dobierać sobie towarzystwo. Ale teraz rząd powiada: „Nic nie pomoże, musisz mieszkać pod jednym dachem z tymi lajdakami z Ku-Klux-Klanu.” Co na to poradzisz? Gdyby wszyscy Żydzi byli tacy jak ty, zginęlibyśmy z powierzchni Ziemi dwa tysiące lat temu.

— Aha — mruknął Noe.

— Co znaczy „aha”? — obruszył się Fein. — Może oni mają rację? Może naprawdę brak ci piątej klepki? Posłuchaj, stary. Ja ważę dwieście funtów. Jedną ręką mógłbym powalić każdego z tych zuchów. Jestem najsilniejszy w kompanii. No i co? Widziałeś, żebym bił się kiedy? Nie. Nie biłem się z nikim od dnia, kiedy włożyłem mundur. A dlaczego? Bo jestem człowiek praktyczny.

Noe westchnął.

— Pacjent czuje się źle — powiedział. — Jest zmęczony, Fein. Nie ma siły słuchać rad człowieka praktycznego.

Olbrzym szeroko otworzył oczy. Widać było, że problem przerasta jego możliwości.

— O jedno się pytam, Ackerman — podjął po chwili. — Czego ty chcesz? Czego chcesz, do jasnej cholery?

— Chcę—odparł Noe z bolesnym uśmiechem—by każdego Żyda traktowano tak, jak gdyby ważył dwieście funtów.

— To niepraktyczna kombinacja — burknął Fein i zirytował się wreszcie. — Niech cię diabli wezmą! Chcesz wojować, wojuj sobie dalej. Powiem ci prawdę, Ackerman. Lepiej niż ciebie rozumiem tych dziadów z bagien Georgii, co to pierwszy raz w życiu kładą buty w magazynie mundurowym. — Energicznie wcisnął czapkę na głowę. — Bieda ich gniotła. Tacy już są. Ale przynajmniej wiadomo, czego się z nimi trzymać.

Odwrócił się i zamaszystym krokiem ruszył w stronę drzwi. Każdym ruchem szerokich ramion, byczego karku i głowy jak dynia potępiał leżącego w łóżku pokiereszowanego chłopca, z którym złączył go dziwny kaprys losu, urzędu stanu cywilnego i komisji rekrutacyjnej.

Była to ostatnia walka. Jeżeli Noe wstanie, wszystko skończy się pomyślnie. Przekrwionymi oczyma spoglądał z ziemi na Brailsforda, który stał nad nim w spodniach i podkoszulku. Przeciwnik chwiał się na tle kręgu bladych twarzy i odległego, zamglonego nieba. Już drugi raz zwałił z nóg Ackermana, ale Ackerman zdążył podbić mu óko i parę razy grzmotnął w dołek tak, że Brailsford ryczał z bólu. Teraz trzeba się dźwignąć, klęknąć na jedno kolano, a za pięć sekund będzie po wszystkim. Wyczerpana zostanie lista dziesięciu przeciwników. Koniec! Koniec! Nie będzie połamanych kości, długich dni w szpitalu, nerwowych torsji przed spotkaniem. Nie będzie ogłupiającego, nieznośnego szumu w uszach, kiedy trzeba wytrwać naprzeciw bladej, nienawistnej twarzy i pięści zadających straszne ciosy.

Jeszcze pięć sekund i Noe postawi na swoim. Dowiedzie czegoś nieokreślonego, mglistego, czego chciał od początku dowieść. Ci ludzie będą musieli zrozumieć, że zadał im klęskę. Dziewięć porażek i jedna nierozegrana nie wystarczą. Duch odnosi zwycięstwo dopiero wówczas, gdy do cna spełni ofiarę cierpienia. Tak! Nawet ci ciemni, nieokrzesani ludzie pojmą, że mały Żydek, co maszeruje z nimi przez skwarne drogi Florydy i maszerować będzie przez jakieś inne drogi, ryte artyleryjskimi pociskami, pokazał siłę woli i odwagę, na jaką nie stać najlepszego spośród nich...

Trzeba tylko dźwignąć się na jedno kolano.

Noe wstał. Zasłonił się rękami. Czekał na atak przeciwnika. Z mroku wyłoniła się nagle twarz—blada, posiniaczona, wykrzywiona nerwowo. Noe postąpił krok, uderzył z całej siły i Brailsford runął. Ackerman patrzył tępo na przeciwnika leżącego u swoich stóp. Brailsford dyszał ciężko, zakrzywionymi palcami szarpał trawę.

— Wstań, skurwysynu!—zawałał jakiś głos z kręgu gapiów, a Noe pomyślał, że pierwszy raz nie jego znieważają na tym ringu.

Brailsford wywindował się na nogi. Był tłusty i w złej formie, bo jako pisarz z kompanijnej kancelarii potrafił zawsze dekować się od cięższej pracy. Oddychał przeraźliwie, jak gdyby szlochał, a kiedy Noe postąpił znów krok w jego stronę, zrobił wystraszoną minę i nieporadnie zasłonił się rękami.

— Nie! Nie — zaskomlał.

Ackerman przystanął. Zmierzył grubasa pełnym nienawiści wzrokiem. Potem obydwaj wzięli zamach jednocześnie. Noe zwałił się na trawę; Brailsford był ciężki i trafił go prosto w skroń.

Noe siedział na podwiniętych nogach. Oddychał równo. Patrzył na Brailsforda, ten zaś stał nad nim z opuszczonymi rękami, sapał jak miech kowalski i szeptał głucho: „Proszę... Proszę...” Noe uśmiechnął się radośnie, bo dobrze wiedział, że pisarz z kancelarii zaklina go, aby został na ziemi.

— Ty spasaś świnię! — powiedział Ackerman mocnym głosem. — Zaraz znów będziesz leżał. Rozumiesz, skurwysynu?

Wstał i uśmiechnął się znowu, bo w oczach Brailsforda zobaczył błysk strachu.

Tym razem pisarz zaatakował pierwszy. Ruszał się żywo. Wciąż doprowadzał do zwarcia. Ale jego ciosy były nerwowe, niepewne, a Ackerman ich nie czuł. Wił się w śliskich objęciach tłuściocha, czuł ostry zapach potu. Nie wątpił jednak w ostateczne zwycięstwo, bo zdołał powstać, bo złamał przeciwnika nerwowo. Chodziło już tylko o czas.

Noe wyrwa! się, zrobi! unik i z rozmachem zada! cios w dołek. Poczul, jak pięść zagłębia się w zwałach sadła. Brailsford jęknął, zachwiał się, opuścił ręce. Noe wyczytał w jego oczach nieme błaganie.

— Przyszła koza do woza, panie kapralu! — zachichotał nerwowo i z całej mocy grzmotnął w bladą, okrwawioną twarz.

Pisarz z kancelarii sterczał przed nim bez ruchu. Nie przewracał się i nie mógł walczyć. Ackerman zarył się piętami w trawę i raz po raz wali! w obrzękłą gębę.

— Masz! Masz! Masz! — charczał zadając sierp po sierpie.

Nabierał sił. Robił szerokie zamachy. Każdemu uderzeniu przekazywał cały ciężar ciała. Widział przed sobą wszystkich, którzy ukradli mu pieniądze, sztychli z niego w baraku i w marszu, przepędzili jego żonę. Oto stoją o krok — bladzi, wystraszeni, bezradni. Krew tryskała mu z knycki za każdym razem, gdy trafiał w zmasakrowaną twarz przeciwnika.

— Trzymaj się na nogach! Trzymaj się na nogach! Nie padaj jeszcze! Nie padaj! — wołał nieprzytomnie, a jego pięści dudniły jak kijanki tłukące mokrą bieliznę.

Kiedy Brailsford zaczął chwiać się na nogach, zwycięzca próbował podeprzeć go jedną ręką, żeby uderzyć jeszcze raz, dwa, dziesięć... Wreszcie wybuchnął płaczem, bo nie mógł utrzymać dłużej gąbczastej, krwawej miazgi. Grubas osunął się na trawę.

Noe opuścił ręce. Spojrzał wyzywająco na kibiców.

— W porządku! — rzucił głośno. — Po zabawie!

Nikt nie wytrzymał jego wzroku. Nikt nie powiedział słowa. Widzowie jak na komendę odwrócili się plecami. Ciemne sylwetki zaczęły znikać w mroku pomiędzy ścianami baraków. Noe patrzył ich śladem. Brailsford leżał na ziemi tam, gdzie upadł. Żaden z kolegów nie został przy nim, nie kwapił się z pomocą.

Michael dotknął ramienia Noego.

— Cóż — zażartował — teraz spokojnie możesz czekać na Niemców.

Ackerman strząsnął przyjazną dłoń.

— Wszyscy odeszli — powiedział glucho. — Nic, tylko odeszli. Skurwysyny!

Spojrzał na Brailsforda, który odzyskał przytomność, ale wstać nie próbował. Leżał twarzą w trawie. Oczy zakrył rękami. Płakał. Noe przyklęknął nad nim.

— Nie trzyj oczu! — warknął. — Łapy masz upaprane. Nabawisz się jakiegoś świństwa.

Dźwigną! grubasa przy pomocy Michaela. Później musieli go odprowadzić do baraku, umyć mu twarz, oczyścić i opatrzyć rany. Pisarz z kancelarii biernie poddawał się tym zabiegom. Z bezładnie opuszczonymi rękami stał przed lustrem i gorzko płakał.

Następnego dnia Noe zdezerterował.

Michael został wezwany do kancelarii.

— Gdzie on jest?! — wrzasnął na powitanie Colclough.

— Kto, panie kapitanie? — zapytał Whitacre stojąc sztywno na baczność.

— Do cholery! Dobrze wiecie, o kogo pytam. Gdzie wasz kumpel?

—r Nie wiem, panie kapitanie.

— Tylko mnie nie bujajcie! — krzyknął Colclough. — Żyliście z nim w przyjaźni, co?

Wszyscy sierżanci byli obecni w kancelarii. Z poważnymi minami gapili się na swojego wodza. Michael zawahał się. Trudno było nazwać przyjaźnią stosunki łączące go z Ackermanem.

— No, śmiało, Whitacre — podjął zachęcająco oficer. — Żyliście z nim w przyjaźni, co?

— Chyba tak, panie kapitanie.

— Macie odpowiadać tylko: „Tak jest, panie kapitanie. Nie, panie kapitanie.” Zrozumiano? No, żyliście z nim w przyjaźni, co?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Dokąd zwał?

— Nie wiem, panie kapitanie.

— Nie lżyjcie mi tylko! — Colclough zbladł, koniec nosa drgał mu nerwowo. — Pomogliście w ucieczce temu łajdakowi. Może nie pamiętacie przepisów wojskowego kodeksu karnego? Zaraz wam przypomnę, Whitacre. Za pomoc dezenterowi lub niezameldowanie przelożonym o dezercji grozi dokładnie taka sama kara jak za dezercję. Wiecie, Whitacre, jaka to kara w czasie wojny?

•— Tak jest, panie kapitanie.

— No, śmiało! Jaka to kara, Whitacre?

Głos kapitana złagodniał, ścichł nagle. Colclough pochylił się w tył na krześle i zmierzył Michaela niemal życzliwym wzrokiem.

— Kara śmierci, panie kapitanie.

— Kara śmierci—powtórz! ze smakiem Colclough. — Słusznie, Whitacre. Kara śmierci. Uważajcie teraz. Waszego kumpla prawie mamy w rękach. Jak go capniemy, wyśpiewa, kto mu pomagał. Wystarczy nawet, jak powie, że wam, Whitacre, mówił, a wy nie

zameldowaliście przełożonym i macie na rachunku udzielenie pomocy dezercerowi. Zdajecie sobie z tego sprawę, Whitacre?

— Tak jest, panie kapitanie — powiedział Michael i pomyślał.

„Mam wrażenie, że przy koktailu słucham anegdotki z serii «Pocieszne typki w naszym wojsku.» Niepodobna uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, że biorę w tym udział.”

— Posłuchajcie, Whitacre—rezonował dalej Colclough.—Moim zdaniem, sąd wojenny nie powinien skazać was na śmierć za to, że nie donieśliście o planach Ackermana. Ale możecie dostać dwadzieścia lat, trzydzieści, dożywocie... Więzienie federalne, Whitacre, to nie Hollywood, nie Broadway. Siedząc w Leavenworth nieczęsto będziecie czytać o sobie w gazetach. Wasz kumpel będzie miał okazję przyznać się do wszystkiego. Będzie miał prima okazję. Jeżeli więc wspomniał wam mimochodem, że chce zdezerterować, a wy przez gapiostwo nie meldowaliście o tym... No, krewa z wami!... Uważajcie teraz — oparł dłonie na biurku, jak mówca na trybunie. — Nie mam zamiaru robić z tego wielkich rzeczy. Zadaniem moim jest doprowadzenie kompanii do stanu gotowości bojowej, wolę więc nie podważać morale żołnierzy takimi historiami. Żądam tylko jednego: powiedzcie, dokąd zwał Ackerman. Powiedzcie chociaż, gdzie, w moim zdaniem, może się ukrywać. Powiedzcie, a wszystko inne puścimy w niepamięć. Chyba nie wymagam wiele, prawda?

— Tak jest, panie kapitanie.

— A widzicie! — podchwycił żywo Colclough.—Dokąd zwał ten łobuz?

— Nie wiem, panie kapitanie.

Kapitan ziewnął nerwowo. Znowu zaczął mu drgać koniec nosa.

— Słuchajcie, Whitacre — podjął. — Nie bądźcie głupio lojalni. Takich ludzi jak Ackerman wcale nam nie trzeba. To ciemny typ, istna zakala kompanii. Był do niczego jako żołnierz, nie potrafił zdobyć zaufania ani sympatii kolegów. Od początku do końca wszyscy mieli z nim kłopoty. Na co się narażacie, Whitacre? Na dożywotnie więzienie. W imię czego? Żeby kryć takiego drania? Przecież to szaleństwo. Nie chciałbym oglądać was w kryminale, Whitacre. Inteligentny z was chłop, powiodło się wam w cywilu. Z czasem możecie zostać wzorowemu żołnierzem. Chętnie wam w tym pomogę. No, Whitacre — kusząco uśmiechnął się do Michaela. — Gdzie jest szeregowiec Ackerman?

— Bardzo mi przykro, panie kapitanie. Nie wiem. Colclough stanął za biurkiem.

— Jak sobie życzyście — powiedział spokojnym tonem. — Wynos się, ty... ty filosemito! Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie. Dziękuję, panie kapitanie.

Michael zasalutował i wyszedł.

Brailsford czekał na Michaela przed jadalnią dla szeregowców. Stał oparty o ścianę, dłuwał w zębach, spluwał. Utył ostatnio, ale od dnia kiedy go Noe pokonał, miał minę niewyraźną, obrażoną i mówił głosem zająkliwym, jak gdyby stale biadał. Whitacre wyszedł z jadalni ciężki po obiedzie, na który złożył się kotlet wieprzowy, ziemniaki, makaron i placek z morelami. Już w drzwiach spostrzegł, że pisarz kompanijny kiwa nań porozumiewawczo, wołał go jednak uniknąć, więc przyspieszył kroku. Ale grubas pobiegł za nim wołając:

— Hej, Whitacre! Dokąd ci tak pilno? Zaczekaj!

Michael odwrócił się niechętnie.

— Jak się masz, Whitacre. Właśnie cię szukałem — powiedział Brailsford.

— O co chodzi?

Brailsford niespokojnie rozejrzał się dokoła. Żołnierze dumnie wychodzili z jadalni. Mijali ich, zatrzymywali się w pobliżu.

— Tu nieporęcznie gadać. Chodźmy na mały spacer — zaproponował pisarz.

— Przed zbiórką mam to i owo do załatwienia — bąknął Whitacre.

— Nie zmarnujesz czasu. Jeszcze mi podziękujesz. — Brailsford mrugnął wymownie. — Zajmę ci dwie minuty.

'— Niech będzie.

Michael wzruszył ramionami i obok pisarza poszedł w stronę placu alarmowego.

— Wyżej uszu mam naszej kompanii — zaczął grubas. — Staram się o przeniesienie. Znam sierżanta w dowództwie pułku. Szczęściar. Mają go zwolnić z powodu stanu zdrowia. Artretyzm jak cholera. Rozumiesz? Gadałem z nim i z kilkoma innymi gośćmi z pułku. Tutaj rzygać mi się chce i...

Michael westchnął. Marzył, że wyciągnie się na pryczy i prześpi cenne dwadzieścia minut po obiedzie.

— Streszczaj się — powiedział. — O co ci chodzi?

— Od przekłętego meczu z Ackermanem czepiają się mnie skurwysyny. Słuchaj. Nie chciałem podpisać listy. Mówili, że to kawał, że zbierają dziesięciu największych chłopów, a ja ważę dwieście funtów. Nie miałem nic do Żyda. Zapewniali, że się nie będzie bił. Ja też się bić

nie chciałem. Żaden ze mnie bohater. Za młodu tłukł mnie każdy szczeniak w mieście, chociaż zawsze byłem duży. Do licha, czy to zbrodnia nie być dobrym bokserem?

— Nie zbrodnia — przyznał Michael.

— I jeszcze jedno — ciągnął grubas. — Nie jestem wytrzymały. Jak miałem czternaście lat, chorowałem na zapalenie płuc. Od tej pory prędko się męczę. Nawet doktor zwolnił mnie od forsownych ćwiczeń. Ale wytłumacz to temu bydlakowi Rickettowi — uśmiechnął się cierpko — czy innym skurwysynom. Od czasu kiedy Ackerman mnie znokautował, czuję się tak, jakbym sprzedał niemieckim szpiegom ważne tajemnice wojskowe. Czego ode mnie chcą? Przecież stałem na ringu i brałem w pysk tak długo, jak mogłem wytrzymać. Sam widziałeś, prawda?

— Prawda — przyznał znów Michael.

— Ackerman to dzika bestia. Mały, jucha, ale zajadły. Nie lubię mieć do czynienia z takimi ludźmi. Nawet Donnelly'emu puścił krew z nosa. A Donnelly mało nie zdobył „Złotych Rękawic”. Prawda? Czego, u diabła, spodziewali się po mnie?

— Nie wiem! — wybuchnął Whitacre. — To wszystko stare sprawy. O co ci dzisiaj chodzi?

— Widzisz — Brailsford rzucił wykałaczkę i smutnym wzrokiem potoczył po zakurzonej placu alarmowym — nie mam przyszłości w tej kompanii. Absolutnie żadnej przyszłości. A tobie chciałem powiedzieć, że ty, bracie, również.

Michael zatrzymał się.

— Co to znaczy? — rzucił szorstko.

— Tylko wy dwaj potraktowaliście mnie po ludzku tamtej choleryjnej nocy — ciągnął grubas — ty i ten Żydek. Dzisiaj mam zamiar pomóc tobie. I jemu pomógłbym chętnie, gdybym mógł. Przysięgam Bogu, że chętnie pomógłbym Ackermanowi.

— Dowiedziałeś się czego? — zapytał skwapliwie Whitacre.

— Aha. Złapali go wczoraj wieczór w Nowym Jorku. Jest na Wyspie Gubernatorskiej. Pamiętaj, nikt nie powinien o tym wiedzieć. Tajemnica wojskowa! Ale ja wiem, bo jak dzień długi, objam się w kancelarii.

Michael wyobraził sobie Noego w rękach żandarmerii. Pod eskortą uzbrojonej straży idzie ubrany w granatowy kombinezon z wielkim białym „P” * wymalowanym na plecach.

* „P” — skrót ang. *Prisoner* — więzień, jeniec.

— Nikomu nie powiem. — Smutno pokiwał głową. — Co z nim? Zdrów?

— Nie wiem — odpowiedział pisarz. — W kancelarii mówili niewiele. Colclough z wielkiej uciechy poczęstował nas wszystkich dobrą whisky, marki Trzy Pióra. Ale nie o tym miałem z tobą gadać. Chodzi o twoją sprawę. — Umilkł delektując się efektem, jaki za chwilę wywoła. — O podanie do szkoły oficerskiej, które tak dawno złożyłeś...

— Aha. I co?

— Wczoraj wróciło. Odrzucone.

— Odrzucone — powtórzył głucho Whitacre. — Przecież komisja lekarska...

— Wróciło z Waszyngtonu. Odrzucone — przerwał mu Brailsford. — Dwaj inni goście przeszli w porządku. Ale twoja sprawa kaput! F.B.I.* powiedziało: „Nie.” Kapujesz?

— F.B.I.? — Michael spojrzał bystro na Brailsforda, gdyż podejrzewał, że to z góry ukartowany kawał. — Co F.B.I. ma wspólnego z moją sprawą?

— Co ma wspólnego? Te dranie wentylują wszystkich. Ciebie także rozgryźli. Powiadają, że nie nadajesz się na oficera. Jesteś nielojalny, kapujesz?

— Kpisz ze mnie? — rzucił Michael.

— Ani mi to w głowie. Ostatnio straciłem humor. F.B.I. powiedziało swoje. Koniec. Kropka. Jesteś nielojalny.

— Nielojalny! — Michael pokręcił głową. — A czego chcą ode mnie?

— Mówią, żeś czerwony — odparł Brailsford. — Wyczytali to w twoich papierkach, w twoim *dossier*, jak się to u nich nazywa. Podobno nie wolno ci powierzać wiadomości, które mogłyby mieć znaczenie dla nieprzyjaciela.

Michael objął wzrokiem rozległy plac alarmowy. Żołnierze leżeli tu i ówdzie na skrawkach zakurzonej murawy. Jacyś dwaj sportowcy rzucali miarowo piłką baseballową. W głębi flaga amerykańska trzepotała na szczycie masztu. Gdzieś w Waszyngtonie siedzi za biurkiem człowiek. Może w tej chwili spogląda na podobną flagę zdobiącą ścianę jego gabinetu. Kilka dni temu ów człowiek za biurkiem napisał z zimną krwią na podaniu szeregowca Whitacre'a: „Nielojalny. Kontakty z komunistami. Opinia negatywna.”

* F.B.I. (*Federal Bureau of Investigation*) — podległy amerykańskiemu Departamentowi Sprawiedliwości wywiad polityczny

— Cos tam było o Hiszpanii — podjął Brailsford. — Udało mi się zerknąć na twoje podanie. Czy Hiszpania to kraj komunistyczny?

— Niezupełnie.

— A byłeś tam kiedy?

— Nie. Należałem do Komitetu Pomocy Hiszpańskim Demokratom. Wysyłaliśmy sanitarki, lekarstwa, krew do transfuzji.

— No i wpadłeś — podchwycił grubas. — Wpadłeś jak śliwka w kompot. Naturalnie nic ci nie powiedzą. Wymyślą coś innego. Możesz przecież nie nadawać się na dowódcę. Pamiętaj, że ja ci powiedziałem. Ale nikomu nic nie gadaj.

— Dziękuję Brailsford. Serdecznie dziękuję.

— Idź do diabła! — obruszył się pisarz. — Pamiętam, że potraktowałeś mnie jak człowieka. Skorzystaj z tego, co wiesz. Staraj się o przeniesienie. Ja nie mam przyszłości w tej zaszrannej kompanii, ale ty, bracie, wyglądasz znacznie gorzej. Colclough pieni się na czerwonych. Będziesz harował w kuchni do odjazdu za morze, a później nie ominie cię żaden niebezpieczny patrol. Co dzień będziesz szperaczem. Kapujesz? Nie dam centa za twoje życie.

— Dziękuję, Brailsford. Na pewno skorzystam z dobrej rady.

— A pewnie. W wojsku trzeba pilnować własnej skóry, bo nikt inny jej nie upilnuje.

Wy dobył z kieszeni wykalaczkę, podlubał w zębach i splunął siarczyście.

— Pamiętaj, ja nie pisałem ci słówka. •

Michael skinął głową i przez chwilę spoglądał za Brailsfordem, który przez plac alarmowy wracał do kancelarii, gdzie nie miał żadnej przyszłości.

Z oddali, przez tysiąc mil szepczących na wietrze drutów przypłynął głos cienki, metaliczny:

— Tak, Thomas Cahoon. Tak, pokryję rachunek za rozmowę z szeregowcem Whitacre'em.

Michael zamknął drzwi kabiny telefonicznej w hotelu „Rawlings”. Odbił długą podróż do sąsiedniego miasta, bo wołał nie telefonować z obozu obawiając się, że go ktoś podsłucha.

— Proszę ograniczyć rozmowę do pięciu minut — powiedziała telefonistka. — Linia przeciążona.

— Jak się masz, Tom — rozpoczął Whitacre. — Rujnuję cię nie z biedy. Po prostu nie mam dwudziestopięcio- i dziesięciocentówek.

— Dzień dobry, Mike. — Głos przyjaciela zabrzmiał życzliwie, wesolo. — Nic nie szkodzi. Rozmowę zapiszę na koszty handlowe. Zmniejszy to podatek dochodowy.

— Tom — podjął Michael. — Słuchaj uważnie. Czy znasz kogo w oddziale Propagandy Wojskowej w Nowym Jorku? Rozumiesz? To tacy faceci, co organizują w obozach przedstawienia, koncerty i inne szopy.

— Tak — powiedział Cahoon. — Znam kilka osób. Stale z nimi współpracuję.

— Mam wyżej uszu piechoty — ciągnął Whitacre. — Spróbuj obrobić przeniesienie. Wolę wyjechać ze Stanów. Rozumiesz? Oddział Propagandy Wojskowej wysyła zespoły na jeden i drugi front. Chciałbym trafić do takiej jednostki. Możesz mi to załatwić?

— Cóż, jeżeli ci bardzo zależy — powiedział Cahoon po pauzie i głosem nieporównanie chłodniejszym: — Oczywiście... Mogę spróbować.

— Dziś wyślę ekspres. Podam oddział, numer ewidencyjny, przydział. Wszystko to będzie ci potrzebne.

— Dobrze. Zajmę się tym od ręki. — Głos Cahoona brzmiał nadal sucho.

— Przepraszam Tom, że ci zawracam głowę. Nie mogę wyjaśnić przez telefon, dlaczego to robię. Zaczekaj na mój przyjazd. Wtedy opowiem wszystko.

— Niczego nie musisz mi tłumaczyć. Nie wątpię, że masz swoje racje.

— Tak. I to ważne. Z serca ci dziękuję i do widzenia. Jakiś sierżant strasznie się denerwuje, bo czeka na połączenie z oddziałem położonym szpitala w Dallas City.

— Życzę szczęścia, Mike.

Whitacre złowił uchem wysięk, z jakim przyjaciel zdobywa się na ton nieco cieplejszy.

— Bywaj! Mam nadzieję, że zobaczymy się niedługo.

— Naturalnie. Zrobię, co w mojej mocy. Bywaj!

Michael powiesił słuchawkę i otworzył drzwi kabiny, w której zastąpił go niezwłocznie tęgi, zdenerwowany sierżant saperów z garścią pełną ćwierćdolarowych monet. Michael uśmiechnął się do niego i wyszedł na ulicę, gdzie różnokolorowe neony nad barami tworzyły migotliwą mgłę. W sąsiednim domu mieściła się wojskowa kantyna i świetlica. Whitacre znalazł tam wolny stół i usiadł w przepelnionej

sali. Żołnierze drzemali w fotelach, czytali pisma, pracownicy pisali listy przy biurkach na pajęczych nóżkach.

„Robię coś, czego postanowiłem nie robić — myślał Whitacre rozkładając ćwiartkę papieru i odkręcając wieczne pióro. — Coś, czego żaden z tych zmęczonych, Bogu ducha winnych chłopców nigdy nie mógłby zrobić. Wykorzystuję przyjaciół i ich stosunki, i swoje stanowisko w cywilu. Właściwie trudno się dziwić, że Cahoon był trochę cierpki. Siedzi teraz przy telefonie, z którego przed chwilą rozmawiał ze mną. Łatwo sobie wyobrazić, co myśli. Wygląda to mniej więcej tak: «Ach, ci intelektualści. Zawsze jednakowi, bez względu na to, co gadają. Potrafią w porę zwinąć chorągiewkę. Im bliżej armatniego ognia, tym łatwiej przypominają sobie, że gdzieś indziej mają znacznie ważniejsze sprawy.n”

O wielu ludziach i sprawach mógłby opowiedzieć Cahoonowi. Był Colclough i człowiek za biurkiem F.B.I., który pochwałował generała Franco, nie pochwałal Roosevelta i jednym pociągnięciem pióra decydował nieodwołalnie o dalszych losach szeregowca Whitacre'a. Był Ackerman i dziesięć krwawych walk stoczonych na bezlitosnych, zimnych oczach całej kompanii. Była służba pod dowództwem kapita-
na, który marzył, by jak najwięcej jego podkomendnych padło na polu chwały. Żaden cywil nie potrafiłby zrozumieć naprawdę tych spraw, ale można przecież próbować. Tak, istnieją wielkie różnice między życiem w cywilu i życiem w obozie wojskowym. Obywatel amerykański wie, że każdą sprawę może przedstawić jakimś władzom kierującym się poczuciem sprawiedliwości. A żołnierz? Żołnierz traci wszelką nadzieję, gdy wciągnie pierwsze fasowane buty.

Niewątpliwie Cahoon starałby się zrozumieć to wszystko, wczuć się w położenie przyjaciela. Ciekawe jednak, czy z głosu Cahoona zniknie kiedyś chłodny ton rozczarowania. Zapewne nie i nie będzie w tym nic dziwnego, gdyż Michael zdawał sobie sprawę, że chłodny ton rozczarowania nie zniknie nigdy z jego własnego sumienia.

Rozpoczął list do Cahoona. W nagłówku napisał drukowanymi literami kryptonim pocztowy oddziału i swój numer ewidencyjny. Wówczas zdał sobie sprawę, że nawiązuje korespondencję z człowiekiem obcym, gdyż cyfry, które zna na pamięć, będą zupełnie nieznanymi Cahoonowi.

Wydawnictwo „Książnica” sp. z o.o.
Katowice 1992
Nakład 19800+200 egz.
Papier offset. IV kl., 80 g, rola 60 cm
z Rudawskiej Fabryki Papieru
Drukowały: Zakłady Graficzne w Katowicach
Aleja Wojciecha Korfańtego 138
Zam. 327/7113/2